

SANTA MONTEFIORE

Sonata o niezapominajce

Pragnę wyrazić serdeczne podziękowania mojej kuzynce Anderly Hardy oraz mojej przyjaciółce Sue Nicholas, które miały szczęście dorastać w Hurlingham w Argentynie. Dzięki ich żywym opisom i wyrazistym wspomnieniom byłam w stanie oddać atmosferę i styl życia w tym małym zakątku angielskości, który w tak dramatyczny sposób zmienił się od czasu ich dzieciństwa. Chciałabym również podziękować mojej matce za jej opowieści, ojcu za mądrość i ciotce Naomi za wsparcie i zainteresowanie. Doktor Stephen Sebag Montefiore i jego żona April udzielili mi nieocenionej pomocy, jeżeli chodzi o szczegóły medyczne i psychiatryczne, ważne w budowaniu charakterów głównych postaci tej powieści. Sue Fletcher, która zredagowała mój tekst, zasłużyła na medal za rozsądek i dbałość o detale, na tomiaś moja agentka, Jo Frank, na serdeczne podziękowania za poświęcenie i zrozumienie. Muszę też wspomnieć, że i Sonata o niezapominajce, i inne moje książki nigdy by nie powstały bez zachęty ze strony mojej przyjaciółki, Kate Rock, której jestem winna ogromną wdzięczność. I wreszcie, a równocześnie przede wszystkim, chcę podziękować mojemu mężowi, Sebagowi, za mądre rady i niezmałony, bezgraniczny entuzjazm. Gdy moja wyobraźnia wysycha, Sebag zawsze dba, aby ożyła.

Legenda o niezapominajce

Zgodnie z austriacką legendą młody mężczyzna i jego narzeczoną, trzymając się za ręce, szli brzegiem Dunaju wieczorem w przeddzień ślubu. Dziewczyna spojrzała na rzekę i ujrzała śliczny niebieski kwiatek, unoszony przez prąd. Widząc jej smutek, że fale na zawsze pochłoną taki piękny kwiat, młody człowiek bohatercko wskoczył do rzeki, aby go uratować. Dunaj porwał młodzieńca, a ten, tonąc, ostatkiem sił rzucił kwiatek na brzeg i zawołał: „Nie zapomnij o mnie, zawsze będę cię kochał”.

CZĘŚĆ I

Prolog

Anglia, jesień 1984 roku

Niebo było prawie zbyt piękne jak na taki dzień. Październik ozłocił okolicę cudownym słonecznym blaskiem i wszystko wyglądało tak, jakby sam Bóg rozświetlił jesienne drzewa i porządnie zaorane pola, aby wyróżnić ten dzień spośród innych. Pasma jasnego, ostrego rózu i krwistej czerwieni przecinały niebo, malując niezwykle, imponujące tło dla umierającego słońca, powoli znikającego w wieczornej mgle na horyzoncie. Natura triumfowała, chociaż pokorna dusza Cecila Forrestera wydawała się nie zasługiwać na ten wspaniały spektakl.

Grace była jedyną córką Cecila, która nie płakała na pogrzebie.

Alicia oczywiście płakała, powodowana tym samym wyczuciem dramatyzmu, które charakteryzowało każdą chwilę jej życia, tak jakby zawsze stała w centralnym punkcie sceny, wystawiając swoją piękną twarz na światło reflektorów. Płakała połyskującymi w słonecznym blasku łzami i wydawała długie westchnienia, przerywane szlochem, a jej obleczone w czarne rękawiczki dłonie drżały, kiedy ocierała policzki haftowaną chusteczką do nosa. Starła się, aby manifestacja rozpacz nie zespeciała jej twarzy, wyrażając smutek estetycznym drzeniem warg oraz delikatnym skłonieniem głowy, osłoniętej przezrystą czarną woalką, przypiętą do ronda kapelusza. Leonora także płakała, cicho i żałośnie. Opłakiwała nie ojca, którego straciła, lecz tego, którego nigdy nie miała. Leżący w trumnie mężczyzna był jej właściwie obcy - równie dobrze mógłby być dalekim krewnym lub dawnym nauczycielem, bo nigdy nie dopuścił jej bliżej do siebie. Spojrzała na młodszą siostrę, patrzącą z obojętnym wyrazem twarzy, jak grabarze opuszczają trumnę do równo wykopanej dziury w ziemi, i pomyślała, że nie rozumie, dlaczego Grace, jedyna z nich trzech, która miała powód do prawdziwego smutku, nie okazuje żadnych uczuć.

Grace była o ponad dziesięć lat młodsza od swoich siostr. W przeciwieństwie do Alicii i Leonory, które w wieku dziesięciu lat zostały wysłane do szkoły w Anglii, dorastała w pełnej zieleni podmiejskiej dzielnicy Buenos Aires, Hurlingham, zamieszkaną głównie przez angielskie rodziny. Jednak nie różnica wieku czy wieloletnie rozstanie wzniosły wysoki mur między siostrami, ale fakt, że była inna. Tajemnicza, oderwana od rzeczywistości, wiotka i ulotna niczym wróżki z bajek dzieciństwa, Grace nie należała do tego świata. Alicia upierała się, że eteryczna natura Grace ma swoje źródło w fakcie, iż ich matka rozpaczliwie trzymała ją przy sobie i rozpieszczała, zrozpaczona i osamotniona po rozstaniu ze starszymi córkami, lecz Leonora była innego zdania - uważała, że Grace po prostu urodziła się inna i że matka dobrze zrobiła, nie rozstając się z nią. W zimnych salach angielskiej szkoły Grace zwiędłaby jak polny kwiat. Leonora nie miała co do tego żadnych wątpliwości, ponieważ sama długo wylewała łzy tęsknoty za domem w twarde poduszki.

Grace obserwowała opuszczaną do grobu trumnę prawie obojętnie, usiłując nie słuchać teatralnych szlochów siostry, która teraz zaczęła płakać głośniej i bardziej rozpaczliwie. Alicia uległa pokusie odegrania wzruszającej roli na tle cudownie pięknego wieczoru, pod olśniewającym niebem, lecz Grace nie osądzała jej za to. Patrzyła na trumnę z całkowitym spokojem, zrodzonym z pewnością, że wbrew przekonaniu innych jej ojca wcale nie ma w środku. Wiedziała o tym, ponieważ widziała, jak w chwili śmierci jego dusza opuściła schorowane ciało. Ojciec uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć: „Więc jednak od początku miałaś rację, kochanie”, potem zaś prowadzony przez swoją zmarłą matkę i ukochanego wuja Errola, odpląnął w inny wymiar, zostawiając na ziemi jedynie zwiędłe ciało. Grace nie miała już siły ani ochoty, aby powtarzać swoim bliskim tę oczywistą prawdę - w końcu wszyscy i tak się dowiedzą, jak to jest, kiedy nadejdzie ich czas. Przeniosła wzrok na stojącą

obok matkę, na której delikatnej twarzy malował się żal i ulga, i wzięła ją za rękę. Audrey z wdzięcznością lekko ścisnęła dłoń córki. Grace była już wprawdzie młodą kobietą, lecz nie straciła czystości i nie winności, dzięki którym wciąż wydawała się dzieckiem. Audrey wiedziała zresztą, że w jej oczach Grace nigdy nie przestanie być dzieckiem.

Dla Audrey Grace była istotą wyjątkową. Już w chwili; gdy przyszła na świat w szpitalu Małych Towarzyszy Maryi w Buenos Aires, Audrey zorientowała się, że jej córeczka bardzo różni się od innych dzieci. Alicia urodziła się, wrzeszcząc z charakterystycznym dla niej zniecierpliwieniem, Leonora cicho pojawiła się zaraz za siostrą, jak zwykle ustępując jej miejsca i drżąc w obliczu wielkiej niewiadomej, jaką był świat. Z Grace było zupełnie inaczej. Wyśliznęła się z drobnego ciała matki, nie stwarzając żadnych problemów, niczym szczęśliwy aniołek, i obdarzyła Audrey mądrym, spokojnym i pełnym tajemnic uśmiechem, który tak zaskoczył przyjmującego poród lekarza, że zbladł jak ściana. Audrey wcale nie była zdziwiona. Grace przyszła prosto z nieba i Audrey pokochała ją miłością tak intensywną, że aż bolesną. Przytuliła noworodka do piersi i z zachwytem wpatrzyła się w anielsko promienną twarzyczkę.

Dla Audrey Grace była błogosławieństwem wybaczonego i rozumiejącego wszystko Boga. Gęste jasne loczki córeczki tworzyły splątana, szaloną aureolę wokół główki, a oczy były jak ciemnozielona rzeka, która w swoich głębinach skrywa wszystkie tajemnice tego świata. Dziewczynka budziła jednocześnie zachwyt i przerażenie, ponieważ ludziom wydawało się, że widzi ich na wskroś, jakby znała ich lepiej niż oni sami. Najbardziej jednak przerażała własnego ojca, który wszelkimi sposobami starał się unikać kontaktu ze stworzeniem, które było mu tak obce, jak istota z innej planety. Grace nie była do niego podobna ani z charakteru, ani fizycznie, i nigdy nie poddawała się sile jego woli oraz gwałtownemu usposobieniu. Uśmiechała się tylko wyrozumiale, jakby doskonale znała jego naturę i przyczyny, dla których bezustannie z nią walczył. Ojciec nie rozumiał Grace prawie do samego końca. Tuż przed śmiercią nagle uśmiechnął się zupełnie jak ona kiedyś, pogodnie i z miłością, jakby wiedział o czymś, co dla innych pozostaje tajemnicą, i objął ją czule. Potem odszedł, a wyraz zadowolenia i szczęścia, który za życia był mu zupełnie obcy, pozostał na jego twarzy

Audrey puściła rękę córki, postąpiła krok do przodu, unosząc siwą głowę z godnością, która podtrzymywała ją w ciągu wielu burzliwych lat, i rzuciła do grobu białą lilię. Szeptem odmówiła krótką modlitwę i podniosła oczy na zachodzące słońce, które zniknęło za drzewami, rzucającymi długie czarne cienie na cmentarz. W tej samej chwili jej myśli rozproszyły się i na fali nostalgii wróciły do czasów, kiedy miłość rozkwitała wraz z drzewami jacaranda. Teraz, gdy była już stara, nie chciała kochać, a w każdym razie nie tak jak w latach młodości. Wiek pozbawił ją tamtych niewinnych nadziei i oczekiwań. Stojąc nad ciemnym grobem męża, w końcu poddała się wspomnieniom, patrząc, jak powstają w jej umyśle niczym armia duchów, powoli otrząsając się z więzów. Nagle znowu była młodą dziewczyną, a jej marzenia zachwycały świeżością, pełne radości i jeszcze niespełnionych obietnic.

Rozdział pierwszy

Angielska kolonia Hurlingham Buenos Aires, 1946 rok

- Audrey, pośpiesz się! - syknęła Isla, chwytając szesnastoletnią siostrę za ramię i wyciągając ją z leżaka. - Ciotka Hilda i ciotka Edna piją z mamą herbatę. Podobno Emmę Townsend przyłapano w ramionach jakiegoś Argentyńczyka. Koniecznie musisz posłuchać, to najprawdziwszy skandal!

Audrey zamknęła powieść i poszła za siostrą przez trawnik do głównego budynku klubu. Grudniowe słońce ostrymi promieniami prażyło ten malutki angielski zakątek, ze wszystkich sił opierający się integracji z przedstawicielami narodowości, które zjawily się tu wcześniej i stopily w naród. Anglicy z dumą po wiewali swoją flagą, zatkniętą na kruchej tratwie, unoszącej się na hiszpańskim morzu.

Uderzające do głowy zapachy eukaliptusa i gardenii tańczyły tango z aromatami herbaty i ciasteczek, a chłodna angielska intonacja i odgłosy eleganckiej gry w tenisa rozbrzmiewały na tle mocnych uderzeń kopyt galopujących argentyńskich kuców oraz rozmów zajmujących się nimi gauchos. Dwie kultury pędziły obok siebie jak dwa konie, nieświadome, że w gruncie rzeczy ciągną ten sam powóz.

Audrey i Isla dorastały w tej bardzo brytyjskiej części zamożnej podmiejskiej dzielnicy Buenos Aires, stolicy Argentyny. Wokół klubu Hurlingham, gdzie w wykładanej boazerii jadalni pod portretami króla i królowej podawano pieczeń wołową i zapiekankę z nerek, kwitła duża, wpływowa kolonia, w której życie było równie przyjemne jak gra w krykieta. Duże, podobne do pałaców domy stały za wysokimi cisowymi żywopłotami, w otoczeniu angielskich ogrodów, a posesje łączyły niebrukowane ani nie pokryte asfaltem drogi, prowadzące wprost na płaską pampę. Siostry współzawodniczyły ze sobą w biegach i skokach wzwyż i w dal, grywały w tenisa, pływały i drażniły strusia z sąsiedniej posesji, wrzucając golfowe piłki do jego zagrody i z rozbawieniem przyglądając się, jak je połyka. a Często jeździły konno po rozległej pampie, goniąc zmykające wśród wysokich traw preriowe zające, a kiedy słońce zachodziło i granie świerszczy zaczynało zagłuszać parskanie kuców, co nieodmiennie zapowiadało koniec dnia, siadały wraz z matką i kuzynami w cieniu eukaliptusowych drzew, urządzając pikniki. Były to beztroskie, niewinne lata, nieskalane zmartwieniami świata dorosłych. Te zmartwienia czekały tuż za progiem, lecz na razie intrygi i skandale, o których dorośli opowiadali sobie przyciszonymi głosami nad ciasteczkami i kanapkami z ogórkiem, były jeszcze tylko źródłem rozbawienia, szczególnie dla Isl, pragnącej jak najszybciej osiągnąć wiek, kiedy sama będzie mogła stać się przyczyną wielkiego poruszenia i pełnych oburzenia spojrzeń.

Kiedy Audrey i Isla weszły do klubu, natychmiast zauważyły, że goście podnoszą głowy znad filiżanek z chińskiej porcelany, aby popatrzeć na siostry wdzięcznie kroczące między stolikami. Dziewczęta już dawno przywykły do tego, że zwykle znajdują się w centrum uwagi, lecz podczas gdy Audrey nieśmiało spuszczała oczy, Isla dumnie zadzierała kształtny nosek i władcym wzrokiem rozglądała się po sali. Matka mówiła im, że ludzie zwracają na nie uwagę, ponieważ ich ojciec jest prezesem Związku Przemysłowców i bardzo ważnym człowiekiem, ale Isla wiedziała, że te hołdy mają o wiele więcej wspólnego z ich gęstymi, po skręcanych w sprężynki włosami, sięgającymi aż do pasa i lśniącymi jak wysuszone na słońcu siano, oraz z przejrzystymi zielonymi oczami.

Isla urodziła się piętnaście miesięcy po Audrey i była wyraźnie piękniejsza. Uparta i psotna, miała skórę koloru jasnego miodu i uśmiechnięte usta, które budziły zachwyt ludzi, nawet gdy Isla nie starała się zasłużyć na ich sympatię. Była niższa od siostry, lecz wydawała się wyższa, ponieważ chodziła lekkim krokiem, z dużą pewnością siebie i uniesioną głową, z plecami prostymi jak struna. Uwielbiała zwracać na siebie uwagę i nauczyła się gestykulować płynnymi ruchami dłoni, jak Latynosi,

co nie odmiennie przyciągało ludzkie oczy. Uroda Audrey była bardziej klasyczna. Starsza siostra miała pociągłą, wrażliwą twarz, skórę jak alabaster, na której natychmiast znać było każdy, choćby najślabszy rumieniec; i oczy pełne rozmarzenia, wywołanego romantycznymi powieściami i muzyką. Audrey potrafiła spędzać długie godziny na leżaku w ogrodzie klubu, wyobrażając sobie jak wygląda świat odmienny od tego, do którego należała, świat, gdzie namiętni, porywczy mężczyźni tańczą ze swoimi ukochanymi pod gwiazdami, wdychając gęsty zapach jaśminu kwitnącego wśród wybrukowanych uliczek Palermo. Pragnęła się zakochać, lecz matka powtarzała jej, że jest jeszcze za młoda, aby marnować czas na rozmyślania o romansach.

- Będziesz miała mnóstwo czasu na miłość, kiedy dorośniesz, kochanie - mawiała, śmiejąc się z marzeń córki. - Czytasz za dużo powieści. Życie jest zupełnie inne...

Jednak instynkt podpowiadał Audrey, że matka nie ma racji. Dziewczyna czuła, że zna miłość, zupełnie jakby już doświadczyła jej w innym życiu, i teraz ogarnięta nostalgią dusza nie mogła doczekać się tego uczucia.

- Ach, moje śliczne siostrzeniczki! - wykrzyknęła ciotka Edna na widok obu dziewcząt. - Rose, dziewczynki pięknieją z dnia na dzień... - Nachyliła się do ucha siostry. - Jeszcze trochę i młodzi mężczyźni zaczną się do nich zalecać. Będziesz musiała uważać na Islę, pannica ma psotny błysk w oczach, bez dwóch zdań.

Ciotka Edna była wdową i nie miała dzieci, ale z typowo angielskim stoicyzmem starała się traktować tragiczne wydarzenia swojego życia ze zdrowym poczuciem humoru i zaspokajać macierzyńskie instynkty serdecznymi związkami z siostrzenicami i siostrzeńcami. Ciotka Hilda zeszywniała, przyglądając się Audrey i Islie ze starannie skrywaną niechęcią, spowodowaną faktem, że jej własne cztery córki były chude, płaskie jak deski, nie atrakcyjne i bezbarwne. Żałowała, że zamiast nich nie urodziła czterech synów, którzy zapewne mieliby większe szansę na zawarcie korzystnych małżeństw.

- Siadajcie, dziewczęta. - Ciotka Edna poklepała sąsiednie krzesło pulchną dłonią, ciężką od biżuterii. - Właśnie rozmawialiśmy o...

- Pas devant les enfants, nie przy dzieciach - wtrąciła szybko Rose, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Och, powiedz, o co chodzi, mamusiu! - poprosiła Isła, robiąc zabawną minę do ciotki Edny, która odpowiedziała porozumiewawczym mrugnięciem.

Zamierzała opowiedzieć siostrzenicom o wszystkim trochę później, kiedy zostaną same.

- Nie stałoby się nic złego, gdyby się o tym dowiedziały - zwróciła się do sióstr. - Właściwie takie sprawy w pewnym sensie stanowią część edukacji dorastającej dziewczyny, nie sądzisz, Hildo?

Hilda wyduła spierzchnięte wargi i poruszyła sznurem pereł, zdobiącym jej chudą szyję.

- Zapobieganie zawsze jest lepsze niż leczenie - odparła sucho, ledwo rozchylając usta. - Ja też nie widzę w tym nic szkodliwego, Rose.

- Dobrze... - przystała Rose, z rezygnacją odchylając się w fotelu. - Ale ty im to opowiedz, Edno, bo ja jestem zbyt poruszona...

W błękitnych oczach ciotki Edny zabłysło złośliwe rozbawienie. Bez pośpiechu zapaliła papierosa. Obie jej siostrzenice nie cierpliwie obserwowały, jak głęboko zaciąga się dymem, pragnąc nasilić dramatyczny efekt.

- Jest to tragiczna, lecz także wyjątkowo romantyczna historia, moje drogie - zaczęła, wydmuchując chmurkę dymu niczym nieszkodliwy, przyjaźnie nastawiony smok. - Jak wiecie, Emma Townsend już jakiś czas temu zaręczyła się z Thomasem Lettonem, lecz teraz okazało się, że biedaczka jest do szaleństwa zakochana w jakimś Argentyńczyku...

- Co najgorsze, ten chłopak nie pochodzi nawet z dobrej argentyńskiej rodziny - wtrąciła ciotka Hilda, unosząc brwi, aby podkreślić dezaprobatę. - To syn piekarza czy kogoś takiego...

Zagłębiła szponiaste palce w należącej do siostry paczce papierosów, wyjęła jednego i z oburzoną miną zapaliła.

- Ci biedni rodzice! - Rose ze współczuciem pokręciła głową. - Wyobrażam sobie, jaki to dla nich wstyd...

- Gdzie Emma go poznała? - zapytała Audrey. Była wstrząśnięta dramatyzmem historii i bardzo chciała do wiedzieć się czegoś więcej.

- Nie wiadomo - odparła ciotka Edna, rozkoszując się wrażeniem, jakie jej słowa zrobiły na dziewczętach. - Moim zdaniem chłopak musi mieszkać gdzieś w sąsiedztwie, bo jak inaczej mogliby na siebie wpaść? Nie wątpię, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Podobno Emma wykradała się ze swojego pokoju przez okno i spotykała się z nim o północy, dowiedziałam się tego od bardzo odpowiedzialnej i dobrze - zorientowanej osoby... Wyobraźcie sobie tylko - taki skandal!

Isla zagryzła wargi z podniecenia. Oczy ciotki Edny rozszerzyły się jak źrenice żaby, która właśnie zauważyła tłustą, dorodną muchę.

- Randki o północy! - powtórzyła z przejęciem, przypominając sobie własne tajemne spotkania w pawilonie, na które umawiała się w młodości. - Zupełnie jak w powieści!

- W jaki sposób wszystko się wydało? - zapytała Isla z zapartym tchem, ignorując łagodnie karcące spojrzenie matki.

- Zauważyła ich babka Emmy, stara pani Featherfield, która najczęściej nie może spać i do późnej nocy spaceruje po ogrodzie. Zobaczyła młodą parę, całującą się pod figowcem, i była pewna, że to wnuczka oraz jej narzeczony, Thomas Letton. Wyobraźcie sobie jej przerażenie, kiedy się zorientowała, że Emmę trzyma w ramionach obcy, ciemnowłosy chłopak, który...

- Wystarczy, Edno - odezwała się nagle Rose, z głośnym stuknięciem odstawiając filiżankę na spodeczek.

- Biedny Thomas Letton musi być na dzień rozpaczy - podjęła Edna, taktownie poruszając inny wątek historii, aby uczynić zadość prośbie siostry. - Teraz na pewno nie ożeni się z Emmą...

- Mówiono mi, że głupia dziewczyna upiera się, iż jest zakochana w tym Argentyńczyku - oznajmiła ciotka Hilda, z irytacją zgniatając niedopałek w popielnicze. - Podobno błaga swoich nieszczęsnych rodziców, żeby pozwolili jej wyjść za syna piekarza...

- Coś takiego! - zawołała ciotka Edna. Zaczęła z podnieceniem wachlować okrągłą twarz kartą dań, delektując się szczegółami skandalu.

- O mój Boże... - westchnęła żałośnie Rose.

- Cudownie! - ucieszyła się Isla. - Co za wspaniała afera! Myślicie, że Emma ucieknie z tym chłopakiem?

- Skądże znowu, kochanie - odparła Rose, uspokajająco poklepując córkę po dłoni. Isla zawsze ekscytowała się najdrobniejszymi rzeczami ponad wszelką miarę. - To po prostu niemożliwe. Na pewno nie chciałaby przynieść takiego wstydu rodzinie...

- Jakie to smutne... - przemówiła Audrey, która czuła rozpacz kochanków tak intensywnie, jakby sama jej doświadczała. - Jakie to strasznie smutne, że nie mogą być razem... Co z nimi będzie? - Spojrzała na matkę dużymi, rozmarzonymi oczami.

- Sądzę, że Emma wcześniej czy później odzyska rozsądek. Będzie mogła uważać się za szczęściarę, jeżeli biedny Thomas Letton zgodzi się mimo wszystko pojąć ją za żonę. Nie jest to całkowicie wykluczone, bo wiem, że darzy ją głębokim uczuciem...

- Gdyby to zrobił, należałoby uznać go za świętego - skomentowała ciotka Hilda, wzruszając ramionami i szybkimi, nerwowymi ruchami rozsmarowując dżem na rogaliku.

- To prawda - przyznała ciotka Edna. Wyciągnęła rękę i poczęstowała się kawałkiem pysznego piernika. - Powinna dziękować Bogu na kolanach, jeżeli Thomas nie zerwie zaręczyn. Wielu mężczyzn nie wróciło z wojny, więc mnóstwo młodych kobiet pozostanie bez mężów... Trochę dziwię się Emmie, że nie miała dość zdrowego rozsądku, aby docenić to, co dostała od losu...

- Czy ten biedny chłopiec jest w niej zakochany? - zagadnęła cicho Audrey.

- Nie powinien być pozwalać sobie na taką bezczelność - odpowiedziała krótko ciotka Hilda. - Słyszałyście, że Moira Philips w końcu zwolniła szofera? Bardzo dobra decyzja, biorąc pod uwagę, że najprawdopodobniej podsłuchiwał ich rozmowy i przekazywał wszystko rządowi... - Co za koszmar, trudno to sobie wyobrazić...

Audrey siedziała w milczeniu, gdy tymczasem jej matka i ciotki rozmawiały o szoferze pani Philips. Nie znała zbyt dobrze Emmy Townsend, ponieważ dziewczyna była od niej o jakieś sześć lat starsza, ale często widywała ją w klubie. Emma miała miłą, ładną twarz i włosy mysiego koloru. Audrey zastanawiała się, co teraz robi i co czuje nieszczęśliwie zakochana dziewczyna. Wyobrażała sobie, że Emma potwornie cierpi, że przyszłość jawi się jej jako czarna, pozbawiona miłości otchłań. Zerknęła na siostrę, która ze znużeniem skubała kanapkę. Sprawa szofera Moiry Philips była nudna jak flaki z olejem w porównaniu z zakazanym romansiem Emmy Townsend... Audrey wiedziała, że Islę interesuje głównie zamieszanie, wywołane zachowaniem nieszczęsnej dziewczyny, natomiast romantyczny, tragiczny wymiar historii nie ma dla niej najmniejszego znaczenia. Isla cieszyła się, że przez pewien czas wszyscy będą rozmawiać tylko o Emmie, w dodatku takim samym, przyciszonym

głosem, jakim mówi się o śmierci i pogrzebie, choć w istocie będą czuli przyjemne podniecenie, powtarzając sobie nieprzyzwoite szczegóły. Isla była zachwycona, że tak łatwo można zachwiać uporządkowanym życiem angielskiej wspólnoty i w głębi serca żałowała, że w centrum uwagi znalazła się Emma Townsend, a nie ona. Cóż, na razie będzie musiała zadowolić się ekscytacją płynącą z powtarzanych przez rodzinę i sąsiadów plotek...

Minęły co najmniej dwa tygodnie, zanim Emma Townsend pojawiła się w klubie. Plotki i atmosfera skandalu szerzyły się jak pożar w lesie i narastały, aż w końcu panie ze znamienitego stowarzyszenia Hurlingham Ladies zaczęły szeptać, iż Emma jest w ciąży, co na szczęście okazało się całkowitą nieprawdą. Stowarzyszenie Hurlingham Ladies składało się z czterech starszych, szacownych dam lub Krokodylic, jak zjadliwie nazywała je ciotka Edna, które sprawnie i kompetentnie organizowały wszystkie klubowe imprezy, to znaczy mecze polo, zawody lekkoatletyczne, wystawy kwiatów, przyjęcia i koktajle na świeżym powietrzu oraz tańce. We wtorkowe wieczory grywały w brydża, w środy rano w golfa, a w czwartkowe popołudnia malowały i z nużącą regularnością rozsyłały zaproszenia na herbatki i nocne czuwania modlitewne. Jak mówiła Edna, Krokodylice stanowiły swoistą „policję protokołu dobrego zachowania” - każdy wiedział, że popełnił jakieś wykroczenie przeciwko dobrym manierom, jeśli zaproszenie na małym liliowym kartoniku nie trafiło do jego skrzynki, chociaż niektórzy z prawdziwą ulgą przyjmowali fakt, że wreszcie nie muszą wymyślać odpowiedniej wymówki.

Audrey i Isla przez całe te dwa tygodnie cierpliwie wypatrywały biednej Emmy Townsend. W niedzielę dziewczyna nie pojawiła się w kościele, co rozwścieczyło cztery damy. Po nabożeństwie długo siedziały przed budynkiem, raz po raz zbliżając ku sobie ozdobione piórami kapelusze, gęgając jak gęsi i surowo krytykując Emmę, która nie uznała za stosowne błagać Boga o wybaczenie. Kiedy w drzwiach kościoła stanął Thomas Letton z całą rodziną, zgromadzeni zamilkli, podążając wzrokiem za jego przystojną sylwetką. Thomas z godnością przeszedł główną nawę, a jego obojętna, spokojna twarz nie zdradzała upokorzenia, jakim z pewnością było dla niego zachowanie Emmy. Krokodylice ze współczuciem skinęły głowami, lecz Thomas udał, że ich nie widzi i ze wzrokiem utkwionym w ołtarzu zajął miejsce obok matki i siostry. Emmy nie widziano także na meczu polo ani na pikniku po zakończeniu gry, zorganizowanym przez dwie Krokodylice, Charlo Osborne i Dianę Lewis. Obie panie przez całe popołudnie mamrotały pod nosem, że jeżeli Emma zjawi się na pikniku, publicznie dadzą do zrozumienia, co o niej myślą i odeślą ją do domu, chociaż w głębi duszy marzyły, aby mimo wszystko przyszła i dostarczyła zebranyemu nowemu tematowi do plotek. Wreszcie, po ponad dwóch tygodniach, Emma wraz z rodziną przyszła do klubu na sobotni lunch.

Audrey i Isla siedziały w wydzielonej wnęce z braćmi, rodzicami i naturalnie ciotką Edną, kiedy Emma Townsend z pochyloną głową przekroczyła próg sali jadalnej, z wielką determinacją wpatrując się w podłogę i unikając wzroku innych gości.

Audrey podniosła głowę, zaskoczona nagłą ciszą, i ujrzała, jak mała grupa przemierza jadalnię powolnym krokiem, kierując się ku stolikowi w rogu. Wszyscy, to jest wszyscy poza pułkownikiem Blythe, który ukrył bujne szpakowate wąsy za egzemplarzem „London Illustrated News”, paląc tureckie cygaro, obserwowali przemarsz rodziny Townsendów. Nawet pan Townsend, postawny mężczyzna o srebrzystych włosach i kręconych boko brodach, przełknął oburzenie, decydując się raczej na milczenie niż na konfrontację, którą w innych okolicznościach z pewnością by wybrał.

Spokojnie zamówił drinki, potem zaś odwrócił się plecami do reszty małej społeczności, która z gorliwością wygłodniałych szakali czekała na jego następny gest.

- Coś takiego, Arthur w ogóle na nas nie warczy! - głośno syknęła ciotka Edna. - To zupełnie do niego niepodobne!

- Wystarczy, moja droga - odezwał się Henry, biorąc garść orzeszków z misy. - Nie do nas należy komentowanie zachowania innych...

- Też tak uważam - przyznała z uśmiechem. - Krokodylice robią to za nas wszystkich...

- Będą wściekłe, że przegapiły taki spektakl! - Isla zachichotała, trącając siostrę łokciem.

Jednak Audrey nie dała się wciągnąć do wesołej rozmowy. Z całego serca współczuła rodzinie, która cierpiała publicznie razem z Emmą.

Kiedy już wydawało się, że Townsendarz ugną się pod ciężarem upokorzenia, przez salę przebiegło pełne zaskoczenia westchnienie. Audrey odwróciła się i zobaczyła Thomasa Lettona, który wyprostowany, z mocno wysuniętym podbródkiem, zbliżał się z drugiego końca jadalni. Isla siedziała z szeroko otwartymi ustami, jakby zamierzała wydać głośny okrzyk zdumienia, lecz nagle zabrakło jej siły głosu. Albert, młodszy brat obu dziewcząt, który nigdy nie marnował okazji, aby odplącić Islę za lata dokuczania i karcenia, szybko chwycił orzeszka i wrzucił jej prosto do gardła. Isla rzuciła mu zdziwione spojrzenie, poczerwieniała jak burak i zaniósła się chrypliwym kaszlem. Zaczęła się dusić, ponieważ orzech utkwiał w tchawicy. Ze zdławionym krzykiem zerwała się na równe nogi, odepchnęła krzesło i niekontrolowanym ruchem zmiotła ze stołu szklanki i kieliszki, które z trzaskiem runęły na podłogę, co niezwykle skutecznie odwróciło uwagę jedzących od Thomasa Lettona i rodziny Townsendarz. Isla przewróciła nałanymi krwią oczami, krztusząc się i gorączkowo machając rękami. Zanim Audrey zdążyła się zorientować, co się dzieje, ojciec chwycił Islę od tyłu, łącząc dłonie na jej brzuchu i unosząc ją do góry. Dziewczyna bezskutecznie usiłowała chwycić powietrze, z każdą chwilą coraz bardziej czerwona, podczas gdy wszyscy goście klubu zgromadzili się dookoła stolika, z niepokojem kibicując Henry'emu Garnetowi, który walczył o uratowanie córki od bolesnej śmierci. Rose stała nieruchomo, sparaliżowana strachem, i bezradnie patrzyła, jak życie ucieka z ciała jej dziecka w straszliwych spazmach. Zmartwiały z przerażenia ustami powtarzała modlitwę. Zaraz potem zaczęła dziękować mu za ratunek, ponieważ przy kolejnym energicznym szarpnięciu Henry'ego orzech przesunął się i Isla wreszcie chwyciła haust powietrza. Albert zalał się łzami, obejmując matkę w pasie ramionami i przeprasząc za bezmyślny żart, ciotka Edna zaś podtrzymała powracającą znowu krawędź śmierci Islę, która ciężko dyszała i trzęsła się jak osika. Zebrany tłum zaczął klaskać radośnie i tylko Audrey zauważyła, jak Emma Townsend opuszcza jadalnię razem z Thomasem Lettonem. Nie umknęło jej uwagi, że młodzi ludzie trzymali się za ręce.

- Nasz cioteczny dziadek Chanie zakrztusił się na śmierć - zauważyła z powagą ciotka Edna, kiedy oklaski umilkły. - Ale nie orzeszkiem, tylko kawałkiem sera, zwykłego wiejskiego cheddara, swojego ulubionego gatunku. Potem zawsze nazywałyśmy go Charliem Cheddarem, pamiętasz, Rose? Biedny, kochany Charlie Cheddar...

Rozdział drugi

Ku oburzeniu członkiń stowarzyszenia Hurlingham Ladies Thomas Letton i Emma Townsend pobrali się jesienią tego samego roku. Rose była zachwycona, że rodzina Emmy znowu będzie mogła chodzić z podniesioną głową, natomiast ciotka Hilda była zdania, że dziewczyna nie zasługuje na tak porządnego młodego człowieka. Ciotka Edna nazwała siostrę honorową Krokodylicą i za jej plecami demonstracyjnie kłapała zębami, doprowadzając Islę do wybuchów niepoohamowanej wesołości. Mniej taktowna od Edny Isla przez kilka dni krążyła wokół mniej lubianej ciotki niczym ważka, na zmianę kłapiąc i chichocząc.

- Co wstąpiło w tę dziewczynę. Rose? - skarżyła się ciotka Hilda. - Co ma znaczyć to kłapanie, na miłość boską?

Rose z trudem panowała nad rozbawieniem, zapewniając siostrę, że jest to tylko niemądra zabawa, którą Isla przyniosła ze szkoły.

- No, dobrze... - odetchnęła ciotka Hilda. - Bo już myślałam, że ma to coś wspólnego ze mną...

- Skądże znowu, kochanie! Nie zwracaj uwagi na Islę, to wkrótce zajmie się czymś innym - poradziła Rose.

Okazało się, że miała rację - Isla szybko traciła zainteresowanie wszystkim, co robiła i po paru dniach drażnienie honorowej Krokodylicy zdążyło ją znudzić.

Romans Emmy Townsend wywarł ogromne wrażenie na Audrey. Nie potrafiła o nim zapomnieć. Poszła na ślub Emmy i z daleka obserwowała ceremonię, wyobrażając sobie pannę młodą jako zrezygnowaną cierpienicę, ze złamanym sercem przekraczającą próg życia, w którym nie było miejsca na miłość. W oczach Audrey tak czarna przyszłość była gorsza niż śmierć, lecz kiedy dwa tygodnie później młoda para wróciła z podróży poślubnej, Emma wydawała się zupełnie szczęśliwa w roli żony. Czas zatarał ślady skandalu, a brytyjska społeczność gotowa była zapomnieć błąd młodej kobiety. Wkrótce nawet Hurlingham Ladies odłożyły dezaprobatę na półkę, wdzięcznie uśmiechnięte przyjęły młodą panią Letton i zaczęły wysyłać jej koperty z małymi liliowymi zaproszeniami z równie nużącą regularnością jak poprzednio. Tylko Audrey wciąż wyobrażała sobie, że w pogodnym śmiechu Emmy słyszy nutę bólu. Miała wrażenie, że w oczach Emmy dostrzega wyraz gorzkiego cierpienia, widocznego zwłaszcza w chwilach, gdy świeżo upieczona małżonka Thomasa Lettona popadała w zamyślenie i wpatrywała się w przestrzeń z takim natężeniem, jakby wspominała tamte czułe pocałunki pod figowcem. Audrey uważała Emmę za postać tragiczną i była zdania, że ciężkie przeżycia dodały jej twarzy zupełnie nowej, poważnej i subtelnej urody.

Kiedy w styczniu 1948 roku Audrey skończyła osiemnaście lat, matka zabrała ją na zakupy do wielkiego, imponującego sklepu Harrodsa przy Avenida Florida. Pojechały tam w towarzystwie ciotki Edny oraz Islę; a po zakupach wybrały się na herbatkę do kawiarni w hotelu Alvear Palace. Ciotka Edna, która podobnie jak jej siostra Rose nigdy nie była w Londynie, chodziła po sklepie, narzekając, że w niczym nie przypomina wspaniałego pierwowzoru, lecz Audrey i Isla potraktowały tę wycieczkę jak cudowną, od dawna oczekiwaną przygodę. Cieszyły się nie tylko ubraniami, które kupiła im matka, ale także możliwością obserwowania eleganckich pań w modnych kapeluszach, rękawiczkach i w pantoflach na niebezpiecznie wysokich obcasach, oglądających kosmetyki i sprowadzane z Europy stroje. Isla z zazdrością przyglądała się, jak jej starsza siostra przymierza suknie dla dorosłych i

jedwabne bluzki, i dąsała się, że matka nie chce kupić jej kolczyków, dopóki nie skończy osiemnastu lat, Aby ją ułagodzić, ciotka Edna kupiła jej dżersejowy bliźniak, co natychmiast przywołało uśmiech na twarz dziewczyny, która doskonale wiedziała, że matka nie znosi, gdy ktoś niweczy jej nie zbyt często podejmowane próby dyscyplinowania córek.

Upał wydawał się zupełnie nieznośny, kiedy szły zakurzonymi ulicami, nie zwracając uwagi na małych żebraków, którzy wyskakiwali z cienistych bram jak małpki, prosząc o pieniądze lub słodycze. Minęły uliczne stoisko z prasą, gdzie promienna twarz Evy Peron uśmiechała się do nich z pierwszych stron wszystkich ogólnokrajowych gazet. Ufarbowane na jasny blond włosy, ściągnięte w surowy kok, zimne brązowe oczy i triumfalny wyraz twarzy kobiety, której bezwzględna ambicja nigdy nie miała być nasycona... Ciotka Edna i Rose pośpiesznie minęły kiosk, zachowując swoje opinie dla siebie. Po mieście krążyło wiele historii o Ludziach zlinczowanych przez tłumy rozwścieczonych peronistów wyłącznie za nierozważnie wypowiedzianą uwagę. Ulice Buenos Aires nie należały do miejsc, gdzie można było krytykować Pierwszą Damę. Większość Argentyńczyków nie czuło się już bezpiecznych nawet we własnych czterech ścianach.

Audrey uwielbiała Buenos Aires. Każda taka wyprawa dawała jej posmak wolności i pozwalała spędzić popołudnie w cudownej anonimowości miejskiego labiryntu. Dziewczyna lubiła przebywać w tłumie ludzi, śpieszących do pracy lub na rozmaite spotkania, albo przechadzających się leniwie rozświetlonymi alejami, w tłumie oglądającym wystawy i mknącym w nieodgadnionym kierunku w świat. Samochody, gwar i hałas podniecały ją, zielone skwery i bogato zdobione budynki urzekały. Pragnęła wejść w miejskie życie, stać się jego częścią, niczym jedwabna nić, która tworzy ogromną tkaninę. Kochała romantyczne małe kafejki i restauracje, które wylewały się na chodniki i służyły jako miejsca krótkiego odpoczynku przed startem do kolejnego gorączkowego wyścigu. Pucybuci i sprzedawcy kwiatów siadali razem w cieniu, dyskutując o polityce i interesach, popijając herbatę matę przez pięknie rzeźbione srebrne słomki. Powietrze było gęste od oparów spalin z rur wydechowych autobusów oraz karmelu ze stoisk z ciastkami, a ożywione głosy bawiących się dzieci chwilami całkowicie zagłuszały uliczny gwar. Audrey szła za matką i z zainteresowaniem rozglądała się dookoła. Widok młodych par, spacerujących za rękę pod palmami na placu San Martin, pobudził ją do rozmyślań o miłości, a głęboki zapach gardenii i świeżo skoszonej trawy przeniósł w świat powieści, które tak lubiła czytać. Wyobraziła sobie, jak pewnego dnia ona także będzie spacerować z ukochanym i wymieniać z nim ukradkowe pocałunki pod fontanną. Niedługo potem weszły do kawiarni w hotelu Alvear Pałace i Rose zaczęła opowiadać o dwóch młodych ludziach, którzy w ostatnich dniach przyjechali z Anglii, aby podjąć pracę w firmie ojca Audrey i Isli.

- Cecil i Louis Forresterowie - powiedziała. Nie ulegało wątpliwości, że przybysze zrobili na niej dobre wrażenie, ponieważ kącki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Bracia? - zapytała ciotka Edna, odpinając jeden guzik bluzki i wachlując spoconą skórę.

- Tak, bracia. Cecil, starszy, ma trzydzieści lat, a Louis dwadzieścia dwa. Louis jest odrobinę... - Przerwała, szukając odpowiedniego określenia, aby nie wykazać się złośliwością. - Odrobinę ekscentryczny - dokończyła z naciskiem. - Natomiast Cecil to przystojny, elegancki i wyjątkowo czarujący młody człowiek...

- Mogę zamówić sobie naleśniki z dulce de leche? - wtrąciła Isla, nie spuszczać łakomego spojrzenia z barowego wózcika z ciastkami, popychanego przez kelnera w białych rękawiczkach, który z zachwytem zerkał na dwie ładne dziewczyny.

- Oczywiście, kochanie - odparła Rose. - Ty także masz ochotę na dulce de leche? - zwróciła się do Audrey, która skinęła głową.

- Czy ci Forresterowie przyjechali sami? - zapytała matkę.

- Tak. Biedny Cecil był na wojnie, wydaje mi się, że robił coś naprawdę ważnego. - Rose westchnęła ciężko.

Chciała dodać, że Louis odmówił wstąpienia do wojska i pozostał w Londynie, gdzie z uporem godnym lepszej sprawy grał melancholijne melodie na wielkim fortepianie, nawet w czasie nalotów, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Uznała, że za chowałaby się niesprawiedliwie, nastawiając dziewczęta negatywnie do Louisa jeszcze zanim zdążyły go poznać.

- Przyjechali tutaj, aby wyrwać się z Europy pogrążonej w powojennej depresji. Ich ojciec, który w przeszłości prowadził interesy z Henrym, zaproponował, żeby spróbowali spędzić trochę czasu w Buenos Aires. Kiedyś zrobił nam sporą uprzejmość, bardzo dobrze zachował się w stosunku do Henry'ego, więc naprawdę się cieszę, że teraz możemy trochę pomóc jego synom. Zatrzymali się w klubie.

- Młodych mężczyzn nigdy dosyć, zwłaszcza w tych czasach - oświadczyła ciotka Edna, nalewając sobie dużą filiżankę earl greya. - Wojna ograbiła nas z najlepszej męskiej młodzieży, to doprawdy wielka tragedia...

- Tak... - Rose pokiwała głową.

W głębi duszy pogardzała młodym Louistem za brak odwagi. Jej mąż i wielu innych wyprawili się w niebezpieczną drogę za morze, ryzykując życie, aby bronić kraju, który uważali za swoją ojczyznę, chociaż niektórzy z nich nigdy wcześniej nie byli w Wielkiej Brytanii. Ona sama także włączyła się w nurt społecznego wysiłku, razem z innymi paniami z Hurlingham masowo robiąc na drutach swetry, skarpety, czapki i szaliki dla walczących w Europie. Kiedy wojna wreszcie dobiegła końca, Rose przysięgła sobie uroczyście, że nigdy więcej nie weźmie do ręki drutów, ponieważ każde metaliczne kliknięcie przywoływało z jej pamięci straszne dni pełne oczekiwania, niepewności, obaw i smutku.

- Zaprosisz ich na przyjęcie z okazji urodzin Audrey, mamó? - zapytała Isla, zdradzając większe zainteresowanie światem z chwilą, gdy jej talerz został napełniony.

Rose wyprostowała się i lekko przekrzywiła głowę.

- Dlaczego nie... - odpowiedziała, szukając wzrokiem aprobaty u siostry.

- Trzeba ich zaprosić, oczywiście! - wykrzyknęła ciotka Edna z entuzjazmem. - Będzie to doskonała okazja, aby poznali porządnych Anglików, poza tym wszystkie dziewczęta Hildy szukają mężów, podobnie jak bliźniaczki Pearson, nie wspominając już o biednej June Hipps, która za parę miesięcy skończy dwadzieścia dziewięć lat i jeżeli wkrótce nie znajdzie odpowiedniego kandydata, na pewno zostanie starą panną...

Rose nie zamierzała podsuwać Cecila Forrestera córkom innych kobiet, chociaż Audrey i Isla były jeszcze za młode, aby myśleć o małżeństwie. Dziewczęta Hildy i June Hipps nie stanowiły dla nich żadnej konkurencji, lecz bliźniaczki Pearsonów były smukłe, ładne i zawsze pogodnie uśmiechnięte. Lekko wyduła wargi i przełknęła niepokój.

- Może i tak, ale to będzie przyjęcie Audrey, a nie targ - zauważyła z lekkim rozdrażnieniem.

Ciotka Edna oblała się rumieńcem aż po rozchwiane podbródki i rzuciła siostrze pełne wyrzutu spojrzenie.

- Och, wcale nie o to mi chodziło... - wyjąkała. - Nieważne... Jacy oni są, ci Forresterowie? Myślisz, że przypadną do gustu twoim dziewczętom?

Rose uśmiechnęła się i postawiła filiżankę na spodeczku.

- Na pewno - odrzekła. - Louis jest prawie rówieśnikiem Audrey, ale wydaje mi się zbyt... zbyt narwany, tak, to chyba właściwe słowo. Musi dorosnąć i okrzepnąć. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z Cecilem - ten jest odpowiedzialny, myślący i przystojny. Czarujący młody człowiek, chociaż sporo starszy od Audrey. Moim zdaniem nie ma to wielkiego znaczenia, uważam, że miło jest przebywać w towarzystwie mężczyzny, który zwiedził trochę świata. Masz ochotę zaprosić ich na przyjęcie, skarbie? - Rose odwróciła się do starszej córki.

Audrey usiłowała ukryć podniecenie, smarując masłem biszkopik, którego wcale nie zamierzała zjeść, i niepewnie kiwnęła głową.

- Założę się, że Forresterowie zakochają się w Audrey. - Isla zachichotała. - Och, dam sobie rękę uciąć, że tak będzie! - do rzuciła w odpowiedzi na zażenowane spojrzenie siostry. - Nie bądź taka wstydliva, jesteś o wiele ładniejsza od innych dziewczyn, nawet od bliźniaczek Pearsonów. Tak czy inaczej, chcę za tańczyć z nimi obydwoma...

- Będziesz musiała zaczekać na zaproszenie - odpowiedziała Rose i z uśmiechem odwróciła się do Edny. - Co pomyślałyby sobie Krokodylice, gdyby Isla zaczęła prosić mężczyzn do tańca? - zaśmiała się.

- Kłap; kłap. kłap! - Ciotka Edna kłapnęła zębami, a jej podbródki zatrzęsły się tak mocno, że wszystkie cztery kobiety wybuchnęły serdecznym śmiechem.

Audrey i Isla nie musiały długo czekać na spotkanie z braćmi Forresterami, ponieważ kilka dni później ich ojciec zaprosił obu młodych ludzi na kolację w domu przy Canning Street. Stół ustawiony był w cieniu winnych krzewów na tarasie i oświetlony dużymi lampami oraz świecami, które pełniły rolę nie tylko źródła światła, ale także dekoracji. Dziewczęta przystroiły obrus świeżymi kwiatami z ogrodu i ułożyły z nich piękny bukiet, natomiast Rose starannie i szczegółowo omówiła menu z młodą kucharką imieniem Marisol. Rose zaprosiła na kolację Ednę, nie tylko z dobrego serca i uprzejmości, lecz także dlatego, że zależało jej na opinii siostry o Cecilu Forresterze, który w przyszłości mógłby okazać się znakomitym kandydatem do ręki Audrey. Postanowiła, że do stołu zasiądą tylko dorośli i dziewczęta, po nieważ obecność młodszych braci, a szczególnie Alberta, z pewnością wywołałaby niepożądane reakcje ze strony Isli.

Audrey i Isla czekały na gości w ogrodzie, ubrane w nowe sukienki, które matka kupiła im u Harrodsa. Isla zauważyła, że jej siostra wygląda jak młoda kobieta i poczuła się odrobinę nie pewnie u

jej boku. Była tylko o piętnaście miesięcy młodsza, lecz tego wieczoru Audrey sprawiała wrażenie prawie dorosłej, nawet trzymała się inaczej niż zwykle, z większą godnością i powagą. Isle po raz pierwszy ogarnęło uczucie dziwnego smutku na myśl, że ich dzieciństwo powoli dobiega końca.

- Obie wyglądacie cudownie, dziewczęta! - zawołała ciotka Edna, wychodząc z domu w jedwabnej bluzce i spódnicy koloru kości słoniowej, bawiąc się długim sznurem pereł, zwisającym aż do pasa i równo układającym się na jej obfitym biuście.

Edna roztaczała wokół siebie intensywny zapach perfum Christiana Diora, a na grzbiecie nosa miała górkę nierozprowadzonego puszkami pudru, która wyglądała jak miniaturowa zaspą śnieżną. Isla nie miała zamiaru radzić ciotce, aby poprawiła makijaż. Wręcz odwrotnie, doszła nawet do wniosku, że zabawnie będzie obserwować niczego nieświadomą Ednę w czasie kolacji, lecz na szczęście Audrey miała lepsze serce. Natychmiast powiedziała o tym Ednie i sama delikatnie zmiotła nadmiar pudru z jej nosa.

- Jesteś kochana... - Edna wyjęła puderniczkę z torebki i pośpiesznie sprawdziła w lusterku, czy nie przeoczyła czegoś jeszcze. Usatysfakcjonowana, że udało jej się osiągnąć doskonały efekt, uszmiłowała usta, zatrzasnęła torebkę i zerknęła na zegarek. - Zaraz tu będą... Muszę powiedzieć, że ja również jestem ich bardzo ciekawa... W klubie aż huczy od różnych opowieści na ich temat. Dzisiaj słyszałam, że wczoraj po południu Cecil pomógł starej Dianie Lewis wsiąść do samochodu i dosłownie olśnił ją swoim urokiem... Zaraz potem wpadłam na Charlo, która powiedziała mi, że wczoraj wieczorem pułkownik Blythe zjadł z Cecilem kolację i do rana grali w karty. Podobno bardzo się zaprzyjaźnili. Pułkownik uwielbia snuć wojenne opowieści, których my wszyscy mamy już serdecznie dosyć, tymczasem ten kochany Cecil kilka godzin rozmawiał z nim o swoich przeżyciach. Pułkownik mówi, że Cecil ponad wszelką wątpliwość wykazał się wielką odwagą i w przeciwieństwie do brata cieszy się świetlaną reputacją w Londynie. Wszyscy powtarzają, że z tego Louisa niezły kawał lenia... Niedawno przez całą noc grał na fortepianie, co nie bardzo spodobało się innym gościom klubu. Wszystko byłoby w porządku, gdyby grał jakieś sensowne utwory, ale on podobno brzdąkał nieprawdopodobnie smutne melodie, od których inni mieli złe sny... - Edna prychnęła wzgardliwie i odwróciła się w stronę domu.

Dokładnie w tym momencie na trawniku pojawili się Henry oraz Rose, prowadząc ze sobą dwóch młodych mężczyzn.

- Ach, nareszcie... - Ciotka Edna westchnęła i uśmiechnęła się szeroko. - Jesteście gotowe, dziewczęta?

I ruszyła przez trawnik na spotkanie gości. Audrey i Isla wymieniły podekscytowane spojrzenia. Isla nie była w stanie zapanować nad uśmiechem, który rozjaśnił jej zabawną buzię w chwili, gdy rodzice przedstawili ją Forresterom, lecz Audrey zdołała zapanować nad sobą i nieśmiało spuściła oczy, podając rękę braciom.

Od razu uderzyło ją, jak wiele ich różni. Cecil był wysoki i szczupły, o regularnych, symetrycznych rysach, przejrzystych błękitnych oczach i długim, arystokratycznym nosie. Jego spojrzenie wydawało się czujne i skupione, podczas gdy Louis wodził dookoła trochę nieprzytomnym wzrokiem, wyraźnie pogrążony we własnym świecie. Ciemnobrązowe, porządnie zaczesane na bok włosy Cecila rozdzielał z boku głowy równy przedziałek. Przy powitaniu uśmiechnął się pogodnie i skinął głową obu

dziewczętom, natychmiast zwracając uwagę na urodę starszej. Louis był niższy od brata, miał łagodniejsze, mniej regularne rysy i niesymetryczny zarys warg, co ujawniało jego zmienną naturę i ogromną wrażliwość. Trudno byłoby nazwać go przystojnym, lecz jego twarz naznaczona była liniami śmiechu i cierpienia, które w oczywisty sposób przydawały mu atrakcyjności. Kiedy Audrey pochwyliła jego spojrzenie, z niepokojem odkrył, że utkwiała wzrok w ziemi i natychmiast zauważyła, że buty Louisa są mocno podniszczone i chyba rzadko czyszczone, a spod krawędzi nogawek spodni wycierają dwie różne skarpetki, jedna ciemnoniebieska; druga czarna. Palce miał długie; smukłe i blade i poruszał nimi tak lekko, jakby stale dotykał klawiszy niewidzialnego fortepianu. Gdy po chwili znowu podniosła oczy, odkryła, że Louis z zaciekawieniem wpatruje się w nią, odgarniając znad brwi jasną, potarganą falę włosów. Ku swemu zawstydzeniu zaczerwieniła się mocno, odstawiając przed całym światem swój wewnętrzny niepokój. Szybko odwróciła twarz z nadzieją, że nikt niczego nie zauważył. Louis nie był wybitnie przystojny czy charyzmatyczny, ale w jego oczach kryło się coś, co rozstrajało jej duszę. Młody mężczyzna niewątpliwie miał interesującą osobowość, jednak Audrey instynktownie wyczuwała, że znajomość z nim może okazać się nie tylko ciekawa, ale i niebezpieczna.

Gospodarze i goście wzięli kieliszki z szampanem i udali się na przechadzkę po ogrodzie. Cecil szedł obok Henry'ego, Rose i Edna, Audrey i Isla zaś podążały parę kroków za nimi, idąc po obu stronach Louisa. Jedynie Rose zwróciła uwagę, że Cecil szybko obejrzał się na brata, w taki sam sposób jak ojciec, który czujnie sprawdza zachowanie nie do końca normalnego dziecka. Audrey próbowała niezbyt umiejętnie nawiązać rozmowę, cały czas żałując, że nie idzie razem z rodzicami.

- Mama mówiła nam, że pierwszy raz odwiedzacie Argentynę - powiedziała, skrywając zażenowanie pod maską uprzejmości.

- Tak - odparł Louis z ciężkim westchnieniem. - Europa wydaje się pogrążona w wiecznej zimie. Tutaj jest wiosna, a z wio sną przychodzi nowe życie i nadzieja. Kiedy świeci słońce, zapominamy o rozpacz...

Audrey spojrzała na niego z zaskoczeniem, nie wiedząc, co miał na myśli i jak mu odpowiedzieć. Isla zachichotała i zrobiła śmieszny minę, lecz Audrey udała, że tego nie widzi, obawiając się urazić gościa.

- Argentyńska wiosna jest bardzo piękna - odezwała się z uśmiechem - takiej nie ma nawet w Europie - dodała impulsywnie.

Louis odwrócił się ku niej i jego twarz nagle oblała się rumieńcem. Audrey niepewnie przetknęła ślinę, ponieważ w jego oczach wyczytała niespodziewaną czułość.

- Ma pani rację, rzeczywiście tak jest. - Zmarszczył brwi, usiłując odgadnąć, czy dziewczyna naprawdę go rozumie, czy po prostu powiedziała to, ot tak, bez zastanowienia. - Tylko po co nam w ogóle taka pora roku jak zima? - podjął. - Czasami zastanawiam się, dlaczego Bóg kazał nam żyć tu, na ziemi, skoro marnujemy życie, walcząc ze sobą...

- Tego nie wiem... - Audrey potrząsnęła głową. - Wiem jednak, że gdyby wiosna trwała przez cały rok, nie potrafilibyśmy jej docenić, bo ludzie muszą cierpieć, aby poznać smak szczęścia. Nie wydaje mi się, żeby życie z założenia miało być łatwe. Woj na to straszna, przerażająca rzecz, ale wystawia ludzkiego ducha na najcięższą z możliwych prób i może wydobyć z niego ukryte pokłady dobra... -

dodała, przypominając sobie głęboko poruszające opowieści o ludzkiej dobroci, które wielokrotnie słyszała z ust ojca.

- A także pokłady zła - uzupełnił cynicznie Louis, - wojna to coś, czego ludzie nigdy nie powinni doświadczać,,

- Walczył pan w czasie wojny? - zapytała Isla.

Audrey skrzywiła się, ponieważ wystarczyło raz spojrzeć na Louisa, aby się zorientować, że nie był na froncie i nie uczestniczył w działaniach wojennych w żaden inny sposób. Jego policzki splamił gwałtowny rumieniec wstydu, wargi zadrżały lekko Cecil przygarbił się, lecz nie przerwał uprzejmej rozmowy z gospodarzami.

- Nie, nie walczyłem - odparł szybko Louis.

Audrey taktownie zmieniła temat; pragnąc oszczędzić gościowi jeszcze większego zażenowania,

- Podobno wspaniale gra pan na fortepianie - powiedziała z entuzjazmem.

Louis błyskawicznie odzyskał równowagę ducha, a jego oczy uśmiechnęły się do niej z wdzięcznością,

- Ciotka Edna mówi, że którejś nocy nie dał pan zasnąć matce.

Louis się roześmiał.

- Grałem tak jak czułem, ale nawet ja sam nie rozumiem swojego serca

- Opowiada pan strasznie dziwne rzeczy! - Isla rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Isla

- Nie ma powodu do niepokoju, Audrey - rzekł Louis uspokajająco. - Lubię ludzi, którzy mówią, co myślą, zwłaszcza że jest ich tak niewielu...

- Obawiam się, że Isla zawsze mówi, co myśli, choć, niestety, najczęściej w ogóle nie trudzi się myśleniem - powiedziała z uśmiechem Audrey.

- Za to Audrey myśli zdecydowanie za dużo... - zachichotała Isla.

Audrey spuściła oczy, kiedy znowu spoczął na niej czujny pełen skupienia wzrok Louisa.

- Rozumiem... - rzekł cicho.

Audrey czuła się zażenowana całkowicie niewłaściwą, jej zdaniem, intymnością tego spojrzenia, lecz równocześnie ku swemu przerażeniu odkryła, że sprawia jej ono dziwną przyjemność. Isla przerwała milczenie, które nagle zaciążyło między Audrey i Louisem.

- Zostawił pan w Anglii ukochaną? - zagadnęła, pociągając kolejny łyk szampana.

- Gdybym miał ukochaną, na pewno bym tu nie przyjechał - odparł Louis. - W końcu Argentyna jest krajem latynoskim, ojczyzną romansu i tanga, prawda?

Isla znowu zachichotała. Audrey poczuła, że się czerwieni i pochyliła głowę nad kieliszkiem, próbując to ukryć. Powietrze przesiąknięte było wilgocią i intensywnym zapachem wiosennej przyrody.

- Ciotka Edna mówi, że w Argentynie brak odpowiednich mężczyzn, ponieważ wielu pojechało na wojnę i już z niej nie wróciło - palnęła Isla.

Audrey pomyślała, że matka nie powinna była pozwalać Isli pić szampana; rozwiązywał język.

- Daj spokój - zaprotestowała. - Biedny pan Forrester dopiero przyjechał, a ty chciałabyś ożenić go jeszcze przed kolacją...

Louis zaśmiał się i pokręcił głową.

- Proszę się nie przejmować, zdążyłem się już trochę zorientować, jaka jest pani siostra. Mówi, co myśli i pod tym względem jest do mnie podobna... - Zwrócił się do Audrey. - Proszę mówić do mnie po imieniu, kiedy ktoś nazywa mnie „panem Forresterem”, czuję się jak zgrzybiały staruszek. „Pan Forrester” to ktoś zupełnie inny, na przykład Cecil, do którego ten tytuł znakomicie pasuje...

- Czy wasza siostra mieszka w Anglii? - zapytała Audrey, idąc za rodzicami, którzy bez pośpiechu zmierzali w stronę ustawionego na tarasie stołu.

- Cicely? Tak, w Anglii, w starym, zimnym domu na farmie.

- Musi jej być bardzo smutno, że obaj wyjechaliście do Argentyny...

- Nie sędzę. - Uśmiechnął się smętnie. - Gdybyś znała moją siostrę, zrozumiałabyś, dlaczego tak mówię... Cicely nie należy do kobiet, które manifestują serdeczne uczucia.

- A moja siostra tak - odezwała się Isla, która po drugiej lampce szampana z każdą chwilą mówiła coraz mniej wyraźnie. - Szkoda tylko, że żyje we własnym świecie i że jest taką niepoprawną marzycielką...

Louis utkwiał w twarzy Audrey oczy koloru bławatków i uśmiechnął się lekko.

- Ja też jestem marzycielem - powiedział.

Audrey miała wrażenie, że na chwilę jego twarz przyćmił ponury cień, zupełnie jakby słońce nagle przesłoniła ciemna chmura.

- Umarłabym z rozpaczy, gdyby Audrey zostawiła mnie i wyjechała do innego kraju - wyznała Isla melodramatycznie. - Obiecuj mi, że nigdy tego nie zrobisz, kochanie...

Audrey rzuciła porozumiewawcze spojrzenie matce, która już zdążyła się zorientować, że Isla wypięła trochę za dużo.

- Obiecuję - powiedziała pobłaźliwie.

Kiedy znowu zerknęła na Louisa, odkryła, że ciemna chmura wypełzła mu na twarz.

- Idź do kuchni, Islo, i powiedz Marisol, że już możemy siadać do kolacji - poleciała córce Rose. - A przy okazji wypij dużą szklankę wody... - dodała szeptem, gdy Isla przechodziła obok niej. - Ojciec będzie wściekły, gdy zobaczy, że jesteś wstawiona.

Goście usiedli po obu stronach Rose. Isla zajęła miejsce obok Louisa i swojego ojca, natomiast Audrey miała po lewej ręce Cecila, a po prawej ciotkę Ednę. Audrey spojrzała na Louisa i pożałowała, że nie może zamienić się z siostrą. W tej samej chwili Louis podniósł wzrok. Audrey natychmiast utkwiała oczy w talerzu z zupą, potem zaś odwróciła się do ciotki Edny, ponieważ jej matka już zaczęła rozmowę na temat wojny z Cecilem, wyraźnie zachwycona jego przemyśleniami. Gdyby Audrey nie odwróciła tak szybko wzroku, ujrzałaby, że twarz Louisa rozjaśnił pełen uroku uśmiech.

- Jest czarujący, prawda? - odezwała się cicho ciotka Edna. Audrey bez trudu odparła, że nie ma na myśli Louisa.

- Bardzo - odparła automatycznie, aby sprawić ciotce przyjemność.

- I wybitnie przystojny. Przystojny oficer - jakież to romantyczne... Wydaje mi się, że przypadłaś mu do gustu, moja droga. Widziałam, jak na ciebie patrzył...

- Och, nie sądzę! - zaprotestowała Audrey. - Poza tym jestem jeszcze za młoda na miłość...

Ciotka Edna się roześmiała.

- Masz już osiemnaście lat, kochanie! Kiedy byłem w twoim wieku, zakochałam się w Harrym - powiedziała z naciskiem. - Biedny, kochany Harry... Był takim dobrym człowiekiem...

- Bardzo go ciocia kochała? - zapytała Audrey, zmieniając temat.

- Bardzo... - Ciotka Edna westchnęła, zaraz jednak otrząsnęła się z melancholijnych wspomnień, nie chcąc, aby zepsuły jej tak przyjemny wieczór. Uśmiechnęła się lekko, jak zawsze gotowa pokonać smutek poczuciem humoru. - Harry miał niezwykle zdolności mimiczne...

Audrey zerknęła na drugą stronę stołu, gdzie Louis ze śmiechem opowiadał coś Isli, ona zaś chichotała zalotnie. Ku swemu zaskoczeniu poczuła nagłe ukłucie zazdrości, więc szybko odwróciła się do ciotki, usiłując zignorować uczucie, które uważała za prymitywne.

- Potrafił znakomicie naśladować moją matkę, a twoją babkę - ciągnęła Edna, która nawet nie zauważyła, że jej siostrzenicę dręczą jakieś rozterki. - Kiedyś ojciec, który właśnie wyszedł do ogrodu, zawołał: „Elizabeth, co twoim zdaniem należy zrobić z tą wiśnią?”. Zanim mama zdążyła odpowiedzieć, wyręczył ją Harry. „Ściąć ją, kochanie, najlepiej będzie wyciąć wszystkie drzewa”, odkrzyknął. Nie muszę ci mówić, jak tata się zdziwił...

- Skąd ciocia wiedziała, że to właśnie Harry jest wybrańcem jej serca? - zapytała Audrey, starając się nie patrzeć na siostrę i Louisa. Edna zmarszczyła brwi.

- Zadajesz naprawdę trudne pytania... - Jej pulchne palce musnęły zaręczynowy pierścionek z rubinem, który zawsze nosiła. - Harry był inny od wszystkich mężczyzn, których spotkałam. Przy nim często się śmiałam... Chyba po prostu wiedziałam, i już... To była intuicja, zwierzęcy, prymitywny instynkt - wszystko jedno, jak to nazwiemy. Kiedy był przy mnie, zawsze miałam wrażenie, że słońce jasno świeci. Mój słoneczny Harry... Po jego śmierci nic nie było tak samo jak dawniej... - Edna

przygryzła dolną wargę. - Ty także bez wahania odgadniesz, że to ten jedyny, kochanie. Będziesz wiedziała, kiedy go spotkasz...

Audrey była prawie pewna, że już wie. Znowu spojrzała na Louisa, świadoma, że ciągną ich ku sobie niewidzialne, potężne moce.

Kiedy podano drugie danie. Rose odwróciła się do Louisa, dając Cecilowi szansę na nawiązanie rozmowy z Audrey. Dziewczyna odkryła, że konwersacja z Cecilem jest lekka i łatwa. Jego przystojna twarz miała przyjazny, miły wyraz i gdyby nie Louis, który siedział naprzeciwko nich, to wesoły i tryskający radością życia, to ponury i zamyślony, Audrey oddałaby może serce atrakcyjnemu oficerowi. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że Louis od samego początku wydał jej się najbardziej pociągającym mężczyzną na świecie. Wbrew sobie wciąż nadstawiała uszu, usiłując usłyszeć, o czym rozmawiają Louis i jej siostra. Wiedziała, że nie powinna tego robić, lecz nie potrafiła się oprzeć.

- Jak długo zamierzacie zostać w Argentynie? - zagadnęła.

- Myślę, że mniej więcej dwa lata - odparł Cecil.

Kiedy patrzył na Audrey, nie miał cienia wątpliwości, że mógłby spędzić tu resztę życia. Kawałek chleba utknął mu w gardle, więc zakasłał i napił się wody. Był całkowicie rozbrojony urodą tej spokojnej młodej kobiety i czuł się przy niej dziwnie bezradny i pozbawiony zwykłej pewności siebie.

- Potem wróćcie do Anglii?

- Taki mamy plan.

- Niewykluczone, że Argentyna podbije wasze serca - powiedziała Audrey. - Wielu przyjeżdża tu na krótko i zostaje na zawsze... Kąciki ust Cecila uniosły się w uśmiechu. Jego serce już zostało podbite, chociaż Audrey nie zdawała sobie sprawy, że to ona tego dokonała.

- Nie zna pani Anglii, prawda? - zapytał Cecil.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale tata często nam o niej opowiada, więc czasami mam wrażenie, że ją znam...

- To niezwykle, cudowny kraj. Może kiedyś znajdzie pani trochę czasu, żeby tam pojechać.

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę sobie wyobrazić, bym mogła żyć z dala od Argentyny. - Audrey zaśmiała się cicho. - Pułkownik Blythe ma dziwną obsesję na punkcie pogody w Londynie. Regularnie czyta „London Illustrated News” i przekazuje nam prognozy meteorologiczne z tygodniowym opóźnieniem. Wynika z nich, że w Anglii ciągle pada...

- Ach, niezłomny pułkownik Blythe... - Cecil rzucił Audrey porozumiewawcze spojrzenie. - Cóż to za wspaniały ekscentryk... Prawdziwy Anglik, ponieważ podobnie jak my wszyscy rozmawia przede wszystkim o pogodzie i o wojnie...

Czy rzeczywiście deszcz pada tam prawie bez przerwy?

- Moja droga młoda damo... - zaczął Cecil, doskonale naśladowując głęboki głos pułkownika. - Wszystko wskazuje na to, że naszych rodaków znowu czeka deszczowe lato. Piekielnie współczuję

tym, którzy wybierają się na wyścigi... - Uśmiechnął się, zachwycony nieskrywanym rozbawieniem dziewczyny. - Pułkownik Blythe ma rację, w Anglii rzeczywiście często pada. Czasami człowiek czuje się przemoknięty do szpiku kości. Najgorszy jest wilgotny ziąb w zimowych miesiącach, za to wiosna w Anglii jest najpiękniejsza na świecie, nic nie może się z nią równać. Dzięki częstym opadom drzewa, krzewy i wszystkie rośliny są cudownie zielone, a kiedy słońce wreszcie wyjrzy zza chmur, ludzie naprawdę się cieszą... Chyba właśnie dlatego dużo rozmawiają o pogodzie, bo czekają na radość i przyjemność, jaką niesie rzadko pojawiające się słońce...

Cecil nie zauważył, że w czasie krótkich przerw w rozmowie uwaga Audrey skupiona była na jego bracie. Dziewczyna śmiała się miło i uprzejmie i odpowiadała mu żywo i inteligentnie, dzięki czemu nie tracił gruntu pod nogami. Cecil Forrester umiał postępować z ludźmi i budzić ich sympatię. Wszyscy go lubili. Matki uważały go za idealnego kandydata na męża dla córek, a niektóre pragnęły go dla siebie. Młode dziewczyny widziały w nim wymarzonego mężczyznę i robiły co w ich mocy, aby go do siebie przyciągnąć, lecz Audrey była inna. Robiła wrażenie oderwanej od rzeczywistości, podobnie jak Louis, lecz Cecilowi właśnie ta jej cecha wydawała się szczególnie atrakcyjna. Czuł, że Audrey znajduje się poza jego zasięgiem, w świecie, do którego nie miał dostępu.

Spojrzał na Louisa i aż skulił się z zażenowania. Brat nawet się nie pofatygował, aby przebrać się do kolacji. Cecil był pewny, że zrobił to wyłącznie po to, by go zirytować. Cóż, Louis był nieobliczalny i nieposkromiony i Cecil zawsze się bał, czy nie urazi kogoś swoim zachowaniem. Ich rodzice odetchnęli z ulgą, kiedy Cecil oświadczył, że zabierze Louisa do Ameryki Południowej. Udawali, że jest im smutno, lecz Cecil świetnie wiedział, iż chętnie zrzucili z siebie odpowiedzialność za młodszego syna. Louis bardzo ich rozczarował.

Rose poprowadziła siostrę i córki do salonu, zostawiając mężczyzn na tarasie, aby mogli wypalić cygaro i przedyskutować dobre i złe strony prywatyzacji. Isla mocno chwyciła Audrey za ramię.

- To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego dotąd spotkałyśmy! - syknęła.

- Kto? Louis?

Isla ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Nie wygłupiaj się! Louis jest jakiś dziwny... Mówię o Cecilu. Jest tak przystojny, że gdy na niego patrzę, pieką mnie oczy..

- Tak, jest przystojny - przyznała Audrey spokojnie. - I doskonale wychowany.

- Szczęściara z ciebie! Rozmawiałaś z nim przez całą kolację, a ja mogłam tylko przyglądać mu się z daleka! Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że przyjdzie na twoje przyjęcie urodzinowe! Zatańczę z nim pierwszy taniec...

- Proszę bardzo.

- Tak dla zabawy, żeby rozdrażnić inne dziewczyny! To najbardziej interesujący mężczyzna w całym Buenos Aires! I leży u twoich stóp...

- Och, widzę, że jeszcze nie wytrzeźwiałaś: - Audrey się roześmiała.

- Może, ale jestem wystarczająco przytomna, żeby zauważyć jak na ciebie patrzy.

- Bzdury! Cecil jest po prostu bardzo uprzejmy, to wszystko!

- Są pewne granice uprzejmości i Cecil z pewnością je przekroczył. - Isla z uporem pokręciła głową.

Jej słowa pochlebily Audrey, która mimo wszystko nie była całkowicie niewrażliwa na względy okazywane jej przez tak atrakcyjnego mężczyznę.

Z Louisem znalazła się sama na sam dopiero później, kiedy bracia już wychodzili. Stali przed domem, w miękkim świetle ulicznej latarni. Audrey obejrzała się niespokojnie. Cała jej rodzina stała przed wejściem do domu razem z Cecilem. Rose pokazywała młodemu człowiekowi rosnące w kącie ogrodu drzewo bez nazwy, stanowiące zagadkę nawet dla przyrodników z całej Ameryki Południowej, którzy przyjeżdżali do Buenos Aires, aby je zobaczyć.

Louis odgarnął jasne włosy z czoła i utkwiał wzrok w zdenerwowanej młodej kobiecie, która przestępowała z nogi na nogę, z każdą chwilą tracąc pewność siebie.

- Tańczy pani? - zapytał.

To pytanie zaskoczyło Audrey. Była pewna, że Louis zadał jej nie z uprzejmości, lecz ze szczerej ciekawości, ponieważ wpatrywał się w nią z takim skupieniem, jakby odpowiedź miała dla niego wielkie znaczenie.

- Trochę... - odparła z nieśmiałym uśmiechem. - Nie jestem zbyt dobrą tancerką...

- Ale mogłaby pani nią zostać. Porusza się pani z naturalnym wdziękiem i gracją, tańczy pani przez cały czas, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy...

Audrey spojrzała na swoje stopy.

- Naprawdę, tańczę bardzo rzadko - powiedziała. - Nie miałam dotąd wielu okazji...

- Pragnę nauczyć się tańczyć tango - oświadczył Louis i lekko strzelił palcami, jakby starał się uchwycić rytm melodii, której nie słyszał nikt poza nim, - I zatańczyć na brukowanych uliczkach Buenos Aires, właśnie z panią...

Audrey przygryzła dolną wargę i wstrzymała oddech ze zdumienia. patrząc jak Louis zaczyna poruszać całym ciałem, nucąc klasyczne tango. Unosił ręce i kolana z płynnością typową dla zawodowych tancerzy - Roześmiała się i ujrzała, jak jego twarz rozjaśnia pełen uroku uśmiech. Pomyślała o słonecznym mężu ciotki Edny i poczuła, że teraz już wie, na czym polegał jego czar.

- Nie ulega wątpliwości, że umie pan tańczyć - zauważyła szczerze, żałując, że nie ma dość odwagi, aby zatańczyć razem z nim.

- Tak, ale nie tango.

- Tango to piękny taniec.

- Bardzo piękny - przytaknął. - Formalny, a jednocześnie tętniący zmysłowością, najbardziej romantyczny ze wszystkich. Tancerze są blisko siebie, ale nie dość blisko... Kiedy patrzę na parę

poruszającą się w rytm tanga, wyczuwam ten niezwykle nastrój, a kiedy pomyślę, że sam mógłbym zatańczyć.

- Mieszkańcy Buenos Aires tańczą tango w Palermo - powiedziała Audrey. - Był pan tam już?

Louis potrząsnął głową.

- Jest tam mała kawiarnia, w której odbywają się wieczory po święcone tangu. Wiem o tym od pokojówki ciotki Hildy, która była tam wiele razy. To tajemnica, bo ciotka Hilda byłaby oburzona, uważa tango za doznanie równie intymne jak... - Audrey się zaczerwieniła.

- Jak uprawianie miłości? - podsunął Louis.

- Tak... - Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę.

- I ma rację, ale ja właśnie dlatego tak lubię tango... Pani ciotka musi być sztywną, zasuszoną staruszką.

Audrey parsknęła śmiechem i na chwilę przytknęła dłonie do rozpalonych policzków, mając nadzieję, że w ten sposób je ochłodzi.

- Może pewnego dnia jakiś szczęśliwy mężczyzna zabierze panią do Palermo - dodał cicho Louis.

- Raczej nie, jeżeli moja ciotka lub mama będą miały w tej kwestii coś do powiedzenia. Nie takiego zachowania spodziewają się po dobrze wychowanej młodej damie...

- Strasznie nudno jest być dobrze wychowaną młodą damą - uśmiechnął się. - Dobrze wychowanym młodym damom powinno się dawać czas wolny, na przykład po północy. Wtedy mogłyby zejść ze sceny i trochę się zabawić. Chciałbym zobaczyć, jak wychodzi pani tylnymi drzwiami i tanecznym krokiem sunie przed siebie... Jest pani marzycielką, podobnie jak ja... Ludzie nie rozumieją marzycieli, obawiają się ich. Niech pani nie boi się marzyć...

Zapadło długie milczenie. Audrey bezskutecznie usiłowała wymyślić jakąś lekką, pozbawioną znaczenia uwagę, która zbagatelizowałaby jego słowa. Louis obserwował ją, całkowicie zafascynowany. Był już pewny, że Audrey należy do tego samego co on rodzaju ludzi i że właśnie ona jest pierwszą osobą, która naprawdę go rozumiała. Kierując się instynktem dziecka, wyczuł, że Audrey posiada wielkie serce oraz wyjątkową zdolność i potrzebę kochania. Potrzeba miłości, która nie opuszczała go z niepokonaną siłą.

Dziewczyna już miała coś powiedzieć, kiedy jej rodzice poprowadzili małą grupę w ich kierunku. Wszyscy śmiali się pogodnie i nadal rozmawiali o dziwnym drzewie w kącie ogrodu.

- Więc jak je nazwaliście? - zapytał Cecil.

- Ptasim drzewem - odparł Henry.

- To dlatego, że latem z jakiegoś powodu ściągają na nie ptaki z całej okolicy - wyjaśniła Rose, wsuwając rękę pod ramię męża.

- Jest piękne, niezależnie od tego, jaką nosi nazwę - oświadczył Cecil. - Serdecznie dziękujemy za zaproszenie. Spędziliśmy u państwa cudowny wieczór.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparła entuzjastycznie Rose. - Chcemy, żebyście się dobrze czuli w Hurlingham. Wpadajcie do nas, ilekroć przyjdzie wam na to ochota - jesteśmy przecież prawie rodziną...

Zauważyła, że Cecil z wyraźną atencją pożegnał się z Audrey, zanim razem z bratem ruszyli ulicą w kierunku klubu. przyjemnie zaskoczona faktem, że oboje młodzi tak dobrze się rozumieli, zwróciła też uwagę, że podczas rozmowy z Louistem Audrey kilka razy zerknęła na stojącego pod ptasim drzewem Cecila. Rose odetchnęła głęboko, napełniając płuca łagodnym, ciepłym powietrzem. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wyczuwa aromat rozkwitających uczuć,

Tej nocy Audrey długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok i rozmyślała o niespodziewanym zauroczeniu jakie wtargnęło w jej życie, odmieniając barwy rzeczywistości. Była zbyt podekscytowana, aby czytać. Słyszała dobiegające z oddali kroki policjantów patrolujących puste ulice i cichy szum ciepłego wiatru, który wpadał przez otwarte okno niosąc zapach kwiatu pomarańczy i jaśminu, ale nic nie było w stanie ukoić rozedrganych nerwów. Było wilgotno i zbyt gorąco, aby mogła się wygodnie ułożyć. W końcu zrzuciła z siebie prześcieradło i na palcach zeszała do cichego holu, a stamtąd wymknęła się do ogrodu. A dopiero tu odetchnęła pełną piersią. Rosa zwilżyła trawę rozkosznie chłodnymi kroplami. Dziewczyna powoli szła przez pomarańczowy sad, wspominając krótką rozmowę z Louistem, która zupełnie pozbawiła ją spokoju. Przywołała z pamięci lekki, nieco leniwy uśmiech i blask w oczach, i zaczęła zastanawiać się nad jego przerażającą, cudowną impulsywnością. Louis wydawał się żyć w świecie wolnym od reguł, rządzących egzystencją innych ludzi. Dążył do spełnienia swoich pragnień, nie zważając na zasady dobrego wychowania. Nie potrafiła przestać myśleć o młodym mężczyźnie, którego ciepły urok ostro kontrastował z umiejętnością bezpośredniego wypowiedzenia przekonań. Nie umiała go rozgryźć, nie знаła nikogo, kto byłby choć trochę do niego podobny. Wbrew instynktowi, który ostrzegał ją przed głębszym zaangażowaniem, nie potrafiła okiełznać szalejącej w sercu burzy. Louis wydawał się przerażająco nieodpowiedzialny i niezrównoważony, ale ona miała wrażenie, że zna od wieków i jego, i wszystkie obawy, które w niej budził. Kiedy wreszcie wróciła do łóżka, natychmiast zapadła w sen pełen tak przyjemnych obrazów, że wcale nie miała ochoty się obudzić. W półmroku sennych marzeń tańczyła z Louistem wśród starych, brukowanych uliczek Palermo. Ich ciała były złączone, przytulone tak mocno, że przez sukienkę czuła ciepło jego skóry, a także oddech na swojej szyi. Tańczyli w milczeniu, a kroki tanga nie sprawiały im najmniejszej trudności, zupełnie jakby oddawali się tej przyjemności przez całe życie.

Rozdział trzeci

Kiedy na początku marca Garnetowie wrócili do Buenos Aires po sześciotygodniowych wakacjach w urugwajskim uzdrowisku Funta del Este, z zaniepokojeniem odkryli, że w czasie ich nieobecności Louis Forrester nie zrobił nic, aby zaskarbić sobie sympatię mieszkających w Argentynie rodaków. Oczywiście wyskoki młodego człowieka nie umknęły uwagi Krokodylic, które z rozkoszą dyskutowały o jego błędach podczas czwartkowego popołudnia przy malarskich sztalugach w zarośniętym ogrodzie Diany Lewis.

- Ten chłopak naprawdę gra strasznie dziwne melodie - oznajmiła Diana, zanurzając pędzel w słoiku z mętną wodą, a następnie starannie osuszając go w ustach. - Można by pomyśleć, że wpada w trans, zwłaszcza że jego twarz przybiera zupełnie niesamowity, poważny wyraz... Bardzo dziwne...

Wśród czterech Krokodylic Diana wybrała dla siebie najbardziej niewinną rolę - wypowiadała uwagi, które pozostałe damy dowolnie interpretowały, rzucając się na jej słowa niczym wygłodniałe hieny. W tym czasie ona sama szykowała się już do następnego ataku.

- Zawsze jest mi tak trudno oddać barwę nieba - poskarżyła się z wystudiowanym roztargnieniem, czekając, aż przyjaciółki rozprawią się z przynętą, którą przed chwilą rzuciła. Na szczęście zawsze mogła liczyć na Charlotte Osborne.

- Diano, jesteś królową podtekstów - oznajmiła niezawodna Charlotte. - Louis jest kompletnie zwariowany, ot co. Te popisy na fortepianie to jeszcze nic, zwłaszcza że nie można odmówić mu talentu. Mnie niepokoi jego styl życia. Zachowuje się tak jakby brakowało mu piątej klepki... - Charlo zniżyła głos. - Kuku na muniu, bez dwóch zdań... Szkoda tylko, że nie można zwalić winy za jego wariactwa na wojnę, bo w przeciwieństwie do innych dzielnych chłopców ani przez chwilę nie brał w niej udziału. Nie, Louis Forrester jest niezrównoważonym człowiekiem o temperamencie artysty, i tyle. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy są po prostu inni - na przykład syn biednej Dorothy Franklin od urodzenia jest niedorozwinięty i można im obojgu jedynie współczuć, ale Louis nie jest umysłowym prostaczkiem, o nie... On jest arogancki i narowisty. Tak, bo to przecież najwyklesza arogancja, gdy ktoś nie wkłada krawata na proszoną kolację i w ogóle nie dba o swoją powierzchowność. Louis otwarcie lekceważy zasady dobrego wychowania, które kształtują nasze społeczeństwo i czynią z nas ludzi cywilizowanych. Tego chłopaka trudno nazwać cywilizowanym, prawda? - Prychnęła z dezaprobatą. - Masz niebieskie wargi, Diano - dorzuciła, spoglądając na przyjaciółkę znad okularów. - Ja po prostu rozmywam niebo...

- Jak to, rozmywasz niebo? - zainteresowała się Diana, zapominając wytrzeć wargi.

- Mocno zmoczonym pędzlem jeżdżę po całej kartce, a potem dodaję maleńką, ale to zupełnie maleńką kropelkę błękitu o, tak... - Charlotte zademonstrowała swoje umiejętności. - Dobry sposób, nie sądzisz?

Odchyliła się trochę i przyjrzała swemu dziełu z takim samym podziwem, z jakim darzyła wszystkie swoje życiowe dokonania. Charlotte Osborne miała sześćdziesiąt osiem lat, lecz wciąż można było nazwać ją atrakcyjną kobietą. Miała ładną twarz, inteligentne niebieskie oczy i piękne srebrzyste włosy. Wierzyła, że atrakcyjność jest kwestią nie tyle urody, ile pewności siebie i że jeżeli robi się coś z prawdziwym przekonaniem, zdobywa się podziw i uznanie.

- Bardzo dobry sposób... - westchnęła z podziwem Phyllida Bates, oblizując suchym językiem wąskie, łuszczące się wargi.

Spośród wszystkich Krokodylic Phyllida była niewątpliwie najbardziej podstępna, tchórzliwa, lecz także absolutnie bez względu. Miała kręgosłup węża i zawsze skłaniała się w kierunku, który obierała większość. Rozszarpywanie na kawałki reputacji innych sprawiało jej niewysłowioną przyjemność.

- Czyżbyś chciała powiedzieć, że Louis Forrester jest umysłowo chory, droga Charlo? - zapytała, z satysfakcją zacierając artretycznie powykręcane dłonie.

Charlo roześmiała się głośno.

- Och, Phyllida zawsze jest taka delikatna, wręcz subtelna: - parsknęła.

- Louis Forrester to wariat - wtrąciła Cynthia Klein. Była mniej zjadliwa od swoich przyjaciółek, zwykle po prostu mówiła to, co myślała, nie licząc się z konsekwencjami. - Kompletny wariat.

- Zgadzam się. - Charlo skinęła głową. - Niepokoi mnie wyraz jego oczu. Louis jest całkowicie nieprzewidywalny i wcale nie walczył na wojnie, co z tego, że jest dość przystojny, skoro fakt, że nie walczył za kraj, zaciera wszystkie jego pozytywne cechy. Wiecie, że któregoś wieczoru widziałam. Jak tańczył w ogrodzie, zupełnie sam? Właśnie wychodziłam z klubu, gdy nagle w świetle księżyca zobaczyłam jego sylwetkę. To był na pewno on, nikt inny nie nosi kapelusza na bakier, zwłaszcza wieczorem! Wyobrażacie sobie coś takiego? Tańczył sam, bez muzyki! Bardzo dziwne. Cecil wstydzi się go i wcale mu się nie dziwię. Cecil to porządny młody człowiek o nienagannych manierach, który wrócił z wojny jako bohater, prawdziwy bohater. Właśnie tacy jak on uratowali nas przed całym tym horrorem nazistowskich Niemiec. Cecil ryzykował życie, aby zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo, a w tym samym czasie jego głupi brat tańczył i grał na fortepianie. Co za wstyd! Czasami zastanawiam się, dlaczego musiał przyjechać akurat tutaj...

- Tego nie wiem, ale wydaje mi się oczywiste, że po prostu nie miał innego wyjścia, jak tylko wyjechać z Londynu, bo tam wszyscy go już dobrze znali. - Diana zachichotała, wycierając brudne ręce w fartuch.

- Cóż, tu także nie zrobił dobrego wrażenia - powiedziała Charlo. - Nie sposób uciec przed taką hańbą... Ciekawe, jaką znalazł sobie wymówkę - pacyfistyczne przekonania?

- Na pewno, albo jakąś zwariowaną religię. - Diana z satysfakcją wzbogaciła rozmowę o jeszcze jeden element.

- No tak, najprawdopodobniej należy do jakiejś sekty - przytaknęła piskliwie Phyllida. - Czarna magia pod maską pacyfizmu...

- Dajcie spokój, dziewczęta, posuwacie się trochę za daleko. - Cynthia zerwała kartkę papieru ze sztalugi i rzuciła ją na trawę, gdzie leżało już inne dzieło, które zdążyło ją znudzić. - Louisa trudno nazwać złym człowiekiem. Sęk w tym, że jest trochę za bardzo nieprzewidywalny jak dla nas, starych kobiet. Nie możemy potępiać go za to, że nie walczył, skoro nie wiemy, jakimi kierował się motywami. Może miał jakiś ważny powód. Poza tym uważam, że jest całkiem atrakcyjny, lubię takich wrażliwych mężczyzn. Louis wygląda na takiego, który wymaga matczynej opieki...

- Ty mogłabyś być jego babką, skarbie. - Charlo uśmiechnęła się złośliwie.

- Przygarnął kocioł garnkowi! Ty też nie jesteś już pierwszej młodości, kochanie!

- Ach, te wszystkie biedne dziewczęta... - westchnęła Diana, podnosząc pędzel do ust i dodając odrobinę zieleni do zdobiącego jej wargi błękitu. - Każda ma nadzieję wyjść za mąż, chociaż wojna przetrzebiła szeregi młodych mężczyzn...

Charlo uśmiechnęła się ironicznie.

- Żadna matka przy zdrowych zmysłach nie chciałaby takiego zięcia jak Louis - zauważyła Cynthia.
- Gdybym była pięćdziesiąt lat młodsza, próbowałabym zdobyć Cecila. To taki rozsądny młody człowiek...

- Och, z pewnością! - potwierdziła z entuzjazmem Diana, przypominając sobie, jak parę dni temu Cecil pomógł jej wsiąść do samochodu. - Prawdziwy dżentelmen! Szlachetny i dobrze wychowany.

- Niestety, dziewczęta potrafią być niewiarygodnie głupie - oświadczyła wyniosłym tonem. - Nie zawsze wiedzą, co jest dla nich dobre i korzystne. Nie mam cienia wątpliwości, że wcześniej czy później jakaś biedaczka padnie ofiarą uroku Louisa.

- Louis nadaje się do flirtu, ale nie do małżeństwa - mruknęła Cynthia. - Kobieta potrzebuje odpowiedzialnego, mądrego mężczyzny, silnego jak dąb. Właśnie taki był mój Ernie...

- Ernie silny jak dąb?! - wykrzyknęła Charlo. - Raczej jak gałązka! Tak szybko wzięłaś go pod pantofel, że trudno mówić o jego sile.

- Doprawdy, Charlo. czasami posuwasz się za daleko - skarciła Diana przyjaciółkę.

- Nie musisz wkraczać na ring, kochanie. - Cynthia się uśmiechnęła. - Sama doskonale poradzę sobie z obroną Ernego, niech spoczywa w pokoju... Żaden z twoich trzech mężów nie był dębem; Charlo.

- Cóż, muszę przyznać ci rację - powiedziała Charlotte, zanurzając pędzel w czerwonej farbie. - Może za czwartym razem będę miała więcej szczęścia - dorzuciła prowokacyjnie.

Cynthia uniosła brwi.

- Ach, pułkownik Blythe rzeczywiście przypomina dąb. - Westchnęła, nie mogąc oprzeć się pokusie. - Może faktycznie tym razem dopisze ci szczęście, moja droga...

Błada twarz Charlo mocno zarumieniła się pod szerokim rondem kapelusza.

- Pułkownik Blythe?! - wykrzyknęły chórem Diana i Phyllida, podnosząc się tak szybko, jak pozwoliły im na to stare nogi; aby znad sztalug spojrzeć na przyjaciółkę.

Cynthia triumfowała.

- Ile razy prosił cię o rękę? - zwróciła się do Charlotte. - No. powiedz nam!

Charlo zeszywniała na taborecie i uniosła podbródek, starając się zachować spokój. Nie miała zamiaru wychodzić za mąż za pułkownika. Była zdania, że prosi ją o rękę wyłącznie dla rozrywki.

- Dwa razy - odparła nonszalancko.

Phyllida i Diana wymieniły zaskoczone spojrzenia.

- I co mu odpowiedziałaś? - drążyła Cynthia.

- Och, to zwyczajna dziecinada! - wybuchnęła Charlo, odkładając pędzel i wstając.

- Co mu odpowiedziałaś? - Diana nie dawała za wygraną. - Wiesz coś o tym, Cynthia?

Cynthia wzruszyła ramionami.

- Powiedziała mu, że mam nieprzyjemny zwyczaj odprowadzania swoich mężów na cmentarz - powiedziała Charlo z naciskiem. - I nie sądzę, aby poprosił mnie o rękę po raz trzeci.

- Biedny pułkownik Blythe... - Phyllida westchnęła współczująco. - Czego może się spodziewać od życia taki stary człowiek jak on?

Charlo przewróciła oczami i bez słowa ruszyła w kierunku domu.

Audrey spędziła sześć tygodni nad morzem w oparach romantycznej mgiełki, stawiając siebie obok bohaterki powieści, które czytała. Wylegiwała się na piasku, przeżywając w wyobraźni miłosne sceny z Louistem. Wyobrażała je sobie tak szczegółowo, że w końcu pragnienia przeniknęły jej sny i uczyniły je tak cudownymi, że rano budziła się z najwyższą niechęcią. Nikt nie zwrócił uwagi na odległy wyraz jej oczu, ponieważ Audrey od dziecka często popadała w głębokie zamyślenie, tracąc kontakt z rzeczywistością. Matka przypisywała jej zachowanie romantycznym powieściom, które Audrey po prostu pochłaniała. Ciotka Hilda wciąż powtarzała, że dziewczyna nie powinna czytać takich bzdur, ponieważ wypaczają jej umysł.

- Miłość nigdy nikomu nie przyniosła nic dobrego - dodawała kwaśno. - Najlepszy przykład to Romeo i Julia...

Audrey wróciła do Hurlingham pełna wspaniałych oczekiwań. Perspektywa ponownego spotkania z Louistem podniecała ją i wprawiała w wielkie zdenerwowanie. Myślała tylko o tym, że wreszcie znowu jest w tym samym mieście co on i znowu oddycha tym samym powietrzem. Niestety, czekało ją bolesne rozczarowanie. Kiedy usłyszała od matki i ciotki Edny, że wszyscy krytykują Louisa za jego zachowanie, pośpiesznie ukryła poczucie wstydu za maską obojętnego uśmiechu. Dopiero później, gdy została sama w ogrodzie, dała upust gorzkim łzom. Usiadła na ławce pod ulubionym krzewem różanym Rose i rozplakała się żałośnie. Jej marzenia legły w gruzach, zanim zdążyły dojrzeć. Związek z Louistem był po prostu niemożliwy i Audrey nic nie mogła na to poradzić. Następnego dnia podsłuchiwała rozmowę Rose i jej siostr o braciach Forrester i dowiedziała się, że matka ma nadzieję na jej małżeństwo z Cecilem.

- Nie można tak od razu potępiać Louisa - rzekła Rose w odpowiedzi na jakąś nieprzychylną uwagę Hildy. - Uważam, że każdemu należy dać szansę. Pozory najczęściej wprowadzają w błąd...

- Czasami pozory są jednak prawdziwym odbiciem czyjegoś charakteru. Hilda z dezaprobatą wyduła wąskie wargi. - W każdym razie z pewnością tak właśnie jest w przypadku Louisa. Ten chłopak jest równie niechlujny jak spodnie, które nosi. Łatwo sobie wyobrazić, co mówią o nim Krokodylice...

Ciotka Edna poprawiła sznur okrągłych bursztynów, zwisający między jej piersiami, i prychnęła z irytacją.

- Opowiadają o nim najprzeróżniejsze rzeczy tylko dlatego, że nie zgłosił się do wojska w czasie wojny. Jestem pewna, że miał ważny powód...

- Czy on wygląda na takiego, który miałby ważny powód? - przerwała siostrze Hilda. - Może utyka na jedną nogę albo nie ma ręki? Nie ma powodu, moja droga.

- Och, biedny Cecil! - westchnęła Rose. - Jakże musi się martwić o swojego nieszczęsnego brata...

- Drogi Cecil... - Edna się uśmiechnęła. - Zwróciłam uwagę, że na kolacji przed waszym wyjazdem wydawał się wręcz zauroczony Audrey...

- Ja także to zauważyłam - przytaknęła Rose, rumieniąc się z zadowolenia i dumy. - Możemy tylko mieć nadzieję, że wszystko się ułoży...

Edna kilka razy machnęła czerwonym cygańskim wachlarzem, który Harry kupił jej w La Boca, w czasie upojnej podróży poślubnej. - Ja także mam taką nadzieję - powiedziała. - Byłaby z nich wspaniała para... Co za szczęście, że Cecil przyjechał do Hurlingham...

- Czy nie jest trochę za stary dla Audrey? - zapytała sztywno Hilda, była niezadowolona i zaniepokojona, ponieważ nie miała jeszcze okazji przedstawić Cecilowi swoich córek.

- Och, nie ma sensu przejmować się drobiazgami! - rzuciła Edna ze zniecierpliwieniem.

Uważała, że Hilda znajduje przyjemność w dokuczaniu innym wyłącznie z tego powodu, iż jej samej raczej nie poszczęściło się w życiu. Hilda rzuciła jej karcące spojrzenie.

- Ależ on jest od niej dwanaście lat starszy! - oburzyła się. - Zresztą Audrey nie powinna jeszcze myśleć o małżeństwie, jest za młoda! Moja Nelly ma już dwadzieścia pięć lat i ani jej w głowie mąż i dzieci!

- Kwaśne winogrona, moja droga - oświadczyła nietaktownie Edna. - Kocham Nelly, ale doskonale wiem, że nie jest najbardziej czarującą z twoich córek, a poza tym wcale nie stara się poprawić swojej sytuacji. - gdyby od czasu do czasu spróbowała się uśmiechnąć, może zdobyłaby sympatię jakiegoś młodego mężczyzny...

Hilda musiała przyznać Ednie rację. Nelly była brzydka i w ogóle się nie uśmiechała.

- W sprawach serca wiek nie ma najmniejszego znaczenia - powiedziała Rose. - Tak czy inaczej, już przed wyjazdem zauważyłam, że Cecil i Audrey przypadli sobie do gustu, i modłę się, żeby rozwinęło się między nimi prawdziwe uczucie. Zaprosiłam obu chłopców na urodzinowe przyjęcie Audrey w najbliższą sobotę, oczywiście Louisa tylko ze względu na Cecila, no i trochę z litości... Nie można go tak zupełnie przekreślać.

- Masz dobre serce, kochanie - pochwaliła ją Edna. Hilda nie była w stanie zdobyć się na przychylnie słowo, ponieważ dławiąca ją zazdrość nie pozwalała jej miło odezwać się do siostry.

Audrey uciekła do domu, ocierając łzy. Nie chciała tego przyjęcia, nie chciała widzieć Louisa już nigdy więcej... Żałowała, że w ogóle go poznała. Mogła tylko pocieszać się myślą, że, co często powtarzał jej ojciec, wszystko przemija.

Wreszcie, mimo jej niechęci, przyszła sobota, a wraz z nią okropne oczekiwanie na spotkanie z braćmi Forrester.

- Co ci jest? - zapytała przy śniadaniu Isla. - Wydajesz dziś przyjęcie urodzinowe, powinnaś być uśmiechnięta od ucha do ucha! Tylko pomyśl, jak wszyscy będą ci się przyglądać i podziwiać twoją nową suknię. Ja zamierzam tańczyć do świtu, nie usiądę ani na chwilę, słowo daję!

- Nic mi nie jest. - Po prostu nie mam ochoty na całą tę zabawę.

- Ale przed wieczorem spojrzysz na to zupełnie inaczej, zobaczysz! - pocieszyła ją Isla. - Chyba wstałaś lewą nogą, co? Nagle zmrużyła zielone oczy i uśmiechnęła się domyślnie. - Zakochałaś się, prawda? - rzuciła.

Audrey o mały włos nie wypuściła z ręki filiżanki z kawą

- Skąd ci to przyszło do głowy?! - zaprotestowała, starając się ukryć drżące dłonie.

- Ależ tak, mam rację! - Isla się roześmiała. - Trafiłam w dziesiątkę! Przez całe lato byłaś jakaś dziwna... Dokładnie od spotkania z Cecilem Forresterem...

Audrey poczuła ogromną ulgę.

- Czy to aż takie oczywiste? - zapytała.

- Obawiam się, że tak. Na szczęście tylko dla mnie, bo ja znam cię lepiej niż inni.

- Nikomu nie powiesz?

- Oczywiście, że nie! Obiecuję. Dlaczego boisz się dzisiejszego przyjęcia, skoro kochasz Cecila?

Audrey spróbowała grać na zwłokę. Schyliła się, udając, że upadła jej serwetka. Isla miała słuszną intuicję - gdyby rzeczywiście zakochała się w Cecilu, nie miałaby powodu do niezadowolenia.

- Ponieważ on nie odwzajemnia mojego uczucia - odparła ostrożnie, zaskoczona wiarygodnością swojego kłamstwa.

Isla westchnęła teatralnie.

- Zupełnie nie zdajesz sobie sprawy z własnego uroku! - wykrzyknęła. - Wszyscy chłopcy kochają się w tobie na zabój i Cecil także, na miłość boską! Podczas tamtej kolacji wcale tego nie ukrywał!

- Ale od tego czasu minęło ponad sześć tygodni. Na pewno o mnie zapomniał...

- Bardzo w to wątpię. Rozstanie rozpala namiętność, nie słyszałaś? Założę się, że Cecil już nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy. On jest taki cudowny, zupełnie inny niż ten jego nieudany brat... Na pewno zobaczysz się dziś z nim w klubie, jeszcze przed przyjęciem. Chodźmy pograć w tenisa i popływać. Tata zabrał chłopców na przejażdżkę konno, a mama umówiła się na golfa z cicią Edną, więc możemy spędzić całą dzień w klubie. Boże, jak to wspaniale, że wreszcie wróciliśmy do domu!

- Nie wydaje ci się, że powinnam poczekać do wieczora? - zaproponowała słabo Audrey.

- Absolutnie nie - oświadczyła Isla. - Skończ szybko śniadanie i jedziemy do klubu.

Dziewczęta pojechały do klubu w Hurlingham na rowerach. Ulice rozbrzmiewały ujadaniem psów, radosnymi piskami dzieci i nawoływaniem nianieek, spacerujących ze swoimi podopiecznymi pod murami ogrodów i głośno plotkujących po hiszpańsku. Audrey opowiedziała siostrze o swoim zauroczeniu i udręce, jaką znosiła przez całe lato. Zdumiało ją, że zwierzenia przyniosły jej ulgę, chociaż przecież mówiły o dwóch różnych mężczyznach. W miarę, jak zbliżały się do bramy klubu, serce Audrey biło coraz szybciej. Zrobiło jej się gorąco i poczuła się jakoś dziwnie.

- Uspokój się - powiedziała Isla z rozbawieniem, zeskakując z roweru i opierając go o ścianę. - Nieźle cię trafiło, co? - Wzięła siostrę za rękę, żeby dodać jej odwagi. - Najlepiej będzie, jeżeli najpierw popływamy, a później pójdziemy na tenisa. W ten sposób będziesz miała szansę trochę ochłonąć.

Audrey się zgodziła i poszły prosto na basen. Było jeszcze wcześnie, więc na terenie klubu kręciło się niewiele osób. W od dali widać było kilkoro jeźdźców, kłusujących aleją między figowcami, lecz nad brzegiem basenu nie spotkały żywej duszy i mogły nacieszyć się samotnością.

Raz po raz pokonując długość niewielkiego basenu, Audrey ani na chwilę nie spuszczała wzroku z parkowej alei. Obawiała się przybycia Louisa, a jednocześnie pragnęła tego z całego serca. Za każdym razem, gdy ktoś zbiegał po prowadzących z głównego budynku schodach; żołądek ścisnął jej się ze strachu. Wreszcie Isla zaproponowała, by zagrały w tenisa, nim zrobi się zbyt gorąco, i w ten sposób przynajmniej na chwilę rozproszyła jej lęki.

Ale i tak nie potrafiła skupić się na grze. Isla grała o wiele lepiej i w końcu zaczęła się irytować, widząc, że Audrey puszcza piłkę lub trafia w siatkę przez zwykłą nieuwagę. Audrey żałowała, że nie została w domu, gdzie mogłaby czytać powieść i spokojnie marzyć pod ptasim drzewem. Marzenia były przecież o wiele przyjemniejsze od rzeczywistości... Po kilkunastu minutach znudzona grą Isla zaproponowała, aby poszukały Cecila.

- Nie, absolutnie nie! - wykrzyknęła Audrey z przerażeniem.

Jej protesty na nic się jednak zdały. Isla wykazała się wielką stanowczością. Nic nie mogło sprawić jej większej przyjemności niż odszukanie ukochanego siostry.

- Rozejrzemy się trochę - powiedziała. - Będę dyskretna i subtelna, słowo daję.

Ale dla każdej z nich te określenia miały zupełnie odmienne znaczenie. Isla nigdy dotąd nie dotrzymała żadnej tajemnicy powierzonej przez siostrę, nie ze złośliwości, lecz po prostu dlatego, że nie była w stanie zachować niczego tylko dla siebie. Teraz Audrey musiała liczyć się z możliwością, że zostanie upokorzona wobec Cecila Forresterera. Zaczęła szczerze żałować, że w ogóle zwierzyła się siostrze. Isla, poruszona stanem jej serca, postanowiła doprowadzić do porozumienia między zakochanymi. Audrey doskonale zdawała sobie sprawę, że Isla po prostu nie może się oprzeć wyzwaniu, za jakie uznaje uczuciowe problemy siostry. Jak zwykle pełna energii, podchodziła do nowej misji z wielkim entuzjazmem.

Audrey niechętnie poszła za siostrą w kierunku budynku, mając nadzieję, że obaj bracia wyjechali gdzieś na cały dzień albo co w tej chwili wydawało jej się jeszcze lepszym rozwiązaniem, wrócili do Anglii. Ledwo jednak weszły do środka, gdy ku swemu zażenowaniu usłyszała znajomy głos i radosny okrzyk Islę.

- Cecil! Jak się cieszę, że cię widzę!

Audrey podniosła wzrok i ujrzała nieśmiały uśmiech na twarzy Cecila Forreстера, zarumienionej z radości na widok Audrey, o której nie mógł przestać marzyć i śnić przez ostatnie dwa miesiące. Czuł się bardzo nieswojo w jej towarzystwie i ze wszystkich sił starał się odzyskać zwykłą równowagę. Audrey nie zdołała się powstrzymać i szybko zerknęła w głąb holu, szukając wzrokiem jego młodszego brata, lecz Louisa nie było.

- Witaj, Audrey - odezwał się Cecil z uprzejmym skinieniem głowy. - Widzę, że grałyście w tenisa.

- Tak - odparła. - Obawiam się, że nie szło mi zbyt dobrze. Właśnie postanowiliśmy wejść do baru, żeby czegoś się napić.

- Może przyłączysz się do nas? - radośnie zaproponowała Isla.

Twarz Cecila natychmiast rozjaśnił pełen zachwytu uśmiech i Audrey doszła do wniosku, że nie ma siły złościć się na Islę lub dąsać na los za to, że Louisa nie było w pobliżu. Entuzjazm młodego mężczyzny mimo wszystko bardzo jej pochlebiał.

Cała trójka usiadła przy małym okrągłym stoliku w wykładanym biało-czarnymi płytkami korytarzu i zamówiła lemoniadę. Audrey siliła się na pogodę ducha, chociaż w gruncie rzeczy najchętniej wyciągnęłaby się na jednym z ustawionych w cieniu leżaków i oddała marzeniom o Louisie. Odpowiadając na pytania Cecila i łagodząc niezbyt subtelne komentarze Islę, zastanawiała się, co się z nim dzieje. Przypomniała sobie, jak płonęły mu oczy, kiedy mówił o tangu, kiedy jego ciało prawie bezwiednie poruszało się w rytm bezgłośnej melodii i kiedy mówił jej, aby nie obawiała się marzyć. Kąciki jej ust uniosły się lekko i Cecil uwierzył, że ten uśmiech jest przeznaczony właśnie dla niego. Isla triumfowała. Nie miała cienia wątpliwości, że Audrey i Cecil doskonale czują się w swoim towarzystwie.

Jednak ani Isla, ani jej siostra nie zdawały sobie sprawy, że Cecil zupełnie nie wie, co ma robić. Od kilku tygodni zastanawiał się, czy może zaprosić Audrey na kolację, tylko we dwoje. Dziewczyna była przecież córką jego szefa, a on dopiero nie dawno przyjechał do Buenos Aires. Wydawało mu się, że nie powinien się spieszyć i miał nadzieję, że nikt inny nie zdobędzie serca Audrey, zanim on sam nie podejmie takiej próby. Czuł, że przede wszystkim powinien zasłużyć na szacunek ojca ukochanej.

Mniej więcej po godzinie upał jeszcze się nasilił i w Islę obudził się lekki niepokój. Zauroczenie siostry Cecilem Forresterem przestało ją bawić, ponieważ uznała problem za już rozwiązany. Doprowadziła do ich spotkania, rzuciła kilka znaczących uwag i pomogła im zbudować przyjaźń - reszta należała do nich.

Nagle usłyszeli dobiegającą z holu dziwną, smutną melodię Audrey natychmiast rozpoznała w niej melancholijną duszę Louisa, przetłumaczoną na muzykę. Jej policzki oblał rumieniec i uświadomiła sobie, że ta melodia jest także odbiciem jej własnej, niezakorzenionej w zwyczajnym życiu osobowości. Zrozumiała, że nie wytrzyma przy stole ani chwili dłużej. Wybiegła za dźwiękami fortepianu.

Kiedy Audrey spojrzała na długie palce Louisa błędzące po klawiszach, odgadła, że jej ukochany właśnie komponuje nowy utwór. Z zamkniętymi oczami podążał za uczuciami, które niosły go niczym

potężna morska fala. Był świadomy jej obecności, chociaż na nią nie patrzył. Jego palce chwilami lekko drżały, a na ustach pojawiał się łagodny uśmiech. Potem smutne nuty przerodziły się w jaśniejsze i pogodniejsze - melodia stała się odbiciem nadziei i nadchodzącego szczęścia.

Po paru minutach Louis otworzył oczy i utkwiał je w zarumienionej dziewczynie, która bezwiednie poruszała się w rytm melodii. Uśmiechnął się szeroko, a Audrey odpowiedziała mu takim samym uśmiechem. Louis miał w sobie spontaniczność dziecka i w jednej chwili przechodził od smutku do radości, co zupełnie ją rozbrajało.

- Zagraj ze mną - zaproponował, robiąc dla niej miejsce obok siebie na podwójnym taborecie.

- Nie - odparła. - Wolę słuchać, jak grasz. Pięknie improwizujesz, ja tego nie potrafię...

- Oczywiście, że potrafisz. Usiądź, pokażę ci, jak to się robi.

Spełniła jego prośbę i natychmiast poczuła, jak ciepło jego ciała przenika przez ubranie i dociera do niej. Oparła drżące palce na klawiszach i czekała na instrukcje.

- Będziemy używać nut g-moll - powiedział Louis, uderzając w klawisz.

Audrey zrobiła to samo.

- Łatwe, prawda?

- Wiele lat brałam lekcje muzyki - wyznała.

- No właśnie. Na pewno świetnie sobie poradzisz. Skomponuję teraz dla ciebie melodię, „Sonatę Audrey”. Kiedy mniej więcej ją zapamiętasz, zamkniesz oczy i pozwolisz, aby serce po kierowało twoimi palcami. Nie przejmuj się, jeśli popełnisz jakiś błąd, bo to nie ma znaczenia. Wkrótce twoje dłonie odnajdą właściwą ścieżkę i wtedy zaczniesz myśleć nie o nutach, lecz o uczuciach. Zapragniesz wyrazić siebie i to, co czujesz. Teraz zamknij oczy...

Audrey usłuchała. Louis zaczął powoli grać smutną, fascynującą melodię, która głęboko poruszyła jej niespokojną duszę. Grając, mówił cichym, hipnotyzującym głosem, przenosząc dziewczynę z klubu w Hurlingham do jakiegoś odległego miejsca, gdzie byli tylko we dwoje pod ciemnym niebem, w zaccarowanej dolinie. Jej palce poruszyły się i rozpoczęły wędrówkę po klawiszach, najpierw niezbyt pewnie, po jednej nucie, a potem całymi frazami, które łączyły się w jedno z melodią graną przez Louisa, tworząc niezwykłą sonatę marzeń.

Stary pułkownik, który jak zwykle siedział w skórzanym fotelu pogrążony w lekturze „London Illustrated News”, podniósł głowę i odłożył gazetę. Słuchał w skupieniu, a muzyka powoli topiła lód, który z upływem lat otoczył twardą skorupą jego serce, i dodawała mu sił. Kiedy w końcu podniósł się z fotela, zrobił to tak szybko i sprawnie jak młody człowiek. Parsknął ze zdumienia i pokręcił głową, wciąż zasłuchany w dziwną melodię. Rozejrzał się dookoła i nagle świat wydał mu się piękniejszy niż przed chwilą. Z niedowierzaniem zamrugał; ciemne cienie, jakie ostatnio coraz częściej dostrzegał, znikły bez śladu.

- Dziwne... - zamruczał. - Bardzo dziwne...

Gdy później Audrey zasiadła z rodziną do lunchu, jej ciało nadal czuło rytm utworu, który grała razem z Louistem, a oczy nadal widziały stworzone przez niego obrazy. Już się go nie bała; wręcz przeciwnie, czuła, że go rozumie. Wiedziała, że nie powinna go kochać, ale nic nie mogła poradzić na to, że był najbardziej godnym miłości człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Żył w innym świecie i podbił jej serce muzyką, żarliwością i impulsywnością, które w jakiś sposób czyniły go kruchym i wrażliwym. Audrey zagłuszyła głos sumienia wewnętrzną melodią miłości.

- Nie możesz się już doczekać przyjęcia, prawda? - zagadnęła ją ciotka Edna.

- Tak - odparła.

Edna ściągnęła brwi, zaskoczona brakiem entuzjazmu w głosie siostrzenicy.

- Audrey się denerwuje, bo jest zakochana - wyjaśniła głośnym szeptem Isla.

Twarz Audrey oblał szkarłatny rumieniec. Rzuciła siostrze pełne wyrzutu spojrzenie.

- Przepraszam... - Isla się roześmiała. - I tak masz to wypisane na twarzy, więc wszyscy wcześniej czy później domyślą się, co się z tobą dzieje...

Trzej młodszy bracia dziewcząt zachichotali cicho.

- Niepotrzebnie wprawiasz siostrę w zażenowanie - skarciła Islę Rose, ostrym spojrzeniem obrzucając chłopców.

Z trudem powstrzymała się, aby nie zapytać Audrey, w kim się zakochała. Dziewczyna spuściła głowę i najwyraźniej wiele by dała, żeby nagle zniknąć, lecz Isla rozgadała się już na dobre.

- Audrey zakochała się w Cecilu Forresterze - wyjaśniła, podskakując na krześle z podniecenia i odgarniając do tyłu gęste loki. - Uważa, że jest to uczucie bez wzajemności. Tylko Audrey może być tak skromna...

- Porozmawiajmy o czymś innym - zdecydowanym tonem odezwał się Henry Garnet.

Rose spojrzała na siostrę i bez słów przekazała jej swoją radość. Edna odpowiedziała w równie dyskretny sposób. Obie przez całe życie porozumiewały się wzrokiem i zawsze świetnie się rozumiały. Cecil będzie doskonałym mężem, nie wątpiły w to ani przez chwilę.

Rozdział czwarty

Audrey siedziała samotnie w cieniu eukaliptusa, ze znużeniem wpatrując się w korty tenisowe na terenie klubu. Wiedziała, że nie powinna była ufać siostrze, ale znowu popełniła ten głupi błąd. Teraz rodzice byli przekonani, że oddała serce Cecilowi Forresterowi. Gdyby poznali prawdę, na pewno wpadliby w rozpacz.

Nagle pomyślała o Emmie Letton. Ciekawe, jakie byłoby jej życie, gdyby wyszła za tego Argentyńczyka... Może byłaby szczęśliwsza? A może uczucie okazałoby się tylko zauroczeniem, które z

czasem minęłoby jak choroba, kto wie... Może Emma wyraziła w ten sposób swoje nieuświadomione pragnienie złamania obowiązujących zasad? Może chciała przekonać się, jak wygląda życie poza granicami wyznaczonymi przez społeczność, w której dorastała?

Audrey wiedziała, że Cecil jest odpowiednim kandydatem na męża. Instynktownie rozumiała, czego oczekują od niej rodzice, ale też słuchała uwag o obu braciach, które wszyscy wypowiadali. Cecil był rozsądny i odpowiedzialny, przystojny, czarujący i zasługujący na całkowite zaufanie. Louis był impulsywny i nieobliczalny, no i nie dość odważny, aby walczyć za ojczyznę.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała nagle.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego nad nią Cecila. Oczy osłaniały mu ciemne okulary, a cała jego twarz skąpana była w słońcu.

- Tak, wszystko w porządku - odparła. - Przepraszam, że rano tak niespodziewanie zerwałam się od stołu i wybiegłam... Zrobiło mi się słabo, to wszystko przez ten upał...

- Mam nadzieję, że teraz czujesz się już lepiej. Tu, w cieniu, jest na szczęście chłodniej. - Uśmiechnął się. - Mogę usiąść obok ciebie?

- Oczywiście.

Zauważyła, że jego twarz przybrała już głęboki odcień opalenizny, skutek gorącego argentyńskiego słońca. Ubrany był w strój do konnej jazdy - koszulkę polo, białe bryczesy i długie buty z lśniącej brązowej skóry.

- Grasz w polo? - zapytała.

- Grywałem czasem w Anglii. - Zaśmiał się cicho. - Trudno byłoby jednak zaliczyć mnie do najlepszych graczy...

- Tutaj na pewno szybko nabierzesz wprawy. Argentyna jest ojczyzną polo.

- gram w tenisa i mam niezły refleks, więc myślę, że z czasem rzeczywiście poprawię swoje umiejętności. Staram się dużo trenować.

- To świetnie... - Audrey utkwiała wzrok w rozciągającym się przed nimi terenie. - Podoba ci się tutaj?

- Bardzo. Czuję się jak w domu. Dookoła uroczy ludzie i idylliczny styl życia... W tej części świata niebo jest bezchmurne, wolne od powojennego przygnębienia...

- Słyszałam, że wróciłeś jako bohater. - Przez cały czas zastanawiała się, jak skłonić Cecila, aby opowiedział o Louisie. - Musisz być bardzo odważny...

- Człowiek nigdy nie wie, jaka będzie jego reakcja na świst kul i wybuchy pocisków. Bałem się, że odkryję w sobie tchórza, ale wojna uczyniła ze mnie mężczyznę.

- Wszyscy mówią o twoim bohaterstwie, a zwłaszcza pułkownik Blythe. Staruszek szczerze cię podziwia.

Cecil się roześmiał.

- Ja też bardzo go lubię.

- Louis nie walczył na wojnie, prawda? - zapytała.

Dobrze znała odpowiedź na to pytanie, lecz potrzebowała jakiejś wymówki, aby wspomnieć o Louisie. Twarz Cecila natychmiast poszarzała, w kąciku jego warg zadrgał mięsień.

- Louis różni się od innych mężczyzn - powiedział.

- Na tym polega jego urok - rzekła Audrey, odwracając twarz, aby ukryć rumieniec, który palił jej policzki.

- Jesteś wyjątkową osobą, jeżeli dostrzegasz jego urok, - W głosie Cecila zabrzmiało prawdziwe zdumienie.

Życzliwe dla Louisa słowa Audrey natchnęły go chęcią do zwierzeń.

- Czasami tracę wszelką nadzieję... - jęknął. - Bardzo martwię się o Louisa, o jego przyszłość...

- Ale przecież Louis dobrze sobie radzi w firmie taty. Prawda?

Cecil potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Jesteś bardzo miła, naprawdę. Louis dostaje pensję, ponieważ twój ojciec jest szlachetnym i hojnym człowiekiem. W gruncie rzeczy mój brat chce tylko marzyć i grać na fortepianie. Gdyby nie muzyka, już dawno uznałbym, że do niczego się nie nadaje, ale w tej dziedzinie jest rzeczywiście bardzo utalentowany. Szkoda, że nie może odnaleźć w sobie żadnych innych umiejętności. Widzisz, Louis nie chce pracować... Mógłby zostać jednym z najlepszych pianistów i dawać koncerty na całym świecie, jestem o tym głęboko przekonany. Mógłby także uczyć muzyki i komponować, ale brak mu siły woli i dyscypliny. Zamiast zrobić jakiś zdecydowany krok, siedzi w dusznym biurze i szkicuje karykatury. Żyje we własnym świecie, do którego nikt nie ma dostępu. Nawet ja.

Serce Audrey zabiło mocniej, ponieważ wiedziała, że Louis zaprosił ją do tego świata, a ona przekroczyła jego granicę i po czuła się tam jak u siebie. Cecil wyglądał na tak zatroskanego, że miała ochotę mu o tym powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. W jego oczach dostrzegła podziw, jakim ją darzył i w żadnym razie nie chciała go zranić. Wcześniej sprawiał wrażenie pewnego siebie i całkowicie opanowanego, lecz teraz, gdy mówił o Louisie, wydał jej się smutny i przygnębiony.

- Zawsze był taki? - zapytała, podnosząc z ziemi liść i rozcierając go między palcami, aby uwolnić charakterystyczny zapach eukaliptusa.

- Tak. Zawsze wolał bawić się sam niż z innymi dziećmi. Nigdy nie miał przyjaciół ani bliskich znajomych. Budził się do życia tylko wtedy, gdy grał. W naszym salonie stał duży fortepian mamy i Louis spędzał przy nim długie godziny. Komponował melodie, jeszcze zanim nauczył się czytać nuty. Potrafił zagrać wszystko - wystarczyło zagwizdać jakąś frazę, a on natychmiast tworzył z niej niewiarygodnie piękny utwór. Nie mam pojęcia, skąd wziął się u niego ten dar, bo nasi rodzice nie są szczególnie muzycy. Mama gra wyłącznie dlatego, że rodzice zmuszali ją do nauki, lecz Louis nosi muzykę w sercu... Kiedy wybuchła wojna, nie zgłosił się na ochotnika, w przeciwieństwie do innych młodych ludzi w jego wieku. Dla ojca, który walczył w czasie pierwszej wojny światowej i został

odznaczony za odwagę, był to wielki cios. Ojciec jest bardzo dumnym człowiekiem i nigdy nie rozumiał Louisa. Mama, bardziej wrażliwa i czuła, robiła co w jej mocy, aby pojąć, co kieruje Louistem i znaleźć jakieś wytłumaczenie jego postępowania, ale nawet ona poddała się, kiedy mój brat zamknął się w sobie.

- A Cicely?

- Och, nasza siostra odziedziczyła charakter taty i zawsze wstydziła się Louisa. W dzieciństwie udawała, że Louis został adoptowany i powtarzała to tak często, aż w końcu sam prawie zacząłem w to wierzyć. Louis bardzo się od nas różni.

- Jakie to okrutne... - szepnęła Audrey. - Czy Louis o tym wiedział?

- Obawiam się, że tak, lecz chyba nigdy mu to nie przeszkadzało. Wydaje mi się, że czuł się wśród nas dosyć obco, zapewne dlatego, iż w gruncie rzeczy on nie chce być z nikim związany. Zabrałem go z sobą do Argentyny, bo przyszło mi do głowy, że nowe miejsce dobrze mu zrobi. Miejsce, gdzie nikt go nie zna i gdzie mógłby zacząć życie od nowa...

Audrey rzuciła mu pełne podziwu spojrzenie.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem - powiedziała z przejęciem. - Louis ma szczęście, że chcesz się nim opiekować...

- Robię, co mogę, chociaż czasami zastanawiam się, po co, Louis wcale nie jest mi za to wdzięczny, poza tym boli mnie, kiedy słyszę, jak ludzie go krytykują.

- Krytykują go i są nieuprzejmi, ponieważ mają ograniczony sposób myślenia. To niewielka społeczność i jeżeli ktoś nie postępuje według ustalonych reguł, staje się wyrzutkiem. Louis nie jest pierwszym takim przypadkiem - rzekła Audrey, znowu wracając myślami do Emmy Letton.

- Boję się, że Louis nie ma tu szans...

- Ależ ma, uwierz mi! W końcu zdobędzie ich sympatie, zobaczysz. Nigdy nie słyszałam, aby ktoś grał na fortepianie tak pięknie jak on. Poza tym Louis nie jest dziwakiem, jedynie nie co ekscentrycznym artystą. Jest wyjątkowy, utalentowany, nie zwykły...

- Jesteś cudowna - wyznał Cecil, czując, że Audrey do końca podbiła jego serce. - Dotrzymasz tajemnicy, jeśli ci ją powierzę?

Z powagą skinęła głową.

- Obiecuję.

Cecil zapatrzył się w spowity niebieskawą mgiełką horyzont. Z całego serca pragnął wstąpić do wojska, ale nie pozwolono mu. Chodziło o jego zdrowie.

- Co mu jest? - zapytała niespokojnie.

Cecil westchnął ciężko, świadomy, że wkracza na teren znany jedynie najbliższej rodzinie. Chwile się wahał, walcząc z wyrzutami sumienia, lecz w końcu odrzucił wątpliwości.

- Kilka lat temu Louis przeszedł załamanie nerwowe - rzekł cicho. - Spędził parę miesięcy w szpitalu. Był w głębokiej depresji. Sęk w tym, że w trudnych sytuacjach Louis po prostu nie wytrzymuje napięcia. Nie można na nim polegać, rozumiesz?

- Rozumiem... - odparła powoli. Jej serce zalała fala współczucia dla dotkniętego nieszczęściem młodego człowieka. - Jestem pewna, że miłość mogłaby go uleczyć - dodała po chwili. - Louis potrzebuje kogoś, kto by go kochał i opiekował się nim...

- Nie ma osoby, która nie potrzebowałaby kogoś takiego - powiedział łagodnie Cecil, patrząc uważnie na Audrey.

- Ale Louis jest zbyt wrażliwy, aby poradzić sobie w tym okrutnym świecie... - Jesteś bardzo młoda, a jednak tak dobrze to rozumiesz... Skąd się bierze twoja mądrość?

Audrey roześmiała się, nie potrafiąc ukryć zawstydzenia.

- Nie jestem mądra.

- Jesteś, chociaż może nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- Dużo czytam, wszystko, co wpadnie mi w ręce. Głównie powieści, setki powieści. Widać literatura potrafi nauczyć nas czegoś o życiu...

- Najwyraźniej - rzekł poważnie.

- Dziękuję... - wyszeptła.

- Nie, to ja dziękuję tobie. Ostatnio czułem się naprawdę fatalnie, a ty podniostaś mnie na duchu. Z przyjemnością przyjdę na twoje urodzinowe przyjęcie dziś wieczorem.

- Ja też cieszę się, że tam będziesz.

- Obiecasz mi jakiś taniec?

- Oczywiście.

Długą chwilę milczeli.

- Czy mogę cię jeszcze o coś poprosić? - odezwał się Cecil, lekko marszcząc brwi i przechylając głowę.

Audrey kiwnęła głową.

- Nie chcę sprawiać ci kłopotu, ale...

- Nie wahaj się, bardzo proszę. Chętnie spełnię twoją prośbę - powiedziała, mając nadzieję, że Cecil nie zażąda niczego, czego nie mogłaby spełnić.

- Zatańczysz z Louisem?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Naturalnie... - odparła z lekkim uśmiechem, którego nie zdołała powstrzymać.

- Jeżeli ty dasz przykład i okażesz, że akceptujesz Louisa, inni pójną za twoim przykładem, jestem tego pewny. Wszyscy bardzo cię tu cenią i szanują...

- Nie martw się, z przyjemnością zatańczę z Louistem.

Cecil wyraźnie się odprężył. Z jego piersi wyrwało się westchnienie ulgi i wdzięczności.

- Masz wyjątkowy charakter - powiedział. - Nikt inny nie okazał Louisowi tyle zrozumienia. On ci za to raczej nie podziękuje, ale ja robię to teraz w jego imieniu...

- Nie musisz mi dziękować - odrzekła. - Każdemu trzeba dać szansę. - Nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Cecil uznał ją za najlepszą i najłagodniejszą istotę, jaką kiedykolwiek spotkał. Później, gdy galopował po boisku do gry w polo, wciąż o niej myślał, a jego serce przepełnione było taką radością, że chybione uderzenia i błędne manewry nagle zupełnie przestały mu przeszkadzać. Wreszcie znalazł kobietę; z którą chciał spędzić resztę życia.

Dla Audrey kąpiel zawsze stanowiła zmysłowe przeżycie. Leżała w pachnącej różanym i lawendowym olejkiem wodzie, otoczona kłębamii pary i pogrążona w świecie marzeń. Z korytarza dobiegał ostry głos Isli kłócącej się z Albertem, lecz Audrey przebywała w dalekiej krainie razem z Louistem. Siedzieli na szczycie zielonej góry, tak wysoko, że w każdej chwili mogli dotknąć nieba. Audrey nie potrafiła przestać myśleć o muzyce, ja ką razem stworzyli i o jego słowach, które tak skutecznie przeniosły ją w inną rzeczywistość. Zamknęła oczy i przeżywała Każdą chwilę tak intensywnie, jakby wszystko to działo się raz jeszcze. Widziała jasne jak piasek włosy Louisa i w wyobraźni przeczesywała je palcami, wdychając korzenny, męski zapach skóry. Dotykała jego twarzy, linii biegnących od zewnętrznych kąćków oczu ku skroniom i drobnych zmarszczek pod oczami, które pojawiały się, kiedy się śmiał. Odnajdywała bruzdy, które smutek i melancholia wyryły na twarzy, i całowała je lekko, próbując zatrzeć żyjące w nich przykre wspomnienia. Ocknęła się dopiero, gdy woda prawie wystygła, a para osiadła na lustrze dużymi kroplami. Podniosła powieki i niechętnie wróciła do rzeczywistości. Wiele razy czytała o cierpieniach miłości, lecz teraz już rozumiała, co znaczą te słowa. Bolało ją całe ciało, a w sercu wzbierała ogromna fala uczucia. Wiedziała, że matka byłaby zrozpaczona i oburzona, gdyby znała jej myśli, i nie próbowała nawet wyobrazić sobie, co powiedziałyby Krokodylice, gdyby wiedziały, że jej serce wyrwa się do Louisa. Nie była jednak w stanie zapanować nad uczuciem. Potrafiła myśleć wyłącznie o Louisie. Wielką jadalnię w klubie Hurlingham bogato przystrojono kwiatami lili i gardenii, kiściami bzu i złotogłowiu, które przy ćmiły zapach starych mebli uderzającą do głowy świeżą wonią. Otwarte duże drzwi wychodziły prosto na ogród, skąpany w bursztynowym świetle wieczoru i wilgotny od rosy. Audrey stała na progu razem z siostrą i patrzyła, jak słońce zachodzi na różowym nieboskłonie.

Obie zlekcewały najmodniejsze fryzury i rozpuściły włosy, które ciężkimi falami opadały aż do delikatnie podkreślonych krojem sukni bioder. Ich jedwabne kreacje sięgały ziemi i szeleściły jak jesienne liście, łagodnie odstawiając ramiona dziewcząt i ich wspaniałą skórę. Suknia Isli była szmaragdowozielona, jak jej oczy, natomiast Audrey szafirowa. Obie siostry włożyły długie rękawiczki.

- Uwielbiam tę porę dnia... - westchnęła Audrey myśląc o Louisie. - Jest taka romantyczna... Zawsze pragnę, aby trwała bez końca, lecz ona mija w jednej chwili i znika wraz z całym tym pięknem... Chyba podoba mi się tak bardzo właśnie dlatego, że jest ulotna...

- Z kim będziesz tańczyć? - zapytała Isla, zbyt ożywiona i podekscytowana, aby rozmawiać o zjawisku tak codziennym jak zachód słońca. - Bo ja zamierzam tańczyć ze wszystkimi. Przetańczę całą noc, bez chwili przerwy. Nie usiądę nawet na sekundę. Ty będziesz tańczyła z Cecilem, prawda?

- Może... - odparła Audrey ostrożnie. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Był tylko jeden mężczyzna, z którym pragnęła tańczyć.

- To twoje urodziny, więc możesz tańczyć, z kim chcesz! - Isla się roześmiała.

- Jestem z was bardzo dumny, dziewczęta - powiedział Henry Garnet, podchodząc do nich z głębi sali.

Jego błyszczące czarne buty wystukiwały na podłodze charakterystyczny, precyzyjny rytm. Isla i Audrey odwróciły się i obdarzyły go pełnym miłości uśmiechem.

- Moje piękne młode damy - dodał, oddając hołd ich rozkwitającym figurom i urodzie. - Przynosicie mi zaszczyt, naprawdę.

Dziewczęta ogarnęła duma, ponieważ ojciec rzadko chwalił, ale kiedy już to robił, można było mieć pewność, że jest szczery. Nawet Isla, która często lubiła postępować wbrew zakazom, czuła radość, gdy udało jej się sprawić ojcu przyjemność.

- Jeszcze niedawno byliście małymi dziewczynkami - ciągnął Henry, dziwiąc się szybkiemu upływowi czasu. - Na pewno wiesz, Audrey, że niedługo po twoich narodzinach Argentynę odwiedził książę Walii oraz jego brat, książę Jerzy. Mam wrażenie, że zaledwie wczoraj tańczyłem z twoją matką w tej sali, gdy tym czasem ty spałaś w swoim małym łóżeczku w naszym domu...

- Mama tańczyła najpiękniej ze wszystkich pań, prawda? - wtrąciła Audrey z nieco pobłażliwym uśmiechem.

Słyszała tę historię już wiele razy. Henry Garnet wyprostował się, wyraźnie zadowolony.

- Tak jest - odparł. - Nie znam nikogo, kto dorównywałby w walcu waszej matce...

- A ciotki Edna i Hilda? - Isla uśmiechnęła się z tak prowokacyjną złośliwością, że jej dorosta tego wieczoru twarz nagle przeistoczyła się w zabawną dziecienną buzię.

Henry nie potrafił ukryć rozbawienia na wspomnienie obłego ciała ciotki Edny, niezgrabnie kołyszącego się w tańcu z jakimś szlachetnie usposobionym mężczyzną; który zaprosił ją na parkiet, oraz ciotki Hildy, tak chudej i wysuszonej, że wyglądała, jakby wibracje muzyki mogły złamać ją na pół.

- Waszym ciotkom brak naturalnej gracji ruchów mamy - odparł w końcu dyplomatycznie.

Isla roześmiała się głośno.

- One obie w ogóle nie są zbyt naturalne - zachichotała.

Ojciec chętnie jej zawtórował.

- Nie wydaje ci się, że jesteś trochę niesprawiedliwa? Macie szczęście, że odziedziczyłyście wdzięk mamy. Audrey, chciałbym zaprosić cię do pierwszego tańca tego wieczoru...

Twarz Audrey rozjaśnił radosny uśmiech,

- Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie - powiedziała.

- Młodzi mężczyźni będą musieli poczekać - dodał Henry.

Widoczna radość córki sprawiła mu ogromną przyjemność. Dzięki niej poczuł się o dobre dwadzieścia lat młodszy. Witając gości, którzy zostawiali urodzinowe prezenty na ustawionym w pobliżu wejścia stole, Audrey szukała wzrokiem jedynej twarzy, której widok miał dla niej znaczenie. Przyszła już ciotka Edna, a zaraz po niej ciotka Hilda ze swoimi czterema niezbyt urodziwymi córkami oraz mężem Herbertem, dostojnie prezentującym wielką białą muszkę i smoking. Zjawily się siostry Pearson, rozczwierkane jak wróble na wiosnę, po nich zaś do klubu wkroczyli pułkownik Blythe i Charlo Osborne, która mimo wieku wciąż wyglądała imponująco w długiej sukni ze srebrnej lamy, z lśniącymi srebryszymi włosami upiętymi na czubku głowy, przystrojonymi perłami. Kiedy pozostałe Krokodylice ujrzały, jak Charlo wchodzi wsparta na ramieniu pułkownika, natychmiast utworzyły ciasną grupkę, plotkując zawzięcie. Stały tak, dopóki pułkownik nie zbliżył się do nich niczym groźny lew i nie rozproszył całej trójki, podobnej do sępów szarpiących kawał nieświeżego mięsa.

Zespół muzyczny zaczął już grać, goście rozmawiali z ożywieniem, a Audrey usiłowała skoncentrować się na tyle, aby pod adresem każdego wypowiedzieć uprzejmą uwagę albo komplement na temat nowej fryzury lub stroju. Wszyscy byli zachwyceni jej urokiem, dobrym wychowaniem i dobrocią.

- Rose, muszę pochwalić twoje córki, a szczególnie Audrey! - zawołała Phyllida Bates ze szczerym podziwem.

Zanim Rose zdążyła jej podziękować, Cynthia Klein, stojąca tyłem do obu pań, odwróciła się nagle, aby podzielić się z nimi swoją opinią.

- Całkowicie zgadzam się z Phyllidą - powiedziała żywo. - Ja także uważam, że to dziewczęta z wielką klasą. Mamy tu nadmiar nieciekawych, przeciętnych dziewczyn, tak że młodzi mężczyźni wolą raczej wrócić na front, niż zostać w domu, ale twoje córki z pewnością stanowią chlubny wyjątek...

Rose zarumieniła się i niespokojnie powiodła w koło spojrzeniem, sprawdzając, czy nikt nie słyszał tych zachwyty.

- Masz rację, Cynthio, chociaż ja chyba nigdy nie wyraziłabym tego w aż tak szczerzy sposób - przytaknęła Phyllida, której wysuszona twarz jeszcze bardziej skurczyła się w złośliwym uśmiechu.

- Uroda to rzecz małej wagi - oświadczyła taktownie Rose, starając się złagodzić sens wypowiedzi swoich rozmówczyń.

Miała nadzieję, że ktoś podejdzie do nich i wyratuje ją z opresji.

- Ale właśnie tę rzecz małej wagi mamy codziennie przed oczami - parsknęła Cynthia. - Co z tego, że dziewczyna ma łagodne, słodkie usposobienie, skoro i tak go nie widać? - ciągnęła z niedelikatnością typową dla starszych ludzi, którzy uważają, że mają święte prawo mówić dokładnie to, co myślą.

Nagle, ku wielkiej uldze Rose, tuż obok niej wyrosła jak spod ziemi wysoka postać Cecila Forrestera.

- Dobry wieczór - powiedział, kłaniając się uprzejmie. Potem odwrócił się do stojących w pobliżu Krokodylic i przywitał się z nimi.

- Wspaniały wieczór - rzekł do Rose.

- Rose z przyjemnością podziękowała mu za uwagę pod adresem przyjęcia i dekoracji sali.

- Oto przyzwoity młody człowiek! - ucieszyła się Cynthia, która bynajmniej nie zamierzała tak nagle zakończyć rozmowy z Rose Garnet. - Mój drogi Cecilu. w tej sali znajduje się młoda kobieta, która w pełni zasługuje na twoje względy. Radzę, abyś zajął się nią, zanim zrobi to ktoś inny.

Policzki Rose znowu oblał ciemny rumieniec.

- Stawia mnie pani na piedestale, do którego wcale nie mam prawa, pani Klein - zaproponował delikatnie Cecil.

- Ależ masz, mój drogi! - wtrąciła się Phyllida.

- Mam nadzieję, że poprosiłeś już o taniec najważniejszą osobę tego wieczoru - dorzuciła Cynthia, rzucając Cecilowi znaczące spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Naturalnie - zapewnił ją i odwrócił się do Rose. - Taniec z Audrey będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem...

- Bardzo się cieszę - odrzekła, nie kryjąc zmieszania. - Nie słuchaj Cynthii, jest stanowczo zbyt uprzejma...

- Dajże spokój, Rose, dobrze wiesz, że zawsze mówię to, co myślę. Phyllida może to potwierdzić.

- Nie muszą panie przekonywać mnie o zaletach Audrey. - Cecil poszukał wzrokiem bohaterki dnia.

- Chodźmy, Cecilu, wiem, że mój mąż chciałby się z tobą przywitać. - Rose wybrała dobry moment, aby zostawić starsze panie. - Wybaczcie nam... - powiedziała do Krokodylic.

Ledwo odeszła, a już szacowne damy zaczęły rozglądać się po sali w poszukiwaniu następnej ofiary.

Kiedy Audrey ujrzała Louisa wśród migotliwej piany jedwabnych kreacji i eleganckich muszek, znowu przepełniło ją uniesienie, jakie czuła po tamtym koncercie na cztery ręce. Nie zdołała powstrzymać ani szerokiego uśmiechu, który natychmiast rozpromienił jej twarz, ani rumieńca. Louis także dostrzegł ją w tłumie i odpowiedział uśmiechem rozbijającym w swojej szczerości i czułości. Ogarnęło ją nagle przekonanie, że Louis przyszedł tu wyłącznie dla niej. W tej krótkiej chwili, kiedy ich

otwarte spojrzenia ujawniły uczucia, których nie potrafili dłużej tłumić, oboje odnieśli wrażenie, że znają się od wieków, chociaż przecież spotkali się tak niedawno. Wśród gwaru rozmów i wybuchów śmiechu Louis i Audrey bez słów wyznali sobie miłość i przysięgli wierność. Stali tak długo, bo żadne nie chciało od wrócić wzroku i odejść.

Zespół muzyczny zagrał pierwszego walca, którego Audrey musiała zatańczyć z ojcem. Nie miała nic przeciwko temu, ponieważ wciąż czuła na sobie wzrok Louisa. Jego spojrzenia prowadziły ją po parkiecie, czuła się nimi uskrzydłona. Henry Garnet chwilami miał wrażenie, że czas cofnął się o osiemnaście lat i oto znowu tańczy ze swoją żoną, na bankiecie wydanym z okazji wizyty księcia Walii. Audrey nie przeczuwała, że z drugiego końca sali z zachwytem wpatruje się w nią Cecil. Rozmowa z Rose dodała mu odwagi i teraz był pewny, że za jakiś czas może śmiało zaprosić Audrey na kolację tylko we dwoje. Oczywiście, najpierw poprosi o pozwolenie jej ojca. ale nie obawiał się odmowy. Miał dobre, honorowe zamiary - chciał spędzić z Audrey całe życie.

Audrey siedziała przy stole między Cecilem i Jamesem Pearsonem, starszym bratem bliźniaczek. Nadal nie miała okazji po rozmawiać z Louisem, gdyż zaraz po pierwszym walcu na parkiet wyprowadził ją wuj Herbert, trzymając ją w obleśnym uścisku przez dwa tańce, potem zaś Cecil, który cierpliwie czekał na swoją kolej z dyscypliną godną oficera; wyprostowany jak struna, z podniesioną głową. Audrey nie musiała rozglądać się w poszukiwaniu Louisa, aby upewnić się, że jej ukochany ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku. Wiedziała, że na nią patrzy, ponieważ jego spojrzenie ogrzewało ją jak promień słońca, więc uśmiechała się promiennie, szczęśliwa i spokojna. Cecil był przekonany, że uśmiech Audrey przeznaczony jest dla niego, bo wpatrywała się w jego twarz z takim skupieniem i uwagą, jakby na sali nie było nikogo innego.

Cecil przyniósł Audrey talerz pełen rozmaitych przysmaków. Dziewczyna dałaby wszystko, aby wstać od stołu i poszukać Louisa, lecz nieświadomy niczego Cecil starał się zabawić ją najlepiej, jak umiał. Wreszcie, nie widząc nigdzie ukochanego. Audrey przeprosiła Cecila i pobiegła do toalety, gdzie wpadła na rozchichotaną Isłę.

- Och, gdybyś wiedziała... - wysapała Isła. - Tańczyłam z wujem Herbertem i daję słowo, że w kieszeni miał orzech...

- Orzech w kieszeni? - zdziwiła się Audrey, podchodząc do lustra.

- Tak, orzech, rozumiesz? Orzech! - powtórzyła Isła. Jej zielone oczy płonęły rozbawieniem. Znowu zaniósła się śmiechem. Audrey nagle zrozumiała, o co chodzi siostrze, i ze zmieszaniem pokręciła głową.

- Obrzydliwe! - zawołała. - Przecież to nasz wuj

- To był żałośnie mały orzeszek! - uzupełniła Isła. - Nie dziwię się, że ciotka Hilda jest bezustannie wściekła...

- Isła!

- Co mogę na to poradzić? Taka jest prawda. Malutki orzeszek wuja Herberta nie zadowoliliby nawet myszki!

- Chyba znowu za dużo wypiałś. - Audrey westchnęła, zapominając o własnym niepokoju i skupiając uwagę na rozgorączkowanej twarzy siostry.

- Nigdy więcej z nim nie zatańczę - ciągnęła Isla. - Na co komu mężczyzna z małym orzeszkiem? Muszę opowiedzieć o tym ciotce Ednie! Będzie zachwycona!

Isla wybiegła z toalety, zostawiając Audrey przed lustrem, wpatrzoną w odbicie swojej bladej twarzy. Wieczór wkrótce się skończy, a ona wciąż jeszcze nie tańczyła z Louistem...

Kiedy wyszła, nagle ujrzała go przed sobą, pogodnego i roześmianego. Drgnęła nerwowo, ponieważ nie mogła oprzeć się wrażeniu, że odczytał jej myśli. Jego oczy spoczęły na niej z czułością, a usta uśmiechnęły się ze zrozumieniem. Może rzeczywiście czytał w myślach, kto wie...

- Nie powinienem czekać na ciebie w takim miejscu, za drzwiami damskiej toalety, ale znikłaś na tak długo, a Cecil powiedział, że obiecałaś mi taniec - odezwał się, unosząc jedną rękę.

Audrey się roześmiała, trochę wbrew sobie. Dotknęła dłońmi rozgrzanych nagłym rumieńcem policzków i podeszła do niego.

- Czekałem na to cały wieczór - dodał Louis i ujął jej rękę.

Oboje poczuli, jak przeskoczyła między nimi gorąca iskra, tak samo jak wtedy, gdy ich dłonie zetknęły się po raz pierwszy. Audrey była wdzięczna losowi, że nosi satynowe rękawiczki, nie mogła bowiem oprzeć się wrażeniu, że gdyby dotknęła jego skóry gołą ręką, straciłaby resztkę rozsądku. Żar jego ciała przenikał przez materiał i stopniowo ogarniał ją całą, gdy powoli płynęli przez salę.

- Chyba nie zwątpiłaś we mnie? - zapytał poważnie, mocniej biorąc ją w ramiona.

Odurzona jego fizyczną bliskością, zdołała jedynie potrząsnąć głową i uśmiechnąć się. Czula zapach jego skóry, a w głowie aż szumiało od myśli, które nigdy nie powinny były się tam pojawić.

Pozwolili prowadzić się muzyce, patrząc sobie głęboko w oczy.

Sunęli płynnie, nieświadomi szmeru podziwu i zaskoczenia, który przeszedł po sali. Nikt się nie spodziewał, że ekscentryczny Louis Forrester umie tańczyć z taką gracją. Przez chwilę nawet Krokodylice widziały nie zakurzony frak i niewyczyszczone buty młodego człowieka, lecz jego przystojną twarz i piękne, rozświetlone uniesieniem oczy.

- Mój drogi, całkiem możliwe, że twój brat nie potrafi odróżnić lufy od kolby karabinu, ale z pewnością doskonale radzi sobie w tańcu... - mruknął do Cecila pułkownik Blythe, potrząsając szklaneczką do połowy wypełnioną kostkami lodu. - Kto by pomyślał, Louis Forrester...

Cecil poczuł ukłucie zazdrości, lecz zaraz przypomniał sobie, że to on poprosił Audrey, aby zatańczyła z jego bratem. Nagle po żałował, że to zrobił, chociaż nie był do końca pewien, czego właściwie dotyczy ten żal.

Audrey nie czuła nic poza dotykiem dłoni Louisa na swoich plecach i ciepłem jego ciała. Była w pełni świadoma, że nigdy do tąd nie tańczyła tak dobrze jak w tej chwili. Płynęli przez salę spleceni w uścisku, niczym jedna istota, zupełnie jakby przetańczyli ze sobą nie jeden taniec lecz życie, i znali

reakcje partnera równie dobrze jak własne. Gdy taniec dobiegł końca, Louis bez wahania wyprowadził Audrey do ogrodu, gdzie wreszcie mogli być sami.

Jasny księżyc oświetlał trawnik i uśmiechał się do nich z bezchmurnego, usianego gwiazdami nieba. Powietrze było wilgotne i ciężkie od zapachu mokrej od rosy trawy oraz kwiatów gardenii. Louis nie uwolnił dłoni Audrey, lecz nadal trzymał ją mocno. Powoli oddalali się od budynku, aż wreszcie muzyka stała się tylko cichym szmerem i ze wszystkich stron otoczyła ich tajemnicza cisza nocy. Wtedy Louis przystanął i ujął także drugą dłoń dziewczyny.

- Jestem w tobie głęboko zakochany - powiedział, ściskając jej palce, aby podkreślić wagę słów. Potrząsnął głową i ciężko westchnął. - Czuję ogromne uniesienie, a jednocześnie taki smutek, jaki ogarnia mnie w obliczu niepowtarzalnie pięknego zachodu słońca lub magicznego widoku... To melancholia...

Audrey patrzyła na niego, wzruszona szczerością i wrażliwością.

- Czuję to samo - odparła otwarcie.

- Ogarnia cię melancholia? - zapytał, z czułością wpatrując się w jej oczy.

- Nie, czuję miłość - rzekła.

Ku swemu zdumieniu nie zaczerwieniła się; nie zadrżała ani nie zająknęła. Roześmiała się, kiedy Louis impulsywnie chwycił ją w ramiona i mocno objął. Potem jego wargi musnęły delikatną skórę jej szyi. Zadrżała, czując igielki zarostu. Zakręciło jej się w głowie i aby nie osunąć się na ziemię, musiała przytulić się do niego z całej siły i otoczyć go ramionami.

- Dlaczego czuję smutek? - wyszeptał jej do ucha.

- Ponieważ piękne rzeczy zawsze budzą w nas to uczucie - odpowiedziała, zamykając oczy i opierając czoło o jego czoło.

- Dlaczego?

- Chyba dlatego, że nie możemy zatrzymać ich na zawsze.

- Tak... - szepnął. - Są ulotne jak tęcza lub zachód słońca. Nic, co piękne, nie trwa wiecznie. Może dzieje się też tak dlatego, że piękno przypomina nam, skąd pochodzimy i wtedy nasze dusze wrywają się do powrotu...

- Może...

- Wierzysz w Boga? - zapytał.

- Tak.

- Ja także. A w przeznaczenie?

- Tak...

- Wierzę, że Bóg stworzył nas dla siebie - powiedział Louis. - I wierzę, że przeznaczenie sprowadziło mnie do Argentyny, abyśmy mogli się spotkać...

Audrey roześmiała się cicho.

- Zrozumiałem to w chwili, gdy cię ujrzałem - ciągnął. - To było olśnienie, jak grom z jasnego nieba, nagłe i zupełnie niespodziewane. Myślałem o tobie, kiedy nie było cię w Buenos Aires, te myśli nie opuszczały mnie ani na chwilę. Tęskniłem za tobą. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest, ale czuję, że jesteś jedyną osobą, która mnie rozumie. Jedyną osobą, w której obecności potrafię być sobą. Przy innych jestem kimś, kogo sam nie rozumiem... Kiedy byłeś w Urugwaju, miałem mnóstwo czasu, aby to wszystko przemyśleć. Zastanawiałem się, czy patrzysz na to samo niebo i czy myślisz o mnie. Widzieliśmy się tylko raz. a jednak twoja twarz utkwiła mi w pamięci, zupełnie jakby jej obraz został tam wryty już wcześniej... Próbowałem zignorować te uczucia, bo przecież twój ojciec jest moim szefem, a ja nie jestem człowiekiem, którego widziałby jako kandydata do ręki córki...

- Wiem... Jesteś zbyt impulsywny i to ci szkodzi.,

- Nie mogłem jednak zignorować swojego serca, chociaż na prawdę się starałem. Kiedy tamtego wieczoru rozmawialiśmy w twoim ogrodzie, nie miałem cienia wątpliwości, że mnie rozumiesz, a gdy graliśmy na fortepianie, utwierdziłem się w tym przekonaniu. Rozumiesz mnie jak nikt inny, prawda?

- Rozumiem cię - odparła cicho, świadoma, jak wielkie znaczenie mają dla niego jej słowa.

- Nie zdajesz sobie jeszcze sprawy, jacy jesteśmy do siebie podobni... - podjął po chwili. - Snujesz marzenia, które wydają ci się niemożliwe do spełnienia, a serce nie mieści się w ciele... Twoje jest wielkie jak ocean, a moje przypomina niebo... Dziękuję Bogu, że znalazłem kogoś o sercu tak wielkim, że może pomieścić moje...

Audrey z trudem przełknęła ślinę.

- Mówisz takie piękne rzeczy... - wyszeptwała.

- To dlatego, że przy tobie czuję ich obecność. Przy tobie muzyka, którą słyszę w głowie, przestaje mnie dręczyć, bo każdą melodię komponuję dla ciebie...

- Początkowo bardzo się ciebie bałam - wyznała Audrey. - Obawiałam się twojego sugestywnego, skupionego spojrzenia. twojej śmiałości i otwartości, porywczosci... Teraz lęk zniknął bez śladu... Chcę objąć cię i zaopiekować się tobą. Jesteś jak rzadko spotykane dzikie, leśne stworzenie... Chcę kochać cię, być przy tobie i dbać o ciebie...

- Teraz ty mówisz najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałem - powiedział Louis i w jego oczach zalśniły łzy.

Nikt nie dbał o niego tak, jak mówiła Audrey, nikt nie chciał trwać przy nim na dobre i na złe. Rodzice zawsze wstydzili się go, ponieważ był inny, tymczasem Audrey pokochała go właśnie z tego powodu. Czuł się jak stargana sztormami mała łódka, która w końcu wpływa do bezpiecznego portu. Kiedy miał przy sobie Audrey, rzeczywistość wcale nie była taka przerażająca... Z nią mógłby zamieszkać w świecie, którego dotąd panicznie się bał.

Kiedy muzyka dotarła do nich wraz z falą aromatu sosnowych igieł i wilgotnej trawy, Louis przytulił Audrey do piersi i zaczął kołysać się w rytm melodii.

- Nie wiem, jak udało mi się przeżyć tyle lat bez ciebie... - westchnął.

Ujął w dłoń jej twarz, bladą i jeszcze piękniejszą w srebrzystym blasku księżycy, i delikatnie pocałował czoło, powieki, a na końcu wargi. Audrey wiedziała, że nie powinna tak szybko pozwolić mu na pocałunek, ale nic ją to nie obchodziło. Zamknęła oczy i pozwoliła, aby całował ją tak, jak całowali namiętni kochankowie w powieściach, które czytała, jak młody Argentyńczyk całował Emmę pod figowym drzewem... Nie była zdenerwowana, czuła tylko łagodny smutek, ten sam, który towarzyszy postrzeganiu rzeczy naprawdę pięknych. Otoczyła Louisa ramionami i podążyła ścieżką, jaką odsłoniły przed nią jej własne zmysły, tak jak wtedy, gdy zgodziła się zagrać z nim na cztery ręce. Wciąż słyszała melodię, którą dla niej skomponował, zafascynowana dziwną magią wibrującą w jej tonach, magią, która raz na zawsze wzięła ją w swoje władanie.

Rozdział piąty

Była piąta rano, kiedy Isla i Audrey przemknęły przez zasnuty cieniami hol. Świt barwił horyzont na różowo i rozświetlał niebo, które jeszcze parę minut temu było zupełnie ciemne. Audrey miała wrażenie, że unosi się nad ziemią, a jej ciało wciąż poruszało się w rytm muzyki, którą przyniósł do ogrodu ciepły, słodko pachnący wiatr. Była olśniona kruchym pięknem rodzącego się poranka, którego jasnobursztynowy blask wydobyl z mroku ulice i domy, przepełnione melancholijnym smutkiem i miłością. Nie czuła zmęczenia. Mogłaby tańczyć przez całą noc, tam w ogrodzie, wśród grających świerszczy i stojących na straży tego magicznego miejsca platanów, które szerokimi liśćmi osłoniły zakazany taniec dwojga młodych przed zgorszonymi spojrzeniami gości. Louis pocałował ją i to sprawiło, że teraz czuła się inna, jakby pocałunek otworzył jej oczy na nowy, piękniejszy świat. Rozglądając się dookoła, widziała wszystko wyraźniej i dokładniej, chociaż jednocześnie miała wrażenie, że złe strony rzeczywistości znikły wraz z nocą. Pragnęła z całego serca dziękować Bogu za to, że dał jej Louisa.

Isla także nie była zmęczona. Tańczyła bez przerwy i przechodząc z ramion jednego partnera w drugie, nawet nie zauważyła nieobecności siostry. W pełni zdawała sobie sprawę, że jest jedną z najpiękniejszych dziewcząt w sali i delektowała się zachwyconymi spojrzeniami mężczyzn. Teraz weszła za Audrey do jej pokoju i padła na łóżko.

- Och, przeżyłam boską noc! - westchnęła melodramatycznie, jednym ruchem zrzucając pantofelki. - Szkoda, że już się skończyła...

- Ja także bardzo tego żałuję - odparła szczerze Audrey, ukrywając swój sekret za wieloznacznym uśmiechem.

- Widziałam, że tańczyłaś z Cecilem...

- Tak.

- I siedziałś obok niego w czasie kolacji...

- Tak.

- Na pewno jesteś bardzo szczęśliwa. Cecil ma wypisane na twarzy, że jest w tobie śmiertelnie zakochany. - Isla zachichotała. - Ach, jaki on jest przystojny...

- Wyjątkowo - przyznała Audrey, rozpinając błyskawiczny zamek sukni i narzucając na ramiona szlafrok.

- Ma też w sobie coś ujmująco miłego, jakąś wrażliwość, której wcześniej nie zauważyłam. - Na moment wróciła myślami do rozmowy, jaką od byli przed południem.

- Skoro tak mówisz... - Isla się zaśmiała. - Na szczęście Cecil nie jest w moim typie...

- A kto jest?

- Nikt - odparła nonszalancko. - Nie interesuje mnie miłość.

- Ależ oczywiście, że cię interesuje - powiedziała Audrey. - Jesteś atrakcyjna, piękna i pełna życia, i z pewnością zwróciłaś już na kogoś uwagę...

Isla westchnęła i utkwiała wzrok w suficie.

- Wcale nie - oświadczyła w końcu nieco aroganckim tonem. - Próbowałam znaleźć kogoś, kto by mi się podobał, na prawdę, ale żaden mężczyzna nie jest w stanie mnie poruszyć...

- Na razie. - Audrey usiadła przy toalecie i zaczęła szczotkować długie włosy koloru miodu.

- Wolałabym chyba mieć psa - mruknęła Isla. - Wielkiego, kudłatego psa... Wiesz dlaczego? Bo psy nie żądają zbyt wiele, nie wpadają w zazdrość i zadowolają się czułym pocałunkiem w głowę. Tak, zdecydowanie wolałabym psa...

- Czasami opowiadasz takie zabawne rzeczy... - Audrey parsknęła śmiechem.

- Mama jest zachwycona Cecilem. Uważa, że będzie dla ciebie idealnym mężem.

- Wydaje mi się, że jej zachwyty są trochę przedwczesne. Jeszcze nawet nie trzymaliśmy się za ręce...

- Ale tańczyliście...

- Tak. ale...

- Taniec bywa podobny do fizycznej miłości - oświadczyła prowokacyjnie Isla, przyglądając się siostrze spod zmrużonych powiek.

Szczotka znieruchomiała na włosach Audrey. Dziewczyna utkwiała spojrzenie w swoim odbiciu. Z trudem poznawała kobietę, która patrzyła na nią w pełni świadoma swego uroku. Tak. w ramionach tego jedyne taniec był wyrazem miłości i fizycznej fascynacji... Dwa ciała poruszające się w tym samym rytmie. dwa serca wyrrywające się do siebie z ocierających się o siebie piersi... Siostra nie miała pojęcia, jak trafne było jej porównanie.

- Czy mogę dzisiaj spać z tobą? - zapytała Isla, wtulając głowę w poduszkę.

Audrey zmarszczyła brwi.

- Ostatni raz spałyśmy w jednym łóżku, kiedy byłyśmy małe...

- Wiem, ale dziś mam ochotę przytulić się do ciebie. Jesteś moją siostrą i czuję, że dorastasz i oddalasz się ode mnie. Nie długo wyjdiesz za mąż i już nigdy nie będziemy naprawdę same, tylko we dwie, razem przeciwko całemu światu... Ja zostanę sama, a ty będziesz stawiała czoło przeciwnościom razem z Cecilem, w cudownej krainie szczęśliwych małżeństw...

Audrey roześmiała się głośno.

- Dobrze, skoro ci na tym zależy...

- Na dobrą sprawę nie warto się już kłaść do łóżka. - Isla ziewnęła szeroko. - Jeżeli Albert nas obudzi, rozszarpie go ze złości...

- Albert zajrzy do twojego pokoju, zobaczy puste łóżko i pomyśli, że jeszcze tańczysz.

- Bo naprawdę będę tańczyła, tyle że we śnie...

Audrey wśliznęła się pod lekkie przykrycie i zamknęła oczy. Ona też nadal tańczyła, wirowała w ramionach Louisa wśród za sypanych liśćmi ścieżek wyobraźni. Kiedy gorące ciało Isli przyłgnęło do jej pleców, Audrey prawie już spała. Kołyszac się na krawędzi snu, poczuła nagle, że obecność siostry koi jej nerwy, a cichy oddech układającej się wygodnie Isli bardzo ją uspokaja. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby teraz leżała w objęciach Louisa. Myślała o tym tak intensywnie, że zupełnie odgradziła się od rzeczywistości i otworzyła umysł na cudowny świat sennych marzeń.

Leżała w ramionach Louisa na strychu jakiegoś domu, który w złudnym świetle podświadomości wydawał jej się dziwnie znajomy. Patrzyła w jego pochyloną nad sobą, pełną czułości twarz. Louis obsypywał ją pocałunkami i wypowiadał pieszczotliwe słowa w języku stworzonym przez nich samych, nieznanym nikomu innemu. Słyszała dobiegające z zewnątrz dźwięki tanga i miała wrażenie, że muzykanci grają je pod oknem, wyłącznie dla nich. Delektowała się słodkim, ciepłym poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawały jej ramiona Louisa, oraz niezachwianą pewnością, że należą do siebie, złączeni wieczną, nierozzerwalną więzią. Nagle tango ucichło, a muzykanci zaczęli wybijać zimny, metodyczny rytm wojskowego marsza. Twarz Louisa w jednej sekundzie przeistoczyła się w twarz Cecila i jego pieszczoty stały się niepożądane. Audrey zdrętwiała i cała skuliła się w sobie, lecz nie próbowała uciec, ponieważ wiedziała, że doświadcza tego, co sama wybrała.

Lodowate szpony przerażenia wbiły się w jej serce i w tej chwili się obudziła. Otworzyła oczy i z uczuciem ogromnej ulgi spojrzała na jasnoblękitne ściany sypialni. Lniane zasłony kołysały się lekko, światło poranka wpadało do środka wraz z wiatrem, z ptasiego drzewa niósł się radosny świergot wróbli. Usłyszała rozlegającą się zawsze o siódmej syrenę w fabryce Goodyear, głęboki, spokojny oddech Isli i uświadomiła sobie, gdzie jest. Serce zwolniło i przestało rozpaczliwie tłuc się o żebra, lecz wyraźne wspomnienie snu pozostało. Bała się zamknąć oczy, nie chciała znowu ujrzyć twarzy Cecila i poczuć, że złowrogie przeznaczenie tylko czyha, aby na zawsze pozbawić ją szczęśliwej przyszłości.

Audrey zaczęła w tajemnicy spotykać się z Louistem Forresterem i z czasem udało jej się zepchnąć przykry sen w głąb podświadomości, a nawet prawie o nim zapomnieć. Nie było powodu, aby do niego wracała, ponieważ była pewna swojej przyszłości. Oboje musieli uciekać się do najrozmaitszych wybiegów, żeby móc się widywać. Louis codziennie pracował w centrum miasta i wczesnym rankiem razem z bratem odjeżdżał pociągiem z małej stacyjki w Hurlingham. Nie chciał jednak pozwolić, aby ta pozornie niemożliwa do rozwiązania sytuacja stała im na drodze i dlatego wynalazł system porozumiewania się z Audrey za pomocą małych karteczek, które przed wyjazdem zostawiał w dziurze między cegłami budynku małego dworca. W ciągu dnia Audrey zabierała jego list, wsuwając w to samo miejsce własny, który Louis wyciągał po powrocie. Wieczory spędzał w domu Garneyów, spokojnie szkicując karykatury ciotki Edny oraz portrety Isli i Audrey, podczas gdy Cecil siedział na tarasie, pogrążony w rozmowie z Rose i Henrym i całkowicie nieświadomy czułych spojrzeń, jakie wymieniali zakochani. Wreszcie w nocy, po długich godzinach oczekiwania, Audrey wymykała się z domu do ogrodu, gdzie Louis czekał na nią w pomarańczowym sadzie, ukryty pod parasolem obficie kwitnącej wiśni.

Aby skuteczniej ukryć swoje uczucia do Louisa, Audrey poświęcała więcej uwagi Cecilowi. Powtarzała sobie, że dopóki od dycha tym samym powietrzem co Louis, gotowa jest znosić zaloty jego brata. Jeżeli wszyscy będą sądzić, że kocha się w Cecilu, nikt nie poweźmie żadnych podejrzeń co do jej prawdziwych uczuć. Zaabsorbowana swoim tajemnym światem, nie zauważyła, że Cecil powoli nabiera śmiałości, a jej rodzice coraz częściej zastanawiają się nad ich wspólną przyszłością.

- Dlaczego nie zaprosi jej gdzieś i nie okaże, co do niej czuje? - westchnęła ciotka Edna w pewne sobotnie popołudnie, kiedy dziewczęta leżały nad basenem w towarzystwie Cecila i dwóch brzydkich córek Hildy, Agathy i Nelly.

Rose oparła się na kiju do golfa i rzuciła siostrze pogodny uśmiech.

- Henry mówi, że Cecil nie robi następnego kroku, ponieważ jest doskonale wychowanym młodym człowiekiem i wie, jak należy postępować. Postaraj się go zrozumieć, biedak zakochał się w córce szefa i cała ta sytuacja z pewnością nie jest dla niego prosta. Myślę, że nie chce się śpieszyć. Woli być całkowicie pewny uczuć Audrey, zanim poprosi Henry'ego o pozwolenie na randkę.

Edna z aprobatą skinęła głową i sięgnęła po swój kij.

- Cecil ma świetne maniery, to prawda - przyznała. - Większość młodych ludzi umówiłoby się z dziewczyną, nie pytając nikogo o pozwolenie.

- Ale nie Cecil - rzekła Rose.

- To naprawdę wspaniały chłopiec. Wiem, że przyjechał tu niedawno, lecz zdążyłam go już bardzo polubić.

Rose schyliła się, aby umieścić piłeczkę na podpórcie.

- Ja także bardzo go cenię - powiedziała Edna. - Muszę jednak przyznać, że lubię też Louisa...

Rose wyprostowała się i lekko uniosła kij, przygotowując się do uderzenia.

- Och, oczywiście! Nie widzę w tym nic dziwnego, moja droga, Louis to całkiem miły młodzieniec. W ciągu ostatnich kilku tygodni poznałam go trochę lepiej. Jest wspaniałym artystą, cudownie gra na fortepianie. Chodzi tylko o to, że nie jest człowiekiem, jakiego chętnie widziałabym w roli kandydata na zięcia...

- Tak... - mruknęła Edna. - Co za szczęście, że Audrey jest taka rozsądna...

- Audrey nigdy nie zakochałaby się w Louisie, jest na to zbyt inteligentna i bystra. Chce wyjść za silnego, odpowiedzialnego mężczyznę, który ma dobrą pracę i perspektywę... Trochę niepokoję się o Isłę, bo ona gotowa jest zakochać się w najbardziej nie odpowiednim mężczyźnie tylko po to, aby narobić kłopotów sobie i nam.

- Będziesz musiała bardzo na nią uważać. - Edna się zaśmiała.

- Ty także, moja droga, podobnie jak my wszyscy - prychnęła Rose.

Zamachnęła się kilka razy, żeby dobrze wycelować, poprawiła ustawienie stóp, wreszcie wysoko uniosła kij i uderzyła piłkę.

- No, proszę, znacznie lepiej niż wczoraj, prawda? - Uśmiechnęła się, kiedy piłeczka wzbiła się w powietrze doskonałym łukiem.

- Doskonale, kochanie - pogratulowała jej z podziwem siostra. - Widzę, że celność twoich uderzeń wzrasta, gdy myślisz o Audrey i Cecilu...

Rose była tak głęboko przekonana, że znajomość córki z Cecilem zakończy się ślubem, iż nie potrafiła powstrzymać zadowolonego uśmiechu.

- Kiedy o nich myślę, wszystko wydaje mi się lepsze i warte zachodu.

Czuła się trochę niepewnie i nie bardzo wiedziała, co robić. Czasami Audrey poświęcała mu wiele czasu i uwagi, wieczorami spacerowała z nim po ogrodzie, chętnie przesiadywała nad basenem i rozmawiała, kiedy jego brat grał w holu na fortepianie, i ogólnie rzecz biorąc, dawała mu odczuć, że jest dla niej kimś ważnym, lecz zaraz potem, zupełnie nagle popadała w zamyślenie, z roztargnieniem odpowiadała na jego pytania i zachowywała się tak, jakby w ogóle go nie dostrzegała. W tych momentach Cecil wiedział, że nie potrafi do niej dotrzeć, bo wszystko, co powie, będzie dla niej bez znaczenia. Właśnie dlatego ich przyjaźń wciąż wydawała mu się zbyt słaba, aby mógł zaprosić ją na randkę. Chwilami zaczynał wątpić, czy ma jakiegokolwiek szansę na zdobycie serca Audrey. Chciał porozmawiać o tym z Louisem, lecz Louis nie należał do tych braci, którym można się zwierzyć, licząc na zrozumienie i dobrą radę. Cecil uważał, że Louis po prostu by go nie zrozumiał, ponieważ nigdy nie był zakochany i nic nie wskazywało na to, by miał poznać to uczucie. Louis wciąż uciekał myślami do innego świata i nie przywiązywał wielkiej wagi do rzeczywistości. Cecil postanowił zatrzymać swoje rozterki dla siebie i zdobyć się na jeszcze trochę cierpliwości. Zachowanie Audrey wydawało się przecież świadczyć, że woli towarzystwo Cecila od towarzystwa innych młodych ludzi, więc nie było powodu do pośpiechu...

Podczas gdy Cecil rozmyślał o obiekcie swoich uczuć, Louis i Audrey upewniali się w przekonaniu, że nic nie może ich rozdzielić, i cieszyli się, że udało im się wszystkich tak skutecznie oszukać.

- Chcę zabrać cię do Palermo - powiedział Louis pewnego wieczoru na początku kwietnia. - Chcę tam zatańczyć z tobą tango...

Audrey lekko zmarszczyła brwi. Czowała się całkowicie bezpieczna za murem swego ogrodu i myśli o wyprawie do miasta w środku nocy napełniła ją lękiem.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł... - zaczęła. - W jaki sposób mielibyśmy się tam dostać?

Louis ujął obie jej dłonie i ucałował każdą z osobna.

- Nie musisz się niczym martwić, ukochana, nigdy nie pozwolę, aby spotkało cię coś nieprzyjemnego. - Z czułością obserwował, jak uśmiech powoli unosi kąciki jej ust. - Twój problem polega na tym, że za dużo myślisz. - Roześmiał się, gładząc jej policzek czubkami palców. - Pamiętasz, jak powiedziałem ci, żebyś nie bała się marzyć?

Skinęła głową.

- No, właśnie... - Uśmiechnął się szeroko. - Ja nie boję się marzyć i zmieniać sny w rzeczywistość...

- Bardzo chciałabym się tego nauczyć - szepnęła. Niepokój i podniecenie sprawiły, że po jej plecach przebiegł dreszcz, chociaż powietrze było gorące i wilgotne. - Boję się tylko, że ktoś nas zobaczy...

- W Palermo? - zdziwił się Louis. - Kto mógłby zobaczyć nas w Palermo o pierwszej w nocy?

- Nie wiem... - roześmiała się. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś się o nas dowiedział...

- Nikt się o nas nie dowie, aż do chwili, kiedy uznamy, że możemy stawić czoło światu. Na razie chciałbym z tobą zatańczyć...

Audrey zarumieniła się na wspomnienie bezwstydnej analizy tańca, dokonanej przez jej siostrę. Miała wrażenie, że Louis odgadł te myśli, bo zajął jej głęboko w oczy i gorącymi wargami dotknął dłoni.

- Chcę być blisko ciebie, a ta ławka nie stwarza takiej możliwości - powiedział głosem nabrzmiałym namiętnością.

Audrey wiedziała, co miał na myśli i zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Dobrze - zgodziła się. - Pojedźmy do Palermo...

Louis zerwał się na równe nogi i chwycił ją w ramiona. Przytulił mocno do siebie, położył otwartą dłoń na jej plecach, drugą ujął jej rękę i oparł ją na swojej piersi. Nucąc cicho, poprowadził Audrey w rytm tanga po lśniącej od rosy trawie w pomarańczowym sadzie. W pierwszej chwili dziewczyna parsknęła śmiechem, rozbawiona jego impulsywnością, lecz gdy oparł czoło o jej czoło, umilkła, czując, jak w ich sercach budzi się dobrze znany smutek, którym płaci się za wielką miłość. Oboje milczeli, powoli poruszając się w takt sonaty, którą Louis dla niej skomponował.

Następnego dnia rano Audrey jak zwykle pojechała na rowerze na stację, aby wyjąć spomiędzy cegieł list od Louisa. Powietrze było ciężkie od upału, który panował w Buenos Aires już od paru tygodni. Niebo przybrało jasnoszafirową barwę i miało się wrażenie, że słońce pulsuje, niezdolne

poradzić sobie z własną mocą. Na dworcu panował spokój. Tylko dwa wychudzone kundły, podobne do dzikich preriowych psów, kręciły się w pobliżu, szukając jakiegoś pożywienia. Audrey oparła rower o ścianę i szybko weszła na peron. Znalazła otwór między cegłami i wyciągnęła z niego małą zwiniętą karteczkę, bez której teraz już nie wyobrażała sobie udanego dnia.

Dzisiaj wieczorem zatańczymy tango na wykładanych brukiem uliczkach Palermo. Licz godziny i myśl o mnie w każdej chwili dnia. Tęsknię za Tobą i pragnę Cię całym sercem i ciałem. Spotkamy się wieczorem, w tym samym miejscu co zwykle. Nie obawiaj się, moja miłość będzie Cię chronić.

Louis zawsze podpisywał liściki „Ten, który kocha Cię najbardziej”, natomiast Audrey „Ta, która kocha Cię z całego serca”, aby ewentualny przypadkowy czytelnik ich korespondencji nie domyślił się, kto jest jej autorem.

Z uśmiechem przeczytała karteczkę jeszcze raz, przesuając palcem po papierze, którego zaledwie dwie godziny wcześniej dotykały jego dłonie, a potem podniosła ją do ust i ucałowała, jakby w ten sposób mogła znaleźć się bliżej niego. W końcu złożyła list i wsunęła go do kieszeni. Wyjęła swój, napisany wczesnym rankiem, ponieważ ostatnio sen wydawał jej się czasem straconym, który można przecież wykorzystać na wspomnienia i marzenia o wspólnym życiu z Louisem. Otworzyła go i przebiegła wzrokiem własne słowa, z przyjemnością myśląc o tym, że Louis przeczyta je po południu, zaraz po powrocie z pracy.

Dziś Kocham Cię mocniej niż wczoraj, chociaż wydaje mi się to niemożliwe. Moja miłość do Ciebie nie ma granic.

Była pewna, że jej list sprawi mu wielką radość. Zwinęła papier w rulonik i wsunęła do otworu, potem zaś cofnęła się i uważnie popatrzyła na ścianę, aby sprawdzić, czy karteczka nie rzuca się w oczy.

- Todo bien, Señorita? - zapytał Juan Julio, wychodząc na słońce z cienistego, chłodnego biura.

Audrey podskoczyła nerwowo i pośpiesznie odwróciła się do zawiadowcy stacji. Miała nadzieję, że nie widział, jak wkładała wiadomość między cegły

- Och, czuję się doskonale, Juan Julio - odparła po hiszpańsku. - Dziękuję...

Juan Julio poprawił czapkę i podciągnął spodnie, bezskutecznie usiłując wciągnąć okrągły brzuch. Twarz miał czerwoną i moką od potu. Był zdecydowanie zbyt otyły, aby dobrze czuć się w takim upale, i zbyt leniwy, aby sprawnie wypełniać swoje obowiązki. Z ciężkim westchnieniem powoli potoczył się ku Audrey, przelewając ciężar ciała z nogi na nogę, zupełnie jak pingwin, który przed chwilą objadł się ryb.

- Ależ dzisiaj gorąco... - jęknął.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy powtarzał to zdanie każdemu, z kim miał okazję rozmawiać.

- Tak, bardzo gorąco. - Audrey kiwnęła głową, - Lubię upały.

- A ja nie znoszę - poskarżył się Juan Julio, ocierając czoło brudną chusteczką do nosa. - Na peronie zawsze jest bardziej upalnie i duszno niż gdzie indziej. Mam wysokie ciśnienie i przy takiej pogodzie czuję się fatalnie...

Minął Audrey i skierował się w stronę semaforu. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Juan Julio był zbyt przejęty swoim złym samopoczuciem, żeby zauważyć ukrytą między cegłami kartkę czy choćby zapytać, co Audrey robi na stacji. Pobiegła po rower i wpadła prosto na Dianę Lewis oraz Charlo Osborne, wystrojone w kremowe kapelusze i długie suknie. Obie starsze panie wyglądały tak jakby wybierały się na przyjęcie.

- Coś mi się wydaje, że jesteś dziś bardzo zadowolona z życia - zauważyła Charlo na widok promiennie uśmiechniętej twarzy Audrey.

- To chyba dlatego, że mamy taki piękny dzień - powiedziała Audrey i podniosła rower.

- Co tutaj robisz? - zainteresowała się Diana, zdejmując rękawiczki. - Jest tak gorąco, że nie sposób w nich wytrzymać - wymamrotała do siebie, wpychając je do torebki.

Audrey doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, jeżeli uniknie odpowiedzi na to pytanie i odwróci uwagę Krokodylic.

- Jedziecie do miasta? - zapytała.

- Tak - westchnęła Charlo. - Na lunch zorganizowany przez jedną z organizacji charytatywnych... Cóż, nie wolno uciekać od obowiązków - dorzuciła świętoszkowatym tonem, mierząc Audrey bystrym spojrzeniem niebieskich oczu.

- W żadnym razie - zgodziła się Diana. - Szkoda tylko, że musimy jechać do miasta w taki upał... Dobry Boże, wydaje mi się, że krew gotuje się w żyłach... Trzeba jednak myśleć o tych nieszczęsnych ubogich i robić, co w naszej mocy, aby poprawić ich los...

- Co porabia nasz drogi Cecil Forrester? - zagadnęła słodko Charlo. - Słyszałyśmy, że spędza mnóstwo czasu w waszym domu...

- Tak, obaj Forresterowie często u nas bywają - odpowiedziała Audrey niewinnym tonem. - Chyba dobrze się u nas czują...

Charlo ściągnęła wargi, wyraźnie niezadowolona, lecz Diana nie zamierzała zostawić Audrey w spokoju.

- Wyglądasz na pełną energii i radości życia, moja droga - oświadczyła. - Och, czegóż bym nie dała, żeby znowu być młodą i zakochaną!

Westchnęła i potrząsnęła głową, aż jej trzy podbródki zadygotały, jakby były z galarety. Audrey rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

- Chodźmy, Dianko - powiedziała Charlo. - Słyszę już nasz pociąg. Nie możemy się spóźnić...

Dianie nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nią. Starsze panie pomachały do odjeżdżającej Audrey i weszły do budynku, zawzięcie plotkując o przyjaźni, która połączyła ją i Cecila. Były przekonane, że w najbliższej przyszłości skończy się to ślubem.

- Byłaby głupia, gdyby go nie złapała - orzekła Diana, wyjmując portmonetkę z torebki.

- Możesz być pewna, że nie jest głupia - prychnęła Charlo. - Ta dziewczyna wie, co jest dla niej dobre. Nigdy nie zrobiła fałszywego kroku, nawet jako dziecko.

Audrey przez cały dzień śniła na jawie, korzystając z tego, że Isla i młodszy bracia byli w szkole, a matka grała w klubie w golfa ze swoimi siostrami. Siedziała na ławce w cieniu i czytała, ale chociaż wpatrywała się w wydrukowane słowa, jej umysł przebywał w świecie, gdzie czekał na nią Louis. Po powrocie do domu pogratulowała sobie, że tak skutecznie wywiodła w pole Krokodylice. Wszyscy myśleli, że zakochała się w Cecilu... Audrey miała ochotę obwieścić całemu światu, co naprawdę czuje do Louisa. zdawała sobie jednak sprawę, że jej cierpliwość i ostrożność przyniesie w końcu pożądane owoce. Wiedziała, że gdyby teraz wyznała, iż kocha Louisa, naraziłaby siebie i jego na dezaprobatę oraz wyrzuty, pocieszała się jednak, że z czasem jej rodzice dostrzegą pozytywne strony jego charakteru i docenią je.

Czas mijał bardzo powoli. Audrey często zerknęła na zegarek i myślała o Louisie, który także liczył godziny i niecierpliwie czekał na nadejście wieczoru. Wreszcie dzień ustąpił miejsca nocy. Nadeszła ciemność, gotowa ukryć ich tajemnicę w chłodnych głębinach cienia, których nie przenikał nawet księżyc. Audrey zdjęła buty i jak zwykle zbiegła na palcach po schodach, starając się stąpać jak najostrożniej, aby deski nie zaskrzypiały pod jej stopami. Kiedy wychodziła z domu, była zbyt podniecona, aby zauważyć parę oczu, uważnie obserwujących ją z okna na piętrze.

Louis czekał pod drzewem wiśni w pomarańczowym sadzie. Czasami Audrey chodziła tam za dnia, siadała pod drzewem i pogrążała się w rozkosznych marzeniach, wyczuwając cień obecności ukochanego w gałązkach i liściach. Tym razem był tam naprawdę. Objął ją i czule pocałował, potem wymknęli się na ulicę, gdzie czekał już na nich samochód, ukryty za rogiem niczym przyczajona puma. Taksówkarz wiedział, dokąd ma ich zawieźć. Audrey siedziała, otoczona ramionami Louisa, i obserwowała przemijający za szybami tajemniczy nocny świat. Gdy wjechali do centrum miasta, zwróciła uwagę, że ulice tętnią życiem. Neony i latarnie oślepiły jaskrawym blaskiem, samochody głośno trąbiły, a z zadymionych restauracji dobiegała muzyka. Tłumy przelewały się w jedną i drugą stronę przez wysadzone drzewami aleje i place, zakochane pary spacerowały powoli. Audrey mocno ścisnęła rękę Louisa, aby okazać mu, jak bardzo się cieszy, że jest tu razem z nim. Odpowiedział jej w taki sam sposób.

Kiedy znaleźli się w Palermo, sceneria uległa nagłej i całkowitej zmianie. Zamiast szerokich promenad w Palermo były wąskie brukowane uliczki, których punkt centralny stanowił mały plac z restauracjami i kawiarniami. Nie brakowało tu także sklepów z antykami oraz galerii, teraz zamkniętych na noc. Samochód zatrzymał się i Louis polecił kierowcy, aby przyjechał po nich za dwie godziny. Młodzi chwilę spacerowali dookoła placu. szczęśliwi, że są razem w miejscu, gdzie nikt ich nie zna. Długo całowali się, lekko kołysząc się w rytm muzyki, która sączyła się zza drzwi starej gospody.

- Teraz nauczymy się tańczyć tango - powiedział Louis i poprowadził ją w kierunku lokalu.

Audrey zawahała się i cofnęła o krok.

- Znasz to miejsce? - zapytała niespokojnie.

- Tak - odparł Louis. - Byłem tu kilka razy, więc możesz być spokojna. Vincente już na nas czeka.

- Vincente?

- Na pewno polubisz Vincente, to naprawdę wielka osobowość. - Louis pocałował palce Audrey. - Nie bój się, kochanie. Nocna wizyta w Palermo jest wystarczającą kompromitacją dla młodej dziewczyny, więc przynajmniej spróbuj dobrze się bawić...

Uśmiechnął się szeroko i jego urok jak zwykle całkowicie ją rozbroił. Bez słowa protestu przekroczyła wraz z nim próg gospody.

Vincente natychmiast dostrzegł Louisa i ruszył w ich stronę, przedzierając się między okrągłymi drewnianymi stolikami, przy których siedziało mnóstwo gości. Prawie wszyscy palili. Vincente był starszym mężczyzną o siwych włosach, małych brązowych oczkach i nosem tak długim, że można by nim łowić ryby. Jego szczery uśmiech świadczył o wrodzonej pogodzie ducha i otwartości w stosunku do ludzi. Lokal Vincente słynął w całym Palermo i Buenos Aires z przeciągających się do późnej nocy wieczorów pod znakiem tanga oraz z wyjątkowo dobrego wina. Mężczyzna gestem zaprosił młodych na tyły gospody, gdzie poczęstował ich szklaneczką swojego najlepszego różowego wina. Potem z wyraźnym zachwytem pochwalił urodę i wdzięk Audrey i polecił swojej żonie, aby stanęła obok niego.

- Na tym poziomie kroki nie są takie ważne - powiedział, podwijając rękawy białej koszuli, którą nosił do czarnej kamizelki. - Musicie poczuć muzykę i pozwolić jej się poprowadzić...

Uderzył się w pierś zaciśniętą pięścią, aby lepiej zademonstrować, co ma na myśli, i z przejęciem przymknął oczy. Audrey i Louis uśmiechnęli się do siebie, przekonani, że ten etap mają już za sobą.

- Teraz obejmijcie się mocno - rozkazał Vincente i ściągnął brwi, patrząc, jak Louis zamyka Audrey w ramionach. - Bliżej, bliżej... Tango to namiętny taniec, równie gorący jak zmysłowa pieszczota...

Audrey zaczerwieniła się i pochyliła głowę. Próbowwała ukryć zmieszanie, lecz przed wzrokiem Vincente nic nie mogło się ukryć.

- Nie ma się czego wstydzić, señorita - rzekł. - Proszę słuchać głosu serca i odrzucić wszelkie zahamowania, inaczej nigdy nie zatańczy pani tanga jak należy...

Znowu z rozmachem uderzył się w pierś. Louis zaśmiał się cicho i uspokajająco pocałował Audrey w rozgrzaną skroń,

- Ja słucham twojego serca, bo jestem jego niewolnikiem - szepnął jej do ucha.

- W takim razie nie mamy innego wyboru, jak tylko tańczyć razem - odpowiedziała i zaczęła kołysać się w rytm poruszających dźwięków skrzypiec i akordeonu.

Początkowo Audrey nie mogła zapanować nad zdenerwowaniem. Za każdym razem, gdy Louis przytulał ją do siebie, chichotała i sztywniała, świadoma, iż po raz pierwszy doświadczają tak intymnej bliskości; dodatkowo onieśmiało ją to, że nie mogą przeżywać tego w samotności. W końcu zdołała

opanować podstawowe kroki i wtedy zamknęła oczy, aby czuć tylko ciepło bijące od ciała Louisa, muzykę oraz namiętny rytm własnej wewnętrznej melodii.

Przez następne półtorej godziny Louis i Audrey zgłębiali tajemnice tanga pod okiem gadatliwego, spontanicznego Vincente, który razem ze swoją żoną Margaritą z wielką radością prowadził ich przez każdy krok. Małżonka Vincente nie uśmiechnęła się ani razu, lecz tańczyła z lekkością i gracją kobiety o dwadzieścia lat młodszej. Po zakończonej lekcji młodzi obiecali, że wrócą w następnym tygodniu i wybiegli z gospody na plac, gdzie natychmiast zaczęli tańczyć w świetle księżycy, pragnąc utrwalić wszystko, czego się nauczyli.

- Bardzo się cieszę, że tu przyjechaliśmy... - Audrey westchnęła lekko, płynąc wraz z Louisem przez plac w rytm dobiegającej z gospody muzyki.

- Marzyłem o tym, żeby cię tu przywieźć. - Louis oparł policzek o jej głowę. - Wiedziałem, że spodoba ci się w gospodzie Vincente... Miło spędziłaś czas, prawda?

- Tak. Najbardziej podoba mi się to oszołamiające poczucie wolności. Nikt nas tu nie zna i nie osądza. Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy tańczą w swoim własnym, pełnym tajemnic świecie, podobnie jak większość bywalców Palermo... Kiedy jestem blisko ciebie, wydaje mi się, że poza nami nikt i nic nie istnieje...

- Dzięki tobie moje życie stało się naprawdę piękne. Jako dziecko czułem się bezpieczny tylko wtedy, gdy grałem na fortepianie, oprócz muzyki świat wydawał mi się szarym, przerażającym miejscem... Nikt mnie nie rozumiał, zupełnie jakbym żył w innym wymiarze... Czułem się jak wyrzutek, więc wciąż szukałem pociechy i schronienia w muzyce. W końcu straciłem nadzieję, że kiedykolwiek porozumiem się z rodziną i znajomymi. Ty otworzyłaś moje serce i teraz już nigdy go nie zamknę... Należymy do siebie, najdroższa...

Odsunął się odrobinę, aby zajrzeć w jej przejętą, poważną twarz, oświetloną złocistym blaskiem ulicznych latarni, a potem musnął palcami jej podbródek i ucałował wargi. Oboje przyłgnęli do siebie z żarliwą namiętnością ludzi, którzy wiedzą, że czas ucieka i wkrótce będą zmuszeni rozstać się na długie lata. Jak zwykle pocieszali się myślą, że wspomnienie gorących pocałunków musi wystarczyć im tylko na jeden dzień, ponieważ następnego wieczoru znowu spotkają się pod wiśniowym drzewem. Żadne nie śmiało wybiegać dalej w przyszłość.

Audrey na palcach wbiegła po schodach na piętro. Poruszała się lekko, bo w jej głowie i sercu wciąż rozbrzmiewała muzyka. Pierwszy raz w życiu poczuła się zupełnie wolna i pierwszy raz posmakowała przygody oraz buntu, był bardzo wczesny ranek. Jej ubranie pachniało papierosami; poczuła to dopiero w czystym powietrzu domu. Cicho otworzyła drzwi do sypialni i z westchnieniem ulgi weszła do środka. Tu czekała ją niespodzianka - w jej łóżku spała Isla. Audrey starała się zamknąć drzwi jak najostrożniej, lecz Isla chyba tylko drzemała, za żadne skarby świata nie chcąc przegapić powrotu siostry. Natychmiast otworzyła oczy i usiadła.

- Gdzie byłaś? - szepnęła w podnieceniu i uśmiechnęła się kpiąco. - Wymknęłaś się na randkę z Cecilem?

Rozdział szósty

Audrey odkryła, że kłamstwo przychodzi jej z ogromnym trudem. Do tej pory posługiwała się półprawdami, które nie obciążały sumienia tak mocno jak kłamstwa, lecz teraz, patrząc w uśmiechniętą twarz siostry, zdała sobie sprawę, że jak zawsze zwierzy jej się ze wszystkiego i parę minut później zacznie tego żałować. Trudno, pomyślała. Nie mogła się powstrzymać. Była zbyt szczęśliwa i to uczucie pozbawiło ją zwykłej ostrożności.

Rzuciła się na łóżko obok Isli i przeciągnęła jak wielki, zadowolony z siebie kot.

- Byłam w Palermo - powiedziała cicho, nieprzytomna z radości. - Jestem zakochana, czuję, że miłość ogarnia całe moje ciało, zupełnie jak płomień, którego nie można ugasić, bo wciąż przybiera na sile. Och, naprawdę jest tak, jak piszą w powieściach... Wydaje mi się, że lada chwila serce pęknie mi ze szczęścia...

Isła uśmiechnęła się szerzej.

- Cecil zabrał cię do Palermo? - zapytała, nie kryjąc zaskoczenia. - Myślałam, że to Louis przepada za przygodami...

Audrey zarumieniła się ze wstydu. Wciąż się zastanawiała, czy wyznać prawdę, lecz Isła znała ją wystarczająco dobrze, aby wyczuć, kiedy dzieje się z nią coś bardzo ważnego. Siostra powoli pokręciła głową i podejrzliwie zmrużyła zielone oczy.

- To nie Cecil, prawda? - odezwała się, nie spuszczać badawczego wzroku z twarzy Audrey. - Jesteś zakochana w Louisie...

Audrey uśmiechnęła się słabo i kiwnęła głową. Nie chciała, aby Isła poczuła się urażona, że wcześniej nie powierzyła jej swojej tajemnicy.

- Och, po prostu nie mogę w to uwierzyć! - szeptała gorączkowo Isła. - To wszystko zmienia! Od początku chodziło ci o Louisa, tak? Niezły z ciebie numer, nie ma co gadać! Nie przypuszczałam, że stać cię na taką śmiałość...

- Kocham go - odparła spokojnie Audrey z nadzieją, że jej całkowita szczerść ułagodzi Isłę.

- Ale co miłość ma wspólnego z małżeństwem, jak mawia ciotka Hilda? Wiesz, że rodzice żywcem obedną cię ze skóry, jeżeli odkryją, którego z Forresterów naprawdę wybrałaś... Przyzwyczaili się już do myśli, że wyjdiesz za Cecila...

W oczach Isli zabłyśła dzika uciecha na myśl o chaosie, jaki wniesie w życie rodziny bunt starszej siostry. Na razie nie potrafiła jeszcze ogarnąć umysłem wszystkich wariantów rozwoju sytuacji.

- Wiem! - jęknęła Audre. - Właśnie dlatego na razie trzymamy to w tajemnicy... Liczę, że z czasem rodzice lepiej poznają Louisa i polubią go... Wszyscy krzywdzą go swoimi opiniami...

- Ale chyba rozumiesz, że tutaj, w Harlingham, niezwykle trudno jest odmienić powszechną opinię? I nie zapominaj, że jeżeli dacie się przytapać, ludzie uznają Louisa za jeszcze gorszego drania,

ponieważ dojdą do wniosku, że sprowadził cię na złą drogę... - Isla pokręciła głową. - Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego, słowo daję, w dodatku bez żadnej zachęty z mojej strony...

- Jestem zła i niegodziwa?

- Cudownie zła i niegodziwa! - Isla zachichotała i chwyciła spoconą, drżącą dłoń Audrey. - Tak się cieszę, że jesteś szczęśliwa. Wyglądasz wspaniale, jak jutrzienka! I pomyśleć, że przypisywałam zasługę Cecilowi... - powiedziała szczerze i nagle spoważniała. - Ale... Ale przecież Louis jest szalony! To ekscentryk, nawiedzony artysta! Wiem, że po mistrzowsku gra na fortepianie i rysuje jak Leonardo da Vinci, lecz czasami ma w oczach taki przerażający, zwariowany błysk... W jednej chwili jest szczęśliwy, w następnej przygnębiony i nie sposób przewidzieć, co zrobi... Och, mam nadzieję, że naprawdę wiesz, co robisz...

- Nie znasz go tak dobrze jak ja. Louis jest łagodny i dobry, wrażliwy i hojny. Przepraszam, że nie powiedziałam ci prawdy, ale strasznie się bałam, że nie zdołasz dotrzymać tajemnicy... - Rzuciła siostrze błagalne spojrzenie. - Będziesz milczała jak grób, prawda, kochana? Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne...

- Rozumiem, że bardzo ci na nim zależy Naprawdę rozumiem...

- I nic nikomu nie powiesz?

- Nie powiem... Pod jednym warunkiem...

Audrey westchnęła.

- Pod jakim warunkiem?

- Że opowiesz mi wszystko od początku, ze szczegółami, i od dziś niczego nie będziesz przede mną ukrywała.

- Zgoda! - Audrey wyprostowała się z uśmiechem. - Zgadzam się, jeżeli dzięki temu będę mogła dalej w tajemnicy spotykać się z Louistem! - Zeskoczyła z łóżka i zaczęła się przebierać.

- Pomogę ci! - W głosie Isli brzmiał prawdziwy entuzjazm. - Och, zobaczysz, będziemy się świetnie bawiły, układając plany i oszukując ich wszystkich!

Audrey przewiesiła sukienkę przez oparcie krzesła.

- Lepiej wstań wcześniej i wykąp się - poradziła Isla. - Śmierdzisz papierosami.

- Naprawdę? - Audrey powąchała pasmo swoich włosów.

- Tak, ale mnie bardzo się to podoba. To zapach zakazanego owocu. No, połóż się wreszcie i opowiedz, jak to się zaczęło. Czy zakochaliście się w sobie tamtego pierwszego wieczoru, kiedy Forresterowie przyszli do nas na kolację? Od razu zrozumiałaś, że Louis jest Tym Jedynym? A wtedy, gdy w klubie doprowadziłam do twojego spotkania z Cecilem, przez cały czas myślałaś o Louisie, tak? - Z jej piersi wyrwało się pełne zdumienia westchnienie. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że nic nie zauważyłam... Na szczęście, teraz już nie będziesz mnie zwodzić, prawda?

Audrey wśliznęła się pod prześcieradło i wygodnie ułożyła się obok siostry.

- Louis podbił moje serce uśmiechem... - zaczęła, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że jej słowa brzmią jak początek romantycznej powieści.

Czuła ulgę, że może wyznać Isli prawdę. Dzięki temu dręczące ją wyrzuty sumienia wreszcie trochę osłabły, poza tym, opowiadając historię swojej miłości, Audrey jeszcze raz przeżywała wspaniałe chwile, ubierała je w poetyckie słowa i czyniła bardziej rzeczywistymi. Isla słuchała z zapartym tchem, bez cienia zazdrości. Byłaby zachwycona, gdyby ktoś zaprosił ją na tańce do Palermo i umawiał się z nią na spotkania o północy w ogrodzie, lecz sama myśl o miłości budziła w niej dziwne obrzydzenie. Wilgotne pocałunki, spocone dłonie, fizyczna bliskość rozgrzanych ciał... Co w tym przyjemnego? Przyjemności mógł dostarczyć jedynie miły flirt, komplementy i łamanie zasad. W romansie Audrey fascynowało ją przede wszystkim to, że siostra postępowała wbrew oczekiwaniom najbliższych. Wszyscy uważali Audrey za rozsądną, spokojną i mądrą dziewczynę, tym czasem jej zachowanie pasowałoby raczej do Isli, która nigdy nie była nadmiernie wrażliwa, ale teraz w pełni zdawała sobie sprawę, że jej siostra może mieć poważne kłopoty i szczerze się o nią martwiła.

- Co zamierzacie zrobić? - zapytała, kiedy siostra skończyła opisywać wieczór w Palermo.

- Nie wiem, staram się nie myśleć o przyszłości - odparła Audrey, chociaż w gruncie rzeczy nie przestawała marzyć o swoim przyszłym szczęściu w ramionach Louisa. - Niezależnie od tego, co się zdarzy, chcę spędzić z nim resztę życia - dodała zdecydowanym tonem.

- Tata nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że ma oddać cię Louisowi. Kilka dni temu podsłuchałam, jak rodzice rozmawiali w ogrodzie o tobie i Cecilu. Graliście wtedy w szachy na tarasie. Oni uważają, że Louis jest przerażająco nieodpowiedzialny.

- Tylko dlatego, że różni się od innych! - wykrzyknęła Audrey z oburzeniem. - Nie jest przecież mordercą czy złodziejem, na miłość boską! Ludzie potrafią być strasznie ograniczeni i drobiazgowi!

- Mówię ci to tylko dlatego, żebyś była przygotowana. Rodzice się załamią i trudno im się dziwić. Mama uwielbia Cecila.

Z piersi Audrey wyrwało się ciężkie westchnienie. Czuła się tak, jakby na jej ramiona nagle opadł przegniatający ją do ziemi płaszcz.

- Trzeba będzie dać im trochę czasu, by przyzwyczaili się do nowej sytuacji - powiedziała. - Kiedy bliżej poznają Louisa, na pewno go pokochają...

- Mam nadzieję, że tak będzie. - Isla uspokajająco poklepała ją po ramieniu.

W końcu dziewczęta zamknęły oczy, lecz sen długo nie przychodził. Dopiero po jakimś czasie, gdy obie odprężyły się i zdały na los, spokój przyniósł im odpoczynek. Zapadły w sen, przytulone do siebie niczym kochankowie, z długimi lokami splątanymi na poduszce jak jedwabne nici. Rano matka znalazła je śpiące, lecz ponieważ, była to sobota, postanowiła ich nie budzić. Cicho zamknęła drzwi i wróciła do swojego pokoju z lekkim uśmiechem na ustach. Islę i Audrey łączyła wyjątkowo mocna więź - były nie tylko siostrami, ale także przyjaciółkami. Rose pomyślała, że we śnie przypominały zmęczone zabawą szczenięta. Niedługo potem zeszła na dół, gdzie jej trzej synowie i mąż jedli śniadanie na tarasie, przerzucając się dowcipami i raz po raz wybuchając głośnym śmiechem.

W ciągu następnych dwóch miesięcy Audrey i Louis mogli spotykać się częściej niż poprzednio, a zawdzięczali to chytrym planom, które układała Isla. Podczas gdy Henry i Rose z nadzieją myśleli o wspólnej przyszłości Audrey i Cecila, interpretując ich rosnącą bliskość jako oznakę silnego uczucia, Isla pomagała zakochanym umieszczać listy na stacji, chodziła z Audrey do klubu i dostarczała siostrze rozmaitych wymówek, aby mogła widywać się z Louistem. Często wyprawiała się z nimi na konne przejażdżki po równinie, oni zaś nigdy nie czuli się skrępowani jej obecnością. Byli wdzięczni Islie, ponieważ bez niej byłiby skazani na randki w pomarańczowym sadzie. Isla z wielkim przejęciem przeżywała ich nocne wypadki do miasta i czuwała, aby mogli spokojnie wymknąć się w mrok, potem zaś zwiijała się w kłębek na łóżku Audrey i drzemiąc czekała na jej powrót oraz opowieść o nowych przygodach. Uwielbiała słuchać, jak siostra opowiada o swoich romantycznych przeżyciach, bo w ten sposób mogła sobie wyobrazić, że i ona doświadcza wielkich uczuć, unikając jednocześnie fizycznej bliskości mężczyzny, o której myśl nieodmiennie napawała ją obrzydzeniem. Dziewczęta leżały w bladym świetle wstającego dnia i przytulone szeptały tak długo, aż im gardła wysychały, a oczy same zamykały się ze zmęczenia. Isla bardzo lubiła te chwile. Przestraszona zbliżającą się dorosłością, z całej siły trzymała się dziecięcej niewinności. Wcale nie chciała przekraczać progu świata, w którym trzeba było wychodzić za mąż i rodzić dzieci. Isla bała się dorosnąć, lecz tego sekretu nie mogła powierzyć nikomu, nawet Audrey.

Kiedy dni zaczęły stawać się coraz krótsze, Cecil usiłował zdobyć się na odwagę, aby zaprosić Audrey na kolację. Im dokładniej planował, w jaki sposób to zrobić, tym bardziej się denerwował. Miał wrażenie, że wraz z nadejściem jesieni jego pewność siebie więdnie niczym letnie kwiaty. Czasami wydawało mu się, że jest upiornie niezgrabnym olbrzymem o nieproporcjonalnie wielkich rękach i nogach, z ustami i nosem, które po prostu nie mieszczą się w twarzy. Wcześniej nigdy nie nękała go nieśmiałość, lecz teraz bliskość Audrey pozbawiała go pewności siebie. Było w niej coś, co budziło w Cecilu wielką niepewność, wręcz poczucie zagrożenia; może przyczyną było jej odległe spojrzenie, a może cudowna, wdzięczna lekkość, z jaką się poruszała. Wydawało mu się, że Audrey traktuje go z pozbawioną ciepła uprzejmością, lecz z uporem powtarzał sobie, że wynika to z braku impulsywności i pocieszał się, że dziewczyna denerwuje się tak samo jak on.

Dopiero pod koniec czerwca, kiedy zima pozbawiła ptasie drzewo liści, zdecydował się zapytać, czy Audrey przyjmie jego zaproszenie.

- Drzewa są już prawie nagie, prawda? - zagadnął, gdy szli przez uśpiony pomarańczowy sad.

Audrey poczuła smutek, przechodząc obok odartej z liści wiśni, która w upalne letnie noce ostaniała swoją koroną zakochanych, stając się milczącym świadkiem ich zakazanej miłości. Wśród jej pogrążonych we śnie gałęzi wciąż kryły się najcudowniejsze wspomnienia.

- Tak - odparła z lekkim uśmiechem. - Lubię zmiany pór roku. Lato było tak gorące i wilgotne, że z przyjemnością myślę o chłodzie zimy i wieczorach przy kominku...

- To miła myśl - przytaknął Cecil, nerwowo zacierając ręce. - W Anglii zima jest naturalnie znacznie ostrzejsza...

- I deszczowa - uzupełniła.

- Masz rację! - Cecil się zaśmiał.

Audrey zauważyła jego zdenerwowanie i zaczęła się zastanawiać, co mu się stało. Długą chwilę milczeli, idąc powoli w stronę znajdującego się za sadem kwiatowego ogrodu. Klomby i rabaty spały pod gnijącymi liśćmi, podobne do cementarzyska; gdzie duchy roślin czekają na powtórne wcielenie, które przynosi wiosna. Cecil zakasłał. Zbliżali się do domu, więc musiał szybko podjąć decyzję.

- Chciałbym... - zaczął niepewnie.

Audrey spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Cecil pomyślał, że próbuje dodać mu odwagi.

- Chciałbym zaprosić cię na kolację - dokończył odważnie.

W oczach Audrey pojawił się wyraz zaskoczenia, a jej policzki przybrały ciemny odcień różu.

- Och... - wyszeptała.

- Nie pytałem jeszcze o pozwolenie twoich rodziców, ponieważ najpierw chciałem porozmawiać z tobą.

Audrey utkwiała wzrok w czubkach swoich pantofli i roześmiała się lekko. Oficjalny ton Cecila szczerze ją rozbawił.

- Z przyjemnością pójdę z tobą na kolację - odparła. - Na prawdę się cieszę, że mnie zaprosiłeś...

Cecil nie był pewny, czy Audrey rozumie, że jego prośba dotyczy czegoś znacznie więcej. Chciał przecież, aby dała mu jakiś znak, czy może starać się o jej rękę.

- Bardzo cię polubiłem i nie wyobrażam sobie, by coś mogło mi sprawić większą przyjemność niż twoje towarzystwo - dodał z nadzieją, że teraz Audrey nie powinna mieć już żadnych wątpliwości co do jego intencji.

Zaśmiała się znowu, tym razem mniej naturalnie.

- Obaj z Louisem staliście się częścią naszej rodziny - powiedziała, z rozmysłem błędnie interpretując jego słowa. - Rodzice traktują was jak synów...

- To dla nas zaszczyt - rzekł Cecil.

Patrzył, jak Audrey splata ramiona na piersi, wyraźnie zdenerwowana. Jej onieśmienie dodało mu odwagi.

Audrey wiedziała, jak wielką radość sprawi jej rodzicom pewność, że Cecil ma wobec niej poważne zamiary. Nie miała pojęcia w jaki sposób wybrnąć z tej sytuacji i przyspieszyła kroku, aby skrócić rozmowę. Musiała natychmiast porozumieć się z Islą i Louisem, którzy na pewno powiedzą jej, co robić...

Kiedy weszli do domu, Louis zauważył pełen napięcia wyraz twarzy Audrey oraz dumny uśmiech brata od razu wiedział, że zaszło między nimi coś ważnego. Pośpiesznie zerknął na Islę, wzrokiem dając Audrey do zrozumienia, by porozmawiała z siostrą. Audrey uśmiechnęła się z wdzięcznością i szybko opuściła salon, zostawiając mocno zaniepokojonego Louisa, który daremnie łamał sobie głowę, usiłując domyślić się, co się stało.

Cecil znalazł Henry'ego w gabinecie, zajętego pisaniem listu i zapytał, czy może mu przerwać.

- Proszę bardzo - zachęcił go Henry, wskazując krzesło przy kominku. - Paskudny dzień. - Odłożył pióro i skupił uwagę na Cecilu. - Nie dość, że jest zimno, to jeszcze pada...

- Chciałbym starać się o rękę Audrey i bardzo zależy mi na twoim pozwoleniu - powiedział Cecil.

Henry się roześmiał.

- Moje pozwolenie nie jest w tym wypadku potrzebne - odparł. - Audrey sama decyduje o swojej przyszłości, więc to do niej powinieneś się zwrócić... - Już to zrobiłem i Audrey przyjęła moje zaproszenie na kolację.

- Bardzo się cieszę! - zawołał Henry. - Audrey nie jest już dzieckiem, ale brakuje jej jeszcze doświadczenia. Cieszę się, że trafiła właśnie na ciebie.

Jego pochwała sprawiła Cecilowi wyraźną przyjemność.

- Kilka miesięcy zastanawiałem się, czy powinienem to zrobić - powiedział. - Niepokoiłem się, że może ci się to wydać nie właściwe, bo przecież jestem twoim podwładnym...

- Nonsens, mój drogi! Rose i ja już od pewnego czasu obserwujemy rozkwit waszej przyjaźni. Masz nasze błogosławieństwo, a jeśli zaskarbisz sobie przychylność Audrey, niczym więcej nie musisz się niepokoić.

- W takim razie pójdę teraz zagrać z Louisem w szachy i spróbuję jego ograć - powiedział pogodnie Cecil, wstając z fotela z sercem lekkim jak piórko.

Henry patrzył, jak młody człowiek zamyka za sobą drzwi, myśląc, jak bardzo Cecil różni się od swojego brata.

- Nie mają ze sobą nic wspólnego... - mruknął do siebie, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Przez jedną straszną chwilę pomyślał o Isli i Louisie jako o parze i jego serce ścisnął lęk. Jego uparta córka z łatwością mogłaby zakochać się właśnie w kimś takim... Biedny chłopak, z pewnością nie był złym człowiekiem, ale w ogóle nie nadawał się na męża... Byłby najbardziej nieodpowiednim kandydatem, jakiego można sobie wyobrazić. Nieodpowiedzialny, wiecznie roztargniony, jakby żył w innym świecie... Henry wziął do ręki pióro i pośpiesznie odegnał niepokojącą myśl. Z zasady nigdy nie martwił się na zapas, lecz Rose z rosnącym lękiem śledziła Islę i Louisa. Zwierzyła się ze swoich wątpliwości Ednie, a Henry wiedział, że na Islę pozytywny wpływ może wyrzucić jedynie Audrey.

- Och, po prostu nie mam pojęcia, co robić! - jęknęła Audrey, padając na łóżko. - Cecil zaprosił mnie na kolację...

- O Boże! - przeraziła się Isla. - Naprawdę niedobrze!

Potrząsnęła głową, aż loki podskoczyły wokół twarzy niczym sprężynki.

- Cecil jest taki sztywny i oficjalny! - skarżyła się Audrey. - Zupełnie jak bohater powieści Jane Austen! Będziesz się śmiała, ale po rozmowie ze mną poszedł poprosić tatę o pozwolenie...

- Masz ci los! Wygląda na to, że chce się z tobą ożenić!

- Nie żartuj sobie!

- Wcale nie żartuję.

- Nie ma na to szans, nigdy, w żadnym razie!

- Oczywiście że nie. Nikt nie będzie cię przecież zmuszał, żebyś wyszła za kogoś, kogo nie kochasz

- Zapewniła siostrę Isla. - Zgodziłaś się z nim pójść?

- Musiałam. - Audrey usiadła na łóżku. - Nie mogłam odmówić, nie po tych wszystkich tygodniach, kiedy zwodziłam go bez litości...

- Może jesteś jednak lepszą aktorką, niż sądziłam. - Isla uśmiechnęła się złośliwie.

- Bardzo ci dziękuję!

- Musisz uprzedzić Louisa. - Isla otworzyła szufladę i wyjęła z niej kilka kartek papieru i pióro. - Napisz do niego list, a ja wsunę mu go do ręki, kiedy będzie wychodził.

- Boże, czuję się zupełnie bezradna...

- Naturalnie, w tej sytuacji będziesz musiała pójść z Cecilem, nie masz innego wyjścia. - Isla usadowiła się na taborecie przed toaletką Audrey i sięgnęła po jej szczotkę do włosów. - W gruncie rzeczy jest to całkiem dobre rozwiązanie... Nikt nie będzie cię podejrzewał o uczucia do Louisa, jak długo będziesz się spotykać z Cecilem. To po prostu część gry.

- Co się stanie, jeżeli sprawy zajdą za daleko? - zaniepokoiła się Audrey.

- Wszystko zależy od ciebie - odparła Isla, uważnie obserwując siostrę w lustrze. - Nie możesz pozwolić, aby Cecil poczuł się zbyt pewnie.

- To jest takie paskudne! Cecil jest miły i dobry, a ja naprawdę go lubię... Sęk w tym, że nie chcę za niego wyjść...

- Prowadzisz niebezpieczną grę. - Isla wyobraziła sobie, że jest szpiegiem jednej z walczących stron. - Tak czy inaczej, nie masz wyboru. Jeżeli teraz odmówisz Cecilowi, narazisz na niebezpieczeństwo siebie i Louisa, to oczywiście. Spójrz na siebie - wyglądasz jak bogini miłości. Wszyscy są przekonani, że jesteś zakochana, tyle że w roli twojego ukochanego widzą niewłaściwego mężczyznę. Gdyby okazało się, że odrzucasz Cecila, ludzie zaczęliby się zastanawiać, komu oddałaś serce, i wcześniej czy później doszliby do tego samego wniosku co ja...

- Och, to wszystko jest takie okropne! - jęknęła Audrey. - Boję się, jak to się skończy!

- Nic dziwnego, że się boisz. Tak wygląda prawdziwe życie, które nie ma nic wspólnego z tymi twoimi powieściami. Pośpiesz się i napisz wreszcie list. Chyba powinniście się spotkać dzisiaj w nocy. Dopilnuję, żeby nikt was nie zobaczył.

Audrey skończyła pisać, uspokoiła się i razem z siostrą wróciła do salonu. Isla, która w nowej sytuacji nabrała jeszcze większej pewności siebie, zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój i

usiadła obok Louisa, rozgrywającego partię szachów z Cecilem. Rose natychmiast skupiła uwagę na młodszej córce.

Albert leżał na podłodze przed kominkiem i z dwoma braćmi budował domki z kart. Audrey nie śmiała zająć miejsca w pobliżu Louisa. Bała się, że w podnieceniu może zdradzić się ze swoim uczuciem, postanowiła więc zająć się zabawą z młodszym rodzeństwem.

Dopiero kiedy Cecil i Louis wstali i zaczęli się żegnać, najgorsze obawy Rose znalazły potwierdzenie. Zobaczyła, jak Isla ukradkiem podaje Louisowi kartkę. Był to ostrożny, szybki ruch i w innych okolicznościach Rose nigdy by go nie zauważyła, lecz teraz, kiedy zaczęła podejrzewać, że Islę i Louisa może coś łączyć, stała się czujniejsza niż zwykle. Po wyjściu gości poprosiła Audrey, aby zajrzała do niej na chwilę, pod pretekstem, że chce, aby córka pomogła jej wybrać suknię na koktajl u ciotki Hildy.

Audrey weszła za matką do jej pokoju i na jej polecenie zamknęła drzwi. Rose oparła się o parapet. Audrey zauważyła, że matka zbladła, a jej usta lekko drżą.

- Muszę cię o coś zapytać, córeczko... - zaczęła poważnym tonem.

Po plecach Audrey przebiegł zimny dreszcz. Poczowała krople potu na karku, kolana ugięły się pod nią. Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła przyglądać się swoim paznokciom.

- O co, mamó? - zapytała, starając się mówić w jak najbardziej naturalny sposób.

Rose była zbyt pochłonięta własnymi myślami, aby zwrócić uwagę na źle skrywane zaniepokojenie Audrey,

- Obawiam się, że Isla i Louis... - Zawahała się, szukając najwłaściwszego określenia. „Flirtują ze sobą” wydawało jej się zbyt lekkie, „romansują” zbyt wyrefinowane. - Wydaje mi się, że Isla i Louis są zakochani...

Audrey o mało nie rozplakała się z wielkiej ulgi.

- Dlaczego tak uważasz, mamó? - zawołała. - Przecież to absurdalne!

- Mogłabym przysiąc, że dzisiaj wieczorem widziałam, jak Isla wsunęła karteczkę Louisowi do ręki...

- To niemożliwe - zapewniła matkę Audrey. - A jeżeli nawet zrobiła coś takiego, to założę się, że nie był to żaden romantyczny liścik. Isla na razie nie interesuje się mężczyznami. Opowiada mi o wszystkim, więc powiedziałyby mi także, gdyby się za kochała...

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała Rose, siadając obok córki. - Jesteś ze mną zupełnie szczerą?

- Absolutnie.

Rose otarła oczy.

- Zdjęłaś mi z serca wielki ciężar, kochanie - westchnęła.

- Ale co właściwie masz do zarzucenia Louisowi? - odważyła się zapytać Audrey.

Matka z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nic - odparła lekko, chętnie wycofując się z wszelkich możliwych oskarżeń, skoro zagrożenie zniknęło. - Chodzi mi tylko o to, że zachowuje się trochę nieodpowiedzialnie. Tata słyszał o nim różne rzeczy od swoich znajomych w Londynie... Wszyscy są zgodni, że Louis nie cieszy się najlepszą opinią. Jest czarującym młodym człowiekiem i oczywiście bardzo przystojnym, ale ja w żadnym razie nie chciałabym, aby starał się o rękę mojej córki. Nie zniosłabym tego. Louisa trudno nazwać człowiekiem honoru, kochanie. Nie poszedł nawet na wojnę, chociaż podobno nic nie stało na przeszkodzie, żeby to zrobić. To hańba, nie sposób nazwać tego inaczej.

Audrey przełknęła łzy, od których nagle zapiekły ją oczy,

- Przypuszczam, że wcale nie jest taki zły, jak wszyscy mówicie! - zaprotestowała gniewnie. - Jesteście niepotrzebnie okrutni, i tyle!

Rose uznała, że Audrey broni Louisa, ponieważ jest bratem człowieka, którego wybrała. Poklepała ją po ręce i obdarzyła po błazliwym uśmiechem.

- Moja droga, nikt nie podaje w wątpliwość szlachetności i dobrego charakteru Cecila...

- Ale Louis także jest dobry! Jest spontaniczny i impulsywny, szczerzy i niekonwencjonalny, lecz to nie czyni z niego złego człowieka!

- Naturalnie - zgodziła się Rose. - Naprawdę się cieszę, kiedy mogę gościć go w naszym domu...

- Pod warunkiem, że nie zakocha się w jednej z twoich córek!

- Na szczęście to wydaje się mało prawdopodobne - odparła spokojnie Rose. - Powiedz mi, o czym rozmawiał z tobą Cecil podczas spaceru, kochanie. Kiedy wróciliście, wyglądał na bardzo szczęśliwego...

Audrey westchnęła ciężko, świadoma, że musi kontynuować grę, jaką zdecydowała się rozpocząć.

- Zaprosił mnie na kolację - odparła cicho.

- Jak to miło z jego strony! - Rose usiłowała nie okazywać entuzjazmu. - Kiedy się wybieracie?

- Powiedział, że najpierw musi poprosić was o pozwolenie.

- Doskonale wychowany młody człowiek - pochwaliła Rose. Wstała i zajęła się ustawianiem wiktoriańskich szkatulek na swojej toalecie, aby uspokoić nerwy. - Może liczyć na nasze po zwołaniu, i moje, i taty. Najważniejsze jest jednak to, czy ty chcesz przyjąć jego zaproszenie...

- Och, chętnie gdzieś się z nim wybiorę - rzekła Audrey, usiłując okazać radość. - W końcu to tylko kolacja...

- Oczywiście - odparła Rose.

Audrey musi mieć tremę, pomyślała. W końcu po raz pierwszy wychodzi na kolację z młodym mężczyzną...

- Jestem pewna, że Cecil wybierze jakieś przyjemne miejsce - powiedziała. - Ma doskonały gust...
Ach, ale co ty na siebie włożysz? Chyba powinniśmy wybrać się do miasta...

Tego wieczoru Audrey mocno wtuliła się w Louisa, by wziąć od niego trochę ciepła, które było jej tak potrzebne. Louis przez cały wieczór wyładowywał swoją furię na fortepianie, aż w końcu Diana Lewis poprosiła go, aby zagrał coś melodyjnego albo w ogóle przestał grać.

- Nie chcę, żebyś z nim poszła, najdroższa, ale jeżeli w ten sposób możemy zapewnić sobie spokój i nasze dalsze spotkania. to chyba jednak warto to zrobić... - odezwał się. - Mam nadzieję, że twoi rodzice w końcu zmienią o mnie zdanie i...

- Na pewno - przerwała mu Audrey. Nie chciała zranić jego uczuć, powtarzając rozmowę z matką.
- Musimy tylko dać im trochę czasu...

- Nie mamy czasu; - jęknął.

- Jak to, nie mamy czasu?

- Cecil myśli o tobie bardzo poważnie, a ty wciąż go zwodzisz. - Louis ze złością wymówił imię brata. - Nie możesz ciągnąć tego w nieskończoność. Nie możesz też ciągle trzymać mnie na dystans...

- Wcale tego nie robię! - zawołała, poruszona jego oskarżeniem.

- Więc ucieknijmy razem...

- Wiesz, że nie mogę tak postąpić.

- Widzisz inne wyjście z tej sytuacji?

- Och, do diabła z moimi rodzicami! - syknęła, odsuwając się od niego na odległość ramienia i zaglądnęła mu w oczy. - Dla czego w ogóle przejmuję się tym, co oni myślą?

- Ponieważ dorastałaś w ciepłe ich miłości, kochanie - odparł Louis. Z czułością pogładził jej policzek i pocałował w czoło. - To naturalne, że nie chcesz ich zranić. Ty także ich potrzebujesz... Po za tym nie należysz do dziewcząt, które uciekają z domu, prawda? - Tak... A co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Ja uciekłbym z tobą bez chwili wahania, ale ja jestem przecież całkowicie nieodpowiedzialny. - Louis zaśmiał się smutno.

- Nie, wcale nie! Jesteś ideałem! W moich oczach naprawdę jesteś ideałem!

- Kocham cię - powiedział cicho, przyciągając ją do siebie i muskając wargami skroń. - Kocham cię całym sercem...

- A ja kocham ciebie - odparła. - Nic poza tym nie ma znaczenia. Zawsze będziemy razem.

- Oczywiście. Nie jestem aż takim głupcem, żeby się ciebie wyrzec, mamy przed sobą całe życie, pełne wspaniałych przygód. Co stałoby się z twoimi marzeniami, gdyby nie było mnie przy tobie? Ktoś musi je spełnić, prawda?

- Jedno już spełniłeś! - roześmiała się. - Tańczyliśmy tango w Palermo...

- Zatańczymy jeszcze na szczycie Machu Picchu i na pustyni Atacama w środku wiosny, kiedy kwitną tam pustynne kwiaty. Będziemy tańczyć w Paryżu, Rzymie i Wiedniu, we wszystkich stolicach świata. Nie pozwolę, żeby muzyka przestała dla nas grać, obiecuję ci to, moja najmilsza... Muzyka zawsze będzie dla nas grała.

Audrey bez słowa przytuliła twarz do jego szyi, pewna, że spełnią się wszystkie jego obietnice.

Rozdział siódmy

Audrey obawiała się wieczoru z Cecilem nie dlatego, że nie lubiła jego towarzystwa, lecz dlatego, iż znała jego uczucia i wiedziała, jak łatwo je zranić. Nieustannie myślała z niepokojem o intrydze, jaką uknuła przy pomocy Islii, grze pozorów, w którą wbrew sobie angażowała się z każdym dniem coraz bardziej. Zadawanie cierpienia innym było sprzeczne z jej naturą, lecz Isla przekonała ją, że w tym wypadku cel bez wątpienia uświęca środki.

- Nie daj się ogłupić! - powiedziała Isla. - Cecil jest zbyt zimny, by mieć gorące serce. Jak myślisz, ile czuje ryba?

Tymczasem Cecil nie mógł skupić się na pracy, grze w polo ani na czymkolwiek innym, co mogłoby odwrócić jego uwagę od zbliżającego się wieczoru, który miał spędzić w towarzystwie Audrey Gamet. Bardzo mu zależało, aby zrobić na Audrey jak najlepsze wrażenie. Umówił się nawet z Henrym, że pożyczycy jego fordę, aby zawieźć Audrey do miasta, ponieważ zarezerwował jedną z najlepszych łóż na spektakl baletowy w Teatro Colon. Często wyobrażał sobie, jak oboje wymieniają czułe spojrzenia w gęstej ciemności. Kto wie, może Audrey pozwoli, żeby wziął ją za rękę... To marzenie pochłaniało całą jego uwagę do chwili, gdy nagle rozdzwonił się telefon. Cecil wyrwał się ze świata cudownych snów i na moment wrócił do rzeczywistości, lecz gdy odłożył słuchawkę, pociągnęła, wrażliwa twarz Audrey znowu pojawiła się przed jego oczami.

Nigdy nie rozmawiał z bratem o tym, co czuje do Audrey, lecz teraz, pełen euforii, odczuwał potrzebę podzielenia się z kimś bliskim swoją radością, otworzył więc serce przed Louisem w drodze powrotnej z pracy. Patrząc w pogodną twarz Cecila, Louis czuł, jak jego żołądek skręca się z zazdrości. Usiłował uniknąć tego tematu, lecz zdeterminowany Cecil mówił tak długo, aż Louis w końcu zaczął słuchać.

- Nie śmiałem wierzyć, że przyjmie zaproszenie. Ma takie nieprzeniknione spojrzenie, nie sposób powiedzieć, o czym myśli, ale kiedy powiedziała „tak”, miałem wrażenie, że ktoś opuścił zwodzony most, abym mógł wejść do środka fortecy..

Cecil westchnął, pewny, że bitwa o serce Audrey zakończyła się jego zwycięstwem. Louis dostrzegł pełen satysfakcji uśmiech na twarzy brata i zmarszczył brwi, usiłując zamaskować niechęć. Cecil poczerwieniał, jakby czuł się zawstydzony własną radością.

- Dokąd zamierzasz ją zabrać? - zapytał z przymusem Louis, zakładając nogę na nogę i z udawaną nonszalancją opierając kostkę na kolanie.

- Audrey jest kulturalną młodą kobietą, która kocha muzykę i taniec - zaczął Cecil tonem sugerującym, że zna Audrey lepiej niż jego brat. Louis utkwił wzrok w oknie, ale na zewnątrz było zupełnie ciemno i w szybie widział jedynie swoją szarą twarz. - Zabieram ją do Colon na Giselle. Audrey uwielbia balet, ale raczej rzadko chodzi do teatru... Chcę zrobić jej niespodziankę. Powiedział to z nietypowym błyskiem w oku.

Louis stłumił jęk i cicho zakasłał.

- Pomyślałeś o wszystkim - rzekł ponuro.

- Mam nadzieję...

- Ale przecież ty nie lubisz baletu!

- Nie szkodzi. Wystarczy mi świadomość, że sprawiłem jej przyjemność.

- Nie stawiaj jej w trudnej sytuacji.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Cecil.

- Jest bardzo młoda. Jeżeli będziesz za bardzo naciskał, wystraszysz ją. Daj jej trochę czasu.

Cecil był jednak tak pewny siebie, że tylko uśmiechnął się pobłażliwie.

- To nie jest gra - odparł. - Audrey jest bardzo młoda, to prawda, ale ma umysł znacznie dojrzały... Moje plany dotyczą naszej wspólnej przyszłości i wydaje mi się, że ona o tym wie.

Louis zadrżał wewnątrz. Brat najwyraźniej nie miał cienia wątpliwości, że Audrey odwzajemnia jego uczucie... Nagle ogarnęły go wątpliwości. Z jednej strony czuł wyrzuty sumienia: ponieważ serce Cecila miało zostać boleśnie zranione, ale z drugiej w perwersyjny sposób cieszył się na myśl, że brat będzie cierpiał kiedy Audrey w końcu powie mu prawdę. Louis pomyślał o szekspirowskim Malvoliu i pożałował, że oboje z Audrey rozpoczęli tę grę. Doszedł do wniosku, że musi uzbroić się w cierpliwość. Czas na pewno rozplącze ten węzeł.

Kiedy wysiedli na stacji Hurlingham, Louis niepostrzeżenie wyjął spomiędzy cegieł umieszczony tam przez Audrey list i natychmiast odzyskał dobry nastrój. Audrey kochała go i nic, żadne zaloty i randki nie mogłyby jej zmusić, aby przenieśli swoje uczucia na Cecila. Gdy szli ponurymi, szarymi ulicami w kierunku klubu, palce Louisa pieśczośliwie gładziły kartkę papieru, która dawała mu ciepłe poczucie bezpieczeństwa. Ale jednak łącząca ich tajemnica zaczęła mu ciążyć na sumieniu. Pragnął powiedzieć wszystkim, że Audrey należy do niego i niecierpliwie czekał na moment, kiedy będzie mógł pochwalić się nią przed całym światem. Nie był pewny, jak długo jeszcze zdoła tańczyć wśród głębokich cieni.

Rose była tak podekscytowana rozwijającą się przyjaźnią starszej córki z Cecilem Forresterem, że popełniła poważny błąd, wspominając o ich zbliżającej się randce Dianie Lewis, którą spotkała w piekarni. Diana, nie tracąc czasu, natychmiast zadzwoniła do Charlo Osborne, ta zaś powtórzyła

wszystko pułkownikowi Blythe przy podwieczorku w klubie. Pułkownik w zamyśleniu podkręcił siwego wąsa.

- Cecil Forrester jest szlachetnym i dobrym człowiekiem - powiedział, zaciągając się tureckim papierosem. - Nie znam lepszego... A Audrey to prawdziwy skarb, zawsze to mówiłem...

- To piękna dziewczyna - oświadczyła Charlo. - Naprawdę wyjątkowej urody...

Uważała, że właśnie uroda przedstawia najwyższą wartość w życiu kobiety i bardzo żałowała, że sama nie jest już taka piękna jak w latach młodości.

- Dziewczyna powinna korzystać z urody dopóki może, bo niestety, bardzo szybko ją traci - ciągnęła. - Spójrz na mnie, pułkowniku - jako młoda osoba byłam dość urodziwa, a teraz...

Westchnęła, doskonale wiedząc, że jej słowa wywołają odpowiednią reakcję ze strony pułkownika, i nie omyliła się. Szybko poklepał ją po ręce i przez grube szkło monokla rzucił spojrzenie pełne nieukrywanej czułości. Charlo zdawała sobie sprawę, że od ostatniego lata stary pułkownik bardzo się zmienił. Nie miała pojęcia, co było tego powodem, wiedziała jednak, że stał się zdecydowanie bardziej ludzki i, miała nadzieję, romantyczny.

- Dojrzewasz jak dobre wino, dziewczyno - powiedział z porozumiewawczym uśmiechem. - Uroda to zupełnie zwyczajna rzecz, napotykamy ją na każdym kroku, lecz prawie zawsze brakuje jej ostrej przyprawy, której ty masz tyle, że wystarczyłoby dla młodych kobiet na całym świecie...

Charlo zachichotała i wzruszeniem ramion zbyła pożądlive spojrzenie pułkownika, powiększone za sprawą szkła w monoklu. Czyżby rzeczywiście miłość złagodziła charakter tego starego bojowego rumaka?

- Naprawdę, pułkowniku, jesteś zbyt łaskawy! - zaprotestowała, przyglądając gęste, srebrzyste włosy i hipnotyzując adoratora bystrymi, błękitnymi oczami, które wciąż potrafiły rzucać czar mimo nieco opadających górnych powiek.

- Dajże spokój, staruszko, dobrze wiesz, że podziwiam cię z całego serca - rzekł pułkownik, trochę szybciej niż poprzednio zaciągając się dymem.

- Nie zasługuję na podziw, pułkowniku...

- Zasługujesz, ale nie chcesz przyjąć tego do wiadomości! - huknął Blythe, z bezradną złością waląc pięścią w stół.

Filizanki i spodeczki podskoczyły wysoko, zupełnie jakby klub nawiedziło miniaturowe trzęsienie ziemi.

- Cóż...

- Wiem, że pochowałeś trzech mężów, ale ja przeżyłem jakoś pierwszą wojnę, na Boga! Stoczenie z tobą bitwy byłoby dla mnie największym wyzwaniem, słowo daję! Nie chcesz chyba pozbawiać starego człowieka przyjemności ostatniej potyczki?

- Przypominam Czarną Wdowę - ostrzegła Charlo.

- Trzeba czegoś więcej niż ukąszenie, żeby złożyć mnie do grobu. Jestem twardy i nieustępliwy jak stary nosorożec. Nie uda ci się mnie wystraszyć, moja droga. Jestem tobą zauroczony...

- Jestem stara.

- Ja także.

- Za stara na miłość.

- Chyba sama w to nie wierzysz!

- Ale powinnam...

Pułkownik przez chwilę żuł ustnik papierosa, śmiejąc się z własnej niemożności nakłonienia tej kobiety do kapitulacji.

- Piękna z ciebie klacz - wymamrotał. - W końcu cię zdobędę, zobaczysz...

Atrakcyjna twarz Charlo zarumieniła się z zadowolenia.

- Może to nadejść szybciej, niż sądzisz.

- Właśnie, moja droga. Dlatego nie chcę marnować czasu na zbędny pościg.

- Zawsze uważałam, że pościg jest najbardziej ekscytujący. - Charlo z przyjemnością dobitnie zaakcentowała ostatni wyraz.

Pułkownik Blythe wyjął papierosa spomiędzy warg i zmrugał oczy.

- Na tym etapie życia nie ma sensu wdawać się w takie gierki - mruknął. - Powinnaś zrozumieć, że jeszcze bardziej ekscytujące są chwile po zakończeniu pościgu i wreszcie pozwolić się schwytać, staruszeko...

- Schwytano mnie już trzy razy, pułkowniku, i nieodmiennie kończyło się to rozczarowaniem. Jestem już za stara, żeby przeżyć jeszcze jedno...

Blythe wetknął sobie papierosa do ust, zaciągnął się i wyprostował, chwilowo pokonany.

- Więc Audrey umówiła się na randkę z Cecilem Forresterem, co? - zaśmiał się. - Założę się, że ta dziewczyna uniknie rozczarowania...

- Na razie - kwaśno odparła Charlo. - Lecz z pewnością nie na dłużej. W sprawach sercowych nie da się uniknąć rozczarowania, niestety. Serce wzbija się na wyżyny, a potem spada i cierpi...

- Ach, ci młodzi... - pułkownik westchnął. - Naiwność to wielkie błogosławieństwo, podobnie jak nieświadomość...

- Otóż to... Z wiekiem człowiek staje się cyniczny.

- Tylko wtedy, gdy sam na to pozwala, staruszeko.

Wkrótce cały klub mówił o tym, że Cecil stara się o rękę Audrey. Dziewczęta głośno i z wyższością w głosie chwaliły wybór Audrey, wściekle, że Cecil wybrał właśnie ją.

- Od początku czułam, że Audrey zakocha się w Cecilu! - oznajmiły Agatha i Nelly, maskując zazdrość sztuczną słodyczą. - To typowe dla niej! Jest tak rozsądna i spokojna, że idealnie do niego pasuje!

Krokodylice plotkowały o młodej parze przy brydżu i z dużym rozczarowaniem doszły do wniosku, że nie mają wielu powodów do krytyki. Tylko ciotka Hilda nie potrafiła ukryć goryczy i zaciskała wąskie wargi jeszcze mocniej niż zwykle. Zaraz po przyjeździe Forresterów do Buenos Aires miała nadzieję, że Cecil wybierze którąś z jej córek.

Audrey była zrozpaczona, że wszyscy wiedzą o niej i Cecilu, i starannie unikała wizyt w klubie. Rose, zupełnie nieświadoma, że to właśnie ona wprawiła w ruch lawinę plotek, była przykro zaskoczona, że bliżsi i dalsi znajomi interesują się czymś, co nie ma z nimi nic wspólnego, i ze wszystkich sił usiłowała pocieszyć córkę. Kiedy wreszcie nadszedł wyznaczony wieczór, Audrey czuła się tak zestresowana, że o mało nie odwołała spotkania z powodu bynajmniej nie udawanego bólu głowy. Ale Isla natarła jej skronie lawendowym olejkiem i przypomniała, dlaczego w ogóle przyjęła zaproszenie Cecila.

- Jutro znowu będziesz w ramionach Louisa, a jeżeli okażesz trochę sprytu, z pewnością zdołasz jeszcze trochę pozwozić Cecila.

- Chyba nie mam siły! - jęknęła Audrey. - Jutro porozmawiam z Louistem. Nie chcę dłużej ciągnąć tej gry... Wydaje mi się, że powinniśmy powiedzieć rodzicom prawdę i stawić czoło konsekwencjom... Ostatecznie, co złego może z tego wyniknąć?

- Dużo złego - odparła Isla z brutalną szczerością. - Gdyby chodziło o mnie, nie zastanawiałabym się ani chwili, szczerze mówiąc, w ogóle nie przyszłoby mi do głowy oszukiwać, ale ty jesteś za dobra i za bardzo przejmujesz się tym, żeby nie denerwować rodziców. Ja już dawno uciekłabym z domu, lecz ty zawsze byłaś tchórzem, siostrzyczko. Właśnie dlatego tak cię kocham... I właśnie dlatego pewnego dnia spadnie na mnie gniew całej naszej społeczności, jestem o tym głęboko przekonana...

Isla miała rację. Audrey bała się zranic kogokolwiek, a już zwłaszcza matki. Żałowała, że nie jest podobna do siostry. Wyobrażała sobie, że w końcu wyzna najbliższym nieprzyjemną prawdę, lecz w głębi serca wiedziała, iż szczęście rodziców zawsze będzie dla niej ważniejsze niż jej własne.

Wieczorem Cecil zjawił się w domu Garnetów doskonale elegancki i nieco sztywny, zupełnie jak oficer przed defiladą. Tak silnie pachniał wodą po goleniu, że Audrey zapomniała o bólu głowy, zrobiło jej się natomiast niedobrze. Cecil był tak zdenerwowany, że dłonie lepiły mu się od potu, a na jego twarzy malował się poważny, pełen skupienia wyraz. Zdawał sobie sprawę, że przesadził z wodą kolońską i świadomość, iż nic nie może już na to poradzić, pozbawiła go pewności siebie do tego stopnia, że zaczął się jękać. Nieco drżącym głosem wyraził zachwyt nad długą liliową suknią Audrey i zaklął w myśli, zrozpaczony, że opanowany, chłodny Cecil Forrester opuścił go właśnie w chwili, gdy najbardziej go potrzebował. Isla siedziała na schodach, nerwowo obgryzając paznokcie, a Rose i Edna obserwowały idących do samochodu młodych zza firanek w salonie.

- Cecil jest taki przystojny! - westchnęła Rose, kiedy Audrey wsiadła do wozu.

- I w dodatku prawdziwy dżentelmen - powiedziała Edna. - Niewielu takich zostało na świecie...

- Wcale mi się nie wydaje, żeby był dobrym kandydatem na męża dla Audrey - śmiało oświadczyła Isla.

Rose i Edna odwróciły się do niej ze zdumieniem.

- Naprawdę tak uważam - ciągnęła Isla. - Nie mają ze sobą nic wspólnego. Audrey uwielbia poezję i muzykę, natomiast Cecil wojsko i szachy. Chyba same rozumiecie, że nie pasują do siebie. Nie powinniście przekonywać jej, że są dla siebie stworzeni...

- O co ci chodzi, kochanie? - zapytała Rose.

Isla podniosła się i ruszyła na górę. Edna zmarszczyła brwi i rzuciła siostrze pytające spojrzenie, lecz Rose tylko bezradnie pokręciła głową.

- Skończy się na tym, że Audrey wyjdzie za niego, żeby sprawić przyjemność tobie i tacie! - krzyknęła Isla.

Miała ochotę dodać, że Audrey wcale nie kocha Cecila, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język, otworzyła drzwi do swojego pokoju, wpadła do środka i z rozmachem zatrzęsła je za sobą.

Rose wzruszyła ramionami.

- Masz ci los! - mruknęła. - Co w nią wstąpiło, na miłość boską?

Edna lekko pochyliła głowę, dotykając podwójnym podbródkiem szyi i znacząco zerknęła na siostrę.

- Zazdrość? - zapytała Rose, która zawsze bez trudu interpretowała spojrzenia Edny.

- Tak sędzę. Ostatnio uwaga wszystkich skupiona jest na Audrey, nie na niej...

- Masz rację, kochanie, wykazałam się kompletnym brakiem wrażliwości i zrozumienia - powiedziała Rose. - Nie martw się, myślę, że uda mi się jeszcze naprawić tę sytuację...

Poczuła ogromną ulgę na myśl, że słowa jej młodszej córki podyktowała nie szczerość, lecz zazdrość.

Kiedy wsiedli do samochodu, Cecil otworzył okna, pozwalając wpaść do środka prądowi świeżego, zimowego powietrza, które w jednej chwili orzeźwiło Audrey i uspokoiło ją. Początkowe zdenerwowanie i zażenowanie minęło, rozmowa stała się bardziej swobodna, a Cecil zaczął odzyskiwać równowagę. Audrey poczuła się lepiej, mając świadomość, że znajdują się z dala od pełnych nadziei oczu matki i ciotki, i chociaż widoki za oknem przypominały jej magiczne i zakazane noce w Palermo, zrozumiwała, że obawy, jakie dręczyły ją przed tym wieczorem, były zupełnie nieuzasadnione. Jej serce należało do Louisa, nie było jednak żadnego powodu, aby nie mogła cieszyć się towarzystwem i przyjaźnią Cecila.

Audrey była pod wielkim wrażeniem Teatro Colon, dominującego nad szeroką Avenida de Julio niczym olbrzymi, bajkowy pałac. Oświetlony złotystymi lampami budynek roztaczał dookoła aurę paryskiej elegancji i wyrafinowania oraz rzymskiego romantyzmu. W oczach Audrey był symbolem kultury i sztuki odległego świata, który w przyszłości planowała poznać u boku Louisa. Cecil zaparkował samochód i pozwolił sobie delikatnie położyć dłoń na plecach Audrey, aby pokierować nią w tłumie. Miasto zauroczyło Audrey, poczuła dreszcz podniecenia, krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach i po paru chwilach śmiała się i rozmawiała z Cecilem bez skrępowania, komentując wygląd przechodniów, ich ubrania oraz biżuterie, a także swoje własne odczucia. Cecil był w siódmym niebie. Zachowanie i usposobienie Audrey wydawały mu się cudowne, zwłaszcza entuzjazm, który w jego obecności okazała po raz pierwszy. Jeżeli wcześniej uważał, że ją kocha, to teraz musiał uznać, że była to miłość słabsza i bledsza od tej, jaką czuł w tej chwili. Patrząc na jej ożywioną, radosną twarz i miał wrażenie, że zna ją lepiej niż inni. Czuł głęboką wdzięczność, że właśnie jemu zdecydowała się pokazać swoją skrywaną na codzień naturę.

Zajęli miejsca w jednej z wielu łóż, zwisających ze ściany teatru niczym pozłacane łodzie przymocowane do burty okrętu, i przyglądali się, jak przez wszystkie drzwi wlewa się do sali gęsty strumień widzów w eleganckich garniturach, błyszczących sukniach oraz perłowych i diamentowych naszyjnikach. Szmer oczekiwania przebiegł po widowni na fali gorącego powietrza, przesyconego duszącym zapachem perfum i szampana. Audrey oparła dłonie w rękawiczkach na parapecie łoży i spojrzała w dół, na muzyków w kanale dla orkiestry, którzy dopiero przed chwilą zaczęli stroić instrumenty.

Cecil otworzył program i podał jej małą lornetkę.

- Och, jak cudownie! - zawołała Audrey, kierując szkła na orkiestrę. - Spójrz, jest już dyrygent - szepnęła, kiedy rozmowy powoli ucichły i rozległy się głośnie oklaski.

Dyrygent skłonił się widzom, a potem, odwrócony do muzyków, wysoko uniósł ramiona, skupiając na sobie uwagę. Po chwili opuścił ręce, a instrumenty eksplodowały muzyką.

Od tego momentu Audrey słuchała jak zaczarowana. Tancerze wyskoczyli na scenę lekko niczym gazy, przykuwając wzrok. Cecil, który nie był wielbicieleм baletu, obserwował w ciemności Audrey, czerpiąc ze spektaklu dużo mniej przyjemności niż z widoku jej raz po raz zmieniającej wyraz twarzy.

- To było piękne! - szepnęła po zakończeniu pierwszego aktu, lekko pociągając nosem ze wzruszenia. - Myślałam, że się rozplaczę, kiedy ona popełniła samobójstwo...

- Bardzo się cieszę, że tak ci się podoba. - Był trochę zaskoczony intensywnością jej reakcji. - Przynieść ci coś do picia? Może kieliszek szampana?

Audrey skinęła głową i sięgnęła do torebki po chusteczkę.

- Och, Boże, zawsze płaczę, kiedy słucham pięknej muzyki... To było takie smutne...

- Nie musisz czuć się zażenowana, to czarujące, że potrafisz okazać wzruszenie. - Podał jej kieliszek zimnego szampana i własną jedwabną chusteczkę.

- Isla uważa, że jestem zbyt wrażliwa. Ona nigdy nie płacze, niezależnie od sytuacji...

- Jestem pewny, że zmieni się to, kiedy będzie starsza. Jest jeszcze za młoda, żeby w pełni docenić tego typu doznania jak balet czy opera - rzekł Cecil pobłażliwym tonem, choć wiedział, że wiek nie ma z tym nic wspólnego.

Sam miał trzydzieści lat i nigdy jeszcze nie uległ magii muzyki oraz tańca. Audrey roześmiała się lekko, ponieważ odgadła, o czym myślał i przypomniała sobie słowa siostry: ile czuje ryba? Widziała, że Cecil nie czuł najmniejszego wzruszenia, lecz wcale jej to nie przeszkadzało. Louis szlochałby razem z nią, trzymając ją za rękę i odbierając potęgę muzyki w tym samym stopniu. Obojętność Cecila wydała się Audrey kompletnie nie ważna. Pomyślała o Louisie i uśmiechnęła się z czułością. Powoli sączyła szampana, czekając, aż światła pogasną i kurtyna się podniesie. Chciała znowu zatracić się w nierealnym świecie i wyobrazić sobie, że obok niej siedzi Louis.

W czasie ostatniego aktu, kiedy tacy znowu popłynęły po policzkach Audrey, Cecil położył dłoń na jej ręce. W pierwszej chwili nie zauważyła tego, ponieważ balet pochłonął ją bez reszty, lecz potem całe jej ciało zeszywniało i krew uderzyła do głowy, zalewając policzki ciemną falą. Nie wiedziała, co zrobić. Gdyby cofnęła rękę, Cecil mógłby poczuć się urażony, gdyby zdecydowała się zostawić ją w tym samym miejscu, stworzyła by fałszywe wrażenie. Nagle odkryła, że nie potrafi skoncentrować się na przedstawieniu. Jej ręka leżała pod jego dłonią bez władania jak śnięta ryba, obleczona w jedwabną rękawiczkę, ale przecież odbierająca ciepło jego ciała. Po kilku chwilach, które wydawały jej się wiecznością, zrozumiała, że nic nie może zrobić. Powinna po prostu nie myśleć o dłoni Cecila i skupić uwagę na końcowym fragmencie baletu. Usiłowała przekonać samą siebie, że był to zwykły gest przyjaźni. Zaczęła przecież znowu płakać, a jakież mężczyzna nie chciałby pocieszyć kobiety... Cecil był dobrym człowiekiem, który chciał okazać, że rozumie jej wzruszenie, nic więcej... Próbowała skoncentrować się na gestach tancerzy. Cecil poczuł przyływ odwagi, ponieważ Audrey nie cofnęła dłoni, więc zdecydował się na jeszcze śmielszy krok i ścisnął ją lekko. Jak na razie wieczór był bardzo udany.

Gdy spektakl dobiegł końca, Cecil zaprowadził Audrey do znajdującej się w pobliżu małej restauracji. Dziewczyna była dziwnie cicha, lecz Cecil uznał, że jest po prostu zbyt wzruszona, aby rozmawiać. Skóra Audrey wciąż płonęła pod chłodną tkaniną rękawiczki i głowa bolała ją na myśl, że granice jej prywatności zostały pogwałcone, a ona na to pozwoliła.

Nie chciała psuć dobrego nastroju Cecila, który naprawdę bardzo się starał, ponieważ byłoby to najzwyczajniej niesprawiedliwe, więc uśmiechnęła się z wysiłkiem i podjęła rozmowę, rozpaczliwie usiłując okazywać taki sam entuzjazm jak na początku wieczoru, kiedy atmosfera oczekiwania na niecodzienne wydarzenie napełniła ją prawdziwą radością. Cecil był zbyt gruboskórny, aby zauważyć subtelny zmianę tonu jej głosu - widział tylko twarz i błyszczące oczy, które zapewniały go o jej przychylności.

Dopiero gdy stanęli przed drzwiami jej domu, Cecil zdobył się na wypowiedzenie słów, które nosił w sercu od chwili, kiedy przykrył ręką jej dłoń.

- Ten wieczór sprawił mi ogromną przyjemność... - zaczął.

- Mnie również - przerwała mu. - Jestem ci bardzo wdzięczna, że mnie zaprosiłeś...

Odwróciła się w kierunku drzwi, zadowolona, że wieczór wreszcie dobiegł końca, lecz Cecil niespodziewanie ujął ją za ramię. Spojrzała na niego i z lękiem dostrzegła błysk determinacji w jego oczach, nie mogła jednak zrobić nic, aby go powstrzymać.

- Chcę się z tobą ożenić - oznajmił z triumfalnym uśmiechem, najwyraźniej przekonany, że chciała usłyszeć te słowa tak samo mocno, jak on pragnął je powiedzieć.

Audrey cofnęła się gwałtownie i oparła o drzwi, ponieważ nogi ugięły się pod nią z przerażenia.

- Rozumiem, że jesteś zaskoczona i że nie udzielisz mi odpowiedzi ani dzisiaj, ani jutro. Musisz to przemyśleć... Wiem jedno, jesteś kobietą, z którą chcę spędzić resztę życia i wydaje mi się, że ty także masz tę świadomość, prawda?

Audrey myślała gorączkowo, co może mu powiedzieć, lecz w jej umyśle aż szumiało od słów, spośród których powinna wybrać te najważniejsze. Stała bez ruchu, wpatrując się w Cecila z lekko uchylonymi ustami i bała się, że lada chwila załamie się i wybuchnie płaczem.

Cecil otworzył przed nią drzwi i patrzył, jak wchodzi do holu.

- Będę niecierpliwie czekał na odpowiedź - szepnął, świadomy, że reszta rodziny już śpi. - Dobranoc!

Audrey zdołała odwrócić się i wymamrotać pożegnanie. Cecil zamknął drzwi i ruszył w stronę klubu, pogwizdując swój ulubiony wojskowy marsz.

Dziewczyna weszła po schodach na górę, mocno trzymając się poręczy, by nie upaść. Isla, która czekała na powrót siostry w jej pokoju, usłyszała ciężkie kroki i na palcach wybiegła na podest. Widząc bladą jak ściana twarz Audrey i jej sine wargi, natychmiast pojęła, że stało się coś złego.

- Och, Boże... - jęknęła. - Próbował się do ciebie zalecać?

Audrey pokręciła głową.

- To byłoby błogosławieństwo... - odparła martwym głosem.

- Co może być jeszcze gorsze?

Audrey uniosła brwi. Isla założyła ręce na piersiach.

- Poprosił cię o rękę. tak? - zapytała.

Audrey na moment ukryła twarz w dłoniach.

- Tym razem naprawdę przesadziłam - powiedziała.

- Nic się nie stało - pocieszyła ją szybko Isla. - Odmówiłaś, prawda?

- Nie dałam mu żadnej odpowiedzi.

- Nie dałaś mu odpowiedzi? - powtórzyła Isla, ściągając brwi. - Dlaczego?

- Nie wiedziałam, co powiedzieć, byłam w szoku...

- Mogłaś powiedzieć: „Nie”.

- Co ja mam teraz zrobić? - Audrey pociągnęła nosem. Zdjęła rękawiczki i otarła łzy jedwabną chusteczką Cecila.

- Chodź do pokoju. Myślę, że już najwyższy czas, żebyś wyznała wszystkim prawdę...

Rozdział ósmy

Kiedy Audrey przeczytała list od Louisa, dowiedziała się, że Cecil powiedział bratu o swoich oświadczeniach. „Zżera mnie zazdrość, pisał Louis. Wiem, że to uczucie jest nieuzasadnione, lecz nie mogę nic poradzić na to, że nienawidzę mojego brata za jego śmiałość...”.

Audrey wpadła w jeszcze głębsze przygnębienie. Chciała powiedzieć Louisowi o wszystkim wieczorem w ogrodzie, by wspólnie omówić sytuację i wymyślić plan działania. Pomyślała o Cecilu i jej rozgoryczenie wzrosło. Zadrżała na myśl, że Cecil mógł opowiedzieć o minionym wieczorze jeszcze komuś innemu. Łudziła się, że nagle obudzi się i zrozumie, że całe to zdarzenie było tylko złym snem. Teraz miała przed sobą jedno wyjście - musiała powiedzieć Cecilowi, że go nie kocha i nigdy za niego nie wyjdzie. Potem nie pozostanie jej nic innego, jak tylko wyznać rodzicom, że oddała serce Louisowi, i czekać na konsekwencje.

Pośpiesznie wetknęła list w szparę między cegłami i odjechała, pewna, że Juan Julio w ogóle jej nie zauważył. Kiedy zniknęła, zawiadowca stacji wyłonił się ze swego biura niczym leniwy, tłusty kot, drapiąc się w krocze i czujnie rozglądając dookoła. Chciał upewnić się, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak czyta następny odcinek miłosnej historii, którą pochłaniał z namiętym entuzjazmem nastoletniej dziewczyny. Chwilę pokręcił się przy murze, a potem, nabrawszy pewności, że Audrey rzeczywiście odjechała, ostrożnie wsunął gruby palec w otwór i wyjął z niego zwiniętą białą kartkę. Zaśmiał się cicho, widząc słowo „miłość” w pierwszej linijce, jedno z niewielu angielskich słów, jakie rozumiał. To, że treść listu była dla niego tajemnicą, nie miało najmniejszego znaczenia - atmosfera wielkiego sekretu dodawała sytuacji dramatyzmu i Juan Julio nie mógł się już doczekać, kiedy wydłubie z muru następne listy. Starannie złożył kartkę i wsunął ją na miejsce, nie zamierzał bowiem ryzykować utratą tak wspaniałej rozrywki, i powoli ruszył w stronę skrzynki sygnałowej. Usiadł na stojącej pod nią ławce i zaczął dłubać w nosie, zastanawiając się, jaki los spotka kochanków, których miłość poruszyła jego serce.

Isla wróciła ze szkoły blada i zapłakana, powtarzając, że źle się czuje. Albert wzniosł oczy do sufitu i oskarżył siostrę, że udaje, aby skupić na sobie uwagę rodziców. Rose przychyliła się do tego zdania do chwili, gdy zmierzyła córce gorączkę i zrozumiała, że dziewczyna padła ofiarą paskudnej grypy.

- Wszystko mnie boli! - jęknęła Isla, wsuwając się pod koc i zwijając w kłębek na łóżku.

- Nic ci nie będzie, kochanie - zapewniła ją matka łagodnie. - Zaraz przyniosę wodę z sokiem z cytryny i miodem, od razu poczujesz się lepiej...

- Na pewno jutro nie będzie musiała iść do szkoły - mruknął Albert.

Nie pierwszy raz był świadkiem, jak Isla wymiguje się od codziennych zajęć, symulując chorobę, lecz teraz rzeczywiście miała gorączkę i chyba czuła się nie najlepiej, chociaż przyjmowała oznaki zainteresowania ze strony najbliższych z melodramatycznym wyrazem cierpienia na twarzy.

- Och, kochane biedactwo... - Audrey z westchnieniem ujęła rozpaloną rękę siostry. - Czujesz się fatalnie, prawda?

- Okropnie. Ale możesz mnie rozweselić. Zobaczysz się dziś wieczorem z Louisem? - Oczywiście. Potem powiem Cecilowi prawdę.

Isla zrobiła zabawną minę, dając siostrze do zrozumienia, że powątpiewa w jej odwagę.

- Tylko Cecilowi czy także mamie i tacie? - zapytała.

- Wszystkim. Mam dosyć kłamstw i kluczenia, podobnie jak Louis.

- Doskonale! - Na twarzy Isly pojawił się szeroki uśmiech. - Nie mogę się już doczekać...

- Mimo wszystko szkoda mi Cecila - westchnęła Audrey. - To bardzo dobry człowiek... Nie zasługuje na to, by ktoś traktował go tak jak ja. Zachowałam się wobec niego okropnie, podeptałam jego uczucia...

- Och, daj spokój! - Isla się zirytowała. - Sam jest sobie winny! Pierwszy raz zaprosił cię na kolację i już się oświadcza. Kto to widział...

Nagle Isla zmrużyła błyszczące od gorączki oczy i utkwiała w twarzy siostry uważne, trochę rozbawione spojrzenie.

- Musiałaś go jakoś zachęcić, skoro zdobył się na taką impulsywność... - mruknęła.

Audrey pobladła z przerażenia.

- W żaden sposób go nie zachęcałam! - powiedziała stanowczo, oburzona tym oskarżeniem. - Naprawdę w żaden...

Obronnym gestem założyła ramiona na piersi, przypominając sobie, że przecież pozwoliła Cecilowi wziąć się za rękę.

- Przepraszam, wcale nie sugeruję, że zachęcałaś go z rozmysłem. Najwyraźniej musiał źle odczytać twoje intencje...

- Z pewnością - odpowiedziała Audrey, odwracając oczy, aby Isla nie mogła wyczytać w nich poczucia winy.

- Wszystko da się naprawić... Zaciśnij zęby i przygotuj się na burzę, ale pamiętaj, że to niewielka cena za szczęście...

Ciotka Hilda siedziała przy toalecie, wcierając odżywczy krem w sieć zmarszczek na swojej skórze. Podobnie jak wiele kobiet mieszkających w gorącym klimacie, pozwoliła, aby słońce spaliło jej twarz i teraz czuła, że żadne zabiegi nie przywrócą choćby pozorów młodości znękaney cerze. Kiedyś Hilda była przystojną, dość atrakcyjną kobietą, lecz lata, słońce i zgorzknienie po zbawiły ją urody. Miała teraz zimne oczy o przekrwionych białkach i wąskie, mocno zaciśnięte usta, które uśmiechały się tylko wtedy, gdy Hilda rzeczywiście miała niezaprzeczalny powód do zadowolenia.

Nie potrafiła cieszyć się szczęściem innych ludzi i była stale rozczarowana własnym życiem. Dobrze знаła swój pochmurny świat i przyzwyczała się do niego jak do filiżanki kawy przy śniadaniu.

Kiedy Nelly, jej średnia i najmniej brzydka córka weszła do pokoju z wiadomością, że Isla rozchorowała się na gripę, Hilda na moment przestała męczyć skórę wcieraniem kremu i oświadczyła, że wcale w to nie wierzy.

- Dziewczyna robi z Rose, co chce - westchnęła. - Mam podstawy, aby sądzić, że w sekrecie flirtuje z tym koszmarnym Louistem Forresterem... Grypa, też mi coś...

Nelly, wychowana na niezdrowej diecie rozgoryczenia i zazdrości, jaką Hilda darzyła siostrę, której córki były znacznie bardziej urodziwe i czarujące, uwielbiała długie rozmowy o złych cechach kuzynek; ponieważ przynajmniej na chwilę poprawiały one jej samopoczucie. Fakt, że Louis Forrester jej też bardzo się podobał, stanowił w tym wypadku dodatkową zachętę do krytykowania Isli.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała, ukrywając zawód pod maską udawanego niesmaku.

Hilda zakręciła słoiczek z kremem i ligninową chusteczką starła z twarzy nadmiar kosmetyku.

- Widzą to wszyscy, kochanie, oczywiście z wyjątkiem Rose i Henry'ego, którzy są zbyt zajęci Audrey i Cecilem - rzekła. - Mówię ci, twoja ciotka i wuj gorzko pożałują, że Forresterowie w ogóle zjawili się w Hurlingham...

- Ale skąd wiesz, że Louis podkochuje się w Isli? - drążyła Nelly ze zniecierpliwieniem, nieprzyjemnie zaskoczona teorią matki. - Isla jest jeszcze za młoda, żeby interesować się chłopcami.

Matka parsknęła wzgardliwym śmieszkiem i uniosła katastrofalnie wyskubane brwi. - Edna podziela moje podejrzenia - powiedziała. - Podobno Rose zauważyła, jak wymieniali liściki i porozumiewawcze spojrzenia...

- Dlaczego mieliby utrzymywać to w tajemnicy? - zapytała Nelly. - Isla nigdy nie bała się kłopotów, wręcz odwrotnie, uwielbiała je sprawiać...

- Masz rację, lecz nawet Isla dostrzega różnicę między kłopotami i skandalem. Ta mała jest bardzo sprytna, sądzi, że każdego może oszukać. Grypa, akurat... Udaje chorobę, żeby w tajemnicy spotykać się z Louistem, zapamiętaj moje słowa...

- Może... - mruknęła Nelly, chcąc sprowokować matkę do dalszych zwierzeń. - Cóż, Isla i Louis są dla siebie stworzeni, oboje w równym stopniu nieodpowiedzialni...

Taktyka Nelly okazała się nadzwyczaj skuteczna. Hilda odwróciła się twarzą do córki i zapięła różowy szlafrok na kościstym dekolcie.

- Otóż to, kochanie. Co za szczęście, że mam tak inteligentną i spostrzegawczą córkę... Isla jest przebiegła jak lisica, ale w głowie ma pstro... Dzisiaj młodzi mężczyźni szanują kobiety, które potrafią myśleć. Romans z Louistem Forresterem oznacza towarzyskie samobójstwo... Tak, tak, zobaczysz, że mam słuszność... Przeszłość wlecze się za Louistem, chociaż na pewno nie przypuszczał, że pogłoski o jego zachowaniu w Anglii dotrą aż tutaj. - Hilda uniosła brwi, sugerując, że pogłoski te dotyczą okropnych, przerażających rzeczy. - Największym skarbem kobiety jest jej cnota - dodała wzniośle. - Tracąc reputację, traci wszystko...

Nelly pośpiesznie spuściła wzrok.

- Chcesz powiedzieć, że Louisowi chodzi tylko o jedno, mamó? - zapytała, czerwieniąc się z powodu nieskromnych myśli, jakie natychmiast pojawiły się w jej głowie.

Od początku uważała, że Louis jest wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną, chociaż bardzo się tego wstydziła.

- Obawiam się, że tak właśnie jest. - Hilda ponuro pokiwała głową. - Dzięki Bogu, że ty i twoje siostry macie zbyt wielką klasę, aby przyciągnąć jego uwagę...

Nelly dałaby wszystko, żeby przyciągnąć uwagę Louisa i w głębi serca jednocześnie podziwiała Islę za jej odwagę, i nienawidziła jej. Gdyby była na miejscu kuzynki, bez wahania uległaby Louisowi.

Deszcz lał jak z cebra, gdy Louis i Cecil przyszedli do Garnetów na drinka. Cecil nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Audrey, ponieważ miał nadzieję, że dziewczyna odpowie na jego pytanie, natomiast Louis bardzo chciał już zakończyć całą zabawę i powiedzieć wszystkim prawdę.

Isla leżała w łóżku, a gorączka rosła tak szybko, że Rose postanowiła wezwać lekarza. Wicher losu szarpał okiennicami, jakby groził, że wdrze się do środka i na swoich skrzydłach uniesie Islę w ciemność.

Isla słyszała, jak deszcz wali o szyby. Osłabionej i prawie nie przytomnej dziewczynie wydawało się, że to jakaś przerażająca bestia drapie pazurami okno, bała się zostać sama i prosiła, aby matka nie wychodziła z pokoju. Rose była zbyt pochłonięta chorobą córki, aby poświęcić choć trochę uwagi młodszemu synowi, którzy co parę chwil wpadali do domu z ogrodu, otrząsając się z deszczu niczym przemoczone psiaki. W salonie przy kominku Henry rozmawiał o interesach z Cecilem, a Louis nudził się, siedząc na kanapie i myśląc o tym, aby Audrey wreszcie wyznała rodzicom, że kocha jego, nie Cecila. Tymczasem Audrey niespokojnie czekała razem z matką na lekarza. Cecil czuł, że nie jest to właściwy moment, aby domagać się od niej odpowiedzi, Louis zaś powoli, choć niechętnie, zaczynał godzić się z myślą, że będą musieli jeszcze poczekać z wyjawieniem swoich planów.

Kiedy lekarz w końcu się zjawił, Audrey wzięła od niego mokry płaszcz, a Rose prawie popchnęła go w kierunku schodów.

- Isla jest prawie nieprzytomna, doktorze - powiedziała. - Ma straszną gorączkę, po prostu straszną... Mocno się poci i bez przerwy mamrocze coś o potworze, który na nią czyha... Mam nadzieję, że zdoła pan jakoś pomóc biednemu dziecku...

Doktor Swanson, stary Anglik o gęstych, mocno skręconych włosach, okrągłej twarzy i rumianej cerze charakterystycznej dla człowieka lubiącego wypić parę kieliszków mocnego alkoholu po długim

dniu ciężkiej pracy, wszedł za Rose do sypialni Isli, dźwigając dużą czarną torbę lekarską, której zawartość zawsze fascynowała dziewczęta, kiedy były jeszcze małe. Teraz, patrząc na nią, Audrey poczuła dziwny, niewytłumaczalny lęk.

Na widok płonących oczu Isli doktor Swanson zmarszczył brwi.

- Masz sporą gorączkę, dziewczyno - powiedział, kładąc chłodną dłoń na jej czole.

Isla zamrugła niepewnie, obezwładniona siłą, która bezlitośnie wysysała z niej wszelką energię.

- Po powrocie ze szkoły właściwie nic jej nie dolegało, czuła się tylko trochę słabo - wyjaśniła Rose, nerwowo splatając i rozplatając palce. - Gorączka pojawiła się nagle i zaczęła bardzo szybko rosnać...

Lekarz przysunął sobie krzesło i usiadł, opierając torbę na kolanach.

- Czy ja umrę? - odezwała się Isla.

Doktor Swanson się roześmiał.

- Nie z powodu grypy, moja droga. Żaden z moich pacjentów nie umarł na gripę. - Wyjął długi czarny stetoskop.

- Nie mów takich rzeczy! - zawołała Audrey, niespokojnie spoglądając na matkę.

- Isla lubi dramatyzować. - Rose uśmiechnęła się nieco sztucznie. Dręczył ją niepokój, instynkt podpowiadał, że z Islą dzieje się coś złego. - Chodźmy, kochanie, pan doktor musi mieć trochę miejsca, żeby spokojnie zbadać twoją siostrę...

Wyszły na korytarz, pocieszając się, że lekarz usunie ich obawy.

- Zejdź na dół i porozmawiaj z chłopcami, bo Henry na pewno zdążył już zanudzić ich na śmierć - powiedziała Rose. - Nie przyszli przecież tutaj, żeby dyskutować o sprawach finansowych, ale żeby odpocząć...

Audrey wcale nie miała ochoty schodzić do salonu.

- Wolę poczekać tu z tobą, mammo...

- Nie, kochanie... Cecil będzie rozczarowany, jeżeli tam nie zajrzysz.

- Isla jest ważniejsza - upierała się Audrey.

- Oczywiście, ale Isli nic nie będzie. złapała po prostu paskudną gripę, i tyle.

- Dobrze, pójdę - zgodziła się niechętnie Audrey. - Obiecay mi tylko, że zaraz po wyjściu doktora powiesz nam, co się z nią dzieje...

Rose skinęła głową i delikatnie popchnęła córkę w kierunku schodów. Po chwili Audrey usłyszała, jak matka otwiera drzwi do pokoju Isli i wchodzi do środka.

Atmosfera w salonie była napięta, chociaż Albert i jego dwaj młodsi bracia z entuzjazmem grali w wista przy stoliku do kart w rogu pokoju. Audrey usiadła na sofie obok Louisa, niepewnym uśmiechem odpowiadając na spojrzenie Cecila.

- Jak się czuje Isla? - zapytał Henry flegmatycznym tonem.

- Niedobrze, tato - odparła poważnie.

- Biedna dziewczyna... - rzekł Louis.

Patrzył w oczy Audrey tak długo, jak było to możliwe bez zwracania na siebie uwagi obecnych. Audrey wiedziała, o czym myślał, lecz ku własnemu zaskoczeniu nie czuła nic poza wielkim niepokojem o Islę.

- Wygląda okropnie - powiedziała. - Jeszcze godzinę temu czuła się całkiem nieźle, teraz gorączka zupełnie pozbawiła ją sił.

- Chorzy na gripę zawsze najgorzej czują się pierwszej nocy - zauważył Cecil, usiłując okazać się w jakiś sposób pomocnym. - Pierwsza noc jest najgorsza... - powtórzył. - Może powinniśmy zostawić was samych...

- W żadnym razie, mój drogi - odparł Henry, sięgając po szkatułkę na cygara. - Zapalicie?

Cecil pochylił się do przodu i zajrzał do szkatułki.

- Doskonałe cygara, prosto z Hawany - oświadczył z dumą Henry. - Louis?

Louis potrząsnął głową. Cecil wybrał cygaro i usiadł wygodniej, aby spokojnie delektować się wyśmienitym tytoniem.

- Isla ma mocny organizm - ciągnął pan domu. - Rano będzie zupełnie zdrowa, zobaczycie. - Uśmiechnęła się do Audrey. - Kobiety w mojej rodzinie zbyt łatwo wpadają w popłoch... Nikt jeszcze nie umarł na gripę...

Audrey słuchała w milczeniu, jak Cecil i ojciec dyskutują o polityce i biznesie, a potem o odległym wyspiarskim kraju, który uważali za swoją ojczyznę. Louis pragnął wziąć dziewczynę za rękę, żeby dodać jej odwagi, ale ona wydawała się błądzić myślami gdzieś daleko, zupełnie jakby na czas choroby Islę postanowiła odebrać mu swoją miłość. Gardło ścisnęło mu się boleśnie, ponieważ czuł, że wkrótce zdarzy się coś strasznego. Zbladł, nagle zrobiło mu się słabo ze zdenerwowania.

Audrey usłyszała przyciszone głosy doktora i matki, dobiegające z podestu na piętrze, zaczęła nasłuchiwać, ale nie udało jej się zrozumieć, co mówią. Zaraz potem zeszli do holu. Lekarz ubrał się i życzył wszystkim dobrej nocy, Audrey zaś rozpaczliwie usiłowała usłyszeć w jego głosie pozytywną nutę. W końcu Rose weszła do salonu i uśmiechnęła się z wyraźnym trudem. Jej zmęczona twarz nadal była napięta.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, kierując te słowa do Audrey. - Czeka ją niespokojna noc, ale rano na pewno poczuje się lepiej.

- Mogę do niej zajrzeć? - zapytała Audrey.

- Tak, ale tylko na chwilę. - Rose z ciężkim westchnieniem usiadła w fotelu. - Musimy pozwolić jej odpocząć... Macierzyństwo to trudne zadanie, matka nieustannie martwi się o swoje dzieci, nawet wtedy, gdy już przestają być dziećmi...

Louis w milczeniu przyglądał się, jak Audrey szybko wstaje i wychodzi z pokoju. Miał ochotę pójść za nią. Wiedział, że tego wieczoru nie spotka się z nim w ogrodzie, nie z powodu deszczu, lecz choroby Isli. Młodsza siostra była bliższa jej sercu niż ktokolwiek inny na świecie, nawet on. Gdy wyszła, przeniósł spojrzenie na Cecila, który palił cygaro, udając całkowity spokój. Louis czuł, że jego brat jest nie mniej zdenerwowany od niego i właśnie to bardzo go irytowało. Uważał, że Cecil pozwala sobie na zbyt wiele, niepokojąc się o Islę i Audrey. Z całego serca pragnął zburzyć nadzieje brata, wiedział jednak, że będzie musiał zaczekać, aż Isla wyzdrowieje, ponieważ wcześniej Audrey nie zdoła skupić się na czymkolwiek innym.

Deszcz wciąż lał, jakby nigdy nie miał ustać. Louis i Cecil pośpieszyli do klubu, osłaniając się parasolami przed potokami wody, pogrążeni w milczeniu, zamyśleni i poważni. Cecil, martwiąc się o Audrey, modlił się, aby Isla jak najszybciej wróciła do zdrowia, lecz Louis czuł przede wszystkim rozczarowanie i złość. Przez cały wieczór Audrey nie zwracała na niego uwagi... Wściekły, że potraktowała go z chłodnym dystansem, zupełnie jak obcego, usiadł w przemoczonym ubraniu na taborecie przy fortepianie, pijany rozpaczą i alkoholem, i wyładowywał swoją furię na klawiaturze tak długo i głośno, aż w końcu Cecil i pułkownik Blythe musieli siłą odciągnąć go od instrumentu i zamknąć w innym pokoju.

- Mój drogi, temu młodemu człowiekowi potrzeba trochę dyscypliny - powiedział pułkownik do Cecila, kiedy później obaj usiedli ze szklaneczkami whisky w holu. - Przydałaby mu się służba w wojsku, słowo daję... Tam szybko zrobiliby z niego mężczyznę. Nie ma sensu rozczulać się nad sobą z powodu kobiety. Żadna nie jest tego warta, wszystkie są zmienne i niestałe... - Pociągnął łyk alkoholu, myśląc o Charlotte Osborne. - Płocze lisczki, ot co... - prychnął.

Cecil zastanawiał się przez chwilę, czy Louis zakochał się w Isli, lecz wkrótce whisky rozgrzała jego serce i wszystkie myśli skupiły się wokół Audrey.

Audrey czuwała razem z matką do późna, z przestрахem obserwując, jak gorączka coraz bardziej rozpala ciało siostry i pożera jej siły. Dopiero po północy Henry namówił je, aby się położyły.

- Przestraszy się tylko, kiedy was tu zobaczy - powiedział, łagodnie biorąc żonę za ramię i wyprowadzając z pokoju. - Pozwólcie jej spać...

Audrey nie mogła zasnąć. Słuchała, jak krople deszczu uderzają o szyby i martwiła się o Islę tak bardzo, aż w końcu łyły pociekły jej na poduszkę, moczając miękką tkaninę. Z dłońmi mocno zaciśniętymi na prześcieradle myślała o nocach, gdy zasypiała, czując przy sobie ciepłe ciało siostry, a także o spotkaniach z Louisem i wyprawach do Palermo. Isla przeżywała to wszystko prawie równie mocno jak ona, przejmowała się ich uczuciem i przyszłością. Audrey żałowała, że nie może cofnąć czasu i wrócić do tamtych chwil, ponieważ nie była w stanie zepchnąć nękających ją złych przeczuć w głąb podświadomości. Usiłowała ignorować głos przecucia, lecz na próżno. Im bardziej starała się skupić myśli na minionych dobrych chwilach, tym mocniej obawiała się, że straci Islę.

W końcu wstała i na palcach poszła do sypialni siostry. Szyby dzwoniły cicho pod naporem potoków deszczu, przedostające się do środka światło ulicznych latarni wydobywało z mroku łóżko i

ciało Isli, w gorączce niespokojnie przewracającej się z boku na bok. Audrey cichutko przysiadła na brzegu łóżka, wzięła do ręki wilgotną gąbkę i zaczęła z czułością obmywać spocone czoło Isli.

- Wyzdrowiej, bardzo proszę... - szepnęła. - Spróbuj walczyć, kochanie...

Isla odwróciła głowę i jęknęła. Audrey się rozptakała.

- Boże, pomóż jej, bo ja nie wiem, co robić... Jestem zupełnie bezradna... - Nachyliła się nad siostrą, pragnąc jakoś do niej dotrzeć. - Czuję, że gdzieś odchodzisz... - powiedziała głośniej. - Nie rób tego, błagam... Jesteś mi bardzo potrzebna...

W tej chwili Isla otworzyła oczy, zaczerwienione i lśniące jak mokre kamyki. Zwykle ich spojrzenie było bystre i czujne, lecz teraz wydawało się dziwnie odległe, jakby Isla patrzyła na siostrę z miejsca znajdującego się w połowie drogi między tym światem a krainą zmarłych.

- Słyszysz mnie? - zapytała Audrey drżącym głosem.

Isla powoli rozejrzała się dookoła. Audrey wyplukała gąbkę w misce z zimną wodą i zaczęła delikatnie zwilżać rozpaloną skórę na szyi siostry. Isla nadal rozglądała się po pokoju jak po zupełnie obcym miejscu. Audrey patrzyła na nią z rozpaczą. Chciała zawołać matkę, lecz nagle zdała sobie sprawę, że na twarzy Isli maluje się wyraz spokoju i zadowolenia. Nagle ogarnęła ją nadzieja, że chora ma kryzys za sobą.

Kiedy Isla skoncentrowała spojrzenie na siostrze, w pierwszej chwili pomyślała, że widzi anioła, który przyszedł, aby przeprowadzić ją w inny wymiar. Wcześniej, w przeciwieństwie do Audrey, nigdy nie wierzyła w świat duchów, ale teraz, stojąc na granicy śmierci, poczuła całkowitą pewność, że ten nieznaną świat istnieje. Zastanawiała się, dlaczego dotąd była taką sceptyczką. skoro wszystko to było zupełnie oczywiste. Roześmiała się cicho i zobaczyła, jak na twarzy Audrey pojawia się zaskoczenie. Z rozczarowaniem zrozumiała, że ma przed sobą nie anioła, lecz własną siostrę. Najwyraźniej jej czas jeszcze nie nadszedł. Próbowała wymówić imię Audrey, ale zorientowała się, że nie słyszy własnego głosu. Nie miała siły, aby się odezwać, mogła mówić tylko szeptem.

Audrey nachyliła się nad nią.

- Czy coś cię boli? - zapytała.

Isla pokręciła głową.

- Czuję się tak, jakbym była pijana - szepnęła z uśmiechem. - To całkiem przyjemne...

- Och, tak się cieszę, że nic cię nie boli! Szybko wyzdrowiejesz, zobaczysz. Rano obudzisz się i będziemy się śmiały z tej grypy

- Ja umrę - wyszeptała spokojnie Isla.

Audrey drgnęła, przerażona.

- Nie, nie umrzesz! - zaprotestowała.

- Ależ tak!

- Skąd ci to przyszło do głowy, na miłość boską?: To nieprawda!

- Chcę, żebyście wyprawili mi duży, uroczysty pogrzeb, bez oglądania się na wydatki... Taki ze łzami, szlochami i zgrzytaniem zębów...

- Proszę cię, nie żartuj sobie... - jęknęła Audrey.

- Będę patrzyła na was z góry, więc niczego nie przegapcie. Dowiem się, jeżeli coś będzie nie tak, jak sobie życzę.

- Jesteś okropna! Wcale nie umrzesz... - Głos Audrey się załamał. - Nie możesz umrzeć... Potrzebuję cię...

- Poradzisz sobie beze mnie. Masz Louisa.

- Nie chcę Louisa, jeżeli mam żyć bez ciebie!

- Obiecuj mi coś. - Isła utkwiała uważne spojrzenie w twarzy siostry.

- Wszystko, co zechcesz...

- Miej odwagę pójść za głosem serca - powiedziała uroczyście, delektując się melodramatyczną atmosferą własnej śmierci.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że mówi jak bohaterka jednej z powieści Audrey i dałaby wiele, żeby właśnie tak brzmiały jej ostatnie słowa, ale ku własnemu rozczarowaniu nie rozstała się ze światem, musiała więc nadal szukać w głowie odpowiednio pompatycznych zwrotów. Po paru chwilach straciła przytomność. Ujrzała jasne, białe światło i babkę, która szła ku niej z wyciągniętymi ramionami, promieniejąc miłością nie z tego świata.

Kiedy Rose i Henry o świcie weszli do pokoju Isli, Audrey spała na łóżku obok siostry, obejmując ją w pasie ramieniem. Długie loki dziewcząt utworzyły na poduszkach złociste aureole, które błyszczały w bladym świetle poranka. Obie oddychały lekko i ich rozluźnione, spokojne ciała wcale nie zdradzały, że nie dawno stoczyły ciężką walkę z bezlitosną chorobą. Policzki Audrey przypominały dojrzałe brzoskwinie, ale twarz Isli była zupełnie szara. Gorączka opadła i udręczona chorobą dziewczyna zapadła w głęboki sen. Serce Rose ścisnął nagły strach. Podbiegła do łóżka, uklękła i przez łzy spojrzała na młodszą córkę.

- Isła... - wykrztusiła. - Obudź się, kochanie...

Audrey natychmiast otworzyła oczy i z mocno bijącym z przerażenia sercem zerwała się z łóżka. Isła nie dawała żadnych znaków życia poza płytkim oddechem, który wydawał się przemykać przez jej ciało jak przez nawę pustego kościoła. Gdy żadnemu z rodziców nie udało się obudzić chorej, zrozumieli, że jest nieprzytomna.

Znowu wezwali lekarza, który po badaniu ze smutkiem oświadczył, że dziewczyna zapadła w śpiączkę. Cała rodzina zgromadziła się wokół łóżka, czekając na przyjazd szpitalnego ambulansu. Tylko Albert miał odwagę przerwać nabrzmiałą rozpaczą ciszę.

- Przecież nikt nigdy nie umarł na grypę... - powiedział, podnosząc zapuchnięte oczy ku matce.

Rose bez słowa odwróciła się do męża, który z ciężkim westchnieniem oparł dłoń na głowie syna.

- To nie grypa - odparł cicho.

- Więc co, tato?

- Doktor mówi, że Isla ma zapalenie opon mózgowych...

- Dlaczego wczoraj wieczorem powiedział co innego?

- Bo nie mógł wiedzieć, co to jest, synu. Zapalenie opon mózgowych na początku ma podobne objawy jak grypa...

Henry nie był w stanie spojrzeć żonie w oczy. Oboje wiedzieli, jak potworne żniwo zbiera ta choroba.

- Ale nic jej nie będzie, prawda? - zapytał Albert. Pamiętał, że kiedy wrzucił Isli orzech do gardła, zakrztusiła się, ale szybko doszła do siebie.

- Isla nie umrze, prawda? - odezwał się George, młodszy od Alberta o dwa lata.

Wszyscy w milczeniu popatrzyli na chłopca, który był za mały, żeby zrozumieć, czym jest śmierć.

- Nie, nie, skądże! - zapewnił synka Henry. - Nasza Isla na pewno nie umrze... - Uspokajająco poklepał chłopca po ramieniu,

- Nie. kochanie - powiedziała Rose. - Nic jej nie będzie, zobaczysz...

- Lekarze pomogą jej i wyzdrowieje, tak? - zapytał z nadzieją Albert.

- Isla nie żyje - odezwała się nagle Audrey.

Milczała od chwili, gdy przed świtem błagała Isłę, aby jej nie opuszczała i teraz własny głos wydawał jej się odległy i obcy. Czuła rozpacz, lecz jednocześnie zdawała sobie sprawę, że Isla chciała odejść. Śmierć nie budziła już w niej lęku, ale otwierała ramiona, aby przytulić ją do piersi, zupełnie jak stary przyjaciel.

Wszyscy stali nieruchomo, wpatrzeni w łóżko, na którym spoczywało ciało Isli. Porywisty wiatr uniósł ze sobą jej duszę, pozostawiając pustą skorupę. Milczeli, nie mogąc otrząsnąć się z szoku. Rose wyciągnęła rękę do męża, nie ocierając łez, które płynęły po jej policzkach. Matka i ojciec, ogarnięci żalem po stracie dziecka, starali się przyjąć do wiadomości śmierć i w ja kiś sposób pogodzić tę tragedię ze swoją wiarą. Mały George i najmłodszy Edward szlochali, ponieważ płakała ich matka, obaj za mali, aby pojąć ostateczny wymiar śmierci. Albertowi chciało się płakać, ale lęk zamroził jego uczucia i pozbawił go głosu, stał więc, usiłując opanować drżenie warg i podbródka, w milczeniu przeżywając rozpacz.

- Nawet się z nią nie pożegnaliśmy... - szepnęła Rose. - Nie zdążyliśmy jej powiedzieć, jak bardzo ją kochamy...

- Wiedziała, że kochamy ją całym sercem - odezwał się Henry zdławionym głosem.

- Byłam ostatnią osobą, która z nią rozmawiała - powiedziała Audrey, nie odrywając wzroku od twarzy siostry. - Wiedziała, że umrze, ale się nie bała. Była zadowolona, że odchodzi, nie cierpliwie czekała, kiedy to się stanie... Czowała, że wypowiada ostatnie słowa. Prosiła, bym wam powtórzyła, że żałuje, iż nie ma czasu, aby powiedzieć wam, że was kocha... Potem powiedziała, że musi już iść...

Rose bezradnie pokręciła głową i przytknęła dłoń do warg, aby powstrzymać ich drżenie.

- Dokąd iść? - wyszeptła ochryple.

Audrey lekko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się na wspomnienie ostatnich chwil siostry, tak pełnych spokoju i pogody ducha.

- Wszystko to było do niej zupełnie niepodobne... - rzekła cicho. - Popatrzyła w odległy kąt pokoju i cała jej twarz rozpromieniła się nagle. Powiedziała: „Więc to tam odeszłaś, babciu... Zawsze się zastanawiałam, jakie jest Niebo...”.

- Tak powiedziała? - zapytała Rose ze zdumieniem. Nagle córka przeistoczyła się w jej wyobraźni z grzesznej ludzkiej istoty w osobę świętą lub co najmniej anioła.

- Tak. Och, i jeszcze powiedziała, że chce mieć duży, uroczysty pogrzeb z zawodzeniem i zgrzytaniem zębami...

- Niemożliwe... - rzekł Henry niedowierzająco, przekonany, że to jakiś dziwaczny, niesmaczny żart.

Rose pociągnęła nosem i zdobyła się na słaby uśmiech.

- Ależ możliwe... - szepnęła ze smutkiem. - To było bardzo w stylu Isli!

Rozdział dziewiąty

28 czerwca 1948 roku

Wiadomość o śmierci Isli rozdarła ciało małej angielskiej społeczności. Wszystkich ogarnął tak wielki żal i smutek, że potrafili i chcieli mówić tylko o nagłym odejściu młodej dziewczyny. Zawłaszczenie przez Perona brytyjskich linii kolejowych, wiązało się ze złożoną przez polityka w czasie wyborów obietnicą ograniczenia zagranicznych wpływów w gospodarce argentyńskiej, wydało się większości mieszkańców Hurlingham mało ważne w porównaniu z tą jakże ludzką tragedią. Śmierć Isli była zupełnie niespodziewana i trudna do wyobrażenia. Szkołę zamknięto na jeden dzień z powodu żałoby i wszyscy zjawili się w kościele na nabożeństwo żałobne, wypełniając ławki niczym czarne nietoperze. Znajomi i sąsiedzi pamiętali poczucie humoru Isli, jej śmiech i wyjątkowy urok. Nawet Krokodylice wspominały jedynie dobre cechy dziecka, które nie miało dość czasu, aby ulec skażeniu pokusami dorosłości. Isla była niewinna i nie mogła jej osiągnąć żadna krytyka.

Rose ukryła swój smutek za czarną woalką i wprowadziła czwórkę dzieci do rodzinnej ławki. Najbliżsi Isli nie mogli oderwać wzroku od małej trumny, ustawionej przed ołtarzem pod warstwą

białych lilii. Żywa Isla zawsze wydawała im się o wiele wyższa. Henry, który nie płakał od dziecięcych lat, teraz odnalazł łzy i rozpaczał tak, jakby serce miało mu pęknąć. Robił, co mógł, aby pocieszyć rodzinę, świadomy, że nie wolno mu zapominać o żyjących, lecz pod ciężarem tej strasznej straty czuł się zupełnie bezradny.

Audrey miała wrażenie, że jej ciało jest obcym tworem, nad którym nie ma żadnej kontroli. Jakby z przyzwyczajenia przeszła przez nawę i usiadła na swoim miejscu, krzyżując nogi w kostkach. Martwym wzrokiem wpatrywała się w trumnę, usiłując wyobrazić sobie, jak ruchliwa, pełna życia Isla leży spokojnie w tak niewielkiej przestrzeni. Wydawało jej się po prostu niemożliwe, aby dziewczyna, która miała w sobie więcej energii niż cała rodzina razem wzięta, nagle odeszła z tego świata, kiedy jednak przypomniała sobie woskową bladość twarzy siostry, musiała przyjąć do wiadomości, że Isla rzeczywiście nie żyje. Zgasła jak świeca, która jeszcze niedawno płonęła jasnym światłem... Audrey poczuła, że jest zupełnie sama na świecie i zaczęła płakać, w równej mierze nad sobą, co nad Islą, której ludzkie łzy nie mogły już przynieść żadnej ulgi. Isla odeszła do lepszego świata, gdzie mogła biegać i skakać do woli, gdzie jej wargi na pewno się uśmiechały a niebiańskie wiatry rozwiewały jej długie loki. Audrey przypomniała sobie prośbę Isli, lecz nie potrafiła zdobyć się na to, aby głośno rozpaczać i zawodzić w obecności całego zgromadzenia.

Przed oczami miała mgłę i nie umiała pozbyć się wrażenia, że w ogóle nie bierze udziału w nabożeństwie, lecz widzi je z wielkiej odległości. Słyszała, jak ojciec czyta fragment z Pisma Świętego i patrzyła, jak zaciskając dłonie na krawędziach pulpitu tak mocno, że knykcie zupełnie mu zbieleły, walczy, aby się nie załamać. Ramiona i plecy Rose drżały, wstrząsane szlochem. Wcześniej nawet nie wyobrażała sobie, że jej mąż może być tak słaby i kruchy, lecz tym mocniej kochała go za to, że odsłonił przed nią prawdziwą twarz. Kochała go tak bardzo, że serce pękało jej z bólu... Organista z ferworem zagrał hymn i z ławek podniosły się słabe, niepewne głosy. Po śpiewie proboszcz odczytał modlitwy przed milczącymi wiernymi.

Audrey spojrzała na ciotki Hildę i Ednę, siedzące wśród bladych, bezbarwnych córek tej pierwszej. Wargi ciotki Hildy zacisnęły się w wąską, pełną goryczy linię. Audrey przypuszczała, że ciotka obwinia Boga za atak na swoją rodzinę. Edna siedziała z pochyloną głową, z wdzięcznością wspominając swego ukochanego Harry'ego i modląc się, aby odnalazł Isłę po drugiej stronie życia i zaopiekował się nią.

Audrey nie miała odwagi obejrzeć się do tyłu. Była pewna, że Cecil i Louis są w kościele. Myślała, że będzie tęskniła za bliskością Louisa, ale wcale nie czuła potrzeby, aby znaleźć się w jego ramionach. Isla odeszła i Audrey pragnęła tylko jednego - żeby świat zostawił ją w spokoju, sam na sam z myślami. Louis wydawał jej się teraz zupełnie nieważny, podobnie jak Cecil. Śmierć Isli stała się dla Audrey bolesną lekcją, pouczeniem, co naprawdę liczy się w życiu. Nic nie było ważniejsze od rodziny...

Tuż przed końcem ostatniej modlitwy Audrey zauważyła obecność Isli w kościele i wcale się nie zdziwiła. Isla obiecała przecież, że przyjdzie. W pierwszej chwili Audrey poczuła dziwne mrowienie i lekki, ulotny dotyk, czując obecność, czując oddech na karku. Krew napłynęła jej do twarzy i pośpiesznie rozejrzała się dookoła, by się zorientować, czy ktoś poza nią poczuł to samo, ale nie, wszyscy w skupieniu powtarzali za duchownym słowa modlitwy. Podniosła więc wzrok i utkwiała oczy w ołtarzu, ponieważ intuicja podpowiedziała jej, że właśnie tam znajduje się duch, który przed chwilą był tuż obok niej. Wytężyła wzrok, lecz nie zdołała niczego zobaczyć. Przygryzła dolną wargę i

spróbowała jeszcze raz. Znała siostrę i doskonale wiedziała, do czego jest zdolna. Wreszcie, jakby znużony brakiem spostrzegawczości Audrey, duch zrobił mały cud. Audrey wstrzymała oddech i zamarła, z otwartymi ustami wpatrując się w ołtarz. Po długiej chwili, nie odwracając oczu, delikatnie trąciła matkę.

- Zauważyłaś, że dwie świece właśnie zgasły? - wyszeptano, zaciskając gorące palce na dłoni Rose.

Rose pokręciła głową.

- Nie... Co ty mówisz?

- Spójrz!

Rose ściągnęła brwi, skupiając spojrzenie na ołtarzu. Audrey miała rację. Pierwsza i szósta świeca w rzędzie dwunastu zgasły, ich knoty dymiły obficie.

- Przecież to przypadek... - mruknęła Rose.

- To nie przypadek - odparła Audrey. - To Isla...

- Dobry Boże! Nie myślisz chyba...

- Ależ tak! - Audrey się uśmiechnęła. - Isla miała szesnaście lat. Co innego mogłoby to oznaczać?

Obie w milczeniu patrzyły na ołtarz. Nie widziały Isli, ale były przekonane, że jej duch jest blisko.

Po nabożeństwie Audrey pomogła matce podnieść się z kolan.

- Jesteś dla mnie wielką pociechą, kochanie - powiedziała Rose z czułością. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty... Jesteś teraz moją jedyną córeczką. Kiedy się urodziłaś, myślałam, że nie potrafię kochać innego dziecka tak mocno jak ciebie, ale po przyjściu na świat Isli zrozumiałam, że każde dziecko przynosi ze sobą niewyczerpany zapas miłości. Teraz znowu zostałyśmy same, tylko we dwie... Modliłam się dziś za ciebie. Prosiłam Boga, aby Cecil zaopiekował się tobą i zadbał, by nigdy nie spotkało cię nic złego...

Audrey spuściła wzrok, zawstydzona i pełna niechęci do samej siebie. Gdyby tylko jej matka wiedziała, kogo naprawdę pokochała...

- Czuję, że przy boku Cecila czeka cię bezpieczna przyszłość. - Rose delikatnie poklepała ją po dłoni. - Poszukaj go teraz, kochanie, i zaprosz do domu na herbatę. Oczywiście zaprosiłam wszystkich. Maria Sol zrobiła empanadas...

Audrey patrzyła, jak matka idzie środkiem nawy, wsparta na ramieniu ojca. Ogarnęła ją fala ogromnego smutku. Kościół powoli opustoszał, cichy i uroczyście spokojny. Audrey została w końcu sama, sama z niewidzialnym duchem Isli. Powoli podeszła do ołtarza, gdzie pierwsza i szósta świeca nadal dymiły na dowód, że cud naprawdę miał miejsce i Isla przemówiła do siostry poprzez śmierć w jedyny możliwy sposób. Isla zawsze miała skłonność do dramatyzowania i żartów. Audrey drżącymi rękami wyjęła dwie świece ze srebrnego świecznika i przyjrzała się im uważnie. Potem uklękła i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że w kompletnej ciszy czuje obecność siostry równie mocno i intensywnie jak za życia.

- Miałam nadzieję, że przyjdiesz - szepnęła. - Gubię się bez ciebie, tracę grunt pod nogami, boję się... Jak mogłaś zostawić nas tak szybko, bez uprzedzenia? Nie mieliśmy nawet czasu, że by powiedzieć ci, jak bardzo cię kochamy i jaka jesteś dla nas ważna... Ale przecież ty wiedziałaś o tym wszystkim, prawda? Zawsze wiedziałaś, a teraz wiesz lepiej niż kiedykolwiek, bo stamtąd, gdzie jesteś, widzisz nas jasno i dokładnie. Szkoda, że nie mogę być razem z tobą... Nie chcę dalej żyć bez ciebie, życie wydaje mi się takie długie i męczące... Jak sobie poradzę bez twojej przyjaźni, wsparcia, wesołości i miłości? Chyba nie mam dość siły, aby stawić czoło temu, co mnie czeka... - Audrey straciła poczucie miejsca i czasu, słowa płynęły swobodnie, bez zahamowań. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że po jej policzkach płyną łzy i że mówi głośno, wcale nie szeptem. - Miałaś w sobie tyle energii. Jak to się stało, że już cię tu nie ma? Dlaczego nie walczyłaś bardziej, mocniej? Nigdy nie przestanę za tobą tęsknić i kochać cię, nikt z nas o tobie nie zapomni... I pewnego dnia znowu się spotkamy... Och. nie mogę się już doczekać, kiedy znowu cię zobaczę...

Gdy skończyła, ucałowała świecę i włożyła je do świeczników. Potem odwróciła się, otarła oczy, poprawiła kapelusz i odgarnęła włosy z twarzy. Z zaskoczeniem zauważyła, że ktoś siedzi w ostatniej ławce. Krew zabarwiła jej policzki lekkim rumieńcem. Zawstydzona się na myśl, że ktoś mógł usłyszeć, co mówiła i zobaczyć, jak całowała świeczki. Dopiero kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że ma przed sobą Louisa.

- Co tutaj robisz? - zapytała cicho.

- Czekam na ciebie - odparł, wstając.

Gdy znalazł się w promieniu światła wpadającego przez niedomknięte drzwi, Audrey zobaczyła, że jego ukryta pod rondem kapelusza twarz jest szara jak popiół, a powieki opuchnięte i zaczerwienione.

- Nie mogę uwierzyć, że Isla nie żyje... - Audrey pociągnęła nosem i spojrzała na niego niepewnie.

Louis z całego serca pragnął wziąć ją w ramiona, lecz coś go powstrzymywało przed spontanicznym gestem. Nadal miał wrażenie, że Audrey odebrała mu swoją miłość - zamiast ciepła zwykle otaczającego ją cudowną aurą, wyczuwał chłód, który kazał trzymać się na dystans. Śmierć Isli zmieniła dynamikę łączącego ich uczucia. Louis z trudem przełknął ślinę i spróbował się odezwać, lecz nie zdołał wydobyć głosu z zaschniętego gardła.

- Była dla mnie najdroższą przyjaciółką - mówiła dalej zupełnie nieświadoma cierpienia Louisa. - Nie wiem, jak mam bez niej żyć...

Patrzył na nią w milczeniu. Wyglądała tak, jakby coś wyszło z niej wszystkie barwy, pozostawiając kruchą i bladą powłokę. Jego długie palce zdrząły. Głowę miał pełną muzyki, która brzmiała coraz głośniejszą i głośniejszą. Była to smutna, niespokojna melodia. Potrząsnął głową, aby się od niej uwolnić, lecz muzyka znowu przybrała na sile, aż w końcu prawie nie słyszał, co Audrey mówi. Był bliski załamania, kiedy Audrey zarzuciła mu ręce na szyję i zaniósła się rozpaczliwym płaczem. Zachwiał się i przytulił ją do siebie, wdychając jej zapach tak łapczywie, jak by to był tlen, bez którego nie sposób utrzymać się przy życiu. Zamknął oczy i zatopił twarz we włosach dziewczyny. Muzyka ucichła powoli, wraz z gorączkowym biciem serca, i teraz tylko łzy zdradzały ból, jakiego doświadczał. Oboje przywarli do siebie mocno, Audrey w poszukiwaniu wsparcia, Louis siły i woli życia. Wiedzieli już, że śmierć Isli obróciła w gruzy ich wielkie marzenie.

- Co teraz? - odezwał się Louis po chwili.

Instykt podpowiadał mu, że nie jest to odpowiedni czas na takie pytanie, lecz nie potrafił nad sobą zapanować. Zniecierpliwienie, które go ogarnęło, było zbyt wielkie, całkowicie obezwładniające. Audrey odsunęła się i usiadła na krześle. Przypomniała sobie skandal, wywołany przez Emmę Letton, i natychmiast stanęły jej przed oczami złośliwe, jadowite Krokodylice, podobne do surowych sędziów, skazujących ją na egzystencję wyrzutka za to, że zraniła ludzi, którzy byli jej najbliżsi. Potem ujrzała łagodną twarz matki, już teraz naznaczoną piętnem smutku i rozpacz, i zrozumiała, że nie jest ani dość silna, ani dość samolubna, aby popłynąć pod prąd. Louis usiadł tuż obok, zajął w jej wymizerowaną twarz i jego ramiona przygarbiły się, przygniecione ciężarem rozczarowania. Z wyrazu oczu Audrey odgadł, co ma mu do powiedzenia.

- Nie musimy rozmawiać o tym teraz - rzekł pośpiesznie, usiłując wycofać zadane pytanie, było już jednak zapóźno.

- Och, mam nadzieję, że mnie zrozumiesz... - zaczęła Audrey. - Nie mogę ryzykować, że zranię rodziców, bo śmierć Isli zupełnie ich zniszczyła, podobnie jak nas wszystkich... Nie mogę myśleć wyłącznie o własnym szczęściu... Rozumiesz mnie. prawda? - Utkwiła w jego twarzy smutne spojrzenie. - Potrzebuję więcej czasu... - dodała cicho.

- Będę czekał, jak długo zechcesz. - Ujął jej dłoń, lecz czarna rękawiczka okazała się jeszcze jedną barierą, uniemożliwiającą odzyskanie poczucia bliskości.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, jak długo to potrwa. Jestem teraz ich jedyną córką, nie mogę ich rozczarować...

Twarz Louisa ściągnął nagły gniew.

- A co ze mną? - zapytał, nie potrafiąc ukryć zawodu. Jego głos odbił się echem od murów kościoła. - Czy ja nic już dla ciebie nie znacze

Audrey szybko odwróciła się do niego i chwyciła obie jego dłonie.

- Ależ znaczysz... Kocham cię,

- Więc powinnaś słuchać serca.

- I złamać serca wszystkich, którzy są mi bliscy? Nie mogę tego zrobić, nie teraz...

- Co z twoimi marzeniami?

- Boję się marzyć, bo wiem, że ich spełnienie spowoduje ból i cierpienie.

Louis wyprostował się i wbił wzrok w przestrzeń. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Nagle wydało mu się, że to nie Isla umarła, ale Audrey. Jego usta zacisnęły się w wąską linijkę rozpacz. Przeżył większą część życia bez miłości, lecz teraz, gdy już doświadczył ciepła i radości, jakie dawało uczucie Audrey, nie wyobrażał sobie, jak miałby bez niej istnieć. Jego przyszłość przestoniła gęsta, szara mgła, a on nic nie mógł na to poradzić. Nie widział przed sobą żadnej drogi.

- Więc to wszystko? - zapytał głucho, świadomy, że przegrał bitwę.

- Och, nie mów tak, jakby nie było dla nas żadnej nadziei - powiedziała błagalnie. - W tej chwili nie potrafię jasno myśleć... Daj mi trochę czasu, tylko o to proszę...

- Po co? - Wzruszył ramionami. - Sama powiedziałaś, że nie możesz rozczarować rodziny. Najwyraźniej to ja miałbym być tym rozczarowaniem...

- Louis...

- Nie, daj spokój, zawsze tak było... Rozczarowałem już moich rodziców i Cecila, wszędzie niosę ze sobą rozczarowanie... Cóż, powinienem oszczędzić tego przynajmniej twojej rodzinie.

- Nie mów tak! Przesadzasz...

- Przesadzam? Kocham cię, to cała moja wina. Kocham cię...

Jego oczy płonęły namiętnością i bólem. Żałował, że nie ma dość pewności siebie, aby wytrwać, ale na to także nic nie mógł poradzić. Dla niego wszystko było zawsze czarne lub białe, pozbawione półcieni i szarości. Audrey albo go kochała, albo nie, nie dopuszczał w tej sferze wahań, niepewności czy zagubienia.

Poza tym czuł się teraz atakowany i gdyby miał znacznie większą siłę woli, nie zdołałby zapanować nad zniecierpliwieniem i złością, które pożerały go jak płomień.

- Ja też cię kocham... - wykrztusiła Audrey. - Kocham cię tak bardzo, że serce mnie boli... Ale moja siostra umarła... Moja piękna, pełna życia Isla odeszła na zawsze... Ona nigdy nie wróci, rozumiesz? Jak mogę myśleć o sobie, kiedy ona nie żyje?

- Musisz myśleć także o tych, którzy pozostali.

- Teraz? Dzisiaj? - Audrey patrzyła na niego z przerażeniem, szukając w twarzy ukochanego choćby cienia zrozumienia. Jego niecierpliwość i egoizm zupełnie ją zaskoczyły. - Może jutro, po jutrze, ale dziś? Jak mogłabym właśnie dziś myśleć o kimkolwiek poza Islą?

- Mojej miłości wystarczy, aby wypełnić przepaść, którą stworzyła jej śmierć.

- Nic i nikt nie może wypełnić tej przepaści, nawet ty, najdroższy... Nawet ty...

- Pozwól mi spróbować.

- Więc daj mi trochę czasu. Daj nam wszystkim ochłonąć. przynajmniej w części pogodzić się z tą straszną tragedią...

- Przecież to niczego nie zmieni. Twoja rodzina zawsze będzie uważać mnie za ekscentryka. Nie potrafię być inny, nie mogę stać się Cecilem, to nie leży w mojej naturze. Twoi rodzice nigdy nie przyjmą mnie z otwartymi ramionami jako zięcia, a ja chce się z tobą ożenić...

- Nie mówmy o tym teraz... Proszę cię, porozmawiamy o tym trochę później, kiedy otrząsnę się z najgłębszej rozpacz...

Pragnęła dodać, że w tej chwili potrzebuje pociechy, nie żądań z jego strony, ale on wyglądał na tak wzburzonego, iż zaczęła obawiać się, że zrobi sobie coś złego, jeżeli ona nie załagodzi tej sytuacji. Nie miała pojęcia, gdzie podział się Louis, którego tak mocno kochała.

Jednak Louis odczytał jej prośbę jako zawołaną próbę odciążenia w czasie zerwania. Audrey nie chciała go już. a on nie chciał być blisko niej, bo jad jej odrzucenia palił go żywym ogniem.

Poprosiła, żeby poszedł z nią do domu na herbatę, ale on oświadczył sztywno, że musi wrócić do domu. Audrey wiedziała, że w klubie usiądzie przy fortepianie i będzie grał najsmutniejszą melodię, jaką kiedykolwiek skomponował. Zazdrościła mu, że może dać ujście emocjom, sama także pragnęłaby przełożyć swoją rozpacz na piękną muzykę, lecz, niestety, potrafiła tylko płakać. Patrzyła, jak Louis odchodzi, a potem otuliła się płaszczem i pośpieszyła do domu, zmagając się z porywistym, lodowatym wiatrem, którego potężne powiewy miały ją niczym pustą skorupką orzecha.

Przyglądając się ogołoconym przez zimę drzewom i blademu, wodnistemu niebu, przypominała sobie, jak niewrażliwa na piękno przyrody była Isla. Siostra nigdy nie zwracała uwagi na urodę roślin, nieba i morza. A jednak, mimo dzielących je różnic, zawsze rozumiały się doskonale. Audrey pomyślała o poczuciu humoru Isli i jej złośliwości, o zainteresowaniu życiem innych ludzi, które zdradzała od wczesnego dzieciństwa, i o tym, jak pragnęła podporządkować sobie wszystkich bliskich i znajomych. Cóż, dzisiaj Isla z pewnością znalazła się w samym centrum uwagi, chociaż chyba nie o to jej chodziło... Audrey patrzyła na szarpane wiatrem drzewa i myślała o Isli, która pozostanie wiecznie młoda, chociaż ci, których zostawiła, będą się powoli starzeć.

Wspomnienia o Isli skutecznie odgrodziły ją od myśli o Louisie. Żądania ukochanego zbiły ją z tropu, nie miała jednak dość energii, aby skupić się na nim i jego cierpieniu. Była obolała i bardzo, bardzo zmęczona, miała ochotę zwinąć się w kłębek i przespać co najmniej kilka dni. Louis nie powinien był domagać się od niej decyzji o przyszłości w chwili, gdy nie była zdolna do jej podjęcia. Gdyby miała więcej siły, czułaby gniew, lecz teraz mogła wykrzesać z siebie jedynie słabe rozczarowanie.

W domu zastała Cecila, który czekał na nią z wyraźnym zaniepokojeniem. Z salonu dobiegały poważne, smutne głosy krewnych i przyjaciół, którzy przyszli pocieszyć Rose i Henry'ego, ale Audrey nie wyobrażała sobie, aby mogła rozmawiać z nimi i czerpać choćby najstabszą przyjemność z ich obecności. Pozwoliła Cecilowi towarzyszyć sobie do ogrodu. Na dworze było już ciemno i ogród trwał w ciszy, zamrożony i uśpiony, jakby w proteście przeciwko śmierci Isli. Serce Audrey znowu wypełniła bolesna pustka i rozpacz.

- Nie umiem zapanować nad tęsknotą - odezwała się, patrząc w czarne, bezgwiazdne niebo. - Cierpienie duszy jest znacznie bardziej dotkliwie niż ból fizyczny... Wydaje mi się, że już nigdy nie zdobędę się na uśmiech...

Bezradnie zwiesiła głowę, po jej policzkach popłynęły łzy. Cecil, pełen współczucia wziął ją w ramiona, a ona była zbyt zmęczona, by się opierać. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że tego właśnie potrzebowała, położyła więc głowę na jego piersi, doznając ukojenia w ciepłym, bezpiecznym uścisku. Cecil pozwolił jej płakać tak długo, aż w końcu zabrakło jej sił.

- Byłyście sobie bliższe niż jakiekolwiek siostry, które znam - powiedział łagodnie. - Musisz czuć się tak, jakbyś straciła prawą rękę, prawda?

Audrey pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

- Śmierć jest tragedią nawet dla ludzi starszych - ciągnął Cecil. Tyle, że oni w chwili odejścia mają za sobą pełne życie, natomiast Isla była jeszcze dzieckiem, które niczego nie zdążyło doświadczyć... Kiedy odchodzi ktoś młody, chce mi się krzyczeć ze złości i zaczynam się zastanawiać, czy Bóg w ogóle istnieje...

- Wierzę w Boga i w to, że Isla przeżyła tyle, ile było jej przeznaczone - odparła Audrey. - Wiem, że jest teraz w Niebie, na prawdę jestem o tym przekonana, ale wiem też, że będę za nią bardzo tęsknić. Nie wyobrażam sobie życia bez niej, więc w gruncie rzeczy płaczę nad sobą...

- Nie będziesz żyła bez niej - powiedział Cecil. - Skoro wierzysz, że Isla jest w Niebie, powinnaś też przyjąć, że stała się duchem i będzie ci towarzyszyła w tej postaci... Tak mówi Louis...

Audrey pomyślała o Louisie i natychmiast ogarnęło ją poczucie winy, że pozwala pocieszać się jego bratu. Zaraz potem przypomniała sobie zupełnie niewłaściwe w tej sytuacji żądania Louisa i jego egocentryczne zachowanie. W porównaniu z postępowaniem Louisa współczucie Cecila wydało jej się tym bardziej wzruszające.

- Nie mogę za ciebie wyjść - odezwała się bez chwili zastanowienia. - Moje serce jest gdzie indziej...

Cecil delikatnie poklepał ją po plecach i uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście... - rzekł spokojnie. - Nie wyobrażam sobie, abyś mogła teraz myśleć o kimkolwiek poza Islą i doskonale to rozumiem, moja droga... W ogóle się nad tym nie zastanawiaj. Nigdy nie przyszedłoby mi do głowy, żeby w takiej chwili domagać się odpowiedzi na moje pytanie... Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za pozbawionego serca głupca...

Audrey rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

- Wiem, że nie jesteś głupcem bez serca - powiedziała. - Jesteś najlepszym, najłagodniejszym człowiekiem, jakiego znam...

- Daj spokój, naprawdę... Pozwól, żeby czas zaleczył twoje cierpienie, a może wtedy, pewnego dnia, gdy znowu zaczniesz myśleć o przyszłości, pomyślisz i o mnie. Nie wspomnę o tym więcej, ale będę czekał na ciebie tak długo jak zechcesz...

- Dziękuję ci... - wykrztusiła, odsuwając się i wyciągając chusteczkę z kieszeni płaszcza. - Jesteś bardzo dobrym człowiekiem... - powtórzyła.

Człowiek, którego uważała za zimnego i pozbawionego uczuć, odsłonił przed nią zupełnie inną, nieznaną twarz. Ryby czują, pomyślała, przypominając sobie zjadliwy komentarz Islę, i wydmuchała nos.

Kiedy Cecil wrócił do klubu, znalazł Louisa pochylonego nad fortepianem, pijanego alkoholem i rozpaczą.

- Straciłem jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochałem - wymamrotał, nie otwierając oczu, jakby bał się, że porazi je okrutne światło prawdziwego świata. - Nie pokocham już żadnej innej...

- Strasznie mi przykro... - powiedział Cecil, klepiąc brata po plecach. - Nie zdawałem sobie sprawy, co czujesz...

Pomyślał, że stary pułkownik najwyraźniej miał rację - Louis rzeczywiście zakochał się w Isli.

- Nie masz najmniejszego pojęcia, co się ze mną dzieje, idioto! - prychnął Louis i wybuchnął szalonym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Może rano poczujesz się trochę lepiej... - Pomógł Louisowi dźwignąć się na nogi.

Wiele razy odprowadzał go w tym stanie do pokoju i rozbierał do snu jak chore dziecko. Czasami zastanawiał się, czy kiedyś uwolni się od tej odpowiedzialności.

- Tylko śmierć może wyzwolić mnie z tego piekła - wybełkotał Louis.

- Nie wolno ci tak myśleć - rzekł Cecil, usiłując opanować zniecierpliwienie. - Za jakiś czas znowu się zakochasz...

- Już nigdy się nie zakocham. Ona jest aniołem, nie ma drugiej takiej...

- To prawda, jest aniołem i odeszła do Boga - mruknął Cecil.

Louis spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Czas leczy wszystkie rany... - ciągnął Cecil.

W oczach Louisa zabłyśła wściekłość.

- Czas... - warknął. - Ona także mówiła o czasie... Cóż, ja nie mam go zbyt wiele...

- O co ci chodzi? - zapytał Cecil, zdejmując bratu buty i skarpetki.

- Jeżeli nie mogę jej mieć, wyjeżdżam. Nie zostanę tu ani chwili dłużej, bo chyba umarłbym z żalu...

- Dzisiaj wszyscy tak myślą. Czujemy się opuszczeni, ale nie wolno nam uciekać od bólu...

- Nigdy jej nie odzyskam, więc równie dobrze mogę stąd wyjechać.

- Dokąd?

- Tam, gdzie mnie wiatr poniesie.

- Nie bądź śmieszny - rzucił Cecil, pomagając bratu włożyć piżamę.

- Wyjeżdżam, żeby zapomnieć.

- I co ze sobą zrobisz?

- Umrę z powodu złamanego serca. - Louis zaśmiał się znowu, lecz tym razem jego śmiech był dziwnie głuchy i ponury.

- Dajże spokój, na miłość boską... Rano nawet nie będziesz pamiętał, co mówiłeś.

Jednak rano Louisa nie było w klubie. Cecil rozejrzał się po pokoju, by znaleźć jakąś wskazówkę, dokąd udał się brat. Louis zabrał wszystkie swoje rzeczy, nie zostawiając nic z wyjątkiem leżącego na komodzie listu.

Cecil otworzył kopertę i powoli przeczytał to, co napisał do niego Louis. Jego twarz pobladła, usta zadrżały. Odetchnął głęboko, potem jeszcze raz przebiegł wzrokiem list. Zamyślił się i długo siedział w fotelu, obracając w palcach złożoną kartkę. W końcu wrócił do swojego pokoju i ukrył list w szkatułce z polerowanego drzewa orzechowego, gdzie zwykle chował rzeczy wielkiej wagi. Wyprostował ramiona i wyszedł, aby powiadomić Rose i jej rodzinę o wyjeździe Louisa. Przeżyłem wojnę, więc przetrwam i to, pomyślał, zamykając za sobą drzwi klubu. Czuł jednak, że największe wyzwanie jest dopiero przed nim.

Rozdział dziesiąty

Nagłe zniknięcie Louisa potwierdziło jedynie podejrzenia większości mieszkańców Hurlingham, że młodszy z braci Forresterów i Isla byli w sobie zakochani. Ponieważ jednak Isla nie żyła, wznosząc się tym samym ponad wszelkie krytyki, ich utrzymywany w sekrecie związek nie budził niczyjego oburzenia czy niechęci, wręcz przeciwnie, postrzegany był jako tragedia istic szekspirowska, a Louisa, zrozpaczonego kochanka, obdarzano szacunkiem na jaki w innych okolicznościach nie mógłby liczyć. Wszyscy uważali, że skoro był godny miłości Isli, to musi być wyjątkowym człowiekiem. Isla uratowała więc reputację Louisa. Tymczasem on, zupełnie tego nieświadomy, pogrążony w głębokiej melancholii, siedział na mokrym pokładzie frachtowca płynącego do Meksyku i nie zamierzał wracać do Argentyny.

Rose rozplakała się, kiedy Cecil wczesnym rankiem zjawił się w domu przy Canning Street i powiedział jej, co się stało.

- Kochał moją Isłę? - zaszlochała, osuwając się na fotel. - Sądziłam, że wiem wszystko o życiu mojej córki, ale najwyraźniej było inaczej... Byłam potwornie niesprawiedliwa wobec biednego Louisa... Isla go kochała, więc ja też go kocham...

- Zostawił list, w którym wyjaśnił, że nie może zostać w tym kraju, skoro jej już nie ma - powiedział poważnie Cecil. - Louis nie jest podobny do innych ludzi, ale jest dobrym człowiekiem. Myślę, że niedługo zacznie żałować, iż wyjechał i wróci do Buenos Aires. Wczoraj wieczorem był w głębokiej rozpacz... Oczywiście trudno porównać to z rozpaczą, jaką odczuwa wasza rodzina, lecz Louis jest naprawdę inny... Nigdy nie zastanawia się nad następnym krokiem, kieruje się wyłącznie uczuciami. Mówiłem mu, że czas złagodzi jego ból, ale on nie potrafi poradzić sobie z

przeciwnościami. Przed śmiercią Isli był bardzo szczęśliwy, chwilami miałem wrażenie, że go nie poznaję...

Cecil odwrócił wzrok i otarł czoło chusteczką. Czuł się bardzo dziwnie, jakby cały zrobiony był z powietrza.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście do nas wróci - odezwała się Rose. - Bardzo chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o ich przyjaźni... Przykro mi myśleć, że jakiejś części życia mojej córki w ogóle nie znałam, więcej, nie miałam pojęcia o jej istnieniu... Naprawdę myślisz, że on wróci?

W tej chwili do salonu weszła Audrey. Ona także, podobnie jak Rose, miała jeszcze na sobie szlafrok, długie loki, trochę po targane, opadały na plecy. Cecil wstrzymał oddech; ponieważ otrząsnął się z przygnębienia, natomiast Audrey wciąż czuła się zraniona i pusta w środku, jakby jakaś wielka siła pozbawiła ją wszelkiej chęci do życia.

- Kto wyjechał? - zapytała obojętnie, obejmując się w pasie ramionami z podświadomym pragnieniem ukojenia dręczącego ją bólu.

- Wiedziałaś, że Isla była zakochana w Louisie? - zapytała Rose z lekką irytacją.

- Isla zakochana w Louisie? - powtórzyła niepewnie Audrey. - Nie, skądże...

- Ależ tak, kochanie, Isla była w nim zakochana. Cecil ma list, w którym Louis wszystko potwierdza. Louis wyjechał, a wcześniej powiedział Cecilowi, że bez Isli nie znieśie dalszego życia w Argentynie... Co za romantyczny młody człowiek, ile w nim uczucia...

- Louis wyjechał? - zapytała Audrey z przerażeniem, kładąc rękę na sercu i gwałtownie odwracając się w stronę Cecila.

- Tak, wyjechał dziś rano - odparł.

Audrey usiadła i zalała się łzami. Cecil pragnął znowu wziąć ją w ramiona, jak po pogrzebie Isli, lecz zdawał sobie sprawę, że taki gest nie spotkałby się z jej przychylnością.

- Moje biedne dziecko... - Matka szybko objęła córkę i przytuliła ją do piersi. - Wszyscy jesteśmy tym głęboko poruszeni... Oto część Isli, której nie znaliśmy... Byłam przekonana, że przynajmniej tobie się zwierzyła...

Mimo słów pociechy Audrey nie była w stanie zapanować nad smutkiem.

- Dokąd pojechał? - zaszlochała.

- Chyba do Anglii - odrzekł Cecil. - Myślę, że wróci, kiedy odzyska spokój - dodał nagle, ku własnemu zaskoczeniu. - Wczoraj wieczorem był nieprzytomny z żalu, no i wypił za dużo... Gdy wytrzeźwieje, na pewno inaczej spojrzy na tę sytuację. Nie płacz, on na pewno wróci, jestem o tym przekonany...

Był jednak pewny tylko tego, że nie ma już odwrotu z drogi, na której stanął.

Audrey pobiegła na górę, zamknęła się w łazience i zwymiotowała. Jak Louis mógł wyjechać bez słowa, bez pożegnania, bez żadnego wyjaśnienia? Jeżeli ją kochał, to jak mógł rzucić ją na pastwę

takiego cierpienia? Nagle przypomniała sobie słowa Cecila i z desperacją uczepliła się tej ostatniej nadziei. Może Louis rzeczywiście odzyska spokój i wróci, gdy uświadomi sobie, że jednak warto na nią poczekać... Kiedy zrozumie, że jeszcze nie wszystko stracone... potem zaczęła obwiniać siebie. Jak mogła być tak obojętna na jego uczucia? Przecież on także potrzebował jej bliskości, tymczasem ona myślała tylko o sobie...

- Same teraz widzicie, że miałam rację - oświadczyła pogodnie Charlo, przez okulary przyglądając się swoim kartom. - Z tej Isli był naprawdę niezły numer...

- Kochana, biedna dziewczyna - odezwała się Diana z czułym uśmiechem.

- Cóż, najwyraźniej wszystkie myliłyśmy się co do Louisa Forreстера - dodała Cynthia. - Otwarcie przyznaję, że nie miałam racji...

- Ja także - wtrąciła Phyllida, nerwowo przekładając karty. Nie była zbyt dobrą brydżystką i zawsze, kiedy siadały do stolika, czuła się jak mucha, na którą polują trzy wielkie jaszczurki. Wstrząsnęła się lekko i zamrugnęła, szukając wśród kart takich, którymi mogłaby się posłużyć.

- Och, ja nigdy nie myliłam się co do Louisa - odparła Charlo. - Jest impulsywny i nieodpowiedzialny, i zawsze taki będzie...

- Ty podstępna żmijo! - Cynthia położyła swoje karty na stole. - Mówiłaś, że brak mu szóstej klepki!

- Nie, kochanie, to ty mówiłaś, że jest kompletnie zwariowany!

- Zdobądź się przynajmniej na tyle uczciwości, żeby przyznać się do błędu, moja droga! - prychnęła Cynthia. - Louis nie jest wariatem, lecz najprawdziwszym romantycznym bohaterem, jakich dziś nie ma zbyt wielu!

Charlo uniosła podbródek i odpowiedziała wzgardliwym parsknięciem.

- Nie ma ich wielu, ponieważ trzech sama pochowałaś - powiedziała i sama roześmiała się ze swojego niesmacznego dowcipu.

- Mam nadzieję, że czwarty pochowa ciebie!

- Moje panie, dajcie spokój... - przerwała im Diana łagodnie. - Wszystkie źle oceniliśmy Louisa, a teraz wyjechał. Z całego serca współczuję temu biednemu młodemu człowiekowi... Nic nie boli bardziej niż złamane serce.

- Właśnie! - przytaknęła Phyllida, zachwycona, że spór między przyjaciółkami opóźnia początek gry.

- Wszystkim nam będzie bardzo brakowało Isli.

- Bardzo... - powtórzyła Phyllida.

- Nie martwcie się, Audrey wyjdzie za Cecila i znowu zaczniemy się uśmiechać - powiedziała Charlo.

- Albo ty wyjdiesz za pułkownika i znowu zaczniemy się śmiać - dorzuciła Cynthia ze złośliwym skrzywieniem warg.

Lecz Charlo wcale się nie roześmiała. Zmarszczyła starannie upudrowane czoło i zamyśliła się. Ostatnio pułkownik Blythe wyraźnie się zmienił - jego spojrzenie miało odległy, romantyczny wyraz, w głosie brzmiała czasami łagodna, prawie czuła nuta i często cicho nucił smutną melodię. Charlo pozwalała sobie żywić nadzieję, że to ona jest przyczyną tej zmiany, ale nie zamierzała dzielić się z nikim swoimi myślami. Przyjaciółki kpłyby z niej, gdyby okazała nietypową dla siebie słabość.

- Niewykluczone, że zaczniecie śmiać się szybciej, niż podejrzewacie - rzuciła triumfalnie.

Cynthia rozchyliła wargi ze zdumienia.

- Nie do wiary... Naprawdę masz zamiar pochować czwartego...

- Ależ skąd, myślę, że żywy pułkownik dostarczy mi dużo więcej rozrywki niż martwy... - rzekła Charlo. - Zmarli już jakiś czas temu przestali wydawać mi się zabawni - dodała nieoczekiwanie ponurym tonem.

Jednak po pogrzebie Isli związek Charlotte Osborne z pułkownikiem nie budził niczyjego zainteresowania. Hurlingham stało się kolonią cieni, jego mieszkańcy nie potrafili poradzić sobie ze świadomością, że wesołe, radosne dziecko o nieco złośliwym, pewnym siebie uśmiechu i sprężystym kroku odeszło na zawsze. Wciąż zadawali sobie pytanie, jak to możliwe, że osoba tak pełna życia umarła, częściej niż dotąd myśleli o swojej własnej kruchej egzystencji i o tym, co czeka ich po śmierci.

Nieistniejąca historia miłości Louisa oraz Isli przeistoczyła się w legendę, w opowieść o współczesnej parze tragicznych kochanków na miarę Romea i Julii, którą wszyscy powtarzali sobie z wielkim przejęciem. Mężczyźni podziwiali Louisa za odwagę, kobiety zazdrościły Isli gotowości do poświęceń dla miłości. Z dnia na dzień okazało się nagle, że ludzie dużo wiedzą o ich związku, jego narodzinach, pierwszym spotkaniu i marzeniach o przyszłości. Pojawiła się nawet opinia, że zakochani zamierzali uciec tej samej nocy, kiedy Isla zachorowała. Po Hurlingham krążyło coraz więcej takich wymyślonych historii, które ludzie opowiadali sobie z rosnącym zaangażowaniem. Zmarła Isla stała się własnością wszystkich.

- Nelly płacze od miesiąca - skarżyła się Hilda. - Louis wyjechał i zabrał ze sobą jej serce. Naprawdę, nigdy nie sądziłam, że można tak rozpaczać z powodu mężczyzny...

Rose spędzała prawie wszystkie popołudnia przed kominkiem w salonie, drżąc z zimna, którego nie mogły rozproszyc żadne płomienie. Czerpała pewną pociechę z regularnych odwiedzin sióstr, dzięki którym nie pogrążała się w odmętach żalu i tęsknoty za córką.

- Nelly nie ma powodu do płaczu - ze zniecierpliwieniem rzuciła Edna, znużona wysłuchiwaniami historii o fikcyjnych cierpieniach córki Hildy. - Jak się czuje Audrey? - zwróciła się do Rose znacznie łagodniejszym tonem.

Hilda mocno zacisnęła wąskie wargi. Bardzo nie podobało jej się, że wszyscy mówią o córkach Rose z szacunkiem, jaki jej zdaniem należał się jedynie świętym. Gdyby Isla żyła, w całym Hur Ingham aż huczałoby od głosów oburzenia i dezaprobaty, tym czasem teraz jej postępowanie wywoływało ogólny zachwyt i wzruszenie, na dodatek Audrey pokropiono tą samą święconą wodą. Hilda zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w filiżance z herbatą.

- Audrey nie może sobie poradzić z tą tragedią - odrzekła ze smutkiem Rose. - Całymi dniami przesiaduje w swoim pokoju, patrzy w okno lub chodzi po pokoju z taką zawziętością, jakby miała żal do losu albo do Boga... Tak, jestem pewna, że jej gniew jest wymierzony w Boga, bo przecież to On zabrał nam Islę...

- A Cecil? Nie może jej jakoś pomóc?

- Ona potrzebuje dużo czasu, aby opłakać Islę - odrzekła Rose, spuszczać oczy. - Oczywiście Cecil jest dla nas prawdziwą podporą... Prawie co wieczór przychodzi, aby zobaczyć się z Audrey, ale ona nie chce wyjść z pokoju...

- Och, to chyba źle wróży ich przyszłości! - powiedziała Hilda z nieudolnie skrywaną zazdrością.

- Sama nie wiem... - Rose westchnęła. - Na szczęście Cecil jest bardzo wrażliwym młodym człowiekiem i rozumie, że Audrey musi przeboleć stratę, zanim znowu zainteresuje się jego osobą...

- Wydaje mi się jednak, że właśnie teraz Audrey powinna w pełni docenić pociechę, jaką może jej dać jego towarzystwo... - nie ustępowała Hilda.

- Każdy radzi sobie ze smutkiem na swój własny sposób, moja droga - przerwała jej Edna. - Audrey zawsze różniła się od innych dziewcząt, była poważniejsza i bardziej zamknięta w sobie. Pamiętaj, że straciła nie tylko siostrę, ale także najlepszą przyjaciółkę. - Edna odwróciła się do Rose. - Sądzisz, że mogłybyśmy coś zrobić, aby poprawić jej nastrój? Przygnębienie i rozpacz nie służą nikomu, a już zwłaszcza tak młodej dziewczynie...

- Cecil podsunął mi pewien pomysł... - zaczęła cicho Rose.

- Jaki?

- Brzmi to trochę dziwnie, ale...

- Raz można spróbować wszystkiego - powiedziała Edna.

- Zasugerował, żebyśmy kupili fortepian, niezbyt duży...

- Po co, na miłość boską? - zapytała Hilda. - Audrey od lat nie grała na fortepianie.

- Cecil mówi, że Louis gra, żeby ukoić skołataną nerwy. Kiedyś widział, jak Audrey grała z nim na cztery ręce i podobno wyglądała na bardzo zadowoloną.

Wspaniały pomysł! - ucieszyła się Edna. - Co na to Henry?

Temu domowi potrzebna jest odrobina wesołości, pomyślała.

- Jest gotów spróbować.

- Więc kupcie fortepian jak najszybciej, zanim to biedne dziecko zrujnuje wszystkie swoje szansę na przyszłość. Cecil nie będzie czekał w nieskończoność.

Rose kupiła fortepian, który dostarczono do domu Garnetów w następnym tygodniu. Audrey wciąż nie opuszczała swojego pokoju, załamana i posępna. Jej młodszy bracia z przyjemnością uderzali w klawisze, dopóki Rose nie powiedziała im surowo, że instrument jest prezentem dla Audrey i to ona powinna zagrać na nim pierwsza. Wreszcie, kiedy Rose była już prawie pewna, że pomysł okazał się niewypałem, pewnej nocy na początku wiosny obudziła ją smutna muzyka, wyrażająca stan duszy Audrey. Wstała, narzuciła szlafrok na ramiona i na palcach zesłała po schodach na dół. W miarę jak się zbliżała, melodia przybierała na sile. Po chwili zobaczyła wyprostowane plecy i drżące ramiona córki, która szlochała rozpaczliwie, grając skomponowany dla niej przez Louisa utwór. Jej białe palce przemykały po klawiszach z taką sprawnością i znużeniem, jakby grała przez całe życie. Oczy miała zamknięte; aby muzyka mogła łatwiej przenieść ją we wszystkie egzotyczne, cudowne miejsca, jakie pragnęła odwiedzić razem z Louisem. Głęboko wzruszona Rose położyła dłoń na ustach, żeby nie wyrwał się z nich żaden dźwięk. Stała w mroku, obserwując i słuchając, jak córka wyraża swój smutek. Później odeszła, równie cicho i niepostrzeżenie, jak się pojawiła. Audrey nigdy miała się nie dowiedzieć, że matka była przy niej w tej wyjątkowo intymnej chwili.

Audrey w końcu zdała sobie sprawę, że Louis nie wróci. Pozwoliła, aby smutek i żal pochłonęły ją prawie bez reszty - opłakiwała siostrę, a myśli o Louisie zdominowały cały jej świat. Czekala, czekała i czekała, aż nadzieja ustąpiła miejsca rozpacz i rezygnacji. Fortepian i muzyka były wszystkim, co pozostawił jej Louis, kiedy więc raz zaczęła już grać, nic nie mogło jej powstrzymać.

Wyładowywała wściekłość na los, waląc w klawisze, aż szyby dzwoniły. Louis nie dał jej czasu na przeżycie żałoby po Isli, zażądał, aby zdecydowała o ich wspólnej przyszłości w chwili, kiedy nie była w stanie tego zrobić, w dniu pogrzebu Isli; potem zaś opuścił ją, zniecierpliwiony i rozczarowany. Jaki człowiek zachowuje się w tak nierozsądny, pozbawiony rozważności sposób? Co mu się stało? Niekiedy Audrey wyrażała swój smutek tak harmonijnymi, przejmującymi muzycznymi frazami, że nawet z kamiennych oczu ciotki Hildy płynęły łzy. Jedyne mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochała, odszedł i Audrey wypowiadała nutami ból swojego serca i brak nadziei. Kiedy indziej siadała przy fortepianie w środku nocy, ze wszystkich stron otoczona ciemnością i wtedy czuła obecność Louisa, zapach jego skóry, i jej palce mknęły po klawiszach jakby bez jej udziału, a sonata wypełniała cały pokój. Miesiące mijały powoli. Skomponowana przez Louisa melodia była jedynym wyrazem nierozdzielnej więzi między nimi i Audrey grała ją, żeby nie zapomnieć o takim Louisie, jakiego znała w dniach przed pogrzebem Isli, przed tamtym wieczorem w kościele, kiedy jej marzenia legły w gruzach. Nazwała melodię „Sonatą o niezapominajce”, ponieważ ona także, podobnie jak mały niebieski kwiatek, miała być symbolem wiecznej, nigdy nie gasnącej pamięci.

Najbardziej zdumiewające było jednak to, że z każdym dniem wreszcie zaczynała czuć się coraz lepiej. Rany zblizniały się powoli, a nastrój uległ wyraźnej poprawie.

Potem, prawie niepostrzeżenie, Cecil zdobył jej przyjaźń i zaufanie, w końcu zaś i uczucie.

Audrey siedziała na piasku i patrzyła na morze, zaskakująco szare i wzburzone jak na pełnię lata. Słońce wisiało tuż nad powierzchnią wody i Audrey czekała na głośny syk i pojawienie się kłębow pary, tak samo jak w dzieciństwie, lecz oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Wiele zmieniło się od dnia, gdy skończyła osiemnaście lat, świat wyglądał teraz jakoś inaczej. Ponad dwa lata temu umarła Isla, Louis opuścił Argentynę, a jakaś część Audrey zapadła w wieczny sen. W ten sposób dziewczyna poradziła sobie z cierpieniem.

- O czym myślisz? - zapytał Cecil, biorąc ją za rękę. Często zadawał sobie to pytanie, szczególnie wtedy, gdy słuchał, jak Audrey gra na fortepianie. Ostatnio melodie, które grała, stały się trochę mniej smutne i bardziej harmonijne, co, jak miał nadzieję, było wyrazem stanu ducha pianistki.

- Dwa i pół roku temu Isla i ja siedziałyśmy na tej samej urugwajskiej plaży i obserwowałyśmy zachód słońca - odparła Audrey.

Od dawna już nie cofała dłoni, kiedy Cecil po nią sięgał. Od chwili, gdy objął ją w ogrodzie zaraz po pogrzebie Isli, przywykła do jego dotyku i nawet przyjmowała go z przyjemnością. Cecil stał się dla niej prawdziwą podporą i wiernym przyjacielem. Nie stwarzał napięć, nie wywierał presji, nie występował z żądaniami, obdarzał za to Audrey swoim spokojnym, łagodnym uczuciem. Zaciśnięta palce na jego ręce, czerpiąc radość z dobrze znanego ciepła jego skóry.

- Isla właściwie nie interesowała się przyrodą, ale zawsze czekała na moment, kiedy słońce dotknie wody i była bardzo rozczarowana, że z morza nie buchają wtedy kłęby pary. Czasami przysięgała, że słyszała cichy syk. a ja czułam się oszukana i zawiedziona, bo nic nie słyszałam...

- Isla była małym łobuzem. - Cecil zaśmiał się cicho.

- Codziennie o niej myślę. Wszystko robiłyśmy razem, wszystko... Bardzo mi jej brak.

- To naturalne.

- Ale przyzwyczaiałam się do świadomości, że zawsze mogę na tobie polegać.

Cecil utkwił wzrok w horyzoncie, bojąc się spojrzeć Audrey w oczy. Wiedział, że jego spojrzenie mogłoby zdradzić tęsknotę i pragnienia, jakie nosił w sercu.

- Cieszę się... - mruknął.

- Z tej tragedii wynikła jedna, jedyna dobra rzecz. Jest nią nasza przyjaźń...

Uśmiechnęła się do niego, lecz w odpowiedzi otrzymała jedynie szybki uśmiech i przelotne spojrzenie. Cecil wciąż wpatrywał się w morze, chociaż mocno trzymał jej rękę.

- Czułam się kompletnie zagubiona bez Isli, ale stopniowo zaczęłam zwracać się do ciebie ze wszystkimi sprawami, którymi dzieliłabym się z nią. Twoja przyjaźń ma dla mnie wielkie znaczenie...

- To dobrze.

- Nie mogłam zmusić się, żeby pomyśleć o przyszłości bez Isli. Nie chciałam żyć. Wszystko wydawało mi się czarne i ponure, ale ty przywróciłeś mojemu światu słońce. Wiem, że minęły już ponad dwa lata od dnia, kiedy poprosiłeś mnie o rękę i przez cały ten czas nie wspominałeś o tym ani

razu, zgodnie z obietnicą. Mam nadzieję, że nie wydam ci się zbyt śmiała, ale chciałabym zostać twoją żoną, oczywiście jeżeli nadal tego pragniesz...

Cecil poczuł, jak ogarnia go wielka ulga. Zachciało mu się płakać. Każdy dzień czekania na Audrey zwiększał ciężar nadziei, spoczywający na jego barkach, więc teraz był nim prawie przygięty do ziemi. Jakiś czas temu zaczął się zastanawiać, czy Audrey kiedykolwiek obdarzy go przynajmniej drobną częścią miłości, jaką on czuł do niej. Z czasem jego uczucia zyskały na sile i nie wyobrażał sobie życia bez niej, a kiedy taka wizja przyszłości pojawiała się w jego głowie, miał wrażenie, że krew w żyłach zastyga w kamień. I nagle dni oczekiwania się skończyły. Audrey zgodziła się zostać jego żoną. Odwrócił się, spojrzął na nią błyszczącymi oczami i uśmiechnął się z taką radością, że nie mogła zrobić nic innego, jak tylko odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Nigdy nie myślałem, że będę w stanie pokochać kogoś tak mocno - odezwał się. - Jesteś wyjątkową kobietą i czuję się dumny, że zdecydowałaś się dzielić ze mną życie... To dla mnie prawdziwy zaszczyt...

Roześmiała się lekko. Cecil zawsze był taki oficjalny...

- Nie, to ja jestem zaszczycona, że nadal chcesz mnie poślubić. Długo na mnie czekałeś.

- Czekałbym na ciebie do końca życia - rzekł, patrząc na nią poważnie.

Audrey spuściła wzrok. Wiedziała, że Cecil spróbuje ją pocałować i starała się nie myśleć o Louise. Codziennie rano budziła się, mając przed oczami jego twarz i co rano z wysiłkiem spychała wszystkie bolesne wspomnienia w głąb podświadomości. Co rano zmagająca się z obezwładniającą niechęcią do życia i sama już nie wiedziała, czy przyczyną tego uczucia jest strata Isli, czy Louisa. Jej jedyną nadzieją było spokojne, bezpieczne życie i nie miała cienia wątpliwości, że Cecil może jej to zapewnić. Liczyła, że może przy nim obudzi się pewnego dnia bez uczucia, iż spada w przepaść, bez gorzkiego smaku pozbawionej sensu rzeczywistości.

Kiedy Cecil pocałował ją, okazało się to zaskakująco przyjemne. Pocałunek nie rozpałił serca tak jak pocałunek Louisa, lecz nie był jej niemiły. Ogarnęła ją czułość i poczucie bezpieczeństwa. Zarzuciła Cecilowi ramiona na szyję i wtedy ciasne węzły rozpacz i żalu rozluźniły się nieco. U boku Cecila Audrey znowu mogła spojrzeć w przyszłość. Może nie w taką, o jakiej marzyła, ale była już zmęczona snuciem marzeń.

Rozdział jedenasty

Charlotte Osborne postanowiła, że weźmie ślub kościelny. Nie zamierzała pzować na dziewczęcą pannę młodą, skoro pochowała już trzech mężów, czuła jednak, że wdowie przystoi mała, prywatna ceremonia religijna, po niej zaś duży podwieczorek w klubie. Chciała mieć tego dnia wokół siebie mnóstwo kwiatów, pić szampana, słuchać pompatycznych przemówień i pławić się w uwielbieniu. Pułkownik wziętyby z nią ślub nawet na księżycu, gdyby poprosiła, ponieważ, obezwładniony poczuciem wdzięczności, nie był w stanie niczego jej odmówić. Upór, z jakim prosił ją o rękę,

ostatecznie przeważył szalę zwycięstwa na jego korzyść i Charlotte poddała się z entuzjazmem kobiety, która od początku pragnęła zostać podbita.

- Chodź do mnie, staruszko, i pozwól się pocałować - powiedział, chwytając ją w ramiona i łaskocząc bokobrodami.

- Jak smakuje twoja staruszka? - zachichotała Charlo, radosna niczym młoda, przeżywająca pierwszą miłość dziewczyna.

- Jak dojrzały szampan, moja droga, bąbelki i szlachetny smak! Czuć, że życie jeszcze się w niej kołacze! - Z czułością spojrział na Charlo. - Wiedziałem, że mnie nie rozczarujesz. Byłaś dla mnie wyzwaniem i zawsze nim będziesz, ale warto było na ciebie czekać, na Boga! W jego uszach zabrzmiała melodia, jaką słyszał dawno temu i nigdy nie zapomniał, napełniając go słodką melancholią miłości.

Wiosna dała o sobie znać, rozpromieniając blade światło poranka, przydając pięknych barw wielkim bukietom bzu i lili, a także dziarskości krokom pułkownika, który wprawdzie utykał, lecz szedł dumnie wyprostowany główną nawą, z lodowato piękną i wyniosłą Charlotte Osborne wspartą na jego ramieniu. Jego bokobrody poruszały się lekko, kiedy uśmiechał się z satysfakcją wojskowego przywódcy, rozważającego swoje największe zwycięstwo.

Diana Lewis zmierzyła uważnym spojrzeniem doskonale skrojony liliowy kostium przyjaciółki, kapelusz o szerokim rondzie, lekko ściągniętym nad prawe oko, srebrzyste włosy, uczesane w elegancki kok, i poczuła, że ogarnia ją podziw dla kobiety, która w jesieni życia rozkwitła dojrzałą, imponującą urodą. Gdyby nie te wąskie wargi, można by pomyśleć, że piękna jest także jej dusza, pomyślała złośliwie. Phyllida Bates siedziała przygarbiona, ponieważ chory kręgosłup słabo podtrzymywał jej ciało. Nienawidziła ślubów, ponieważ sama nigdy nie wyszła za mąż, ale uśmiechała się tak pogodnie, że nikt by nie odgadł, iż w jej ślinie pełno jest jadu. Cynthia Klein, zbyt leniwa, aby wysilać się na złośliwości, patrzyła na parę starych ludzi, którzy przed ołtarzem mieli złożyć przysięgę wzajemnej miłości i szacunku, i trzeźwo zastanawiała się, czy Charlo w ogóle jest zdolna do takich uczuć. Mimo wszystko myślała o narzeczonych z pewną czułością. Spod ich pięknych piórek wyzierała szara i krucha starość, wbrew której postanowili jak najlepiej i najpełniej przeżyć ostatnie lata swojego życia.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy... - powtórzyła drżącym głosem Charlo.

Diana zerknęła na Phyllidę i zaraz potem pochwyciła porozumiewawcze spojrzenie, jakie rzuciła jej Cynthia. Wszystkie myślały o tym samym - ile czasu pozostało pułkownikowi do chwili, kiedy stanie przed Stwórcą... Jednak od śmierci Isli Charlo patrzyła na życie innymi oczami. Zdawała sobie sprawę, że zaczyna się ostatni akt jej życia i mocno wierzyła, że mężczyzna, którego wybrała, odejdzie razem z nią, nie wcześniej.

Audrey siedziała u boku męża i jak zwykle w kościele, myślała o siostrze. Pamiętała pogrzeb Isli tak wyraźnie, jakby odbył się poprzedniego dnia i tęskniła za nią równie mocno jak wtedy. Cierpienie stało się może trochę mniej dotkliwe, lecz nadal było obecne jak stały, tępy ból. Audrey tęskniła również za Louisem, ale z rezygnacją zaakceptowała swój los. Cecil był kochającym mężem, nie mogła narzekać.

Przed ślubem Audrey, który odbył się w kwietniu poprzedniego roku, Rose zakończyła żałobę i śmiech znowu zabrzmiał w domu przy Canning Street, chociaż iskra radości życia, jaką nosiła w sobie Isla, zgasła na zawsze. Ślub był uroczysty i matka panny młodej z wielkim zapałem i energią zajęła się przygotowaniami. Ciotka Edna prawie wprowadziła się do Garnetów i wzięła na siebie rolę sekretarki, sporządzając listę gości, poprawiając ją oraz omawiając ważne szczegóły z kwiaciarkami, dostawcami i krawcową. Audrey godziła się na wszystkie sugestie i nic ją nie obchodziło, że to inni podejmują decyzje za nią. Od dała wodze w ręce ciotki i matki równie chętnie, jak swoje serce w ręce Cecila, ani przez chwilę nie wątpiła jednak, że w głębi duszy zawsze należeć będzie do Louisa.

Cecil kupił niewielki dom w pobliżu Canning Street i Audrey szczerze starała się wypełnić go atmosferą ciepła i spokoju. Czuła, że musi stworzyć sobie małą fortecę, gdzie będzie mogła się ukryć i żyć wspomnieniami, zajęła się więc urządzaniem i dekorowaniem domu z tak wielkim entuzjazmem, że wkrótce wszystkie pomieszczenia wibrowały siłą jej stęsknionego serca. Ustawiła fortepian w salonie, umieściła na skrzyni kilka świeczników, i kiedy grała w nocy, miękkie, migotliwe światło płomieni uspokajało ją i przenosiło do odległych miejsc, gdzie jej marzenia wciąż lśniły dawnym blaskiem. Rose mówiła, że dom młodej pary ma magiczną aurę, a Cecil chwalił żonę za doskonały gust i wyczucie. Tylko ciotka Edna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej siostrzenica poszła na jakiś kompromis, a urządzaniu domu poświęca więcej uwagi niż świeżo zawartemu małżeństwu. Była przekonana, że jej podejrzenia są słuszne. Sama zachowywała się podobnie po śmierci Harry'ego, szukając pociechy i pielęgnując pamięć ukochanego męża, lecz Cecil żył i miał się doskonale.

Kiedy Charlotte i pułkownik odeszli od ołtarza jako małżonkowie, ich twarze jaśniały szczęściem. Audrey odsunęła od siebie wspomnienia i skupiła wzrok na miejscu, gdzie szeroki pas światła wpadał do wnętrza kościoła przez duże okno. Podążyła spojrzeniem za falą blasku i nagle jej oczy zatrzymały się na twarzy Emmy Letton, która uważnie przyglądała się patrzącej na nią młodej kobiecie. Długą chwilę obie mierzyły się wzrokiem, bez słów wyczuwając niewidzialną więź, która przyciągała je do siebie. Audrey uśmiechnęła się nieśmiało i poczuła wielkie zadowolenie, gdy młoda kobieta odpowiedziała jej pogodnym uśmiechem. Emma pomyślała, że w wyrazie twarzy tej dziewczyny zawsze było coś, co ją szczerze interesowało i zawsze trochę się obawiała tego wrażliwego dziecka, które wydawało się rozumieć ją lepiej niż ktokolwiek inny. Miała wrażenie, że przenikliwe spojrzenie Audrey może odsłonić jej starannie skrywany smutek i świadomość kompromisu, na jaki się zdecydowała.

- Jak się czujesz w roli młodej żony? - zapytała Emma, kiedy podeszły do siebie po wyjściu z kościoła.

Zadała to pytanie ostrożnie, z łagodnym uśmiechem, ponieważ wyczuwała, że Audrey zrezygnowała z marzeń i poddała się konwencjonalnym wymaganiom bliskich. Zauważyła też, że dziewczyna uśmiecha się tylko wargami.

Audrey zacisnęła dłonie na zgrabnej torebce, starając się nie patrzeć na drewnianą ławkę w ostatnim rzędzie, której widok zawsze przywodził jej na myśl Louisa.

- Wspaniale, dziękuję - odparła. - Ten kościół widział już tyle ślubów... Gdyby można było zajrzeć w oczy budynku, na pewno zobaczyłybyśmy niekończący się cykl chrztów, ślubów i pogrzebów...

Emma pomyślała o Isli i spojrzała na Audrey z najgłębszym współczuciem.

- Kościoły zawsze przypominają mi o niekontrolowanych wybuchach chichotów na szkolnych nabożeństwach i pewnym wyjątkowo przystojnym misjonarzu, który próbował nauczyć nas czegoś o Bogu, ale w rezultacie udało mu się tylko rozpaść nasz zachwyt i fascynację. Pamiętam też, jak kiedyś miałam być druzną i w ataku tremy schowałam się pod przykrywającym ołtarz obrusem. Wyrzłam z ukrycia już po ceremonii ślubnej, kiedy w kościele zaczęło się nabożeństwo żałobne...

Audrey się roześmiała, Emmę zaś ogarnęło zadowolenie, że zdołała zmienić ton rozmowy na nieco lżejszy.

- Jak się stamtąd wymknęłaś? - zapytała Audrey.

- W końcu znalazł mnie mój ojciec. Dygotałam w półmroku, przekonana, że pójdę do piekła.

- Ale teraz już nie musisz się tego obawiać - zauważyła Audrey. - Thomas uczynił z ciebie uczciwą, godną szacunku kobietę...

- Tak... - Emma westchnęła. - Chociaż czasami żałuję, że tak się stało. Kiedy myślę o swojej śmiertelności, zastanawiam się, czy nie lepiej jest żyć impulsywnie, tak, jak naprawdę tego pragniemy, nie w zgodzie z oczekiwaniami innych...

Audrey spojrzała na Emmę i rozpoznała bursztynowe światło rezygnacji w jej oczach. Żona Thomasa Lettona wydała jej się nagle smutna i pokonana.

- Mimo wszystko nie mamy kontroli nad swoim przeznaczeniem - odezwała się cicho. - Jako dziecko wierzyłam, że mogę osiągnąć wszystko...

- A nie możesz?

- Nie. Jestem jednak szczęśliwa - dodała szybko, zerkając na Cecila czekającego na nią przy drzwiach kościoła. - Małżeństwo to cudowne doświadczenie, a ty masz jeszcze dziecko...

- Tak, mam Roberta. Bóg nam pobłogosławił...

- To prawda - Audrey uśmiechnęła się do męża.

- Cecil jest taki przystojny i czarujący - zauważyła Emma. - Kiedy wyszłaś za niego, stałaś się obiektem zazdrości wszystkich kobiet z Hurlingham, wolnych i zamężnych...

- Nie wierzę...

- Ale tak jest... Wszyscy lubią i podziwiają Cecila. Co właściwie dzieje się teraz z jego bratem, Louistem?

- Nie wiem. - Audrey wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok w obawie, że Emma wyczyta w jej oczach całą prawdę. - Wyjechał i do tej pory nie dał znaku życia...

- Naprawdę?

- Tak.

- Nie napisał nawet do Cecila?

- Cóż, mam nadzieję, że znalazł gdzieś szczęście... Zawsze wydawał mi się dość intrygującą osobowością... To niezrozumiany geniusz. Słyszałaś kiedyś, jak grał na fortepianie?

Audrey kiwnęła głową.

- Może pójdziemy razem do klubu? - zaproponowała. - Cudownie, że pogoda wreszcie się zmieniła, prawda? Mamy już wiosnę...

- Tak... Pójdę po Thomasa, muszę uratować go ze szpon Diany Lewis i Phyllidy Bates. Zawsze udaje im się zapędzić go w jakiś kąt, a on jest zbyt uprzejmy, aby przerwać rozmowę i po prostu odejść.

Audrey podeszła do męża i położyła rękę na jego ramieniu.

- Poprosiłam Emmę i Thomasa Lettona, żeby przeszli się z nami do klubu - powiedziała.

- Emmę Letton? Czy to nie ta, która wiele lat temu wywołała skandal, zakochując się w Argentyńczyku?

Ta sama. Teraz jest szczęśliwą żoną Thomasa.

- Oczywiście, tego rodzaju zauroczenia nigdy nie trwają długo. - Audrey westchnęła, po raz kolejny uświadamiając sobie, jak niewiele wie jej mąż o sercu kobiety.

Poszli do klubu drogą usianą fioletowymi płatkami kwiatów drzewa jacaranda. Wdychali bogaty zapach gardenii i kapryfolium, które szybko rozkwitły pod wpływem ciepłych promieni słońca, rozmawiali o ślubie i śmiali się.

- Trudno uwierzyć, że stary pułkownik wreszcie zdecydował się na ten krok - powiedział Thomas z rozbawieniem.

- Ale przecież był już żonaty, prawda? - odezwała się Audrey.

- Bardzo dawno temu - odparła Emma, znacząco unosząc brwi. - Jego pierwsza żona umarła...

- W takim razie pułkownik i Charlo mają ze sobą coś wspólnego - zauważył Thomas. - Ciekawe, kto kogo przeżyje...

- Mam dziwne wrażenie, że tym razem obydwójce będą chcieli odejść razem - rzekła Audrey.

Cecil lekko ścisnął jej dłoń i zaśmiał się.

- To dla ciebie typowe, kochanie. Jesteś wieczną romantyczką.

- Emma także jest romantyczką. - Thomas z czułością uśmiechnął się do żony. - Chyba jako jedyna osoba uważa, że okropna Charlotte Osborne...

- Blythe - sprostował Cecil.

- Charlotte Blythe, szanowna pani Blythe... - powtórzył z naciskiem Thomas - ...że okropna Charlotte Blythe jaśniała wdziękiem zakochanej panny młodej...

- Diabeł nosi wiele masek! - Cecil parsknął śmiechem.

- Zgadzam się z Emmą. - Audrey się uśmiechnęła. - Charlo jest piękną, elegancką kobietą. Będę szczęśliwa, jeżeli w tym wieku będę wyglądała chociaż w połowie tak atrakcyjnie jak ona...

- Twoja uroda pochodzi z duszy i nigdy nie zblednie, kochanie - powiedział poważnie Cecil.

- Dziękuję... - Policzki Audrey zabarwił rumieniec.

- Zawsze powtarzam to samo Emmie - oświadczył Thomas. - Dlaczego kobiety nigdy nam nie wierzą?

Cecil wzruszył ramionami.

- Wy dwie macie ze sobą wiele wspólnego, prawda? - zwrócił się do Emmy.

Emma spojrzała na Audrey i posłała jej pełen zrozumienia uśmiech.

- To prawda - przytaknęła.

Audrey milczała. Wsunęła rękę pod ramię męża i spuściła oczy, świadoma, że z Emmą łączy ją więcej, niż Thomas i Cecil mogliby przypuszczać.

- Chcę powiedzieć kilka słów o mojej świeżo poślubionej żonie... - zaczął pułkownik.

Chwiał się lekko na nogach, w jednej ręce trzymał kolejny już kieliszek szampana, drugą zaś szukał oparcia przed sobą. Przez chwilę wydawało się, że wydatny brzuch przeważy i pułkownik upadnie, ale wyprostował się i wsparł ciężar ciała na piętach, odzyskując w ten sposób równowagę. Mrugnął do Charlo i jego bokobrody zadrżały ze wzruszenia. - Jesteśmy starzy - stwierdził, unosząc brwi, podobne do dwóch napuszonych kocich ogonów. - Żadne z nas nie ma co do tego złudzeń... Wkroczyliśmy w strefę zmierzchu, lecz dla mnie są to najlepsze lata życia. Myślałem, że na poranych okopami polach nad Sommą przeżyłem najważniejsze i najbardziej ekscytujące chwile, lecz potem poznałem Charlo... Zrezygnowałem już z czynnej służby i sądziłem, że moje dni walki dobiegły końca, ale Charlo okazała się ostatnim terytorium, jakie po prostu musiałem podbić. Sama jeszcze o tym nie wie, więc proszę, abyście zachowali to dla siebie, ale muszę powiedzieć, że zdobycie jej serca stało się największym zwycięstwem w mojej karierze. Operacja ta pochłonęła wszystkie moje siły i wymagała wielkiej odwagi, lecz nigdy wcześniej nie otrzymałem takiej na grody... Charlo jest piękna, elegancka, mądra i dość silna, aby uchronić mnie przede mną samym. Nie uрониłem ani jednej łzy, kiedy zimą 1916 roku Niemcy zabili młodego Jimmy'ego MacMannusa, chociaż bardzo chciało mi się płakać, tak samo jak wtedy, gdy jako trzynastoletni chłopak byłem przy śmierci mojego ojca. Bernarda Blythe, który umarł na zapalenie płuc, ale teraz szlocham ze wzruszenia na myśl, że zdecydowałaś się dzielić swoje ostatnie lata ze starym, zmęczonym walkami człowiekiem, najdroższa... - W małych oczkach pułkownika zabłyśły łzy, wywołane alkoholem, szczerym wzruszeniem i prawdziwie magiczną atmosferą, jaka tego dnia panowała w wielkiej klubowej sali. - Przysięgam przed Bogiem, że uczynię cię szczęśliwą i obiecuję wytrwać przy tobie co najmniej kilka lat... Patrząc na życie nowymi oczami, dzięki tobie znowu czuję się jak dwudziestoletni chłopak... Wznoszę toast za Charlotte Blythe, Charlotte Hamilton-Hughes-Fordington Blythe i z głębokim przekonaniem oświadczam, że kobieta nie powinna nosić więcej niż cztery nazwiska... Nie będzie więcej pogrzebów ani ślubów w życiu pani

Blythe, ponieważ odchodząc, zabiorę cię ze sobą, kochanie! - Wysoko uniósł kieliszek i uśmiechnął się szeroko. - Mamy cholerne szczęście, bo w Londynie pada teraz śnieg... - dodał.

Kiedy oklaski ucichły, zespół muzyczny zagrał pierwszy utwór i pułkownik porwał żonę do tańca, przyciskając spocony policzek do jej policzka. Charlo zauważyła, że ręce mu drżą i jej wąskie wargi rozciągnęły się w czułym uśmiechu.

Ciotka Hilda spojrzała na Nelly, zastanawiając się, czy jej córka kiedykolwiek znajdzie męża. Nelly przybywało lat, a w Hurligham było niewielu młodych kawalerów. Nie ulegało też wątpliwości, że Nelly nigdy nie była piękną i nie mogła pozwolić sobie na luksus przebierania w mężczyznach jak w ulęgałkach, w przeciwieństwie do Audrey, w której podkochiwali się wszyscy chłopcy z kolonii. Niestety, Nelly skazana była na bierne oczekiwanie, aż jakiś młody dżentelmen zacznie zdradzać zainteresowanie jej osobą, a na to, szczerze mówiąc, szansę były niewielkie. Hilda przyglądała się chwilę, jak jej mąż tańczy z młodszą siostrą Emmy Letton, Victorią, i przytula dziewczynę do siebie w zupełnie nieodpowiedni sposób. Przełknęła gorzkie rozczarowanie i ciężko westchnęła. Biedna Victoria, wyraźnie zakłopotana, bezradnie uśmiechała się ponad ramieniem partnera. Hilda przypomniała sobie trącącą skandalem fascynację swojego męża Islą i przyszło jej do głowy, że teraz, gdy Isli już nie ma, Herbert wykorzystuje każdą okazję, aby tańczyć z młodymi dziewczętami. Obrzydliwy, tragicomiczny staruch, pomyślała ze znużeniem.

- Dlaczego nie tańczysz? - zapytała córkę, kiedy Nelly podeszła bliżej, znudzona i zniechęcona.

- Bo nikt mnie nie zaprosił, mamó, a nie chcę tańczyć z ojcem. Za dużo wypił i poci się jak stary wieprz.

- Nie powinnaś mówić w taki sposób o ojcu! - skarciła ją Hilda lodowatym tonem.

- Nie dajesz mi dobrego przykładu, ponieważ sama mówisz o nim jeszcze gorzej.

- To nie ma nic do rzeczy! Na pewno jest tu ktoś, z kim mogłabyś zatańczyć...

- Nie ma nikogo - oznajmiła twardo Nelly.

Zerknęła na młodych mężczyzn o nieciekawych, słabych twarzach, których matka uważała za godnych jej towarzystwa, i z rozpaczą przewróciła oczami. Audrey była zadowolona z życia z Cecillem. Jej mąż był pogodny, czarujący, czuły i hojny - jedyny problem polegał na tym, że mieli ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Audrey uwielbiała literaturę, poezję, muzykę i przyrodę, Cecil natomiast interesował się finansami, polityką, ekonomią i ludźmi. Nie miałby nic przeciwko temu, aby ich dom codziennie odwiedzali przyjaciele, podczas gdy Audrey tęskniła za samotnością wśród drzew i kwiatów, pragnęła unosić się na falach marzeń i w wyobraźni przywoływać do życia tych, których kochała i utraciła. Zdawała sobie sprawę, że mąż jej nie rozumie i że jej osobowość może ujawniać się w całej pełni tylko nocą, gdy salon skąpany jest w blasku świec, a palce tańczą po klawiaturze. Jednak Cecil dał jej bezpieczny, wygodny dom, dbał, by niczego jej nie brakowało i zawsze ze wszystkich sił starał się zrobić jej przyjemność. Tyle, że nikt nie jest w stanie nauczyć ślepeca, aby podziwiał obrazy, a Cecil był ślepcem, jeśli chodzi o emocjonalne potrzeby Audrey.

Cecil także był zadowolony, pragnął jednak znowu zaznać oszałamiającego szczęścia, jakim cieszył się w pierwszych miesiącach narzeczeństwa. Czasami odnosił wrażenie, że Audrey odchodzi od

niego, zagłębia się we własnym odległym świecie i otacza niewidoczną, nieprzeniknioną skorupą, której nie potrafi skruszyć. Kiedy siadała przy fortepianie i grała smutne melodie, które komponowała całymi godzinami i powtarzała do znudzenia, przywodziła mu na myśl Louisa. Jej twarz przybierała dokładnie taki sam wyraz, stawała się blada i dziwnie promienna. Cecil przez sporą część życia usiłował zrozumieć brata, a teraz nie potrafił pojąć, czego oczekuje od niego żona. Usiłował zainteresować się poezją i muzyką, rozmawiał z nią o przemijaniu oraz znaczeniu życia i śmierci, lecz najczęściej jego wysiłki spełzały na niczym. Często wydawało mu się, że Audrey mówi obcym mu językiem, którego on nigdy się nie nauczy. Zdarzało się też, że znacznie swobodniej czuł się w towarzystwie Henry'ego i Rose.

Rose darzyła Cecila szczerym uwielbieniem matki, która straciła córkę, ale zyskała syna. Podziwiała go i szanowała. Cecil przypominał jej Henry'ego z okresu, gdy go poznała - miał podobną sylwetkę, szerokie ramiona, ładny nos i dość oficjalny sposób bycia, który jej wydawał się przewidywalny i godny zaufania. Lubiała, kiedy Cecil przesiadywał z Henrym w gabinecie do późnej nocy, paląc hawańskie cygara, rozmawiając o złym stanie argentyńskiej gospodarki i przyciszonym głosem krytykując dyktaturę, która zdaniem ich obu nie mogła przynieść krajowi niczego dobrego. Cecil był idealnym zięciem. Nie tylko zapewnił szczęście jej córce, ale przywrócił też poczucie szczęścia swoim teściom. Rose była dumna, że Audrey zrobiła taką doskonałą partię, chociaż naturalnie nigdy nie wątpiła w zdrowy rozsądek córki.

Aby choć na chwilę zapomnieć o śmierci Isli, Rose musiała być stale czymś zajęta, przyłgnęła więc do Audrey i Cecila, Edny i Hildy, Henry'ego i swoich synów. Im bardziej pochłaniały ją codzienne zajęcia i spotkania, tym mniejsza była szansa, że znowu zacznie rozważać poniesioną stratę.

I wreszcie, pewnego wieczoru pod koniec lata, Audrey oznajmiła, że spodziewa się dziecka. Rose po raz pierwszy uświadomiła sobie, że cykl życia trwa mimo odejścia jej młodszej córki. Odnalazła spokój umysłu i pewność, że narodziny i śmierć to dwie strony tej samej monety, i że lepiej jest myśleć o przyszłości, niż wciąż wracać do minionych chwil. Teraz Rose już wiedziała, co ją czeka - jej synowie wkrótce dorosną i wyfruną z rodzinnego gniazda, lecz Audrey i Cecil pozostaną w pobliżu i obdarzą ją wnukami. Uzyskała spokój umysłu i pewność, że narodziny i śmierć to dwie strony tej samej monety.

Cecil miał nadzieję, że narodziny dziecka stworzą grunt, na którym Audrey i on w końcu zdołają się porozumieć. Liczył także, że macierzyństwo pomoże Audrey uciec z nierzeczywistego świata wyobraźni i odzyskać szczęście u jego boku.

Alicia i Leonora przyszły na świat w październiku 1954 roku w tym samym szpitalu Małych Towarzyszy Maryi, w którym dwadzieścia cztery lata wcześniej urodziła się ich matka. Audrey z zapartym tchem wpatrywała się w dwie malutkie istoty, które Bóg powierzył jej opiece. Obie patrzyły na nią chłodnym, obcym wzrokiem, chociaż przez całe dziewięć miesięcy nosiła je w sobie i czuła, jak poruszają się w jej ciele. Przytuliła je do siebie i z uwagą badała wzrokiem małe twarzyczki, takie niewinne i takie piękne, że serce pękało jej na myśl o czekającej je bolesnej wędrówce przez życie. Alicia była energiczna i silna, miała wilgotne jasne włoski, przyklejone do skóry głowy, oraz donośny głos, którym już teraz wygłaszała swoją opinię na temat świata. Leonora pomiaukiwała cicho i z całej siły zaciskała drobne paluszki na ręczniku, w który ją zawinięto. Audrey była zbyt wzruszona i

wycieńczona, aby się odezwać. Przytuliła dziewczynki do piersi, ucałowała ich wilgotne buzie i powąchała ich skórę, zupełnie tak samo, jak robią to zwierzęta. Po raz pierwszy od dnia śmierci Isli jej serce zabiło z nową energią i z poczuciem odzyskanego sensu życia. Ciężar odpowiedzialności za dzieci sprawił, że porzuciła świat złudzeń i zepchnęła myśli o Louisie w głąb podświadomości, wraz z nimi pozbywając się smutku i żalu, iż jej życie nie ułożyło się zupełnie inaczej. Przez następne lata miała siadać przy fortepianie tylko po to, aby grać wesołe piosenki dla dzieci, które wszyscy śpiewali razem przy szeroko otwartych drzwiach, wychodzących na ocieniony taras.

W czasie porodu czuła obecność Isli, zupełnie jakby siostra z wielkim przejęciem obserwowała ją ze świata duchów, oddzielonego od rzeczywistości jedynie niewidzialną ścianą wibracji. Audrey ogarnęło poczucie szczęścia i ciepła, które wypełniło ją całą wielką falą. Kiedy Cecil wszedł do szpitalnej separatki, od razu zauważył zmianę, jaka zaszła w jego żonie. Pomyślał, że wreszcie odnalazł dziewczynę, która kiedyś poszła z nim do teatru, dziewczynę pełną optymizmu i radości życia.

Audrey uśmiechnęła się do niego.

- Bliźniaczki? - wykrzyknął ze zdumieniem.

Skinęła głową, a w jej oczach zabłyśły łzy.

- To najszczęśliwszy dzień mojego życia - wyszeptła, ponieważ bała się, że głośno wypowiedziane słowa zepsują tę cudowną chwilę. - Znowu czuję się sobą, jakby narodziny naszych córeczek umożliwiły mi pogodzenie się ze śmiercią Isli. Pierwszy raz od tamtego dnia nie dręczy mnie ból...

Mówiła z ogromnym przekonaniem, a jej oczy lśniły niezwykłym blaskiem. Cecil obawiał się w nie zajrzeć, ponieważ nie znał tego światła. Audrey wyprostowała się i spojrzała na dwie istoty, które niespodziewanie nadały nowe znaczenie jej życiu, a potem wyciągnęła rękę do Cecila. Gdy delikatnie ujął jej dłoń, przyszłość odzyskała wspaniałe barwy miłości.

CZĘŚĆ II

Rozdział dwunasty

Następne lata pełne były wesołości i słońca rodzinnego życia, i Audrey prawie nie dostrzegała, że dni mijają coraz szybciej. Dzieci dawały jej dużo szczęścia, stworzyły pomost między nią i Cecilem, na którym obydwójce spotykali się w całkowitym zrozumieniu. Cecil odzyskał radość, której tak mu brakowało, a duchy ze świata Audrey zostały zamknięte w szafie razem ze świecami. Rose i Edna przyklaskiwały wszystkim poczynaniom i osiągnięciom bliźniaczek, niezależnie od tego, czy faktycznie zasługiwały na pochwałę, a Hilda skrycie przeżywała gorycz porażki i z niechęcią patrzyła na własne córki, które nie były ślicznymi, czarującymi młodymi mężatkami i matkami uroczych dzieci.

Cecil znowu odnalazł żonę. Ich noce nie rozbrzmiewały teraz smętną muzyką fortepianową, lecz wypełnione były miłością. Audrey, dla której intymność fizyczna była dotąd czymś niezbyt odległym od obowiązku, odkryła nową czułość, łączącą ją z mężem. Otworzyła swoje serce i ku własnemu zaskoczeniu spostrzegła, że jest w nim dość miejsca dla Cecila. Zrozumiała, że popełniła błąd, bezustannie porównując go z Louistem, którego jedno spojrzenie rozpalało w niej płomień namiętności. Ten rodzaj magii z pewnością nie trwałby długo. Poza tym, koniec końców, sama zdecydowała się poślubić Cecila i patrząc na tę decyzję z perspektywy musiała przyznać, że zrobiła dobrze. Była przecież szczęśliwa, a kto wie, ile bólu zaznałaby u boku Louisa...

Audrey mogła cieszyć się dziećmi, ponieważ przez pierwsze dwa lata ich życia towarzyszyła im Emily Harris, niania z Brighton, i to właśnie ją dotknęły nieprzespane noce oraz wyczerpanie bezustannym czuwaniem nad bliźniaczkami. Emily opuściła dom Audrey i Cecila jako mniejsza, zszarzała wersja młodej kobiety o różowych policzkach, która dwa lata wcześniej stanęła na ich progu, pełna zapału do pracy i energii. Z czasem pokochała dziewczynki, lecz prawie od samego początku uważała, że Alicia jest trudnym dzieckiem, z którym właściwie nie sposób sobie poradzić. Emily zrozumiała, że jeżeli nie odejdzie, ze starzeje się przed czasem i nigdy nie założy własnej rodziny. Ostatnio z coraz większym trudem budziła się rano, nie miała też dość siły ani ochoty, aby umawiać się na randki i cieszyć się czasem wolnym od pracy. Wiedziała, że będzie bardzo tęskniła za Leonorą, ale też odetchnęła z ulgą, że uwolni się od wybryków Alisi.

Audrey darzyła córeczki bezgraniczną miłością. Często ze łzami dziękowała Bogu za to, że dał jej dwie dziewczynki, które będą się kochały i wspierały tak jak kiedyś ich matka i jej młodsza siostra. Cecil był dobrym ojcem, chociaż niewątpliwie zachowywał dystans w stosunkach z córkami. Doskonale zarabiał w firmie ojca Audrey i dbał, aby dziewczynki miały wszystko, co było im potrzebne, nie umiał jednak demonstrować miłości tak otwarcie i bezpośrednio jak jego brat, dla którego dotyk był równie niezbędny do życia jak tlen. Cecil okazywał swoje uczucia do dzieci poklepywaniem po plecach, gotowością do czytania bajek na dobranoc i żywym zainteresowaniem edukacją dziewczynek. Starał się zapewnić im dobrą, bezpieczną przyszłość, gdy tym czasem ich matka żyła jedynie terażniejszością.

Leonora całym sercem należała do matki, natomiast Alicia była panią samej siebie. Po wyjeździe niani Emily Leonora przyłgnęła do Audrey i zawsze wybuchwała histerycznym płaczem, gdy musiała się z nią na chwilę rozstać. Gdyby nie chłodna nie zależność Alicii, Audrey oszalałaby z niepokoju i wyrzutów sumienia, nie mogła bowiem sypiać z obiema dziewczynkami, Szybko okazało się, że Alicia może spać gdziekolwiek i potrzebuje tylko koszulki nocnej oraz materaca, przy czym koszulka musiała być cieniutka i starannie wygładzona, gdyż zagniecenia, nierówności i fałdy wprawiały dziewczynkę w niezadowolenie i furię. Dlatego Audrey mogła kołysać Leonorę do snu tak długo, aż mała zapadła w spokojny sen, z bladą buzią przytuloną do piersi matki. Cecil ostro sprzeciwiał się pomysłowi Audrey, aby dziecko spało razem z nimi w małżeńskim łóżku, lecz nie mógł na to nic poradzić, ponieważ pozostawiona w dzieciennym pokoju Leonora budziła się w środku nocy i żałośnie płakała. Po pewnym czasie niechętnie przeniósł się do swojej garderoby, zostawiając matkę i córkę w sypialni, do której wracał w weekendy, żądając, aby Leonora przynajmniej wtedy spała we własnym łóżeczku.

Leonora uwielbiała siostrę tak samo żarliwie, jak kiedyś Audrey Isłę. Rzadko odrywała od niej wzrok i podziwiała wszystkimi jej wyczyny - nie bez powodu, jako że Alicia zdobywała nowe umiejętności bardzo szybko i była wyjątkowo bystra. Dla Alicii nic nie było zbyt trudne. Ze swoją

urodą i zdolnościami była w stanie poradzić sobie absolutnie ze wszystkim z wyjątkiem samej siebie. Dopiero po wielu latach zrozumiała, że demon, który sprawia jej najwięcej problemów, mieszka w jej własnym sercu.

Leonora była łagodna i wrażliwa jak matka, brakowało jej jednak fizycznej urody Audrey. Dziewczynka miała cienkie i nie zbyt gęste mysiobrązowe włosy i odstające uszy, lecz na szczęście prawie nikt nie przywiązywał wagi do jej wyglądu, ponieważ dobrocią i uległością zjednywała sobie wszystkich poza Alicią, która gardziła słabością. Im bardziej Alicia dokuczała siostrze, tym bardziej Leonora ją podziwiała i właśnie ta gołębia łagodność wydobywała najgorsze cechy z pięknej bliźniaczki. Pracująca u Cecila i Audrey Meksykanka, Mercedes, która sama nie mogła poszczycić się wielką urodą, smętnie kręciła ciężką od przesądów głową i twierdziła, że fizyczny urok jest dziełem szatana.

- Taka twarz może doprowadzić do upadku wielu dobrych mężczyzn - przepowiadała z powagą. - Ale Leonora znajdzie szczęście, bo jej twarz nikogo nie oszuka...

Mercedes przechowywała swoje przepisy kulinarne pod klatką z papugą Loro, która umiała do złudzenia naśladować jej głos. Papuga bywała bardzo przekonująca, szofer Oscar często zjawiał się w kuchni, twierdząc, że Mercedes zaprosiła go na kawę. Kucharka groziła mu brunatnym palcem, nieświadoma, że wszystkiemu winien jest Loro. Ze złością wypychała kierowcę na podwórko, a w tym samym czasie Loro posapywał w klatce dokładnie tak samo jak Oscar, gdy podglądał Mercedes, siusiającą w ciasnej toalecie za spiżarnią.

Mercedes kochała dzieci i sama miała ich kilkoro, splodzonych z portierami, ogrodnikami i szoferami z Hurlingham. Jej dzieciaki biegały po ulicach na podobieństwo bezpańskich kundelków, podczas gdy ich matka z dumą zabawiała bliźniaczki, odstawiając przed nimi sekrety SWOJEJ kuchni. Szybko zrozumiała, że Leonora z przyjemnością uczy się gotowania, natomiast Alicia łatwo się nudzi, ponieważ w gruncie rzeczy interesuje ją jedynie ostateczny efekt. Mercedes nie wahała się grozić Alicii, która często próbowała zepsuć pracę siostry, a Loro krzychał: „Zła dziewczynka, tak, tak, tak, zła dziewczynka!”, obserwując hebanowymi oczkami, jak skarcona uśmiecha się uroczo i obejmuje kucharkę w pasie szczupłymi ramionkami. Alicia tylko udawała miłość, ponieważ nie umiała kochać nikogo poza sobą.

Ku wielkiej uldze sporej liczby mieszkańców Hurlingham Phyllida Bates zmarła w kwietniu 1960 roku. Tylko niewielka grupa uczestniczyła w jej pogrzebie, kierowana poczuciem obowiązku lub, jak w przypadku Charlo Blythe, poczuciem, że ich własna śmierć czai się w coraz dłuższych i głębszych cieniach jesieni. Ci ostatni mieli nadzieję, że może uda im się oszukać śmierć i przegnać ją jeszcze na pewien czas, wykazując się pobożnością i szlachetnością. Skurczone ciało Phyllidy w końcu przeżarła pełna jadu krew, pozostawiając tylko pomarszczoną skórę i wyschnięte kości, tak że trumna, w której je złożono, wydawała się wyjątkowo mała i lekka. Odejście Phyllidy nie wzbudziło właściwie niczyjego zainteresowania. Wyjątek stanowiła sześćioletnia Alicia, już od pewnego czasu zaciekawiona zjawiskiem śmierci i jej mrocznym urokiem. Ubrana w szkolny fartuszek dziewczynka stała przy kościelnej bramie, nie spuszczać oka z poważnej procesji, powoli wychodzącej na zewnątrz. Alicia odetchnęła ciężkim, słodkawym zapachem lilii i śmierci, i po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

- Chodź, kochanie... - syknęła matka, która trzymała Leonorę mocno za rękę. - Pozwól im opłakiwać zmarłą w spokoju...

- Ale oni wcale nie płaczą - zauważyła Alicia z uśmiechem, bacznie obserwując rozgrywającą się przed nią scenę.

- Oczywiście, że płaczą, skarbie - odparła łagodnie Audrey.

- Więc dlaczego pułkownik głaszcze panią Blythe po pupie?

Audrey podniosła wzrok i ku swemu wielkiemu przerażeniu zobaczyła, że dziewczynka ma rację. Wysuszona wiekiem dłoń pułkownika niewątpliwie pieszczotliwym gestem przesuwająca się po chudym pośladku żony.

- Wcale jej nie głaszcze, kochanie, tylko masuje, żeby nie bolało - skłamała pośpiesznie. - Pani Blythe przed nabożeństwem upadła i mocno się potłukła...

- W takim razie na pewno już jej lepiej - zachichotała Alicia. - Uśmiecha się, widzisz, mamusiu?

Cecil poważnie się martwił, ponieważ nauczyciele Alicii ciągle skarżyli się na jej złe zachowanie. Powtarzali, że jest zbyt sprytna, wręcz przebiegła, że zakłóca zajęcia i źle traktuje młodsze dzieci. Niektórzy bezradnie wzruszali ramionami, rozkładali ręce i mówili, że po prostu nie umieją sobie z nią poradzić. W rezultacie Cecil postanowił bardziej zaangażować się w wychowanie córki i parę razy ukarał ją nawet kłapsem, kiedy sprzeciwiała mu się z zaskakującą pewnością siebie. Taka bezczelność u sześciolatniego dziecka była zwyczajnie niewybaczalna, wszystko wskazywało na to, że Alicia jest po prostu rozpuszczona jak dziadowski bicz. Być może jej urocze minki działają na matkę i resztę rodziny, myślał Cecil, ale na pewno nie na mnie.

Audrey nie mieściło się w głowie, że jej córka może nie być chodzącą doskonałością. Alicia rozpaczliwie szlochała w jej ramionach, mamrocząc, że ojciec jest bestią i ona wcale go nie kocha, ani trochę, bo kocha tylko mamę, kocha ją nad życie, zaś Audrey drżącą dłonią ocierała wielkie łzy, które pojawiały się na zawołanie, przytulała swoją małą dziewczynkę i obiecywała, że porozmawia z Cecilem i z nauczycielami, i wytłumaczy im, iż mają do czynienia z dobrym, chociaż nieco zbyt żywiołowym dzieckiem, za małym, aby umiało zapanować nad swoją naturą. Audrey z uporem utrzymywała, że przy odrobinie dyscypliny Alicia wyrośnie na wspaniałą, wyjątkową dziewczynę, lecz problemy piętrzyły się i narastały. Rodzice musieli zabrać Alicię ze szkoły i zapisać ją do innej. Audrey winiła nauczycieli, Cecil winił Alicię, Alicia zaś winiła wszystkich z wyjątkiem samej siebie.

Leonora bardzo cierpiała z powodu buntowniczego charakteru siostry. Ona także musiała zmienić szkołę i gorzkimi łzami opłakała rozstanie z przyjaciółkami oraz z ukochaną nauczycielką, panną Amy, która szczerze lubiła łagodną, cichą dziewczynkę. Leonora zawsze przynosiła do szkoły jakiś owoc, bukiet kwiatów lub kawałek ciasta i nieśmiało umieszczała te dary na biurku nauczycielki. Rozżalona i smutna, znowu zaczęła przychodzić w nocy do matki, szukając u niej pociechy, co zmusiło Cecila do powrotu na tapczan w garderobie. Wreszcie Cecil uświadomił sobie, że musi rozwiązać tę sytuację, wiedział jednak, że jego pomysł nie spotka się z przychylnym przyjęciem.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o dalszej edukacji dziewczynek - powiedział pewnego wieczoru, nalewając sobie kieliszek brandy.

Była zima. Dni stawały się coraz krótsze i noc zdawała się pożerać je szybko, zupełnie bez ostrzeżenia. Bliźniaczki spały już w swoich łóżeczkach, otulone ciepłymi kocami oraz bezwarunkową

miłością matki, zabezpieczone od panującego na zewnątrz ostrego chłodu. Audrey uśmiechnęła się do męża i odłożyła książkę.

- Wydaje mi się, że Alicia zupełnie nieźle radzi sobie w nowej szkole, a Leonora powoli przyjmuje do wiadomości, że w życiu nic nie pozostaje niezmiennie - rzekła pogodnie. - To cenna lekcja...

- Mam inne zdanie na temat zachowania Alicii. Tylko jedno może nauczyć ją szacunku dla starszych i wyprostować jej charakter...

- To znaczy?

Zawahał się, ponieważ nie miał cienia wątpliwości, że wypowiadając swoją opinię, doprowadzi do potwornej kłótni. Zimno mu się robiło na samą myśl, że zdenerwuje ukochaną żonę. Westchnął, wyprostował się i utkwiał w jej twarzy spokojne spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

- Dziewczynki powinny odebrać prawdziwe angielskie wykształcenie - powiedział szybko i zdecydowanie.

Audrey zamarła. Na chwilę straciła poczucie rzeczywistości. Patrzyła na męża z niedowierzaniem, całkowicie zaskoczona i przygnębiona jego brakiem wrażliwości. Zabrakło jej słów, aby zaprotestować.

- Prawdziwe angielskie wykształcenie? - wymamrotała w końcu po długiej chwili ciężkiego milczenia.

- W angielskiej szkole, w Anglii - wyjaśnił Cecil, który nagle odkrył, że nie potrafi spojrzeć Audrey w oczy. - Tu nie ma wystarczająco dobrej szkoły - ciągnął. - Moim zdaniem powinniśmy wysłać je do Colehurst House, tej samej szkoły z internatem, którą skończyła Cicely, moja siostra. Nic nie może równać się z przyzwoitą angielską szkołą...

Audrey zamrugnęła gwałtownie, przerażona i wstrząśnięta.

- To małe dzieci - odparła zdławionym głosem. - Mają dopiero sześć lat...

- Och, dobry Boże, nie proponuję przecież, żebyśmy wysłali je tam od razu! Nie, nie, pojedą do Anglii, kiedy skończą dziesięć lat, kochanie, nie wcześniej, w żadnym razie! Nigdy w życiu nie zaproponowałbym ci czegoś takiego!

- Dziesięć lat? - Audrey powoli otuliła ramiona swetrem. - Nie możesz mi tego zrobić... Nie pozwolę ci na to! Znała dwie rodziny, które wysłały dzieci do szkół w Anglii i wiedziała, że po zakończeniu edukacji do Argentyny wrócili obcy młodzi ludzie z innym sposobem bycia, innym akcentem i postrzeganiem świata. Nie mogła pozwolić, aby im też przydarzyło się coś takiego.

- Obawiałem się, że źle to przyjmiesz - odezwał się Cecil. - Chciałem porozmawiać z tobą o tym już od pewnego czasu, ale...

- Rozumiem - powiedziała z wymuszonym spokojem, za wszelką cenę starając się odzyskać równowagę. - Jak mogło ci przyjść do głowy, aby rozdzielić mnie z dwiema istotami, które kocham nad życie?

Cecil odwrócił głowę i utkwiał wzrok w oknie. Kobiety są takie wrażliwe i emocjonalne, pomyślał. Może źle się do tego za brałem... Westchnął ciężko i postanowił spróbować jeszcze raz.

- Jako ojciec mam obowiązek zapewnić dziewczynkom najlepsze wykształcenie - zaczął. - Nie chcę wysyłać ich do Anglii tak samo jak ty, ale musimy myśleć o ich przyszłości.

Jego głos brzmiał teraz pewniej. Audrey pomyślała, że tym właśnie tonem przemawiał zapewne w wojsku do swoich podkomendnych.

- Tutejsze angielskie szkoły mają doskonały poziom - Rzuciła Cecilowi pełne wściekłości spojrzenie. - Uważasz, że jestem źle wykształcona?

Cecil zapalił cygaro i stanął przed kominkiem.

- Wykształcenie, jakie otrzymałaś, było zupełnie wystarczające na ówczesne lata, ale czasy się zmieniają - powiedział. - Wojna zmieniła wszystko, w tym pozycję kobiet w społeczeństwie... Alicia jest uparta i podstępna, tutaj nikt nie może sobie z nią poradzić. Jeżeli nie poddamy jej ostrej dyscyplinie, wyrośnie na wyjątkowo niesympatyczną młodą osobę, to chyba oczywiste. Cała ta sytuacja wywiera zły wpływ także na Leonorę, bo przecież nie możemy ich rozdzielić. Uważam, że szkoła w Anglii dobrze zrobi im obu. Leonora zdobędzie pewność siebie i poczucie niezależności. W tej chwili jest zbyt mocno związana z tobą... - Zmusił się, żeby spojrzeć na żonę. - To największy dar, jaki możemy im ofiarować. Angielskie wykształcenie jest bezcenne.

- Na miłość boską, jestem gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie wysyłać ich za granicę!

- Przyszłość naszych dzieci to Anglia - rzekł Cecil. - Nigdy przed tobą nie ukrywałem, że nie zamierzam spędzać całego życia w Argentynie...

- Chcesz, żebyśmy przeprowadzili się do Anglii?

- Nie teraz, ale kiedyś na pewno.

- Ale ja chcę mieszkać tutaj! I chcę tego samego dla moich dzieci! Argentyna jest naszą ojczyzną! Nie zgodzę się na ich wyjazd! Nie zgodzę się!

Audrey podniosła głos prawie do krzyku.

- Uspokój się i spróbuj podejść do tego w racjonalny sposób. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Chcesz dla nich wszystkiego, co najlepsze, prawda? A może tylko tego, co najlepsze dla ciebie?

- Jestem ich matką! - wykrzyknęła. - Ja jestem dla nich najlepsza! Och, nie mogę uwierzyć, że zdobyłeś się na taką propozycję! Co cię napadło, na miłość boską?! Dlaczego chcesz rozdzielić naszą rodzinę?!

- Kochanie... - zaczął Cecil, lecz Audrey była zbyt wzburzona, żeby go wysłuchać.

- Nie pozwolę ci na to, rozumiesz?! Będziesz musiał najpierw mnie zabić! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Zerwała się z miejsca i wybiegła z pokoju.

Cecil został sam i mógł teraz spokojnie zastanowić się nad reakcją żony. Nie spodziewał się, że przyjmie jego propozycję aż tak źle, bo przecież mieszkający w Argentynie Anglicy dość często wysyłali dzieci do zagranicznych szkół. Szkoła z internatem w Anglii, a nawet w Szwajcarii nie wydawała się niczym nadzwyczajnym. Taki program edukacyjny uczył młodzież niezależności i odwagi, świetnie przygotowywał do życia w normalnym świecie. Bardzo chciał ułagodzić żonę, przywrócić jej spokój i zadowolenie, nie mógł jednak wciąż przymykać oczu na to, że patrzyła na córki z bezkrytycznym uwielbieniem. Alicia była trudna, lecz Audrey za nic nie chciała przyznać, że tak właśnie jest. W jej oczach bliźniaczki były aniołkami, które zostawiły skrzydełka u bram Niebios, aby tam czekały na nie do czasu, kiedy za kończą ziemskie bytowanie. Nie wątpiła, że jej córki są wyjątkowe i inne od wszystkich, a każdy, kto źle myślał o Alicii, zdaniem Audrey był zwyczajnie zazdrosny. Cecil postanowił wytrwać przy swojej decyzji. Szczerze mówiąc, chyba nie miał innego wyjścia.

Audrey od dawna nie grała na fortepianie, lecz tego wieczoru podniosła pokrywę i usiadła na podniszczonym taborecie, lekko opierając stopy na pedałach. Łzy drżały na zagiętych do góry koniuszkach jej gęstych rzęs, spływały na policzki i spadały na kremowo-czarne klawisze, które teraz przekładały dręczący ją ból na muzykę. Uwalniając swoje uczucia, przywoływała długo tłumione wspomnienia o Louisie. Wyciągała je z zakurzonych zakamarków pamięci i odświeżała tak długo, aż wreszcie jego twarz stanęła przed jej oczami jak żywa, zupełnie jakby zaledwie poprzedniego dnia rozstała się z nim pod wiśnią w sadzie za domem na Canning Street. Widziała jasne jak piasek włosy, intensywnie błękitne oczy o roztargnionym wyrazie, pełne wargi o nieco krzywym uśmiechu, które tyle razy całowała, i długie, wysmukłe palce, prawie zawsze drgające nerwowo, jakby stale biegały po klawiaturze niewidzialnego fortepianu. Serce Audrey ogarnęła tak wielka tęsknota, że instrument zdrzął, przygnieciony ciężarem jej cierpienia. Straciła Isłę i Louisa, a teraz miała stracić dzieci... Czuła się całkowicie bezradna, lecz muzyka jak zawsze wywierała na nią kojący wpływ. Powoli poruszała głową, przekrzywiając ją to w jedną, to w drugą stronę. Oddychała głęboko. Pozwoliła, aby kotwica, trzymająca jej umysł w okowach rzeczywistości urwała się, przenosząc ją w pozbawiony granic świat marzeń.

Rozdział trzynasty

Audrey stanęła teraz wobec najtrudniejszego wyzwania, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia. Zewnętrznie musiała wspierać męża, gdy tymczasem w sercu złość i niechęć do niego rosły niczym złośliwy guz. Przywarła do córek z determinacją tonącego, żyjąc każdą chwilą w taki sposób, jakby nie spodziewała się ujrzeć następnego dnia, tygodnia czy miesiąca. Anglia majaczyła na horyzoncie, coraz większa i mroczniejsza, jak piana z wodospadu, ku któremu moc czasu niosła ją i jej dzieci. Zdawała sobie jednak sprawę, że jedyną szansę na złagodzenie szoku, jaki za parę lat miały przeżyć dziewczynki, stwarzała rozmowa o Anglii i szkole z internatem. Starła się przedstawiać obraz starego kraju w ciepłych kolorach - mówiła o łagodnych zielonych wzgórzach i pięknych wioskach mniej więcej tak, jak pisała o nich Angela Brazil w swoich powieściach o uczennicach i żytych zespołach, o nocnych przygodach i dziewczęcych przyjaźniach. Robiła to tak przekonująco, że w końcu nawet Leonora zapragnęła skończyć już dziesięć lat i z podnieceniem czekała na wyjazd.

- W przyszłym roku jedziemy do szkoły w Anglii - powiedziała Alicia do Mercedes, wybierając palcem odrobinę dulce de leche ze stojącego na kuchni rondelka. Mercedes przez pręty klatki karmiła papugę nasionami słonecznika.

- Gracias! - skrzeczał Loro za każdym razem, w pełni świadomy, że taka uprzejmość stanowi gwarancję otrzymania następnego ziarenka.

- To daleka podróż, nińa - odparła Mercedes, jak zwykle powoli rozwlekając sylaby. Kucharka uważała, że cały ten pomysł z zagraniczną szkołą jest wyjątkowo głupi. - Poza tym wcale nie warto za dużo się uczyć... Nie ma w tym nic dobrego,

Mercedes zawsze dostrzegała negatywną stronę każdej sytuacji.

- Tata mówi, że angielskie szkoły są najlepsze na świecie - wyjaśniła Alicia.

- Popatrz na mnie - poradziła Mercedes, otwierając drzwiczki klatki i wypuszczając Loro, aby mógł poskakać po kuchni. - Moja mama nauczyła mnie gotować, a babcia pokazała, jak się modlić. Dzięki gotowaniu zdobyłam wielu przyzwoitych mężczyzn, a dzięki modlitwie Bóg wybacza mi te grzechy... Czego więcej trzeba kobiecie? Wyjdiesz za męża i urodzisz dzieci nie zależnie od tego, czy będziesz wiedziała, że Ziemia jest okrągła i się kręci, czy nie. Zresztą Ziemia i tak nie przestanie się kręcić...

- W czasie wakacji będziemy mieszkać u cioci Cicely - ciągnęła Alicia, na której wykład kucharki nie zrobił najmniejszego wrażenia. - Ciocia ma olbrzymi dom, chyba nawet zamek... Myślę, że w tym zamku straszny. Nie spodobałoby ci się tam, Merchi, ty nie lubisz duchów.

- Nie mam nic przeciwko duchom, pod warunkiem, że trzymają się z daleka ode mnie. Nie znoszę tylko ducha mojego zmarłego męża, bo on nadal uważa, że ma prawo dzielić ze mną łóżko, chociaż skonał w nim prawie czterdzieści lat temu...

Loro podrapał się w szyję, porośniętą rzadkimi zielonymi piórkami i niezdarnie wdrapał się na stołek, na którym siedziała Alicia.

- Dlaczego Loro traci pióra? - zapytała dziewczynka, obserwując, jak papuga skubie dziobem guziki jej sukienki.

- Bo jest samotny - odparła Mercedes, lekko wydymając wargi. - Oczywiście, to nie powód, żeby tak się zaniedbywać. Przez całe życie byłam samotna, a jednak staram się wyglądać jak człowiek, bo przecież nigdy nie wiadomo...

- Dlaczego nie wyjdiesz za Oscara? - przerwała jej Alicia.

Mercedes nie była zaskoczona tym pytaniem, ponieważ wiele razy sama je sobie zadawała. Oscar nieszczęśliwie jej się podobał, ale ostatnio coraz częściej przychodziło jej do głowy, że dobrze byłoby mieć stały, bezpieczny związek. Robiła się już za stara, żeby ciągle zmieniać kochanków i seks także nie był już tak cudowny i podniecający jak dawniej, gdy miała więcej energii oraz smuklejsze, jędrniejsze ciało. Teraz pragnęła towarzystwa i poczucia stabilizacji.

- Bo nie jest dość bogaty; żeby mnie utrzymać i wypadają mu zęby - odrzekła nonszalancko.

- Może czuje się samotny, tak jak Loro.

- Może, nie, a może po prostu ma marne zęby i pecha.

- Oscar jest brzydki - zauważyła Alicia, przeczesując gęste loki smukłymi paluszkami.

Zdarzało się, że Mercedes miała ochotę się uszczypnąć, ponieważ Alicia do złudzenia przypominała jej Isłę.

- Uroda wcale nie jest dobrą rzeczą, kiedyś sama przynasz mi rację. - Pokiwała głową w zamyśleniu. - Nie da się ukryć złego charakteru za piękną twarzą, bo zło zawsze i tak wyjdzie na jaw. Nie wolno polegać na zewnętrznym pięknie, ale na tym we wnętrznym, które lśni nawet wtedy, gdy młodość już odejdzie.

Alicia pogłaskała łysiejący kark Loro i westchnęła.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy pojedziemy do Anglii...

- Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, co? Mój Esteban często brał sobie kochanki, ale zawsze do mnie wracał.

- I nadal jest tutaj... - Alicia zachichotała.

- Tak. Może gdybym znowu wyszła za mąż, wyniósłby się z mojego łóżka, ustępując miejsca drugiemu, kto wie...

- Albo zacząłby straszyć i wygonił twojego nowego męża...

Mercedes rzuciła Alicii ostre spojrzenie spod zmrużonych powiek. Wyglądała teraz jak meksykańska czarownica.

- Wiesz, na czym polega twój problem, dziecko?

- Nie, Merchi, powiedz mi.

- Jesteś za sprytna jak na swój wiek. - Lekko uszczypnęła dziewczynkę w policzek. - Źle skończysz, zapamiętaj sobie moje słowa.

- Aue! Nie szczyt, to boli! Nie jestem już dzieckiem, niedługo skończę dziesięć lat!

- Wielka szkoda. Jako małe dziecko byłaś słodka.

Alicia się roześmiała.

- Będziesz za mną tęskniła?

- Nie - odparła Mercedes. - Bo przecież wrócisz...

- Wrócę na święta Bożego Narodzenia.

- Wyedukowana tak, że pękiesz z pychy - prychnęła kucharka.

- Będę mogła czegoś cię nauczyć.

- Jestem już za stara na naukę.

- Wcale nie jesteś stara, Merchi!

Mercedes odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się gromkim śmiechem. Alicia zeskoczyła ze stołka, spychając Loro na podłogę. Ptak zaskrzeczał z wściekłością i zaczął dziobać ją po nogach.

- Wiesz, co powinnaś zrobić dla Loro? Najlepiej byłoby wrzucić go do garnka i ugotować na nim rosół - mruknęła Mercedes.

- Powinnaś wstawić lusterko do jego klatki - poradziła Alicia.

Mercedes szeroko otworzyła usta z podziwu.

- Jesteś genialna, nińa Dzięki temu będzie mu się wydawało, że ma towarzystwo! I pomyśleć, że twój ojciec wysyła cię do Anglii, bo chce, żebyś zmądrzała...

- Nie o to mi chodziło! Wydaje mi się, że kiedy Loro zobaczy swoje odbicie, przestraszy się i wreszcie przestanie wyrywać sobie pióra!

- Nie sądz go według siebie, mała. - Mercedes pogroziła dziewczynce długim brązowym palcem. - Loro doskwiera samotność, to wszystko. Na pewno nie jest tak próżny jak ty... Och, dziecko, wcale nie potrzeba ci wykształcenia, za to na pewno przydałoby ci się kilka porządnych klapsów w tyłek...

- Jędrny tyłek, jędrny tyłek! - zaskrzeczał Loro, kąpiąc się w misce z wodą.

Mercedes z namysłem wyduła usta.

- Ode mnie się tego nie nauczyłeś, słowo daję... - wymamrotała. - To Oscar!

Minęły trzy lata od dnia, kiedy Cecil powiedział Audrey, że zamierza wysłać dziewczynki do szkoły w Anglii. Audrey oświadczyła wtedy, że nigdy mu tego nie wybaczy i wcale o tym nie zapomniała.

Nie obnosiła się ze swoją złością i nie skarżyła nikomu z wyjątkiem Isli, z którą rozmawiała w czasie konnych przejażdżek po pampie, pewna, że duch jej siostry czuwa nad nią i szczerze jej współczuje. Zaczęła odnosić się do Cecila z chłodną, formalną uprzejmością. Uśmiechała się, rozmawiała, wydawała przyjęcia i koktajle w doskonale utrzymanym ogrodzie, lecz zawsze zachowywała dystans, zupełnie jakby Cecil był jednym z gości. Ściągnęła swoje wspaniałe loki w gładki, surowy kok z tyłu głowy i rozpuszczała je tylko w nocy, kiedy zapalała świece na skrzyni fortepianu i grała z gwałtowną żarliwością, o którą nikt by ją nie podejrzewał. Jej twarz wydawała się szczuplejsza i bardziej smutna.

Cecil widział to wszystko, lecz trwał przy swoim postanowieniu. Nie zamierzał poddać się manipulacji. Wiedział, że odebrane w Anglii wykształcenie zapewni jego córkom dobrą przyszłość i był na tyle staroświecki, aby uważać, że żona ma obowiązek wspierać męża. Z czasem przywykł do cichego buntu Audrey i nawet przestał go zauważać. Tylko podczas długich nocy myślał o tym, co się między nimi wydarzyło, gdy jego ciało, zamiast odpoczywać w dużym, chłodnym łóżku, tęskniło za ciepłem jej ciała i czułością, jaką kiedyś mu okazywała.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Cecil wykupił dla żony i córek miejsca na statku, aby mogły cieszyć się dwutygodniowymi wakacjami na morzu przed rozpoczęciem nauki, i Audrey w głębi serca była mu za to wdzięczna. Cieszyła się, że te ostatnie dwa tygodnie spędzi tylko z dziewczynkami. Wczesnym rankiem do domu Audrey i Cecilia przyjechały Rose i ciotka Edna, uzbrojone w duże zapasy słodczy oraz błyszczące nowe piórniki, pełne kredek i ołówków. Obie serdecznie pożegnały się z Alicją i Leonorą.

- Nie zapominajcie o nas, dobrze? - prosiła Rose, przytulając do siebie wnuczki i ocierając łzy.

Edna dała swojej ukochanej Leonorze starego pluszowego królika, którym sama bawiła się jako mała dziewczynka.

- Opiekuj się nim - powiedziała i pocałowała Leonorę w czoło. - Zawsze bardzo go lubiłam...

- I często do nas piszcie - wtrąciła Rose, niespokojnie zerkając na córkę, której twarz wydała jej się dziwnie blada i napięta. - Chcemy o wszystkim wiedzieć, więc nie skąpcie szczegółów...

Ciotka Hilda wpadła w ostatniej chwili razem z Nelly, lecz nie przywiozła żadnych podarunków. Bliźniaczki nie spodziewały się prezentów od Hildy, ale wpadły w zachwyt, kiedy Nelly wręczyła im dwa duże słoiki, pełne kremu dulce de leche.

- Założę się, że w Anglii nie mają takich przysmaków - powiedziała.

- Macie szczęście, że jedziecie do Anglii. - Edna westchnęła, siłąc się na wesołość. - Mają tam wszystko, co najlepsze na świecie... Nie zapomnijcie przywieźć nam na Boże Narodzenie trochę świątecznego puddingu...

- I kilka pasztecików z mięsem - dodała Rose. Dobrze chociaż, że dziewczynki wrócą do domu na najbliższe święta, pomyślała, wiedząc, że później przyjadą do Argentyny dopiero za rok. Szczerze współczuła Audrey i spędziła wiele bezsennych nocy, zastanawiając się, jak córka zniesie to rozstanie. Nie zamierzała rozmawiać o tym z Henrym, ponieważ on także, podobnie jak Cecil, uważał, że nic nie może równać się z angielską szkołą.

Mercedes nie chciała pożegnać się z dziewczynkami, gdyż nienawidziła publicznych demonstracji uczuć i mocno wierzyła, że łzy i drżące wargi są oznaką słabości, której w żadnym razie nie należy okazywać. Aby nie ulec pokusie, pojechała do miasta na zakupy, pozostawiając w kuchni smutnego Loro.

- Straszna szkoda, straszna szkoda! - skrzeczała papuga głośno i dobitnie, jakby chciała zdradzić, co naprawdę dzieje się w sercu Mercedes.

Zimowe niebo było szare, a port skąpany w ponurym półmroku, kiedy Audrey weszła na pokład statku - „Alcantara”, prowadząc radośnie podskakujące córki, podekscytowane myślą o czekającej je wielkiej przygodzie. Nie dość, że nigdy wcześniej nie były w Anglii, ale także nigdy nie widziały takiego wielkiego, luksusowego statku. Audrey przemknęło przez myśl, czy niewinne jagniątko również skaczą z entuzjazmem na parę chwil przed śmiercią pod nożem rzeźnika. Hałas i gwar, tragarze wnoszący na pokład stopy toreb i waliz, ostre gwizdki, huk silników, szlochający i machający na pożegnanie krewni odpywających, uściski i pocałunki, wszystko to napełniło serce Audrey przerażeniem. Nie znosiła chaosu, port wydał jej się obcym, nie przyjemnym miejscem i zaczęła obawiać się o bezpieczeństwo i

spokój dzieci. To ostatnie okazało się zupełnie niepotrzebne; ponieważ bliźniaczki były zachwycone statkiem i wszystkimi nowościami i ledwo znalazły chwilę czasu, aby pożegnać się z ojcem, który z fatalistyczną rezygnacją patrzył, jak wchodzi na pokład i znikają mu z oczu. Audrey chłodno pocałowała go w policzek, potem zaś obojętnie spojrzała w oczy, jakby chciała przypomnieć, że Cecil sam dążył do tego rozstania, czego zresztą ona nigdy mu nie wybaczy. Cecil mógł tylko mieć nadzieję, że czas zasypie przepaść, jaka powstała między nimi, i że Audrey doceni dobre strony jego decyzji, kiedy dziewczęta wrócą do domu, wykształcone i z doskonałymi manierami. Na razie wiedział jednak, że jego zziębnięte serce ogrzeje tylko butelka ginu.

Dziewczęta przebiegały korytarze w poszukiwaniu ich kabiny, głośno piszcząc z uciechy.

Audrey szła za nimi, z niechęcią wdychając woń nie wywietrzonych dywanów oraz detergentów, przekonana, że dłuższe przebywanie w tym ciasnym labiryncie przyprawi ją o klaustrofobię. Nie podzielała optymizmu córek, ponieważ doskonale wiedziała, co czeka je w Anglii.

- Mamusiu, mamusiu! - krzyknęła Alicia, kiedy tylko przekroczyły próg kabiny. - Piętrowe koje! Och, ja będę spała na górze! - oznajmiła pośpiesznie, wdrapując się na górny materac i kładąc tam swoją torebkę. - Chodźmy na pokład, Leo!

- Chwileczkę... - zaczęła Audrey, lecz Alicia już wybiegła na zewnątrz, ciągnąc za rękę uległą Leonorę.

Musiła więc pójść za nimi. Męczył ją ból głowy. Miała ochotę wyciągnąć się na koi i zamknąć oczy, ale wyobraźnia podsunęła jej obraz dwóch drobnych ciał, spadających z pokładu do wody jak szmaciane kukiełki. Szybko otarła łzy zmęczenia i przyspieszyła kroku, podążając za echem głosów dziewczynek.

Na pokładzie kręciło się mnóstwo osób, wymieniających ostatnie pożegnania i czułości z krewnymi oraz przyjaciółmi, i przekrzykujących wydobywający się z dolnej części kadłuba ryk silników. Alicia i Leonora przepchnęły się do samej bariery i machały wraz z innymi, chociaż ich ojciec już jakiś czas temu odjechał do Huriingham i dużego, pustego domu.

Audrey stanęła nieco dalej i obserwowała, jak liniowiec wypływa z portu na otwarte morze. Horyzont przesłaniała szara mgła i pomyślała nagle, że wygląda to tak, jakby zmierzali na koniec świata. Zaczęła wspominać Louisa i zastanawiać się, dlaczego wybrała takie marne życie. Patrząc na znikającą linię brzegową Argentyny, uświadomiła sobie, że Huriingham jest tylko małą kolonią o niewielkim znaczeniu. W porównaniu z bezmiarem otaczających ją wód całe Buenos Aires było jak malutka kałuża. Louis miał rację, pomyślała z bijącym sercem. Zawsze bałam się marzyć... To z powodu tego lęku pozwoliłam Louisowi odejść i wyszłam za Cecila. Gdybym wtedy mogła zdobyć się na taki dystans jak teraz... Gdybym wtedy zrozumiała, że świat to ogromna przestrzeń, pełna najróżniejszych możliwości...

Otoczona obcymi, zmierzającymi do odległego, nieznanego kraju, z nową śmiałością wyobraziła sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby poślubiła Louisa. Mogliby pojechać wszędzie i na pewno byłiby szczęśliwi. Nigdy wcześniej nie była świadoma potęgi wolnej woli. Rozejrzała się dookoła i niespodziewanie poczuła, jak jej dusza wznosi się wysoko na skrzydłach wolności. Czy to możliwe, że dotąd nie zdawała sobie sprawy, jakie to cudowne uczucie...

Tak zaczął się dwutygodniowy rejs w górę wybrzeża Ameryki Południowej do Rio i przez ocean do Europy. Po krótkim postoju w Lizbonie statek wpłynął do portu Southampton na początku września. Nastrój Audrey uległ znacznej poprawie, mogła więc cieszyć się podróżą i towarzystwem dzieci, nie zastanawiając się zbyt często, co czeka je po przybyciu na miejsce. Dużo czasu spędzała, odpoczywając na leżaku na pokładzie, czytając i marząc, podczas gdy bliźniaczki biegały z innymi dziećmi, chlapały się w basenie, próbowały grać w tenisa stołowego i z rozbawieniem obserwowały rozrywki dorosłych. Audrey nie musiała martwić się o dziewczynki, ponieważ od samego początku wszystkimi dziećmi zajęła się imponująca pani Beetlestone-Magnus, w skrócie pani B., energiczna dama po sześćdziesiątce o obfitym ciele przyjaznej światu ropuchy, skrywanym pod długimi, powiewnymi sukniami, które do złudzenia przypominały namioty w kwieciste wzory. Pani B. organizowała konkursy malarskie i piosenkarskie, bale maskowe i gry, które okazały się tak zabawne i wciągające, że jeszcze przed upływem pierwszego tygodnia niektórzy dorośli prosili, aby oni także mogli brać w nich udział.

- Proszę bardzo, moi drodzy - odpowiadała pani B. z uśmiechem potrząsając licznymi podbródkami. - Oczywiście; jeżeli nie uznacie, że rola statysty w naszych przedstawieniach będzie dla was upokorzeniem... Dzieci naprawdę są bardzo utalentowane, więc w żadnym razie nie mogą pozbawiać ich głównych ról.

Dorosłym wcale to nie przeszkadzało. Pan Linton, starszy, dystyngowany dżentelmen o srebrzystych włosach i małym wąsiku, bardzo przekonująco zagrał rolę wierzby w przedstawieniu Przyjaciele z wierzbowego lasu, inni zaś zadowolili się jeszcze mniejszymi rolami.

Pani B. doskonale radziła sobie z dziećmi, stosując skomplikowany system nagradzania słodyczami, które kupowała w tym samym pokładowym sklepiku, gdzie sprzedawano ulubioną wodę toaletową Audrey. - Taka właśnie jest Anglia - powtarzała Audrey córeczkom, pokazując im portrecik staroświeckiej damy, zdobiący buteleczkę wody Yardleya.

Dziewczynki z zachwytem wąchały perfumy i nie mogły się doczekać końca rejsu.

Z okazji przekroczenia równika załoga zorganizowała wspaniałą zabawę. Ci, którzy znaleźli się tu po raz pierwszy, jak Audrey, Alicia i Leonora, musieli wziąć udział w ceremonii, podczas której zawiązywano im oczy i od stóp do głów pokrywano pianą. Bliźniaczki piszczały z radości, a ich matka starała się udawać, że sprawia jej to przyjemność. Audrey nie była szczególnie rozbawiona, zwłaszcza kiedy marynarze oparli wąską belkę na dwóch wysokich słupkach i zaproponowali dzieciom, aby po niej przeszły. Leonora natychmiast schowała się za matką, nato miała Alicia bez wahania wdrapała się na belkę i przeszła po niej pewnym krokiem. Wyraz jej twarzy wskazywał wyraźnie, że zamierzała zeskoczyć, a ponieważ belka znajdowała się na dość dużej wysokości, na prośbę Audrey dwóch pasażerów ściągnęło dziewczynkę stamtąd, nie zważając na jej protesty.

Codziennie rano wszyscy robili zakłady, zgadując, jaką odległość pokonał statek, a zwycięzca dostawał kupon, który mógł zrealizować w pokładowym sklepiku. Alicia wygrała dwukrotnie, nie dlatego, aby odkryła w sobie umiejętność określania odległości, lecz dlatego, że pan Linton za każdym razem zgadywał prawidłowo, a dziewczynce dwa razy udało się zajrzeć mu przez ramię i zobaczyć, co pisze na kartce. Pozostali uczestnicy gry doskonale wiedzieli, że Alicia oszukuje, ale jej urok i wiek sprawiały, że przymykali oczy na jej sztuczki i darzyli ją tym większą sympatią. O jedenastej przed południem na pokładzie pojawiał się steward z tacą pełną kubeczków z gorącym napojem bovril albo

herbatą i śmietankowymi krakersami. Wychowane na pysznych ciastach i dulce de leche Mercedes dziewczynki uznały te przysmaki za najprawdziwsze obrzydlistwo. Słony, ostry bulion wołowy, czyli bovril, palił ich gardła i nawet Audrey krzywiła się lekko, patrząc jak inni pasażerowie ze smakiem wypijają rosół do ostatniej kropelki. Pani B., jak zwykle w biegu, przystawała na chwilę, aby wychylić kubek bovrilu, i pędziła dalej w poszukiwaniu farb, kleju lub jakiegoś dziecka, które właśnie gdzieś się zapodziało.

Któregoś ranka pani B. znalazła jednak chwilę, aby usiąść obok Audrey i powiedzieć jej, że Alicia nie tylko daje dzieciom zły przykład i namawia je do rozmaitych wybryków, ale także, co znacznie gorsze, świadomie wyklucza Leonorę z wielu zabaw.

- Ale Leonora nic mi o tym nie mówiła! - zawołała Audrey, która naturalnie nie mogła uwierzyć, że Alicia nie jest dobrym, kochanym dzieckiem.

Pani B. rzuciła jej wyrozumiałe, pobłażliwe spojrzenie. Sama była matką i babcią i lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jakie błędy popełniają matki.

- Moja droga, Alicia jest silną i bardzo żywiołową dziewczynką - rzekła. - Ma także charyzmę, dzięki czemu dzieci chętnie skupiają się wokół niej, co może wykorzystać w pozytywny lub negatywny sposób. Podobnie jak wiele dzieci, które jeszcze nie nauczyły się myśleć o innych, wybiera negatywny sposób, za co oczywiście płaci Leonora. Proponowałabym, żebyś porozmawiała z nią o tym, bo w przeciwnym razie dziewczyna narobi sobie dużych kłopotów w Colehurst House...

Audrey spuściła oczy i nagle przypomniała sobie słowa Cecila. Odłożyła książkę.

- Mój mąż uważa, że Alicii trzeba narzucić dyscyplinę - westchnęła. - Właśnie dlatego dziewczynki mają podjąć naukę w Anglii...

- Nie martw się, moja droga - pani B. poklepała ją po dłoni pulchnymi palcami, na których widniały plamy wątrobiane. - Szkoła w Anglii rozwiąże te problemy, zobaczysz. To naprawdę najlepsze wyjście.

- Ale ja wolałabym, żeby zostały ze mną w domu... - wyjaśniła ze smutkiem Audrey.

- Och, wiem, że to trudne, zwłaszcza jeżeli sama nie uczyłaś się poza domem, lecz czasami warto zaciśnąć zęby i wytrzymać. Mam trzy córki i ośmioro wnuków. Moja najstarsza, Sally, mieszka w Belgrano z mężem, który pięć lat temu wyjechał na placówkę handlową do Buenos Aires i już nie wrócił. Właśnie od nich wracam. Staram się odwiedzać ich co dwa lata. Kiedy teraz wspominam lata, które moje dzieci spędziły w szkołach, wydaje mi się, że wszystko to minęło w mgnieniu oka, chyba zbyt szybko. Ta chwila wcale nie oznacza rozerwania twojej więzi z córkami, ale stworzenie nowego związku, moja droga. Dziewczęta dorosną i staną się młodymi kobietami, a ty będziesz uczestniczyła w tym procesie, naprawdę... Będziesz się cieszyć każdą jego chwilą. Wszystkie trzy macie przed sobą kilka lat doskonałej zabawy, poza tym rozstanie nauczy was jeszcze mocniej doceniać poczucie bliskości i wzajemną obecność, wierz mi.

- Nic nie poradzę na to, że rozstanie wydaje mi się nienaturalne i okrutne...

- Wcale tak nie jest - pocieszyła ją pani B. - Pobyt w szkole uczy dziewczynki niezależności. Nie bez znaczenia jest także fakt, że w Anglii mogą zawrzeć odpowiednie znajomości, może nawet wyjść za mąż... Argentyna to cudowny kraj, ale nie ma to jak Anglia, prawda?

Audrey nie była tego pewna, ponieważ w ogóle nie знаła Anglii. Miała ochotę powiedzieć, że nie przywiązuje żadnej wagi do tego, czy jej córki wyjdą za Anglików, czy Argentyńczyków, byleby tylko były szczęśliwe, lecz pani B. najwyraźniej mocno wierzyła w wyższość Wielkiego Imperium Brytyjskiego i jego obywateli. W jej oczach lśniła duma, kiedy mówiła o swojej ojczyźnie i najprawdopodobniej po prostu nie rozumiała by niekonwencjonalnych przekonań młodej kobiety.

- Porozmawiam z Alicią. - Audrey zmieniła temat.

- Doskonale! - Pani B., ucieszona, z pewnym trudem dźwignęła się z leżaka. - Czasami trzeba zdobyć się na odrobinę okrucieństwa, aby osiągnąć dobry cel. Dzieci należy karcić, bo inaczej mogą wyrosnąć na okropne dzikusy, a przecież właśnie tego za wszelką cenę chcemy uniknąć...

- Oczywiście - przyznała ulegle Audrey.

- Muszę już lecieć, o piątej mamy próbę inscenizacji Piotrusia Pana.

- Dobry Boże, czy to nie nazbyt ambitny projekt?

- Absolutnie nie! Te dzieci są wyjątkowo utalentowane. Gdybym umiała grać na fortepianie, nauczyłabym je śpiewać arie z La Bohemę.

Audrey dyplomatycznie nie zdradziła się, że jest niezłą pianistką.

Tego wieczora, kiedy bliźniaczki wróciły do kabiny, żeby przebrać się przed kolacją, Audrey czekała na nie z poważnym wyrazem twarzy. Alicia od razu poczuła się winna, ponieważ była w pełni świadoma swoich przynależności, nie mogła jednak zapanować nad instynktem, który kazał jej źle odnosić się do siostry. Władza, jaką miała nad Leonorą i innymi dziećmi, upajała ją jak narkotyk.

- Chcę z wami porozmawiać - zaczęła Audrey. - Usiądźcie.

- Zrobiliśmy coś złego? - zapytała Alicia, gotowa wylać kilka krokodylich łez.

- Podobno jesteś niedobra dla Leonory - powiedziała surowo matka. Jeżeli pani B. mówiła prawdę, Alicia zasługiwała na ostrą burę.

- Wcale nie. - Leonora zaprotestowała odważnie i spojrzała na siostrę, która uśmiechnęła się do niej z taką czułością, że małe serce dziewczynki wezbrało falą wdzięczności.

- Dowiedziałam się, że wykluczasz ją z zabaw, w których sama bierzesz udział...

- Ale ja nie chcę brać w nich udziału - wyjaśniła szybko Leonora.

Chwyciła leżącego na koi królika od ciotki Edny i przytuliła go do piersi.

- Ona nie chce - powtórzyła Alicia niewinnie. - Nie jestem bestią, mamusiu, nigdy nie dokuczałabym Leo...

- Mam nadzieję, że to prawda. Niedługo zaczniecie naukę w szkole z internatem i znajdziecie się w otoczeniu wielu obcych dziewczynek. Musicie trzymać się razem. Nie zapominajcie, że więzy rodzinne naprawdę liczą się bardziej od innych. Życie jest trudne i nie dacie sobie rady, jeżeli nie będziecie mogły polegać jedna na drugiej. Isla i ja byliśmy zupełnie różne, podobnie jak wy, ale żadna z nas nigdy nie zawiodła drugiej. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, że mogłabym zachować się nielojalnie w stosunku do niej, bo Isla była częścią mnie samej...

- Bardzo żałuję, że jej nie znałam - odezwała się Alicia, celowo zmieniając temat.

- Ja także tego żałuję. Isla była wyjątkową osobą, którą zawsze otaczał promienny blask. Po jej odejściu świat stał się mrocznym miejscem, ale na szczęście mam was obie, a wy także jesteście światłem mojego życia...

- Będę za tobą tęskniła, kiedy zostaniemy w szkole! - Alicia nagle załapała się łzami.

Zrobiła to tak przekonująco, że nawet Leonora, która znała siostrę lepiej niż ktokolwiek inny, była pewna, że żal Alicii jest szczery. Mała aktorka podniosła długie, gęste rzęsy i otarła policzki.

- Zaopiekuję się tobą... - szepnęła Leonora, kładąc pocieszająco rękę na ramieniu Alicii.

- Chodź tutaj, kochanie! - wzruszyła się Audrey. Chwyciła płaczącą dziewczynkę w objęcia, pogłaskała ją po włosach i pocałowała w czoło. - Będzie wam tam bardzo dobrze, zobaczysz.

- Nie chcę tam zostać! Chcę do domu!

Nagle Leonorę ogarnęła tak silna tęsknota za domem, że mocno przygryzła dolną wargę, żeby się nie rozplakać. Dla uspokojenia zaczęła w myśli powtarzać alfabet od końca, wiedziała bowiem, że jej biedna matka nie poradzi sobie z dwiema szlochającymi córkami. Patrzyła na przytuloną do Audrey Alicię i żałowała, że mimo wszystko nie może wybuchnąć łzami. Alicia była zazwyczaj silna i pewna siebie, i rzadko czuła lęk. Jej niespodziewane załamanie bardzo przygnębiło Leonorę. Dziewczynka nie chciała już nawet myśleć o szkole, Anglii i nieznannej cioci Cicely, która na pewno okaże się zimną, nieprzyjazną kobietą, mieszkającą w wielkim, pełnym duchów domu na kompletnym odludziu. Leonora wolała jednak nie zwierzać się matce ze swoich obaw, ponieważ nie chciała jej denerwować. Alicia dalej szlochała rozpaczliwie, podczas gdy Leonora odważnie starała się stłumić narastające przerażenie.

Wybuchem żalu Alicia skutecznie odwróciła uwagę Audrey od swoich grzechów, a na tym wyłącznie jej zależało. Mrugnęła do Leonory i pomyślała, że siostra jest godnym pogardy mięczakiem. Leonora odpowiedziała pełnym zrozumienia i współczucia uśmiechem, pewna, że wreszcie zaślubiła na przyjaźń siostry. Alicia zmrużyła oczy i doszła do wniosku, że dla odmiany spróbuje być dla niej miłą. przynajmniej przez pewien czas. Bycie miłą stanowiło nie lada wyzwanie, a Alicia uwielbiała wyzwania.

W ostatnich dniach podróży Audrey z przyjemnością dowiedziała się, że Alicia dba, aby Leonora uczestniczyła we wszystkich grach i zabawach.

- Nie wiem, co jej powiedziałaś, moja droga, ale najwyraźniej doskonale to na nią podziałało - oznajmiła pani B. z radością - Teraz dziewczynki są jak papużki nierozłączki...

I pani B. pobiegła dalej, dźwigając naręcze pirackich kostiumów do przedstawienia na zakończenie rejsu. Zaproponowała panu Lintonowi rolę kapitana Hooka, lecz on odmówił, wyznając, że rola wierzby była szczytem jego marzeń i największym osiągnięciem aktorskiej kariery, a poza tym nie wyobraża sobie, aby miał wygrażać tym drogim dzieciakom paskudnym hakiem.

- To wbrew mojej naturze dodał, rzucając Audrey rozbawione spojrzenie.

Następnego dnia rano jedno z dzieci przebiegło przez pokład, wołając, że widzi ląd. Zawieszona w próżni podróż Audrey, podróż między przeszłością i przyszłością, dobiegła wreszcie końca. Patrząc na szare doki Southampton, powoli wyłaniające się z porannej mgły, poczuła, że jej serce i umysł znowu odnajdują swoje miejsce w teraźniejszości. Teraz miała przed sobą dalszą, pozbawioną radości podróż. Widok Southampton nie sprawił jej żadnej radości, inaczej niż wielu innym pasażerom, którzy całym sercem kochali Anglię. Ojczysty kraj zawsze był dla nich jedynym, wyjątkowym miejscem i nawet gęste szare chmury i zamglony brzeg wydawały się najpiękniejsze na świecie.

- Ach, wreszcie Anglia! - wykrzyknął z radością pan Linton. - Nie ma to jak w domu!

- To prawda - przytaknęła pani B., ze wzruszeniem zaciskając wargi.

Audrey obojętnie patrzyła na kraj, o którym jej ojciec i mąż mówili z wielką miłością i oddaniem, i zastanawiała się, co takiego w nim widzieli. Przypomniała sobie bajkę o nowych szatach cesarza i poczuła się jak mały chłopiec, który przedziera się przez tłum i krzyczy, że cesarz jest nagi.

- Myślałam, że zastaniemy tu późne lato - odezwała się, dochodząc do wniosku, że jest to najmniej krytyczna uwaga, na jaką w tej chwili ją stać.

- Tak, to koniec lata - odparła pani B.

- Angielskie lato nie ma sobie równych. - Pan Linton westchnął z zachwytem, otulając się kurtką przed podmuchami zimnego wiatru.

Audrey spojrzała na córki, równie ponure i zagubione jak ona, i poczuła wielką niechęć do męża.

Rozdział czternasty

- Strasznie tu jest dziwnie - oznajmiła Alicia z rozbawieniem, idąc za matką i siostrą po peronie. - Wszyscy tragarze mówią po angielsku!

- Oczywiście - odparła Audrey - jesteśmy w Anglii...

Wiedziała jednak, o co chodzi dziewczynce. W Argentynie robotnicy posługiwali się wyłącznie hiszpańskim.

- W ogóle nie rozumiem, co on mówi! - Leonora ruchem głowy wskazała tragarza, który popychał przed nimi wózek z wielką stertą bagażu.

- To dlatego, że ma regionalny akcent - wyjaśniła Audrey, starając się przywołać nieco pewności siebie. - Przywykniesz do tego...

- I na dodatek ta okropna mgła. - Alicia zachichotała. - Gęsta jak zupa! Jeżeli tragarz jeszcze przyspieszy kroku, może zniknie i już więcej go nie zobaczymy!

- Mam nadzieję, że nic takiego się nie stanie, bo w tych walizkach są wszystkie nasze rzeczy - rzuciła lekko Audrey, chociaż wcale nie było jej wesoło.

Stłumiła szloch i ciaśniej otuliła się płaszczem. Było jej zimno, lodowaty, wilgotny chłód przenikał ciało aż do kości. Zanim znowu zaczęła rozmyślać nad czekającym ją rozstaniem z córkami, na torach pojawił się błyszczący zielony pociąg. Metalowe wagony załśniły w przyćmionym porannym świetle, lokomotywa zasyczała, sapnęła i zatrzymała się, wydmuchując wielkie kłęby pary.

- To smok, prawdziwy smok! - pisnęła Alicia, podskakując w miejscu jak piłka i przekrzykując zgrzyt hamulców i głosy wsiadających do pociągu pasażerów.

Leonora natychmiast poszła w ślady siostry.

- Chodźcie, dziewczynki, bo nie zdążymy wsiąść - ponagliła je Audrey.

Wzięła Leonorę za rękę i ruszyła z nią w stronę najbliższego wagonu. Dziewczęta nie zwracały już uwagi na pochmurne niebo, pochłonięte tym, co działo się wokół nich. W przedziale rzuciły się na siedzenia przy oknie i uklękły z nosami przyciśniętymi do szyby, uważnie obserwując nowy, nieznaną świat, Audrey zdjęła płaszcz, powiesiła go i zajęła miejsce obok Leonory.

- Zabierzcie nogi z siedzeń - poleciła cicho, zerkając na pozostałych pasażerów, którzy dyskretnie przyglądali się im z gazet.

Gdy pociąg toczył się przez angielskie pola, lasy i łąki, Audrey wróciła myślami do szczęśliwych dwóch tygodni, spędzonych na pokładzie statku „Alcantara”. Z przyjemnością wspominała leniwe, spokojne popołudnia, kiedy ciepła bryza owiewała jej policzki, a dobiegające z dala radosne głosy bliźniaczek upewniały ją, że obie dobrze się bawią. Usiłowała myśleć wtedy wyłącznie o przeszłości, aby uniknąć nierozzerwalnie związanego z teraźniejszością bólu, ale wysiłki te okazały się mało skuteczne. Wbrew jej woli wciąż nawiedzały ją obrazy szkoły i rozstań, walizek i szkolnych mundurków. Gdy zmęczona i bliska też nie była już w stanie panować nad myślami i ponurą wizją Colehurst House, którą ciągle podsuwała jej wyobraźnia, próbowała przywołać z pamięci uśmiechniętą twarz Louisa. Wtedy jej niepokój zniknął, a serce wypełniała tęsknota. Teraz także, wpatrując się w zamglony angielski krajobraz, widziała go wśród drzew i traw i słyszała jego głos, głucho powtarzający tamte słowa sprzed lat: „Najwyraźniej i dla ciebie jestem wielkim rozczarowaniem...”.

Skrzywiła się lekko, do głębi zraniona jego bólem. Przed jej oczami rozciągała się ojczyzna Louisa. To tu dorastał... Tu jeździł konno po płonących jesiennymi barwami wzgórzach i podziwiał te same widoki, które ona widzi w tej chwili. Gdyby miała dość odwagi, aby spełnić swoje marzenia, może ta obca wyspa byłaby teraz jej domem. Całkiem możliwe, że nauczyłaby się ją kochać. Miała wrażenie, że długie palce Louisa gładzą jej twarz i muskają wargi, i zaczerwieniła się, ponieważ nawet w wyobraźni Louis brał więcej, niż ona była gotowa mu ofiarować.

Niepewnie rozejrzała się po przedziale, przestraszona, że pozostali pasażerowie widzą jej myśli, ale obawy okazały się płonne. Starszy mężczyzna z bokobrodami palił fajkę za gazetą, bardzo szczupła kobieta z dwojgiem dzieci spokojnie czytała książkę i od czasu do czasu z aprobatą przyglądała się rysunkom swoich pociech, a młoda dziewczyna i mężczyzna w przeciwległym kącie bez przerwy patrzyli sobie w oczy. Audrey odetchnęła głęboko i pomyślała, że denerwuje się, ponieważ wie, iż w Anglii może znowu spotkać Louisa. Nigdy nie poznała Cicely, ale zdawała sobie sprawę, że siostra Louisa może wiedzieć, co się z nim dzieje. Nerwowo potarła skórę szyi. Jeżeli los postawi Louisa na jej ścieżce, nie będzie miała siły opierać się dłużej marzeniom i zatraci się w nich do końca, nie wątpiła w to ani przez chwilę.

Bliźniaczki z zainteresowaniem przyglądały się wszystkiemu, co wydawało im się inne i nowe. Pokazywały sobie zielone, żyzne pola, otoczone żywopłotami i ogrodzeniem, dachy wiejskich domów, z daleka podobnych do domków dla lalek, wspaniale utrzymane ogródki, bladobłękitne niebo i słońce, które wreszcie wyłoniło się zza chmur i chyba specjalnie na ich powitanie otworzyło płatki niczym gigantyczny słonecznik. Wszystko było tu mniejsze i porządniejsze niż w Argentynie i dziewczęta prześcigały się, głośno wyliczając dostrzeżone różnice. Audrey z trudem wróciła do rzeczywistości i spróbowała uciszyć córki, spokojnie komentując ich uwagi.

Pociąg wjechał na stację Waterloo i Audrey wysiadła, ściskając dłonie dziewczynek tak mocno, że małe ucichły nagle, wyczuwając niepokój i zdenerwowanie matki. Z trudem przedarli się przez tłum pasażerów, wyszły na ulicę i znalazły bezpieczne schronienie w lśniącej czerni londyńskiej taksówce. Dopiero wtedy Alicia i Leonora odzyskały pewność siebie i zaczęły znowu rozmawiać. Nie mogły się nadziwić, że ulice są takie wąskie, kamienice i domy takie ładne, a czerwone piętrowe autobusy, które wcześniej widziały jedynie na zdjęciach, takie wysokie.

- Londyn jest dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam - powiedziała Leonora. - Czy będziemy mogli przejechać się autobusem?

- Ja wejdę na piętro - oświadczyła Alicia, zanim Audrey zdążyła odpowiedzieć.

- Muszę zobaczyć dom królowej - rzuciła Leonora z podnieceniem.

- Założę się, że potrafię rozśmieszyć jednego z gwardzistów...

- Możesz połaskotać go pod nosem! - roześmiała się Leonora. - Tego na pewno nie znieśie spokojnie!

- Może królowa zaprosi nas na podwieczorek, kiedy dowie się, że przyjechałyśmy!

- Myślę, że jest zbyt zajęta - wtrąciła Audrey z uśmiechem, przeczesując palcami długie włosy Alicii. Poza tym my także będziemy bardzo zajęte...

- Co będziemy robić? - zapytała Leonora.

- Najpierw pojedziemy do hotelu.

- Cudownie! - ucieszyła się Alicia, która nigdy wcześniej nie mieszkała w hotelu. - Uwielbiam hotele!

- Możemy zjeść śniadanie w łóżku! - dorzuciła Leonora.

- Proszę bardzo, ale przede wszystkim musimy kupić wam szkolne mundurki. Audrey szukała w torebce listu od panny Reid, dyrektorki Colehurst House. - Mamy tu długą listę zakupów, które mamy zrobić w... Jak to się nazywa? Ciotka Hilda, która podobno świetnie zna Londyn, mówi, że to bardzo elegancki sklep... - Audrey pomyślała przez chwilę o swoich najbliższych, lecz wszyscy oni wydali jej się tak dalecy, jakby mieszkali na innej planecie. - Ach, już mam... Debenham Freebody, na Oxford Street...

- Jaka śmieszna nazwa! - parsknęła Alicia, marszcząc nos dokładnie tak samo, jak kiedyś robiła to Isla.

Audrey dostrzegała w Alicii wiele cech swojej ukochanej siostry. Alicia miała czasami takie same chochliki w oczach i podobną pewność siebie, ale Audrey nie dostrzegała w córce zimnej złośliwości, którą dziewczynka przyniosła ze sobą na świat. Alicia umiała być miła i słodka, ale tylko wtedy, gdy jej to odpowiadało. Kiedy w pobliżu nie było nikogo bardziej interesującego, okazywała przychylność Leonorze, która kochała ją bezwarunkową miłością wiernego psa. Alicia nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie znajdzie się w szkole, gdzie dobierze sobie przyjaciółki, a co najważniejsze, nie będzie musiała liczyć się z rodzicami. Przypomniała sobie powieści Angeli Brazil i uśmiechnęła się na myśl o czekających ją przygodach i wszystkich szkolnych zasadach, które z radością złamie. Zasady istnieją przecież wyłącznie po to, aby je łamać, czy nie to mówiła im zawsze babcia Edna, ciotka mamy?

- Dzisiaj przenocujemy w hotelu, a jutro pojedziemy pociągiem do Dorset, gdzie mieszka ciocia Cicely. - Audrey była całkowicie nieświadoma psotnych myśli, krążących po głowie córki.

- A kiedy pojedziemy do szkoły? zapytała Alicia drżącym z podniecenia głosem.

Audrey spojrzała na nią niespokojnie, nie mogąc zapomnieć rozziewanej sceny, jaką dziewczynka urządziła na pokładzie „Alcantary”.

- W środę - odparła cicho i uśmiechnęła się do Leonory, która nagle posmutniała. - Zawieziemy was tam, ja i ciocia Cicely. Wasza ciocia się uczyła w Colehurst House i bardzo jej się tam podobało...

- Nam też będzie się tam podobało, prawda, Leo?

Leonora bez przekonania skinęła głową. Audrey objęła ją i przytuliła do siebie, wyczuwając przygnębienie córki.

- Zostanę u cioci Cicely parę tygodni, żebyście zdążyły przyzwyczać się do szkoły - powiedziała z nieco sztuczną wesołością. - Po dwóch tygodniach nauki zabiorę was na cały weekend i wtedy dokładnie mi wszystko opowiecie.

Kiedy już zostawiły wszystkie bagaże w hotelu Normandie w Knightsbridge, pojechały taksówką na Oxford Street, gdzie miały kupić szkolne mundurki. Audrey obiecała dziewczynkom, że po zakupach przejadą się autobusem. W sklepie Debenham Freebody aż roiło się od matek, wybierających ubrania dla dzieci. Wszystkie ścisnęły w rękach białe kartki papieru z listą potrzebnych rzeczy, od majtek po buty do zajęć sportowych i koszulki z materiału zwanego aertexem, o którym Audrey nigdy dotąd nie słyszała. Bliźniaczki mierzyły inne dzieci wzrokiem pełnym podejrzliwości i zaciekawienia, natomiast Audrey wyruszyła na poszukiwanie sprzedawczyni, która mogłaby jej pomóc. Po paru minutach zdołała zwrócić na siebie uwagę drobnutkiej kobiety, obsługującej wysoką

damę w płaszczu z wielbłądziej wełny. Sprzedawczyni uśmiechnęła się miło i skinęła głową, dając do zrozumienia, że zaraz się nią zajmie. Audrey usiadła w fotelu i przyglądała się dziewczynkom, które ze śmiechem goniły się po całym sklepie.

- Jeszcze tylko chwilę - odezwała się pani w wełnianym płaszczu, siadając obok. - W tym sklepie zawsze długo się czeka... Moja Caroline ma dwie starsze siostry w ostatniej klasie Colehurst House, ale większość ich rzeczy jest tak znoszona, że te podstawowe musimy kupić... To prawdziwa ekstrawagancja, ubrania nie są tu tanie...

Sprzedawczyni zniknęła za drzwiami prowadzącymi do magazynu, natomiast z przymierzalni wyszła córka nowej znajomej Audrey, piegowata dziewczynka o marnych włosach i zadartym nosku, ubrana w brązowo-beżowy mundurek. Audrey uśmiechnęła się do niej, lecz mała odwróciła wzrok i buntowniczo wysunęła dolną wargę.

- Niezbyt ładny mundurek, prawda? - mruknęła jej matka, która mówiła z tak przesadnie wyrafinowanym akcentem, że podbródek prawie dotykał szyi.

Audrey z wahaniem kiwnęła głową.

- Nie jest taki zły - powiedziała dyplomatycznie, wyczuwając zły nastrój dziewczynki.

- Jest okropny, ale przynajmniej dziewczęta nie niszczą własnych ubrań. To zawsze coś, biorąc pod uwagę, że codziennie kilka godzin uganiają się z psami i na kucach, często po kostki w błocie...

- Moje córki nigdy dotąd nie były w szkole z internatem - wyznała Audrey cicho. Jej rozmówczyni uniosła brwi i uśmiechnęła się.

- Och, więc macie przed sobą mnóstwo cudownych chwil! - zawołała. - To urocza szkoła, dziewczynki są miłe i dobrze wychowane, a Diana Reid doskonale sprawdza się w roli dyrektorki, no i świetnie jeździ konno. Moja Caroline nie mogła się już doczekać, kiedy pójdzie do szkoły. Jest najmłodsza w domu i do tej pory musiała nudzić się ze mną, prawda, kochanie? - zapytała, ale najwyraźniej nie zamierzała czekać na odpowiedź Caroline. - Nie zapisałam jej w wieku ośmiu lat, ponieważ nauka przychodzi jej z pewnym trudem, więc potrzebowała dodatkowej pomocy. Teraz ma dziesięć lat i idzie od razu do drugiej klasy. Oczywiście zabiera z sobą Teasela. Nic na świecie nie mogłoby was rozdzielić, prawda, Caroline? Co on by zrobił bez ciebie?

- Teasel? - Audrey uśmiechnęła się uprzejmie, przyjmując, że chodzi o psa.

- Teasel to kuc - odparła matka Caroline. - Moja mała nigdzie się bez niego nie rusza. Jeżeli pani dziewczynki mają kucyki, to w Colehurst House na pewno znajdzie się dla nich miejsce. Tamtejsze stajnie przypominają pięciogwiazdkowy hotel, naprawdę. Zwierzęta są tam szczęśliwsze niż w domu, podobnie jak dzieci. - Mrugnęła do Audrey i z rozbawieniem wyduła wargi.

W tej chwili Leonora i Alicia wypadły zza rogu, chichocząc głośno.

- Czy to pani córeczki? Muszą poznać Caroline...

Bliźniaczki zatrzymały się obok matki. Leonora usiadła jej na kolanach i zarzuciła ręce na szyję.

- To jest Leonora, a to Alicia - powiedziała Audrey. - A ta elegancko ubrana dziewczynka to Caroline...

Dziewczynki przywitały się grzecznie, Caroline zdobyła się na słaby uśmiech.

- Podoba mi się twój mundurek - oznajmiła Leonora. - Czy nasze będą takie same?

Caroline wyraźnie się ożywiła, w jej oczach zapłonęły iskiereki sympatii.

- Identyczne - odparła Audrey, uważnie przyglądając się dziewczynce. - Chodźcie ze mną, to pokażę wam, co jeszcze musimy kupić - dodała, podchodząc z córkami do przymierzalni i zgarniając po drodze naręczę beżowych bluzek i grubych brązowych spodnic.

- Urocze dziewczęta - odezwała się matka Caroline, która nagle ku swemu przerażeniu uświadomiła sobie, że nie przedstawiła się Audrey. - Strasznie przepraszam, zupełnie zapomniałam, że się nie znamy...

- Audrey Forrester. - Audrey z uśmiechem skinęła głową.

- Dorothy Stainton-Hughes... Obawiam się, że to trochę trudne do wymówienia, ale cóż mogę poradzić... Skąd pani przyjechała? Proszę wybaczyć ciekawość, ale mówi pani z takim dziwnym akcentem...

- Z Argentyny.

- Dobry Boże, to spory kawał drogi! - wykrzyknęła Dorothy. - Proszę się nie martwić o dziewczęta. Caroline zna wszystkie przyjaciółki swoich siostr i pomoże Alicii i Leonorze zadomowić się w szkole...

- Mamusiu, mamusiu! - Alicia wybiegła z przymierzalni, trzymając w dłoniach szerokie brązowe spodnie. - Popatrz tylko, co za ohyda!

- No, tak, te spodnie nie należą do najpiękniejszych! - zgodziła się Dorothy.

- Po co dziewczynkom coś takiego? - zapytała Audrey.

- Do gier sportowych i zabaw. Wkładają je, żeby nie przemarzły im siedzenia. To nie najgorsze rozwiązanie, lepsze niż uganianie się po boisku w samych majtkach, prawda?

Alicia włożyła sobie paskudne gacie na głowę i wróciła do przymierzalni, skąd rozległ się wybuch głośnego śmiechu. Audrey miała ochotę dowiedzieć się od Dorothy, co to są aerteksowe koszulki, wolała jednak nie zdradzać się z ignorancją, ponieważ mogłoby to wprawić jej córki w zażenowanie. Zaczekała, aż niosąca stos ubrań sprzedawczyni odprowadzi Dorothy Stainton-Hughes do kontuaru i dopiero potem zaczęła wyliczać potrzebne dziewczynkom rzeczy.

Po zakupach Audrey zabrała bliźniaczki do sklepu Hamleys, gdzie kupiła im po zabawce i z przyjemnością patrzyła, jak biegają między półkami, wydając okrzyki podziwu na widok szklanych figurek, pluszowych zwierzątek i najróżniejszych gier. Spotkanie z Caroline Stainton-Hughes wyraźnie poprawiło dziewczynkom nastrój. Caroline opowiedziała im o szkolnych obozach i wycieczkach, przejażdżkach konnych oraz o dużym drzewie cedrowym, na które można się wspinać wiosną i latem i którego każda gałąź ma własną nazwę. Audrey przypomniała sobie fotografię ponurego domu z

szarego kamienia, umieszczoną w broszurze, którą przysłała jej Cicely, i zaczęła się zastanawiać, czy miejsce, które wydaje się tak zimne i nieprzyjazne, w rzeczywistości może być przytulne i pełne uroku.

Prosto ze sklepu z zabawkami poszły na herbatę do Fortnum Mason i tam zamówiły późne drugie śniadanie. Audrey pomyślała, że ten lokal na pewno podobałby się ciotce Ednie, zagorzałej entuzjastce angielskiej herbaty i ciasteczek.

- Caroline mówi, że w Colehurst przydziela się cień - oznajmiła Alicia, wypychając do ust duży kawałek biszkoptu.

- Cień? - zapytała Audrey, szczęśliwa, że wreszcie może spokojnie usiąść i wypić filiżankę ulubionej herbaty earl grey. - Cóż to takiego?

Uśmiechnęła się do bliźniaczek, ciesząc się ich radosnym podnieceniem.

- Cień to starsza dziewczynka, która opiekuje się nową przez cały pierwszy semestr - wybełkotała Alicia, z trudem przełykając ciasto.

- Wygląda na to, że wasza szkoła jest naprawdę miłym miejscem, prawda? - Audrey powiedziała to, chociaż myśl o rozstaniu z córkami nadal sprawiała jej prawdziwy ból. - Kiedy Caroline zaczęła opowiadać o konnych przejażdżkach o świcie, pożałowałam, że sama nie mogę się zapisać do Colehurst House...

- Jesteś za stara, mamusiu! - roześmiała się Leonora. - Chyba tak. Moim cieniem będzie ciocia Cicely.

- Jaka ona jest? - zapytała Leonora.

- Mam nadzieję, że miła, bo przecież mamy z nią spędzić wakacje - powiedziała Alicia. - I że ma duży dom z ogrodem... I może konie, i basen, jak myślicie?

- Ciocia Cicely jest starsza od waszego taty i dość młodo owdowiała... - zaczęła Audrey

- Ma dzieci? - zainteresowała się Leonora.

- Nie, niestety nie...

- Jej mąż umarł? - upewniła się Alicia, nie zdradzając cienia współczucia.

- Tak.

Oczy Alicii zabłyśły.

- Na co?

Liczyła, że matka poda im przynajmniej kilka wstrząsających, przerażających szczegółów.

- Nie jestem pewna.

- Założę się, że na coś okropnego. - Alicia pokiwała głową, pakując do ust następny kawałek ciasta. - Ludzie prawie nigdy nie umierają bezboleśnie. Mam nadzieję, że ja skonam we śnie...

- Porozmawiajmy o mniej ponurych sprawach, dobrze? - zaproponowała Audrey.

- Merchi boi się śmierci tylko dlatego, że na tamtym świecie będzie musiała spotkać się ze swoim mężem i wszystkimi kochankami - ciągnęła Alicia pogodnie. - Kiedy zaczną się o nią bić, na pewno narobią wielkiego bałaganu w Niebie...

- Nie wątpię, że Mercedes ma powody do obaw - mruknęła Audrey. - Merchi często wygaduje niestworzone rzeczy, więc lepiej, żebyście nie traktowały poważnie wszystkich jej opowieści.

- Ja już za nią tęsknię - wyznała Leonora.

- Jeszcze bardziej będziesz tęsknić za jej kuchnią. - Alicia się uśmiechnęła. - Jedzenie w szkole jest na pewno ohydne...

- Nie martwcie się tym, dziewczęta. Poproszę ciocię Cicely, żeby regularnie przysyłała wam paczki z różnymi przysmakami. Nie chcę, żebyście się zagłodziły.

- Więc ciocia Cicely mieszka sama? - zapytała cicho Leonora.

Po rozmowie z Caroline przestała bać się szkoły, lecz myśl o dużym i zupełnie pustym domu ciotki Cicely nadal napełniała ją lękiem. Nagle zatęskniła za swoim domem w Hurlingham tak mocno, że zachciało jej się płakać.

- Wiem, że ma kilka psów - odparła Audrey. - Wasz tata opowiadał mi, że po śmierci męża Cicely kupiła sobie psy, żeby nie czuć się tak bardzo samotną. Myślę też, że w sąsiedztwie mieszkają jakieś dzieci, z którymi będziecie mogły się bawić...

W gruncie rzeczy wcale nie była tego pewna. Cicely mieszkała w Dorset. a jej mąż był farmerem, właścicielem dużej posiadłości. Wyobraźnia podsunęła Audrey obraz łagodnych wzgórz i lasów, podobny do widoków, jakie migwały za oknem w czasie podróży pociągiem z Southampton.

- Na pewno jest podobna do tatusia - powiedziała Leonora, próbując wyobrazić sobie Cicely w jak najprzyjemniejszy sposób.

- Na pewno - przytaknęła Audrey.

Miała nadzieję, że Cicely nie okaże się surową kobietą o ponurej twarzy, w dużej mierze podobną do ciotki Hildy. Nie spodziewała się, że los szykuje jej miłą niespodziankę.

Kiedy Audrey zauważyła kobietę machającą w kierunku pociągu z parkingu przed dworcem, nawet nie przyszło jej do głowy, że może to być Cicely. Nieznajoma miała bardzo jasne, upięte w luźny koczek włosy, wymykające się spod spinki pasma opadały na twarz, a kształtne wargi uśmiechały się pogodnie. Ubrana była w szerokie spodnie i męską koszulę w biało-niebieskie paski. Ze słów Cecila Audrey wywnioskowała, że jego siostra jest elegancką, nieco staroświecką i sztywną damą, dlatego nie zwróciła na nią szczególnej uwagi i zaczęła się rozglądać za kimś, kto pomógłby im wyładować walizki. Pociąg powoli zatrzymał się na wiejskiej stacji, przypominającej ilustracje z książek, które Audrey pochłaniała w dzieciństwie. Czerwone cegły niewielkiego dworca przyciemnił

wiek, pod oknami wisały duże skrzynki geranium. Audrey wyprowadziła dziewczynki na prawie pusty peron i przywołała bagażowego, który natychmiast zajął się ich rzeczami.

- Ciekawe, gdzie jest Cicely... - wymamrotała.

Na stacji panowała przyjemna cisza. Poza nimi z pociągu wysiadło tylko dwoje pasażerów, na ławce na końcu peronu siedział jakiś starszy mężczyzna, który najwyraźniej po prostu spędzał czas, obserwując przejeżdżające pociągi. Audrey westchnęła i przygryzła wargę. Czyżby pomyliła dni? Może Cicely spodziewała się ich kiedy indziej? Na szczęście jej wątpliwości już po chwili rozwiała kobieta z parkingu, która wbiegła na peron w chmurze niesionych wiatrem liści.

- Boże, strasznie przepraszam, ale Barley ma podrażniony żołądek i musiałam zostawić go u weterynarza, żeby pobrał mu krew do badania - wyrzuciła z siebie i objęła Audrey tak swobodnie i serdecznie, jakby znały się całe życie, potem zaś poklepała dziewczynki po głowach. - Jak minęła podróż? To straszny kawał drogi, więc na pewno jesteście wykończone... Umyłam samochód, bo pomyślałam sobie, że niekoniecznie musi się wam spodobać jazda w psich kudłach...

Audrey zajrzała w nieco kocią twarz szwagierki i poczuła, jak na jej policzki wypełza rumieniec. Widok tych jasnobłękitnych oczu i odrobinę krzywego uśmiechu sprawił, że zakręciło jej się w głowie. Ani przez moment nie sądziła, że Cicely może być podobna do Louisa.

- Bardzo miło z twojej strony, że po nas przyjechałaś... - wyjąkała, tracąc resztki pewności siebie.

- Och, przecież nie mogłabym zostawić was tu samych! - Cicely zaśmiała się cicho i spojrzała na bliźniaczki. - Więc to są moje bratanice... Mam nadzieję, że lubicie psy, bo mam ich aż osiem. No, chodźmy do samochodu, myślę, że już nie mogą się was doczekać...

Alicia i Leonora, zaskoczone bezpośrednim sposobem bycia ciotki, bez słowa poszły za nią.

- Jak to dobrze, że mam duży samochód! - Cicely podniosła klapę bagażnika zakurzonego volvo. - Macie sporo rzeczy, słowo daję... Na pewno kupiłyście już te okropne mundurki...

- Musiałyśmy kupić mnóstwo rzeczy - odparła Audrey, popychając córki do tylnych drzwiczek wozu.

- U mnie najbardziej przydadzą im się ciepłe swetry i skarpety. W domu nie ma żadnego ogrzewania poza kominkami, więc zimą można naprawdę zmarznąć. - Zerknęła na dziewczynki i zauważyła wyraz przerażenia na ich buziach. - Nie bójcie się, zawsze możecie wypożyczyć jakiegoś psa i ogrzać nim sobie łóżko... - dodała ze śmiechem. - One nie mają nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, chętnie służą pomocą. No, dobrze... Jedziemy do domu!

Audrey zajęła miejsce obok Cicely, zaraz jednak poczuła, że siedzi na czymś twardym i po chwili wygrzebała spod koca dwa duże psie ciasteczka.

- Połóż je na półeczce - poradziła Cicely. - Zabrałam ciastka bo nie byłam pewna, czy nie będę musiała przekupić Barleya, żeby zgodził się pójść do weterynarza. Na szczęście w odpowiedniej chwili zjawiała się Hilary Phipps ze swoją suką i Barley zaczął zachowywać się jak aniołek. Zawsze miał do niej słabość...

- To na pewno śliczna suczka... - odezwała się Audrey.

- Ależ skąd, to cuchnące stare pudło, nie śliczna suczka! Barley jest bardzo wybrednym młodzieńcem, jeżeli chodzi o dziewczyny, ale od początku podkochiwał się w Hilary. Chyba głównie dlatego, że ona czuła często się uśmiechnęła się trochę złośliwie.

- Ach, rozumiem... - szepnęła Audrey.

Cicely roześmiała się ciepło i Audrey pomyślała, że jej szwagierka w najmniejszym stopniu nie przypomina Cecila.

- Jak się czuje mój brat? - zapytała Cicely, jakby czytając w jej myślach.

Audrey miała wielką ochotę zapytać ją o Louisa, lecz obawiała się, że jej zainteresowanie może wydać się Cicely nieco podejrzanym, dlatego postanowiła odłożyć tę sprawę na bardziej odpowiedni moment. zaczęła opowiadać o mężu ze sztucznym entuzjazmem, co raz jeszcze uświadomiło jej, ile gorczy i niechęci nadal nosi w sercu.

Jechały wąskimi, krętymi drózkami, oddzielonymi od pól żywołotami i drzewami, których liście zaczęły już przybierać jesienne barwy. Łagodne słońce kładło blask na szczytach wzgórz i rozplamieniało lasy. Dzień był pogodny, lecz chłodny, jakby przyroda chciała przypomnieć ludziom, że zima już się zbliża, na razie powoli, ale nieuchronnie. Serce Audrey ogarnęła wielka fala smutku. Nagle przypomniała sobie słowa Louisa, wypowiedziane wiele lat temu. Dlaczego czuję smutek? Dlaczego? Może dlatego, że żadnej chwili nie da się zatrzymać, wszystko mija... Wszystko jest ulotne, jak tęcza czy zachód słońca... Zachciało jej się płakać. Nie wiedziała, czy przyczyną tego nastroju było napięcie, wynikające z nadchodzącego rozstania z córkami, czy też świadomość przemijania i popełnionych w życiu błędów, lecz na moment udało jej się zrozumieć, co miał na myśli Louis i czego się obawiał. Wszystko jest ulotne, jak tęcza czy zachód słońca... Dała Louisowi miłość, a potem ją zabrała. Miał rację, że jej nie ufał. Jej uczucie okazało się nietrwałe, zwodnicze. Zawiodła go.

Rozdział piętnasty

- Nie ma to jak w domu! - oznajmiła Cicely.

Samochód przejechał przez bramę w zniszczonym, pomalowanym na biało ogrodzeniu i zwolnił, mijając przycupnięte blisko ziemi gospodarcze budynki, które najlepsze lata z pewnością miały już za sobą. Bliźniaczki rzuciły się do okien wozu, piszcząc z radości na widok sfory psów, które biegły ku nim, szczekając i machając ogonami. Audrey pomyślała nagle o Cecilu. Byłby wściekły i nieszczęśliwy, gdyby zwierzęta podrapały lakier na jego samochodzie... Psia delegacja powitalna popędziła za nimi aż na wyspany żwirem podjazd przed domem.

- Piękny dom! - powiedziała Audrey szczerze, przyglądając się dworcowi z jasnoczerwonej cegły, którego fasadę i okna przesłaniały tu i ówdzie zielone liście wisterii, podobnej do pierzastego boa, udrapowanego na sukni eleganckiej starszej damy.

- Należał do rodziny mojego zmarłego męża - wyjaśniła Cicely. - Teraz ja staram się dbać o niego, jak mogę najlepiej, chociaż przy moich niewielkich zasobach finansowych słabo mi to wychodzi... Nie

przyglądajcie się zbyt dokładnie, bo zobaczycie wszystkie pęknięcia i plamy wilgoci. Tak czy inaczej, ten dom przetrwał ponad czterysta lat, więc sądzę, że i ja nie zdołam go zniszczyć...

- Jest naprawdę uroczy... - westchnęła Audrey, czując, jak jej smutek powoli znika. - Otacza go taka pogodna atmosfera, nie sposób tego nie zauważyć... Na pewno bardzo kochasz to miejsce.

Cicely uśmiechnęła się do niej.

- Cieszę się, że to mówisz... - powiedziała. - Moi rodzice od lat usiłują namówić mnie, żebym go sprzedała. W przeciwieństwie do ciebie nie rozumieją, co do niego czuję...

- Och, ja naprawdę cię rozumiem! - zapewniła ją Audrey. - Dziewczynki będą tu bardzo szczęśliwe i ja także!

Alicja i Leonora wysiadły z samochodu i natychmiast padły na kolana, głaszcząc psy i chichocząc, kiedy ich chłodne, mokre nosy i ciepłe, wilgotne języki łaskotały ich skórę. Sfora Cicely składała się z dwóch owczarków niemieckich, rudego spaniela, czarno-białego terriera, dwóch brunatnych psów trudnej do określenia rasy i tłustego małego psiaka, przypominającego posturą parówkę na czterech łapach. Żłocisty wyżeł imieniem Barlev został u weterynarza. Ogółem Cicely miała osiem psów, które traktowała jak ukochane dzieci. Kiedy psy zostawiły bliźniaczki w spokoju, przykucnęła, a zwierzęta otoczyły ją zwartym kołem, cichym skomleniem domagając się pieszczot. Cicely bynajmniej nie miała im za złe, że łapy zostawiały błotniste, brudne ślady na jasnych spodniach i koszuli. Audrey pomyślała, że jej szwagierka na pewno wysprzątała samochód i włożyła świeże, czyste ubranie specjalnie na powitanie, lecz teraz, kiedy już się poznali, nie widziała powodu, aby nadal zachowywać się w nienaturalny sposób. Audrey bardzo podobało się takie podejście do życia.

- Wejźmy do środka - rzekła Cicely, podnosząc się i prowadząc je na ganek. - Zostawcie walizki w bagażniku, poproszę później Marcela, żeby zaniósł je na górę.

- Marcela? - powtórzyła Audrey pytającym tonem.

- To młody malarz, Francuz, który urządził sobie studio w pokoju na poddaszu. Jest niezwykle utalentowany.

- Wspaniale, że wynajmujesz pokój! - ucieszyła się Audrey. - Widzę, że masz mnóstwo pomysłów!

- Tak! - Cicely parsknęła śmiechem.

Wprowadziła gości do holu. Długie, ciemne deski podłogi pokryte były zniszczonymi tureckimi dywanami, na starym dębowym stole w mosiężnej donicy pyszniły się piękne kwiaty.

- Moja jedyna słabość - wyznała gospodyni, znowu czytając w myślach Audrey. - Kwiaty. Ledwo starcza mi pieniędzy, żeby płacić Cyganom za koszenie trawy, ale zawsze znajdę parę groszy na kwiaty i rośliny doniczkowe... Są cudowne, prawda?

- Przepiękne.

- Chodźmy do kuchni - zaproponowała Cicely. - Zaraz przygotuję wam coś do picia. Na lunch mamy dużego kurczaka. Mam nadzieję, że będzie wam smakował. Panazel zabił go dziś rano...

- Naprawdę zabił kurczaka? - zapytała Alicia, podskakując z podniecenia.

- No, jeżeli nie zabił go naprawdę, to wyskoczy z piekarnika i ucieknie - zażartowała Cicely.

- Jakie zabawne imię... - odezwała się Leonora.

- Panazel?

- Tak.

- Cyganie zwykle noszą zabawne imiona - powiedziała Cicely, wchodząc do kuchni i zapalając światło. - Panazel ma synka w waszym wieku - dodała. - Nie jest zbyt miłym chłopcem. niestety...

- Jak ma na imię? - Leonora poklepywała tulącego się do jej nóg owczarka.

- Florian.

- Ładnie! - dziewczynka się uśmiechnęła.

- Też tak uważam - kiwnęła głową Cicely. - Ale to imię wcale do niego nie pasuje...

- Czy twoi Cyganie mieszkają w wozach, ciociu? - Alicia ulokowała się na taborecie przy piecyku.

- Tak, to są prawdziwi Cyganie, którzy przestrzegają tradycji. Mieszkają w pięknych, barwnie pomalowanych wozach, do których zaprzęgają dobrze utrzymane kuce. Nie pytajcie mnie tylko, gdzie się myją. Wyglądają na czystych i nie śmierdzą, za co z całego serca dziękuję losowi, ale nic poza tym nie umiem wam powiedzieć... Dobrze, że trafili mi się moi Cyganie, a nie jacyś okropni ludzie z miasta, którzy zatrzymują się na weekend, rozbijają namiot i wyjeżdżają, zostawiając kupę śmieci. Tacy pseudo turyści naprawdę cuchną na kilometr. Pozwalam Panazelowi i jego rodzinie mieszkać na mojej ziemi w zamian za pracę w ogrodzie i na polu...

- I za zabijanie kurczaków - uzupełniła z uśmiechem Alicia.

- Masz rację - przytaknęła Cicely, wyjmując szklanki z kredensu.

Każda szklanka była inna i odrobinę nadtłuczona lub pęknięta, co w dziwny sposób pasowało do całej kuchni.

- Za nic nie chciałabym patrzeć, jak ktoś zabija kurczaka - powiedziała Leonora, krzywiąc się na samą myśl o takim przeżyciu.

- Och, a ja bym chciała! - zawołała Alicia. - Mogę, ciociu?

- Naprawdę, kochanie, nie powinnaś - wtrąciła się Audrey. Często zastanawiała się, skąd bierze się u Alicii fascynacja śmiercią.

- Panazel na pewno będzie zachwycony, że chcesz mu towarzyszyć. - Cicely lekko wzruszyła ramionami. - Skoro masz tyle energii, to mogłabyś też pomóc mu zgrać liście z trawnika...

Alicia zmarszczyła nos.

- Po zabiciu kurczaka nie miałabym sił na grabienie oświadczyła.

Cicely roześmiała się i napełniła szklanki zimną lemoniadą.

- Czy po lunchu możemy zobaczyć Cyganów? - zapytała Leonora. - Nigdy nie widziałam prawdziwego Cygana...

- Oczywiście że możecie.

- Czy Panazel ma żonę? - odezwała się Audrey, przyglądając się, jak psy zaczynają krążyć po kuchni niczym wygłodniałe rekiny.

- Tak. Ma na imię Masha i piecze najpyszniejsze na świecie ciasta z owocami. Podam jedno do herbaty, bo Marcel także je uwielbia... - Cicely przerwała i utkwiała wzrok w oknie. - J'adore les gateaux, mon amour... - zamruczała z bardzo złym akcentem.

- Zawsze mi się wydawało, że Cyganie mają mnóstwo dzieci - powiedziała Audrey, biorąc szklankę z zimną lemoniadą, którą Cicely podała jej, kiedy otrząsnęła się z zamyślenia.

- Masha i Panazel poza Florianem mają jeszcze tylko starszą córkę, Ravenę, która bardzo chętnie przepowiada wszystkim przyszłość. Twierdzi, że odziedziczyła ten dar po babce, ale kto wie, jak jest naprawdę... - Cicely padła na fotel i pociągnęła łyk orzeźwiającego napoju. - Wszyscy Cyganie chwalą się, że posiadają dar przewidywania przyszłości...

- Tobie też wróżyła, ciociu? - zapytała Alicia,

- Tak, wiele razy, ale nigdy nie powiedziała mi nic sensownego. Mimo tego płacę jej za wróżby, bo przecież biedaczka musi z czegoś żyć... Od czasu do czasu proszę ją też, żeby pozmywała; ale psy się jej boją. więc raczej niechętnie wpuszczam ją do domu..

- Chyba są głodne - zauważyła Leonora, klepiąc po karku psa, który trącał nosem jej łokieć.

- Co one jedzą? - dopytywała się Alicia. - Musisz dawać im strasznie dużo, prawda?

- Tak. A właśnie, może pomożecie mi je nakarmić? Musicie się przyzwyczaić, bo to będzie jedno z waszych zadań. Powinnyście zapracować na wikt i opierunek, tak jak Cyganie...

Cicely uśmiechnęła się szeroko. Serce Audrey ścisnęło się boleśnie. Gdy Cicely uśmiechała się w ten sposób, rzucała czar. podobnie jak Louis.

Cicely i bliźniaczki napełniały osiem dużych metalowych misek karmą dla psów, gawędząc pogodnie, zupełnie jakby znały się od lat, natomiast Audrey przyglądała się twarzy szwagierki. znacznie piękniejszej od twarzy Cecila i Louisa. Cicely też miała błękitne oczy, były one jednak szeroko rozstawione i odrobinę skośne, trochę kocie. Nos dość długi i prosty jak u Cecila, wargi zaś pełne, zmysłowe i wyraźnie zarysowane jak u Louisa. Kiedy Marcel wszedł do kuchni, Audrey natychmiast odgadła, co łączy go z Cicely, ponieważ kąciki ust pani domu uniosły się w taki sam sposób jak Louisa, kiedy po raz pierwszy uśmiechnął się do swojej ukochanej.

- Marcelu, chcę przedstawić cię mojej bratowej, która przyjechała aż z Argentyny! - zawołała Cicely.

Marcel miał dwadzieścia osiem lat, oliwkową skórę, orzechowe oczy i gęste ciemne włosy, wijące się na szyi i wokół uszu. Mówił z wyraźnym francuskim akcentem i uśmiechał się tylko jedną stroną ust. Nosił krótki malarski fartuch z pełną pędzli kieszenią z przodu, co nadawało mu nieco karykaturalny wygląd. W jego twarzy uwagę przyciągał duży, zakrzywiony nos, który niewątpliwie potrafił rozróżnić aromat dobrego wina. Przez głowę Audrey przemknęła myśl, że Marcelowi brak tylko beretu i wianka cebuli lub czosnku, aby mógł odegrać rolę typowego francuskiego artysty.

- Enchante... - wymamrotał Marcel niskim, trochę zachrypniętym głosem, ujmując dłoń Audrey i całując ją powoli.

Potem odwrócił się do Cicely, której pod jego spojrzeniem wyraźnie ugięły się kolana.

- Mon amour, jeżeli mam tworzyć, muszę coś zjeść - oznajmił. - Moje ciało zużyło cały zapas energii, a bez energii nie mogę malować. Mój pędzel zamiera, wyobraźnia wysycha, wizje przestają się rodzić... Kiedy wreszcie się dowiem, co jest źródłem tych smakowitych zapachów?

Alicja zachichotała i pokazała mu psią miskę. Marcel z powagą zmarszczył brwi, dramatycznym gestem przeczesał palcami włosy i pokręcił głową.

- Kurczak będzie gotowy za kwadrans - odparła Cicely, która teraz prawie tańczyła w powietrzu. - Może napijesz się z nami trochę wina?

- Om, du vin! - Wyraźnie ucieszony, usiadł na krześle. - Bardzo chętnie.

Cicely podbiegła do lodówki i wyjęła butelkę wina sancerre.

- Szklaneczkę, Audrey?

- Z przyjemnością.

Ukrywając rozbawienie obserwowała, jak Marcel przybiera romantyczną pozę, która zapewne miała mu dodać uroku. Przez cały czas wodził wzrokiem za Cicely.

- Poznałam Marcela w Paryżu - wyjaśniła Cicely, a jej policzki zarumieniły się lekko. - Malował na ulicy, wyobrazasz sobie? Taki talent nie powinien się marnować...

- Cicely jest moją patronką. Nie wiem, czy udałoby mi się przetrwać, gdyby nie ona... - Wydął wargi i potrząsnął głową z takim wyrazem twarzy, jakby Cicely uratowała go od pewnej śmierci.

- Bzdury! - zaprotestowała. - Prędzej czy później ktoś z pewnością zwróciłby uwagę na jego obrazy. Tak czy inaczej, mam ogromne szczęście, że zdecydował się pracować właśnie tutaj, w samym środku Dorset...

- Mamy dać jedzenie psom? - zapytała Leonora, znudzona mieszaniem jedzenia w miskach.

- Tak, tak, bardzo proszę! Postawcie miski pod kuchennymi drzwiami, dziewczynki.

- A dla Barleya?

- Odbiorę go od weterynarza po lunchu, więc schowajcie jego miskę w piwnicy. - Cicely wskazała drzwi w korytarzu prowadzącym do kuchni.

- Cicely jest nie tylko moją patronką, ale i muzą - uzupełnił Marcel, przekrzykując szczekanie i powarkiwanie psów, które wypadły za bliźniaczkami na zewnątrz.

Cicely rzuciła Audrey dziwne, prawie przeprasające spojrzenie.

- Doskonale to rozumiem - powiedziała szczerze Audrey, pełna podziwu dla niezwyklej urody szwagierki.

- Fascynująca z niej kobieta, nieprawdaż? - Marcel wyraźnie się ośmielił.

Wziął butelkę i szklaneczkę z lekko drżących rąk Cicely i obdarzył ją pożądanym uśmiechem. Audrey pomyślała, że twarz młodego Francuza przypomina wiersz - jego powieki były ociężałe od czulej tęsknoty, wargi wydawały się czekać na jej pocałunki. W jego obecności Cicely robiła wrażenie młodej dziewczyny, każdy jej ruch świadczył o płonącej w sercu namiętności. Audrey nie miała cienia wątpliwości, że Cecil nigdy nie widział takiej Cicely. Marcel i jego uczucie odmieniły ją tak, jak tylko miłość potrafi odmienić.

Po lunchu Marcel wrócił do swego studia na poddaszu, przypominając, że musi mieć absolutny spokój.

- Wszelkie przerwy w pracy sprawiają mi ból, podobnie jak to było z wielkim Michałem Aniołem - oświadczył melodramatycznie.

Audrey poszła z Cicely i bliźniaczkami w kierunku padoku na końcu ogrodu, gdzie Cyganie rozbili obóz. Ogród był dziki i zarośnięty, a ostatnie letnie kwiaty wysypywały się z zaniedbanych kwietników, powoli zagarniając trawnik. Wysokie drzewa stały dostojnie, podobne do mądrych starych mężów stanu, od lat wciąż tak samo czuwając nad dworem i okoliczną doliną, gotowe zakończyć kolejny cykl życia i zapaść w sen aż do wiosny. Po jasnoblękitnym niebie białe i szare chmurki przemykały niczym spłachty piany po falach, a chłodny wiatr przyprawiał o dreszcze za każdym razem, gdy słońce zniknęło za pokrywą z obłoków. Audrey znowu uświadomiła sobie, jak pięknym miejscem jest posiadłość Cicely. Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego współpasażerowie z „Alcantary” tak bardzo zachwycali się pięknem angielskich krajobrazów. Patrzyła, jak jej córki schylają się, zbierając ostatnie, trochę już przejrzałe czarne jagody i przyszło jej do głowy, że może kiedyś uznają ten kraj za swoją prawdziwą ojczyznę. Po latach spędzonych w Anglii Argentyna zapewne zblednie w ich pamięci, a obrazy z dzieciństwa znikną, wyparte przez fascynację nowym światem.

Między drzewami dostrzegła trzy barwnie pomalowane cygańskie wozy, stojące wśród wysokich traw. Drzwi były szeroko otwarte, a do wejścia prowadziły drewniane schodki. Stado silnych, niskich koni pasło się leniwie w słońcu. Między dachem jednego z wozów a pobliskim drzewem ktoś przeciągnął sznurek, na którym suszyło się pranie. Dziewczynki przeskoczyły przez ogrodzenie i pobiegły do koni. Głaskały ich miękką sierść i przemawiały do nich, chociaż zwierzęta w ogóle nie zwracały na nie uwagi.

- Co za piękny widok! - powiedziała Cicely, otwierając bramę. - Lubię, kiedy konie się tu pasą, to taki piękny widok... Marcel chce je namalować, musimy jednak być bardzo taktowni, ponieważ Panazel jest bardzo dumny i chyba nie chciałby, aby jego konie stały się częścią widoczku przedstawionego na pudełku czekoladek...

- Jaki on słodki, mamusiu! - Leonora delikatnie poklepywała konia po szyi. - Myślisz, że można się na nim przejechać?

- Trzeba zapytać Panazela - poradziła Cicely. - Ma mniejszego konia, młodego kuca, ale chyba gdzieś się na nim wybrał.

- W Colehurst House dziewczęta będą często jeździły konno. - Audrey uśmiechnęła się do Leonory, która wyraźnie usiłowała zwrócić na siebie jej uwagę.

- Oczywiście! - Cicely westchnęła nostalgicznie. - Colehurst House to najprawdziwszy raj. Latem całymi dniami jeździłam tam konno po wzgórzach. Dziewczynki zakochają się w tej szkole od pierwszego dnia, zobaczysz. Gdybym miała córki, także bym je tam posłała.

Audrey już od paru godzin zastanawiała się, dlaczego Cicely nie ma dzieci. Nie ulegało wątpliwości, że lubi je i łatwo nawiązuje z nimi kontakt, a dom robił wrażenie idealnego miejsca dla dzieci. Cicely nie wyglądała jednak na osobę zgorzkniałą, poza tym miała przecież psy, które teraz okrążały wozy i konie, głośno szczekając. Konie spokojnie przeżuwały trawę i tylko od czasu do czasu podnosiły głowy, aby rozejrzeć się dookoła i odegnąć roje much. Bliźniaczki zamierzały ostrożnie zajrzeć do wnętrza wozu, gdy nagle jeden z koni zarżał głośno i zastrzygł uszami. Z lasu wyłonili się Panazel i Florian, prowadząc małego faciatęgo kuca, który niósł na grzbiecie dwie beczułki z wodą.

- Jest bardzo przystojny; nie uważasz? - mruknęła Cicely do Audrey.

- Bardzo - przytaknęła Audrey.

Panazel był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, po którym widać było, że całe życie pracował na roli. Jego skóra pociemniała od słońca i wiatru. Szedł na lekko ugiętych nogach, powoli, jakby życie wydawało mu się dość długie, by nigdzie się nie śpieszyć. Jego syn, Florian, nieco podejrzliwym wzrokiem mierzył czekające na nich przy wozach kobiety. Czoło i oczy chłopca przesłaniała długa ciemna grzywka. Florian miał dwanaście lat i chodził do szkoły we wsi, oczywiście wtedy, kiedy o tym pamiętał. Nienawidził szkoły i najczęściej z ponurą miną siedział w ostatniej ławce, marząc o konnych wyprawach na wzgórze i pracy u boku ojca w ogrodzie pani Weatherby.

- Dzień dobry, pani Weatherby - odezwał się Panazel, z szacunkiem skłaniając głowę.

Florien wymamrotał powitanie i utkwiał w bliźniaczkach oczy koloru dębowej kory. Dziewczynki przyglądały mu się z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie widziały prawdziwych Cyganów, a ten chłopiec wydał im się o wiele bardziej przystojny od tych, z którymi czasami bawiły się w Argentynie.

- Chcę przedstawić wam moją bratową, która zamieszka u mnie na kilka tygodni, dopóki jej córeczki nie przyzwyczają się do nowej szkoły - rzekła Cicely. - Przyjechały aż z Argentyny...

Panazel skinął Audrey głową, a w oczach Floriena zabłyśła ciekawość. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Argentyna, lecz nie wątpił, że bardzo daleko. Zastanawiał się, czy dziewczynki mówią po angielsku, czy może po francusku. Obie możliwości wydawały mu się łatwe do zaakceptowania, bo w szkole nauczył się trochę francuskiego,

- To jest Alicia, a to Leonora - ciągnęła Cicely, wskazując bratanicę.

Florienowi od razu spodobała się Alicia, której uroda nie odmiennie budziła podziw. Alicia bez trudu zauważyła zachwycone spojrzenie chłopca i obdarzyła go pewnym siebie, zarozumiałym uśmiechem.

- Alicia chciałaby zobaczyć, jak zabijasz kurczętą - dorzuciła Cicely.

Dziewczynka zerknęła na Panazela, który z dezaprobatą zmarszczył brwi. Wydawało mu się niemożliwe, aby tak piękna istota miała tak dziwaczne życzenia.

- Kiedy będzie pani znowu piekła kurczaka, pani Weatherby? - zapytał, zaskoczony wyniosłym wyrazem twarzy dziewczynki.

Cicely wzruszyła ramionami.

- Nie zastanawiałam się nad tym, szczerze mówiąc. Chyba możemy zjeść kurczaka na jutrzejszy lunch... Mamy ich całe legiony, prawda?

- Kurcząt nam nie brakuje - zaśmiał się Panazel.

- Może Florian zabrałby dziewczynki na spacer i oprowadził je po farmie? - zaproponowała Cicely.
- Na pewno z przyjemnością wszystko tu obejrzą, bo przecież to ich pierwsza wizyta w Anglii...

Florien skrzywił się lekko, zupełnie jakby kazano mu wyrecytować mnożenie przez dziewięć od jednego do dziesięciu i za czerwieńił się aż po korzenie błyszczących czarnych włosów.

- Możemy przejechać się na tych koniach? - zapytała Alicia.

Florien odetchnął z ulgą. Dobrze chociaż, że znały angielski...Porozumiewanie się po francusku mogłoby sprawić mu pewne problemy.

- Jeżeli macie ochotę... - powiedział Panazel. - Ale dopiero wieczorem, bo teraz mam jeszcze mnóstwo roboty,

Cicely uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ona także uważała, że na farmie nie brak rzeczy, które wymagają gospodarskiego oka Panazela.

- Chcę obejrzeć twój wóz w środku, Florian - odezwała się nagle Alicia.

Audrey drgnęła, niemiło zaskoczona rozkazującym tonem głosu córki, lecz Florian rzucił jej zachwycone spojrzenie i bez słowa ruszył w kierunku wozu, gestem zachęcając Alicię, aby poszła za nim. Leonora już dawno zdążyła przywyknąć do tego, że w obecności Alicii traktowano ją jak piąte koło u wozu. W gruncie rzeczy przestało jej to już nawet przeszkadzać.

Audrey i Cicely zawróciły przez pole do ogrodu, otoczone gromadką obwąchujących drzewa i krzewy psów. Audrey z trudem powstrzymywała się, aby nie zapytać o Louisa. Od przybycia do Anglii wciąż o nim myślała. Wszędzie wyczuwała jego obecność, a widok jego siostry jeszcze nasilał to wrażenie. Okazja nadarzyła się zaraz po powrocie do domu, kiedy Cicely zaprowadziła ją do salonu, gdzie na kłapie zakurzonego fortepianu stało kilkanaście fotografii w srebrnych ramkach. Audrey niespokojnie szukała wśród nich zdjęcia Louisa i w końcu jej wzrok spoczął na jego uśmiechniętej twarzy. Uśmiech Louisa skrywał jego nadzieje i marzenia, tęsknoty i rozczarowania, wszystko, co

doskonale znała i rozumiała. Pragnęła dotknąć fotografii i przywołać go z pamięci takim, jaki był tamtego lata, kiedy tańczyli tango na brukowanych uliczkach Palermo. Zamyśliła się tak głęboko, że dopiero po chwili dotarło do niej, iż Cicely coś mówi.

- Podobno pięknie grasz na fortepianie. - Cicely przysiadła na parawanie przed kominkiem, a dwa owczarki niemieckie wyciągnęły się na podłodze u jej stóp.

Audrey oderwała spojrzenie od twarzy Louisa i westchnęła.

- Obawiam się, że to przesadnie pozytywna ocena... - powiedziała cicho.

- Cecil jest pełen podziwu dla twoich zdolności - powiedziała Cicely. - Sam nigdy nie potrafił niczego zagrać, w przeciwieństwie do Louisa...

Audrey zbladła. Odwróciła się powoli. Cicely patrzyła na nią z zaciekawieniem i współczuciem. Audrey nie wiedziała, co po wiedzieć, nie miała pojęcia, czy Louis zwierzył się siostrze ze swoich przeżyć i co jej wyznał. Z zapartym tchem czekała na jakąś wskazówkę ze strony Cicely. Jej szwagierka przechyliła głowę na bok i spojrzała na nią spod rzęs.

- Serdecznie ci współczuję z powodu śmierci twojej siostry... - odezwała się. - Wiem, że stało się to wiele lat temu, ale doskonale rozumiem, co znaczy strata kogoś bliskiego. Nie można o tym zapomnieć, taka rana nigdy się nie zabliznia. Żyjemy dalej, bo musimy, lecz cały świat wydaje się już inny... - uśmiechnęła się słabo i z trudem odsunęła wspomnienie twarzy zmarłego męża.

- Dziękuję ci... - odparła cicho Audrey.

Czuła się dziwnie bezbronna, więc szybko odwróciła się, usiadła na sofie i założyła ręce na piersi.

- Cecil pisał mi, jak wyjątkową osobą była twoja siostra, a Louis... - Audrey podniosła wzrok i lekko zmarszczyła brwi. Cicely doszła do wniosku, że musi ostrożnie dobrać słowa. - A Louis... Serce Louisa zostało złamane - dokończyła.

- Louis po prostu zniknął - powiedziała Audrey i zakasłała, słysząc, że jej głos drży. - Jednego dnia był w Hurlingham, a następnego wyjechał...

Utkwiła oczy w kwiecistym dywanie i przygryzła wargę.

- Pojechał do Meksyku - rzekła Cicely. - Bóg jeden wie, co się tam z nim działo. Cecil napisał do mnie i opowiedział mi o wszystkim. Nie zaskoczyło mnie to, Louis zawsze był bardzo wrażliwy i kruchy wewnątrz. Cóż, na pewno ty także znasz go od tej strony... I nagle zjawił się tu na początku wiosny zeszłego roku, jak grom z jasnego nieba, bez żadnego uprzedzenia... - W głosie Cicely zabrzmiała miękka nuta wzruszenia. - Wyglądał staro, zupełnie jakby te przeżycia odarty go z młodości... Musisz pamiętać, że Cecil i ja jesteśmy od niego dużo starsi... Zawsze był naszym młodszym braciszkiem i w moich wspomnieniach taki pozostanie... Mimo wszystko nadal ma w sobie coś z dziecka... - Audrey walczyła z falą żalu i wyrzutów sumienia, lecz Cicely najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że jej słowa zadają bratowej ból. - Louis zawsze był nieprzewidywalny, ale trudno nazwać go skrytym - ciągnęła. - Ale gdyby Cecil nie napisał mi o Isli, nigdy bym się nie domyśliła, co dręczy Louisa. Nie miał ochoty na zwierzenia, chociaż od jej śmierci minęło już przecież sporo lat. Robił wrażenie okaleczonego wewnątrz, dotkniętego strasznym cierpieniem... Próbowałam wydobyć coś z niego,

sądziłam, że będzie lepiej, jeżeli wyrzuci to z siebie, ale on całymi dniami grał tylko tę smutną melodię. Chwilami myślałam, że oszaleję. Tylko Chip, ten mały tłusty psiak, z przyjemnością wsłuchiwał się w te nieharmonijne dźwięki. Siedział u stóp Louisa i jak zaczarowany wpatrywał się w poruszające się pedały...

- Gdzie jest teraz Louis? - Audrey miała nadzieję, że Cicely nie zwróci uwagi na rozpaczliwą nutę w jej głosie.

- Nie wiem. W końcu poprosiłam go, żeby wyjechał. - Cicely z żalem wyduła wargi, nawijając na palec pasmo siwiejących włosów, które wysunęło się spod spinki. - Z każdym dniem coraz bardziej pograżał się w ponurym nastroju, grał na fortepianie i chodził na długie spacerunki. Jest dorosłym człowiekiem i nie może tak po prostu nic nie robić, oczekując wsparcia od rodziny. Nie mam pojęcia, czym zajmował się w Ameryce Południowej. Chyba dawał lekcje muzyki, bo mimo wszystko w jakiś sposób zarabiał na utrzymanie. Powiedziałam mu, żeby znalazł sobie pracę, ale oczywiście tego nie zrobił. Wiedziałam, że w żadnym razie nie poprosi o pomoc rodziców, więc nawet mu tego nie proponowałam... - Nie ulegało wątpliwości, że Cicely stara się sama przed sobą usprawiedliwić, dlaczego nie zrobiła nic więcej. - Utrzymywałam go przez kilka miesięcy, a potem pewnego dnia spakował rzeczy i wyjechał. Ciągle mam w uszach tę melodię, słowo daję... Tak to jakoś brzmiało... - Audrey zamarła, kiedy Cicely zanuciła utwór, który Louis skomponował dla niej przed wielu laty. Nagle łzy popłynęły jej po policzkach. Próbowwała je otrzeć, - Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować... - powiedziała szybko. - Na pewno trudno ci słuchać o Louisie, który odegrał tak ważną rolę w ostatnim okresie życia Isli...

Audrey potrząsnęła głową i pociągnęła nosem, wycierając twarz dłonią.

- To ja przepraszam... Wszystko w porządku, naprawdę. Zrobiło mi się smutno, bo ostatni raz widziałam Louisa w dniu pogrzebu Isli. Bardzo chciałam go znowu zobaczyć...

- Ja także, możesz mi wierzyć. Wyjechał bez pożegnania i od tamtej pory nie dał znaku życia. Mam straszne wyrzuty sumienia, ciągle mi się wydaje, że po prostu wyrzuciłam go z domu... - Skrzywiła się żałością. - Louis w żaden sposób nie mógł dojść do porozumienia z Marcelem...

- W Hurlingham także nie potrafił nawiązać z nikim dobrych stosunków - westchnęła Audrey. - Ale ja patrzyłam na niego inaczej. Rozumiałam go.

- Isla musiała być naprawdę wyjątkową osobą. - Cicely pokiwała głową. - Louis nigdy wcześniej nie był zakochany i nie sądzę, żeby znowu obdarzył kogoś miłością... Myślę, że połączyła ich więź, której istoty nigdy nie uda nam się zrozumieć... Isla na pewno była osobą o dobrym, otwartym sercu...

Audrey wzruszona, długo nie mogła wydobyć głosu. Nagle Cicely zerknęła na zegarek.

- Dobry Boże, zupełnie zapomniałam o Barleyu! - zerwała się na równe nogi. - Miałam odebrać go od weterynarza! Mogę cię tu na chwilę zostawić, prawda?

Audrey, bez słowa skinęła głową. Chwila samotności była tym, czego najbardziej teraz potrzebowała. Musiała spokojnie przemyśleć wszystko, co usłyszała. Cicely uśmiechnęła się

przepraszająco i wybiegła z pokoju z psami, zostawiając za sobą lekki aromat tuberozy. Audrey zaczekała, aż drzwi domu zatrzęsą się za szwagierką i powoli podeszła do fortepianu.

Kiedy tak patrzyła w twarz mężczyzny, którego nigdy nie przestała kochać, poczuła, jak niespodziewanie ogarnia ją fala przerażającego osamotnienia. Pieściła wzrokiem rysy Louisa; raz po raz ocierając łzy, zupełnie jakby optakiwała jego śmierć. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek go ujrzy. Może naprawdę umarł gdzieś daleko od niej i swoich bliskich... Zresztą, nawet gdyby go znowu spotkała, to jak by powiedziała, że wyszła za jego starszego brata... Przecież już raz złamała mu serce... Nie mogła znieść myśli, że miałyby znowu zadać mu ból. Jego siostra powiedziała przed chwilą, że Louis jest wewnętrznie kruchy i bardzo wrażliwy. Audrey przeklinała się teraz w myśli za brak odwagi.

Opanowana obezwładniającym pragnieniem wyrażenia swego smutku, usiadła przy fortepianie i oparła drżące palce na klawiszach. Zdawała sobie sprawę, że jakiś czas temu w tym samym miejscu siedział Louis. Miała wrażenie, że czuje zapach jego skóry i wszystkimi zmysłami odbiera jego obecność.

Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Nie grała tej melodii, ich melodii, od wielu lat, lecz teraz była sama i nie miała siły walczyć z pokusą. Jej palce zatańczyły na klawiszach, jakby nuty sonaty zostały w nich zaprogramowane, wpisane w jej pamięć raz na zawsze. Dobrze znane, głęboko poruszające dźwięki Sonaty o niezapominajce ukoili jej udręczoną duszę i napełniły serce nadzieją. Nie zauważyła, że mały piesek, podobny do parówki na czterech łapach, wszedł do pokoju i ułożył się pod fortepianem, aby w skupieniu obserwować poruszające się pedały. Nie była też świadoma, że pracujący na poddaszu Marcel odłożył pędzel i zasłuchał się głęboko.

Rozdział szesnasty

Florien nie był zbyt rozmowny, ale Alicia nie zwróciła na to uwagi, ponieważ całkowicie pochłonęło ją opowiadanie o samej sobie. Leonora od razu weszła w swoją rolę i starała się nieco ośmielić chłopca - przywykła już do tego, że siostra olśniewała ludzi, wprawiając ich w zmieszanie i odbierając zdolność logicznego myślenia. Wiedziała, że to właśnie przydarzyło się Florianowi. Ciocia Cicely uprzedziła je wprawdzie, że Florian nie jest zbyt sympatycznym chłopcem, ale Leonora podejrzewała, że jest po prostu bardzo nieśmiały.

W milczeniu patrzył, jak oglądają jego wóz i najwyraźniej nie mógł oderwać oczu od Alicii. Leonorę zachwycało proste piękno ręcznie tkanych dywaników i koców oraz fotografie i obrazki, zdobiące ściany, z których tu i ówdzie odpadała farba, natomiast Alicia z protekcyjnym uśmiechem przyglądała się ciasnemu pomieszczeniu, raz po raz głośno wyrażając zdziwienie, że ktoś może mieszkać w takich warunkach.

- Zupełnie jak domek z bajki! - zawołała. - Można by pomyśleć, że jesteście rodziną krasnoludków! Wszystko tu takie maleńkie i śliczniutkie, prawda, Leo?

Leonora skrzywiła się i natychmiast usiłowała zatrzeć wrażenie, jakie mogły wywołać nietaktowne uwagi siostry.

- Och, bardzo mi się tu podoba - powiedziała spokojnie. - Chciałabym mieszkać w takim ładnym domu... Najważniejsze jest chyba jednak to, że można go wszędzie ze sobą zabrać. To o wiele zabawniejsze niż mieszkanie w domu z cegieł...

Równie dobrze mogła oszczędzić sobie wysiłku, ponieważ Florian był zbyt porażony urokiem Alicii, aby jej słowa w ogóle do niego dotarły.

- Pokaż mi teraz farmę - poleciła Alicia, wychodząc z wozu na słońce, które na chwilę wyłoniło się zza szarej chmury, - Macie tu dużo zwierząt?

Florien skinął głową.

- Jakich? Krów, świń, kóz?

Chłopiec przełknął ślinę, znowu kiwnął głową i ruszył w kierunku furtki, przez którą wcześniej przeszli. Alicia odwróciła się do Leonory i mrugnęła porozumiewawczo.

- Chyba połknął język - powiedziała głośno.

- Alicia... - zaprotestowała Leonora, lecz jej siostra odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

- A może on w ogóle nie ma języka - dodała. Florian usłyszał jej słowa i policzki oblał mu krwawy rumieniec. Trzymał się kilka kroków z przodu, żeby dziewczęta nie zauważyły jego zmieszania. Poszły za nim przez duży, ogrodzony starym murem ogród warzywny, którego niektóre fragmenty były zadbane i starannie wypielone, niewątpliwie dzięki wysiłkom Panazela i Floriena.

- Widać, że ciężko tu pracujecie - zauważyła Leonora, przyspieszając kroku. - Ta posiadłość jest naprawdę ogromna...

Florien nie odpowiedział, lecz ona postanowiła pokazać siostrze, że wystarczy trochę uprzejmości, aby zdecydował się nawiązać z nimi rozmowę.

- W Argentynie kupujemy wszystkie warzywa w sklepie albo na targu, ale mamy całkiem ładny ogród, a nasza babcia ma pomarańczowy sad, który w lecie oszałamiająco pachnie. Mogłabym trochę pomóc ci w ogrodzie... Jest tu mnóstwo do zrobienia, chyba za dużo dla ciebie i twojego taty...

Florien zerknął na łagodną twarz tej niezbyt atrakcyjnej dziewczynki i nagle odzyskał odrobinę pewności siebie.

- Dla mnie i moich rodziców - sprostował zaskakująco miękkim głosem, otwierając furtkę w murze, prowadzącą na dziedziniec okolony budynkami gospodarczymi.

- Och, twoja mama też wam pomaga? Tak czy inaczej, nawet trzem osobom na pewno trudno jest uporać się z takim wielkim gospodarstwem...

- Wszystko się tu rozpada - zauważyła Alicia, zrównując się z nimi. - No to gdzie są zwierzęta?

- Może się i rozpada, ale to piękne miejsce... - westchnęła Leonora.

Alicia ze zniecierpliwieniem zmarszczyła nos. Miała już dosyć towarzystwa siostry i naprawdę nie mogła się doczekać, kiedy spotka nowe koleżanki.

Florien podszedł do ogrodzenia, za którym znajdował się porośnięty trawą placyk. Ku zachwytowi Alicii okazało się, że biega po nim kilkadziesiąt podrośniętych kurczaków, a także jeden bardzo duży, dumny kogut, który przechadzał się wśród mniejszych ptaków, dziobiąc je lekko, jakby chciał im przypomnieć, kto tu rządzi.

- Jak je zabijacie? - zagadnęła Alicia bez cienia zmieszania. Florian wdrapał się na płot i z tej niewielkiej wysokości spojrzął w jej władczą twarz. Dopiero teraz poczuł się trochę pewniej.

- Trzeba im skręcić kark - odparł nonszalancko.

- Ach, więc Cygan jednak umie mówić! - zakpiła Alicia. Leonora była przerażona, wiedziała jednak, że niewiele może zrobić, by mu pomóc, odeszła więc w drugą stronę, aby obejrzeć zaniedbane budynki.

- Ale jak? - drążyła Alicia, kątem oka obserwując, jak jej siostra znika za starą szopą.

Florien wykonał dłońmi krótki ruch. Oczy Alicii zabłyśły na moment, nim słońce skryło się za chmurą.

- Pokaż mi - rozkazała. Chłopiec potrząsnął głową.

- Zabijamy je tylko wtedy, kiedy trzeba przyrządzić z nich posiłek - odparł.

- Ciocia Cicely powiedziała, że chce jutro podać kurczaka na lunch.

- Nie wolno mi... - wymamrotał Florian.

- Nie bądź dzieckiem!

- Nie mogę.

- Spróbuj! - nalegała. - Leo poszła, więc nikomu nie powie! To będzie nasza tajemnica.

- No, nie wiem... - Florian pokręcił głową. Niebo nad ich głowami przestroniła ciężka deszczowa chmura i jego oczy pociemniały.

- Nie wierzę, że w ogóle potrafiłbyś to zrobić! - rzuciła drwiącym tonem. - Dzieciak z ciebie! Ile masz lat?

- Dwanaście - odpowiedział cicho i odwrócił się, żeby popatrzeć na kurczaki. Alicia wyczuła, że ofiara słabnie i postanowiła ją dobić.

- Ja mam dopiero dziesięć, ale gdybym wiedziała, jak to zrobić, na pewno bym się nie wahała - oznajmiła dumnie. - Ty jesteś chłopcem, i to o dwa lata starszym, ale boisz się, że narobisz sobie kłopotów, tak? Kto miałby na ciebie naskarżyć, bo przecież nie ja? Zakopimy go w ogrodzie i nikt się nie dowie, zobaczysz! Nie chcesz, żebyśmy mieli wspólny sekret?

Florien nie był w stanie znieść dalszych tortur. Zeskoczył z płotu i chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w kurczęta, które spokojnie skubały trawę, nieświadome zagrożenia. Potem powoli zatarł ręce. Skręcił już kark niejednemu kurczakowi, ale nigdy wcześniej nie miał tak uroczej widowni. Nie chciał popełnić najmniejszego błędu. Gdyby ptak nie skonał natychmiast, był by to blamaż i Florian czuł, że nie mógłby spojrzeć dziewczynce w twarz. Nienawidził jej, lecz jednocześnie pragnął zasłużyć na jej podziw. Jej spojrzenie wydawało się przenikać skórę i palić ciało, czyniąc go świadomym istnienia każdego mięśnia. Jeszcze nigdy aż tak bardzo nie zależało mu, aby zrobić na kimś wrażenie. Florian uwielbiał swoją matkę, lecz ona nie budziła w nim takich uczuć. Zwinny jak kot, szybko przebiegł na drugą stronę placu. Kilka ciężkich kropli deszczu spadło na jego twarz i ramiona, ale on nawet tego nie zauważył. Musiał się skoncentrować, nie chciał wyjść na wiejskiego głupka. Utkwił oczy w kurczaku, który na sekundę podniósł głowę i znieruchomiał z przerażenia, a potem skoczył i mocno chwycił ptaka. Alicia wydała pełen zachwyty okrzyk i klasnęła w dłonie. Serce Floriena napęczniało z dumy niczym balon, na jego ustach wykwitł triumfalny uśmiech. Uniósł kurczaka za szyję i czując na sobie uważny wzrok Alicii, jednym ruchem skręcił mu w powietrzu kark.

W tej chwili niebo otwarło się i na ziemię lunął potok deszczu. Alicia pisnęła przenikliwie i oderwała oczy od martwego ptaka, bezwładnie zwisającego ze zwycięskiej dłoni Floriena.

- Uciekajmy, Leo! - zawołała, pędem ruszając w kierunku domu.

Leonora wypadła z szopy i pognąła za nią, śmiejąc się głośno.

Krople deszczu spływały po głowie, ramionach i plecach. Florian został sam, oniemiały i całkowicie oszołomiony. Powoli otarł twarz. Nagle ogarnęło go obrzydzenie i nienawiść do samego siebie. Nienawidził tej małej snobki! Nigdy się już do niej nie odezwie! Z rozpaczą i gniewem zagryzł wargi i pobiegł do ogrodu warzywnego. Tam padł na ziemię i zaczął gołymi rękami kopać dziurę w ziemi. Wrzucił do niej jeszcze ciepłego ptaka, przysypał go i uklepał ziemię. Potem wytarł dłonie w spodnie i wrócił do domu, gardząc sobą tak jak jeszcze nigdy w życiu.

- Florian zabił dla mnie kurczaka - powiedziała Alicia, kiedy schowały się przed ulewą w kamiennej altanie, stojącej w kącie ogrodu pod parasolem z gałęzi drzew.

Leonora przeraziła się nie na żarty.

- Nieprawda! - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- Głupia! - warknęła Alicia. - Oczywiście, że to zrobił! Obiecałam mu, że to będzie nasz sekret, więc nie mów nikomu.

- Nie powiem, obiecuję...

- W porządku.

- Czy ten kurczak cierpiał?

- Okropnie. - Alicia uśmiechnęła się triumfalnie. - Najpierw Florian gonił go tak długo, aż ptak upadł z wyczerpania. Kiedy Florian podniósł go z trawy, usłyszałam szybki oddech i łomotanie serca. Potem powoli, bardzo powoli zacisnęła palce na jego szyi... Kurczak zdychał długo i boleśnie...

Alicia przyglądała się, jak oczy jej siostry napętniają się łzami. Zaczekała, aż popłynęły po policzkach i dopiero wtedy postanowiła zakończyć męczarnie Leonory.

- Nie bądź idiotką! - prychnęła. - Skręcił mu kark tak szybko, że głupi ptak nawet nic nie poczuł!

- Och, to dobrze! - Leonora szybko otarła policzki. - Czasami jesteś strasznie niedobra...

- A ty tak naiwna i łatwowierna, że aż robi mi się niedobrze, staruszeko.

Leonora uśmiechnęła się niepewnie; słysząc ciepłą nutę w głosie siostry.

- Co myślisz o Florianie? - zapytała.

Alicia była zawsze najbardziej szczęśliwa, gdy mogła mówić o sobie i o tym, co myśli. Leonora często sprawiała jej tę przyjemność.

- Jest przystojny, ale głupi - odparła.

- Och... - Leonora uważała, że Alicia jest bardzo niesprawiedliwa, ale nieśmiała jej tego powiedzieć.

- Tak czy inaczej, dobrze, że będzie się tu kręcił w czasie wakacji - ciągnęła Alicia. - Zanudziłabym się na śmierć, gdybyśmy miały bawić się tylko we dwie. Może zbuduje dla nas domek w lesie i pojeździ z nami konno, najlepiej na oklep...

- Bardzo podobają mi się ich wozy - wyznała Leonora. - Byłoby miło, gdyby pozwolili nam się tam pobawić...

- Może - rzuciła Alicia z roztargnieniem. Jej myśli znowu zaczęły krążyć wokół Floriena, którego zostawiła samego, z martwym kurczakiem w ręce. - Ciekawe, czy go zakopie, czy przyzna się do wszystkiego... - mruknęła, mrużąc oczy.

- Na pewno go zje.

- Coś ty! - Alicia roześmiała się głośno. - Jego ojciec sprząby go na kwaśne jabłko, gdyby się dowiedział. Dam sobie rękę uciąć, że Florianowi nie wolno zabijać zwierząt. Zresztą, obiecałam mu przecież, że to będzie nasza tajemnica...

Leonora westchnęła ciężko. Wreszcie zrozumiała, jak to było - Alicia zmusiła Floriena do zabicia kurczaka. Oczarowała go do tego stopnia, że biedak chciał wykorzystać każdą okazję, aby się przed nią popisać. - Teraz na pewno jest na mnie wściekły... - zachichotała uwodzicielka. - Ale i tak nie może naskarżyć, bo musiałby się przyznać, co zrobił...

- Biedny Florian... - mruknęła Leonora.

Pomyślała, że w czasie wakacji z radością pomogłaby Florianowi i jego ojcu w pracach w ogrodzie i koło domu, lecz po wybryku Alicii chłopiec nie będzie chciał o tym nawet słyszeć.

- Musisz przestać się tak rozczulać z byle powodu - pouczyła ją Alicia. - Nie będziesz miała żadnych koleżanek z prawdziwego zdarzenia, jeżeli się nie zmienisz! Jesteś za łagodna i za milutka!

Leonora obrzuciła siostrę uważnym spojrzeniem. Wiedziała, że Alicia nie ma racji, lecz mimo tego nie potrafiła jej nie podziwiać. Alicia miała wszystko, czego jej samej tak bardzo brakowało... Matka Natura najwyraźniej odczytała myśli Leonory, ponieważ deszcz przestał padać i słońce wyrzało zza chmur, oświetlając piękną twarzyczkę Alicii niezwykłym blaskiem.

Kiedy Barley, złocisty wyżeł, wpadł do salonu; Audrey i Leonora siedziały na sofie, słuchając, jak Alicia gra Sonatę księżycową.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Cicely. - Ależ ty pięknie grasz! Alicia się skrzywiła. Nie znosiła ludzi, którzy jej przerywali, ale ponieważ nie знаła jeszcze cioci Cicely zbyt dobrze, zmusiła się do uśmiechu i spokojnie grała dalej.

- Z Barleyem wszystko w porządku - ciągnęła Cicely. - Jest zdrowy jak koń. Najprawdopodobniej zjadł jakieś brudne paskudztwo na farmie, ale już doszedł do siebie...

Barley obwąchał buty Leonory, a potem usiadł przed nią i bez ostrzeżenia oparł przednie łapy na jej kolanach.

- Och, mamusi, popatrz! - ucieszyła się dziewczynka, drapiąc psa za uszami. - Jest taki słodki...

Alicia mocno nacisnęła pedał i ze zdwojoną siłą uderzyła w klawisze.

- Cudowny - przytaknęła Audrey i pogłaskała Barleya po plecach. - Ma kręcone włosy, zupełnie jak Alicia...

Alicia doszła do wniosku, że lepiej będzie zrezygnować teraz z dalszych popisów, wstała i podeszła do matki i siostry, aby poklepać psa po głowie.

- Ma takie loczki jak ja, prawda? - Uśmiechnęła się, zadowolona, że wreszcie znowu znajduje się w centrum uwagi. - Chcę, żeby teraz położył łapy na moich kolanach... - zapiszczała, odciągając psa od siostry i prowadząc go do drugiej sofy.

Leonora nie zaprotestowała, a Audrey przyglądała się wszystkiemu z pobłażliwym uśmiechem. Alicia wdrapała się na sofę i poleciła psu, aby usiadł. Barley usłuchał, a po chwili głaskania oparł kudłate łapy na kolanach dziewczynki i wywiesił język, zbliżając pysk do twarzy Alicii, Cicely uniosła brwi, nieco zaskoczona, że Audrey nie reaguje na kaprysy córki. Jej zdaniem Alicia miała bardzo nieprzyjemny charakter. Cicely miała nadzieję, że pobyt w Colehurst House pozbawi ją arogancji i złośliwości,

W nocy na wsi panowały nieprzeniknione ciemności. Nie było tu żadnych ulicznych latarni, które mogłyby je rozproszyć, ani odrobina światła nie przenikała do pokoju między zastonami, aby rysować jasne wzory na podłodze i ścianach. Audrey miała wrażenie, że jest zupełnie sama na świecie; to uczucie dławilo ją i budziło głęboki lęk w sercu. Nie mogąc zasnąć w domu, gdzie powietrze nadal wibrowało echem obecności Louisa. zapaliła lampę i usiadła na łóżku. Oddychała szybko i płytko. Leonora i Alicia spały w pokoju po drugiej stronie korytarza. Audrey miała nadzieję, że przynajmniej im ciemność nie przeszkadza. Kiedy rozeszły się do swoich pokoi, Cicely wyłączyła wszystkie światła, aby nie marnować prądu.

- Muszę na wszystkim oszczędzać, w przeciwnym razie będę musiała sprzedać dom jakiemuś wulgarnemu milionerowi, który ma dużo więcej pieniędzy niż dobrego smaku - powiedziała.

Audrey niepokoiła się o Leonorę, więc na palcach przemknęła przez korytarz, kuląc ramiona i krzywiąc się za każdym razem, gdy rozeschnięta deska zaskrzypiała pod jej ciężarem. Nie chciała obudzić Cicely i Marcela. Tyle tu pokoi i wszystkie drzwi są takie same, pomyślała. Niepewna, które prowadzą do pokoju jej córek, długo stała nieruchomo, uważnie nasłuchując. W końcu poddała się i wróciła do sypialni. Była już na progu, gdy nagle przyszedł jej do głowy znakomity pomysł. Światło padające z jej pokoju wydobywało z ciemności schody, wiodące do holu i salonu, gdzie na fortepianie czekała na nią fotografia Louisa... Nie będzie grała, może przecież tylko udawać, że uderza w klawisze... Zamknie oczy i wyobrazi sobie, że gra... Czuła, że Louis jest blisko i nie widziała powodu, by nie ulec takiej niewinnej słabości.

Ze smutkiem przypominała sobie czasy, kiedy późnym wieczorem na palcach zbiegała po schodach w domu rodziców, aby w ogrodzie spotkać się z Louistem i pojechać z nim do Palermo. Teraz ostrożnie zeszła na dół, stawiając stopy na samej krawędzi stopni. Bez trudu znalazła drogę do salonu i zdjęcie, chociaż rysy Louisa były ledwo widoczne w gęstym mroku. Podniosła ramkę i delikatnie przesunęła palcem po szkłe. Zaczęła wspominać przetańczone noce i wspólne marzenia, pieszczoty i śmiech. Byli wtedy bardzo szczęśliwi i wierzyli, że ich szczęście będzie trwać wiecznie. Niewykluczone, że rzeczywiście by trwało, gdyby tylko ona okazała się silniejsza i odważniejsza. Zawiodła Louisa... Nie zasługiwała na jego miłość. Po wszystkich latach spędzonych z dobrym, łagodnym i kochającym ją Cecilem z rezygnacją przyznawała, że popełniła straszny błąd. Na myśl o tym, że ma przeżyć resztę swoich lat u boku mężczyzny, którego nie kochała, jej duszę owiewał lodowaty podmuch. Nic nie mogła na to poradzić. Musiała żyć ze swoją decyzją i pamiętać o potwornej pomyłce... Jak jednak miała dalej żyć bez dzieci? Po co? Pomyślała o słonecznej Argentynie, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że czeka tam na nią tylko pusta, wyziębiona przestrzeń, po której hula porywisty wiatr.

Powoli odstawiła zdjęcie i usiadła na taborecie, opierając palce na klawiszach. Początkowo słabo, lecz z każdą chwilą wyraźniej i głośniejsz, wracała do niej znajoma melodia. Dusza Louisa wyciągała do niej ręce i prowadziła do krainy, gdzie wciąż mogli się jeszcze spotykać i przeżywać najpiękniejsze dni swojej miłości.

Nagle na jej twarz padł promień jasnego światła. Drgnęła i otworzyła oczy.

- Och, to pani! - odezwał się Marcel, szybko wyłączając latarkę. - Przepraszam, nie wiedziałem, byłem pewny, że to złodziej...

Jego francuski akcent wydawał się jeszcze wyraźniejszy niż zwykle. Audrey położyła rękę na piersi, czując, jak jej serce szamocze się niczym przerażona mysz. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że została przyłapaną na czymś niewłaściwym.

- Tak, to ja - szepnęła. - Nie mogłam zasnąć, więc...

- Piekielnie tu ciemno, n'est-ce pas? - zagadnął Marcel, opierając się o fortepian.

Oczy Audrey przywykły już do ciemności i teraz widziała, że młody Francuz ubrany jest w długi szlafrok, spod którego wystają kapcie. Poczowała się trochę niepewnie w narzuconym na bawełnianą koszulę nocną swetrze i pośpiesznie splotła ramiona na piersi.

- Tak - odparła, nie odrywając wzroku od klawiatury.

- Kiedy tu przyjechałem, noce wydawały mi się tak ciemne, że miałem wrażenie, iż nastąpił już koniec świata i wszystko pogrążyło się w mroku...

- Wiem, o co panu chodzi - mruknęła Audrey i zaśmiała się cicho.

- Kiedy nie mogę spać, maluję.

- W ciemności?

- Zapalam świecę. Blask świecy jest znacznie bardziej romantyczny niż światło lampy.

- Co pan maluje?

Wzruszył ramionami w typowo francuski sposób, wyduł wargi i rozłożył ręce.

- Wszystko, co mnie porusza...

- Cicely?

Chwilę przyglądał się jej uważnie, zanim kąciki jego warg uniosły się w uśmiechu.

- Dla kogo pani gra?

- Dla siebie - odparła ostrożnie.

- Robi to pani z wielkim uczuciem...

- Przecież nie słyszał pan, jak gram. - Audrey roześmiała się nerwowo.

- Owszem, słyszałem. Dziś po południu odłożyłem pędzel, żeby posłuchać pani gry. Poznałem tę melodię, nie mogę sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy ją słyszałem... Audrey wstrzymała oddech.

- Jest już bardzo późno. - Podniosła się z taboretu. - Jestem zmęczona, pójdę się położyć.

- Naturalnie. Ja też jestem zbyt zmęczony, żeby malować - odpowiedział szeptem. - Poświęcę latarką, żeby nie potknęła się pani na schodach...

- Dziękuję...

- Z czasem przyzwyczai się pani do ciemności. Przestanie się jej pani obawiać i znajdzie w niej pocieszenie... W ciemności można ukryć wiele tajemnic.

Audrey zamknęła drzwi do swojego pokoju i oparła się o nie. Przestraszyła się Marcela, ponieważ miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Nerwowo przygryzła wargę. Jeżeli Marcel tego popołudnia słyszał, jak grała, to niewątpliwie rozpoznał utwór Louisa, bo przecież Cicely mówiła, że jej brat grał go codziennie, doprowadzając wszystkich do szaleństwa. Audrey zdawała sobie sprawę, że poprzez grę zdradziła swoje uczucia, a Marcel z całą pewnością nie był głupcem - Najwyraźniej wszystkiego się domyślił, i to już pierwszego dnia...

Westchnęła ze znużeniem i podeszła do łóżka. Zanim usiadła na brzegu, dostrzegła niewielki wzgórek pod przykryciem. Wzgórek poruszył się, ziewnął i spod kołdry wyjrzała zaspana buzia Leonory.

- Gdzie byłeś? - zapytała dziewczynka, nie podnosząc głowy z poduszki.

- Przestraszyłaś się ciemności, kochanie? - odpowiedziała pytaniem Audrey. Położyła się obok córeczki i wzięła ją w ramiona.

- Tak... I boję się tej szkoły... Wolę zostać tutaj, z tobą i cicią Cicely. Lubię ją i Barleya...

- Wiem, skarbie. Ja także chciałabym, żebyś tu została, ale musisz być dzielna. Szkoła na pewno ci się spodoba, zobaczysz...

- Jestem takim głupim tchórzem... - szepnęła Leonora.

- Nie, wcale nie jesteś głupim tchórzem, to nieprawda! Do skonałe rozumiem, co czujesz. Ja też muszę być dzielna, bo będę za tobą bardzo tęskniła. A teraz już zaśnij, kochanie. Rano wszystkie strachy znikną bez śladu...

Leonora mocniej zacisnęła palce na króliku od ciotki Edny i przytuliła się do matki. Audrey zgasiła lampę. Była szczęśliwa, że ciągle jeszcze może czuć obok siebie ciepłe ciało dziecka. Pamiętała, jak pogodna i spokojna była Leonora jako dziecko, kiedy to przyszłość nie została jeszcze przyćmiona ponurym cieniem rozstania. Pomyślała, że wkrótce przestanie być świadkiem procesu dorastania córeczki, nie będzie mogła obserwować drobnych, codziennych zmian, jakie zajdą w jej wyglądzie i psychice. Nie zdoła pomóc jej w odrabianiu pracy domowej ani przytulić, gdy Leonora czegoś się przestraszy lub poczuje się skrzywdzona. Słuchała oddechu dziecka i wdychała delikatny aromat mydła, mieszający się ze słodkim zapachem dziecięcej skóry i włosów. Twarz Leonory była delikatna i miękka, dziewczynka spała spokojnie, bezpieczna w ramionach matki.

Audrey wciąż nie mogła zasnąć. Najpierw myślała o Isli i o tym, jak kiedyś spały razem, wtulone w siebie niczym dwa szczeniaki, potem zaś jej myśli zaczęły znowu krążyć wokół Louisa. Nie potrafiła też zapomnieć tej dziwnej rozmowy z Marcelem. Leżała z wzrokiem wbitym w ciemność i ciągle wracała do jego słów. Wydało jej się niemożliwe, aby wziął ją za złodzieja, bo przecież na pewno zauważył światło padające z jej pokoju. Nie ulegało wątpliwości, że zszedł na dół, aby zobaczyć, co robi.

Rozdział siedemnasty

Na pierwszy rzut oka szkoła Colehurst House sprawiała zimne, nieprzyjemne wrażenie. Był to duży gmach z szarego kamienia, otoczony rozległym, doskonale utrzymanym parkiem, a dalej łagodnymi zielonymi wzgórzami, Cicely powiedziała, że kiedyś była to rezydencja wielkiego angielskiego rodu, którego przedstawiciele spoglądali teraz na gości z nieco zakurzonych portretów, wiszących na wykładanych boazerią ścianach. Pod koniec dziewiętnastego wieku, po śmierci ostatniego właściciela, który zmarł bezpotomnie, w rezydencji urządzono szkołę. Audrey, która widziała budynek na zdjęciach w broszurze, doszła do wniosku, że w rzeczywistości sprawia on

równie imponujące wrażenie. Wysokie okna odbijały światło, a szerokie drzwi zwieńczone łukiem stały otworem, podobne do ust bez zębego starca. Po lewej stronie, na niewielkim wzniesieniu stał mały kościół, ocieniony gałęzią potężnego cedru. Po obu stronach długiego podjazdu rozciągały się zielone pola, na których pasły się kuce, w głębi terenu płaczące wierzby zanurzały gałęzie w ozdobnym stawie. Podjazd, na którym teraz dosłownie roilo się od samochodów, kończył się wywyższonym półkolem przed domem. Ojcowie w tweedowych spodniach i swetrach w serek wyjmowali ciężkie kufry z bagażników, a matki zbierały się w niewielkie grupki i rozmawiały z ożywieniem, podczas gdy ich labradory i spaniele biegały dookoła z nosami przy ziemi, podekscytowane nowymi zapachami.

Audrey z napięciem obserwowała ten dziwny, nieznany jej świat, w którym ona i jej dzieci wydawały się zupełnie obce. Niespokojnie zerknęła na bliźniaczki, które siedziały na tylnym siedzeniu i z zaciekawieniem wyglądały przez okno. Leonora była przestraszona. Buzię miała pobladałą, rysy wyostrome i mocno tuliła do piersi pluszowego królika. Alicia z pewnym siebie uśmiechem mierzyła wzrokiem terytorium, które wkrótce miała podbić. Nie dręczył jej niepokój, który boleśnie ścisnął serca Audrey i Leonory - dziewczynka czuła, że jej chwilowa obcość może okazać się wielkim atutem, pomocnym w drodze na szczyt szkolnej hierarchii.

- Spójrzcie na te śliczne pieski - odezwała się Audrey, wiedząc, jak bardzo Leonora kocha zwierzęta.

- To jest drzewo, o którym mówiła Caroline. - Alicia wskazała wielki cedr. - Zamierzam wspiąć się na nie wyżej niż ktokolwiek inny...

- Kiedyś spadłam ze środkowej gałęzi roześmiała się Cicely. - Na szczęście w tamtych latach byłam tak pulchna i krągła, że odbiłam się od ziemi!

- I widać mnóstwo kucyków - ciągnęła Audrey. - Lubisz kucyki, prawda, Leonoro?

- Na pewno są bardzo miłe - odparła Leonora. - To wielki dom... - dodała niepewnie.

Audrey stłumiła westchnienie. Głos Leonory wyraźnie się załamywał.

- W letnim semestrze będziecie codziennie rano jeździły po wzgórzach - powiedziała Cicely, uśmiechając się do swoich wspomnień. - Taki galop o świcie to cudowne przeżycie, możecie mi wierzyć! Wyżej są ruiny starego zamku. Przejeżdżałyśmy przez dziedziniec, to było takie romantyczne...

- Mam nadzieję, że w szkole straszy - rzekła Alicia, kiedy zatrzymały się przed wejściem. - Kiedy tylko zobaczę ducha, od razu napiszę o tym do Merchi!

Alicia wyskoczyła z samochodu i zatrzymała się, z podnieceniem przyglądając się innym dziewczynkom i ich rodzicom. Leonora stanęła przy matce, zastanawiając się, jak wniosą do środka wielką ilość bagaży. Nie dostrzegła ani jednej samotnej matki, wszystkie dziewczynki przyjechały z obojgiem rodziców. Leonora żałowała, że nie odwiózł ich także ojciec, ubrany w tweedowe spodnie i sztruksową marynarkę, podobnie jak inni. Zauważyła, że kilka dziewczynek omiotło jej matkę i ciotkę oraz ją samą chłodnym, pełnym wyższości spojrzeniem. Czuła się tu obco i tęskniła za domem,

wiedziała jednak, że nie ma już odwrotu. Gardło ścisnęło jej się ze strachu i gdyby nie obawa, że nowe koleżanki ją wyśmieją, bez wahania wzięłaby matkę za rękę.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła głośno Cicely, energicznie wymachując ręką. - Dotty Hollinghoe, nie do wiary!

Audrey poznała w zmierzającej w ich stronę kobiecie w sportowym żakiecie i chustce na głowie swoją znajomą ze sklepu Debenham Freebody, Leonora zaś szczerze ucieszyła się na widok Caroline.

- Audrey, to jest Dotty! Byłyśmy w jednej klasie! Kiedyż to było. na miłość boską? Całe wieki temu. prawda?

Kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając wielkie zęby i popchnęła do przodu córkę.

- Cicely Forrester. Co za wspaniała niespodzianka! Nazywam się teraz Stainton-Hughes...

- A ja Weatherby - odparła Cicely, całując Dotty w policzek.

- Zdążyliśmy się już poznać. - Audrey wyciągnęła rękę do matki Caroline.

Nie czuła szczególnej sympatii do Dorothy Stainton-Hughes, lecz mimo wszystko odetchnęła z ulgą na myśl, że jednak kogoś tu zna i może włączyć się w tłum zadowolonych kobiet i mężczyzn, dzielących się miłymi wrażeniami z wakacji. Patrzyła, jak Caroline podchodzi do Leonory i z wdzięcznością uśmiechnęła się do dziewczynki, która była gotowa zaprzyjaźnić się z jej córką. Potem obejrzała się, szukając wzrokiem drugiej bliźniaczki, lecz Alicia już gdzieś przepadła.

Alicia była przyzwyczajona do tego, że ludzie przyglądają się jej z podziwem i zaciekawieniem. Była pięknym dzieckiem i, co dość niezwykle u dziesięcioletniej dziewczynki, w pełni zdawała sobie sprawę ze swego uroku i władzy, jaką uroda dawała jej nad ludźmi. Weszła do holu, wciągając w nozdrza zapach past do podłóg, wosku i starego drewna, zupełnie jak psiak, który zaznajamia się z nowym terytorium. Grupa dziewczynek tłoczyła się wokół tablicy ogłoszeniowej, wiszącej obok wejścia do wielkiej sali, gdzie ustawione w czworobok długie stoły zostały już nakryte do kolacji. Drzwi między korytarzem i kuchnią otworzyły się i na chwilę wyjrzała z nich gruba kucharka w białym fartuchu i czepku. W powietrzu zapachniało gotowaną kapustą. Alicia dołączyła do dziewcząt przed tablicą i zorientowała się, że sprawdzają one listy nazwisk pod wypisanymi tłustym drukiem nazwiskami pisarzy, takich jak Szekspir, Aiarlow, Millon i Shaw. Poszukała swojego nazwiska i znalazła je pod Dickensem. Miała już sprawdzić, gdzie umieszczono Leonorę, kiedy poczuła lekkie stuknięcie w ramię.

- Jak się nazywasz? - zapytała wysoka, szczupła kobieta o krótko obciętych siwych włosach i głęboko osadzonych brązowych oczach.

W jej łagodnym głosie brzmiał rozkazujący ton i Alicia od razu wyczuła, że ma do czynienia z kimś bardzo ważnym.

- Alicia Forrester - odparła.

Kobieta lekko uniosła brwi i skinęła głową.

- Ach, jedna z bliźniaczek! Ja nazywam się Diana Reid i jestem dyrektorką tej szkoły.

- Dzień dobry - powiedziała śmiało Alicia, nie spuszczać wzroku z twarzy swojej rozmówczyni.

Pewność siebie dziewczynki zaskoczyła Dianę Reid. Z tą małą będą problemy, pomyślała.

- Jesteś w Dickensie, a twoja siostra w Milne'em - rzekła. - Sąsiadują ze sobą...

- To sypialnie?

- Nie, dormitoria. Dziesięć łóżek w Dickensie i osiem w Milne'em. Ich okna wychodzą na ogródek na dziedzińcu, macie więc bardzo przyjemny widok. Gdzie jest wasza mama?

Alicia zaprowadziła pannę Reid do Audrey, która przysłuchiwała się, jak Dorothy Stainton-Hughes i Cicely wspominają szkolne lata.

- Nic się tu nie zmieniło, naprawdę! - powtarzały obie. Na widok Diany Reid wyprostowały się służbiście niczym żołnierze, którzy starają się wypaść jak najlepiej przed przełożonym.

- Dotty i Cicely! - zidentyfikowała je nieomylnie dyrektorka. - Byłyście w tej samej klasie, prawda?

Obie kobiety roześmiały się i skinęły głowami.

- Czy nadal jeździsz konno, Cicely? - zapytała panna Reid.

- Niestety, nie...

- Szkoda... Jeśli dobrze pamiętam, miałaś zadatki na doskonałą amazonkę... - Dyrektorka uśmiechnęła się lekko. - Znalazłam tę zabłąkaną owieczkę w głównym holu - wyjaśniła, wskazując Alicię. - Do kogo ona należy?

- Do mnie! - Audrey zaśmiała się i przedstawiła się szybko. - Cieszę się, że mogę panią poznać, panno Reid...

- Może pani zwracać się do mnie po imieniu. - Starsza kobieta schyliła się i podniosła z ziemi małego terriera, który z uporem drapał jej pończochy. - To jest Midge - powiedziała. - Midge zawsze wpada w wielką ekscytację na widok tyłu psów i potem jest nieprzytomny ze zmęczenia. Wydaje mi się, że na dzisiaj miałeś już dość przygód, prawda, Midge?

Midge polizał czubek nosa swojej pani i z entuzjazmem zamachał krótkim ogonkiem.

- To jest Leonora - powiedziała Audrey, obejmując ramieniem drugą córkę.

Policzki dziewczynki załał ciemnoróżowy rumieniec, lecz panna Reid uśmiechnęła się miło. Co roku przyjmowała do szkoły nowe dziewczynki i rozumiała ich obawy. Pod chłodną powierzchownością skrywała gorące, pełne współczucia serce.

- Ach, bliźniaczka Alicii... Chodźcie ze mną, pokażę wam wasze dormitoria...

- Gdzie je przydzielono, panno Reid? - zapytała Cicely, porozumiewawczo mrugając do Dotty.

- Do Dickensa i Milne'a.

- Och, ja byłam w Milne'em! - zawołała Dotty. - Cicely, pamiętasz Shoddy Hambro, która zawsze chowała słodycze w skrytce pod oknem? Ciekawe, czy dziewczęta nadal to robią?

- Na pewno - odparła dyrektorka. - Na niektóre sprawy trzeba czasami przyknać oko...

Poszły za nią na górę po lśniących, starannie wypastowanych stopniach, które skrzypiały jak źle naoliwione osie. Cicely przypominała sobie, że często wpadała w tarapaty, ponieważ biegła do dormitorium właśnie tędy, a nie tylnymi schodami, przeznaczonymi dla uczennic,

- Kiedy patrzyłam na te portrety, dreszcz przebiegał mi po plecach! - Roześmiała się wesoło. - Bałam się szczególnie tego...

Wskazała utrzymany w ciemnej tonacji obraz, przedstawiający starego biskupa o lodowatych oczach.

- Wydawało mi się, że jego przenikliwy wzrok wszędzie za mną podąża...

Kiedy dotarły do podestu schodów, Audrey się obejrzała. Cicely miała rację - wciąż czuła na sobie wrogie spojrzenie dostojnego duchownego.

Diana Reid poprowadziła je przez duże dormitoria z marmurowymi kominkami i bogato zdobionymi stropami, które kiedyś pełniły na pewno rolę eleganckich pokoi gościnnych. Każde dormitorium wydawało się piękniejsze od poprzedniego. Audrey patrzyła na rzędy metalowych łóżek i zastanawiała się, jak wyglądał ten dom przed wiekiem, gdy był jeszcze prywatną rezydencją. Diana Reid przystawała co parę chwil, aby przywitać się z kimś z rodziców albo jedną z dziewczynek, mocnym choć miłym głosem skomentować obecność pluszowego misia, z miłością ułożonego na poduszce, uciszyć grupę zbyt podekscytowanych uczennic, szczęśliwych z powodu powrotu do szkoły po wakacjach. Leonora trzymała się blisko matki, jej siostra natomiast pewnie kroczyła przed siebie, zadając jedno pytanie po drugim.

W końcu weszły do białej sali, której wysokie okna wychodziły na zielony ogród. Alicia wyjrzała na zewnątrz i ujrzała labirynt z pięknie strzyżonego żywopłotu, skąpany w złocistym wieczornym blasku. Środkiem trawnika dumnie przechadzał się tłusty bażant. Dziewczynka pomyślała o Florienie i kąciki jej ust zadrgały w uśmiechu. Była ciekawa, czy Florien strzela do bażantów, czy też skręca im kark jak kurczakom...

- Możesz wybrać sobie łóżko, Alicio - odezwała się panna Reid, która wciąż trzymała terriera Midge pod pachą.

- Wybieram to - odparła Alicia, siadając na pościeli znajdującym się najbliżej okna. - Jeżeli wybuchnie pożar, z łatwością wyskoczę...

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby - powiedziała dyrektorka.

Odwróciła się do Leonory i jej twarz złagodniała. Instynktownie zrozumiała charakter więzi łączącej bliźniaczki i pogratulowała sobie, że umieściła je w dwóch różnych dormitoriach. Nie ulegało wątpliwości, że Leonora żyje w cieniu siostry.

- Twoje dormitorium jest za ścianą, Leonoro - rzekła. - Chodź ze mną...

Dziewczynka usłuchała, zostawiając matkę podziwiającą widok z okna razem z Alicią i Cicely. Panna Reid zaprowadziła ją do Milne'a, gdzie ściany okrywała dębowa boazeria, pociemniała ze starości.

- Caroline Stainton-Hughes także będzie tu mieszkać - wyjaśniła panna Reid i sama się uśmiechnęła, kiedy nieśmiała buzia Leonory rozpromieniła się uśmiechem. - Ona już wie, jak działa szkoła, ponieważ ma tu dwie starsze siostry. Na pewno zaopiekuje się tobą.

Leonora od razu polubiła pannę Reid, która budziła szacunek i choć chwilami wydawała się surowa, w gruncie rzeczy była dobra i sprawiedliwa. Posiadała też rzadką u nauczycieli cechę - swoim stosunkiem do życia i ludzi zachęcała uczennice do zdobywania nowych umiejętności. Leonora już teraz czuła, że bardzo zależy jej na dobrej opinii panny Reid.

Gdy Audrey weszła do sali z Alicią i Cicely, odetchnęła z ulgą. Jej bardziej wrażliwa córka stała obok swojego łóżka, spokojnie rozmawiając z panną Reid.

- No, doskonale - powiedziała dyrektorka, lekko akcentując pierwsze sylaby wyrazów. - Bob i John zaraz przyniosą wasze walizki... Proponowałabym zostawić wtedy dziewczynki, aby mogły się zdomowić w swoich dormitoriach, pani Forrester...

Rzuciła Audrey znaczące spojrzenie spod uniesionych brwi i wyszła, kierując się ku schodom. Cicely pocieszająco uśmiechnęła się do bratowej. Oczy Audrey wezbrały łzami, serce ścisnęło się jej z przerażenia. Nadeszła chwila, której śmiertelnie się bała przez ostatnie trzy lata. Wielokrotnie wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało jej rozstanie z dziewczynkami, ale nigdy nie wybiegała myślą poza tę chwilę, nie miała odwagi zastanawiać się, co będzie później. Mijając łóżko Alicii, spojrzała w okno, puste teraz i ciemne, zupełnie jak jej serce. Jutro Alicia obudzi się i zobaczy zaglądający przez szyby świt. Jeżeli zatęskni za domem i rodzicami albo czegoś się przestraszy, będzie musiała sama poradzić sobie z tymi uczuciami. Kiedy Leonora wsunęła małą rękę w dłoń matki, Audrey o mało nie wybuchnęła płaczem. Z największym trudem zdołała przywołać na twarz sztucznie pogodny uśmiech. Nie mogła pokazać córkom, jak cierpi, ponieważ była pewna, że widok jej łez zupełnie je zatamie.

- Świetnie... - odezwała się, naśladowując ton panny Reid. - Chodźmy poszukać Boba i Johna.

Uśmiechnęła się do Leonory. lecz dziewczynka była zbyt przerażona, aby odpowiedzieć uśmiechem. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej, co ją czeka. Matka miała zostawić ją tutaj, w tym okropnym domu, wśród wszystkich tych obcych ludzi. Mocno zacisnęła palce na jej dłoni i w milczeniu zeszły na parter.

Na zewnątrz zrobiło się już bardzo chłodno. Panny Reid nigdzie nie było widać, lecz przy samochodzie czekało dwóch mocno zbudowanych mężczyzn w roboczych ubraniach. Leonora zobaczyła, jak kilka samochodów odjeżdża powoli. Ich tylne światła zniknęły w ciemności. Dziewczynka zamrużyła szybko, odganiając łzy, i podniosła rękę do twarzy. Audrey otworzyła bagażnik i mężczyźni zaczęli wyjmować z niego walizy.

- Najgorsza jest pierwsza noc - odezwała się łagodnie Cicely. - Jutro będzie się działo tyle ekscytujących rzeczy, że nawet nie zdążysz zatęsknić za domem... Jazda konna, gra w siatkówkę, budowa obozowiska w kasztanowej alei, którą tutaj wszyscy nazywają Kasztanową Wioską. Na pewno nie będziesz się nudzić, możesz mi wierzyć, kochanie. Tylko nie zapomnij do nas napisać,

dobrze? Twoja mama będzie czekała na wiadomości, jak wam się tu powodzi. My też do was napiszemy...

Cicely nie objęła bratanicy, ponieważ czuła, że dziewczynka załamie się i rozpłacze. Zerknęła na Alicię, która ze zniecierpliwieniem podskakiwała w miejscu, jakby już nie mogła się doczekać, kiedy matka i ciotka wreszcie odjadą. Cicely miała nadzieję, że Audrey nie będzie przedłużała pożegnania.

- No, chyba już pojedziemy... - Audrey ze wszystkich sił starała się ukryć wielki smutek.

Jednak Leonory nie udało jej się oszukać - usłyszała drzenie głosu matki i zalała się łzami.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! - zaszlochała, tuląc do piersi króliczka od ciotki Edny. Jej skulone ramiona podnosiły się i opadały w rytm szybkiego, płytkiego oddechu. - Nie zostawiaj mnie, mamusiu!

Audrey chwyciła córeczkę w ramiona i przytuliła ją tak mocno, że o mało jej nie udusiła.

- Przyczwiczysz się do szkoły i wszystko będzie w porządku, kochanie - powiedziała uspokajająco, ocierając własne łzy o dziecięcy płaszczek, - Pożegnania zawsze są najtrudniejsze...

Leonora wydała jej się nagle tak drobna i krucha, że z wysiłkiem się powstrzymała, aby nie zanieść jej do samochodu i nie zabrać z powrotem do domu.

- Nie martw się, mamo, zajmę się Leo - odezwała się Alicia, nie kryjąc lekkiej irytacji. - Po waszym odjeździe na pewno się uspokoi.

Audrey próbowała oderwać ramiona Leonory od swojej talii, lecz mała tylko wzmocniła kurczowy uścisk.

- Nie podoba mi się tu, mamo... - powiedziała głosem zachrypniętym ze strachu. - Zabierz mnie do domu!

- Za dwa tygodnie zabiorę was na cały weekend - zapewniła Audrey. - Te dwa tygodnie miną jak z bicza strzelił, zobaczysz...

Nic jednak nie mogło pocieszyć dziewczynki, która rozszlochała się tak rozpaczliwie, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

- Musisz ją zostawić - szepnęła Cicely, dotykając ramienia Audrey. - Inaczej się nie uspokoi...

Audrey siłą oswobodziła się z objęć Leonory i nie wypuszczając jej drobnych rąk z dłoni, pocałowała Alicię w czoło.

- Opiekuj się nią, dobrze? - poprosiła. - Jesteś jej teraz bardziej potrzebna niż kiedykolwiek dotąd.

- Wiem. - Alicia próbowała wziąć siostrę za rękę. - Daj spokój, Leo, nie jest tak źle! Wszystko świetnie się ułoży, słowo.

Audrey uciekła i nie obejrzała się za siebie, dopóki samochód nie ruszył. Leonora stała przed domem i z niedowierzaniem patrzyła, jak matka i ciotka odjeżdżają. W ciemności jej buzia wydawała się zupełnie biała.

W samochodzie Audrey rozplakała się, kryjąc twarz w dłoniach.

- Jak mogę narażać córeczkę na tyle cierpienia? - jęknęła. - Jestem potworem, nie matką...

Cicely przypomniała sobie swoją pierwszą noc w Colehurst House i jej oczy wypełniły się łzami. Tamto poczucie samotności i pustki towarzyszyło jej we wspomnieniach aż do tej pory. Z czasem pokochała szkołę całym sercem, ale nigdy nie zapomniała okropnej pierwszej nocy.

Alicia objęła siostrę i zaprowadziła ją do holu. Starsze dziewczynki przyglądały się im z bliskim fascynacją zaciekawieniem, natomiast młodsze przygryzały wargi, by się nie rozplakać. One także tęskniły za rodzicami i domem. Leonora patrzyła na nie wszystkie przez łzy. Dom rozbrzmiewał tupotem wielu stóp i dziecięcym śmiechem, ona nigdy nie czuła się tak samotna jak w tej chwili. Miała wrażenie, że dręczy ją koszmarny sen, z którego nie może się obudzić. Pragnęła zwinąć się w kłębek jak jeż i kłuć ostrymi igiełkami każdego, kto się do niej zbliży. Alicia próbowała ją pocieszyć, ale słowa nie mogły przecież sprowadzić z powrotem ich matki ani ukoić głębokiego poczucia odrzucenia, piekącego jak świeża rana.

Leonora jak lunatyczka poszła za Alicią na górę. Mocno trzymała siostrę za rękę, bojąc się, że jeżeli ją puści, ona także zniknie. Leonora czuła, że dopiero wtedy zostałyby naprawdę sama, wśród obcych, niczym owieczka, która zabłądziła na łąkę pełną wygłodniałych lwów.

Kiedy weszły do dormitorium, przy łóżku Leonory czekała na nie spora grupa dziewcząt. Na widok bliźniaczek umilkły i w tym momencie nawet serce Alicii zamarło ze strachu. Ponieważ zapisano je do drugiej klasy, wszystkie dziewczynki w ich wieku dobrze się już znały. Leonora i Alicia zadrżały, spodziewając się jakichś wrogich gestów, lecz ku ich zaskoczeniu uśmiechnięte dziewczęta rzuciły się ku nim i otoczyły je zwartym kołem. Panna Reid wytłumaczyła im, że bliźniaczki przyjechały z bardzo odległego kraju i że trzeba się nimi zaopiekować. Dziewczynki patrzyły więc na siostry trochę jak na rzadkie okazy z innego świata i natychmiast zasypały je pytaniami. Ponieważ Leonora wciąż drżała, starsze uczennice wzięły ją między siebie i zaczęły jej matkować. Alicia, w gruncie rzeczy bardzo zadowolona z takiego rozwoju wydarzeń, pośpiesznie zniknęła za drzwiami swojego dormitorium.

Pięgowata dziewczynka o pociągłej twarzy usiadła obok Leonory na jej łóżku i otoczyła ją ramieniem.

- Jestem Toadie Martin - przedstawiła się. - Tak naprawdę mam na imię Victoria, ale wszyscy nazywają mnie Toadie, Ropuszka. Jestem twoim cieniem. Mieszkam w dormitorium Byrona, kilka drzwi dalej, więc gdyby coś cię niepokoiło, zawsze możesz do mnie przyjść. Chodzę do trzeciej klasy - Toadie pocieszająco poklepała po plecach Leonorę, która wciąż żałośnie pociągała nosem. - Biedactwo... Wszystkie czułyśmy się tak jak ty, kiedy przyjechałyśmy tu pierwszy raz, ale to z czasem mija... Każdy dzień będzie łatwiejszy od poprzedniego, zobaczysz... Zresztą, nie jesteś tu przecież sama, masz nas, a my będziemy się tobą opiekować.

Leonora pociągnęła nosem i otarła łzy miękkim futerkiem królika. Nie było jej już tak smutno, jak jeszcze przed chwilą.

Alicia wróciła z Dickensa, niosąc duży słoik i uśmiechając się szeroko.

- Kto ma ochotę na trochę dulce de leches' - zapytała z błyskiem w oku.

Ponieważ dookoła panowały ponure ciemności, a podróż do domu miała trwać długo, Audrey postanowiła zwierzyć się Cicely ze swoich przeżyć.

- To Cecil postanowił wysłać dziewczynki do szkoły - powiedziała. - Byłam temu przeciwna.

Lojalność i poczucie obowiązku nie pozwoliły jej podzielić się z nikim rozgoryczeniem i żalem, jaki miała do męża. Nie rozmawiała o tym nawet z matką i ciotką Edną, które na pewno by ją zrozumiały. Teraz Cecil był jednak daleko, a lojalność wobec niego wydawała się czymś zupełnie nieuzasadnionym po rozstaniu, które przed chwilą przeżyła.

- Alicję wyrzucono ze szkoły, bo nauczyciele nie mogli poradzić sobie z jej żywiołowym zachowaniem, ale nie było to nic poważnego - ciągnęła. - Poza tym w Buenos Aires jest wiele innych dobrych szkół. Leonora dobrze się uczyła i była taka szczęśliwa... Wtedy Cecil nagle wpadł na pomysł, żeby umieścić je w szkole w Anglii... O mało nie umarłam z niepokoju, chyba wyobrażasz sobie, przez co przesłam... Nie mam teraz do czego wracać...

- Masz męża - odpowiedziała spokojnie Cicely. - Nie możesz pozwolić, żeby to cię zniszczyło. Nie wolno ci poświęcić życia wyłącznie dzieciom, ponieważ one pewnego dnia odejdą, żeby założyć własne rodziny. Co wtedy ze sobą zrobisz?

- Zostanę babcią...

- Nie o to mi chodziło - mruknęła Cicely.

Audrey westchnęła.

- Szczerze mówiąc, nic mnie już z nim nie wiąże - powiedziała. - Jak można kochać kogoś tak nieczułego i okrutnego? Cecil pozbawił mnie dzieci...

- To nie tak - rzekła Cicely, stając w obronie brata. - Trudno ci to zrozumieć, bo nie wychowałam się tutaj, lecz my, Anglicy naprawdę wierzymy, że szkoły z internatem to najlepsza forma kształcenia młodych ludzi. Ten system wrósł w naszą kulturę, więc nikt nie kwestionuje jego wartości. Oczywiście, pierwszego dnia ja także strasznie tęskniłam za rodzicami, tak jak Leonora, ale potem przywykłam do szkoły, zaczęłam się świetnie bawić i rzadko o nich myślałam. Cecil był w Eton i wątpię, czy długo tęsknił za domem, jeżeli w ogóle... Na pewno dużo myśli o waszych córkach i jest przekonany, że zapewnia im doskonały życiowy start...

- Nie wierzę, że kocha je tak jak ja... - Audrey zerknęła na profil Cicely.

Wiedziała, że jej szwagierka jest dość wrażliwa, aby spojrzeć na skomplikowaną sytuację z dwóch stron.

- Cecil jest Anglikiem w każdym calu - odezwała się Cicely po chwili milczenia. - Jest szlachetny, prawy i bardzo opanowany, jak nasz ojciec. Nie nauczono go okazywania uczuć, ale to nie znaczy, że jest niezdolny do miłości. Założę się, że kocha córki nie mniej niż ty i jest gotów poświęcić radość, jaką czerpie z ich obecności w domu, dla ich przyszłości. Cecil jest typowym Anglikiem i nigdy nie przestanie nim być, rozumiesz?

- A Louis? Czy on także jest Anglikiem?

Wargi Cicely drgnęły, nie oderwała jednak wzroku od drogi.

- Louis żyje w stanie kulturowego niebytu.

- Więc gdyby miał dzieci...

- Louis nigdy nie będzie miał dzieci - przerwała jej Cicely. - Kocham go, ale jestem świadoma, że nigdy się nie ustatkuje i nie założy rodziny. Louis jest elementem przyrody, podobnie jak drzewa czy wiatr. Jest porywczy, impulsywny, nierozważny... Nigdy nie wiadomo, co za chwile zrobi, bo nie sposób tego przewidzieć. Jeżeli Cecil jest zbyt zimny, to Louis jest zbyt gorący, zresztą porównywanie ich dwóch nie ma sensu... - Cicely zawiesiła głos, szukając w myśli odpowiedniej analogii. - Równie dobrze można by porównywać konia i osła...

- Jak możesz tak szufladkować Louisa? - wykrzyknęła Audrey ze zdziwieniem. - Jest dziesięć razy bardziej utalentowany od Cecila! - dodała z pasją.

Teraz to Cicely nie kryła zdumienia. Audrey opanowała się szybko.

- Cecil nie potrafi zagrać nawet jednej frazy, a poza tym jest dużo bardziej elegancki niż koń - dorzuciła, daremnie usiłując nadać rozmowie lżejszy ton.

Cicely nie należała jednak do osób naiwnych. Lekko zmarszczyła brwi, uważnie wpatrzona w wijącą się przed nimi drogę.

- Nie wiem, skąd Louis ma ten szczególny dar, ale na pewno trudno go nazwać całkowicie ziemskim talentem - powiedziała, mając nadzieję, że Audrey zachwyci się tak Louistem ze względu na pamięć swojej siostry. Oderwała jedną rękę od kierownicy i położyła ją na dłoni bratowej. - Nie miej tego za złe Cecilowi, kochanie. Lata spędzone w Colehurst House naprawdę mogą okazać się decydujące dla przyszłości dziewczynek... A twoja przyszłość to życie z Cecilem, nie zapominaj o tym...

Audrey utkwiała wzrok w przedniej szybie i wyobraziła sobie naznaczoną piętnem starości twarz Cecila. Nagle życie wydało jej się boleśnie długą drogą, a jej pokonanie nie pozwala na odpoczynek. Pomyślała o swoich córkach, które teraz układały się do snu w tym wielkim starym domu i serce ścisnęło się jej z bólu.

Dlaczego los zabierał jej wszystkich, których kochała? Najpierw Isłę, potem Louisa, a teraz Leonorę i Alicię... Audrey czuła się bardzo samotna i bezbronna, jakby nie miała żadnego wpływu na wydarzenia, które składały się na jej życie.

Rozdział osiemnasty

Leonora leżała w ciemności, tuląc do piersi pluszowego królika i słuchając pokastywania, sapania i chrapania siedmiu dziewczynek, z którymi dzieliła dormitorium. Odgłosy te niosły pewną pociechę, ponieważ przypominały, że chociaż czuje się samotna, to jednak nie jest sama.

Wcześniej zjadła kolację przy jednym z długich stołów w wielkiej sali jadalnej. Posiłek w tej scenerii przypominał średniowieczną ucztę, tyle że w kominku nie stał potężny rożen, na którym piekłyby się prosięta, ale duży bukiet suszonych kwiatów o zakurzonych płatkach. Usiadła obok Caroline Stainton-Hughes, która oznajmiła publicznie, że chciałyby, aby koleżanki nazywały ją Cazzie. Potem odwróciła się do Leonory i powiedziała, że ona także musi mieć jakiś przydomek. Wszystkie wspólnie ustaliły, że za przykładem Alicii będą używać skróconej wersji imienia Leonory, Leo. Potem zjadły makaron z tartym serem i chleb z masłem. Jedna z opiekunek, Sally, wpuściła do sali kilka psów panny Reid, aby poprawić nastrój nowych dziewczynek. Leonora usiadła na podłodze razem z Cazzie i kilkoma innymi smutnymi koleżankami. Długo bawiły się z psami, głaskały je i wycierały łzy w ich sierść, aż przyszedł czas na wieczorną kąpiel i spoczynek. Leonora powiesiła swój woreczek z przyborami do mycia obok kilkudziesięciu innych i o mało znowu się nie rozpłakała, kiedy zobaczyła swoje imię i nazwisko, wyszyte przez matkę na kąpielowym czepku.

Teraz leżała w łóżku, zwinięta w kłębek pod grubym kocem. Było jej zimno. Materac wydawał się twardy jak deska, a sprężyny skrzypiały przy każdym poruszeniu. Słyszała, jak zastępczyni dyrektorki przechodzi wąskimi korytarzami i zagląda do wszystkich sypialni, sprawdzając, czy dziewczynki są w swoich łóżkach. Krok w krok za nauczycielką, której miękkie gumowe podeszwy cicho plaskały o drewnianą podłogę, chodził jej duży czarny labrador.

W końcu Leonora zapadła w niespokojny sen. Obudziła się nad ranem, czując, że musi pójść do toalety. Leżała długą chwilę, zastanawiając się, czy znajdzie w sobie dość odwagi, aby wyjść z sali. Korytarz był oświetlony i musiała tylko przejść przez dormitorium Dickensa, aby dostać się do łazienek. Zdawała sobie sprawę, że deski podłogi głośno skrzypią i bała się, że obudzi koleżanki. Nagle przyszło jej do głowy, że może jeszcze któraś z dziewcząt jest w tej samej sytuacji.

- Czy ktoś jeszcze nie śpi? - szepnęła.

Jej głos brzmiał jakoś dziwnie w zupełnej ciszy. Spróbowała jeszcze raz, trochę głośniej, lecz nikt się nie odezwał.

W końcu, kiedy dyskomfort pełnego pęcherza przeważył nad lękami, wysliznęła się z łóżka i wsunęła stopy w kapcie. Włożyła szlafrok, zawiązała pasek i zmobilizowała całą odwagę. Doskonale pamiętała, jak Alicia mówiła, że we wszystkich angielskich domach mieszkają duchy, więc teraz mogła tylko mieć nadzieję, że nie wpadnie na żadną zjawę z zaświatów. Lampy były przygaszone, ale dawały dość światła, by na palcach przejść przez oba dormitoria, nie potykając się o leżące na podłodze pluszowe misie i kapcie. Mijając łóżko Alicii, przystanęła i spojrzała uważnie na siostrę, lecz ta mocno spała, z głową okoloną wachlarzem długich loków. Leonora pomyślała, że szczerze zazdrości Alicii, której na pewno nie dręczyło ani uczucie pustki, ani tęsknota za matką i domem.

Przy każdym skrzypnięciu Leonora krzywiła się nerwowo i zamierała w bezruchu, dopóki nie upewniła się, że nikt się nie obudził. Wreszcie dotarła do łazienki.

- Psssst! - dobiegło ją syknięcie z jednej z kabin. - To ty, Mattie?

Leonora rozejrzała się dookoła.

- Mattie? - rozległo się znowu, tym razem głośniej.

- To ja. Leonora - odezwała się, podchodząc do drzwi, zza których dobiegał głos.

Drzwi otworzyły się i Leonora ujrzała smętną, okrągłą twarz.

- Cześć, jestem Elizabeth - westchnęła dziewczynka. Była gruba i miała długie rude włosy, ściągnięte w dwa kucyki. Siedziała na sedesie, opierając łokcie na kolanach i wyglądała tak, jakby tkwiła tu od dłuższego czasu.

- Jestem z Milne'a - wyjaśniła Leonora.

- A ja z Miltona. Czekam, aż Mattie przyjdzie skorzystać z toalety... - Elizabeth dostrzegła wyraz braku zrozumienia, malujący się na twarzy Leonory i postanowiła wytłumaczyć, o co chodzi.

- Mattie wysyła mnie trochę wcześniej, żebym ogrzała deskę...

- Ach, tak...

- Zimno tu; prawda?

- Tak, bardzo.

- Skąd jesteś? - zainteresowała się Elizabeth. - Masz zabawny akcent...

- Z Argentyny.

- Gdzie to jest?

- W Ameryce Południowej.

- Och, niezły kawał drogi, co? - zdumiała się Elizabeth i dodała z typowym dla siebie brakiem taktu. - Nie przejmuj się, po paru tygodniach będziesz mówiła tak samo jak my wszystkie.

- Mam nadzieję - odparła Leonora, której bardzo zależało na tym, aby zaskarbić sobie sympatię koleżanek.

- Moja mama mówi, że muszę nauczyć się mówić jak dama. Ty najwyraźniej jesteś damą, ale też musisz się nauczyć lepiej mówić. Och, i trzeba jeszcze świetnie jeździć konno, ciągle o tym zapominam. Jestem uczulona na końską sierść, wiesz? Oczy mi łzawią i bez przerwy kicham, ale mamie zależy, żebym jeździła... Wszystkie panie z dobrych rodzin jeżdżą konno.

Leonora pokiwała głową, usiłując wyrazić zrozumienie dla monologu Elizabeth. Zastanawiała się, jaki wniosek wysnułaby z tego wszystkiego Alicia.

Elizabeth znowu westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Siedzę tu już dobre piętnaście minut - poskarżyła się. - Zaraz, zaraz, może ty chciałabyś skorzystać z toalety? Deska jest dobrze wygrzana, a Mattie chyba i tak nie przyjdzie... Założę się, że zasną i obudzi się dopiero rano, często tak robi. Czasami czekam na nią godzinami i wszystko na nic... - Elizabeth podniosła się, ustępując miejsca Leonorze. - Do zobaczenia jutro... - rzuciła i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Ciekawe, kim jest Mattie, że wysłała inną dziewczynkę, aby ogrzała dla niej deskę sedesową w środku nocy, pomyślała Leonora. Usiadła. Elizabeth dobrze wykonała swoje zadanie.

Kiedy o siódmej rano zabrzmiał gong, Leonora chętnie zerwała się z łóżka. Obudziła się dość wcześnie i bliska też walczyła z rozpaczliwą tęsknotą za rodzicami. Ubrała się pośpiesznie i razem z koleżankami zeszła na śniadanie. W sali jadalnej przy każdym nakryciu leżało jabłko, a z kuchni niósł się zapach świeżutkich grzanek i owsianki.

Alicia dobrze spała i obudziła się z uczuciem podniecenia, na myśl o czekających ją wyzwaniach. Na widok siostry odetchnęła z ulgą - Leonora była blada, ale przynajmniej nie robiła z siebie widowiska, płacząc jak dziecko. Alicia pomachała do niej i zajęła miejsce przy innym stole.

- Nie możesz tu siedzieć - odezwała się wysoka dziewczynka o lśniących czarnych włosach, uczesanych w gładki hełm. - Jesteś nowa, musisz usiąść przy końcu stołu. Zajmujemy miejsca według starszeństwa.

- Ale ja jestem w drugiej klasie - odparła Alicia, spokojnie przyglądając się starszej koleżance. Dziewczyna lekko ściągnęła brwi.

- Uważaj, nikt cię tu nie polubi, jeżeli będziesz taka zarozumiała - ostrzegła. - Jesteś nowa, więc ci wybaczę, ale na przyszłość nie siadaj tutaj.

W głębi serca wiedziała jednak, że przymknęła oczy na wybryk nowej uczennicy z powodu jej urody i wdzięku, które budziły mimowolny podziw we wszystkich.

Alicia niechętnie przeniosła się dalej i usiadła obok rudej grubaski, a naprzeciwko ładnej blondyneczki z zadartym nosem i ciemnymi oczami, które natychmiast zmierzyły ją bacznym, chłodnym spojrzeniem.

- Jesteś nowa - odezwała się blondynka.

- Tak. Nazywam się Alicia.

- Niezwykłe imię...

- To hiszpańska wersja imienia Alice.

- Wiem - odparła blondynka. - Musisz być jedną z tych bliźniaczek z Argentyny... W nocy Elizabeth poznała w toalecie twoją siostrę. Elizabeth grzała dla mnie deskę sedesową. Nie znoszę dotyku zimnej deski, a ty?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale to chyba faktycznie nieprzyjemne. Jak ci na imię?

- To jest Mattie, od Mathildy - odezwała się ruda. - Mattie ma tytuł szlachecki...

- To znaczy? - zaciekawiała się Alicia. Mattie parsknęła śmiechem.

- Mój ojciec jest hrabią - oznajmiła. - Na pewno nic ci to nie mówi... Elizabeth wytłumaczy ci później, na czym polega angielski system klasowy. To bardzo ważne, żebyś orientowała się w takich sprawach.

- Wiem, o co ci chodzi - rzuciła Alicia. - Mój ojciec jest seniorem!

Była przekonana, że ani Mattie, ani Elizabeth nie mają pojęcia, że „senior” znaczy po prostu „pan”.

- Och, rozumiem... - Mattie skinęła głową, wyraźnie poruszona. - Czy twój ojciec jest kimś ważnym?

- Bardzo. W Argentynie ważniejszy od niego jest tylko prezydent - skłamała Alicia bez mrugnięcia okiem. - Prezydent nie podejmuje żadnych kroków bez aprobaty mojego ojca.

Mattie uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Okazało się, że Alicia jest nie tylko ładna, ale na dodatek ważna. Mattie świetnie wiedziała, że jest jedyną dziewczynką pochodzącą z arystokratycznej rodziny w tej szkole i doszła do wniosku, że miło jest wreszcie poznać kogoś równego sobie.

W tej chwili do jadalni weszła panna Reid. Kiedy zajęła główne miejsce, w sali zapadła cisza. Dyrektorka pochyliła głowę i złożyła dłonie do modlitwy. Leonora zrobiła to samo. natomiast Alicia wciąż rozglądała się po sali.

- Dziękujemy Ci, Panie, za te dary, które będziemy spożywać - powiedziała dobitnie panna Reid. - Amen.

Wszystkie dziewczęta powtórzyły „amen” i wśród brzęku sztućców zabrały się do jedzenia. Starsze klasowe zaczęły dużymi wazowymi łyżkami nalewać parującą owsiankę z dużych kotłów.

- Nienawidzę owsianki - poskarżyła się Mattie.

- Mogę zjeść twoją - zgłosiła się Elizabeth.

- Dobrze, w takim razie ja zjem twoją grzankę - odparła Mattie.

Przez twarz Elizabeth przemknął wyraz rozczarowania, ponieważ grzanka z marmoladą była jej ulubionym przysmakiem, lecz Mattie tego nie dostrzegła.

- W Argentynie jemy na śniadanie rogaliki i maślane bułeczki - powiedziała Alicia, krzywiąc się na widok miseczki z szarawą owsianką, którą właśnie postawiła przed nią jedna z dyżurnych.

- My zwykle jadamy jajka na bekonie - mruknęła Mattie. - Nikt nie robi takich jajek na bekonie jak nasza pani Bruton...

- W Argentynie mamy pokojówkę, która nazywa się Mercedes...

- Tak jak samochód? - zdziwiła się Elizabeth, zerkając na Mattie i wybuchając cienkim chichotem.

- To dlatego, że jeździ mercedesem - szybko odparowała Alicia, zdecydowana zrobić wszystko, byle tylko wprawić nowe koleżanki w podziw.

- Tam, gdzie mieszkasz, pokojówki są chyba bardzo zamożne - zauważyła Mattie. - Pani Bruton jeździ małym morrisem...

- Och, oczywiście, że są zamożne - Alicia pokiwała głową i posypała owsiankę grubą warstwą cukru. - Tata dobrze im płaci.

- Postępuj... - Mattie nachyliła się nad stołem i spojrzała na Alicię spod zmrużonych powiek. - Nie powtarzaj w kółko tego samego, dobrze?

- Tego samego? - zdziwiła się Alicia.

- Nie mów ciągle: „W Argentynie”. Wiem, że stamtąd pochodzisz, więc nie powtarzaj się, bo to nudne.

Alicji na krótką chwilę zabrakło słów. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy, mogła tylko rzucić Mattie wyzywające spojrzenie. Elizabeth znowu zachichotała, przyzwyczajona do tego, że Mattie bez trudu terroryzuje inne dziewczęta. Jednak Alicia nie przywykła, by ktoś odzywał się do niej w taki sposób.

- Skąd jesteś? - zwróciła się do swojej przeciwniczki spokojnym głosem.

- Z Hertfordshire - odparła Mattie.

- Ach tak... - Alicia uśmiechnęła się pobłaźliwie. Zirykowało to Mattie, która zmarszczyła brwi i wysunęła do przodu dolną szczękę.

- Co, ach tak? - warknęła. Elizabeth przestała się śmiać.

- Nie, wszystko w porządku, nie chcę cię urazić...

- Nie urazisz mnie, nie obawiaj się - niecierpliwie rzuciła Mattie. - Powiedz, co to miało znaczyć!

- Cóż, fakt, że pochodzisz z Hertfordshire, na pewno nie wzbudzi niczyjego zainteresowania, prawda? Byłam w Hertfordshire i muszę powiedzieć, że jest to potwornie szare i nudne miejsce... - oznajmiła Alicia, która nigdy nie była nawet w pobliżu Hertfordshire.

- Nieprawda! - zawołała Mattie.

- Merchi zawsze powtarza, że zazdrość jest najwyższą formą pochlebstwa. - Alicia ze zrozumieniem pokiwała głową. - W Argentynie jest gorąco, słonecznie i cudownie, więc nie powinnam dziwić się, że mi zazdrościsz. - Nabrała trochę owsianki i włożyła łyżkę do ust.

Mattie spojrzała na Elizabeth, lecz ta tylko wzruszyła ramionami.

- Co za ohyda! - skrzywiła się Alicia. - Przede wszystkim zupełnie zimna! Elizabeth, chcesz zjeść i moją porcję?

Elizabeth potrząsnęła głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Alicia zrozumiała, że odniosła zwycięstwo.

- Zostaw ją, nikt cię tu nie będzie zmuszał do jedzenia owsianki - wymamrotała Mattie.

Patrzyła, jak Alicia odsuwa miseczkę i sięga do koszyka po grzanekę. Podziwiała tę nową dziewczynę z Argentyny. Alicia była nie tylko piękna, ale także sprytna i odważna.

- Jeżeli chcesz, możesz kiedyś pojechać ze mną na weekend do domu - zaproponowała, podsuwając Alicii masło. - W Hertfordshire jest naprawdę bardzo ładnie, zobaczysz...

- Może z tobą pojedę - odrzekła Alicia. - Powiedzcie mi lepiej, czy macie obozowisko w Kasztanowej Wiosce...

Po śniadaniu Leonora znalazła siostrę w Miltonie. Alicia siedziała na łóżku z grubą rudowłosą dziewczynką, którą Leonora zastała w nocy w toalecie, i z ładną blondynką.

- Ach, no właśnie! - powiedziała Alicia, uśmiechając się szeroko. - To jest moja siostra, Leo.

- Cześć, Leo - odezwała się Elizabeth. - My się już znamy...

- No, tak, poznałyście się w nocy - mruknęła niechętnie Alicia, która nie znosiła, kiedy Leonora przekraczała granice jej terytorium.

- Tak, miło jest mieć towarzystwo - uśmiechnęła się Elizabeth.

- Mattie ma duże obozowisko w Kasztanowej Wiosce i podzieli się ze mną miejscem! - wykrzyknęła Alicia. - Przykro mi, Leo, ale możesz przyłączyć się do nas tylko wtedy, jeżeli podasz hasło!

- Nie muszę, nie przejmuj się - odparła Leonora dość pogodnym tonem.

- Dlaczego obie jesteście w tej samej klasie? - zapytała Mattie, wodząc wzrokiem od Alicii do Leonory.

- Bo jesteśmy bliźniaczkami - wyjaśniła Leonora. Mattie wybałuszyła oczy i otworzyła usta ze zdziwienia.

- Bliźniaczkami? - powtórzyła powoli. Leonora kiwnęła głową.

- Chyba już czas, żebyś przygotowała się do zejścia do kaplicy - pouczyła Leonorę Alicia. - Wszystkie nowe mają się zebrać w holu na dole już za pięć minut.

- A ty?

- Ja jestem gotowa.

Leonora stała obok jeszcze przez chwilę, lecz trzy pary oczu patrzyły na nią chłodno. W końcu schowała dumę do kieszeni i wyszła, ale coś kazało jej zatrzymać się zaraz za drzwiami. Mercedes mawiała, że ci, którzy podsłuchują, nigdy nie dowiadują się o sobie niczego dobrego, jednak tym razem pokusa okazała się zbyt silna. Leonora była przekonana, że Alicia pozbyła się jej z pokoju z określonego powodu.

Miała rację. Zaraz po jej wyjściu Mattie wydała zdławiony okrzyk.

- Bliźniaczki! - zawołała, najwyraźniej nie posiadając się ze zdumienia. - Nie do wiary! Ty jesteś taka ładna, a ona zupełnie przeciętna! Jak to możliwe?

- Nie ulega wątpliwości, że to ja wchłonęłam wszystkie dobre cechy, jakie można było znaleźć w brzuchu naszej mamy - oświadczyła chępliwie Alicia. - Biedna Leo!

Wszystkie trzy parsknęły głośnym śmiechem.

Oślepią łzami Leonora pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Oparła dłonie na krawędzi umywalki i uważnie przyjrzała się odbiciu swojej twarzy. Całym jej ciałem wstrząsał szloch. Chcę do mamy, pomyślała. Chcę do mamy, do domu...

Charakterystyczne, że Leonora wcale nie winała Alicję za to, co się stało. Uznała, że przykrość sprawiła jej Mattie, blondynka o wąskich wargach i złośliwym spojrzeniu. Drżącymi palcami wytarła oczy i znowu z niesmakiem popatrzyła na zapuchniętą, czerwoną twarz w lustrze. Była przeciętna, nawet więcej, po prostu brzydka... Tylko mama uważała ją za piękną.

- Jesteś jedną z najpiękniejszych istot, jakie stworzył Bóg, kochanie - mówiła czasami.

Leonora wierzyła w to, bo mama zawsze patrzyła na nią z najgłębszą, najczulszą miłością. Teraz przywołała z pamięci łagodną twarz matki i zatęskniła za nią tak rozpaczliwie, że serce ścisnęło jej się z bólu.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam jest? - odezwał się zdecydowany, lecz miły głos panny Reid.

- To ja, Leonora... - Dziewczynka żałośnie pociągnęła nosem, Panna Reid uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka.

- Właśnie ciebie szukałam - powiedziała, udając, że nie dostrzega zaczerwienionych oczu dziewczynki. - Muszę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Och... - szepnęła Leonora. usiłując się opanować.

- Chodź ze mną.

Leonora poszła za dyrektorką przez dormitoria, korytarzem prowadzącym do frontowych schodów. Na ich szczycie zawahała się, świadoma, że jako nowa nie powinna tędy chodzić.

- Chodź, chodź, nie ociągaj się! - ponagliła panna Reid spokojnym tonem, maskującym cały wachlarz emocji. - Potrzebuję pomocy rozsądnej, bardzo odpowiedzialnej dziewczynki. Widzisz, mój Midge nie czuje się najlepiej... - Długimi, pomarszczonymi palcami pogłaskała głowę małego pieska. - Nie mogę zostawić go samego i nie mogę zabrać do kaplicy, a muszę przewodniczyć w modlitwie, prawda? Wiem, że Midge od razu cię polubił, więc może nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby się nim trochę zająć, co?

Panna Reid spojrzała na Leonorę mądrymi oczami starej kobiety, która przez prawie czterdzieści lat pracowała z dziećmi i żyła dla nich. Niezameżna i bezdzietna, poświęciła się im bez reszty i chociaż zawsze starała się zachować dystans do swoich uczennic, co jakiś czas spotykała takie, wobec których jej serce nie potrafiło być obojętne. Leonora była jedną z nich.

- Bardzo chętnie! - powiedziała dziewczynka, biorąc psa z rąk panny Reid.

Podniosła go do twarzy, a wtedy psiak polizał czubek jej nosa. Midge był w doskonałej formie, lecz przecież Leonora nie mogła o tym wiedzieć.

Przystanąły u stóp schodów, gdzie inne dziewczynki czekały już na dyrektorkę.

- Dołącz do nich - poradziła panna Reid. - Po modlitwie przyjdę zabrać Midge'a.

Leonora czuła się teraz znacznie lepiej. Pies okazał się źródłem prawdziwej pociechy, a okazane jej przez pannę Reid zaufanie zdecydowanie poprawiło nastrój. Postanowiła opisać to wszystko mamie na papeterii, którą dostała od ciotki Cicely, ale nie wspomni o Mattie, ponieważ to mogłoby zdenerwować i zasmucić mamę. Znowu pocałowała psa w głowę i podbiegła do Cazzie, która powitała ją radosnym uśmiechem.

- Gdzie byłaś? - zapytała. - Wszędzie cię szukałam...

- Nie przejmuj się, już jestem - odparła Leonora. - I nic mi nie jest...

Uśmiechnęła się do Cazzie, wdzięczna za jej przyjaźń. Co z tego, że nie jestem ładna, pomyślała. Niektórzy uważają mnie za odpowiedzialną i godną zaufania, a to się liczy. Mercedes zawsze powtarza, że nie da się ukryć paskudnego charakteru pod piękną maską.

W ciągu następnych dwóch tygodni dziewczęta zadomowiły się w szkole. Leonora od razu podbiła serca wszystkich koleżanek niezależnie od wieku, natomiast Alicia stała się obiektem podziwu i lęku, zupełnie jak piękny demon, który urokiem i charyzmą zniewala każdego, kto się do niego zbliży. Nikt jednak nie był bardziej zafascynowany Alicią niż Mattie.

Diana Reid czujnie obserwowała Alicię. Dziewczynka była arogancka w sposób typowy dla dzieci, których urodą dorosli otwarcie się zachwycają, oraz obdarzona charyzmą, na którą z pewnością nie zasługiwała. Szukała słabych punktów nowych znajomych, po czym z zadziwiającym wyrafinowaniem znęcała się nad ofiarami. Diana Reid była pewna, że cierpienie innych sprawia Alicii przyjemność. Upokarzanie słabszych poprawiało samopoczucie dziewczynki, a jej wybujała ambicja sprawiała, że nie myślała o nikim poza sobą. Miała wiele koleżanek, ale z żadną nie łączyła ją prawdziwa przyjaźń, gdyż naprawdę silne związki buduje się nie na strachu, lecz na serdeczności i szczerym, bezinteresownym zainteresowaniu drugą osobą. Panna Reid doszła do wniosku, że Alicii przydałaby się lekcja bezinteresowności, lecz udzielenie takiej lekcji nie było łatwym zadaniem.

Wreszcie pewnego wieczoru Alicia sama oddała piłkę prosto w ręce dyrektorki.

- Mattie, chodźmy pojeździć na oklep na kucykach - zaproponowała koleżance.

Mattie siedziała w kącie dużej chaty w Kasztanowej Wiosce. zbudowanej z resztek pni starych drzew, powalonych przez wielką burzę, która przeszła nad tą okolicą poprzedniego roku. Mattie i Elizabeth same zbudowały dwie izby, zatykając sianem dziury między belkami. Pokrycie dachu stanowiły liściaste gałęzie i patyki. Była to najbardziej przytulna chata w całej wiosce i naturalnie przedmiot zazdrości wszystkich dziewczynek. Właśnie dlatego Alicia uznała, że domek powinien należeć także i do niej.

Propozycja Alicii wzbudziła niepokój w sercu Mattie. Uważała, że dosyć już napsociły jak na pierwsze dwa tygodnie pobytu w szkole. Raz w środku nocy wymknęły się z domu po drabinie

przeciwpożarowej i tańczyły w świetle księżycy, potem zakradły się do spiżarni, chwyciły puszkę ciasteczek i zjadły je w toalecie obok biblioteki, a dwa dni później po popołudniowym meczu siatkówki przebiegły nago przez ogród na dziedzińcu. Poza tym poprzedniego dnia kazały Elizabeth ogrzać już, nie jedną deskę sedesową, ale dwie równocześnie. Biorąc pod uwagę te wszystkie wybryki, Mattie nie była pewna, czy stać ją na podjęcie takiego ryzyka, jak jeżdżenie konno bez opieki osoby dorosłej, co według obowiązujących w szkole zasad było bardzo poważnym wykroczeniem.

- To chyba nie najlepszy pomysł - powiedziała więc Mattie poważnie kręcąc głową. - Zróbmy coś innego.

- Nie chcę robić nic innego.

- Mogą nas za to wyrzucić ze szkoły - mruknęła Mattie. Wyobraziła sobie gniew ojca i zadrżała. Była gotowa na każdą psotę, ponieważ nie przejmowała się karami, lecz wyrzucenie ze szkoły budziło w niej lęk.

- Nic mnie to nie obchodzi, z jednej szkoły już mnie wyrzucili. - Alicia ze śmiechem odrzuciła do tyłu głowę, odślaniając wdzięczny łuk długiej białej szyi. - Co mogą nam zrobić?

- Mój ojciec chyba by mnie zabił...

- Nie żartuj! - Alicia błysnęła zimnymi jak lód oczami. - No, na pewno wpadłby w furję i wrzeszczałby na mnie!

- Ale by cię nie zabił! Mattie się zamyśliła.

- Słowa nikogo nie mogą zabić - oświadczyła Alicia. - Wyrzucenie ze szkoły to też nie koniec świata. W gruncie rzeczy nic nie mogą nam zrobić. Z przyjemnością napiszę sto razy to samo zdanie albo postoję w kącie w klasie. Takie kary nie boją.

- Dobrze, zróbmy to! - zdecydowała Mattie, która nagle zaraziła się brawurą Alicii. - Ale lepiej będzie odłożyć wyprawę do zmroku, bo wtedy raczej nas nie złapią...

- Świetnie - ucieszyła się Alicia. - Wiedziałam, że w końcu przekonasz się do mojego pomysłu!

- I nic nie mówmy Elizabeth. Zechce pójść z nami i na pewno spadnie z kuca i zrobi sobie krzywdę.

- Tak, Elizabeth jest beznadziejnie głupia!

- Ale posłuszna - zauważyła Mattie.

- Och, jasne, takie jak ona są potrzebne takim jak my. Merchi mówi, że gdyby wszyscy byli tak sprytni jak ja, zabrakłoby służących. Dzięki Bogu, że istnieją takie stworzenia jak Elizabeth!

Obie dziewczyny roześmiały się serdecznie.

- Chodźmy przyjrzeć się kucom - powiedziała Mattie. - Wybierzemy te, na których będziemy jeździć.

Poszły na łąkę i wygodnie oparli się o ogrodzenie. Pięć tłustych kuców, łagodnych jak cielęta, leniwie skubało wysoką, soczystą trawę.

- Wybieram tego białego - zdecydowała Alicia.
- Jest siwy, nie biały - sprostowała Mattie.
- Niech będzie siwy. Jak się nazywa?
- Mister Snów.
- W porządku, mój kuc to Mister Snów - oświadczyła Alicia. - A ty na którego wsiądziesz?

Mattie zastanawiała się chwilę i wreszcie wskazała gniadego kuca, który był tak niski i gruby, że brzuchem prawie dotykał ziemi.

- Na Lucky'ego.
- Świetnie...
- Jest taki mały, że bez trudu wskoczę mu na grzbiet - wyjaśniła Mattie.
- Dobry powód. O, dzwonią na kolację! Pamiętaj, nikomu ani słowa!

Po kolacji wymknęły się w mrok. Nie bez pewnego trudu pozbyły się Elizabeth, która koniecznie chciała spędzić z nimi wieczór. Musiały wyznaczyć jej miejsce fikcyjnego spotkania, gdzie teraz na pewno czekała na nie, co jakiś czas spoglądając na zegarek i zastanawiając się, co się z nimi dzieje.

Dziewczęta szybko wdrapały się na ogrodzenie, rozglądając się dookoła niczym złodzieje, którzy obawiają się, że lada chwila ktoś przyłapie ich na gorącym uczynku. Podniecenie występkiem sprawiło, że serca biły im mocno i szybko, a oczy błyszczały jak w gorączce.

- Musisz utrzymać się na grzbiecie przez trzy minuty, inaczej próba się nie liczy! - szepnęła Alicia, kiedy schylone biegly w kierunku kucyków.

Mattie zachichotała, zbliżając się do Lucky'ego, który podniósł głowę i przestał przeżuwać trawę. Mister Snów pomyślał chyba, że zaraz dostanie garść orzechów lub jabłko, bo zarżał cicho, gdy Alicia stanęła obok niego.

- Szszsz... - syknęła ze złością. - Cicho bądź, bo nas wydasz! Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Mattie gładzi Lucky'ego po szyi i szykuje się, by wsiąść mu na grzbiet. Alicia doszła do wniosku, że nie może pozwolić, aby Mattie okazała się szybsza i z rozbiegu wskoczyła na swojego kuca, nie tracąc czasu na klepanie go po karku. Z jej piersi wyrwało się westchnienie ulgi - była pierwsza. Mattie zmarszczyła brwi i ostrożnie przełożyła nogę nad grzbietem Lucky'ego. Długą chwilę siedziała nieruchomo, kryjąc twarz w końskiej grzywie. Triumfująca Alicia musiała oczywiście posunąć się dalej. Nie wystarczyło jej, że może siedzieć na kucu jak Mattie - wbiła pięty w baryłkowaty brzuch Mister Snowa, usiłując zmusić go do biegu.

- Rusz się, głupi staruchu, rusz się! - rozkazała. Mister Snów pochylił głowę i znowu zajął się skubaniem trawy, zupełnie jakby Alicii nie było na jego grzbiecie. Mattie uniosła rękę, na której nosiła zegarek, bez słów komunikując, że trzy minuty już minęły, lecz Alicia potrząsnęła głową i mocniej

kopnęła kuca. Mister Snów parsknął z wyraźnym znużeniem, dając Alicii do zrozumienia, że jej obecność obchodzi go tyle co bzyczenie upartej muchy. - Ruszże się wreszcie, leniwa ropucho! - szepnęła Alicia, z jeszcze większą siłą wbijając pięty w boki kucyka.

Mister Snów zarżał, poderwał głowę i ruszył galopem tak szybko, jak mogły go unieść krótkie nogi. Alicia była zachwycona, chociaż trochę się przestraszyła. Ani ona, ani kuc nie zauważyli psa panny Reid, Lurchera o czekoladowobrązowej sierści, który przemknął tuż obok nich. Alicia poczuła nagle, że ześlizguje się z grzbietu kuca. Próbowała jakoś się utrzymać, ale jego sierść i grzywa były tak miękkie i śliskie, że nie miała się czego chwycić. Mister Snów zwolnił nieco i zaczął kłusować, jakby wiedział, że w ten sposób łatwiej pozbędzie się Alicii. Po paru chwilach dziewczynka spadła na ziemię. Na szczęście szwank poniosła tylko jej duma, więc zaraz zerwała się z trawy, czerwona ze złości, i wytarła zabłocone dłonie w spódnice. Kiedy odwróciła się, ujrzała Lurchera, zwyczajnie pomykającego ku bramie, gdzie stała wyraźnie przerażona Mattie, a obok niej jak zwykle opanowana panna Reid. Palce starszej pani gładziły grzbiet Midge'a, którego trzymała na rękach.

Alicia podeszła do nich wyprostowana, gotowa stawić czoło gniewnej panie Reid, lecz dyrektorka całkowicie ją zaskoczyła.

- Jutro rano w moim gabinecie - rzuciła krótko. - O siódmej trzydzieści.

Potem odwróciła się i ruszyła w kierunku domu, a za nią orszak jej czworonożnych detektywów.

- Nie panikuj, Mattie - powiedziała Alicia, usiłując nadać swemu głosowi zdecydowane brzmienie.
- Przepisywanie zdań jeszcze nikogo nie zabiło, a wyrzucenie ze szkoły na pewno nam nie grozi. Nie ośmieliłaby się...

W milczeniu wrócili do sypialni, każda ze swoimi obawami. Następnego dnia punktualnie stawiły się pod gabinetem panny Reid. Obie miały nadzieję, że wymierzoną karę będą mogły odbyć w sekrecie. Nikt nie wiedział o ich wieczornej przygodzie, nawet Leonora i Elizabeth. Panna Reid kazała im czekać, najwyraźniej po to, aby przedłużyć mękę. Zjawiła się dopiero na parę minut przed pójściem do kaplicy, ubrana w elegancką tweedową spódnice i wełniany sweterek, ze sznurem pięknych starych pereł na szyi.

- Chodźcie ze mną - poleciła, zmierzając w kierunku głównego holu i frontowych drzwi.

Zdumione dziewczynki poszły za nią. Panna Reid zatrzymała się przed schodkami prowadzącymi do kaplicy i odwróciła się twarzą do winowajczyń.

- Połóżcie się na ziemi i posłużycie dziewczętom za kładki - oznajmiła zimno. - Będą musiały przejść po was, żeby dostać się do kaplicy. Wszystkie wiedzą, co zrobiłyście, wiedzą też, że ty, Alicio, nie potrafiłaś nawet utrzymać się na końskim grzbiecie. Przez cały dzień nikt nie odezwie się do was ani słowem. To jeszcze nie koniec - od jutra będziecie wstawały o piątej rano i pomagały sprzątać stajnie, nie przez jeden czy dwa dni, ale codziennie do końca semestru. Liczę, że dzięki temu wreszcie zrozumiecie, iż zasady istnieją z określonego powodu, nie dla czyjegoś widzimisię. Muszę dbać o bezpieczeństwo moich uczennic i zwierząt. Wczoraj wieczorem mogłyście zrobić krzywdę sobie i tym biednym kucom. Przekroczyłyście wszelkie granice i musicie odbyć karę, aby coś takiego nigdy więcej nie przyszło wam do głowy. Jeżeli jeszcze raz pogwałcicie panujące w szkole zasady, nie będę już taka wyrozumiała. Alicio, jesteś tu dopiero od dziesięciu dni, lecz już udało ci się zademonstrować, że masz

wyjatkowo paskudny charakter. Chyba powinnaś skorzystać z okazji i w czasie porannej modlitwy poprosić Boga o wybaczenie. Jezus kazał nam kochać bliźniego swego jak siebie samego, ale ty najwyraźniej nie rozumiesz tego przykazania. Musisz się jeszcze dużo nauczyć.

Alicia z trudem przełknęła ślinę. Robiło jej się zimno na myśl, że inne dziewczynki przejdą po niej jak po chodniku, a świadomość, że codziennie od piątej rano będzie musiała pracować w stajniach wydawała się po prostu nie do zniesienia. Spotkała ją najgorsza kara, jaką ktokolwiek mógł wymyślić. Panna Reid wiedziała o tym i była zadowolona ze swojej decyzji. Alicia była specjalnym przypadkiem i zasługiwała na wyjątkowo surową karę. Dyrektorka odwróciła się i weszła do kaplicy, nie czekając na dziewczęta. W duchu dziękowała Bogu za natchnienie i opiekę.

Rozdział dziewiętnasty

Audrey spędziła dwa tygodnie w oczekiwaniu na weekend, w czasie którego miała ponownie spotkać się z córkami. Codziennie rano pisała do nich listy w małym saloniku Cicely, grzejąc się przy kominku, ponieważ na dworze wciąż padało i zrobiło się bardzo chłodno. Alicia odpisała tylko raz, w niedzielę, kiedy to wszystkie dziewczynki obowiązkowo pisały do rodziców, przysłała też list, który Audrey miała po powrocie do Buenos Aires oddać Mercedes, Leonora natomiast pisała codziennie.

Listy Leonory były długie i poetyckie. Dziewczynka opowiadała w nich matce o nowych koleżankach i pannie Reid, którą serdecznie polubiła, a także o przejażdżkach na kucykach i lekcjach jazdy konnej, w czasie których dziewczynki gęsiego jeździły truchtem i kłusem i uczyły się przeskakiwać przeszkody. Leonora doszła do wniosku, że lekcje jazdy, które pobierała w szkole, podobają się jej bardziej niż szkółka jeździectwa w Argentynie, ponieważ Frankie, szkolna instruktorka, była dla niej bardzo miła i chwaliła ją w obecności innych dziewcząt. Uczyła się też grać na fortepianie i zdała egzamin do chóru złożonego z młodszych uczennic. Najbardziej lubiła jednak zajęcia plastyczne, została nawet wybrana do czteroosobowego zespołu organizującego konkursy graficzne, malarskie i rzeźbiarskie i wydającego szkolną gazetkę. W soboty uczestniczyła w zajęciach Klubu Artystycznego i dbała o salę zajęć plastycznych. W nagrodę za zaangażowanie członkinie Klubu raz w tygodniu spotykały się z panią Augustą Grimsdale, która częstowała je herbatą i ciasteczkami i pozwalała mówić do siebie Gussie. Gussie nosiła długie kwieciste suknie i sznury koralików, co Leonorze kojarzyło się z ciotką Edną. Leonora nie pisała o swojej tęsknocie za matką, nie zdradziła też, że Alicia została surowo ukarana za poważne wykroczenie, ponieważ nie chciała niepokoić matki. Aby wyrazić swoje uczucia, malowała dla Audrey piękne kwiaty i ogniście czerwone serca. Jedyną oznaką jej smutku były ślady łez, które starannie wycierała. Audrey wmawiała sobie, że nie są to wcale ślady łez - musiała w to wierzyć, jeżeli chciała jakoś przetrwać rozstanie z dziećmi.

Cicely snuła się po domu w luźnych spodniach i błękitnych koszulach Marcela. Lubiła ten strój, ponieważ każde spojrzenie w lustro przywodziło jej na myśl ukochanego mężczyznę. Pomagała Panazelowi i Florienowi w ogrodzie, przycinała żywoplot i zbierała jabłka, śliwki i jagody, napętniając spiżarnię obfitymi darami jesieni. Jeździła też z Audrey po farmie, na której jej sąsiad kończył właśnie koszenie lnu i rzepaku wielkimi zielonymi kombajnami, podobnymi do potężnych bestii. Wyjaśniła

bratowej, że co prawda ziemia należy do niej, ale od śmierci męża przed ośmiu laty uprawą zajmuje się Anthony Fitzherbert, właściciel sąsiedniej posiadłości.

- Uprawa ziemi nie przynosi teraz wielkich pieniędzy, ale to, co mam, całkowicie wystarcza na utrzymanie - powiedziała. - Za żadne skarby świata nie wyprowadziłabym się z Holhally Grange, możesz mi wierzyć. Poza tym, to wszystko, co pozostało mi po Hugh...

Cicely rzadko mówiła o zmarłym mężu. Audrey przypuszczała, że może wydaje jej się to niestosowne w sytuacji, gdy na poddaszu mieszka i pracuje Marcel. Audrey zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma na ziemi człowieka, który nie potrzebowałby kogoś bliskiego; miała wrażenie, że Cicely jest szczęśliwa z młodym Francuzem, chociaż ich związek niewątpliwie miał charakter przede wszystkim fizyczny. Marcel zjawiał się tylko na posiłki, a czasami po prostu w milczeniu stawiał pełny talerz na tacy i bez słowa wracał do siebie. Cicely nie sprawiało to chyba przykrości. Ich romans rozgrywał się w nocnej scenerii. Cicely zawsze wyglądała rano świeżo i młodo, oczy jej lśniły, policzki były zarumienione, a uśmiech tak śmiały i zmysłowy jak zapach miłości, który otaczał ją przez cały dzień i przypominał Audrey o tym, co miała i co straciła.

Wyglądało na to, że w domu jest tylko to jedno zdjęcie Louisa, które stało na fortepianie. Audrey ogarniało wzruszenie za każdym razem, gdy na nie patrzyła. Jednak pewnego dnia, kiedy szukała czegoś do czytania, na starym stole w bibliotece znalazła kilka zniszczonych albumów. Świadoma, że jej zaciekawienie może wzbudzić podejrzenia, zmobilizowała odwagę i zapytała Cicely, czy może je obejrzeć. Odetchnęła z ulgą, gdy szwagierka usiadła obok niej przy kominku i powiedziała, że sama z radością pokaże jej zdjęcia i wyjaśni, kogo na nich uwieczniono.

- Na pewno chciałabyś zobaczyć Cecila jako małego chłopca, prawda? - zagadnęła, sadowiac się wygodnie na sofie.

- Tak - skłamała Audrey, z trudem panując nad podnieceniem.

Cicely otworzyła album i zaczęła powoli przewracać kartki. Było tu mnóstwo fotografii jej rodziców, Cecila jako dziecka, Cicely jako małej dziewczynki, a także rodzinnego domu Forresterów, ogromnego i imponującego jak Colehurst House. Audrey ze zniecierpliwieniem ogryzała paznokcie, błagając w duchu Cicely, aby szybciej przeglądała zdjęcia. Robiła odpowiednie uwagi, wzdychała z nieco sztucznym wzruszeniem na widok Cecila wystrojonego w białe ubranko do chrztu, podziwiała ożywioną buzię Cicely, wyglądającą z dużego ciemnego wózka, i zachwycała się chłodną elegancją ich matki. Wreszcie jej wzrok padł na czarno-białą fotografię Louisa. Musiał mieć wtedy około pół roku, może odrobinę więcej. Jak niewiele się zmienił, pomyślała.

Miał platynowe włoski i delikatne, krągłe ciątko niemowlęcia, lecz wyraz niewinnego zdumienia i zamyślenia w dużych oczach był jej dobrze znany. Wszystko wskazywało na to, że już wtedy żył we własnym świecie. Wrażliwy, kruchy i tak bardzo podatny na zranienie... Przywołała z pamięci dorosłego człowieka, którego pokochała i zrozumiała, że mimo upływu lat wciąż nosił w sobie tamto dziecko.

- Jaki był Louis jako mały chłopiec? - zapytała cicho. Cicely nie była zdziwiona jej pytaniem, ponieważ Audrey wypytywała ją o wiele zdjęć, zwlekała jednak z odpowiedzią, gdyż czuła się winna.

- Był słodki - odparła wreszcie. - Naprawdę słodki. Uwielbialiśmy go.

- Nie dziwię się... - Audrey uśmiechnęła się z czułością. - Nie bardzo się zmienił, prawda?

- Tak, właśnie na tym polega problem.

- Problem?

- Louis miał duże trudności z nauką. Późno zaczął raczkować, chodzić, mówić... Wydaje mi się, że nigdy nie dorósł...

- Rozumiem... - Audrey poczuła, że jej dłonie wilgotnieją ze zdenerwowania.

Była pewna, że Cicely chce powiedzieć jej, dlaczego Louis różni się od innych ludzi. Jako maluch był naprawdę cudowny.

- Pamiętam ten okres, bo jestem dużo starsza od niego. Przypominał żywą lalkę - bawiłam się z nim całymi godzinami, dopóki nie wpadł w złość. Potrafił się złościć, och, tak... - Cicely zaśmiała się cicho, okręcając pasmo włosów wokół palca. - Sądzę, że najbardziej złościł się na siebie. Chciał robić większe postępy we wszystkim, zupełnie jakby w głębi serca zdawał sobie sprawę, że stać go na więcej, ale jego ciało nie chciało słuchać wydawanych przez umysł poleceń... I wtedy Louis wpadał we wściekłość.

- Dlaczego był taki, skoro ty i Cecil jesteście tacy... Tacy...

- Normalni? - podsunęła Cicely.

Audrey zachnęła się na to określenie jak matka, która nie zamierza tolerować tego, by ktoś mówił coś złego o jej dziecku.

- Och, nigdy nie przyszło mi do głowy, że Louis jest nienormalny - rzekła pośpiesznie. - On jest po prostu wyjątkowy. Utalentowany, niezwykły...

- Niewiele o nim wiesz. - Cicely westchnęła ciężko. - Gdyby nie to, że Isla go kochała, nie zdobyłabym się na to, żeby ci o nim opowiedzieć. Należysz jednak do rodziny, więc wydaje mi się, że mogę ci zaufać...

- Możesz - potwierdziła Audrey.

- Widzisz, Louis urodził się przedwcześnie, szczerze mówiąc, dużo za wcześnie. Mama prawie go poroniła i pogrążyła się w strasznej depresji. Louis długo przebywał w szpitalu, lekarze walczyli o jego życie. To było okropne... Nie wyobrażasz sobie, jak wielką poculiśmy ulgę, kiedy w końcu przywieziono go do domu. Mieliśmy wrażenie, że ogromna czarna chmura znikła, odstaniając błękitne niebo. Żyliśmy w stanie radosnej euforii do chwili, gdy rodzice i lekarze zorientowali się, że Louis nie jest jednak zupełnie zdrowym, normalnie rozwijającym się dzieckiem. Pod względem fizycznym wszystko było w porządku, cierpiał natomiast na dziwną umysłową wrażliwość czy raczej kruchość, którą ciężko pojąć, a jeszcze ciężiej leczyć...

- Co masz na myśli? - zapytała niespokojnie Audrey. Trudno jej było oprzeć się wrażeniu, że Cicely stara się usprawiedliwić postępowanie rodziców i własne. W jej głosie brzmiała niepewność, nie ulegało wątpliwości, że dręczą ją wyrzuty sumienia

- Louis był nieszczęśliwym, rozdygotanym chłopcem - ciągnęła. - Często zdarzały mu się ataki histerycznego płaczu, a właściwie wrzasku i wtedy nic nie było w stanie go uciszyć. Krzyczał i krzyczał z szeroko rozłożonymi ramionami, jakby go coś strasznie bolało. To było straszne, przerażające... Tata, który potrafił zapanować nad każdą sytuacją, zupełnie nie wiedział, jak sobie z tym poradzić i po pewnym czasie przestał się Louistem interesować. Zachowywał się tak, jakby Louisa nie było. Mama początkowo była do niego bardzo przywiązana, poświęcała mu mnóstwo czasu i uwagi. Czuła się winna, mówiła, że przecież to jej ciało nie dało mu odpowiednio długiego schronienia, uważała, że zawiodła syna, ale Louis był po prostu zbyt trudnym dzieckiem i nikt nie mógł go wyciszyć. Odrzucił także mamę. Ja też czuję się winna... - Głos Cicely nagle się załamał. - W pewnej chwili zaczęłam udawać, że Louis został adoptowany. Mówiłam wszystkim, że nie jesteśmy jego prawdziwą rodziną, że rodzice go adoptowali... Nie mam pojęcia, jak mogłam być tak okrutna... Wydawało się, że Louisowi to nie przeszkadza, często śmiał się z tego, co mówiłam, ale na pewno nienawidził mnie za to. Byłam dla niego okropna, całe szczęście, że przynajmniej Cecil okazywał mu miłość. Cóż, Cecil zawsze był święty... Ja mam w sobie dużo więcej egoizmu. Żałuję wielu rzeczy, ale jestem zbyt słaba, by się zmienić... Tak więc Cecii, święty Cecii, nie odwrócił się od Louisa nawet wtedy, gdy my wszyscy już dawno się poddaliśmy. Louis uspokoił się dopiero, kiedy zaczął grać na fortepianie mamy. Od pierwszej chwili stało się jasne, że ma wyjątkowy talent, grał jak dojrzały pianista, którego styl jest już w pełni ukształtowany. Myślę, że jego frustracje zmalowały i zblakły, gdy odkrył, że jednak potrafi w jakiś sposób porozumieć się ze światem. Wtedy przestały go męczyć te okropne ataki, było już jednak za późno, abyśmy mogli nawiązać z nim kontakt. Grał całymi godzinami, odgradzając się od nas ścianą muzyki, sam w swoim własnym świecie... Muzyka jest jego jedyną miłością. Isla nie miała szans, Audrey. Louis jest biednym, udręczonym człowiekiem...

- Ale przecież teraz nic mu już nie dolega... - odezwała się Audrey.

Wiedziała, że Cicely bardzo się myli. Louis był zdolny kochać. bo przecież ją pokochał, a muzyka stała się kośćcem jego miłości. Właśnie muzyka zbliżyła ich do siebie, dzięki muzyce rozumieli się znacznie lepiej niż inne pary. Muzyka potrafiła wyrazić wszystko to, czego nie mogły opisać słowa.

- Louis nauczył się żyć ze swoją ułomnością. - Cicely westchnęła. - Nie zmienia to jednak faktu, że w trudnych, krytycznych chwilach zawsze się załamuje...

- Potrzeba mu miłości, niczego więcej - powiedziała cicho Audrey.

- Ale kto go pokocha? Kto zdecyduje się poświęcić Bóg wie ile czasu i wysiłku, aby go zrozumieć? Louis zamyka się w sobie, zniechęca ludzi... Nikt nie umie do niego dotrzeć. Żyje w świecie marzeń i wraz z upływem lat coraz bardziej oddala się od rzeczywistości, coraz bardziej traci z nami kontakt... Czasami mam wrażenie, że pewnego dnia po prostu zniknie bez śladu... Tej nocy Audrey długo leżała w ciemności i płakała. Płakała z powodu rozstania z córkami i śmierci Isli, ale przede wszystkim z powodu odejścia Louisa.

Wreszcie Leonora i Alicia wróciły na weekend do Holholly Grange. Audrey serdecznie uściskała i przytuliła dziewczynki, lecz na jej radości mrocznym cieniem kładła się świadomość, że za trzy dni znowu pojedą do szkoły, a ona wsiądzie na pokład samolotu i polecą do Buenos Aires. Nie wiedziała, jak poradzi sobie z tą sytuacją, nie chciała jednak, aby rozstanie zniszczyło szczęśliwe godziny, którymi zamierzała cieszyć się do końca.

Alicia tak bardzo wstydziła się otrzymanej kary, że ani słowem nie wspomniała o niej matce i ciotce. Leonora także milczała jak grób. Alicia przeżyła ogromne upokorzenie, nie zdecydowała się opowiedzieć o swoim wyskoku nawet Mercedes, przed którą nigdy niczego nie ukrywała. Uraczyła natomiast Audrey i Cicely serią scenek, w których parodiowała swoich nowych nauczycieli niczym zawodowa aktorka. Wszystkie zaśmiewały się do łez, kiedy Alicia pląsała po kuchni jak po scenie, w karykaturalny sposób przedstawiając śmieszności dorosłych. Nawet leżące na swoich materacach psy przyglądały się jej z wielką uwagą.

Ku zdumieniu Audrey Marcel zszedł na lunch i usiadł przy stole, rozglądając się dookoła z taką miną, jakby szukał inspiracji dla swoich obrazów. Tkwił w kącie, mroczny i ponury niczym bohater marnego romansidła, i palił własnoręcznie skręconego papierosa. Cicely znowu przemieniła się w młodą, zalotną dziewczynę i starała się podać jagnięcy udziec w jak najbardziej estetyczny sposób, natomiast bliźniaczki w ogóle nie zwracały uwagi na malarza. Audrey nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Marcel ją obserwuje. Patrzył na nią uważnie, czujnie, jak by wiedział o niej prawie wszystko, jakby znał jej tajemnicę. Po czuła się nieswojo. Marcel spędzał całe dni na poddaszu, a jednak doskonale wiedział, co dzieje się w domu. Usłyszał, jak grała na pianinie, chociaż była wtedy pewna, że jest sama, celowo odszukał ją w środku nocy, kiedy nie mogła zasnąć. Kto wie, czy nie czał się w cieniu, gdy ona przeżywała chwile wielkiego wzruszenia, trzymając w ręku fotografię Louisa... Pochwyciła spojrzenie młodego Francuza i zmarszczyła brwi, lecz on spokojnie zaciągał się papierosem, wydmuchiwał dym w powietrze i przyglądał się jej oczami artysty-, który zastanawia się nad tematem następnego dzieła.

Po południu Audrey, Cicely oraz bliźniaczki poszły na spacer z psami, zabierając ze sobą duże miski, które zamierzały napełnić jagodami. Na krzaczkach wciąż można było znaleźć ciemne, słodkie owoce, a drzewa w sadzie ugięły się pod ciężarem jabłek i śliwek. Powietrze było ciepłe, słońce złociło wzgórze jesiennym blaskiem, przypominając patrzącym o lecie i o tym, jaka piękna może być Anglia, kiedy niebo jest wolne od ciemnych chmur. Audrey pomyślała o pułkowniku Blythe i doszła do wniosku, że jednak się mylił - w Anglii nie zawsze pada deszcz Alicia biegła z psami, natomiast Leonora trzymała się matki, jakby przed ponownym rozstaniem chciała wykorzystać każdą chwilę jej obecności i wzajemnej bliskości. Wracaly do domu przez pole, na którym obozowali Cyganie. Panazel i Masha leżeli na ziemi z dwojgiem swoich dzieci. Alicia podbiegła do Leonory i szarpnęła ją za rękaw.

- Nie wspominaj ani słowem o tym nieszczęsnym kurczaku! - syknęła.

- Nie mam takiego zamiaru - odparła Leonora. - Ale bądź dla nich miła...

Alicia zmarszczyła nos. Od dawna uważała, że takie określenia jak „miła” czy „uprzejma” powinny zostać raz na zawsze wymazane ze słownika. Audrey zauważyła, że psy, które zawsze z entuzjazmem obszczekiwały konie, teraz trzymały się z daleka. - Cześć, Florian! - zawołała Alicia do nachmurzonego chłopca, który razem z całą rodziną podnosił się właśnie z ziemi.

- Och, nie wstawajcie, na miłość boską! - Cicely rozpaczliwie zamachała rękami. - W lesie jest jeszcze mnóstwo jagód. Mam nadzieję, że korzystacie z tej obfitości, Panazel.

- Korzystamy ze wszystkich darów ziemi, pani Weatherby - odparł Cygan, wkładając czapkę. - Dziękujemy pani za pamięć...

- Ach, Raweno, nie poznałaś jeszcze moich bratanic, Alicii i Leonory! - Cicely skupiła uwagę na młodej Cygance. - Będą teraz mieszkały u mnie i w czasie wakacji pomogą Panazelowi i Florianowi w ogrodzie. Roboty nigdy tam nie brak...

- Z przyjemnością im powrózę. - Ravena odsoniła w uśmiechu trochę krzywe zęby.

- Och, koniecznie! - ucieszyła się Alicja. - Czy wyjdę za mąż za bardzo bogatego człowieka?

- Alicio! - krzyknęła Audrey, zawstydzona zachowaniem córki.

Cicely roześmiała się głośno,

- W końcu dlaczego nie miałyby marzyć o bogatym mężu? Ravena kiedyś mi wróżyła, to była naprawdę świetna zabawa... Zaraz, zaraz, za wróżbę należy się zapłata. - Cicely wsunęła rękę do kieszeni spodni i wyjęła dwie półkoronówki.

- Wspaniale! - pisnęła Alicja. - Nie chcesz posłuchać wróżby, Leo?

Leonora potrząsnęła głową i spojrzała na matkę.

- Leonora trochę boi się wróżek, podobnie jak ja - wyjaśniła Audrey, biorąc córkę za rękę.

Alicja poszła z Raveną do wozu. Młoda Cyganka była wysoka i smukła, długie włosy wymykały się spod chustki, którą były związane i opadały aż do pasa. Gdyby nie krzywe zęby i nieco żółtawa cera można by ją uznać za prawdziwą piękność. Dziewczyna wskazała Alicji mały okrągły stolik, przy którym stały dwa krzesła. Dziewczynka natychmiast usiadła na jednym i utkwiała w gospodyni podekscytowane spojrzenie.

- Masz kryształową kulę? - zapytała. Ravena pokręciła głową.

- Nie stać mnie na kulę - odparła. - Nie potrzebuję jej zresztą, bo wróżę z dłoni, tak jak nauczyła mnie babcia...

- W takim razie proszę bardzo. - Alicja położyła rękę na stole, dłonią do góry. - Co widzisz? Czy będę bogata i szczęśliwa?

Ravena ujęła dłoń dziewczynki i przyjrzała się jej uważnie. Alicja nie spuszczała wzroku z jej twarzy. Ravena odetchnęła głęboko. Dziewczynka zauważyła, że policzki Cyganki lśnią od potu. W ciasnym wozie było gorąco i duszno.

Cyganka milczała tak długo, że Alicja zaczęła się już niecierpliwić. W końcu Ravena westchnęła ciężko i przykryła dłoń dziewczynki swoją.

- No? - zapytała Alicja. - Przecież na pewno coś zobaczyłaś!

- Masz wielkie szczęście - odezwała się Ravena. - Otrzymałaś w darze nie tylko wspaniałą urodę, ale i talent. Od ciebie zależy, jak wykorzystasz jedno i drugie... Będiesz albo bogata i szczęśliwa, albo... - zawahała się.

Alicja nachyliła się nad stołem.

- Albo? - ponagliła.

Na twarzy Raveny pojawił się pełen rezygnacji uśmiech.

- Będiesz bogata i szczęśliwa, na pewno. Wyjdiesz za bardzo zamożnego człowieka, którego pokochasz całym sercem. Zamieszkaż w tym kraju i tutaj wychowasz swoje dzieci. Będziesz ich miała czworo, a wszystkie będą tak piękne i utalentowane jak ty...

- Naprawdę? - Alicia uśmiechnęła się szeroko - Muszę o tym powiedzieć mamie!

Zerwała się z miejsca i wybiegła na zewnątrz.

- Będę bogata i szczęśliwa i będę miała czworo dzieci! - zawołała. - Powinnaś się odważyć, Leo! Ravena świetnie wróży z ręki.

Jednak Leonora wcale nie miała ochoty poznawać swojej przyszłości - obawiała się, że mogłaby usłyszeć coś nieprzyjemnego. Kiedy ruszyły w kierunku bramy, psy poderwały się i pobiegły za nimi, wężąc dookoła i machając ogonami.

- Ravena to kochana dziewczyna, ale mocno wątpię, czy kiedykolwiek udało jej się naprawdę coś przepowiedzieć. - Cicely ściszyła głos i porozumiewawczo mrugnęła do Audrey. - Dobrze chociaż, że opowiada takie miłe bzdury... Nie chciałabym, żeby straszyla Bogu ducha winnych ludzi.

- Tak czy inaczej, ktoś tutaj jest szczęśliwy jak skowronek, a to na pewno jest warte dwóch półkoronówek! - roześmiała się Audrey.

- I co? - zagadnęła Masha, odwracając się do córki. Ravena z westchnieniem wzruszyła ramionami.

- Musiałam udawać - wyznała. - Znowu? - Matka z dezaprobatą pokręciła głową. - Twoja babcia przewraca się w grobie, jeżeli wie, w jak niewłaściwy sposób korzystasz ze swojego daru...

- Nie mogłam powiedzieć jej, co zobaczyłam, podobnie jak wtedy, gdy wróżyłam pani Weatherby... Nie mogłam wyjawic, co mają przed sobą. O niektórych sprawach lepiej nie wiedzieć zawczasu...

- Stracisz swój talent, zobaczysz!

- Może powinnam sama z niego zrezygnować i zająć się zbieraniem śliwek z tatą i Florianem, zamiast zaglądać w ludzką przyszłość...

- Nie bądź dzieckiem! Jesteś w tym dobra, tyle że brak ci odwagi, chociaż doskonale wiesz, że sami jesteśmy kowalami swego losu i możemy go odmienić. Nic nie jest powiedziane raz na zawsze. Mogłaś pokierować nią w lepszym kierunku...

- To nie miało sensu, mała zboczyła już z dobrej drogi - powiedziała poważnie Ravena. - Idę pojeździć konno. Strasznie mnie to przygnębiło...

Odwróciła się i poszła w kierunku przywiązanego do płotu kuca, wciąż rozmyślając nad mroczną naturą Alicii.

Było już dobrze po północy, kiedy Leonora, tuląc w ramionach pluszowego królika, bosko wymknęła się ze swojego pokoju i zbliżyła się do drzwi sypialni matki. Trzymała zapaloną świeczkę, której płomień chwiał się i migotał w przeciągu. Bała się włączyć światło, ponieważ Cicely oszczędzała na elektryczności. Drżąc z zimna, długą chwilę stała pod drzwiami. Rozumiała, że musi zachowywać się jak duża dziewczynka i że rano Alicia na pewno będzie się z niej śmiała, bo przecież już i tak wciąż kpiła z tego, że Leonora wszędzie nosi ze sobą „tego śmierdzącego królika”. Leonora nie mogła jednak nic poradzić na to, że pragnie znaleźć się w ciepłych ramionach matki, poczuć emanujący z niej spokój i nacieszyć się, że ma ją tylko dla siebie.

Zapukała ostrożnie i nacisnęła klamkę. Zaraz potem usłyszała cichy szelest pościeli, gdy Audrey usiadła na łóżku.

- Kto tam? - zapytała niespokojnie, przestraszona, że może to Marcel znowu ją szpieguje.

Kiedy jednak ujrzała bladą twarzyczkę córki, podświetloną złocistym płomieniem, uśmiechnęła się z czułością.

- Nic ci nie jest, kochanie? - odezwała się, robiąc Leonorze miejsce obok siebie.

- Czuję się samotna - odparła cicho Leonora.

- Więc chodź do mnie, skarbie. Ja też czuję się samotna. Leonora wsunęła się pod kołdrę i zdmuchnęła świecę. Zwinęła się w kłębek i poczuła, jak matka przytula ją do siebie.

- W szkole bardzo za tobą tęsknię - powiedziała. Łatwiej było jej mówić o swoich lękach w ciemności, kiedy nie musiała patrzeć w zatroskaną, smutną twarz mamy. Audrey przygarnęła ją jeszcze bliżej.

- Ja także za tobą tęsknię, kochanie, strasznie... Nie ma takiej chwili, w której przestałabym myśleć o was obu. Wiem jednak, że za jakiś czas, na pewno już wkrótce, polubisz szkołę tak jak kiedyś ciocia Cicely. Teraz mówi o Colehurst House w taki sposób, jakby nadal tam była, więc wierzę, że jest to wspaniałe miejsce...

- Tak, to prawda. Bardzo lubię pannę Reid i Gussie, a Cazzie jest moją najlepszą przyjaciółką. Ona też często tęskni za domem, ale przynajmniej ma siostry, które są dla niej dobre...

- Ty masz Alicię.

- Tak - rzekła Leonora pozbawionym wyrazu głosem. - Ja również mam siostrę...

Nie mogła zdobyć się na to, aby powiedzieć matce, że Alicia zachowuje się tak, jakby w ogóle nie były ze sobą spokrewnione. Sprawiłoby to mamie zbyt wielką przykrość.

- I w gruncie rzeczy już niedługo przyjedziecie do domu na wakacje - ciągnęła Audrey. - Na całe cztery tygodnie, wyobrazasz sobie? Urządzimy bardzo angielskie święta Bożego Narodzenia, co ty na to? Nauczę Mercedes, jak przyrządza się gwiazdkowy pudding i paszteciki z mięsem, i wszyscy rozpakujemy prezenty pod choinką, razem z babcią i dziadkiem. Do świąt zostało już tylko dziesięć tygodni, skarbie. Ten czas minie bardzo szybko, nim się obejrzysz, już będziesz w domu.

- Ale potem znowu będziemy musiały wyjechać. Nienawidzę wyjazdów...

- Wiem, ale nie myśl o tym teraz, kochanie. W nocy wszystko zawsze wydaje się gorsze i trudniejsze niż za dnia. Teraz jesteś ze mną, a ja bardzo cię kocham, bardzo. Spróbuj myśleć o przyjemnych rzeczach...

Tak więc Leonora starała się myśleć o miłych zdarzeniach, podczas gdy Audrey myślała o samych złych - o rozstaniu oraz powrocie do martwego małżeństwa i pustego domu, o długich latach samotności, pożegnaniach na lotnisku i bezcennych, spędzanych razem chwilach, które mijają za szybko. Och, Cecilu, co ty zrobisz, pomyślała z rozpaczą.

Następnego dnia padało. Leonora nie potrafiła cieszyć się bliskością matki, ponieważ czas biegł szybko, coraz bardziej przybliżając popołudnie i bolesny powrót do szkoły. Starła się nie oddalać od Audrey, natomiast Alicia siedziała w cygańskim wozie i dręczyła Ravenę, błagając ją, aby raz za razem przepowiadała jej cudowną przyszłość. Audrey próbowała rozerwać milczącą Leonorę, budując chatkę z mchu, robiąc mały skalny ogródek w tekturowym pudełku po butach i przyozdabiając go kwiatkami, po które wyprawiły się pod wielkim parasolem zmarłego męża Cicely. Dziewczynka zaczęła się uśmiechać, kiedy w zagłębieniu wśród mchu ulokowała kawałek aluminiowej folii, który miał udawać staw. Cicely zrobiła czekoladowe ciasteczka na podwieczorek i pozwoliła bliźniaczkom wylizać miskę. Dziewczynki musiały walczyć o prawo do wyskrobania resztek ciasta z Barleyem, który za wszelką cenę chciał pierwszy wetknąć wilgotny nos do miski.

Rozstanie było okropne. Leonora płakała, Alicia zaś nadąsała się, ponieważ znowu musiała zająć się siostrą. Tym razem nauczona doświadczeniem Audrey odjechała szybko, lecz szlochając przez całą drogę do domu Cicely, a potem w samolocie do Buenos Aires. Po paru godzinach oczy tak jej zapuchły, że trudno byłoby ją poznać.

W czasie podróży myślała o wielu rzeczach, nigdy jednak nie przyszłoby jej do głowy, co zdarzyło się w domu pod jej nieobecność.

Rozdział dwudziesty

Kiedy Audrey wysiadła z samochodu i usłyszała przejmująco znajome dźwięki fortepianu, tańczące w powietrzu niczym echo odległego wspomnienia, pomyślała, że padła ofiarą złudzenia, wywołanego smutkiem i zmęczeniem, okrutnej iluzji, która rozdzierała jej serce i kpiła z nadziei, przechowywanej wbrew wszystkim przeciwnościom. Stała zasłuchana, nie wierząc własnym uszom, ale rozpaczliwie pragnąc uwierzyć. Pośpiesznie spojrzała na męża, który otwierał już bagażnik i wyjmował z niego jej bagaże. Potem przeniosła spojrzenie na dom i powoli ruszyła ku frontowym drzwiom, obawiając się tego, co zastanie w środku. Przecież gdyby Louis wrócił, Cecil na pewno by mi o tym powiedział, pomyślała. Przekonanie, że nie mogłoby być inaczej, przyćmiło jej umysł wątpliwościami i rozczarowaniem, lecz mimo wszystko nie zgasiło ostatniej iskierki nadziei.

Weszła do holu, w którym rozbrzmiewała muzyka, i serce podeszło jej do gardła. Nie mogło być mowy o pomyłce czy złudzeniu, to była ich melodia, Sonata o niezapominajce. Kolana ugięły się pod nią, lecz zapanowała nad sobą, gotowa zrobić wszystko, byle tylko nie zdradzić się ze swoimi uczuciami. Za plecami słyszała kroki zbliżającego się Cecila, nie śmiała jednak odwrócić się i zapytać

go, kto gra na fortepianie, aby drżenie głosu nie stało się świadectwem straszliwej niepewności, jaką odczuwała.

Cecil poszedł na górę, żeby zanieść jej walizki do sypialni, a Audrey na drżących nogach podeszła do drzwi salonu i przystanęła, wpatrzona w siedzącego przy fortepianie Louisa, którego palce lekko dotykały klawiszy instrumentu,

Musiał wyczuć jej obecność, ponieważ nagle przestał grać i odwrócił się. Długą chwilę patrzyli na siebie, zawieszeni w pustce czasu, który minął od ich ostatniego spotkania. Oboje przyglądali się sobie nerwowo - Louis szukał w twarzy Audrey oznak wzruszenia, które powiedziałyby mu, że nadal go kocha, ona zaś patrzyła w jego zamknięte oczy z obawą, że dojrzy w nich gniew. Czuła się winna. Wyszła przecież za jego brata, choć to on powinien zostać jej mężem. Louis zwierzył jednak cię małżeńskiej niezgody w zapachu alkoholu, który wieczorami otaczał Cecila, oraz we fryzurze Audrey - ciasnym koku krępującym nie tylko jej włosy, ale także żywotność i energię. W ciągu dwóch tygodni, jakie spędził w domu brata, zorientował się, że w tym małżeństwie dzieje się bardzo źle. A przecież wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej...

Kiedy na twarzy Audrey pojawił się czuły uśmiech, zrozumiał, że nie potrzebuje większej zachęty. Zerwał się na nogi i chwycił Audrey w ramiona, przyciskając wargi do jej skroni i szepcząc, że wciąż jej pragnie, że wciąż ją kocha i nigdy nie przestanie.

- Louisie, błagam cię... - odepchnęła go od siebie, słysząc, jak schody skrzypią pod krokami Cecila.

- Jak on mógł cię tak złamać? - Ujął jej twarz w dłonie. W jego oczach dojrzała współczucie i smutek. Pośpiesznie odwróciła wzrok. Pragnęła poprosić go, aby nie wypuszczał jej z ramion, bo właśnie w nich znajduje się jej jedyny dom, ale nie mieli już czasu. Louis cofnął się dokładnie w tej samej chwili, gdy na progu stanął Cecil.

- Zależało mi, żeby przyjazd Louisa był dla ciebie niespodzianką - powiedział, mijając żonę i podchodząc do stołu, aby nalać sobie drinka.

Audrey poszła za nim. Oderwała oczy od mężczyzny, którego już nigdy nie spodziewała się zobaczyć i spróbowała zachowywać się jak najnormalniej. Cecil wydawał się zupełnie nieświadomy wibrujących w powietrzu uczuć.

- Dla mnie była to absolutna niespodzianka - ciągnął. - Pewnego dnia po prostu przyjechał i już... Było to w jakiś tydzień po waszym wyjeździe. Zjawił się bez ostrzeżenia, tak samo jak wyjechał...

Cecil spojrzął na brata, potem przeniósł wzrok na żonę. W pokoju zapadło ciężkie milczenie. Cecil zapalił cygaro.

- Gdzie się zatrzymał? - zapytała Audrey.

- U nas. - Cecil zabrzęczał kostkami lodu w szklance. Jego twarz była poważna, dolna szczęka nieco wysunięta. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Audrey wpadła w panikę, lecz z udanym spokojem potrząsnęła głową.

- Oczywiście że nie... Czy moi rodzice już się z nim widzieli? Louis usiadł na kanapie po drugiej stronie pokoju, żeby nie tracić jej z oczu. Audrey przycupnęła na oparciu fotela. Louis pomyślał, że ze

ściągniętymi do tyłu włosami wygląda o wiele poważniej. Dziewczyna, którą kiedyś była, zniknęła bez śladu.

- Widziałem się z twoimi rodzicami i ciotką Edną - powiedział. - Trochę się postarzeni, ale w gruncie rzeczy prawie się nie zmienili.

- Henry wydał w klubie przyjęcie powitalne na cześć Louisa - rzekł Cecil. - Rose chce zorganizować nabożeństwo za Isłę, czekała z tym tylko na twój powrót... - dodał łagodniejszym tonem.

Audrey spuściła oczy. Nie ulegało wątpliwości, że w czasie jej nieobecności dużo się tu działo.

- Rozumiem... - odparła. - Bardzo podoba mi się ten pomysł... - Bawiąc się nerwowo rączką torebki, niepewnie zerknęła na Louisa. - Jak długo zamierzasz tu zabawić?

Z uporem wpatrywała się w lśniąca brązową skórę, usiłując ukryć, jak bardzo zależy jej, aby został jak najdłużej. Cecil opróżnił szklankę i podniósł się, aby nalać sobie następnego drinka. Musiał zmobilizować całą energię, aby zapanować nad drżeniem dłoni. - Nie wiem. Nie mam żadnych planów.

- Jeżeli szybko nie wyjedzie, będzie musiał ożenić się z Nelly - zażartował Cecil. Alkohol znieczulił już jego zmysły i ból wreszcie ustąpił. - Bo Nelly wierzy, że Louis wrócił ze względu na nią... - parsknął śmiechem.

- Nelly? - Audrey rzuciła mu pełne niedowierzania spojrzenie.

- Hilda jest absolutnie zdeterminowana; chyba rozumiesz dlaczego. Na razie za męża wyszła tylko Agatha, a Nelly posuwa się w latkach...

- Przedwczoraj byliśmy u Hildy na kolacji - westchnął Louis. - Uparła się, żebym siedział obok Nelly. Biedna dziewczyna, natura nie była dla niej zbyt szczodra, prawda? Dobrze chociaż, że jest znacznie miłsza niż jej matka...

Audrey poczuła nagle, że wszystko to razem jest dla niej za trudne. Wstała i powoli potarła czoło palcami.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała. - Wybaczcie mi, ale pójdę się teraz wykąpać i trochę odpocząć. Cecilu, przeproś Mercedes w moim imieniu i powtórz jej, że zajrzę do kuchni, kiedy zejdę na lunch. Mam dla niej list od Alicii,

- Oczywiście, kochanie. Przynieść ci coś? Może kawy albo herbaty?

Audrey potrząsnęła głową i przywołała na usta drżący uśmiech.

- Nie, dziękuję, nie trzeba. Po drzemce na pewno poczuję się lepiej... - Podeszła do drzwi, lecz nagle przystanęła. Nie była w stanie dłużej tłumić smutku. - Bardzo tu teraz cicho, prawda?

Louis spojrzał na brata, który tępym wzrokiem wpatrywał się w pustą szklankę. Popiół z cygara Cecila bezszelestnie opadał na dywan.

Audrey zamknęła za sobą drzwi sypialni i puściła ciepłą wodę do wanny. Od wielu tygodni bała się powrotu do pustego domu, a każda myśl o córkach doprowadzała ją do łez. Rozstanie z nimi było

bardziej bolesne, niż mogła to sobie wcześniej wyobrazić, lecz pojawienie się Louisa wstrząsnęło nią znacznie mocniej niż widok pustego pokoju bliźniaczek. Mogła spodziewać się wielu rzeczy, ale nie przyjazdu Louisa...

Zanurzyła się w wannie i pozwoliła, aby woda rozluźniła napięte do bólu mięśnie jej pleców i ramion. Dlaczego Louis nie był na nią wściekły? Jak mógł siedzieć naprzeciwko niej i Cecila i obojętnie się uśmiechać? Na co liczył? Dotknęła złotej obrączki na lewej dłoni. Była mężatką, a to wszystko odmieniło., Wszystko z wyjątkiem serca...

Kąpiel sprawiła, że zachciało jej się spać. Kiedy więc zwinęła się pod lekką narzutą, natychmiast zapadła w głęboki sen, chociaż jeszcze niedawno sądziła, że nie będzie w stanie zmrzyć oka.

Obudziło ją ciche stukanie do drzwi. Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Dochodziła druga po południu.

- Lunch jest już gotowy, Audrey - usłyszała głos Cecila. - Dlaczego zamknęłaś drzwi na klucz?

- Naprawdę je zamknęłam? - zapytała, udając, że zrobiła to nieświadomie.

- Mogę wejść?

- Oczywiście - odparła i powoli podniosła się z łóżka.

- Wyglądasz teraz o wiele lepiej - powiedział, kiedy otworzyła drzwi. - Nie jesteś już taka blada... Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Sen to wielki lekarz. - Odsunęła zasłony, wpuszczając do pokoju wiosenne słońce.

- Louis miał zupełnie niesamowite przygody. - Cecil siadł przy oknie, przyglądając się, jak jego żona ściele łóżko.

- Naprawdę?

- Tak. Pojechał do Meksyku i przez osiem lat uczył tam dzieci muzyki.

- Zawsze uważałam, że byłby doskonałym nauczycielem... - Po jej plecach przebiegł dreszcz podniecenia na myśl o tym, że Louis jest na dole, w jej domu.

- Nie o to chodzi, kochanie. Sęk w tym, że dzieci były głuche. Audrey podniosła wzrok i zmarszczyła brwi.

- Głuche? - powtórzyła niepewnie.

- Otóż to! W pierwszej chwili mnie też wydało się to trudne do uwierzenia, ale Louis wytłumaczył mi, jak nauczył je zamykać oczy i wyrażać uczucia za pomocą palców. Sądzę, że mimo upośledzenia słuchu wyczuwały wibracje, drgania powietrza lub coś w tym rodzaju. Przywiózł sporo wycinków z miejscowych gazet. Dużo o nim pisano, bo wywołał tam prawdziwą sensację i nie ulega wątpliwości, że dobrze mu to zrobiło...

Audrey uśmiechnęła się na wspomnienie odległego dnia, gdy po raz pierwszy grała z Louistem na fortepianie. Nauczył ją wyrażać swoje myśli dokładnie w taki sam sposób.

- Od początku uważałam, że Louis jest wyjątkowy - powiedziała cicho.

Szczęka Cecila zeszytniała, w jego policzku nerwowo zadrgał mięsień.

- To prawda - przyznał, nie odrywając wzroku od Audrey - Cóż, teraz wszyscy przyznają ci rację...

- Tak sądzisz? - Audrey włożyła białe spodnie i tunikę i usiadła przy toalecie.

Bez pośpiechu zrobiła lekki makijaż i ściągnęła loki w błyszczący kok.

- Louis został wyniesiony do rangi romantycznego bohatera. Nawet Krokodylice przyjęły go z otwartymi ramionami. Matki podsuwają mu swoje córki, codziennie dostaje tyle zaproszeń, że wychodzi rano i wraca późnym wieczorem.

- Bardzo się cieszę... - mruknęła.

Ogarnęło ją uczucie rozczarowania. Jakże zmienni są ludzie, pomyślała ze smutkiem. Gdyby okazali mu chociaż część tej aprobaty, kiedy pierwszy raz przyjechał do Hurlingham, byłibyśmy teraz szczęśliwym małżeństwem...

Kiedy podniosła się z taboretu, zauważyła, że Cecil obserwuje ją z dziwnym wyrazem twarzy. Uśmiechnęła się do niego i ściągnęła brwi. Odwzajemnił uśmiech, lecz nie zdołał ukryć zaniepokojenia, które czaiło się w jego oczach.

- Wspaniale wyglądasz, kochanie - powiedział jowialnie, z wyraźnym wysiłkiem przywołując się do porządku.

- Dziękuję.

- Dobrze, że Louis wrócił, prawda?

- Tak. - Audrey przyjęła lekki, prawie niedbały ton, zupełnie jakby Louis był tylko jej szwagrem, który po dwunastu latach nieobecności wreszcie zdecydował się złożyć im wizytę. - Oczywiście; to bardzo miłe...

- Myślę, że ucieszy go, iż nabożeństwo za Islę odbędzie się w czasie jego pobytu w Hurlingham, nie sądzisz?

- Naturalnie... - Miała dziwne wrażenie, że w słowach Cecila jest jakieś ukryte znaczenie, ale może wynikało to z tego, że sama czuła się winna. - Isla byłaby zadowolona...

- Louis odzyskał już równowagę, w każdym razie tak mi się wydaje. Miejmy nadzieję, że znajdzie tu sobie jakąś miłą młodą pannę i ożeni się z nią...

- Miejmy nadzieję... - powtórzyła chłodno, wychodząc na korytarz.

W milczeniu zeszli na dół. Audrey oparła się pokusie, aby rzucić spojrzenie na otwarte drzwi, prowadzące do pustej sypialni Alicji i Leonory, a Cecil, który w ciągu minionych tygodni przywykł do

pustego domu, nie miał nawet na to ochoty. Audrey czuła, że obecność męża wyrażnie jej ciąży. Na lotnisku przywitała się z nim z tą samą chłodną uprzejmością, z jaką go pożegnała i w ogóle nie zauważyła wyrazu rozczarowania, który szybko przyćmił malującą się na jego twarzy radość. Jej pocałunek był sztywny i zimny, w samochodzie rozmawiali wyłącznie o dzieciach i ich nowej szkole, a głos Audrey wprost ociekał goryczą i niewypowiedzianymi na głos wyrzutami. Nie mogła spokojnie mówić o bliźniaczkach i opanowała się dopiero wtedy, kiedy zaczęła opowiadać mężowi o Cicely, Marcelu i Cyganach. Cecil nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że Audrey mówi nie o jego siostrze, lecz o zupełnie nieznannej, obcej mu osobie.

- Poznałeś tego Marcela? - zapytał Louisa, kiedy we troje usiedli do stołu.

Nie było dość ciepło, aby jeść lunch na tarasie, lecz otwarto szeroko duże okna i do pokoju wpadał słodki zapach rozkwitających kwiatów. Louis nie mógł oderwać wzroku od Audrey, która po krótkim wypoczynku także rozkwitła. Jej oczy nie były już podbite, lśniły energią, a rumieniec na policzkach dowodził, że doskonale zdaje sobie sprawę z jego spojrzeń i ich wyrazu.

- Tak, spędziłem u niej trochę czasu w zeszłym roku - odparł Louis. - Nie widywałem Marcela zbyt często, bo najczęściej przesiadywał na poddaszu, a wieczory spędzał w łóżku z Cicely...

- Dobry Boże! - Cecil zakrztusił się zupą. - To niemożliwe!

- Cicely nie jest taką samą kobietą, jaką zapamiętałeś. - Louis zaśmiał się cicho.

Audrey była niemile zaskoczona jego doskonałym nastrojem. Dlaczego nie był na nią zły? Dlaczego tak dobrze odnosił się do brata i w ogóle nie okazywał goryczy? To wszystko nie miało sensu...

- Cicely była zawsze uosobieniem staroświeckich cnót, nie mówiąc już o tym, że odziedziczyła po tacie flegmatyczne usposobienie. To chyba niemożliwe, aby ktokolwiek mógł się tak bardzo zmienić...
- Cecil wytarł serwetką kąciki ust i bezradnie pokręcił głową.

Audrey utkwiała wzrok w stojącym przed nią talerzu zupy.

- Cóż, męczyzna potrafi odmienić kobietę - rzekł Louis. - Może ją kochać i dbać o nią, sprawiając, że rozkwita jak piękny kwiat w słońcu, albo ranić ją i po pewnym czasie doprowadzić do tego, że usycha i umiera...

Audrey poczuła na sobie jego spojrzenie i pomyślała o „słonecznym Harrym” ciotki Edny.

- Marcel nie kocha Cicely, on jej pożąda, lecz efekt jest ten sam - ciągnął Louis. - Cicely przełamała wszystkie swoje zahamowania i jest teraz inną kobietą.

- Marcel jej nie kocha? - zapytała Audrey, nie podnosząc oczu.

- Sądzę, że nie - odpowiedział Louis. - Zapewniła mu dach nad głową, dobre wyżywienie i dający zadowolenie seks, a wszystko to bezpłatnie. Marcel jest artystą i w gruncie rzeczy interesują go tylko jego obrazy. Moim zdaniem, zwyczajnie wykorzystuje Cicely...

- Wydał mi się trochę dziwny - wyznała Audrey i spojrzała na męża, świadoma, że nie może bez końca wpatrywać się w zupę. - Miałam wrażenie, że czai się w cieniu, obserwuje i podsłuchuje, trochę jak szpieg...

- Jak szpieg? - zdziwił się Cecil. - Dla kogo miałby szpiegować?

- Dla siebie. - Audrey wzruszyła ramionami. - Zresztą sama nie wiem...

Napotkała wzrok Louisa i wreszcie spojrzała mu prosto w oczy. Czuła, że zna je lepiej niż oczy męża czy kogokolwiek innego, nie miała cienia wątpliwości, że nie potrzebuje słów, aby przekazać Louisowi swoje myśli. Louis ją rozumiał. Głęboka rana w jej sercu zaczęła powoli wypełniać się ciepłym miodem, który leczył wszelkie skaleczenia i nagle opanowało ją pragnienie, aby wybuchnąć głośnym, radosnym śmiechem. Jeszcze parę godzin temu była smutna i zgorzkniała, a teraz czuła się cudownie szczęśliwa. Zauważyła, że kąciaki warg Louisa zadrgały lekko, jakby chciał się uśmiechnąć, i z trudem odwróciła oczy.

Cecil siedział po drugiej stronie stołu, pochłaniał jeden kieliszek wina za drugim i głowa coraz bardziej mu ciążyła. Obserwował żonę i zastanawiał się, czy intymne spojrzenia między nią i Louisem są jedynie dziełem jego wyobraźni i alkoholu.

- Po południu jadę do miasta, kochanie - oznajmił, opróżniając kieliszek i uważnie szukając wzrokiem reakcji w twarzach brata i żony.

- Wracasz do pracy

- Tak - odparł chłodno.

Audrey próbowała okazać rozczarowanie, nie zdołała jednak powstrzymać lekkiego uśmiechu.

- Wrócisz na kolację? - zapytała.

- Postaram się. - Westchnął ciężko i wstał. - Zostawiam cię w godnych zaufania rękach Louisa...

Audrey nie zwróciła uwagi na gorzki ton męża, ponieważ chłonęła wzrokiem uśmiech na twarzy Louisa.

- Och, Louis na pewno ma mnóstwo zajęć - rzuciła lekko. - Ja muszę się jeszcze rozpakować i oczywiście zamienić parę słów z Mercedes. Na podwieczorek przyjedzie mama z ciocią Edną i Hildą.

- Doskonale - rzekł Cecil. - Do zobaczenia wieczorem... Pocałował Audrey w policzek. Tym razem nie zeszywniała, lecz lekko zmarszczyła brwi. Odniosła wrażenie, że Cecil dziwnie się zachowuje, choć może było to tylko złudzenie, wywołane dręczącymi ją wyrzutami sumienia. Może po prostu za dużo wypił... Mimo całego roztargnienia nie omieszkła spostrzec, że Cecil pije znacznie więcej niż przed jej wyjazdem.

Po skończonym posiłku pobiegła do kuchni, gdzie Mercedes zmywała naczynia, przysłuchując się wyznaniom siedzącego na kranie Loro.

- Moja cudowna Merchi, moja słodka... - skrzeczał ptak. - Wspaniale pachniesz...

Mercedes trzepnęła Loro mokrą ścierką, lecz to bynajmniej go nie zniechęciło.

- Moja cudowna Merchi...

- Dzień dobry, Mercedes - przerwała papudze Audrey.

- Och, to seño! - zawołała Mercedes, wycierając dłonie w fartuch. - Jak czują się moje dziewczynki?

Mercedes rzadko się uśmiechała, a jej intonacja nieodmiennie opadała na końcu każdego zdania, zupełnie jakby kobieta dostrzegała całe zło świata i z rezygnacją przyjmowała je do wiadomości.

- Mam dla ciebie list od Alicii - powiedziała Audrey.

- To takie dobre dziecko! Czuję, że nie zapomni o starej przyjaciółce!

- To chyba oczywiste. Leonora także prosiła, żebym cię ucałowała.

- Są szczęśliwe? - zapytała kucharka, zaraz jednak wzruszyła ramionami. - Mój Boże, jak mogą być szczęśliwe tak daleko od domu...

- Wiem... - odparła Audrey, podając Mercedes kopertę i ze zrozumieniem kiwając głową. - Trudno w to uwierzyć, ale jednak są tam szczęśliwe. Alicia na pewno opisała ci szczegółowo, jak wygląda szkoła...

- Alicii nic nie zaszkodzi, chyba że ona sama sobie, ale Leonora jest krucha jak szkieleto... Wiem, że tęskni za panią, czuję to! - Mercedes z przekonaniem uderzyła się w piersi otwartą dłonią.

- Ja też bardzo za nimi tęsknię... Tak czy inaczej, niedługo przyjadą do domu na wakacje. Spędzimy razem cudowne święta.

- Ale co potem? - zapytała ponuro Meksykanka.

Loro zanurkował do zlewu i zaczął wesoło chlapać się w mydlinach.

- Wspaniale pachniesz! - zaskrzeczał głośno. - Tak, tak, tak! Audrey uniosła brwi, przekonana, że ptak mówi do niej, i wyszła z kuchni.

Louis grał na fortepianie. Lekka melodia, doskonale odpowiadająca nastrojowi wiosennego popołudnia sączyła się przez okno do ogrodu. Audrey wzięła głęboki oddech i weszła do salonu. Nie przerwał gry. Stała przy fortepianie i oparła się o wypolerowane wieko, przyglądając się, jak jego białe palce tańczą po klawiszach. Wdychała znajomy zapach jego ciała, z każdą chwilą coraz głębiej pogrążając się w fali nostalgii i pożądania. Pomyślała, że jest tak, jakby Louis nigdy nie wyjeżdżał, tamta zimna,

zła rozmowa po pogrzebie Isli nigdy nie miała miejsca, ona sama nie poślubiła Cecila, lecz Louisa, a teraz znajdowali się w swoim domu. Wszystko to wydawało jej się absolutnie naturalne, przez głowę przemknęła jej myśl, że właśnie to było im przeznaczone,

- Zastanawiasz się, dlaczego nie jestem wściekły - odezwał się cicho. Potem spojrzął na nią i jego brwi uniosły się lekko.

- Dlaczego? - zapytała.

Louis nadal grał. Miało się wrażenie, że jego palce żyją własnym życiem, niezależnym od umysłu i koncentracji.

- Jak mógłbym złościć się na ciebie? Kochasz mnie, a więc jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi... Audrey uśmiechnęła się i spuściła oczy.

- Jednak wyszłam za twojego brata...

- Dlatego, że wyjechałem.

- Tęskniłam za tobą.

- Ja za tobą także. Konalem z bólu przez wiele lat. Powoli i ostrożnie opuściła wieko fortepianu. Louis cofnął palce. Audrey przełknęła ślinę, jej twarz przybrała poważny wyraz.

- Ja wciąż konam z bólu... - wyszeptła, wstydząc się mówić o swoim cierpieniu. - Wiem...

Louis wstał i wziął ją w ramiona. Objęła go i oparła głowę o jego ramię. Czuł przyjemne, spokojne ciepło. Po chwili wyjął szpilki z jej włosów, pozwalając im opaść splątana falą na plecy. Zaciśnął na nich dłonie i głęboko wciągnął powietrze przesycone wydobywającym się z nich kobiecym aromatem. Z westchnieniem wtulił twarz w gęste loki.

- Przez dwanaście lat codziennie czekałem na tę chwilę - powiedział. - Dopiero teraz znowu naprawdę żyję...

- Dlaczego na mnie nie zaczekałeś?

- Bo wiedziałem, że to nic nie da. Nie mogłem znieść twojej bliskości i świadomości, że nie będziesz moja...

- Kochany... - zaczęła, lecz nagle przypomniała sobie rozmowę z Cicely.

Louis załamywał się w krytycznych sytuacjach, kiedy sprawy układały się nie po jego myśli... Odsunęła się na odległość wyciągniętych ramion i zajrzała mu w twarz.

- Nigdy nie przestałam cię kochać - podjęła. - Wyjechałeś, zabierając ze sobą cząstkę mojej duszy, najważniejszą cząstkę... Bez ciebie czułam się zraniona, pęknięta. Potem Cecil... Cecil...

- Wiem, rozumiem... Cecil pozostał lojalny, wierny i rozsądny, dowiódł, że posiada cechy, których ja nie mam... Wyjechałem, kiedy byłem ci najbardziej potrzebny i żałuję tego, ale nie potrafię walczyć ze swoją naturą. Potrafię tylko żałować popełnionych błędów...

- Więc nie winisz mnie za to, co się stało?

- Nie - odparł z uśmiechem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i dotknęła jego twarzy z wielką czułością matki, która gładzi twarz dziecka, i kobiety, która muska pieszczotą twarz kochanka.

- Proszę cię o wybaczenie - powiedział.

- Wybaczam ci - odparła ze śmiechem, znowu otaczając go ramionami. - Już dawno ci wybaczylam! Jestem taka szczęśliwa, że wróciłeś! Tyle mam ci do powiedzenia, tak bardzo cię potrzebuję...

- Jedźmy jutro za miasto - zaproponował. - Tutaj jest zbyt duszno.

- Co powiemy Cecilowi?

- Nie dowie się. Będzie w pracy.

- Tak czy inaczej, będziemy musieli wytłumaczyć mu, gdzie byliśmy...

- Dlaczego? - Wzruszył ramionami. - Przecież prawie nie rozmawiacie... Cecil na pewno dojdzie do wniosku, że wybrałaś się do matki albo do którejś ciotki. Najprawdopodobniej nawet nie zapyta...

- Wymyślę coś - powiedziała ze świeżym optymizmem.

- Dobrze. W Meksyku poznałem człowieka, który ma estancję niedaleko Buenos Aires. Spędzimy tam parę godzin.

- Można mu ufać?

- Miej zaufanie do mnie, najdroższa... - Louis wpatrywał się w nią z uśmiechem, pijany radością.

Potem pocałował ją miękkimi, gorącymi wargami. Audrey oparła się o niego, wtuliła w jego ciało tak mocno, że ich serca wydawały się uderzać w tym samym rytmie, tworząc cudowny akompaniament dla rozbrzmiewającej w nich muzyki. Żadne nie miało wrażenia, że robią coś złego. Audrey była mężatką i do tej chwili jej wierność wobec męża nigdy się nie zachwiała, lecz nie potrafiła nic poradzić na to, że w ramionach Louisa czuła się wreszcie na swoim miejscu.

- Czy z Cecilem było ci kiedyś tak dobrze? - zapytał Louis.

- Zawsze uważałam, że poszłam na kompromis z życiem - odparła szczerze. - Oddałam mu swoją rękę, ale nie serce. Moje serce należało i należy tylko do ciebie.

Pocałował ją znowu i zamknął oczy. Czuli się tak, jakby tańczyli wśród brukowanych uliczek Palermo pod usianym gwiazdami granatowym niebem. Louis przez dwanaście lat marzył wyłącznie o tym, aby znowu wziąć Audrey w ramiona i nigdy nie stracił nadziei. Dopóki trwa nadzieja, życie nie gaśnie, pomyślał. Taka była potęga jego marzeń, chociaż one były przecież tylko początkiem. Teraz czuł, że jest w stanie zdobyć cały świat. Kiedy miał w ramionach Audrey, mógł przeciwstawić się prawu ciężenia, wzbić się w powietrze i polecieć na Księżyc... Nic nie było zbyt trudne, wszystko wydawało się możliwe, nawet przyszłość z kobietą, którą kochał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

- Moja kochana Audrey - wykrzyknęła radośnie ciotka Edna, przytulając siostrzenicę do obfitego biustu.

W ostatnich latach włosy Edny zjaśniały, osiągając odcień popielatoblond, i teraz upinała je na czubku głowy w taki sposób, że niektóre pasma opadały na twarz i szyję na podobieństwo łabędzich piór. Edna znacznie przybrała na wadze, a to dlatego, że poza przebywaniem z rodziną nic nie sprawiało jej większej przyjemności jak jedzenie.

- Dobrze jest być w domu... - Audrey westchnęła z zadowoleniem, odwzajemniając uścisk.

- Wyjdźmy do ogrodu, mamy taki piękny dzień - zaproponowała Edna.

- Żebyś tylko nie zmarzła, ciociu...

- Jak mogłabym zmarznąć w tym słońcu? Drogie dziecko, na pewno jesteś wyczerpana po podróży... - Edna podążyła za Audrey do ogrodu, gdzie w cieniu werandy stał Louis. - Witaj, Louisie, mój drogi...

Twarz Louisa rozpromienił szeroki uśmiech. Edna nie mogła pojąć, dlaczego wcześniej, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Hurlingham, nie dostrzegła jego wielkiego uroku.

- Rano trochę się przespałam - odparła Audrey. - teraz czuje się już dużo lepiej. Poza tym szkoda takiego pogodnego dnia na siedzenie w domu...

Roześmiała się, potem zaś zakasłała nerwowo, pozornie bez powodu. Edna zmrużyła błękitne oczy i uważnie przyjrzała się promiennej twarzy siostrzenicy. Audrey z całą pewnością nie sprawiała wrażenia kobiety zrozpaczonej po rozstaniu z dziećmi, wręcz przeciwnie, jej oczy lśniły, a policzki były cudownie zarumienione. Uwagę zwracała jednak przede wszystkim fryzura - już nie gładki, mocno ściągnięty kok, lecz luźno opadające na ramiona loki, które dawniej wszyscy podziwiali. W pierwszej chwili Edna pomyślała, że może siostrzenica pogodziła się z Cecilem; lecz wystarczyła krótka chwila obserwacji, by zrozumiała, że radosny wygląd i nastrój Audrey nie mają nic wspólnego z jej mężem. I nagle Edna odgadła, jak to było naprawdę! Louis wyjechał z powodu Audrey, nie Isli. Teraz wydawało jej się to zupełnie oczywiste. Koniec końców; Isla nigdy nie zdradzała zainteresowania mężczyznami. Była za młoda na miłość, zresztą miłość wcale jej nie szukała. Edna przypomniała sobie długie dni, podczas których Audrey prawie bez przerwy grała na fortepianie, i smutne koncerty Louisa, doprowadzające do szaleństwa wszystkich bez wyjątku mieszkańców i bywalców klubu w Hurlingham. Miała nadzieję, że nikt poza nią nie wpadł na to rozwiązanie.

Audrey nalewała herbatę i opowiadała ciotce o Colehurst House oraz przeżyciach bliźniaczek. Edna poczuła się nieco pewniej, widząc jak promienny blask oczu Audrey przygasł nie co, gdy zaczęła mówić o córkach.

- Leonora kocha królika, którego od ciebie dostała, ciociu. Nigdzie się bez niego nie rusza, zabiera go ze sobą nawet na lekcje...

Edna zaśmiała się cicho.

- Pozwalają jej na to?

- O tak, to wspaniała szkoła - rzekła Audrey, kątem oka obserwując Louisa.

Nadal stał na werandzie i wpatrywał się w nią z tym samym skupionym wyrazem wielkiej czułości. Jej serce wezbrało tak wielką radością, że z ulgą powitała pojawienie się w ogrodzie ciotki Hildy i Nelly, co dało jej wymówkę do szerokiego uśmiechu.

- Tak się cieszę, że wreszcie wróciłaś! - zawołała ciotka Hilda. Audrey była zaskoczona tym wybuchem serdeczności, zaraz jednak przypomniała sobie zauroczenie Nelly Louistem.

- Witaj, Nelly - powiedziała, całując chłodny i blady policzek kuzynki. - Cała klasa Alicii z zachwytem zjadła twoje pyszne dulce de leche...

Nelly zaśmiała się nerwowo i zerknęła na Louisa. Słowa Audrey w ogóle do niej nie dotarły.

- Spróbuj kawałek ciasta, Hildo - zachęciła Edna. - Nelly, kochanie, usiądź obok mnie...

Malutkie oczka Nelly szybko przebiegły od ciotki do Louisa i z powrotem. Louis wciąż sprawiał wrażenie, jakby nie zamierzał usiąść. Nelly zmusiła się do lekkiego uśmiechu i nieśmiało przysiadła na brzegu krzesła obok Edny. Audrey udawała, że nie dostrzega gry, jaką prowadzi kuzynka, i spokojnie zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Czy to nie cudownie, że Louis wreszcie wrócił do Hurlingham? odezwała się Hilda, która nawet nie zapytała; jak czują się bliźniaczki.

Było najzupełniej oczywiste, że postanowiła złożyć wizytę wyłącznie po to, aby podsunąć niezamężną córkę Louisowi.

- Tak, naturalnie - odparła Audrey ostrożnie. Ciotka Edna popijała herbatę, zastanawiając się, jak to możliwe, że jej siostra nie ma dość zdrowego rozsądku, aby zauważyć, iż tylko wyjątkowo wielkoduszny i niewymagający mężczyzna mógłby zakochać się w Nelly. Szczerze mówiąc, musiałby być nie tylko wielkoduszny, ale wręcz święty, żeby znieść taką teściową jak Hilda...

Hilda i Nelly były ostatnio nierozłączne. Hilda podążała wszędzie krok za Nelly, zdecydowana zabezpieczyć przyszłość córki, zanim ostre światło dnia ujawni jej wędną wdzięki i uniemożliwi osiągnięcie tego, co było przeznaczeniem każdej kobiety. Zdaniem Hildy, Louis nie wrócił tylko po to, aby oddać cześć szczątkom Isli, spoczywającym trzy metry pod ziemią, lecz żeby znaleźć odpowiednią kandydatkę na żonę. Skoro nie może mieć Isli, musi zadowolić się jej kuzynką, utrzymywała Hilda. Teraz lekko wydeła wargi i ukroiła cienki kawałek ciasta.

- Musisz częściej do nas zaglądać, Louisie - przemówiła z uśmiechem. - Nie ma sensu, żebyś marnował czas w domu, gdzie nie ma żadnych niezamężnych dziewcząt... Doprawdy, sądzę, że Audrey i Cecil nie są dla ciebie zbyt ciekawym towarzystwem... - Zaśmiała się, lecz nikt nie zareagował na jej żart. - Och, oczywiście wcale nie miałam na myśli, że są nudni... - wyjąkała pośpiesznie.

Nelly rzuciła jej rozwścieczone spojrzenie, Audrey zaś ukryła twarz w filizance, próbując ukryć rozbawienie. Louis także miał ochotę parsknąć śmiechem, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili, aby nie urazić konającej z zażenowania nieśmiałej starej panny.

- Poczęstuj się ciastem - zaproponowała ciotka Edna, podając mu nóż.

- Z przyjemnością. - Usiadł obok Audrey. - Mercedes jest fantastyczną kucharką. Nigdzie nie jadłem tak pysznych potraw jak jej dzieła, nawet w klubie...

- W Anglii najbardziej brakowało mi naszego mięsa - zauważyła Audrey. - Nie sposób docenić jego smaku, dopóki nie wyjedzie się na dłużej z Argentyny.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Hilda z powagą pokiwała głową. - Ciągłe gadamy o Anglii i w rezultacie zapominamy, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

- Argentyna jest naprawdę wspaniałym krajem - odezwał się Louis. - W ciągu ostatnich dziesięciu lat zwiedziłem pół świata, więc wiem, co mówię...

- Ja jednak chciałabym kiedyś odwiedzić Anglię - wtrąciła Nelly.

Ponieważ od początku wizyty odezwała się pierwszy raz, wyglądała na szczerze zaskoczoną dźwiękiem własnego głosu i za rumieniła się mocno.

- Więc powinnaś to zrobić - rzekł Louis. - Kobiety powinny zwiedzać świat...

Pod jego łagodnym spojrzeniem Nelly zaczerwieniła się jeszcze bardziej. - Oczywiście! - wykrzyknęła Hilda. - Nie ma nic gorszego niż kobieta o ograniczonych horyzontach!

Nagle wydało jej się, że w oczach Louisa dostrzega błysk zainteresowania Nelly i jej nastrój natychmiast się poprawił.

- Nelly uwielbia przygody - dodała z entuzjazmem. Nelly nie znosiła przygód i uwielbiała święty spokój, lecz Hilda uznała, że może sobie pozwolić na tak niewinne kłamstwo. Cel uświęca środki...

Jako ostatnia zjawiała się Rose. Uściskała córkę, wypytując o zdrowie i samopoczucie wnuczek, potem zaś poruszyła temat nabożeństwa w intencji Isli.

- Myślę, że powinniśmy przeżyć to wszyscy razem, zwłaszcza teraz, kiedy Louis wrócił do Hurlingham - powiedziała. - Nie ma dnia, żebyśmy o niej nie myśleli, więc dobrze by było, gdyby cała społeczność dała wyraz temu, co czujemy... - Rzuciła Louisowi serdeczne spojrzenie. - Całe lata nosiłam się z zamiarem, aby zapytać o przyjaźń, która połączyła cię z moją córką, drogi chłopcze - dodała. - Sądziłam, że wiem o niej wszystko, lecz dziś zdaję sobie sprawę, że było to złudzenie... Nie chcę być natrętna; chciałabym tylko., żebyś powiedział mi, co czuła przed śmiercią... Jestem ci głęboko wdzięczna za to, że obdarzyłeś ją prawdziwym szczęściem. Isla zawsze była radosna niczym wiosenny ranek, ale w ostatnich miesiącach życia, tych, które dzieliła z tobą, po prostu promieniała. Wstrzymywałam się aż do dziś i naprawdę długo o tym myślałam, lecz chciałabym przynajmniej w części poznać waszą historię...

Louis z wysiłkiem przełknął ślinę i odwrócił głowę, unikając pełnego przerażenia spojrzenia Audrey. Ciotka Hilda zeszywniała, ponieważ wspomnianie Isli mogło jedynie zaszkodzić Nelly. Milczenie zawisło nad nimi jak gęsta mgła, która lada chwila może pochłonąć wszystkich obecnych.

Potem Louis spokojnie ujął Audrey za rękę. Ta drgnęła nerwowo. Chciała powiedzieć Louisowi, że nie jest to właściwa chwila na wyznanie prawdy. Nie teraz, nie po tylu latach... Louis zwrócił ku niej głowę i uśmiechnął się. Zaufaj mi, mówiły jego oczy.

- Audrey i Isla były sobie bardzo bliskie - rzekł. - Mój brat opowiadał mi, jak długo Audrey nie mogła pogodzić się z tą śmiercią... Kocham Audrey jak siostrę i nie chcę, aby znowu cierpiała...

- To dowód twojej wielkiej wrażliwości - powiedziała Rose. - Myślę jednak, że Audrey także chciałyby poznać tę historię, prawda, kochanie?

Audrey skinęła głową. Poczuła, jak Louis lekko ścisnął jej dłoń i zrozumiała, że ukochany zdaje sobie sprawę, iż nie powinni dłużej wykorzystywać Isli jako tarczy. Czekał na wsparcie z jej strony, lecz ona była w pełni świadoma, że kontynuując fikcyjną historię, znowu zaangażuje się w romans. A tym razem miała znacznie więcej do stracenia - była mężatką i miała dzieci, o których musiała myśleć. Mimo to szybko odwzajemniła uścisk. Kochała go, więc nie widziała innego wyjścia.

Louis czuł, że nie powinien kłamać, zaczął więc od pochwały tych cech Isli, które naprawdę podziwiał.

- Isla zawsze mówiła to, co myślała. Była impulsywna i uparta, przede wszystkim jednak była prawdziwym źródłem radości. Nigdy nie widziałem jej smutnej czy przestraszonej. Jej życie było krótkie, lecz bardzo szczęśliwe...

Wyraz skupionego oczekiwania, malujący się na twarzy Rose, świadczył, że matka zmarłej dziewczyny spodziewa się czegoś więcej.

- Kiedy poznałem Islę, od razu zachwyciłem się jej urodą - ciągnął ostrożnie Louis. - Obie twoje córki są bardzo piękne, Rose...

Rose z uśmiechem spojrzała na Audrey, natomiast Hilda zerknęła na Nelly i pożałowała, że tak niewiele da się zrobić z jej rzadkimi włosami o mysim odcieniu.

- Najbardziej podziwiałem w niej jednak to, że nigdy nie udawała. Tryskała energią i siłą życia. Myślę, że wszyscy za nią tęsknimy i ta tęsknota nigdy nie przygaśnie...

- Ale gdzie się spotykaliście? - zapytała niecierpliwie Rose.

- W waszym domu. Isla świetnie grała w wista i brydża. Bardzo szybko połączyła nas niewinna przyjaźń, uczucie, które dopiero zaczynało rozkwitać.

Louis westchnął i z jego twarzy znikł wszelki niepokój. Ciotka Edna, do tej pory skoncentrowana na zbieraniu okruchów z serwety, przekrzywiła głowę i zaśluchała się w jego ciepły, smutny głos.

- Miłość trzymała mnie tutaj, a potem kazała stąd odejść. Bo kiedy zabrakło miłości, zrozumiałem, że nie potrafię bez niej żyć. Tak więc wyjechałem, zostawiając tu swoje serce. Spędziłem wiele lat w Meksyku i usiłowałem zatrzeć wspomnienie dziewczyny, którą kochałem, lecz na próżno. To, co widziałem w oczach innych kobiet, w niczym nie przypominało tamtego głębokiego uczucia. Widzisz, Rose, los przeznaczył mi jedną, jedyną kobietę, sam Bóg wybrał ją specjalnie dla mnie i przyprowadził mnie tutaj, abym ją znalazł. Od pierwszego spotkania wiedziałem, że nasze dusze należą do siebie. Wiedziałem, że ona rozumie mnie jak nikt inny, najcudowniejsze było jednak to, że odwzajemniła moją miłość. Kochała mnie całym sercem, najszczerzej...

Louis przerwał i spuścił wzrok. Rose otarła łzę, a Edna była tak wzruszona, że na jej skórze pojawiły się czerwone plamy. Spojrzała na Audrey i utwierdziła się w przekonaniu, że Louis mówi o niej, nie o Isli.

- Próbowałem trzymać się z daleka, bo wiedziałem, że w Argentynie nie ma dla mnie życia bez ukochanej, więc po pobycie w Meksyku wyruszyłem w długą podróż, a następnie wróciłem do Anglii. Zatrzymałem się u mojej siostry, Cicely, i tam się do wiedziałem, że Audrey wyszła za Cecila. Był to dla mnie wstrząs, ponieważ uświadomiłem sobie, że sam nigdy nie zaznam takiego szczęścia. Małżeństwo z ukochaną kobietą musi być największym darem, jaki otrzymujemy od życia, lecz mnie nie było to przeznaczone. Właśnie wtedy podjąłem decyzję o powrocie. Zrozumiałem, że muszę stawić czoło swoim demonom, dowieść sobie, że moje marzenia nie były tylko próżnymi snami, lecz miały jakieś znaczenie. Wróciłem po serce, które zostawiłem tu dwanaście lat temu, i co odkryłem?

Podniósł wzrok i spojrzał w oczy Rose.

- Co odkryłeś? - zapytała cichym, drżącym głosem. Louis nachylił się ku niej.

- Odkryłem, że moje serce wciąż spoczywa w jej dłoniach i że zawsze już tak będzie...

Hilda wzięła głęboki oddech.

- Nie możesz ciągle trzymać się przeszłości i rozmawiać z duchami, Louisie - powiedziała, zerkając na Nelly, która z rozczarowania dostała wysypki na szyi. - Nie ma sensu tak żyć...

- Mam wrażenie, że mnie nie rozumiesz - cicho odparł Louis. - Nie zdajesz sobie sprawy z władzy, jaką mają nade mną marzenia...

- Ja rozumiem - szepnęła Audrey i uwolniła swoją dłoń. - I rozumiem potęgę marzeń... Jej serce także spoczywa w twoich dłoniach i zawsze tak będzie... Zawsze.

Rose szybko otarła policzki chusteczką i z wdzięcznością uśmiechnęła się do Louisa.

- To były najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam - powiedziała. - Isla miała szczęście, że cię pokochała. Dziękuję ci, mój drogi...

Z piersi Edny wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Na kiedy zaplanowałaś nabożeństwo? Rose? - zapytała.

- Na sobotni wieczór. Chciałabym, żebyś coś przeczytał, Louisie, i Audrey także... Audrey bez słowa kiwnęła głową.

- Oczywiście - odparł Louis,

- Mam nadzieję, że będzie to hołd złożony jej życiu - dodała Rose. - Nie chcę, żebyśmy ją opłakiwali, płakaliśmy już zbyt długo. Nadszedł czas, aby podziękować Bogu za radość, jaką Isla nam dała.

Był już wieczór, kiedy Rose i jej siostry odeszły. Gdy Cecil wrócił z pracy, zastał wszystkich gości pogrążonych w rozmowie przy stole. Audrey podziękowała matce i ciotkom za wizytę i odprowadziła je do furtki. Ciotka Hilda nie pofatygowała się, aby się pożegnać, Nelly zaś była wyraźnie bliska też. Rose serdecznie uściskała córkę i długo trzymała ją w ramionach.

- Opiekuj się Louisem, kochanie - powiedziała. - Jest mi na prawdę bardzo drogi...

- Oczy Isli nigdy nie mówiły o głębokim uczuciu - szepnęła ciotka Edna do ucha Audrey. Audrey otworzyła usta, aby wyjaśnić, że na pewno się myli, lecz ciotka poklepała ją tylko po dłoni i uśmiechnęła się smutno.

- Nikomu nie zdradzę twojego sekretu, ale bądź ostrożna, kochanie - powiedziała. - Stąpasz po wąskiej ścieżce, a na jej końcu czeka rozpacz...

Potem dołączyła do swoich sióstr i wszystkie razem zniknęły za rogiem.

Cecil od razu zauważył zmianę uczesania żony i przy kolacji dał wyraz swojemu zachwytowi.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział. - Ta nowa fryzura bardzo cię odmłodziła.

Policzki Audrey pokryły się rumieńcem. Podziękowała mężowi i spojrzała na niego łagodnymi, zielonymi oczami. Ich wyraz nagle przypomniał mu dziewczynę, w której się zakochał.

- Czasami trzeba coś zmienić - rzekła z łagodnym uśmiechem. - Nie jestem już w żałobie.

Oczywiście mówiła do Louisa, lecz Cecil zinterpretował jej słowa na swój własny sposób i uznał, że chodzi jej o rozstanie z dziećmi. Zwrócił uwagę na promienną cerę i doskonały nastrój, i jego serce wypełnił ostrożny optymizm. Może jego podejrzenia były nieuzasadnione... Natychmiast ogarnęły go wyrzuty sumienia i żal, że tak źle myślał o żonie.

- Wybieram się jutro za miasto - odezwał się Louis. - W Meksyku poznałem człowieka, który ma estancję na zachód od Buenos Aires i chciałbym go odwiedzić.

- Świetny pomysł! - Cecil się ucieszył, ośmielony dobrym humorem Audrey. - Może ty także miałabyś ochotę pojechać? - zaproponował, zaskakując samego siebie.

Przyszło mu do głowy, że krótka wycieczka pozwoli żonie oderwać myśli od pozostawionych w Anglii dzieci.

- Och, mam tutaj sporo do zrobienia... - wymamrotała niepewnie.

- Nie żartuj, Mercedes wszystkim się zajmie. Dzień w pampie doskonale ci zrobi.

Audrey spojrzała na Louisa.

- Cecil ma rację - powiedział. - Nie możesz całymi dniami siedzieć w domu i czekać na powrót dzieci. Zrobisz znacznie lepiej, jeżeli zamiast tego zjesz ze mną soczysty stek i pogalopujesz po pampie...

- Dobrze... - zgodziła się. - Nie mógłbyś wziąć jednego dnia urlopu i pojechać z nami, Cecilu? - dodała z poczuciem winy, Uśmiechnął się i lekko dotknął jej dłoni.

- Nie, kochanie, obawiam się, że nie mogę... Ale ty naprawdę powinnaś pojechać i spędzić miły dzień w towarzystwie Louisa.

- Przywiozę ją z powrotem w jednym kawałku - zażartował Louis.

Patrzył na Audrey i jego oczy mówiły, że gotów jest oddać wszystko za chwile, które będą mogli ze sobą spędzić. Cecil po klepał brata po ramieniu.

- Na to liczę - powiedział, zapalając cygaro. - Komu miałbym ufać, jeżeli nie własnemu bratu, prawda?

Po kolacji Audrey ogarnęło wielkie zmęczenie. Dzień był wyczerpujący pod względem fizycznym i emocjonalnym. Przypomniała sobie pożegnalne słowa ciotki Edny i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób starsza pani domyśliła się, co łączy ją z Louistem. Mogła tylko mieć nadzieję, że nikt inny nie był równie spostrzegawczy. Uśmiechnęła się lekko, wracając myślami do wspaniałej przemowy Louisa o miłości. Chciała podziękować mu za to, co powiedział, ale wieczorem ani przez chwilę nie byli sami. Dawniej przekazywali sobie wiadomości na małych skrawkach papieru, wciskanych między cegły w murze koło dworca kolejowego, teraz musieli korzystać z jakiejś nadarzającej się okazji. Co za szczęście, że jutro spędzą ze sobą cały dzień... Audrey nie mogła się już doczekać poranka. Była tak podniecona, że mocno wątpiła, czy w ogóle zdoła zasnąć.

Kiedy Cecil wszedł do jej pokoju, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Stał w progu, najwyraźniej niepewny, czy wejść dalej. Wyraz twarzy Audrey był trudny do odczytania. Włosy nadal opadały luźnymi falami na ramiona.

- Przyszedłem powiedzieć ci dobranoc - odezwał się z nadzieją, że Audrey w jakiś sposób zachęci go do rozmowy. Jednak ona nieruchomo siedziała na łóżku, patrząc na niego obojętnie. Wreszcie z rezygnacją spuściła oczy.

- Jestem bardzo zmęczona - rzekła. - Chyba będzie lepiej, jeżeli wszystko zostanie tak, jak było przed moim wyjazdem, no, w każdym razie na dzisiejszy wieczór...

Nie podniosła wzroku, ponieważ nie mogłaby znieść rozczarowania, jakie odmalowało się na jego twarzy.

- Oczywiście... - powiedział. - Tak czy inaczej, chciałem trochę dłużej poczytać, a wiem, że światło ci przeszkadza...

- Dziękuję.

- Dobranoc... - Odwrócił się i położył dłoń na kłamce. Audrey ogarnęły wyrzuty sumienia.

- Cecilu?

- Tak?

- Nie zasłużyłam na pocałunek?

Jego radość była aż żalosna. Serce Audrey ścisnęła litość. Podeszedł i delikatnie pocałował ją w policzek.

- Dobranoc, Cecilu.

- Dobranoc, Audrey. Miłych snów.

Patrzyła, jak wychodzi i cicho zamyka za sobą drzwi. Nie miał pojęcia, jak miłe sny czekały ją tej nocy...

Zgasiła lampę i wygodnie ułożyła się pod przykryciem. Ciepły powiew rozchyłał zasłony, napełniając pokój słodkimi aromatami ogrodu. Zastanawiała się, czy Louis także leży bezsennie, myśląc o niej, i nagle zapragnęła pójść do niego zaraz, natychmiast. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie powinna aż tak ryzykować, a poza tym wiedziała, że następny dzień będzie należał tylko do nich dwojga. Przywołała z pamięci chwile spędzone w Palermo, wymieniane ukradkiem pocałunki pod wiśnią w sadzie i wreszcie przerażające poczucie straty, kiedy ich marzenia legły w gruzach. Zadrzała na myśl, że mogłaby znowu stracić Louisa i w panującej w pokoju ciszy przysięgła sobie, że tym razem nie pozwoli mu odejść.

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego ranka, kiedy różowa barwa świtu ustąpiła miejsca pogodnemu błękitowi, Louis i Audrey wyruszyli za miasto. Wiatr chwytał rozpuszczone loki Audrey i bawił się nimi, natomiast ona patrzyła na Louisa i z każdą chwilą nabierała przekonania, że jego słowa o potędze marzeń były prawdziwe. Marzyła o takiej chwili i te marzenia w końcu się spełniły. Louis, jakby czytając w jej myślach, zdjął jedną rękę z kierownicy i położył ją na dłoni Audrey. Nie musieli nic mówić - rozumieli się bez słów, ich porozumienie było tak dogłębne i całkowite, że przekładanie myśli na sylaby byłoby jedynie tanim gestem. Wymienili uśmiechy i w milczeniu patrzyli, jak ruchliwe miasto powoli znika, a szeroka ulica przechodzi w długą pustą drogę, która przecina płaskie, niezmiernie równiny. Wydawało im się, że ze wszystkich stron otacza ich niebo i to im dało oszałamiające uczucie wolności. Stada rudych jak mahoń kucyków pasły się wśród wysokich traw, a krowy porykiwały leniwie, podnosząc głowy, aby odegnąć muchy, które wykluwały się z larw w nagrzanym wiosennym słońcem wodzie. Audrey rozejrzała się dookoła i przypomniała sobie podróż do Anglii, podczas której po raz pierwszy ujrzała swój mały świat w perspektywie olbrzymiego spectrum roztaczających się przed nią możliwości. Teraz znowu poczuła urok ogromnych, otwartych przestrzeni. Miała wrażenie, że mogłaby zagubić się w nich i nigdy już nie wrócić do Huringham.

- O czym myślisz? - zagadnął Louis.

- O tym, jak wielki jest świat i jacy mali jesteśmy my, jego mieszkańcy...

- I jak mało istotni. Czasami trzeba stanąć na szczycie góry, aby to sobie uświadomić.

- Albo spojrzeć na ocean - dodała.

Uśmiech Louisa sprawił, że serce mocniej zabiło jej z radości.

- Właśnie w takich chwilach rodzą się marzenia, najdroższa - rzekł.

Odwróciła się do niego i rzuciła mu poważne spojrzenie.

- Teraz już to wiem, żałuję tylko, że wcześniej tak niewiele rozumiałam... Cóż, nie wyobrażałam sobie nawet, że poza Huringham czeka większy, ciekawszy świat...

- To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia, bo teraz jesteś tutaj, ze mną. Kocham cię i nigdy nie przestanę.

La Magdalena przypominała żyzną oazę w samym środku pampy. Otaczały ją wysokie drzewa o rozłożystych, zielonych koronach, wśród których głośno śpiewały ptaki. Przez okno do wnętrza samochodu wpadał aromat eukaliptusa, zmieszany z zapachem końskiego potu i skóry. Powoli przejechali długą zakurzoną drogą, wysadzaną krzewami paradis, witani ujadaniem sporej grupki psów. Audrey pomyślała o psach Cicely, znacznie lepiej utrzymanych niż te wychudzone kundły, które teraz otoczyły kręgiem samochód.

Zatrzymali się pod drzewami przed domem, z którego na ich spotkanie wybiegła ciemnoskóra pokojówka w różowo-białym fartuszk. Krzyknęła na psy i przegoniła je rozkazującymi, pełnymi zniecierpliwienia ruchami rąk.

- Buen dia, senior Forrester - powiedziała po hiszpańsku, rozciągając wargi w bezzębnym uśmiechu. - Senior Ribaldo czeka na tarasie.

Biało-żółty dom w stylu kolonialnym pokryty był zieloną dachówką, miejscami nieco zszarzałą. Miał już swoje lata i z pewnością przydałaby mu się warstwa świeżego tynku, ale pod ścianami rosły krzaki upojnie pachnącego jaśminu, wśród których bzyczały pszczoły, i mimo nieco zaniedbanego wyglądu sprawiał wrażenie prawdziwie czarownego miejsca. Pokojówka zaprowadziła ich na taras, gdzie mocno zbudowany, żylasty mężczyzna około sześćdziesiątki popijał kawę. Ubrany był w szare spodnie, niczym nie różniące się od tych, jakie nosili prości gauchos, marszczone w pasie i zapinane na guziki nad mankietami, z szerokim skórzanym pasem ozdobionym błyszczącymi srebrnymi monetami. Na nogach miał znoszone czarne espadryle. Jego skóra była brunatna i wysuszona jak ziemia. Na widok Louisa uśmiechnął się szeroko i zerwał z krzesła.

- Witaj, przyjacielu! - zawołał. - Cieszę się, że znowu się spotykamy!

Chwycił młodego mężczyznę w ramiona i serdecznie poklepał go po plecach. Potem przeniósł spojrzenie lśniących brązowych oczu na Audrey i z podziwem uniósł siwe jak popiół brwi.

- A to na pewno jest kobieta, o której mi opowiadałeś... Policzki Audrey oblał mocny rumieniec.

- Gaitano, przedstawiam ci Audrey Forrester, moją bratową - powiedział Louis.

Gaitano skinął głową. W jego starych oczach zabłysło współczucie.

- Ach, rozumiem... - rzekł. - Taka piękna i niedostępna... Miło jednak chociaż z daleka podziwiać tak wielką urodę... - Ucałował Audrey, kłując ją w policzki ostrym zarostem.

- Napijcie się ze mną, a potem zostawię was samych. Możecie cieszyć się spokojem mojej farmy aż do lunchu. Mój główny gaucho, ElChino, właśnie przygotowuje dla was smakowite barbecue, a Costanza zrobiła wspaniałą deser. Chcę, żebyście przeżyli tu wyjątkowy dzień. Życie składa się z serii szybko następujących po sobie chwil i zależy mi, żebyście zapamiętali te, które u mnie spędzicie...

Kiedy usiedli, nalał im kawy i uważnie spojrzał na Audrey.

- Na pewno Louis mówił pani, że poznaliśmy się w Meksyku - powiedział. - To niezwykle młody człowiek... Wie pani, że uczył głuche dzieci gry na fortepianie, prawda? Niesamowite... Nie sądzę, aby

ktokolwiek inny ośmielił się podjąć tak trudnego zadania. Dowiedział, że głusi mogą słyszeć, co prawda sercem, ale jednak... Znam mnóstwo ludzi, którzy nie mają upośledzonego słuchu, lecz są głusi na muzykę, która rozbrzmiewa w ich sercach...

Audrey uśmiechnęła się z dumą.

- Louis jest wyjątkowy - przytaknęła. - Mnie także nauczył grać na fortepianie i czuć muzykę...

Gaitano ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Na pewno już wcześniej wyczuwała pani nuty, a Louis na uczył panią tylko, jak je grać.

- Może... - Audrey zaśmiała się cicho. - Czy pan także gra?

- Czuję nuty, ale boję się je zagrać - odparł Gaitano. - Nie po trafię pozbyć się wrażenia, że gdybym zaczął, już nigdy bym nie przestał... Dostrzegam w tym wielkie niebezpieczeństwo. Za dużo widziałem w życiu, aby mieć pewność, że uda mi się za panować nad emocjami. Ziemia to kraina wielkiego niepokoju i wątpię, czy frazy mojej wewnętrznej melodii przypadłyby słuchaczom do gustu... Zacznę grać w niebie, jeżeli Bóg mi na to pozwoli... Teraz wypijmy za Louisa i jego wspaniały talent...

Potem Gaitano zostawił ich samych i niespiesznie poszedł do ogrodu, gdzie El Chino pilnował paleniska w cieniu potężnego eukaliptusa.

- Co za cudowny człowiek! - powiedziała Audrey, kiedy zmierzali ku drewnianym budynkom, przed którymi uwijało się kilku gauchos, siodłających dla nich kuce.

- Gaitano jest głuchy - rzekł Louis.

- Głuchy? - W głosie Audrey zabrzmiała nuta niedowierzania.

- Całkowicie. W ogóle nie słyszy.

- Nigdy bym się tego nie domyśliła!

- Wiem. Stracił słuch wiele lat temu. Przyjechał do Meksyku, żeby się ze mną spotkać, ponieważ jeden z jego przyjaciół przeczytał artykuł o moich metodach nauki i wysłał mu go. Od razu się zaprzyjaźniliśmy.

- Ale nie dawałeś mu lekcji gry?

- Nie. Powiedział, że jest już za stary, myślę jednak, że po prostu bał się załamania, co często zdarza się, gdy się odsłoni pewne uczucia. Ludzie często zamykają się w sobie i dławią emocje, ale bywa, że jedna prosta melodia wystarczy, aby tama runęła. Wtedy uczucia wylewają się wielką falą i nic nie może ich powstrzymać.

- Biedny Gaitano... - Audrey westchnęła. - Jest żonaty?

- Jego żona umarła, a dzieci mieszkają za granicą. Wydaje mi się, że kiedyś był twardym człowiekiem, może zbyt twardym...

- Kto się nim opiekuje?

- Costanza i El Chino, w każdym razie tak mi się wydaje. Nie martw się, Gaitano naprawdę nieźle sobie radzi.

Audrey ujęła dłoń Louisa i ścisnęła ją lekko.

- Powiedziałeś mu o nas, prawda?

- Musiałem komuś powiedzieć, a nikt inny nie wchodził w grę. Gaitano zawsze mówił, że bym przyjechał go odwiedzić, gdy wrócę do Argentyny. Od razu cię rozpoznał.

- Musiałeś mnie szczegółowo opisać...

- Nie było to trudne, bo obraz twojej twarzy wyryty jest w moim sercu i umyśle.

- Włosy w lokach! - Audrey parsknęła śmiechem. Louis przystanął i wziął ją w ramiona.

- Nie - odparł poważnie. - Pociągła, wrażliwa twarz, zamyślane niebieskie oczy, delikatna, promienna cera, pełne, zmysłowe wargi... Wargi poetki... - Ujął jej podbródek i pocałował uniesione ku niemu usta. - Ale najcenniejsza część ciebie jest ukryta wewnątrz i nikt poza mną nie potrafi jej dojrzeć...

Dosiedli koni i wyjechali na równinę. Słońce stało już wysoko na niebie, lecz dzień był przyjemnie ciepły, nie upalny. Dookoła rozpościerała się ogromna, równinna pampa. Tu i ówdzie widać było kępy drzew, otaczające domy na farmach i wyraźnie rysujące się na tle pogodnego nieba zbiorniki na deszczówkę. Wesole vizcachas, preriowe króliki, kryły się w trawie, dzięki ubarwieniu prawie niewidoczne na tle gleby do chwili, gdy wyskakiwały wysoko, słysząc zbliżające się konie. Ich beztrudne zachowanie stanowiło dowód, że życie na prerii przypomina sielankę. Po kilku kilometrach zatrzymali konie pod gumowatymi gałęziami dużego drzewa ombu i zostawili je tam, aby odpoczęły w cieniu.

- Wiesz, że ombu jest jedynym prawdziwym preriowym drzewem? - odezwał się Louis, siadając na trawie. - Wszystkie inne zostały tu przywiezione i zasadzone przez osadników.

- Wygląda niesamowicie, prawda? - Audrey się uśmiechnęła. Louis przyciągnął ją do siebie i pocałował w skroń.

- Ta chwila to prawdziwy dar niebios - powiedział. - Jestem tu z tobą, w samym środku tej ogromnej przestrzeni i czuję się jak w raju... Wreszcie możemy być sobą. Mogę otwarcie i na głos wyznać ci miłość, nie obawiając się, że ktoś mnie usłyszy... Kocham cię, Audrey Forrester! - wykrzyknął nagle, podnosząc głowę. - Kocham cię, kocham, kocham!

- Przestań! - Audrey szybko otarła łzy wzruszenia. - Głuptas z ciebie!

- Ale twój głuptas...

- To prawda... - Spowaźniała. - Tak powinno wyglądać nasze życie. Jesteś mi bliższy niż ktokolwiek inny i tyle lat spędziliśmy tak daleko od siebie.

- Tak, a mimo to wydaje mi się, że te lata to zaledwie krótka chwila. Na tym polega prawdziwa przyjaźń. Bądź moją przyjaciółką i ukochaną. Dałbym wszystko, żebyś mogła zostać moją żoną, ale twoją przyjaźń cenię nade wszystko.

- Wysłałam za Cecila tylko dlatego, że byłam pewna, iż nigdy więcej cię nie zobaczę. Myślałam, że nie wrócisz, ale nigdy nie przestałam cię kochać...

- Wiem, najdroższa, nie rób sobie wyrzutów - rzekł łagodnie. - Kiedy się dowiedziałem, czułem żal i gniew, lecz przecież to ja zostawiłem cię samą.

- Dlaczego wyjechałaś? - Przypomniała sobie, jak głęboko zranił ją jego oczywisty egoizm.

- Ponieważ wraz ze śmiercią Isli wszystko się zmieniło. Wyglądałaś inaczej, choć zapewne nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Byłaś inna - daleka, obojętna... Wiedziałem, że nie jesteś w stanie pogrzebać nadziei rodziców i odgadłem, że to już koniec...

- Wcale nie musiało tak być! Może po pewnym czasie pogodziliby się z myślą, że zamierzam za ciebie wyjść...

- Nie, nie sądzę. Jak na ironię teraz, gdy uwierzyli, że Isla mnie kochała, żałują, że nie jestem ich zięciem...

- Nie masz pojęcia, jak mnie to gniewa! - wybuchnęła. - Gdybym nie była żoną Cecila...

- Ale jesteś.

- Może mogłabym...

- Najdroższa, nie zamierzam stawiać ci żadnych wymagań - przerwał jej łagodnie. - Raz popełniłem ten błąd, więcej tego nie zrobię. Cieszymy się chwilą, jak dwa liście unoszone wiatrem. Nie podejmujemy żadnych decyzji, nie snujemy planów. Nie chcę cię znowu stracić.

- Nie stracisz mnie. Och, obiecuję ci, nie stracisz mnie... Louis przytulił ją mocno i pocałował, zmieniając uśpione długim oczekiwaniem marzenia w rzeczywistość. Jego pocałunek był czuły i namiętny.

Oboje wrócili myślami do rozmowy, jaką kiedyś odbyli pod rozgwieżdżonym niebem w ogrodach klubu Hurlingham, kiedy ulotne piękno chwili napełniło ich słodko-gorzkiem uczuciem smutku, lecz pocałunek pozwolił zapomnieć o minionych dwunastu latach i ukoił ból rozstania, który sprawił, że postarzel się przed czasem.

Gdy wracali do La Magdalena, ich głośny śmiech i tętent końskich kopyt niosły się z wiatrem, powtarzane przez echo. Ptaki zrywały się z gałęzi wysokich kasztanowców, a strusie biegły przed nimi, gubiąc pióra na równinie. Louis i Audrey cieszyli się niezwykłym uczuciem wolności, nie myśleli ani o nadchodzących, ani o minionych dniach, śmiali się wesoło i radośnie pokrzykiwali.

Lunch czekał na nich w cieniu podniszczonego parasola na tarasie, z którego rozciągał się wspaniały widok na równiny. El Chino przyniósł wielki półmisek mięsa, upieczonego pod eukaliptusem, a jego małe brązowe oczka lśniły dumnie. Rano zabił młodą jałówkę, więc pieczone było cudownie aromatyczne i kruche. Kiedy się schylił, Audrey zauważyła nóż o ozdobnej rękojeści,

który nosił za pasem z monetami, i pomyślała, że mimo pozornie prostych upodobań gauchos uwielbiają piękne, przykuwające uwagę przedmioty. Gaitano podał jej okrągły drewniany talerz, a ona wybrała duży plaster idealnie wypieczonego mięsa.

- Jest tu dość jedzenia dla plutonu wojska - powiedziała, kiedy El Chino położył na jej talerzu grubą kromkę przypieczonego chleba.

- Na pewno wystarczy dla gauchos i dla Costanzy - odparł Gaitano. - Mam jednak nadzieję, że zdecydujecie się na dokładkę. Jesteśmy bardzo dumni z naszej trzody.

- Spędza pan tutaj cały rok? - zapytała Audrey

- Ostatnio zrezygnowałem z wypraw do miasta. Jestem już za stary i mam za dużo wspomnień, które chciałbym pogrzebać. Tu jest cicho i spokojnie. Buenos Aires przypomina kipiący tygiel, a ja już dawno przestałem zajmować się polityką. Bogu niech będą dzięki... Polityka przynosi tylko nieszczęścia, nic więcej, i dzieje się tak wszędzie, na całym świecie. La Magdalena daje mi schronienie i szczęście. Siadajcie i jedzcie do syta, moi drodzy.

Audrey polubiła Gaitana. Mogła opowiadać mu o sobie ze świadomością, że on nic nie wie o miejscu, skąd ona pochodzi, i że wszystko, co powie, zostanie zachowane w tajemnicy. Gaitano doskonale zdawał sobie sprawę, że przyjmuje parę kochanków, lecz nie zrobił choćby najmniejszej aluzji do ich romansu. Patrzył na nich ze współczuciem i zrozumieniem, a jednocześnie przeżywał ich miłość wraz z nimi, ponieważ sam nigdy nie kochał aż tak gorąco, nawet w latach młodości. Audrey zauważyła, że Gaitano rozumie, co się do niego mówi tylko wtedy, gdy może czytać z ruchu warg, więc cierpliwie czekała, aż jego przenikliwe stare oczy spoczną na jej twarzy. Czuła się prawdziwie wolna, bo przecież mogła siedzieć obok Louisa i cieszyć się jego drobnymi gestami, które tak wyraźnie mówiły o miłości i poświęceniu. Co jakiś czas delikatnie dotykał jej dłoni lub odgarniał do tyłu długie sprężynki jej włosów. Robił to w całkowicie naturalny sposób, prawie machinalnie, lecz Audrey świetnie wiedziała, że przeżywa każdą chwilę nie mniej intensywnie niż ona. Jego dłonie parzyły jej skórę, budząc dreszcz podniecenia, który czasami przebiegał po plecach.

Po lunchu Gaitano udał się do domu na sjęstę. Audrey nagle ogarnęło zażenowanie, nie bardzo wiedziała, gdzie podziać oczy i co zrobić z rękami. Długie, puste godziny popołudnia rozciągały się przed nimi jak droga, którą należy przebyć, chociaż nie wiadomo, co czeka na jej końcu. Byli teraz sami. Louis natychmiast wyczuł i zrozumiał jej niepokój.

- Chodźmy popływać w basenie - zaproponował, biorąc ją za rękę. - Potem wyciągniemy się na brzegu i odpoczniemy. Mamy jeszcze prawie cały dzień i nie chcę, żebyś choć przez chwilę czuła się nieswojo...

Z wdzięcznością skinęła głową. Była szczęśliwa, że nie musi tłumaczyć Louisowi, iż nie chce podejmować decyzji o dalszym charakterze ich związku w domu obcego człowieka, niezależnie od tego, jak bardzo okazał się wyrozumiały. Pragnęła kochać się z Louisem, ale nie tutaj. Spojrzała mu prosto w oczy i znowu zadała sobie pytanie, jak to możliwe, że jej ukochany tak dobrze ją zna. W jego błyszczących źrenicach ujrziała radość i szczęście.

Leżeli objęci na trawie nad ocienionym drzewami i krzakami basenem, którego dno porośło zielonymi algami. Kamiennie płytki, którymi wyłożono brzegi, popękały i kruszyły się - widać było, że

nikt od dawna nie zajmował się tym miejscem. Gaitano był już za stary, aby mieć ochotę na pływanie, w upalne dni przychodziły tu więc tylko dzieci gauchos. Duży krzew gardenii rozchyłał płatki w blasku słońca, przesycając powietrze słodkim, ciężkim aromatem. Wśród kwiatów ociążały fruwały pszczoły, zbierając pyłek.

Po kąpeli Audrey i Louis rozmawiali długą chwilę, aż wreszcie zasnęli w słońcu.

Spali głęboko, a kiedy otworzyli oczy i zobaczyli wydłużające się wieczorne cienie, ogarnął ich smutek. Ich dzień dobiegał końca, niedługo musieli wyruszyć w drogę do domu. Słońce wisiało tuż nad drzewami, powietrze wyraźnie się ochłodziło.

Costanza nakryła do podwieczorku na tarasie i Gaitano wyszedł z domu, wypoczęty po sjeście. Od razu wyczuł, że wesołość Audrey i Louisa zniknęła, bo chociaż utracił słuch, jego intuicja bardzo się wyostrzyła. Ponieważ rozumiał swoich gości, zaproponował, aby wypili herbatę w salonie.

- Chciałbym wam coś pokazać - powiedział.

Młodzi poszli za nim. Pogrążony w półmroku pokój pachniał naftaliną i starością, jego ściany pokryte były półkami, które od brzegu do brzegu wypełniały książki. Dopiero kiedy ich oczy przywykły do przytłumionego światła, Audrey i Louis dostrzegli prawie ukryty pod stertą papierów fortepian.

- Należał do mojej żony - wyjaśnił Gaitano. - Żadne z moich dzieci go nie chciało, więc został tutaj... Zgracie dla mnie?

Audrey rzuciła Louisowi niepewne spojrzenie. Gaitano wyczuł jej zaskoczenie i z uśmiechem położył rękę na piersi.

- Słyszę sercem, moja droga - rzekł. - I to mi wystarczy...

Louis nie wahał się ani chwili. Ponieważ taboret był za mały dla dwóch osób, przysunął do fortepianu krzesło i zaczął grać. Gaitano rozpoznał melodię i zaśmiał się cicho, odrzucając do tyłu głowę. Audrey usiadła i położyła dłonie na klawiszach. Louis uśmiechnął się do niej z entuzjazmem. Wzięta głęboki oddech. Gdy ostatni raz grała ich melodię, jej serce było ciężkie jak kamień - teraz wypełniała je radość i smutek, ponieważ Sonata o niezapominajce stanowiła wyraz miłości skazanej na życie wśród cieni.

Gaitano przyglądał się im błyszczącymi od łez oczami. Z całej duszy pragnął naprawdę usłyszeć wykonywany przez dwoje młodych utwór, ale miał jedynie otwarte serce, które także coraz częściej go zawodziło.

Kiedy Audrey i Louis zaczęli zbierać się do odjazdu, objął ich ze smutkiem i czułością, jakby byli jego własnymi dziećmi.

- Przyjedźcie tu jeszcze, bardzo proszę - powiedział. - Mój dom zawsze będzie na was czekał i ja także.

Obiecali, że wrócą. La Magdalena była dla nich spokojnym portem, w którym mogli znaleźć schronienie, nic więc dziwnego, że już teraz nie mogli się doczekać, kiedy znowu tu przyjadą.

Wracali do Buenos Aires w milczeniu, z ciężkim sercem. Starali się myśleć o miłych rzeczach, jakie, być może, czekały ich w przyszłości, i wciąż przypominali sobie, że nadal mają siebie nawzajem. Trzymali się za ręce i słuchali radia, patrząc przez okna samochodu na pojawiające się pierwsze zabudowania wielkiego miasta. Zostawili za sobą spokój uśpionej pampy i własne złudzenie wolności - teraz musieli znowu zacząć wymyślać kłamstwa. Jeszcze tego samego wieczoru Audrey musiała znaleźć kolejną wymówkę, aby nie wpuścić męża do swojej sypialni, Louis zaś miał spać sam, udręczony zapachem jej skóry, który wciąż mu towarzyszył. Mieli tęsknić za sobą aż do bólu, chociaż dzieliły ich jedynie cienkie ściany domu i uczciwość serc. Nie przyszło im jeszcze do głowy, że ściany można zburzyć, a uczciwość skutecznie stłumić.

Dzień, w którym mieli wziąć udział w nabożeństwie w intencji Isli zbliżał się powoli, lecz nieuchronnie. Audrey z każdą upływającą godziną coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że jej kapitulacja jest jedynie kwestią czasu. Wiedziała, że nic nie może na to poradzić i była gotowa się poddać.

Rozdział dwudziesty trzeci

Na pogrzebie Isli Louis siedział w ostatniej ławce, tuż obok drzwi do kościoła, teraz natomiast, dwanaście lat później, zajął miejsce przed samym ołtarzem. I Louis, i Audrey zdawali sobie sprawę, że nabożeństwo będące dziękczynieniem za życie Isli odprawiane jest głównie z powodu ich kłamstw, i nie czuli się najlepiej. Audrey usiłowała przekonać samą siebie, że jej matce potrzebny był po prostu jakikolwiek pretekst, aby zorganizować uroczystość upamiętniającą młodszą córkę, i że gdyby Louis nie pojawił się w Hurlingham, na pewno znalazłaby jakiś inny, lecz w głębi serca doskonale wiedziała, co pomyśleliby o niej bliscy, gdyby prawda wyszła na jaw. Isla nie żyła i nie mogła przemówić, a to stawiało Audrey i Louisa w jeszcze gorszym świetle. Wstyd, jaki Audrey czuła, jeszcze bardziej pogłębił się w kościele. Wpatrzona w stojący na ołtarzu krucyfiks, skąpany we wpadającym przez witraże świetle, pocieszała się, że jej obecność w tym świętym miejscu jest w jakiś sposób usprawiedliwiona, bo przecież jeszcze nie popełniła cudzołóstwa, chociaż czuła, że było to tylko kwestią czasu. Nie ulegało wątpliwości, że postawiła pierwsze kroki na drodze do piekła, lecz droga ta była długa, a ona z całego serca pragnęła cieszyć się bliskością Louisa, nawet jeżeli później Bóg miałby surowo ją za to ukarać.

Siedziała między Lousem i mężem, w tej samej ławce co jej rodzice i bracia. Było im trochę ciasno, ponieważ chłopcy już wyrosli z wieku dziecięcego, ale Audrey wcale to nie przeszkadzało - dzięki temu mogła dyskretnie przytulić się do Louisa i porozumiewać się z nim w niezauważalny dla innych sposób. Kątem oka zerknęła na przystojną twarz Alberta. Jej brat był mężczyzną i w niczym nie przypominał chudziutkiego chłopca, który codziennie z zapałem stawiał domki z kart, chociaż świetnie wiedział, że Isla w najmniej spodziewanej chwili zmiecie jego dzieło jednym ruchem ręki. Audrey objęła spojrzeniem pozostałych braci i w ich prawie dorosłych twarzach dostrzegła proces szybkiego przemijania. Kiedy była dzieckiem, miesiące i lata ciągnęły się bez końca, teraz mijały błyskawicznie, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem.

Jesienią ubiegłego roku zmarła Cynthia Klein, którą pochowano na miejskim cmentarzu obok jej przyjaciółki, Phyllidy Bates. Z niegdyś imponującego kwartetu pozostały tylko Diana Lewis i Charlo Blythe, zmalale i skurczone jak mumijki. Diana źle słyszała; była jednak zbyt dumna, aby się do tego przyznać, mówiła więc prawie bez przerwy, aby inni nie mieli szansy się odezwać i aby ona nie musiała ich słuchać. Jej wargi ściągnęły się w paskudną linijkę, wyrażającą wieczne rozczarowanie i gorycz. Dawno już zapomniała, jak się uśmiechać, a ponieważ dopuszczała do siebie same negatywne myśli, zawsze wyglądała ponuro. Charlo zachowała srebrzyste dostojeństwo i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Wprawdzie umysł pułkownika Blythe coraz częściej wracał do przeszłości, zupełnie jak uszkodzona płyta, która wciąż odtwarza ten sam fragment melodii, lecz jego obecność była pociechą dla Charlo i nie pozwalała jej czuć się samotną. Charlo i Diana nie rozmawiały teraz ze sobą tak często jak kiedyś, ponieważ żona pułkownika straciła zainteresowanie dla plotek. Znalazła szczęście, a szczęśliwi ludzie są przyjaźnie nastawieni do otoczenia, czego z całą pewnością nie można było powiedzieć o Dianie.

Diana usiadła obok ciotki Hildy i jej czterech córek, nieustannie mamrocząc do siebie, żeby nikomu nie przyszło do głowy odezwać się do niej. Zauważyła, że twarz Nelly była bledsza niż zwykle, a kąciki ust zaczęły opadać ku dołowi, zupełnie jak u matki. Diana zastanawiała się, czy smutek Nelly ma coś wspólnego z Louisem. W przeciwieństwie do zdecydowanej większości mieszkańców Hurlingham nie zmieniła negatywnej opinii o Louisie. Potajemny flirt z Islą z całą pewnością nie był zachowaniem godnym prawdziwego dżentelmena, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Przechyliła się w prawo i utkwiała wzrok w siedzącym obok żony Cecilu. Oto godna szacunku para, pomyślała. Audrey nigdy nie pozwalała sobie na żadne wybryki, natomiast Isla zdobyła powszechny szacunek i uwielbienie dopiero po śmierci. Bóg jeden wie, co by się z nią stało, gdyby nie umarła... prychnęła cicho i otworzyła spis przygotowanych czytań i psalmów. Lekturę jednego z wybranych utworów powierzono Louisowi.

- Bardzo niewłaściwe... - mruknęła Diana.

Chwilę potem zobaczyła, że jej palce są szkarłatne i skuliła się z przerażenia. Wszędzie była krew... Zaraz umrze... Była już na skraju omdlenia, kiedy nagle przypomniała sobie, że rano malowała nowy obraz.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołała głośno. - Jeszcze nie umarłam!

Nelly rzuciła jej karcące spojrzenie spod ściągniętych brwi, lecz Hilda trąciła ją łokciem w bok i młoda kobieta pośpiesznie odwróciła wzrok.

- Diana jest kompletnie szalona! - wyszeptała Hilda. - Nie zwracaj na nią uwagi, bo znowu zrobi jakąś scenę!

Diana zaczęła się wachlować spisem psalmów. Myśl o śmierci budziła w niej głębokie przerażenie i im bardziej zbliżała się do końca swoich dni, tym większy ogarniał ją strach.

Kiedy nabożeństwo się rozpoczęło, Audrey pochwyciła spojrzenie Emmy Letton, która siedziała razem z mężem i trójką dzieci. Pomyślała o swoich dziewczynkach, pozostawionych w dalekiej Anglii, i smutno uśmiechnęła się do przyjaciółki. Emma odpowiedziała pełnym współczucia uśmiechem, bo doskonale rozumiała niepokój i żal Audrey. Nabożeństwo było przecież wspomnieniem śmierci ukochanej siostry, a tęsknota za Leonorą i Alicią na pewno jeszcze zwiększała rozpaczą. Emma

przeniosła wzrok na Louisa, który stał wyprostowany obok Audrey, i nagle pomyślała, że może jego wizyta nasila stres, w jakim żyje żona Cecila.

Audrey rozpaczliwie starała się wyczuć bliskość siostry w wiosennym słońcu i lekkim wietrze, i nie odrywała oczu od płonących na ołtarzu świec, podświadomie czekając, aż któraś z nich zgaśnie. Może Isla była gdzieś blisko, lecz tym razem nie zmanifestowała swojej obecności w tak oczywisty jak poprzednio sposób. Wolą pozostać w pamięci zgromadzonych i słuchać, jak wspominają żywiołową, energiczną dziewczynę, która odeszła w tak niespodziewany i gwałtowny sposób, że chociaż od tamtej chwili upłynęło już dwanaście lat, wszyscy nadal nie mogli otrząsnąć się z bólu rozstania.

Kiedy Louis stanął przed kongregacją, aby przeczytać wybrany przez Rose poemat, Audrey poczuła łagodną falę podziwu, która szybko przebiegła przez kościół. Jej policzki zapłonęły rumieńcem gniewu. Jakże zmienni są ludzie, pomyślała. I ja także... Gdybym wtedy zdobyła się na odwagę, żeby pójść za głosem serca... Z napięciem wpatrywała się w Louisa. Jego dłonie drżały. Nie odrywał wzroku od otwartej książki, może z lęku; aby nie pomylić wersów, a może z obawy, że obecni wyczytają z jego oczu, że ich okłamał. Serce Audrey wezbrało miłością i mocnym postanowieniem, że tym razem nie zmarnują szansy na wspólną przyszłość. Louis skończył czytać i wrócił na miejsce, zerkając na zebranych spod nieco potarganej grzywki. Audrey posłała mu czuły uśmiech, a Cecil skinął głową z pełną powagi aprobatą. Potem obaj bracia popatrzyli sobie w oczy. Wymiana spojrzeń trwała tak długo, że Audrey zaczęła się zastanawiać, co próbują sobie przekazać. Po chwili Louis zaczerwienił się i spuścił wzrok, najwyraźniej nie potrafiąc stawić czoła wyzwaniu, jakie malowało się w oczach Cecila. Ale moment dyskomfortu szybko minął, rozproszony bliskością Audrey i ciepłem jej ciała. Po paru sekundach proboszcz rozpoczął wspólną modlitwę i wszyscy uklękli, dziękując Bogu za wielki dar, jakim było życie Isli. Audrey usiłowała skupić się na wypowiedzianych słowach, lecz w panującym w kościele przyjemnym półmroku potrafiła tylko cieszyć się obecnością Louisa. Po zakończeniu nabożeństwa, gdy wierni wychodzili ze świątyni, wzrok Audrey padł na krzesła stojące z tyłu, teraz puste i pogrążone w głębokim cieniu, ponieważ słońce nie docierało tak daleko. Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Dokładnie pamiętała tamtą straszną rozmowę z Louistem... Łzy napłynęły jej do oczu i nie zważając na to, czy Cecil jest za jej plecami, czy gdzieś z przodu, zarzuciła ramiona na szyję Louisa i objęła go. W pierwszej chwili Louis nie odwzajemnił uścisku, usztywniony obecnością brata i innych.

- Nie chcę cię znowu stracić - szepnęła mu do ucha Audrey. - Dwanaście lat temu straciłam cię właśnie tutaj i przez cały ten czas gorzko tego żalowałam... Proszę, nie zostawiaj mnie, bo drugi raz nie przeżyłabym tego...

Louis mocno przytulił ją do piersi.

- Nie wybieram się nigdzie bez ciebie - odszepnął. - Jeżeli będzie to konieczne, będę na ciebie czekał aż do śmierci.

Audrey cofnęła się, pociągając nosem. Zauważyła, że wzrok Cecila utkwiony jest w jakiś punkt za jej ramieniem i odwróciła się.

Cecil szedł ku nim razem z jej rodzicami, cicho rozmawiając. Rzucił Audrey pytające spojrzenie, a ona uśmiechnęła się z wysiłkiem, dając mu do zrozumienia, że jest wzruszona i trochę smutna, ale nic jej nie dolega. Cecil skinął głową i wrócił do rozmowy z Rose i Henrym. Jego twarz przybrała gorzki wyraz, ponieważ znowu ogarnęły go podejrzenia.

Wszyscy zostali zaproszeni do Rose i Henry'ego na drinki, i teraz dom rozbrzmiewał radosnym gwarem, jakże innym od smutnych, przyciszonych głosów, jakie wypełniały go przed dwunastu laty. Ciotka Hilda niechętnie zerknęła na Louisa, natomiast Nelly, choć stała w przeciwległym kącie salonu, intuicyjnie wyczuwała każdy jego ruch. Pogodna obecność ciotki Edny podnosiła wszystkich na duchu, chociaż Edna w głębi duszy co jakiś czas z niepokojem myślała o Audrey i Louisie oraz ich niebezpiecznej sytuacji. Starsza pani nie mogła też nie zauważyć, że Cecil pochłania ogromne ilości alkoholu, a jego ręce drżą, gdy robi sobie następnego drinka. Kiedyś był takim cudownie spokojnym, pewnym siebie młodzieńcem, pomyślała ze smutkiem. Co stało się z tamtym Cecilem Forresterem?

Emma Letton usiadła obok Audrey na sofie, pobłażliwie przyzymkając oczy na to, że jej dzieci wypijają resztki wina ze stojących tu i ówdzie kieliszków i łapczywie zjadają wszystkie empanadas.

- Bardzo za nimi tęsknisz, prawda? - odezwała się, kładąc dłoń na ramieniu Audrey, aby okazać jej współczucie.

- Tak. Staram się nad tym nie zastanawiać, ale moje wysiłki idą na marne. Co mam teraz ze sobą zrobić? Moje życie koncentruje się wokół dzieci, a tu nagle została pustka...

- Rozumiem cię. Wydaje mi się, że wiem, jak bym się czuła gdyby Thomas wysłał nasze dzieci za granicę... Byłabym zrozpaczona.

- Najgorsza jest ta straszna cisza - westchnęła Audrey. - I przytłaczająca samotność...

- Dlaczego nie zdecydujesz się na trzecie dziecko?

- Słucham?

- Mogłabyś urodzić jeszcze jedno dziecko, przecież jesteś młodą kobietą. Nie chciałabyś mieć synka?

- Po to, żeby Cecil i jego mógł wysłać do szkoły w Anglii? - zapytała z goryczą. - Nie przeżyłabym takiej sytuacji jeszcze raz, wiem to na pewno.

- Przeżyłabyś, uwierz mi...

- Nie chcę dziecka, które miałoby zająć miejsce Alicii i Leonory. Dziewczynki mogłyby się poczuć odrzucone, zepchnięte na margines...

- Myślę, że byłyby szczęśliwe.

- W takim razie znasz Alicię o wiele gorzej niż sądziłam! - Audrey się zaśmiała. - Alicia byłaby wściekła, a Leonora poczułaby się zraniona i niepotrzebna. Nie mogłabym im tego zrobić...

Główna trudność polega jednak na tym, że ja i Cecil wcale nie przypominamy dwóch statków, które mijają się w ciemności, po myślała. My nawet nie zbliżamy się do siebie.

Nagle ponad głosy gości wzbily się dźwięki muzyki.

- Kto to gra? - zapytała Emma, ponieważ ze swojego miejsca nie mogła dojrzeć fortepianu. - Louis - odparła Audrey.

Z piersi Emmy wyrwało się pełne podziwu westchnienie.

- Jest prawdziwym wirtuozem.

Goście ucichli, zasluchani w grany przez Louisa utwór. Jedyne Diana Lewis krzyknęła:

- O co chodzi? Czy ktoś umarł?

Charlo Blythe rzuciła się na pomoc przyjaciółce i szybko wyprowadziła ją do holu.

- Dlaczego wszyscy się na mnie gapią, na miłość boską? - huknęła Diana, zanim zamknęła ręką Charlo drzwi przytłumiły jej głos.

Audrey po raz pierwszy słyszała Louisa grającego klasyczny utwór, Koncert warszawski. Grał z tak wielkim uczuciem, że po chwili goście usiedli i pozwolili, aby muzyka przeniosła ich w miejsca, w których nigdy nie byli i rozbudziła w nich nowe, nieznane emocje. Wszyscy byli głęboko poruszeni wspaniałą interpretacją utworu Addinsella, wszyscy poza Dianą Lewis, która gniewnie dyszała w holu, słysząc jedynie irytujące bzyczenie.

- Dlaczego nie grał takich utworów w Hurlingham Club? - zapytała męża głośnym szeptem Charlo. Stary pułkownik wzruszył ramionami.

- Interesujący młody człowiek, bez dwóch zdań! - mruknął głośniejsze.

Charlo kiwnęła głową. Louis rzeczywiście był teraz zupełnie innym człowiekiem, w niczym nie przypominał kapryśnego młodzieńca, który opuścił Hurlingham po śmierci Isli. Był znacznie spokojniejszy i zdecydowanie mniej dziwaczny.

Audrey spojrzała w oczy Cecila, który przyłapał ją na przyglądaniu się Louisowi, lecz zaraz odwróciła wzrok. Czuła, że nie potrafi pozostać wierna mężowi i wyrzuty sumienia nie pozwalały jej spokojnie na niego patrzeć. Cecil przeniósł spojrzenie na brata i przygarbił się, zrezygnowany i zrozpaczony.

Było już późno, kiedy Audrey na palcach przemknęła przez mroczny korytarz. Czuła się podobnie jak przed dwunastu laty, kiedy wybiegała do sadu na spotkanie z czekającym na nią pod wiśniowym drzewem Lousem, tyle że teraz miała dużo więcej do stracenia. Przede wszystkim pragnęła jednak zduśnić wspomnienie tamtej okropnej rozmowy, którą po pogrzebie Isli od była z Lousem w kościele i była gotowa na wszystko, by osiągnąć ten cel. Ostrożnie zapukała do drzwi Louisa. Chwile nasłuchiwała uważnie, ponieważ mocno bijące w jej piersi serce zagłuszało wszystkie inne odgłosy. Przypomniała sobie spędzony z Lousem dzień poza miastem, kiedy to mogli nacieszyć się sobą do woli, a także swoje zażenowanie. Teraz nie czuła wstydu, chociaż w tym samym domu spał Cecil, nieświadomy, że jego żona stawia właśnie pierwszy decydujący krok na drodze do rozstania. Audrey zadrżała. Wiedziała, że postępuje źle, ale starała się nie myśleć o mężu i dzieciach. Przywołała z pamięci szeroki uśmiech Isli, który zawsze dodawał jej odwagi. Miej odwagę pójść za głosem serca, powiedziała kiedyś Isli i teraz jej głos wrócił do Audrey, przypominając jej, że życie jest krótkie i pełne niespodzianek, a miłość największym darem ze wszystkich. Postanowiła, że nie będzie dłużej żyła dla innych. Czy nie zasłużyła na odrobinę szczęścia po tak długim cierpieniu?

Drzwi uchyliły się powoli i cicho i Audrey szybko wśliznęła się do środka.

- Nie chcę więcej być sama - szepnęła. - Pragnę cię...
- Wiedziałem, że przyjdiesz dziś wieczorem. - Louis otoczył ją ramionami i pocałował w czoło.
- Jak mogłeś wiedzieć, skoro ja sama nie byłam tego pewna?
- Pomogły mi słowa, które wypowiedziałas w kościele. Ja też już nie chcę być sam.
- Mówiłam poważnie, kochany, tym razem nie chcę cię stracić. Nie wiem, co zrobimy, ale nie chcę żyć bez ciebie. Po prostu nie chcę.

Położyli się obok siebie, ani na chwilę nie wypuszczając się z ramion. Wcześniej Audrey myślała, że będzie zdenerwowana, bo przecież dotąd kochała się tylko z Cecilem, lecz dotyk Louisa był jej tak dobrze znany, jakby wiele razy wymieniali intymne, czułe pieśczęty.

Jego pocałunek był namiętny, lecz delikatny. Cały czas wpatrywał się w nią zamyślonymi oczami, które teraz skupione były wyłącznie na niej i na świecie, który oboje stworzyli. Audrey wdychała korzenny zapach jego skóry, przytulała twarz do pokrytych krótkim zarostem policzków i czuła, jak jego ciało ogarnia ją ze wszystkich stron, jakby ukochany chciał wniknąć w nią i na zawsze połączyć ich dusze w jedną. Dopiero później uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie kochała się naprawdę. Często cieszyła się fizyczną bliskością Cecila, ale nie miało to nic wspólnego z miłością, uczuciem, którego zaznała po urodzeniu dzieci. Dopiero z Louistem przeżywała miłość, pławiła się w niej i delectowała się nią tak bardzo, że w końcu sama stała się miłością. Nigdy dotąd nie czuła się tak kochana i uwielbiana. Seks przekroczył granicę doznań zmysłowych i przerodził się w duchowe, napędzając Audrey poczuciem wielkiej radości, że może doznawać miłości fizycznej w jej najczystszej formie.

- Zawsze mogło tak być - powiedziała, przytulając się do Louisa i czując, jak jej rozplamienione ciało chłodzi wiatr, który wpadł do pokoju, aby być świadkiem ich zespolenia.

- I zawsze tak będzie, obiecuję - odparł, owijając sobie jej loki wokół palców.

Oddychając powietrzem przesyconym zapachem ich miłości, oboje wierzyli, że przyszłość, o której mówił Louis, jest jak najbardziej możliwa.

W ciągu następnych tygodni Audrey i Louis cieszyli się kradzionymi chwilami, kiedy Cecil wychodził do pracy lub zapadał w sen. Galopowali po pampie, podczas gdy Gaitano z troską obserwował ich z tarasu, tańczyli w salonie, korzystając z nieuwagi Mercedes, zajętej figlami Oscara i na cztery ręce grali na fortepianie, wtopieni w wieczorne cienie, które pożerały cenne godziny dnia i napędzały ich słodką melancholią, znaną im tak dobrze jak stary, godny zaufania przyjaciel.

Audrey była oszołomiona miłością, lecz nie zaślepiona. Zdawała sobie sprawę, że jej mąż za dużo pije. Cecil zwykle wracał do domu późnym wieczorem, cuchnąc alkoholem, i natychmiast sięgał po butelkę. Nie rzucał już żonie pełnych nadziei spojrzeń i nie zaglądał do jej sypialni, gotowy naprawić pęknięcia w ich małżeństwie lub przynajmniej zapomnieć w ciemności o ich istnieniu. Zaraz po kolacji zniknął w swoim gabinecie, zostawiając żonę i brata przy fortepianie, zupełnie jakby wiedział, że jest zdradzany, lecz nie miał siły ani chęci doprowadzić do konfrontacji. Audrey nie podejmowała żadnych kroków, ponieważ wiedziała, że kiedy zaczną poważną rozmowę z Cecilem, ich małżeństwo straci wszelką rację bytu. Pragnęła uciec z Louistem, wiedziała jednak, że za parę tygodni bliźniaczki wrócą

do domu na świąteczne wakacje. Postanowiła poczekać do ich ponownego wyjazdu do szkoły i dopiero wtedy podjąć ostateczną decyzję. Louis nie próbował wyrzeć na nią nacisku i nie usiłował nawet rozmawiać z nią o przyszłości.

- Żyjmy chwilą - powtarzał.

Audrey chętnie przystała na tę propozycję.

Rozdział dwudziesty czwarty

Cicely z przykrością pożegnała na lotnisku wyruszające w drogę do Argentyny bliźniaczki. Przywykła do ich obecności i chętnie spędziła z nimi krótką przerwę w zajęciach w połowie semestru, także kilka weekendów - na które uczennicom wolno było wyjeżdżać do domów. Leonora pomagała Panazelowi i Florianowi w sadzeniu świeżych cebulek kwiatowych oraz zbieraniu owoców, a Alicia zajmowała się swoją przyjaciółką Mattie, która parę razy przyjechała razem z dziewczętami. Cicely nie przepadała za Mattie - uważała, że arogancka i wiecznie nadąsana dziewczyna ma zły wpływ na Alicię. Raz przytapała je na dręczeniu Floriena. Chłopiec z pewnością doskonale potrafił się bronić, ale Cicely zdecydowanie nie podobały się poczynania duetu Alicia-Mattie. Choć obie kompletnie ignorowały Leonorę, Cicely doszła do wniosku, że nie ma sensu zwracać im uwagi, ponieważ jej spokojniejsza bratanica z przyjemnością towarzyszyła Cyganom w codziennych zajęciach i jak zaczarowana słuchała opowiadanych przez Maszę historii.

- Chciałabym być Cyganką - wyznała któregoś dnia Leonora. - Bardzo żałuję, że nie mogę mieszkać w wozie i przez cały dzień pracować w ogrodzie. To cudowne życie.

Alicia i Mattie skrzywiły się i wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Obie uwielbiały drwić z Leonory.

- Jesteś taka prostoduszna i naiwna - dokuczały jej. - My chcemy osiągnąć coś w życiu i być sławne, a ty wolałabyś być jakąś głupią Cyganką, której cały świat mieści się w brudnym wozie!

Ku zaskoczeniu Cicely Leonora nadal darzyła siostrę uwielbieniem i nie oczekiwała od niej lojalności. Nie winiła jej, chociaż nie ulegało wątpliwości, że zjadliwość Alicii raniła ją do głębi. Szybko odzyskiwała równowagę i zawsze zachowywała się z godnością.

Cicely szczerze lubiła Leonorę, która w przeciwieństwie do siostry była miłym, niezepsutym dzieckiem. Wyraźnie widziała, że tylko cud mógłby odmienić charakter Alicii. Dziewczynka przyszła na świat obdarzona wielką urodą, lecz to Leonora otrzymała od Boga dobre, otwarte serce. Cicely bez żalu pożegnała Alicię, ale kiedy parę dni później wyjrzała przez okno i zobaczyła pracujących w ogrodzie Panazela i Floriena, zatęskniła za skromną małą dziewczynką o wrażliwej buzi i łagodnym uśmiechu, której marzeniem było proste życie Cyganów. Barley, ulubiony pies Cicely, także tęsknił za Leonorą. Kiedy dziewczynka pomagała Panazelowi, Barley kładł się w trawie i czekał, aż mała zabierze go na długi spacer po polach i lesie. Teraz wydawał się dziwnie zagubiony i chociaż wiernie towarzyszył Cicely, był wyraźnie nieswój.

Cicely odwoziła dziewczynki na lotnisko i zaczęła, aż wsiadły do samolotu. Obie bliźniaczki były bardzo podekscytowane i poprzedniego dnia biegały po domu niczym rozbawione szczeniaki, Musiała ostro skarcić Alicię, która wyśmiewała się z Leonory, ponieważ ta zapakowała królika od ciotki Edny do podręcznej torby.

- Czasami potrafisz być bardzo niedobra - powiedziała ciotka z bezradną złością. - A kiedy tak się zachowujesz, wyglądasz wyjątkowo paskudnie...

Miała nadzieję, że ta ostatnia uwaga zrobi odpowiednie wrażenie na próżnej do granic możliwości dziewczynce.

Teraz Cicely była sama w cichym, zimnym domu. Bardzo zimnym. Rozpałała ogień w kuchni i w salonie, włożyła trzy swetry i ustawicznie się krzątała, aby nie zmarznąć jeszcze bardziej. Tylko Marcel korzystał z luksusu w postaci gazowego piecyka, ponieważ skarżył się, że musi kruszyć lód na powierzchni wody w miseczce, by zmoczyć pędzel.

- Nie mogę malować zgrabiętymi rękami, mon amour - oświadczył z wyrzutem, wpatrując się w Cicely ciemnymi, galijskimi oczami. - I nie mogę przywoływać cię za każdym razem, kiedy moim ciałem zaczynają wstrząsać dreszcze. Oczywiście, z całego serca pragnąłbym kochać się z tobą przez cały dzień, ale moja uśpiona energia twórcza nie dałaby mi chwili spokoju...

Cicely codziennie niecierpliwie czekała na noc, bo wtedy energia twórcza Marcela siłą rzeczy pozostawała w stanie uśpienia. Nie miała pojęcia, nad jakim to dziełem pracuje jej kochanek, ale czasami się zastanawiała, czy Marcel w ogóle pracuje.

Audrey, ciotka Edna i Rose wyjechały na lotnisko po bliźniaczki. Był gorący grudniowy dzień, powietrze wydawało się bardziej ciężkie i wilgotne niż zwykle, więc wszystkie cztery musiały się bez przerwy wachlować, żeby swobodnie oddychać. Stały na tarasie w pełnym słońcu i obserwowały, jak samolot przemienia się z lśniącej w oddali iskierki w wielką, potężną maszynę, która niosła na pokładzie ich ukochane dziewczynki. Audrey od chwili rozstania z córkami liczyła dni do ponownego spotkania i codziennie do nich pisała, chociaż zdawała sobie sprawę, że część listów nie dotrze do Anglii przed świąteczną przerwą. Obecność Louisa była oczywiście wielką pomocą, ale Audrey ani na chwilę nie zapominała o Alicii i Leonorze. Ciągle widziała małe buzie bliźniaczek i tęskniła za nimi nawet wtedy, gdy leżała w ramionach kochanka.

Na widok matki Leonora zalała się łzami i zarzuciła jej ramiona na szyję. Podróż była długa i męcząca, na dodatek Alicia dąsała się przez cały czas, rozdrażniona ostrą uwagą Cicely. Audrey uściskała Leonorę i czule pocałowała ją w czoło, zachwycona, że jej córeczka wciąż pachnie tak samo jak dawniej. Wzruszona i uszczęśliwiona mała nie mogła wykrztusić ani słowa. Przywarła do matki jak małpka i nie odstępowała jej ani na krok. Tęskniła za Audrey bardziej, niż była gotowa się przyznać i teraz, kiedy wreszcie ją odzyskała, czuła potrzebę ciągłego upewniania się, że matka naprawdę istnieje i że jest wciąż tą samą osobą, o której tak długo śniła.

Alicia rozpogodziła się prawie natychmiast po przyjeździe, ponieważ spostrzegła, że znowu ma pełną podziwu widownię. Ciotka Edna usiadła za kierownicą. Rose zajęła miejsce obok niej, zostawiając tylne siedzenia dla Audrey z córkami.

- Żabka, nasza nauczycielka francuskiego, ma tak cuchnący oddech, że któregoś dnia napełniłyśmy jej filiżankę pastą do zębów - oświadczyła Alicia i zachichotała z rozbawieniem.

- Chyba nie nazywa się żabka, co? - zapytała Audrey - szczęśliwa, że w końcu odzyskała dziewczynki.

- Nie, naprawdę nazywa się madame Duval, ale my nazywamy ją Żabką. Je strasznie dużo czosnku, może dlatego tak jej śmierdzi z ust... Przez cały semestr urządzałyśmy sobie uczyty o północy, dokładnie tak jak w powieściach! Leo nie bierze w nich udziału, za bardzo się boi. Jest okropnie grzeczną uczennicą...

- I należy jej się za to pochwała - przerwała jej sucho ciotka Edna.

Miała ochotę dodać, że obie zostały wysłane do Anglii z powodu złego zachowania Alicii, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Czytałam o twoim artystycznym kółku, Leonoro - wtrąciła Rose. - To wielka odpowiedzialność, kochanie! Bardzo się cieszę, że jesteś taka dzielna i mądra.

Leonora przytuliła się do boku matki, wsunęła kciuk do ust i potarła nos puchatymi uszami pluszowego królika.

- W czwartkowe popołudnia Gussie zawsze częstuje nas herbatą i ciasteczkami - powiedziała cicho. - Lubię Gussie...

- Najwyraźniej ona także darzy cię sympatią i zaufaniem.

- Nienawidzę przedmiotów humanistycznych - Alicia się skrzywiła. - Wolę gimnastykę. Świetnie radzę sobie ze wszystkimi ćwiczeniami, panna Pole jest ze mnie bardzo zadowolona... W szkolnych stajniach pracuje chłopak, który sepleni, wiecie? Nie umie poprawnie wymówić mojego imienia! - Parsknęła serdecznym śmiechem. - Mattie uważa, że on jest nie dorozwinięty! Leonora doskonale wiedziała, jak bardzo Mattie i Alicia dokuczały młodemu stajennemu, ale nie zamierzała donosić na siostrę. Na szczęście Larry nie zdawał sobie sprawy z okrucieństwa dziewcząt, a zainteresowanie, jakie w nich budził, sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

Rose i ciotka Edna bynajmniej nie były rozbawione opowiadaniem Alicii, lecz Audrey uściskała ją i pocałowała w skroń.

Na progu domu czekała Mercedes razem z Loro i Oscarem. Alicia pisnęła z radości i wyskoczyła z samochodu, ledwo Edna zahamowała na podjeździe.

- Moje kochane dziecko... - Stara kucharka chwyciła swoją ulubienicę w objęcia. - Założę się, że urosłaś ze dwa centymetry. Dostałaś wszystkie moje listy? - zapytała Alicia, otaczając ramionami grubą talię Mercedes.

- Oczywiście. Dobrze chociaż, że w tej Anglii uczą was pi - Nie tylko tego nas tam uczą. Umiem mówić po francusku,

wiesz?

- I co ci z tego przyjdzie?

- Będę mogła rozmawiać z Francuzami.

- Francuzów należy unikać jak ognia - ostrzegła ją Mercedes, wspominając francuskiego marynarza, którego kiedyś poznała

w porcie.

był to krótkotrwały, lecz owocny związek. Dziewięć miesięcy później na świat przyszedł Thomas, śliczny chłopiec o oliwkowej cerze i rozmarzonych oczach, który dziwnym trafem uniknął wszystkich chorób, jakie uparcie nękały resztę potomstwa Mercedes. Kucharka podejrzewała, że działo się tak z powodu sporej ilości czosnku, jaki Thomas miał we krwi.

Oscar trzymał Loro na ramieniu i karmił pestkami słonecznika, żeby papuga nie ujawniła szczegółów ognistego romansu, który przeżywał z Mercedes za kuchnią, między kolejnymi filiżankami kawy. Cecil usłyszał warkot silnika i wyszedł przed dom. W ręku trzymał szklaneczkę whisky, a jego uśmiech, kiedyś tak promienny i radosny, był teraz smętny i niewyraźny. Pocałował Alicję i Leonorę i poklepał je po plecach takim samym gestem jak ciotka Cicely, kiedy pierwszy raz wyjechała po nie na stację.

Rose i Edna zdawały sobie sprawę, że Cecil ma spore problemy z alkoholem, uważały jednak, że nie powinny się wtrącać w prywatne życie Audrey. Rose nie mogła pojąć, co skłoniło Cecila do szukania pocieszenia w butelce, natomiast Edna doskonale знаła przyczynę jego nałogu. Wiedziała, że jeżeli Louis wkrótce nie wyjedzie z Hurlingham, będzie musiała zamienić parę słów z siostrzenicą. Louis bawił w domu Audrey i Cecila od wielu tygodni i nic nie wskazywało, aby zamierzał zrezygnować z ich gościnności. Wszystko to razem jest nienormalne i niezdrowe, myślała Edna, patrząc ze współczuciem na Cecila, który zakochał się w Audrey od pierwszego wejrzenia i wciąż darzył ją gorącym uczuciem. Edna rozumiała stan ducha Audrey, rozczarowanej i wściekłej na Cecila za to, że wysłał córki do szkoły za granicą, lecz uważała, że zdrada nie jest odpowiednią karą. Nie wierność przynosi wyłącznie smutek i ból; w ostatecznym rozrachunku najbardziej ucierpią córki Audrey i Cecila, Edna nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Uważnie obserwowała Audrey, tak otwarcie szczęśliwą i zadowoloną z życia. Audrey, która chyba zapomniała o tym, że jest nie tylko matką, ale i żoną. Zastanawiała się także, co planuje Louis, bo przecież romans nie może ciągnąć się w nieskończoność. Może teraz, po powrocie bliźniaczek, Audrey odzyska rozsądek i zakończy ten związek. Jest przecież mądrą, zrównoważoną kobietą, która zawsze wie, jak należy postąpić...

Alicja pobiegła do kuchni za Mercedes, a Leonora wyszła na taras z rodzicami, babką i ciotką Edną.

- Podoba ci się w Colehurst House? - zapytał Cecil. Audrey rozlała do szklanek mrożony sok z cytryny, którego pełen dzbanek zostawiła na stole kucharka. Podała jedną szklankę Leonorze, która chciwie wypija napój do dna.

- Podoba mi się - odparła.

- To dobrze - pokiwał głową Cecil. - A ciocia Cicely?

- Bardzo ją lubię.

- Cieszę się... - rzekł Cecil.

- Ciocia Cicely pozwoliła rodzinie Cyganów rozbić obóz na polu za domem. Pomagają jej w ogrodzie, a w czasie zbiorów ja także pomagałam...

- Doskonale...

- Mają bardzo dziwne imiona - ciągnęła pogodnie dziewczynka. - Panazel, Masha, Florian i Ravena...

Zaczęła opowiadać o swoich nowych przyjaciółach i o tym, że sama także chciałaby być Cyganką. Cecil słuchał jednym uchem, ponieważ jego uwaga skoncentrowana była na żonie. Audrey wyglądała przepięknie, promieniała szczęściem. Cecil już od pewnego czasu żałował swojej decyzji o wysłaniu dziewczynek do Anglii. Miał dobre intencje i niewątpliwie zapewnił córkom najlepszą edukację, ale wszystko to razem nie było warte łez Audrey. Odkąd poznała jego zamiary, ich wzajemne stosunki bardzo się pogorszyły, szczerze mówiąc teraz w ogóle trudno było mówić o jakichkolwiek łączących ich stosunkach... Cecil nie miał cienia wątpliwości, że Audrey lepiej czuje się w towarzystwie jego brata. Mógł tylko zgadywać, jak daleko zaszły sprawy między nimi. Nie był głupcem, lecz realistą. Miał nadzieję, że z czasem Audrey jednak do niego wróci. Był gotów dać jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała... Na razie sam czuł się lepiej, gdy miał pod ręką butelkę z alkoholem, który stępiał ból i pozwalał widzieć przyszłość w weselszych barwach. Zawsze był gotów stawić czoło wrogowi na polu bitwy, lecz sytuacja, z jaką przyszło mu się teraz zmierzyć, była zupełnie inna. Ten wróg miał w ręku jedyną rzecz, której straty Cecil nie mógł zaryzykować - serce Audrey. Właśnie dlatego z uporem chował głowę w piasek i żył nadzieją, że wkrótce wszystko się zmieni.

Louis pojechał na cały dzień do Gaitana, żeby pozwolić Audrey nacieszyć się dziećmi i wrócił dopiero na kolację. Bliźniaczki zauważyły jego obecność dopiero, kiedy usiadł przy fortepianie.

- Naucz mnie, naucz mnie! - zażądała Alicia, gdy matka powiedziała jej, że Louis uczył muzyki w Meksyku.

Leonora, która zaczęła brać lekcje gry w szkole, po długim wahaniu zademonstrowała stryjowi swoje umiejętności. Jej drżące ze zdenerwowania małe palce dosłownie potykały się o klawisze, lecz Louis nie szczędził jej wyrazów zachwytu.

- Będziesz doskonałą pianistką - powiedział, siadając obok dziewczynki i uderzając w klawisz. - Spróbuj zagrać ten akord... A teraz ten...

Po chwili uśmiechnięta i znacznie pewniejsza siebie, grała z nim na cztery ręce.

- Teraz ja, ja! - wołała Alicia, niecierpliwie podskakując raz na jednej, raz na drugiej nodze. - Chcę się nauczyć grać na fortepianie! Dlaczego nie biorę lekcji w szkole tak jak Leo?

- Bo nie chciałaś - odparła Audrey.

- Ale teraz chcę. Czy Louis będzie tutaj przez całe wakacje? - zapytała z nadzieją.

- Nie wiem, najlepiej sama go o to zapytaj.

- Zostaniesz do naszego wyjazdu?

- Jeżeli chcesz... - Louis zaśmiał się cicho,

- Chcę, pod warunkiem że nauczysz mnie grać - powiedziała poważnie Alicia.

- Umowa stoi, oczywiście, jeżeli twoi rodzice nie mają nic przeciwko temu, abym zjadł ogromną porcję gwiazdkowego puddingu...

Audrey parsknęła śmiechem, Cecil zeszywniał, lecz Leonora i Alicia były zachwycone.

- Ciocia Cicely zrobiła dla nas pudding i paszteciki z mięsem - oznajmiła Leonora z radością. - Będziemy mieli prawdziwe angielskie Boże Narodzenie! Święty Mikołaj na pewno przyniesie nam mnóstwo prezentów! Myślę, że trafi tu bez trudu...

- Mam nadzieję - rzekł Louis. - Wysłałyście do niego listy?

- Listy? - powtórzyły chórem bliźniaczki.

- Nie wiecie, jak to się robi? Trzeba napisać, co chciałbyście dostać i spalić kartkę w kominku. W ten sposób mali pomocnicy świętego Mikołaja dowiadują się, czego pragniecie i wybierają odpowiednie prezenty, naturalnie jeśli przez cały rok byliście grzeczne... A byliście grzeczne?

- Och, tak! - wykrzyknęły.

Alicia wiedziała, że nie zawsze zachowywała się jak należy, ale jeżeli święty Mikołaj jest taki jak wszyscy jej bliscy, na pewno i tak przyniesie jej prezenty.

- Wobec tego bierzcie się do roboty! Przynieście ołówki i kartki i załatwmy sprawę od razu, nie ma czasu do stracenia - ponaglił dziewczynki Louis.

Alicia i Leonora pobiegły na górę. Louis kątem oka złowił ukradkowe spojrzenie Audrey. Patrzyła na ukochanego z czułością, tak jak powinna patrzeć na Cecila i jak od dawna na niego nie patrzyła.

Mercedes podejrzliwie przyglądała się czarnej kuli, którą jej państwo nazywali „gwiazdkowym puddingiem”. Z namysłem zmarszczyła gęste brwi. Kula nie przypominała żadnej znanej jej potrawy i w dodatku była potwornie ciężka, zupełnie jak pocisk armatni. I na pewno wyrządzi tyle samo szkody, pomyślała Mercedes, przekładając pudding na blat. Kula opadła na deskę z głuchym tąpnięciem.

- Te quiero, te adoro, te amo! - wydierał się siedzący w klatce Loro.

Kiedy po chwili zaczął naśladować ciężki oddech, Mercedes straciła cierpliwość. Przyjmowała miłosne deklaracje Oscara, ponieważ trochę ją wzruszały. Przypominały jej lata młodości, kiedy to leżała pod ciężkim ciałem przystojnego marynarza lub chudego listonosza, słuchając ich nic niewartych obietnic, wypowiedzianych z przymkniętymi oczami, między jednym płytkim oddechem a drugim. Wtedy wierzyła w te słowa, teraz słuchała ich, lecz nie wierzyła. Była już za stara i zbyt

cyniczna, aby wierzyć w miłość. Tak czy inaczej, w dyszeniu Loro nie było nic romantycznego, wręcz odwrotnie. Tym razem ptak posunął się za daleko.

Zdecydowanym krokiem podeszła do klatki, w której Loro właśnie odgrywał scenę zmysłowego uniesienia.

- Ahhhhh... - gulgotał z przejęciem.

- Mam cię dosyć, wstrętne ptaszysko! - krzyknęła, otwierając drzwiczki. - Oskubię cię i ugotuję, zobaczysz! Prerażony Loro rzucił się do tyłu, lecz brązowa dłoń Mercedes zacisnęła się na jego chudej szyi i wywlokła go na zewnątrz. Pomysł umieszczenia lusterka w klatce Loro, który podsunęła jej Alicia, okazał się zdumiewająco skuteczny i teraz upierzenie papugi znowu było błyszczące i obfite, ale jej to nie wzruszyło. Za mierzła pozbyć się Loro raz na zawsze.

Na kuchni w wielkim rondlu wrzała woda i kucharka na moment przytrzymała Loro w kłębie pary. Z dzioba ptaka wyrwał się zdławiony wrzask, w jego zmartwiałych ze strachu oczach odbiła się rozwścieczona twarz Meksykanki. Loro czekał na śmierć, na szczęście Mercedes była, mimo wszystko, osobą o miękkim sercu, niezdolną do zadania bólu innemu żywemu stworzeniu. Z rezygnacją wzruszyła ramionami i podniosła ptaka wyżej.

- Jesteś tylko durną papugą i nie powinnam karać cię za twoją przyrodzoną głupotę - westchnęła.
- Bóg takim cię stworzył;

i tyle, chociaż naprawdę nie mam pojęcia, co miał na myśli, po wołując do życia coś tak głupiego... Tak czy inaczej, wszystkie dzieła Stworzyciela są święte, nawet ty...

Wsadziła ptaka z powrotem do klatki, gdzie Loro kilka razy strząsnął piórka i schronił się w kącie, drżąc na całym ciele.

Mercedes wróciła do czarnej kuli armatniej i przypomniała sobie polecenie pani Forrester. Następnego dnia przypadało Boże Narodzenie i właśnie ta dziwaczna potrawa miała stanowić główną atrakcję i ozdobę stołu.

Alicia i Leonora obudziły się o świcie i natychmiast poszukały wzrokiem ciężkich, wypakowanych skarpet, leżących w nogach ich łóżek. Leonora usiadła, tuląc do piersi królika, i przysunęła wełnianą skarpetę, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Skarpetka była wypchana starannie zawiniętymi w kolorowy papier prezentami i Leonora westchnęła z zachwytem. Alicia natychmiast wysypała swoje paczuski na łóżko i przystąpiła do otwierania pierwszej z brzegu.

- Nie możesz ich teraz otwierać! - zawołała Leonora z przerażeniem. - Rozpakujemy prezenty dopiero później, na łóżku mamy i taty! - Otwieram tylko jeden - odparła Alicia, rzucając rozdarty papier na podłogę. - Opaska na włosy... - skrzywiła się lekko. - Chyba bardziej przydałaby się tobie...

- Nie podoba ci się?

- Mama mogła trochę bardziej się postarać.

Leonora była rozczarowana, że Alicia nie chce razem z nią cieszyć się urokliwą atmosferą świąt. Doskonale wiedziała, że święty Mikołaj nie istnieje i że to ojciec układa skarpety z prezentami w nogach ich łóżek, zanim uda się na spoczynek, ale magia tradycji zawsze wprawiała ją w przyjemne

podniecenie i prowadziła prosto do świata marzeń. W ten szczególny dzień Leonora nieodmiennie wracała do dzieciństwa, natomiast Alicia uważała, że wszystkie te zachwyty nad świętami są mocno przesadzone.

- Nie wiem, dlaczego rodzice wciąż udają, że dostajemy prezenty od świętego Mikołaja - narzekała. - Ostatecznie nie jesteśmy już dziećmi.

- Sprawia im to przyjemność - wyjaśniła Leonora.

- Więc musimy udawać, że jesteśmy głupie i łatwowierne, żeby sprawić im przyjemność?

- Dobrze wiesz, że to nie tak...

- Moim zdaniem cała ta zabawa jest po prostu idiotyczna - prychnęła Alicia. - Jestem gotowa udawać, ale tylko z jednego powodu...

- Z jakiego?

- No bo jeśli damy im do zrozumienia, że wiemy, o co chodzi, jeszcze przestaną dawać nam gwiazdkowe prezenty, a ja je uwielbiam.

- Ale nie opaski do włosów, tak?

- Jeden nietrafiony, trudno. - Alicia wzruszyła ramionami. - Na szczęście została góra innych. Która to godzina? Może już do nich pójdziemy, co? Na dworze jest całkiem jasno...

Była szósta rano. Świt pomalował niebo w szerokie, nierówne pasy miodowego złota, a wśród gałęzi drzew szalały ptaki, korzystające ze świeżego, chłodnego powietrza, które wkrótce miało stać się ciężkie od wilgoci i upału. Audrey nieruchomo leżała obok męża. Kilka dni przed świętami poprosiła Cecila, aby wrócił do wspólnej sypialni, ponieważ uważała, że dziewczynki nie powinny wiedzieć o ich problemach. Cecil był jej wdzięczny za to zaproszenie i miał nadzieję, że kiedy bliźniaczki wrócą do szkoły, żona pozwoli mu zostać. W głębi duszy Audrey czuła, że Alicia i Leonora wcale by się nie zdziwiły, gdyby odkryły, że ojciec śpi w swojej garderobie. Wcześniej też często tam sypiał, a ona zawsze mogła przecież powiedzieć, że jego chrapanie za kłóca jej sen. Nie, prawdziwym powodem jej decyzji było to, że musiała znaleźć jakiś sposób, aby uniemożliwić samej sobie wymykanie się z pokoju w środku nocy. Nie mogła ryzykować, że dziewczynki przytapią ją z Louistem, a nie była dość silna, aby oprzeć się pokusie. Kiedy Cecil spał w jej łóżku, nie mogła nawet myśleć o nocnych wędrówkach. Ubolewała nad swoim brakiem silnej woli, ale nie widziała innego rozwiązania. Tymczasem Cecilia znowu ogarnęły poważne wątpliwości. Czyżby i tym razem źle osądził żonę?

Louis wpadł we wściekłość, kiedy Audrey powiedziała mu, że na czas świątecznych wakacji Cecil przeniesie się do jej pokoju i wspólnego łóżka. Pojechał do Gaitana, spędził cały dzień w siodle i przynajmniej częściowo dał ujście złości. Do furii doprowadzała go nie myśl o nocach, które będzie musiał spędzić bez Audrey, ale lęk, że brat zajmie jego miejsce w ramionach ukochanej, a także poczucie, że został zdradzony. Może świeże powietrze, a może chwile spędzone przy fortepianie Gaitana ukoły jego gniew, bo wieczorem wrócił do domu z uśmiechem i oczyma błyszczącymi nadzieją. Audrey kochała go i tylko to miało znaczenie. Był pewny jej miłości, lecz mimo tego o świecie on także leżał z szeroko otwartymi oczami i zastanawiał się, kiedy wreszcie przestaną kryć się ze swoim uczuciem.

Audrey błądziła myślami gdzieś daleko, poza czasem i przestrzenią, gdy nagle ciche pukanie do drzwi kazało jej wrócić do rzeczywistości. Drzwi uchyliły się i na progu stanęły dwie dziewczynki o buziach rozpromienionych radosnym podnieceniem. Przygnębienie Audrey rozwiało się w jednej chwili. Usiadła na łóżku i gestem zachęciła bliźniaczki, aby weszły. Cecil jęknął cicho, kiedy Leonora i Alicia wdrapały się na łóżko i usadowiły między rodzicami, układając na kołdrze skarpety z prezentami. Wiedział, że ta chwila jednoczy jego i Audrey w rodzicielskich obowiązkach w jedyny w swoim rodzaju sposób. Leonora starannie położyła pluszowego królika na poduszce matki i dopiero wtedy wyciągnęła pierwszy prezent, natomiast Alicia wysypała zawartość skarpety na ojca i niecierpliwymi palcami rozdarła papier. Cecil zamknął oczy, usiłując dojść do siebie i zwalczyć kaca. Audrey uważnie oglądała wszystkie prezenty i cieszyła się tymi chwilami, świadoma, że niedługo wakacje dobiegną końca i dziewczynki znowu wyjadą do Anglii.

Na świąteczny lunch Audrey i Cecil zaprosili całą rodzinę. Henry i Rose przybyli z torbami pełnymi prezentów, które umieścili pod choinką, udekorowaną przez dziewczynki namalowanymi jeszcze w szkole gwiazdkami. Ciotka Edna przyjechała razem z nimi. Jej podwójny podbródek trząsał się, kiedy wybuchała śmiechem, chociaż lęk ścisnął jej serce za każdym razem, gdy widziała, jak Audrey i Louis wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Ciotka Hilda w sobie tylko znany sposób zmusiła Nelly do przyjęcia zaproszenia, lecz twarz dziewczyny była bledsza niż zwykle, a jej powieki zaczerwienione od płaczu. Nelly milczała jak zaklęta i tży stawały jej w oczach, ilekroć spojrzała na Louisa. Albert stał przy fortepianie i palił papierosa, a Louis siedział między bliźniaczkami i grał z nimi kolędy na sześć rąk. Młodszy bracia Audrey, George i Edward, leżeli na trawie w ogrodzie i rozmawiali o dziewczynach i piłce nożnej, ponieważ tematy poruszane przez rodziców i ciotki bardzo ich nudziły.

- Nie mogę się już doczekać gwiazdkowego puddingu twojej siostry - powiedziała ciotka Edna do Cecila, łakomie oblizując wydatne wargi.

- Ja także - odparł. - Ten pudding na pewno sprawi, że zatęsknię za Anglią...

- Szkoda, że nie widzieliście wyrazu twarzy Mercedes, kiedy informowałam ją, jak należy podać pudding. - Audrey się roześmiała. - Patrzyła na mnie tak, jakby nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego!

- Dobrze chociaż, że nie musiała go przyrządzać od początku. - Edna się uśmiechnęła, czując, jak ślina gromadzi się w jej ustach na myśl o jedzeniu.

- Nie wątpię, że nie poradziłaby sobie ze świątecznym puddingiem - oświadczyła kwaśno ciotka Hilda.

- Pudding będzie wspaniały - zapewniła wszystkich Audrey. - Leonora przywiozła go z Anglii w podręcznym bagażu, biedactwo. To najcięższy pudding, jaki widziałam.

- W takim razie siadajmy już do stołu - zaproponował Cecil, Audrey skinęła głową.

- Chodźcie, chłopcy, czas na lunch! - zawołała do braci i zajrzała do salonu, aby zaprosić pianistów do jedzenia.

Louis podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej z czułością. Dałbym wszystko, byśmy mogli być teraz na pampie, tylko we dwoje, mówiły jego oczy. Audrey lekko przekrzywiła głowę i od powiedziała mu uśmiechem, chociaż jej serce już teraz było rozdarte na dwoje.

Wszyscy usiedli przy długim stole, który Mercedes nakryła pod drzewami w odległym zakątku ogrodu. Upał był równie nie znośny jak zły humor ciotki Hildy i nieodwzajemniona miłość Nelly, lecz goście z entuzjazmem zabrali się do jedzenia, zaczynając lunch od pieczonego indyka. Audrey raz po raz zerknęła na córki. Leonora siedziała między ciotką Edną i dziadkiem, uważnie obserwowana przez ukochanego pluszowego królika, który wychylał głowę zza dzbanka z wodą. Alicia starała się odgrywać rolę duszy towarzystwa i zabawiała Alberta zupełnie nieprawdopodobnymi opowieściami. Audrey poczuła, jak w jej sercu wzbiera wielka fala czułości, a kiedy Leonora spojrzała na nią z szerokim uśmiechem, uśmiechem dziecka, które nie ma cienia wątpliwości, że matka darzy je bezwarunkową miłością, zrozumiała, że kocha swoje córki ponad wszystko.

Cecil nie spuszczał wzroku z twarzy żony. Zawsze lubił na nią patrzeć, ponieważ była jedyną i podstawową przyczyną jego istnienia. W tej chwili przypominała mu doskonałe, wiszące na najwyższej gałęzi drzewa jabłko, nieosiągalne i nietykalne. Na leżała do niego tylko formalnie. Wrócił myślami do tamtego wieczoru na plaży w Urugwaju, gdy zgodziła się zostać jego żoną, i po raz tysięczny zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek go kochała. Szybko opróżnił kieliszek i sięgnął po butelkę z winem.

Na tarasie pojawiła się Mercedes z dużym srebrnym półmiskiem w rękach.

- Ach, świąteczny pudding! - zawołała ciotka Edna, zacierając pulchne dłonie w oczekiwaniu na słynny deser autorstwa Cicely, nasączony kremem z koniakiem i śmietanką.

- Na pewno okaże się znakomity. - Henry pokiwał głową. - Kto by pomyślał, że przy dźwigałaś go aż z Anglii, kochanie... - zwrócił się do Leonory.

- Pomagałam jej nieść - wtrąciła Alicia, jak zwykle spragniona pochwał.

- Więc to także i twoja zasługa - powiedziała Rose, patrząc, jak Mercedes powoli zmierza ku nim po trawie.

Kiedy kucharka stanęła przy stole, wszyscy zamilkli i utkwili przerażone spojrzenia w srebrnej tacy. Spoczywał na niej świąteczny pudding - nie gładka, wspaniała kula, jaką spodziewali się ujrzyć, ale góra okruchów.

- Dobry Boże, co ty z nim zrobiłaś?! - wykrzyknęła ciotka Hilda, ponieważ Audrey odebrało głos ze zdumienia.

Mercedes, która rzadko się czerwieniła, teraz oblała się krwistym rumieńcem. Ściągnęła brwi i potrząsnęła głową.

- Senora, zrobiłam wszystko dokładnie tak, jak pani kazała - odezwała się, patrząc na Audrey. - Potem, kiedy już wykładałam pudding na tacę, dostrzegłam błysk metalu... Nie mogłam przecież ryzykować, że któraś dziewczynka zadławi się na śmierć, więc ostrożnie wydobyłam nożem to coś. Okazało się, że była to moneta. Moneta w puddingu! Po chwili zauważyłam jeszcze jedną i kolejną...

W końcu musiały pokroić cały pudding. Znalazły w nim dwadzieścia monet. Dwadzieścia, imagine! Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły!

Po tym wyjaśnieniu Louis wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się tak głośno i długo, że musiał zgiąć się w pół, aby nie dostać kolki. Alicia i Leonora śmiały się także, a zaraz potem wszyscy, z wyjątkiem ciotki Hildy i Nelly, także dali upust wesołości. Mercedes przyglądała się im z takim wyrazem twarzy, jakby byli istotami z innej planety.

- Nic nie szkodzi. Mercedes - wykrztusiła Audrey, przygryzając dolną wargę, żeby się opanować. Mercedes potrafiła dąsać się całymi dniami. - Będzie smakował tak samo jak przed pokrojeniem... Ciciu Edno, nałóż sobie porcję, bardzo proszę...

Rozdział dwudziesty piąty

Świąteczne wakacje mijały szybko. Z tygodni zostały wreszcie tylko dni i powrót bliźniaczek do Anglii przestał być odległą datą na horyzoncie. Rano dziewczynki odbywały długie konne przejażdżki, a kiedy upał się nasilał, szukały ochłody w zimnej, błękitnej wodzie w basenie. Wiezorami grywały w tenisa z innymi dziećmi, które także odwiedzały klub razem z rodzicami. Leonora z zazdrością myślała o koleżankach i kolegach, którym nie grozi rozstanie z najbliższymi, gdy tymczasem ona i jej siostra są skazane na spędzenie przerwy wielkanocnej i letnich wakacji w Anglii, tylko z ciotką Cicely. Nie mogła rozmawiać o swoich obawach z Alicią, która już nie mogła się doczekać powrotu do szkoły i chyba w ogóle nie znała takiego uczucia jak tęsknota za rodzicami. Czasami Leonora miała wrażenie, że Alicia ma serce z kamienia.

W czasie, kiedy bliźniaczki brały udział w konkursach lekkoatletycznych, klubowych turniejach i zabawach, Audrey starała się spędzić przynajmniej parę kradzionych chwil z Lousem. Serca ich obojga wciąż kipiły nadzieją i coraz trudniej było im godzić się z obecną sytuacją.

Pewnego dnia Louis zdecydowanym krokiem wszedł do sypialni Audrey. Cecil był w pracy, a Mercedes, jak codziennie po

południu, drzemała w swoim pokoju, z którego wyłaniała się do piero przed podwieczorkiem. Audrey układała w szafie uprane przez służącą ubrania, pogrążona w marzeniach o cudownej przyszłości. Wydawało jej się, że Louis wyszedł zaraz po lunchu;

więc nie kryła zdziwienia, kiedy zobaczyła go na progu pokoju.

- Myślałam, że pojechałeś do Gaitana - szepnęła, gdy wziął ją w ramiona.

- Wróciłem wcześniej. Musimy porozmawiać, a ostatnio nigdy nie mamy na to czasu... - Głos załamał mu się nagle, twarz poszarzała. - Nie zniosę tego dłużej, kochanie...

Audrey uśmiechnęła się smutno i delikatnie roztarła bruzdę, przecinającą jego czoło.

- Wiem, najdroższy. Co zrobimy?

- Ucieknijmy razem, zaraz po wyjeździe dziewczynek. Mogli byśmy także pojechać do Anglii i zacząć tam nowe życie - ty; ja i twoje córki. Wtedy nie tęskniłabyś ani za nimi, ani za mną.

Audrey się zawahała.

- Chyba nie zdobędę się, by powiedzieć o tym Cecilowi... Napiszę do niego, wyjaśnię wszystko w liście. Nigdy nie umiałam się z nim porozumieć. Nie zniosę widoku rozpaczony w jego oczach... Mimo wszystkich nieporozumień nadal jest mi bliski, bardzo go lubię. Sęk w tym, że nie kocham go tak jak ciebie...

- Wsiądziemy do samolotu i ułożymy wszystko od nowa, kiedy wylądujemy w Anglii - zaczął Louis i na widok powątpiewania, które odmalowało się na twarzy Audrey, szybko pokręcił głową. - Nie możesz żyć wyłącznie dla innych, kochanie! Za jakiś czas twoi rodzice odejdą, a ty zostaniesz sama z Cecilem i poczuciem obowiązku, które i tak nie będzie już miało żadnego sensu...

- Masz rację - westchnęła.

- Nie proszę cię, żebyś porzuciła dzieci, nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Alicia i Leonora są w twoim życiu najważniejsze, i ja to rozumiem. Wysłanie ich do szkoły zagranicą było błędem, ale nie mówmy już o tym...

Audrey pomyślała o opuszczeniu kraju, w którym przyszła na świat i się wychowała, i który uważała za swoją prawdziwą ojczyznę, zaraz jednak przypomniała sobie poczucie wolności, jakiego doświadczyła na pokładzie „Alcantary”, kiedy wpatrywała się w horyzont nieograniczonych możliwości.

- Boję się - wyznała, opierając głowę na jego piersi. - Kocham cię i jestem gotowa poświęcić dla ciebie absolutnie wszystko, ale jednak trochę się boję...

- Wiem - szepnął, gładząc jej włosy i całując czoło. - Ja też się boję.

- Naprawdę?

- Tak. Boję się, że mógłbym cię znowu stracić.

- Och, najdroższy... Nigdy mnie nie stracisz, obiecuję ci... Szczegółowo zaplanowali podróż i zaczęli snuć marzenia o wspólnym życiu w Anglii, nie śmieli jednak myśleć o tym, co musi wydarzyć się wcześniej, ponieważ nie mogli oprzeć się wrażeniu, że rozstanie z Argentyną spowija mgłą niepewności.

Ciotka Edna umówiła się z siostrzenicą na podwieczorek w klubie, zupełnie jakby wyczuła, co się dzieje. Bliźniaczki pojechały na długą wycieczkę konną po równinach razem z wujem Albertem i jego dziewczyną, Susan. Audrey nie miała najmniejszych podejrzeń co do intencji ciotki i przywitała ją bardzo serdecznie, lecz Edna dostrzegła napiętą twarz siostrzenicy i postanowiła wreszcie dotrzeć do sedna dręczącego ją problemu.

- Więc dziewczynki już za kilka dni wylatują do Anglii... - zaczęła, nalewając herbatę. - Będzie mi bardzo brakowało ich towarzystwa.

- Nie mogę o tym spokojnie myśleć - wyznała Audrey ze smutkiem. - Przyjadą do domu dopiero za rok... Rok to bardzo długie rozstanie...

- I wszystko to dla dobrego wykształcenia! - Edna prychnęła pogardliwie.

- Nie wierzę, żeby jakiegokolwiek wykształcenie było tego warte. Tak czy inaczej, postaram się spędzić kilka miesięcy w Anglii, z Cicely. Kto wie, może nawet kupię tam sobie dom... - Audrey zawahała się, starannie dobierając słowa. - Nie chcę być dla niej ciężarem...

- Jestem pewna, że dla nikogo nie byłabyś ciężarem, kochanie. Hmm... Twój dom jest tutaj, nie w Anglii...

- Tak, ale moje dzieci spędzą najbliższe lata właśnie tam, nie tutaj. Chcę stworzyć im nowy dom, bo jestem pewna, że z czasem przywykną do myśli o życiu w Anglii.

- Leonora to urocza dziewczynka, prawdziwy skarb - powiedziała Edna. - Bardzo ją lubię...

- Dobrze z niej dziecko - przytaknęła Audrey z dumą. - Nie ma urody siostry...

- Ani jej charakteru. Bogu niech będą dzięki! - wtrąciła Edna. - Jedna Alicia w rodzinie to aż nadto. Swoją drogą szkoda, że Alicia nie jest trochę brzydsza, wyszłoby jej to tylko na dobre...

- Jest bardzo piękna, prawda?

- Lecz Leonora ma lepszy charakter!

Przez chwilę Audrey sprawiała wrażenie głęboko urażonej i Edna uświadomiła sobie, że matczyna miłość bywa ślepa. Audrey nie zdawała sobie sprawy z narcyzmu Alicii, a przynajmniej nie chciała go dostrzec.

- Oczywiście, Alicia jest cudowna - dodała dyplomatycznie. - Zauważyłam, że doskonale rozumieją się z Louisem...

Na dźwięk imienia ukochanego policzki Audrey powlokły się szkarłatnym rumieńcem. Spuściła oczy i zaczęła bawić się herbatnikiem.

- Louis uczy dziewczynki gry na fortepianie - powiedziała. - Obie go uwielbiają...

- Louis świetnie radzi sobie z dziećmi.

- Ponieważ sam jest jak duże dziecko...

- W przeciwieństwie do swojego brata - zauważyła Edna ostrożnie.

Audrey powoli skinęła głową.

Rozmowa toczyła się coraz trudniej. Takt nie należał do najmocniejszych stron ciotki Edny, która wolała mówić o wszystkim wprost, ponieważ powolne zmierzanie do najważniejszej kwestii wprawiało ją w irytację. Teraz wzięła głęboki oddech i odsunęła filiżankę.

- Co zamierzasz zrobić, moja droga? - zapytała. - Nie możesz przecież ciągnąć tego w nieskończoność, prawda? - Nie wiem - odparła Audrey.

Doskonale pamiętała, co powiedziała jej Edna tamtego dnia, kiedy wróciła z Anglii. Nie mogła udawać, że nie rozumie, o czym mówi.

- Czy Louis chce tu zostać?

- Raczej nie. Myśli o powrocie do Anglii.

- Ach, tak... - Edna westchnęła ciężko i utkwiała w twarzy siostrzenicy pełne współczucia spojrzenie. - To dlatego chciałabyś mieć własny dom w Anglii...

Audrey otworzyła usta, ale ciotka uciszyła ją krótkim gestem.

- Nie możesz prowadzić podwójnego życia, kochanie - ciągnęła. - Co pomyślą dziewczynki, kiedy dowiedzą się, że mieszkasz z Louistem w Anglii? Nie sądzisz, że wyda im się to co najmniej dziwne? Powiesz o wszystkim Cecilowi, czy będziesz to przed nim ukrywać?

- To wszystko nie tak, ciotciu! - zaprotestowała gwałtownie Audrey, lecz Edna tylko przekrzywiła głowę na bok i zmrużyła

oczy.

- Nie urodziłam się wczoraj. Nie zapominaj, że ja także żyłam i kochałam. Wiem, jak to jest, kiedy kochasz kogoś całym sercem i nagle go tracisz...

- Słoneczny Harry... - szepnęła Audrey, mieszając srebrną łyżeczką w filiżance.

- Tak, mój najdroższy Harry... Kochałam go nad życie, straciłam i już nie odzyskam, dlatego rozumiem twój smutek. - Położyła ciepłą dłoń na ręce Audrey. - Kochanie, próbuję ci tylko uświadomić, że po stracie i okresie wielkiej rozpaczki zwykle odzyskujemy równowagę i żyjemy dalej... Z początku wydaje się, że serce już na zawsze pozostanie pęknięte. Tkwimy w naszym własnym piekle, do którego nikt inny nie ma wstępu. I nikt nie jest w stanie pojąć, jak bardzo cierpimy... Tak czy inaczej, czas jest wspaniałym lekarzem. Kochasz Louisa całym sercem i straciłeś go, a teraz wrócił... Rozumiem, że nie chcesz, by zniknął po raz drugi, ale naprawdę masz dużo do stracenia. Musisz myśleć o Cecilu i o dzieciach. Rozwód to bardzo paskudne, brudne słowo, a brud trzyma się nas, dokądkolwiek pojedziemy...

Duża łza spłynęła po policzku Audrey i wpadła do filiżanki.

- Wysłałam za Cecila, bo wiedziałam, że rodzice oczekiwali tego ode mnie, zwłaszcza po śmierci Isli, a ja chciałam ich uszczęśliwić - odezwała się bardzo cicho. - Zrobiłam to, co wydawało mi się wtedy właściwe, wybrałam męża ze względu na nich, lecz nigdy nie przestałam kochać Louisa. Teraz kocham go jeszcze mocniej i widzę, że życie dało mi drugą szansę, rozumiesz?

Utkwiła w twarzy ciotki błagalne spojrzenie, ale Edna powoli pokręciła głową.

- To nieprawda. Louis jest pokusą, której za wszelką cenę musisz się oprzeć. Jeżeli z nim wyjedziesz, sprowadzisz rozpacz i cierpienie na wszystkich, którzy cię kochają. Czy byłabyś w stanie zbudować na tym swoje szczęście?

Audrey cofnęła rękę i z rezygnacją spuściła głowę.

- Nie mogę przeżyć całego życia tylko dla innych!

- Miłość zawsze wiąże się z poświęceniem, kochanie. Dokonałaś właściwego wyboru, wierz mi. Cecil cię kocha. To dobry, uczciwy człowiek i nie mów mi, że nie jest ci bliski. Możliwe, że nie darzysz go taką miłością jak Louisa, ale na pewno nie jest ci obojętny. Zbudowałaś z nim życie, macie dwie cudowne córki... Jesteś za nie odpowiedzialna, pamiętaj o tym. Cecil poświęcił swoje własne uczucia, aby zapewnić im jak najlepszą edukację, a teraz ty musisz poświęcić miłość do Louisa, aby zapewnić im spokój i normalne życie. Wyobraź sobie, jakie byłyby upokorzone, gdybyś uciekła z ich stryjem? Sądzisz, że potrafiłyby chodzić z podniesionymi głowami? Co powiedziałyby ich przyjaciółki? Nigdy nie wolno nam zakładać, że nasze czyny nie mają wpływu na życie innych. Jeżeli chcesz, możesz upokorzyć samą siebie, ale nie rań tych dwóch niewinnych istot. Twoim obowiązkiem jest zapewnienie im przyszłości nienaznaczonej hańbą.

Do filiżanki skapnęła następna ła. Audrey najchętniej zasłoniłaby sobie uszy. Sumienie próbowało powiedzieć jej to samo, co teraz usłyszała od ciotki Edny, ale ona zagłuszyła ten wewnętrzny głos. Pragnęła, aby ciotka odeszła i zostawiła ją samą z myślami i marzeniami, które przypominały kłębek splątanej włóczki - było to wszystko, co pozostało z pięknego, starannie utkanego gobelinu. Obie kobiety milczały. Po długiej chwili Edna przywołała kelnera i zamówiła drugi talerz ciasteczek. Audrey siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w herbaciane fusy na dnie filiżanki.

- Moje kochane dziecko... - przemówiła w końcu ciotka. Jej głos był tak łagodny i cichy, że Audrey znowu zachciało się płakać. Czuła, że bez trudu poradziłaby sobie z krytyką i złością, lecz współczucie ciotki zupełnie pozbawiło ją sił.

- Kiedy byłaś małą dziewczynką, wyobrażałam sobie, że czeka cię wspaniała, słoneczna przyszłość, bo urodziłaś się nie tylko piękna, ale też dobra i pogodna. Wydawało mi się, że Isli będzie znacznie trudniej, ponieważ otrzymała od Boga dużo bardziej skomplikowany charakter. Któż mógł przewidzieć, że wasze losy potoczą się tak, a nie inaczej... Dobrze cię znam, kochanie i bardzo cię kocham, dlatego jestem przekonana, że nie uciekniesz z Louisem. Masz zbyt silne poczucie obowiązku. Generalnie rzecz biorąc, ludzie raczej się nie zmieniają, ale twoja sytuacja jest teraz zupełnie inna niż kilkanaście lat temu. W głębi duszy doskonale wiesz, że taki krok byłby zbyt ryzykowny i pociągnąłby za sobą zbyt poważne konsekwencje. Zdaję sobie sprawę, że moja rada nie jest ci miła. Mówię głosem twojego sumienia... - Znowu położyła rękę na przedramieniu Audrey i spojrzała jej prosto w oczy. - Zapal świeczkę dla Louisa i podtrzymuj jej płomień, ale pozwól mu wyjechać i ratuj siebie i swoją rodzinę przed burzą, która może zniszczyć was wszystkich. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość, ale ty możesz nadać jej pewien kształt, ze względu na siebie i dzieci... Wybór należy do ciebie, moja droga. Wierzę, że postąpisz właściwie.

Audrey długo galopowała po równinie. Wiatr rozwiewał jej włosy i osuszał łzy, zanim zdążyły spłynąć na policzki. Była wściekła. Wściekła na ciotkę Ednę, która wypowiedziała na głos jej własne

skryte obawy i wściekła na siebie, że uległa lękowi. Myśli o Louisie, córkach i Cecilu zderzały się w jej umyśle z wielką siłą, w prawdziwej bitwie sumienia, siły woli i pragnień. Co zrobiłaby Isla, gdyby była na jej miejscu? Audrey nie miała cienia wątpliwości - Isla z dumnie podniesioną głową wyszłaby z domu i uciekła z Louistem wiele lat wcześniej. A przede wszystkim nigdy nie pozwoliłaby mu odejść, nawet gdyby musiała wyjechać z nim zaraz po pogrzebie siostry. I z pewnością nigdy nie wyszłaby za Cecila, a jeżeli nawet by to zrobiła, wywołałaby wielki skandal i uciekła z Louistem jako żona jego brata, zostawiając za sobą złamane serca najbliższych. Rodzina przeżyłaby tę katastrofę i po pewnym czasie otrząsnęłaby się z rozpaczy, bo tak to się zwykle działo. Ludzie wracali do równowagi po różnych tragediach. Dlaczego ona nie potrafiła być taka jak Isla?

Usłyszała echo słów ciotki i nagle odkryła, że nie umie go zagłuszyć. Wierzę, że postąpisz właściwie... A co będzie, jeżeli jednak nie postąpi właściwie? Co wtedy? Potoczyła wzrokiem po bezkresnym niebie i wielkiej równinie. Poczula, że jej smutek znika, ustępuje miejsca determinacji. Wybór nadal należy do niej... Kocha Louisa i ma przed sobą całe życie. Nie zamierza zmarnować się w nieszczęśliwym małżeństwie. Zaskoczy ich wszystkich, rodzinę i przyjaciół... Ludzie jednak się zmieniają, pomyślała. Mam dosyć roli rozsądnej siostry. Och, Isla, jeżeli mnie słyszysz, pomóż mi stać się choć trochę taka jak ty...

Wieczorem usiadła do stołu naprzeciwko Louisa. Bliźniaczki opowiadały, jak upłynął im dzień w klubie, jak Leonora wygrała wyścig z jajkiem na łyżce, a Alicia dosypała pieprzu do wody w wiadrach, w których dzieci miały chwytać ustami jabłka. Słuchając ich wesołego śmiechu i co jakiś czas spoglądając na Louisa, Audrey zrozumiała, że podjęła właściwą decyzję. Kochała Louisa tak mocno, że serce bolało ją od nadmiaru uczucia. Kochała w nim wszystko - zamyślane, smutne oczy, w których często malowało się zdziwienie, ponieważ Louis widział świat inaczej niż większość ludzi, jego dłonie, czasami drżące bez powodu, i palce, podświadomie szukające klawiszy niewidzialnego fortepianu, wargi, które niespodziewanie rozszerzały się w cudownym, zaraźliwym uśmiechu i równie niespodziewanie wykrzywiały w grymasie cierpienia. Kochała ukrytego w ciele Louisa mężczyznę, którego nikt poza nią nie znał i nie rozumiał, i wiedziała, że on odwzajemnia jej uczucie. Kiedy wróciła do rzeczywistości, zobaczyła, że Louis patrzy na nią z czułością i wdzięcznością, ponieważ obiecała mu, że nigdy więcej nie pozwoli mu odejść.

Nadszedł dzień wyjazdu bliźniaczek. Alicia zerwała się z łóżka podekscytowana i radosna, natomiast Leonora ukryła głowę pod poduszką matki i rozplakała się. Była niepokojona, nawet kiedy ciotka Edna i babcia Rose przyszły na wspólne śniadanie, przynosząc mnóstwo prezentów dla obu dziewczynek.

Cecil pożegnał się z córkami przed wyjściem do pracy, Audrey zaś nie mogła opanować oburzenia, które ogarniało ją na myśl, że mąż może myśleć o czymkolwiek poza rozstaniem z dziećmi. Nie narzekała jednak, ponieważ w domu był Louis, który chwycił Leonorę w ramiona i tańczył z nią po salonie tak długo, aż w końcu na twarzy dziewczynki pojawił się lekki uśmiech. Było to jeszcze przed rozpoczęciem poszukiwania pluszowego królika.

Królik od ciotki Edny zniknął i Leonora oznajmiła, że nigdzie się nie ruszy, dopóki go nie znajdzie. Przeszukano cały dom, lecz ukochana zabawka Leonory zapadła się pod ziemię.

- Nie pojedę bez niego! - szlochała dziewczynka. Kochała królika całym sercem i tylko dzięki niemu poradziła sobie z długim rozstaniem z rodziną.

- Musi gdzieś być! - wykrzyknęła Audrey z rozpaczą. Żyła ostatnio w wielkim napięciu, świadoma, że następnego dnia po pożegnaniu dzieci ma na zawsze opuścić dom i wyjechać

z Louisem.

- Nie możesz jej kupić nowego? - Alicia zwróciła się do ciotki Edny.

- Oczywiście, że mogę - skłamała starsza pani. - W każdej

chwili, więc może...

- Nie chcę innego! - przerwała jej Leonora. - Chcę mojego króliczka! Beze mnie umrze z rozpaczu! Alicia wymownie przewróciła oczami.

- Przecież to tylko zabawka - mruknęła niechętnie.

- Nieprawda! To mój przyjaciel! - krzyknęła Leonora tak gwałtownie, że jej siostra cofnęła się, wyraźnie zaskoczona.

- Dwa razy przeszukałam jej sypialnię. - Rose bezradnie potrząsnęła głową. - Nie mam pojęcia, co mogło się z nim stać. Może zabierałaś go ze sobą do klubu, kochanie?

- Nie. Wczoraj wieczorem leżał obok mojej poduszki. Zawsze z nim śpiam.

- W moim łóżku także go nie ma - westchnęła Audrey. - Co mamy zrobić, na miłość boską?

- Założę się, że królik znajdzie się po waszym wyjeździe - odezwał się spokojnie Louis. - Zaopiekujemy się nim, a ja przywiozę ci go, kiedy wrócę do Anglii, Leonoro.

- Obiecujesz? - Dziewczynka żałośnie pociągnęła nosem. Louis uklęknął i przytulił do siebie drżącą Leonorę.

- Obiecuję - powiedział, całując jej mokrą buzię. - Przy mnie twój królik będzie bezpieczny, możesz mi wierzyć.

Tak więc Leonora odleciała do Anglii bez pluszowego królika. Audrey, Edna, Rose i Louis stali na tarasie lotniska i machali do dziewczynek, świadomi, że Alicia i Leonora do domu wrócą dopiero za rok. Edna i Rose płakały, a blada Audrey z napięciem patrzyła, jak jej córki idą po płycie lotniska w kierunku potężnej maszyny. Alicia obejmowała Leonorę i chyba ją pocieszała. Potem buzie bliźniaczek pojawiły się w małym okrągłym okienku samolotu. Audrey nie mogła dostrzec, czy Leonora płacze, lecz gardło ścisnęło jej się boleśnie. Louis położył rękę na jej plecach - był to najczulszy gest, na jaki mógł sobie pozwolić bez ryzyka obudzenia podejrzeń obu starszych kobiet.

- Niedługo je zobaczysz - szepnął.

Ryk silników prawie zagłuszył jego słowa, lecz Audrey usłyszała je i lekko skinęła głową. Jeżeli wszystko ułoży się zgodnie z ich planem, za parę dni naprawdę zobaczy swoje córeczki... Tylko dlaczego czuła się taka nieszczęśliwa?

Tej nocy bezsennie leżała w ciemności u boku męża. Wsłuchana w rytm jego oddechu, starała się nie myśleć o cierpieniu, ja kie zamierzała mu zadać. Przy kolacji Cecil wypił tyle alkoholu, że jego

ciężki oddech co parę chwil przerywało głośne pochrapywanie. Audrey zdawała sobie sprawę, że jej mąż wpadł w nałóg, nad którym nie miał już władzy. Cecil nie dostrzegał, że jego charakter powoli się zmienia pod wpływem gromadzącej się w wątrobie trucizny. Szybko i często ulegał zniecierpliwieniu, jego nastroje falowały. Audrey zauważyła te zmiany, lecz była zbyt pochłonięta dziećmi i Louisem, aby się nad nimi zastanawiać. Zresztą w końcu dlaczego miałoby ją to obchodzić?

Zdecydowała się porzucić Cecila i była gotowa wytrwać w tym postanowieniu.

Wychodząc do pracy następnego dnia rano, Cecil pocałował żonę w napięty policzek i z rozdrażnieniem wymamrotał parę słów do brata, potem cicho zamknął za sobą drzwi. Louis i Audrey zostali sami. Popatrzyli na siebie nerwowo, zbyt niespokojni, aby pozwolić sobie na uśmiech.

- Pójdę się spakować - odezwała się Audrey, przygryzając wargi.

Louis nagle chwycił ją w ramiona, pociągnął w kąt za drzwiami i pocałował.

- Zobaczymy się w południe na lotnisku - wyszeptał. - Jak zawiadomisz Cecila?

- Napiszę do niego list i zostawię w holu.

- Dobrze...

- Boję się... - powiedziała drżącym głosem.

- Ja też. Kiedy wsiądziemy do samolotu, poczujesz się dużo lepiej.

- Mam nadzieję.

- To się musiało stać! Jesteśmy sobie przeznaczeni, najdroższa. Miłość jest silniejsza od nas obojga.

- Wiem, ale mimo wszystko bardzo się boję...

- Czego?

- Tego, że boleśnie zranię tyle osób...

- Przeżyją to, kochanie. Robisz to dla siebie i dobrze wiesz, że zasłużyłaś na to. Jesteś tego warta... - Przycisnął wargi do jej czoła. - Pamiętaj o swoich marzeniach, najmilsza. Pamiętaj, że wszystkie moje plany wiążą się z tobą...

W tej chwili usłyszeli ciężkie kroki Mercedes, która szła do jadalni, aby posprzątać po śniadaniu. Z trudem oderwali się od siebie. Louis usiadł przy fortepianie i zaczął grać melodię, którą przed wielu laty skomponował dla Audrey.

Zostawiła go w holu i pobiegła na górę, aby zapakować do małej walizki te fragmenty życia, które chciała ze sobą zabrać. Po paru minutach usłyszała odgłos zamykanych drzwi i zrozumiała, że Louis wyszedł. Następnym razem zobaczy go na lotnisku - tam mieli zrobić pierwszy krok w nowe, wspólne życie. Audrey postanowiła nie myśleć o tym na razie i zaczęła się pakować.

Jak można spakować się na resztę życia? Co zabrać? Nie wiedziała. Wrzuciła do walizki trochę ubrań, przybory kosmetyczne i kilka rzeczy, na których zależało jej wyłącznie ze względów sentymentalnych - zdjęcia Isli, zasuszone kwiaty z pogrzebu oraz mały modlitewnik, prezent od ojca. Potem usiadła na brzegu łóżka i spróbowała się zastanowić, co zrobić z dwiema godzinami, które pozostały jej do wyjazdu na lotnisko.

Nagle zauważyła dwoje brązowych uszu, wystających spod po duszki na parapecie okna. Serce забиło jej mocno, bo natychmiast rozpoznała ukochanego królika Leonory. Otarła krople potu, które nie wiadomo dlaczego zebrały się na jej czole, i podeszła do okna. Pluszowa zabawka wydawała się bardzo mała i samotna w jej dłoniach, które niespodziewanie zaczęły dygotać. Przycisnęła królika do twarzy i zamknęła oczy, usiłując po wstrzymać łzy, które przeciskały się między rzęsami i coraz szybciej płynęły po policzkach. Drżała tak mocno, że kolana ugięły się pod nią i osunęła się na dywan. Nie mogła dłużej udawać. Nie potrafi tego zrobić. Córki zawsze będą zajmować pierwsze miejsce w jej życiu. Musi pozwolić Louisowi odejść...

Serce pęka w całkowitej ciszy, nie wydając żadnego dźwięku, bez zewnętrznych symptomów, nie pozostawiając widocznej rany. Kiedy pęknie, gdy nie ma już łez, które można by wypłakać, gdy rezygnacja znieczula zmysły jak narkotyk, przychodzi dziwny spokój. Gdyby nie ten spokój, pęknięte serce nie mogłoby dalej bić, a przecież ludzie podnoszą się z kolan i żyją, nawet jeżeli robią to wbrew sobie...

Usiadła przy biurku i sięgnęła po kartkę papieru. Pisała list nie do Cecila, jak wcześniej planowała, lecz do Louisa. Sięgnęła po pióro i znieruchomiła, zastanawiając się, jak wyrazić to, co zamierzała mu przekazać, chociaż w głębi duszy doskonale wiedziała, że jej słowa i tak załamiają go i zniszczą, nawet jeżeli będą najłagodniejsze i najczulsze.

„Wybacz mi słabość ducha. Nigdy nie przestanę Cię kochać. Nigdy”. Włożyła do dużej koperty list i pluszowego królika, wilgotnego od jej łez, i zakleiła ją. Potem z poszarzałą twarzą wyszła z domu i pojechała na lotnisko.

Kiedy Louis wszedł do hali odlotów, szybko rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem Audrey. Zerknął na zegarek. Przyjechał piętnaście minut wcześniej. Nic dziwnego, był przecież bardzo zdenerwowany. Wsunął drżącą dłoń do kieszeni i wyjął chusteczkę, którą otarł spocone czoło. Po paru minutach postanowił odebrać bilety w kasie. Chciał zająć się czymkolwiek, byle tylko czas płynął szybciej. Zmierzając w kierunku kasy, wciąż rozglądał się po sali, przekonany, że lada chwila ujrzy znajomy uśmiech, jasny i promienny jak słoneczny blask.

- Ach, pan Forrester! - odezwała się mocno umalowana dama. w okienku, której szkarłatne wargi doskonale pasowały do jedwabnej apaszki na szyi. - Oto pańskie bilety, a tu mam paczkę dla pana...

Twarz Louisa gwałtownie pobladła, w jego oczach pojawił się strach. Kasjerka wręczyła mu brązową kopertę. Bez trudu rozpoznał charakter pisma Audrey. Z bijącym sercem rozdarł sztywny papier i wyjął królika oraz list. Nie musiał go czytać - wiedział, co Audrey miała mu do powiedzenia. Smutny wyraz pyszczka pluszowego królika był najlepszym świadectwem losu Louisa. Dopiero po chwili zmusił się do przeczytania kilku słów, które skreśliła na białej kartce: „Wybacz mi słabość ducha. Nigdy nie przestanę Cię kochać. Nigdy”. Gardło ścisnęło mu się pod naporem łez, nie był w stanie zapanować nad rozpaczą.

Starannie umalowana dama spojrzała na niego uważnie i za mrugała ze zdziwienia. Nigdy wcześniej nie widziała płaczącego dorosłego mężczyzny.

Rozdział dwudziesty szósty

Wieczorem Cecil wrócił do domu, sięgnął po butelkę whisky i pocałował żonę w zimny policzek. Nie wiedział, jak mało brakowało, aby ją stracił.

- Gdzie Louis? - zapytał.

Przywykł już do tego, że wchodził do domu, w którym rozbrzmiewała wyczarowywana przez Louisa muzyka, a policzki jego żony płonęły rumieńcem zachwyty. Audrey dopiero teraz usłyszała nutę goryczy w głosie męża.

- Nie ma go - odparła, biorąc ze stołu gazetę i idąc w stronę drzwi wychodzących na taras. Ruszył za nią.

- Jak to, nie ma? - powtórzył.

W głowie zaświtała mu myśl, że może Louis zdecydował się przeprowadzić do klubu.

- Wyjechał do Anglii. - Audrey z trudem przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

Przeplakała cały dzień, z krótkimi przerwami. Najpierw miała nadzieję, że Louis przyjedzie po nią, lecz potem zmieniła zdanie i zaczęła się modlić, aby wsiał do samolotu i odleciał. Późnym popołudniem wzięła długą kąpiel, dzięki której trochę się uspokoiła i mogła stawić czoło mężowi i reszcie życia. - Nawet się nie pożegnał... - wymamrotał niewyraźnie

Cecil.

Alkohol powoli pozbawiał go elokwencji, która kiedyś budziła podziw wielu jego przyjaciół i znajomych.

- Och, pożegnał się - powiedziała Audrey, starając się mówić spokojnym, pewnym głosem. - Dałam mu pluszowego królika Leonory, żeby zawiózł go do Anglii...

Wyszła na słońce i zajęła się ścinaniem główek uschniętych kwiatów, aby ukryć twarz przed wzrokiem Cecila.

- Znalazłaś go, tak? Bardzo się cieszę...

- Tak.

Leonora będzie uszczęśliwiona.

- Ciekawe, dlaczego tak nagle wyjechał - rzekł Cecil, siadając na tarasie.

- Znasz swojego brata lepiej niż ja. Ostatnim razem także wyjechał bez uprzedzenia.

Cecil zeszywniał i zmrzył oczy. Spod przymkniętych powiek obserwował żonę, która wolno przechadzała się wśród kwiatów, smutna i blada jak duch.

- Rozumiem - powiedział głosem podobnym do głuchego jęku i jednym haustem opróżnił szklaneczkę. - Na pewno i tym razem długo go nie zobaczymy...

Audrey przełknęła łzy. Nie była w stanie wydobyć głosu z gardła. Chcąc uniknąć konieczności rozmowy, poszła w odległy kąt ogrodu, gdzie długo stała, udając, że ścina martwe główki kwiatów, chociaż w tym miejscu rosły tylko mchy i iglaki. Cecil podniósł się i zniknął w drzwiach salonu. Audrey westchnęła z ulgą, zadowolona, że zostawił ją samą.

Nie był to zbieg okoliczności - mimo spowijających go oparów alkoholu Cecil zdawał sobie sprawę, że naprawdę ma za co dziękować Bogu i losowi.

Kiedy wieści o nagłym wyjeździe Louisa znowu obieły niewielką angielską społeczność, ciotka Edna pierwsza zjawiła się w domu Audrey i Cecila. Był późny wieczór i Audrey szykowała się już na spoczynek. Niespodziewana wizyta ciotki zaskoczyła nie tylko ją, ale i Cecila.

- Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? - zapytał z niepewnym uśmiechem na zaczerwienionej twarzy.

- Gdzie jest Audrey? - odezwała się Edna zachrypniętym głosem.

Na widok wyraźnie pijanego Cecila obudziło się w niej przekonanie, że Audrey jednak wyjechała z Louisem.

Dotknęła szyi gorącymi jak ogień palcami i usiadła.

- Na górze, przygotowuje się do snu - odparł spokojnie Cecil. - Jest zmęczona i tęskni za dziewczynkami.

- Ach... - Z piersi Edny wyrwało się głębokie westchnienie ulgi. - W takim razie pójdę do niej...

- Proszę bardzo, obawiam się jednak, że okaże się niezbyt chętna do rozmowy. Jest zupełnie wykończona.

Edna dosłyszała nutę gniewu w jego głosie i zaczęła się zastanawiać, jak dużo wiedział.

Znalazła Audrey w jej pokoju, siedzącą na parapecie okna i za patrzoną w mroczny ogród. Szybko podeszła i otoczyła drżącą siostrzenicę ramionami.

- Moje kochanie... - odezwała się cicho, tuląc Audrey do piersi. - Wiem, jak bardzo cię to boli, ale postąpiłaś właściwie... Jesteś bardzo, bardzo dzielna. Nikt poza mną nie ma pojęcia, jak wielką odwagę znalazłaś w sercu...

Audrey ukryła twarz na piersi ciotki i zaszlochała.

- Przez pewien czas będziesz cierpieła, ale potem ból ustąpi i pozostanie po nim tylko cień. Moje serce nadal boli, kiedy pomyślę o Harrym, lecz nie jest to już tamten ból...

- Po co żyć bez miłości? - wyszeptała Audrey. - Po co to wszystko?

- Kochasz swoje dzieci i masz ich miłość...

- Nie ma ich przy mnie. - Głos Audrey był ledwo dostyszalny.

- Pojedziesz do nich.

- Na kilka tygodni, prawda? Kilka tygodni w tym roku, kilka w następnym... Do kogo się zwrócą, kiedy będą nieszczęśliwe? Z kim porozmawiają o swoich lękach i zmartwieniach? Ktoś zajmie moje miejsce w ich życiu. Jaki jest sens rodzenia dzieci, skoro nie można ich wychować i dbać o nie? - Mówisz głupstwa, kochanie, musisz jak najszybciej wziąć się w garść! - Edna chwyciła Audrey za ramiona i potrząsnęła

nią lekko.

- Nie mogę. - Audrey spojrzała prosto w pełne współczucia oczy ciotki. - Nie umiem...

- Wiem, że Cecil nie jest ci obojętny; chociaż może teraz sama nie zdajesz sobie z tego sprawy. On tak bardzo cię kocha, tylko spójrz na niego... Popatrz, co mu zrobiłaś - za dużo pije, traci poczucie własnej wartości, a przecież kiedyś był takim czarującym młodym człowiekiem... Cecil cię potrzebuje, nie widzisz tego?

- Odgrodził się ode mnie.

- Musisz jakoś rozwiązać ten problem. Jesteście na siebie skazani na całe życie, nie zapominaj o tym! Audrey jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

- „Lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie poznać miłości”, pamiętasz to stare powiedzenie? - ciągnęła Edna. - Nigdy nie wymieniłabym moich ośmiu lat z Harrym na całe życie z kimś innym... Przeżyłaś coś wyjątkowego i kochałaś całym sercem, a to nie wszystkim się zdarza... Dziękuj Bogu za dzieci, pomyśl o kobietach, które nie mogą ich mieć i o tych, które tracą dzieci, tak jak twoja matka Isłę... Przestań rozpaczać nad swoją stratą, przypomnij sobie, co masz i trzymaj się tego... - Twarz starszej kobiety rozjaśnił łagodny uśmiech. - Możesz cierpieć jak potępiona albo cieszyć się tym, co zostało ci dane, taki masz wybór. Postąpiłaś dziś właściwie i z czasem docenisz swoją decyzję, ujrzysz ją w innym świetle. Jutro musisz zająć się naprawą swojego małżeństwa i przestać marzyć o Louisie...

Jednak uczucia Audrey były zbyt gwałtowne, aby mogła zacząć myśleć o swoim związku z Cecilem i przestać marzyć o Louisie. Było na to za wcześnie. Kiedy ciotka wyszła, Audrey wsunęła się do łóżka i zapadła w sen.

Było już ciemno, gdy Cecil stanął na progu swojej garderoby. Włączył światło i cicho zamknął za sobą drzwi, aby nie obudzić żony, śpiącej w sąsiednim pokoju. Podszedł do komody i kątem oka dostrzegł swoje odbicie w wiszącym na ścianie owalnym lustrze. Odwrócił się przodem i z niesmakiem potarł podbródek. Wyglądał staro i mizernie. Pod oczami miał obwisłe wory, białka oczu wydawały się matowe i pożółkłe, skóra mocno zaczerwieniona i spierzchnięta, wargi skrzywione we wciąż tym samym grymasie. Robił wrażenie chorego, nie miał co do tego wątpliwości. Z

westchnieniem wziął do ręki oprawioną w skórę Biblię, na której mądrości ostatnio w coraz większym stopniu polegał. Potem wysunął najwyższą szufladę komody i wyjął z niej mały klucz.

Zawsze metodycznie przestrzegał porządku i każda należąca do niego rzecz miała swoje miejsce. Teraz kluczykiem otworzył szkatułkę z orzechowego drewna, ukrytą na dnie szuflady, i ciężko usiadł w fotelu. W tej szkatułce przechowywał dokumenty i przedmioty, które miały dla niego wyjątkową wartość. Otworzył Biblię w miejscu zaznaczonym złotą wstążeczką i zaczął czytać. Czytał długo, do świtu, a każdy werset dodawał mu siły. Szczególnie jeden fragment, do którego wciąż wracał, pobudzał go do zastanowienia i kazał obiektywnie spojrzeć na ostatnią dekadę życia. Ten werset przemawiał do niego najmocniej i najwyraźniej - powtarzał go sobie jak mantrę. Kiedy świt rozjaśnił niebo i obudził ptaki, wyjął z drewnianej szkatułki złożoną kartkę. Szybko przebiegł wzrokiem zapisane na kartce słowa Louisa. Lata sprawiły, że atrament nieco wyblakł, lecz słowa nie straciły mocy. Sięgnął po ołówek i na dole strony zapisał treść biblijnego wersetu, który tak bardzo go poruszył. Długą chwilę przyglądał się kartce, potem zaś złożył ją i z powrotem umieścił w szkatułce. Przekręcił klucz w zamku i metodycznie umieścił pudełko na dawnym miejscu.

Następne dwa tygodnie mijaly powoli. Audrey szukała ukojenia w codziennych domowych zajęciach i wciąż wynajdowała sobie nowe, usiłując zapełnić puste godziny. Czas włókł się nieznośnie, jakby wskazówki zegara stały się ociężałe od smutku, a niebo pokryło się szarymi chmurami, z których spływały na równinę ulewne deszcze. Wilgotność powietrza wzrosła do tego stopnia, że prawie nie było czym oddychać. Audrey usiłowała zapomnieć o bólu i frustracji, koncentrując całą energię na czyszczeniu srebrnych i mosiężnych przedmiotów, na sprzątaniu w starych szafach i pozbywaniu się ubrań, których nigdy nie nosiła. Kiedy zakończyła wszystkie prace, jakie przyszły jej do głowy, poszła do fryzjera i krótko obcięła swoje lśniące loki.

W końcu po raz ostatni zagrała Sonatę o niezapominajce. Z powagą, jakby przystępowała do rytuału, usiadła przy fortepianie, podniosła pokrywę i lekko oparła palce na klawiszach. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, raz, drugi i trzeci. Przy każdym wydechu czuła, jak jej napięte ciało się rozluźnia i wreszcie uwalnia ją od fizycznych symptomów złamanego serca. Poczwała się znacznie lepiej, chociaż w głębi duszy wiedziała, że rany, jakich doznała jej psychika, nigdy się nie zagoją. Palce powoli zaczęły poruszać się po klawiszach.

Oczami wyobraźni ujrzała siebie jako młodą dziewczynę, zakochaną po raz pierwszy i jedyną. Widziała przystojną twarz Louisa oraz wrażliwość, malującą się w jego oczach i zadającą kłam pozornej pewności siebie. Przywołała z pamięci szeroki, urokliwy uśmiech, taki, jakim był, nim rozczarowanie zmiotło go razem z wszelką radością i nadzieją, i znowu przeżywała pocałunki Louisa, które wyrwały ją z pęt rzeczywistości i przenosiły w niematerialny świat wspólnych marzeń. Kiedy po dłuższym czasie ocknęła się z zamyślenia, powoli opuściła pokrywę instrumentu.

- Niech od dziś gromadzi się na nim kurz - powiedziała do siebie. - Nigdy już na nim nie zagram.

I właśnie wtedy, gdy Audrey głęboko uwierzyła, że nigdy nie wyjrzy na świat z ciemnego tunelu rozpacz, los ofiarował jej dar, którego wcale się nie spodziewała. Dziecko Louisa. Kiedy zorientowała się, że jest w ciąży, delikatnie położyła rękę na brzuchu, a twarz rozjaśnił bezwstydnym uśmiechem wielkiej

radości. Jej duch, jeszcze niedawno martwy, teraz obudził się do życia i drżał z podniecenia. W jej ciele rosnęło dziecko Louisa, ciało z jego ciała, część jego istnienia, która już na zawsze pozostanie przy niej, jeżeli Bóg na to pozwoli. To dziecko nie wyjedzie do szkoły zagranicą, o nie... Audrey zdążyła się już czegoś nauczyć. Nie pozwoli, aby ktokolwiek odebrał jej dziecko Louisa, wyjątkowe dziecko, poczęte z najczystszej, choć ziemskiej miłości. Bóg okazał jej miłosierdzie i dał nową przyszłość, przyszłość promieniejącą radością. Nie musiała już patrzeć w otchłań, ponieważ miała przed sobą wspaniały horyzont nieograniczonych możliwości. To będzie mała dziewczynka, pomyślała Audrey, Nadam jej imię Grace, łaska, bo przecież w jej osobie otrzymałam prawdziwą łaskę od Boga.

Dopiero po długiej, cudownej chwili pomyślała o mężu. Jej uśmiech zgasł w ułamku sekundy, ustępując miejsca wyrazowi zaniepokojenia. Zaczęła się zastanawiać, co powie Cecilowi. Nie miała wątpliwości, że będzie musiała wyznać mu całą prawdę. Nie mogła tego uniknąć, podobnie jak nie mogła mu wmówić, iż jej ciąża to rezultat niepokalanego poczęcia. Ogarnął ją strach. Nie bała się gniewu Cecila czy tego, że ją odrzuci, lecz jego cierpienia.

Było już późno, kiedy Cecil wrócił do domu. Był zmęczony i odległość dzielącą furtkę od drzwi domu pokonał powłócząc nogami, z przygarbionymi ramionami. Do tej pory Audrey była tak głęboko pochłonięta własnymi sprawami, że nawet nie pomyślała, co przeżywa Cecil. Wyglądał na złamanego, nieszczęśliwego człowieka i jej serce wreszcie zabiło współczuciem. Czekwała na niego w holu, nerwowo obgryzając paznokcie. Cecil nie okazał zdumienia na jej widok, jego twarz w ogóle nie zmieniła wyrazu.

Popatrzył na nią obojętnie, jakby był bardzo zmęczony nieodwzajemnioną miłością, jakby miał dość wciąż na nowo podejmowanych prób porozumienia.

- Musimy porozmawiać - odezwała się Audrey.

- Dobrze - odparł zrezygnowanym głosem.

Gdyby żona oznajmiła mu teraz, że go opuszcza, wcale by go to nie zaskoczyło. Wszedł za nią do salonu i jak co wieczór sięgnął po whisky, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Nie ulegało wątpliwości, że nie był w stanie zerwać z nałogiem, nawet gdyby chciał. Ciężko usiadł w fotelu i pociągnął łyk alkoholu ze szklaneczki. - Co chcesz mi powiedzieć? - zapytał. Audrey westchnęła. Nie miała pojęcia, w jakie słowa ująć tę wiadomość, jak złagodzić cios.

- Spodziewam się dziecka - rzekła w końcu pozbawionym emocji tonem.

Cecil patrzył na nią długo, nie zdradzając się z uczuciami, tylko jego policzki zaczerwieńczyły się mocno, jak pod uderzeniem ostrego wiatru.

- Rozumiem - powiedział.

- Muszę ci wytłumaczyć... - zaczęła Audrey.

- Niczego nie musisz mi tłumaczyć. - Podniósł dłoń, nakazując jej milczenie.

Usłuchała go bez słowa protestu. Cecil wstał i oparł się o gzyms nad pustym kominkiem. Utkwił wzrok w spowijających kąty pokoju cieniach i przypomniał sobie werset z Biblii, który i tym razem

napełnił go nową siłą. Stał oto teraz twarzą w twarz z nieuniknioną rzeczywistością romansu Audrey z jego bratem. Jego podejrzenia okazały się słuszne, tyle tylko, że Audrey nie porzuciła go i z jakiegoś powodu pozwoliła Louisowi odejść. Z drżeniem wrócił myślami do tamtego ranka przed wielu laty, kiedy odkrył zniknięcie Louisa i znalazł pozostawiony przez niego list. Teraz miał wspaniałą szansę odkupienia winy i uciszenia dręczących go wyrzutów sumienia. Audrey postawiła go na skrzyżowaniu dróg - mógł iść dalej razem z nią i dzieckiem, które miało się narodzić, lub zostawić ją i samotnie ruszyć inną ścieżką. Miał wybór, lecz decyzja została już podjęta, ponieważ jego wrodzona szlachetność znowu przemówiła pełnym głosem. Wyprostował się i podniósł głowę. Czuł się tak, jakby nagle przybyło mu sił.

- Spodziewamy się trzeciego dziecka - powiedział, patrząc na żonę błyszczącymi oczami. - Bóg jest dla nas naprawdę łaskawy...

Audrey zamrużyła ze zdziwienia, gdy podszedł do niej, pochylił się i pocałował ją. Drgnęła i wstrzymała oddech, nie wiedząc, jak zareagować.

- Dzwoniłaś już do matki? - zapytał. Przełknęła ślinę. Usiłowała odzyskać równowagę, lecz nagle ogarnął ją wstyd i rozplakała się. Potrząsnęła głową.

- Nie powinnaś się denerwować - rzekł łagodnie. - Dziecko to cudowny dar. Czas oczekiwania na nie jest czasem radości, nie żez...

- Tak mi przykro... - wykrztusiła z trudem. Cecil uśmiechnął się, że jej nie słyszy

- Najlepiej od razu zadzwoń do matki, żebyśmy mogli podzielić się dobrą nowiną

- Postuchaj mnie... - zaczęła znowu.

- Musimy też zawiadomić dziewczęta, że będą miały młodszego brata lub siostrę - przerwał jej. - Jestem pewny, że będą zachwycone, w każdym razie Leonora...

Audrey zrozumiała, że walka z Cecilem jest bez sensu. Oparła się o poduszki i otarła oczy rękawem bluzki.

- Jak się czujesz? - zapytał Cecil.

- Okropnie - odparła, pociągając nosem.

- Miałem na myśli samopoczucie fizyczne...

- Pod tym względem nic mi nie dolega, ale czuję się tak, jak bym miała chorą duszę...

- Może powinnaś się już położyć? Ja prześpię się w garderobie, nie chcę cię budzić... Rano poczujesz się lepiej, zobaczysz. - Ruszył w kierunku drzwi, lecz już w progu odwrócił się i utkwiał w jej twarzy poważne spojrzenie mętnych, otępiiałych oczu, w których kiedyś lśniła miłość. - Niektóre rzeczy są zbyt bolesne, aby stawić im czoło, ale jeżeli bardzo się postarasz, z czasem może zdołasz sobie wmówić, że nigdy się nie wydarzyły - rzekł cicho. - Nosisz w łonie moje dziecko, Audrey. To nasze dziecko i wychowamy je razem. Nie chcę o tym więcej mówić i nie chcę nigdy więcej widzieć mojego brata ani na tym świecie, ani po śmierci...

Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi i wreszcie odetchnęła pełną piersią.

Nie pamiętała, czy kiedykolwiek kochała męża, ale od tej chwili darzyła go głębokim podziwem. Stało się dla niej oczywiste, że Cecil od początku wiedział o jej romansie, lecz nigdy nie robił żadnych wyrzutów ani jej, ani Louisowi. Zawsze traktował brata ciepło i uprzejmie, teraz zaś zdobył się na czyn najszlachetniejszy z możliwych - zdecydował się wychować dziecko Louisa jako własne. Audrey rozplakała się znowu, tym razem z wdzięczności. Grace urodziła się w szpitalu Małych Towarzyszy Maryi, podobnie jak jej siostry, a przed nimi jej matka i ciotka. Jednak w przeciwieństwie do innych dzieci, które przed nią przyjmował na świat dyżurujący tego dnia lekarz. Grace przyszła na świat z uśmiechem na ślicznych różowych usteczkach i z bystrym spojrzeniem mądrych oczu. oczu dojrzałej kobiety, która widziała już wszystko. Nie wrzeszczała jak Alicia i nie popłakiwała jak Leonora, popatrzyła tylko na matkę z wyraźnym zaciekawieniem i uniosła małą białą rączkę, aby dotknąć jej twarzy. Audrey ujęła tę drobniutką dłoń i pocałowała ją. Łzy pociekły jej po po policzkach i spłynęły na twarz nowo narodzonego dziecka.

- Mam zawołać pani męża? - zapytał lekarz. Audrey potrząsnęła głową.

- Chciałabym spędzić parę chwil sam na sam z Grace - powiedziała. - Tylko kilka minut, potem proszę go zawołać...

Doktor zostawił ją siedzącą na łóżku, z fascynacją wpatrzoną w twarz dziecka, stanowiącą wierne odbicie rysów mężczyzny, którego kochała.

- Jesteś mi droższa niż ktokolwiek inny - szepnęła, a Grace mrugnęła do niej z zadowoleniem. - Nigdy się nie dowiesz, kim jest twój prawdziwy ojciec, ale to nie ma znaczenia, ponieważ twoja łagodna dusza jest częścią jego duszy i zawsze nią będzie. Będziesz nosiła jego wspomnienie w swoim uśmiechu i oczach, tak podobnych do jego uśmiechu i oczu, i będziesz szczęśliwa, bo ja będę cię kochała za nas dwoje. Za nas dwoje, moje najdroższe kochanie... Cecil także będzie cię kochał, na swój własny sposób. Nigdy cię nie rozczaruję i nie zawiodę, Grace, chociaż zawiodłam twojego ojca i twoje przyrodnie siostry. Obiecuję ci to uroczyście...

Kiedy Cecil spojrział na dziewczynkę, natychmiast zauważył jej podobieństwo do Louisa i instynktownie wyczuł, że zawsze będzie mu obca. Grace miała ten sam roztargniony wyraz oczu, lecz jej spojrzenie w niczym nie przypominało wzroku Louisa - patrzyła na niego tak, jakby zagłądała w duszę swego przybranego ojca. Cecil pokręcił głową i zaśmiał się cicho. Przecież to niemożliwe, aby dziecko, które urodziło się zaledwie przed dwudziestoma minutami, przyniosło ze sobą tak niezwykłą wiedzę. Chyba oszalał, skoro był w stanie wyobrazić sobie coś takiego. Wyprostował się i spojrział na żonę. Uśmiechnęła się do niego ostrożnie, lecz on nie odwzajemnił jej uśmiechu. Zapytał, jak się czuje i wyszedł, aby zadzwonić do jej matki. Nadal kochał Audrey do szaleństwa, lecz ona zniszczyła jego zaufanie i uczyniła pośmiewisko z jego uczucia do niej. Wciąż dręczyło go pytanie, czy Audrey w ogóle kiedykolwiek go kochała. Nie śmiał o to zapytać w śmiertelnej obawie, że wyzna, iż nigdy go nie kochała.

Grace rzeczywiście była niezwykłą dziewczynką. Alicia i Leonora przyjeżdżały do Argentyny tylko raz w roku, na świąteczną przerwę w szkolnych zajęciach, więc ich młodsza siostra dorastała jako jedynaczka, rozpieszczana przez matkę i tolerowana przez ojca, psuta do granic możliwości przez babkę i ciotkę Ednę, które były zachwycone pojawieniem się w rodzinie kolejnego małego dziecka.

Kilkuletnia Grace była smukłą, eteryczną dziewczynką o długich, białych włosach anioła i lekkim kroku leśnego duszka. Alicia zazdrościła Grace uroku i często jej dokuczała, lecz w przeciwieństwie do Leonory miała być całkowicie odporna na jej drwiny i groźby. W odpowiedzi na złośliwe uwagi Alicii uśmiechała się ze współczuciem, jakby potrafiła zajrzeć w ciemne zakamarki duszy starszej siostry i przewidywała czekające ją trudne chwile. Leonora pragnęła pokochać Grace, lecz ta wydawała się odległa i wiecznie zamyślona. Nie szukała przyjaźni, potrzebowała tylko powietrza, którym mogła oddychać, i ogrodu, aby się bawić, ogrodu pełnego wróżek, z którymi podobno umiała rozmawiać. Leonora nie była całkowicie wolna od zazdrości i cierpiała, widząc jak matka chwyta w ramiona i przytula młodszą siostrzyczkę, chociaż jeszcze niedawno poświęcała czas głównie jej. Po powrocie do Anglii dużo myślała o matce i nadal tęskniła za domem, lecz teraz uczucia te nabrały innego zabarwienia. Dom stał się innym, nowym miejscem, ponieważ uwaga matki była skupiona nie tylko na niej i na Alicii. Grace była inna, a to, co czyniło ją inną, wydawało się Leonorze nie możliwe do ogarnięcia i spowite nieprzeniknioną tajemnicą.

Tak więc Grace dorastała w Hurlingham, gdzie matka zabierała ją na pikniki pod pachnącymi eukaliptusami oraz na przejażdżki konne po równinach i po terenie La Magdalena, rancho Gaitana. Audrey pokazywała Grace preriowe zajęcia i słuchała z uwagą, kiedy dziewczynka opowiadała jej o duchach, które towarzyszyły jej na ścieżce życia.

- Każdy z nas ma anioła, który się nim opiekuje - wyjaśniła kiedyś matce. - Mój jest wysoki, ma brunatną skórę i pióra we włosach. Nazywa się Totem. Mam wielu przyjaciół w świecie duchów i nigdy nie czuję się samotna.

Audrey wierzyła jej, bo kiedy tylko coś zgubiła, wystarczyło poprosić Grace, aby zwróciła się do swojego anioła i zagubiona rzecz natychmiast się znajdowała. Często słyszała, jak wieczorem Grace rozmawia z kimś w swojej sypialni, już po otuleniu kołderką. Dziewczynka opowiadała, jak upłynął jej dzień i dzieliła się swoimi opiniami z tajemniczymi przyjaciółmi, tyle że Grace nie miała żadnych przyjaciół poza matką i duchami, które mieszkają w jej wyobraźni.

Grace była naturalnie uzdolnioną pianistką i doprowadzała do szaleństwa nauczycielkę, która przychodziła udzielać jej lekcji w każdy poniedziałkowy wieczór, ponieważ zwykle zaczynała jakiś utwór zgodnie z zapisem nutowym, po czym zaczynała improwizować, pozwalając swoim palcom błądzić po klawiszach, zupełnie jakby były niezależnymi, rozumnymi istotami. Miała doskonały słuch i najczęściej nauczycielka dopiero po paru minutach orientowała się, że Grace gra własny utwór, utrzymany jednak w tej samej tonacji i w tym samym stylu co oryginał. Potrafiła perfekcyjnie imitować Mozarta, Bacha i Beethovena, po czym błyskawicznie przechodziła do własnej kompozycji, do „muzyki duchów”, jak ją nazywała, mówiąc, że jej niewidzialni przyjaciele tańczą dookoła salonu w podanym przez nią rytmie. Nauczycielka ze zniecierpliwieniem potrząsała głową i powtarzała, że duchy nie istnieją.

- Mówi tak pani dlatego, że ich pani nie widzi, droga panno Horner - odpowiadała Grace.

Pewnego wieczoru Grace odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem, ku przerażeniu nieszczęsnej panny Horner, która zupełnie nie rozumiała swojej dziwnej uczennicy.

- W tamtym kącie siedzi mały duszek i śmieje się z mojej impertynencji - powiedziała. - Zagram trochę szybciej, żeby sobie potańczył!

Panna Horner wytrzymała tylko kilka miesięcy, a przed za trudnieniem nowej nauczycielki Audrey poprosiła córkę, aby nie opowiadała nikomu o swoich „małych przyjaciółach”, bo nie każdy zrozumie ją tak jak matka.

Grace była szczęśliwym dzieckiem i często się śmiała, ponieważ niczego się nie bała. Instynktownie wyczuwała, że niemili ludzie są po prostu nieszczęśliwi. Gorycz, zazdrość, nienawiść - wszystkie te uczucia zawsze rodzą się z cierpienia oraz niechęci i pogardy do siebie, co Grace wydawała się wiedzieć i rozumieć. Nigdy nie reagowała agresją, lecz współczuciem, dając kolejny dowód, że naprawdę jest wyjątkowym stworzeniem. Nie dręczyły ją normalne u dzieci wątpliwości, ponieważ zawsze mogła liczyć na pomoc swoich anielskich przyjaciół i oczywiście Audrey. Była niezależna i samowystarczalna. Często znikła na długie godziny, tak jak kiedyś jej matka, i wracała do domu z uśmiechem na ustach, beztrudno odrzucając do tyłu długie, kręcone włosy.

Późnym wieczorem, gdy Audrey układała już Grace do łóżka i całowała na dobranoc, w pokoju zjawiał się śliczny duch o długich, zwiniętych w sprężynki lokach i czułym, a jednocześnie odrobinę kpiącym uśmiechu. Piękna dziewczyna siadała na brzegu łóżka i pieszczotliwie głaskała drobną buzię Grace, z miłością wpatrując się w dziecko. Grace uwielbiała te wizyty i zawsze chętnie opowiadała gościowi o swoich pomysłach i przeżyciach. Dziewczyna słuchała w skupieniu, z nieskończoną cierpliwością, potem zaś składała lekki pocałunek na czole Grace i znikła, pozwalając małej zasnąć.

Cecil zawsze czujnie zerkał na Grace, ponieważ dziewczynka wydawała się widzieć go na wylot. Zaczął ukrywać butelki z alkoholem i pić głównie wódkę, której zapach był bardziej ulotny, ponieważ Grace patrzyła na niego ze współczuciem i zrozumieniem.

- Gdybyś uśmiechał się trochę częściej, nie potrzebowałbyś tego lekarstwa, które ciągle bierzesz, tatusiu - powiedziała kiedyś. - Uśmiech leczy wszystkie cierpienia.

Cecil nigdy nie czuł, że jest kimś bliskim dla Grace, bo odnosił wrażenie, że nie jest jej potrzebny, poza tym w pijackich wizjach nieodmiennie kojarzyła mu się z Louisem.

Audrey także myślała o Louisie za każdym razem, gdy patrzyła w twarz córeczki. Całym sercem żałowała, że jej ukochany nie może zobaczyć boskiego stworzenia, które powołała do życia ich miłość i musiała nieustannie powtarzać sobie, iż powinna być wdzięczna Bogu i losowi za tę część Louisa, jaką pozwolono jej zatrzymać, i nie żądać niczego więcej. Płakała w samotności i płakała też w teatrze, ponieważ w ciemności, kiedy nikt jej nie widział, łzy płynęły szybko i obficie. Orkiestra grała, a ona wspominała Louisa i jego miłość do muzyki, którą odziedziczyła Grace. W teatrze Audrey czuła, że jest blisko Louisa, chociaż nigdy nie byli razem w Colon. Kupiła sobie kilka płyt ze smutnymi tangami i słuchała ich, gdy Cecilia nie było w domu, a Mercedes spała. Zastaniała wtedy okna salonu i tańczyła, wyobrażając sobie, że otaczają ją ramiona Louisa, a nad ich głowami kwitną fioletowe drzewa jacaranda, zupełnie jak w wiośniwym okresie ich miłości.

Grace przyzwyczała się do nagłych ataków melancholii, którym ulegała jej matka. Często chowała się w kąciку i obserwowała ją przez szparę w uchylonych drzwiach lub przez dziurkę od klucza, jeżeli były zamknięte. Bardzo lubiła przyglądać się, jak matka tańczy w mrocznym pokoju. Chwile te miały ciemną aurę tajemniczości, zresztą Audrey zawsze upewniała się, czy na pewno jest sama. Romantyzm jej tańca głęboko wzruszał Grace. Matka często płakała, tańcząc, i jej łzy także były

tajemnicze. Grace próbowała pytać swoich niewidzialnych przyjaciół, co jest przy czyną smutku Audrey, lecz nigdy nie udzielili jej odpowiedzi.

Audrey nie przypuszczała nawet, że Grace jej się przygląda i oczywiście nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie wrażenie robi na dziecku jej taniec. Grace nigdy nie pytała ją, dlaczego tańczy, z obawy, że gdyby się przyznała, iż zna jej sekret, matka przestałaby tańczyć, a dziewczynka wyczuwała, iż kieruje nią wewnętrzna potrzeba.

Najbardziej fascynujący był jednak mały, oprawny w jedwab notatnik, który Audrey trzymała ukryty w szufladzie z bielizną. Kiedy wyjmowała go i otwierała, a potem zamierała z piórem uniesionym nad kartką. Grace wyteęzała wzrok, usiłując dojrzeć, co matka pisze. Twarz Audrey zwykle powlekała się kredową białością i jej oczy błyszczały, tak samo jak w czasie tańca. Siedziała tak długo, a Grace obserwowała ją z zafascynowaniem.

Wreszcie któregoś dnia, korzystając z tego, że matka wyszła, a Mercedes piekła w kuchni ciasto, dziewczynka zakradła się do sypialni Audrey i wyjęła z szuflady tajemniczy notatnik, leżący pod satynowymi gorsetami i jedwabnymi pończochami. Jeszcze nie zdążyła otworzyć go drżącymi palcami, a już poczuła ciężkie wibracje smutku i rozczarowania. Wzięła głęboki oddech i spróbowała stworzyć dystans między sobą a notatnikiem, świadoma, że czasami dar, jaki otrzymała, wymyka się spod kontroli. Notatnik był bardzo ładny. Jedwabną obwolutę zdobiły czerwone i zielone kształty, otaczające niebieskie kwiaty, lśniącej jak anielskie włosy. Okładka była miękka i przyjemna w dotyku, obwiązana zielonym sznurem, zakończonym chwościkami. Grace usiadła na parapecie i powoli rozwiązała sznur. Na chwilę zabrakło jej odwagi. Wiedziała, że nie powinna zaglądać do intymnego świata matki. Gdyby Audrey chciała, żeby Grace obejrzała jej notatnik, sama by go pokazała. Jednak ciekawość wzięła górę i Grace otworzyła notatnik. Na pierwszej stronie widniał dziwny tytuł, którego znaczenia nie potrafiła zrozumieć: Sonata o niezapominajce. Dziewczynka zmarszczyła brwi i utkwiała skupione spojrzenie w słowach, które dla niej nie miały żadnego znaczenia. Oczywiście, wiedziała, że niezapominajka to drobny, błękitny kwiatek, wydawało jej się także możliwe, że kwiaty na okładce to właśnie niezapominajki, lecz instynktownie czuła, że w tych słowach kryje się coś więcej. Przewróciła kartkę z nadzieją, że na następnej znajdzie wytłumaczenie tytułu, ale ujrzała tylko kropki, od których matka kilkakrotnie próbowała zacząć zdanie i rozmazaną smugę - ślad łez.

Grace westchnęła z rozczarowaniem i wróciła do dziwnego tytułu. Sonata o niezapominajce, przeczytała na głos. Co to mogło znaczyć?

Część III

Rozdział dwudziesty siódmy

Anglia, 1971 rok

Florien siedział pod jedną z jabłoni w sadzie, przyglądając się, jak wieczorne słońce oblewa szczyt muru złocistym blaskiem. Wiatr niósł od pola warkot pracujących kombajnów i zapach wyprażonych

w upale pól, a powoli żółknące liście i jasnobłękitne, jakby wodniste niebo zapowiadały szybkie nadejście jesieni, potem zaś zimy wraz z jej bezbarwnymi miesiącami. Florian wybrał jabłko ze stojącego obok kosza pełnego owoców, które zebrał dla pani Weatherby, i wbił w nie zęby. Jego ojciec zawsze mówił, że najlepsze są jabłka już lekko nadgryzione przez osy i pszczoły, i oczywiście miał rację, bo i ten owoc, usiany drobnymi dziurkami, był słodki jak miód i bardzo soczysty. Rozleniwione myśli Floriana niespiesznie wróciły do Leonory i Alicii Forrester.

Leonora pomagała mu przez cały dzień. Florian lubił tę nieco pulchną siedemnastolatkę o wąskiej talii oraz obfitym biuście i pupie. Jej twarz straciła trochę wrodzonej przeciętności i powoli stawała się odbiciem łagodnego charakteru młodej dziewczyny, tak wyraźnie widocznego w szerokim, rozbrajającym uśmiechu i niebieskich oczach. Leonora niezbyt przejmowała się swoim wyglądem. Kasztanowe włosy ściągała w niewymyślny koński ogon, a figurę ukrywała pod luźnymi bluzkami koszulowymi i swetrami. Zawsze wolała ubrudzić sobie dłonie w rozmiętej po deszczach ziemi w ogrodzie, niż tracić czas na nakładanie makijażu i lakierowanie paznokci. Z Leonorą można było porozmawiać, była miła i pełna chęci zrozumienia innych. Florian wiedział, że dziewczyna darzy go podziwem, dostrzegł to w jej błyszczących oczach i policzkach, które w jego obecności rumieniły się aż zbyt łatwo. Alicia była zupełnie inna i to właśnie ona dzień i noc dominowała w myślach Floriana. Jej szatański urok zupełnie go zniewolił, a drwiący uśmiech i cięty dowcip w jednej chwili upokarzały go tylko po to, aby w następnej dodać mu odwagi i zachęcić do przebywania z nią. Florian nie rozumiał Alicii i nie miał pojęcia, co o niej myśleć.

Nocami leżał zlany potem, z ostrą, kocią twarzą Alicii przed oczami, rozgoryczony, pełen miłości, nienawiści i wszystkich sprzecznych uczuć, jakie budziła w jego sercu, pozostawiając go w stanie zagubienia i zawstyżenia, że tak bardzo mu na niej zależy. Miał ochotę docisnąć ją do ściany i kochać się z nią gwałtownie, aby już nigdy nie uśmiechała się z tą przekłętą pewnością siebie i nie patrzyła na niego spod zmrużonych powiek oczami kusicielki, przekonanej o władzy, jaką posiada i dzięki której może zamienić go w kamień jednym błyskiem intensywnie niebieskich oczu. Chwilę później pragnął kochać się z nią czule i powoli, aby stopić jej stalową duszę i pod twardą ze wewnętrzną warstwą odkryć łagodną, pełną współczucia istotę. Dałby wszystko, by usłyszeć, jak Alicia wzdycha, zaskoczona własną zdolnością kochania i dzielenia się rozkoszą. Marzył, że kiedyś odnajdzie w niej wrażliwą młodą kobietę, przeżywającą takie same obawy i nadzieje jak wszyscy, lecz Alicia w niczym nie przypominała innych dziewcząt. Czasami miał wrażenie, że ona w ogóle nic nie czuje.

Alicia nigdy się nie pofatygowała, by pomóc Florianowi lub jego ojcu w ogrodzie. Przyroda śmiertelnie ją nudziła, podobnie jak Cyganie, jej zdaniem prowincjonalni i biedni. Zamierzała wyjść co najmniej za księcia i zamieszkać w ogromnej rezydencji. Ciotka Cicely także wydawała jej się nudna, między innymi dlatego, że zmuszała ją do pomocy w kuchni, czego Alicia nie znosiła, ponieważ nie lubiła brudzić sobie rąk mąką i mięsem kurcząt. Dziewczyna szybko zauważyła, że Marcel wykorzystuje jej ciotkę, która wciąż była nim tak zachwycona, iż nawet nie przyszło jej to do głowy. Kiedy uwaga Cicely skupiona była na czym innym, Alicia próbowała flirtować z Marcelem, lecz ku jej wielkiemu rozczarowaniu i upokorzeniu Francuz, chociaż bliższy wiekiem jej niż Cicely, tylko uśmiechał się ironicznie i odrzucał jej zaloty lekkim machnięciem pędzla.

- Jeżeli chcesz kogoś uwieść, spróbuj swoich sił na Cyganie, mała - powiedział kiedyś ze swoim bardzo wyraźnym francuskim akcentem. - Będą ci wdzięczni, bo przecież nawet nie mają z kim rozmawiać, chyba że z warzywami w ogrodzie...

Alicia poprzysięgła Marcelowi zemstę. Jak on śmie odzywać się do mnie w ten sposób, myślała z oburzeniem. Dopiero znacznie później doszła do wniosku, że Marcel ma chyba rację - uwiedzenie Cygana byłoby całkiem zabawne...

Alicia wiedziała o uwielbieniu, jakim Leonora darzyła Floriena, i to uczyniło jej plan jeszcze bardziej ekscytującym. Obserwowała, jak jej siostra i młody Cygan sadzą razem rośliny, rozmawiają o pogodzie, glebie i zbiorach, śmiejąc się swobodnie. Niczym starzy przyjaciele, i myśl o wejściu pomiędzy nich pociągała ją nieodparcie. Była świadoma, że Florian jej pragnie i wcale ją to nie dziwiło - ostatecznie był mężczyzną, a większość mężczyzn nie miała siły ducha Marcela. Alicia zdawała sobie sprawę, że może zdobyć każdego mężczyznę i ani przez chwilę nie powątpiewała w swoją atrakcyjność. Wylegiwała się na trawie, grzejąc się w słońcu, pogryzając czekoladowy batonik i uważnie przyglądając się swojej ofierze. Wiedziała, że Florian czuje na sobie jej spojrzenie i ta świadomość przyprawiała ją o dreszcz podniecenia.

Alicia nie straciła jeszcze dziewictwa i myśl o tym przepełniała ją obrzydzeniem, ponieważ uważała, że stan ten jest dowodem słabości i braku doświadczenia. Chciała jak najszybciej się go pozbyć, a Florian był bardzo atrakcyjny, wysoki, silny, o czarnych, lśniących włosach i ciemnych, podejrzliwych oczach, które niechętnie zerkwały na nią spod grzywki. Małomówny i nieco ponury, przypominał gniewnego bohatera książek wydawnictwa MillsBoon, które dziewczęta pożyczają sobie nawzajem w szkole, chociaż, oczywiście, miał jedną zasadniczą wadę - był biedny i nic nie wskazywało na to, aby kiedykolwiek się wzbogacił albo zdobył sławę. Krótko mówiąc, żaden z niego kandydat na męża, za to na kochanka jak najbardziej...

- Magiczny wieczór, prawda? - zagadnęła, siadając obok Floriena na trawie i biorąc sobie jabłko z kosza. Florian bez słowa popatrzył na nią chłodno.

- Gdzie twoja mała pomocnica? - zainteresowała się Alicia.

- Leonora?

- Tak, twój ogrodowy krasnoludek... Gdzie się podziała?

- Pojechała do centrum ogrodniczego z panią Weatherby - odparł, zastanawiając się, o co może chodzić Alicii, której oczy lśniły z podniecenia.

- Chyba nie po nowe cebulki, co? - Roześmiała się i z zadowoleniem zauważyła, że jego twarz przybrała nieco cieplejszy wyraz. - Całymi dniami czołgacie się na kolanach i grzebiecie w błocie... Nie mógłbyś pojeździć z Leonorą kombajnem albo wybrać sobie jakieś mniej manualne zajęcie?

- Najbardziej lubię pracować w ogrodzie. Jeżdżenie kombajnem jest wyjątkowo nudne.

- Ale bardziej męskie, a ty jesteś mężczyzną... Odwrócił wzrok. Zdążył już przywyknąć do tego, że Alicia najpierw z nim flirtuje, a potem traktuje w pogardliwy sposób, lecz tym razem nie miał najmniejszej ochoty na tę zabawę.

- Daj mi rękę - poprosiła niespodziewanie. Zaśmiał się i pokręcił głową.

- Po co? - zapytał.

- Chcę ją po prostu potrzymać - uśmiechnęła się. - Nie bój się, nie ugryzę cię...

Nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Alicia ujęła jego dłoń i lekko przesunęła palcami po zgrubiałej skórze. Chłopakowi zrobiło się gorąco, ponieważ natychmiast wyobraził sobie, jak jej palce pieszczą całe jego ciało.

- Masz ręce rolnika - powiedziała. - Twarde i mocne... Czujesz, jaka delikatna jest moja skóra?

Zaczerwienił się z zażenowania i cofnął dłoń, daremnie walcząc z podnieceniem, które sprawiało, że spodnie wydały mu się nagle za ciasne. Wziął jabłko, aby zająć czymś dłoń.

- Żartujesz sobie - mruknął, wbijając zęby w soczysty owoc.

- Nie! Naprawdę nie, jestem tylko ciekawa... Czy czujesz coś przez tę stwardniałą skórę, kiedy kochasz się z kobietą?

- Nie twoja sprawa! - Był jednocześnie zaskoczony i podekscytowany jej śmiałością.

- Czy poczułbyś, jaka miękka jest moja skóra, gdybyś przesunął dłońmi po moim ciele? Bardzo o nią dbam, wiesz? Codziennie wieczorem po kąpeli nacieram ją olejkami i noszę wyłącznie jedwabne piżamy i koszule nocne. Proszę... - Wyciągnęła ku niemu rękę. - Dotknij, zobacz, jaka jest gładka...

- Co to za zabawa? - Rzucił jej gniewne spojrzenie spod ciemnych, ściągniętych brwi. - Wcale nie chcę dotykać twojej skóry, zabierz rękę...

- Chyba nie mówisz poważnie... - W jej oczach pojawił się pełen żalu wyraz. - Wiem, że zachowuję się głupio, ale tak to już jest, kiedy ktoś się zakocha... Nigdy dotąd nie byłam zakochana, lecz tak mi mówiono...

Florien nie wierzył własnym uszom. Wyznanie Alici stawiało całą tę sytuację w zupełnie innym świetle. Popatrzył na nią uważnie, rozbrojony jej otwartością i wrażliwością. W odpowiedzi uśmiechnęła się łagodnie i słodko, całkiem jak inne kobiety, i jego serce wezbrało radością. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien być ostrożny, ale krew pulsowała już w żyłach tak szybko, że nie był w stanie myśleć.

- Ja także nie byłem wcześniej zakochany - zwierzył się impulsywnie, zwiedziony jej słowami.

- Usiłowałam zignorować moje uczucia, bo wiem, że ciotka Cicely zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała... Powiedziałyby, że jestem za młoda na miłość, ale ja bardzo cię pragnę... Chcę być z tobą teraz, zaraz...

Alicia przygryzła wargi, świadoma, że jej przemówienie brzmiało trochę sztywno. W książkach, które czasami czytywała, mimo że zwykle szybko ją nudziły, kobiety właśnie w taki sposób mówiły o miłości. Bohaterki romantycznych powieści zawsze ze wzruszeniem opisywały jakąś śmieszna walkę z uczuciami, którą jakoby stoczyły. Alicia zdawała sobie sprawę, że może trochę za szybko wspomniała o seksie, ale Florian był zbyt zdziwiony jej miłosnym wyznaniem, aby to zauważyć.

- Ja także cię kocham - odparł, odwracając się ku niej szybko i ujmując obie jej dłonie. - Starłem się zdusić w sobie to uczucie, ale twoja twarz prześladowuje mnie dniem i nocą... Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Jesteś inna niż wszystkie, cudowna...

Alicia pośpiesznie ukryła rozbawienie, jakie wzbudził w niej ten wybuch. Chciała się z nim tylko przespać, a tymczasem on prawie się jej oświadczył...

- Gdzie pójdziemy? - zapytała, tłumiąc chichot.

- Słucham?

- Dokąd pójdziemy, żeby być ze sobą sam na sam? Miała nadzieję, że nie narzuciła zbyt szybkiego tempa. Nie miała pojęcia, jak mężczyźni wytrzymują wszystkie te nudne zabiegi, związane z zalotami. Zdawała sobie sprawę, że przejmuje kontrolę nad sytuacją i nie zachowuje się jak kobieta, co Florianowi mogło nie przypaść do gustu, postanowiła więc rozwinąć jeszcze trochę kwestię miłości.

- Kocham tylko ciebie, całym sercem... Chcę być blisko ciebie, pragnę słyszeć bicie twego serca, czuć twoje ciało tuż obok mojego... Chcę ci się oddać. Chcę, żebyś uczynił mnie kobietą...

Była zachwycona swoim przemówieniem, a jeszcze bardziej reakcją Floriena, który zerwał się na nogi i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź ze mną.

Poprowadził ją przez sad do furtki w murze, za którym znajdowało się kilka szop i budynków gospodarczych. Alicia z trudem powstrzymywała śmiech, usiłując wpasować się w rolę poraz pierwszy zakochanej młodej dziewczyny. Florian był całkowicie oszołomiony swoim szczęściem, więc nie zauważył pewnych braków w jej aktorskim warsztacie.

Pociągnął Alicię do szopy pełnej bel siana. Żłociste promienie światła przedostawały się do środka przez dziury w dachu i wydawały się zapalać czerwone i pomarańczowe płomyki wśród źdźbeł słomy.

Florien z mocno bijącym sercem wspiął się na szczyt, gdzie snopy tworzyły prawie płaski, miękki i słodko pachnący materac, przekonany, że właśnie tam będą mogli w spokoju poznać swoje ciała. Kiedy znaleźli się obok siebie, delikatnie ujął ją za ramiona.

- Jesteś pewna? - zapytał, wpatrując się w nią gorącymi ciemnymi oczami,

Przywołała na twarz dziewczęcy, nieśmiały uśmiech i skinęła głową. Spróbowała wyobrazić sobie, jak w takiej sytuacji zachowałaby się Leonora i szybko uznała, że na pewno popadłaby w pełne wzruszenia milczenie.

Florien wiedział, co robi. Spał już z kilkoma dziewczętami i znał tajemnice kobiecego ciała, lecz w obecności Alicii ogarnęło go tak wielkie zdenerwowanie, że gdyby nie cudowne, kuszące ciepło, bijące od dziewczyny, może w ogóle nie stanąłby na wysokości zadania. Alicia leżała na sianie z zamkniętymi oczami, przyjmując pocałunki Floriena i czekając, aż zdejmie z niej ubranie. Florian gładził jej jasną skórę i podziwiał wspaniałe piękno ciała, ona zaś przeciągała się, wzdychała i mruzczała z rozkoszy.

Była absolutnie pewna siły swego uroku i w przeciwieństwie do innych dziewcząt nie okazywała ani niepokoju, ani zahamowań, lecz poddawała się pieszczotom z lekkim grymasem rozbawienia na ustach. Florian nie zauważył pogardliwego błysku w oczach, bez reszty pochłonięty podziwianiem jej ciała i poczuciem własnego szczęścia. Był przekonany, że Alicia go kocha, bo z jakiego innego powodu

mogłaby ofiarować mu tak niezwykle dar, jakim było dziewictwo... Wybrała go, a on nie posiadał się z zachwytu.

Alicia odkryła, że seks sprawia jej przyjemność. Wiązało się to nie tylko z rozkosznymi doznaniem fizycznymi, ale również ze świadomością, że ta niezwykle gra może dać całkowitą władzę nad mężczyznami. Była zdumiona łatwością, z jaką przychodzi jej uwodzenie mężczyzn. Już wcześniej rozumiała, że jej uroda jest ważną bronią w świecie ogarniętym obsesją wizerunku zewnętrznego, a teraz upewniła się, iż w wojnie płci seks jest niczym bomba atomowa. Mężczyźni tracą rozum właśnie z powodu seksu. Cieleśne pragnienia stawiały ich na słabszej pozycji. Gardziła nimi z tego powodu i zamierzała wykorzystać ją dla własnych celów. Leżąc w ramionach Floriena, który po chwilach wielkiego uniesienia całował jej czoło, gładził po włosach i szeptał do ucha, jak wielką dała mu rozkosz, myślała o bogactwie i pozycji, jakie zdobędzie dzięki pięknej twarzy i ciału kusicielki. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech zadowolonej kotki.

Florien był zrozpaczony, kiedy Alicia musiała znowu wracać do szkoły.

- Jeszcze tylko rok - obiecała mu z trochę drwiącym uśmiechem. - Potem będziemy mogli spędzić razem resztę życia...

- Nigdy nie pokocham innej kobiety tak jak ciebie. - Zdjął z szyi medalik z wizerunkiem św. Krzysztofa, który zawsze nosił. - Chciałbym ci go podarować... - dodał, patrząc na nią błyszczącymi od łez oczami.

- Co to takiego? - Alicia zmarszczyła nos. - Czy to ładne?

Daj mi obejrzeć...

Ujęła zawieszony na złotym łańcuszku medalik do ręki i doszła do wniosku, że bardzo jej się podoba.

- Przyniesie ci szczęście.

- Świetnie! - wykrzyknęła, unosząc gęste loki, aby Florian mógł zapiąć łańcuszek na jej karku.

Gdy musnął pocałunkiem białą skórę, zwykle przykrytą falą włosów, zachichotała.

- Naprawdę cię kocham... - westchnął chłopak.

- Wiem - odparła lekkim tonem. - Jesteś bardzo słodki...

- Kiedy wrócisz?

- Za kilka tygodni, na przerwę w połowie semestru. Potem będzie przerwa świąteczna, ale wtedy polecę do domu, do Argentyny. Będziesz musiał znaleźć dla nas jakieś inne miejsce, bo wkrótce snopki zostaną stąd zabrane...

- Nie martw się, na pewno coś wymyślę. Zimą będziemy ogrzewać się nawzajem...

- Tak... - mruknęła, próbując wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

Nie przepadała za romantycznymi rozmowami, ponieważ wiedziała, że nie jest w nich zbyt mocna, zdawała sobie jednak sprawę, że jeżeli przestanie grać swoją rolę, Florian może się do niej zniechęcić i nie będzie dostępny na każde jej skinienie. Poza tym zauważyła malujący się na twarzy Leonory smutek i to natchnęło ją nowym zapałem.

Leonora rzeczywiście zauważyła nieumiejętnie skrywany zachwyt, z jakim Florian patrzył na jej siostrę. Poczła się zraniona, bo z całego serca pragnęła, aby odwzajemnił jej uczucie, ale jak zwykle nie winała Alicii. Przyjęła do wiadomości, że siostra jest od niej lepsza pod każdym względem i pogodziła się z tym. Alicia była piękna, utalentowana i czarująca, Leonora zaś całkowicie jej oddana. Jeżeli Alicii zależało na Florieniu, Leonora gotowa była zrobić wszystko, aby pomóc w podtrzymaniu tego związku, chociaż taka wielkoduszność nie przychodziła jej łatwo. Była nieszczęśliwa, ponieważ znowu została zignorowana i odrzucona. Tęskniła za domem i bezpiecznym ciepłem bezwarunkowej miłości matki, lecz jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jako osoba stojąca na progu dorosłości nie powinna ulegać takim uczuciom. Poza tym wiedziała, że uwaga Audrey jest teraz skupiona na dość niezwyklej siedmioletniej dziewczynce. Gdyby nie ciotka Cicely, która szczerze ją kochała, oraz ogród, pola i lasy, wśród których wyczuwała obecność jakiejś wyższej siły, czułaby się bardzo samotna.

Dziewczyna bardzo lubiła zabierać Barleya i inne psy na długie spacery po farmie. Bezmiar otwierających się przed nią pól i miłe dla oka linie łagodnych wzgórz na horyzoncie dodawały jej odwagi i siły, nie pozwalały litować się nad sobą. Rozmyślała o znaczeniu życia i śmierci, widzianego z perspektywy cyklu pór roku, i wciąż od nowa odkrywała, że szczęście tkwi w przyjmowaniu wydarzeń takimi, jakimi są. Zima łagodnie przechodziła w wiosnę, wiosna rozkwitała i ustępowała miejsca latu, które pod koniec zabarwiała się głęboką czerwienią i złotem jesieni. Co będzie, to będzie, myślała i taka rezygnacja przynosiła jej ulgę. Postanowiła, że nie będzie marnowała życia na uganiecie się za dobrami świata materialnego, bo co może jej dać tyle przyjemności, ile ta wiecznie zmieniająca się panorama. Instynktownie zgadywała, że nic poza miłością i życiem nie ma wielkiego znaczenia, a tym mogła cieszyć się tutaj, wśród cudownych krajobrazów Dorset. Jej przyszłość była związana z przyrodą, bo tylko w kontakcie z naturą czuła się naprawdę dobrze i swobodnie. Była zbyt skromna, by spodziewać się, że Florian obdarzy ją uczuciem, chociaż, oczywiście, o tym marzyła. Czasami wyobrażała sobie, że żyje jak Cyganka - pracuje w ogrodzie, sadi rośliny, przesadza je i piele. Dałaby wiele, aby zamieszkać w pięknym, barwnym wozie, do którego mogłaby zaprzęgać parę silnych koni, i mieć kilkoro dzieci, żeby bawić się z nimi przy ognisku. Odkąd Florian stracił głowę dla Alicii, jej marzenia zbladły i stały się podobne do dymu snującego się nad jesiennymi polami, lecz dziewczyna ze wszystkich sił usiłowała nie poddawać się przygnębieniu. Już dawno odkryła, że dopóki jest na wsi, nigdy nie czuje się do głębi nieszczęśliwa.

Kiedy jesienny semestr dobiegł końca, bliźniaczki wróciły do Argentyny na świąteczne wakacje. Florian pogrzył się w ponurym milczeniu, a ciotka Cicely znowu tęskniła za widokiem otwartej, dobrej twarzy Leonory i jej towarzystwem. Ani trochę nie brakowało jej Alicji, podobnie jak Panazelowi, Mashy i Ravenie; tylko Florian niespokojnie przewracał się na łóżku, udręczony sennymi marzeniami, które paliły go żywym ogniem.

Grace miała już siedem lat i cieszyła się miłością wszystkich członków niewielkiej angielskiej społeczności w Hurlingham. Grywała w karty ze starym pułkownikiem Blythe, który stracił już rachubę dni i lat, lecz chociaż prawie głuchy, często słyszał dziwną melodię, uparcie towarzyszącą mu od pewnego momentu w przeszłości. Pułkownik miał teraz serce miękkie jak masło i wcale nie wstydził się tego okazywać. Grace tańczyła dla Charlo w białej tunice, którą cioteczna babka Edna uszyła z jedwabiu i srebrzystej siateczki, i doprowadzała do łez wzruszenia wielbicieli swego talentu muzycznego, kiedy jej palce zaczynały z nieprawdopodobną lekkością biegać po klawiszach fortepianu. Nic jednak nie budziło w ludziach takiego zachwytu, jak sztuczki, które Grace wykonywała z przedmiotami.

- Pokaż swoim siostram, co potrafisz - poprosiła z dumą Audrey.

- Grace jest zupełnie niezwykła! - zawołała ciotka Edna, smarując rogalik masłem.

Edna była teraz tak gruba, że nikt poza nią nie mieścił się na sofie, więc Audrey usiadła na jednym z foteli, a bliźniaczki na dużym niskim pufie.

- Chyba nie rozmawiasz już z wrózkami? - zapytała złośliwie Alicia.

- Oczywiście, że rozmawiam - odparła dziewczynka. - Mówią do mnie bez przerwy. Ty też byś je słyszała, gdybyś naprawdę chciała...

Alicia przewróciła oczami.

- Więc na czym polega ta nowa sztuczka? - westchnęła ciężko.

- Grace bierze do ręki przedmiot, należący do nieznanego jej osoby, i potrafi powiedzieć o niej mnóstwo rzeczy - wyjaśniła ciotka Edna, wyraźnie zachwycona darem ciotecznej wnuczki.

- Pokaż nam, jak to robisz. Grace - odezwała się łagodnie Leonora. - Co mamy jej dać? - zwróciła się do matki. - Chyba nie jakiś drobiazg jednej z nas...

- Ja mam coś, co dostałam od kogoś w prezencie. - Alicia szybko zdjęła z szyi łańcuszek z medalikiem.

- Jakie to ładne! - wykrzyknęła Edna. - Tylko nic o tym nie mów, moja droga! Ani słowa! Grace powie nam wszystko o osobie, która dała ci ten medalik, prawda, kochanie?

Grace ujęła łańcuszek w drobne dłonie i zamknęła oczy, koncentrując się na oczyszczeniu umysłu ze wszystkich myśli. Po trafiła odgradzać się od świata zewnętrznego. Obrazy zaczęły po woli pojawiać się przed nią jak na wielkim ekranie.

- Widzę piękne zielone pole, a na nim śliczne wozy i konie - zaczęła.

Leonora gwałtownie wciągnęła powietrze, ponieważ natychmiast zrozumiała, do kogo należał medalik. Alicię zapiekły mocno zarumienione policzki, nie mogła już jednak powstrzymać Grace.

- Wozy są malowane, chyba cygańskie, podobne do takich, jakie widziałam w książce z bajkami od babci... Słyszę jakieś imię... Florian! Zabawne imię... Florian ma ciemne włosy i oczy, i wydaje się bardzo smutny... Czuję jego smutek. Biedny Florian, jest naprawdę nieszczęśliwy... Teraz widzę szopę,

stodołę pełną siana... Jest piękny, ciepły dzień, skąpany w złocistym świetle... Tak, to zachód słońca. Tam, gdzie mieszka Florian, jest bardzo ładnie. Jest tam dużo wzgórz, nie tak jak u nas...

- No, wystarczy! - zawołała Alicia. Grace ją zignorowała.

- Florian jest zakochany w Alicii i bardzo za nią tęskni - ciągnęła dźwięcznym, niewinnym głosem.
- Nie może jeść ani spać, nie potrafi się na niczym skupić, tylko siedzi i cierpi...

Nagle Grace zaśmiała się i otworzyła oczy. Patrzyła teraz na Leonorę, której policzki były blade jak ściana.

- Nie smuć się, Leo, będziesz bardzo szczęśliwa - powiedziała.

Leonora zmarszczyła brwi i gwałtownie się zaczerwieniła. Wszyscy w milczeniu przenieśli wzrok z Alicii na Leonorę. Alicia próbowała przełknąć ślinę, ale gardło miała suche jak pieprz. Niezwykła umiejętność Grace zdumiała ją i napełniła lękiem. Wyrwała młodszej siostrze medalik i zaczęła okręcać go sobie wokół palców.

- I co z tego, że Florian się we mnie kocha? - warknęła. - Uparł się, że da mi to w prezencie, więc nie mogłam odmówić. ale ja go nie kocham...

- To naturalne, że jest w tobie zakochany, moja droga - uśmiechnęła się ciotka Edna. - Jesteś bardzo piękną młodą kobietą... Rozumiem, że Grace trafiła w dziesiątkę, czy tak?

- Grace nigdy się nie myli - powiedziała Audrey, otaczając Grace ramionami i całując ją w policzek. - Jesteś bardzo mądra, kochanie...

- Skoro potrafisz przepowiadać przyszłość, to powiedz mi, za kogo wyjdę za mąż - rzuciła Alicia, która szybko odzyskała panowanie nad sobą.

Grace potrząsnęła głową, zeskoczyła z kolan matki i wybiegła na słońce.

- Grace nie chce wykorzystywać swego daru w niegodnym celu, a za taki uważa wróżenie - rzekła Audrey. - Nauczyła się, że nie powinna tego robić, kiedy powiedziała Nelly, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Od tamtej pory Nelly traktuje ją jak powietrze...

- Natomiast matka Nelly niczego się nie może nauczyć... - Ciotka Edna westchnęła. - Nadal przedstawia nieszczęsną dziewczynę każdemu młodemu człowiekowi, jaki pojawi się w klubie. Co za upokorzenie dla biednej Nelly...

- Ja tam nie wierzę w przeznaczenie. - Alicia z buntowniczą miną odrzuciła włosy do tyłu. - Sami kształtujemy naszą przyszłość, a ja dokładnie wiem, jak ma wyglądać moja...

Audrey spojrzała na nią ze smutkiem.

- Kiedyś też tak uważałam, kochanie, ale jednak nie zawsze dostajemy to, na czym nam zależy.

Edna obdarzyła ją pełnym współczucia uśmiechem. Cieszyła się, że prawie osiem lat wcześniej przekonała Audrey, aby została z Cecilem i wiedziała, że jej siostrzenica także jest zadowolona ze swojej decyzji. Było to bolesne poświęcenie, lecz okazało się, że wszystko ułożyło się jak najlepiej. Owocem pogodzenia się Audrey i Cecila była przecież śliczna Grace, wyjątkowe, mądre dziecko...

Rozdział dwudziesty ósmy

Cecil i Audrey przypominali bohaterów sztuki teatralnej. W obecności innych zachowywali się jak na scenie i dopiero w samotności zdejmowali maski. Tylko Grace zdawała sobie sprawę, jak bardzo cierpią jej rodzice. Często obserwowała taniec też w wykonaniu matki i przyglądała się, jak ojciec wyjmuje z ukrycia butelki z alkoholem, ponieważ potrafiła poruszać się po domu krokiem lekkim jak kot i ukrywać się pośród cieni. Jednak jej talent był bezsilny, jeżeli chodzi o odgadnięcie przyczyny nieszczęścia rodziców. Najwyraźniej Bóg nie życzył sobie, aby zaglądała do prywatnego piekła Audrey i Cecila.

Zły nastrój ojca i jego nagłe ataki wściekłości w żaden sposób nie wpływały na Grace. Dziewczynka zawsze wydawała się nieco oddalona od rzeczywistości, jakby cierpienie było doświadczeniem innych, bardziej przyziemnych osób i jakby kontrolowanie emocji przychodziło jej bez najmniejszego trudu. Nie miała w stosunku do ojca szczególnych wymagań. W przeciwieństwie do Leonory i Alicji nie chciała, aby czytał jej bajki na dobranoc. Woląca leżeć w ciemności i cicho śpiewać melodyjne piosenki, rozmawiać z zaprzyjaźnionymi duchami albo oglądać zdjęcia w kolekcjonowanych przez Cecila egzemplarzach magazynu National Geographic. Drażniło to Cecila, który zupełnie nie rozumiał najmłodszej córki, największy lęk budził w nim jednak wyraz twarzy Grace, kiedy czasami na niego patrzyła. Przekrzywiła wtedy lekko głowę i uśmiechała się ze współczuciem i całkowitym zrozumieniem.

- Twój gniew szkodzi tylko tobie, tatusiu - powiedziała któregoś dnia, gdy nakrzyczał na nią za to, że go obserwuje. - Gdybyś nie pił tyle tej mikstury złej czarownicy, byłbyś znacznie szczęśliwszy...

Cecil bezradnie potrząsnął głową i wypadł z pokoju, a dziewczynka westchnęła, w swym znużeniu podobna do cierplivej staruszki.

Nieco później Grace znalazła w ogrodzie pogrążoną w lekturze Audrey. Matka odłożyła książkę i wyciągnęła do niej ramiona. Dziewczynka wdrapała się na jej kolana i oparła głowę na ramieniu.

- Mamo, dlaczego tatuś jest taki nieszczęśliwy? - zapytała. Audrey nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Pytanie córeczki całkowicie ją zaskoczyło.

- Nie jest nieszczęśliwy, kochanie. Po prostu czasami życie trochę go przytłacza...

- Ależ jest nieszczęśliwy! Ten diabelski napój zmienia go w potwora. Nie znoszę, kiedy na ciebie krzyczy...

- Och, mnie to w gruncie rzeczy nie przeszkadza. - Audrey pogładziła jasne włosy Grace i ucałowała jej szerokie czoło. - Przywykłam już do tego...

- I nie lubię twojego smutku. Bo czasami jesteś smutna, prawda?

- Wszyscy miewają takie chwile.

- ja nigdy nie jestem smutna.

- Szczęściara z ciebie...
- Dlaczego jestem inna? - zapytała nagle.
- Nie jesteś inna, skarbie, jesteś wyjątkowa, niezwykła...
- Ale nikt, kogo znam, nie widzi wróżek i duchów.

- Masz niezwykle zdolności. Bóg otworzył twoje wewnętrzne oko i pozwala ci widzieć świat wibracji. Nie obawiaj się tego, na prawdę masz szczęście, bo nigdy nie będziesz się czuła samotna. - Audrey się uśmiechnęła, przypomniawszy sobie pogrzeb Isli i zgaszone świece. - Miałam siostrę imieniem Isla, wiesz? Umarła, kiedy obie byłyśmy bardzo młode... Bardzo cierpiałam, ponieważ kochałam ją całym sercem. W czasie pogrzebu czułam jej obecność w kościele. Nie widziałam jej, ale czułam, że jest tuż obok mnie. Nagle, jakby znudzona tym, że nikt jej nie dostrzega, zgasła dwie świece na ołtarzu... Było to typowe dla Isli, która nigdy nie była dobrze ułożoną panienką... Sama więc widzisz, że wcale nie jesteś taka znowu inna. Tamtego dnia Isla pokazała, że jest przy mnie. Ty możesz w każdej chwili rozmawiać z duchami, to cudowne... Ja widziałam Islę tylko raz.

- Jaka ona była?

- Miała długie jasne włosy, które spływały na ramiona i plecy błyszczącymi lokami, i lśniące zielone oczy. Na ustach zawsze trochę kpiący uśmiešek i często się śmiała. Na pewno bardzo by cię kochała.

- To chyba ta sama pani, która co wieczór przychodzi do mnie, gładzi mnie po policzku i całuje w czoło. Jest bardzo ładna i miła.

Lubię jej odwiedziny...

Audrey nie wątpiła w słowa córki. zbyt często była świadkiem manifestacji jej niezwyklej daru, aby okazywać sceptycyzm. Zamrugnęła, by powstrzymać łzy, które napłynęły do oczu i mocniej objęła Grace.

- Naturalnie, że to Isla, kochanie. Moja siostra czuwa nad tobą, jestem tego pewna. Żałuję tylko, że ja nie mogę jej zobaczyć... - rzekła drżącym głosem.

Długo siedziały w milczeniu, przytulone do siebie. Audrey wspominała Islę, potem zaś jej myśli zaczęły krążyć wokół Louisa. Kiedy ostrożnie przechyliła głowę, aby zajrzeć w twarz córeczki, spostrzegła, że Grace zasnęła.

Po powrocie do Anglii Alicia nadal z przyjemnością igrała z sercem Floriena. Była to dla niej nowa, wyjątkowo ekscytująca zabawa. Zwabiła Floriena do stodoły i kochała się z nim czule, szepcząc mu do ucha słodkie obietnice i ze łzami wyznając mu miłość, następnie całkowicie ignorowała go przez kilka dni, by potem znowu okazywać mu zainteresowanie. Florian walczył z okrutnymi falami własnych uczuć i obojętności Alicii, i nie poszedł na dno tylko dlatego, że na horyzoncie widział spokojniejsze wody, ku którym czasami usiłował płynąć.

Leonora w milczeniu obserwowała, jak Florian staje się coraz chudszy i bledszy. Nie zwracała mu uwagi, gdy sadził w ogrodzie nie te cebulki, co trzeba, lub kiedy dawał kurczakom karmę dla świń, ponieważ dobrze go rozumiała. Sama była roztargniona i smutna. Wiedziała, o co chodzi Alicii, gdyż widziała, z iloma chłopcami naraz jej siostra flirtowała w Argentynie, doprowadzając ich wszystkich do szaleństwa. Pragnęła powiedzieć Florianowi, ile warte są obietnice jego ukochanej, ale nie mogła się na to zdobyć. Była przecież siostrą Alicii, a ich matka zawsze powtarzała, że więzi rodzinne są najważniejsze i najsilniejsze. Leonora była lojalna jak wierny pies i jak zwykle nie winiła Alicii. W końcu to Bóg stworzył ją tak piękną i pełną uroku. Leonora szczerze współczuła mężczyznom, którzy oddawali serca jej siostrze. Przyjęła do wiadomości, że Florian po prostu musiał zakochać się w Alicii, ale jej serce nadal łaknęło jego miłości.

Rok minął szybko i wreszcie bliźniaczki po raz ostatni opuściły mury szkoły Colehurst House. Audrey spodziewała się, że dziewczęta wrócą do Argentyny, lecz ku jej zdumieniu i rozczarowaniu obie postanowiły zostać w Anglii. Leonora podjęła tę decyzję, powodowana miłością do Floriena, Alicia natomiast już dawno uznała, że nie wróci do Hurlingham, gdzie nie ma żadnych bogatych książąt ani hrabiów.

I wtedy umarł Henry, ojciec Audrey. Zabił go atak serca, nie oczekiwany, bez ostrzeżenia, w środku nocy. Rose pogrążyła się w rozpacz. Henry był jej bratnią duszą, kochała go przez całe życie, od wczesnej młodości. Cecil, Audrey i Grace natychmiast pośpieszyli do niej i zastali ją w jadalni, gdzie czuwała przy zapalanej świecy razem ze swoimi siostrami, Edną i Hildą. Kiedy Grace zobaczyła spoczywające na stole zwłoki dziadka, uśmiechnęła się do babki i pogładziła ją po dłoni.

- Dziadzio jest teraz z Islą, prawda? - odezwała się. Rose, wdzięczna za wiarę dziecka, znowu zalała się łzami.

- Tak, kochanie - powiedziała, wycierając policzki. - Czuję się szczęśliwsza, kiedy pomyślę, że są razem... Niedługo i ja do nich dołączę. Och, jakże się cieszę na myśl, że wkrótce ich zobaczę...

- Szkoda, że Henry nie zabrał ze sobą Herberta - syknęła Hilda do Edny.

- Najdłużej zawsze zostają z nami ci, których najmniej kochamy - odparła Edna. - Kochany Henry był dobrym człowiekiem i nie dziwię się, że Bóg chciał go już mieć przy sobie. Obawiam się, że twój mąż nieprędko odejdzie...

I ty także, siostrzyczko, pomyślała złośliwie. Edna odkryła, że wraz z upływem lat staje się coraz mniej tolerancyjna.

Po śmierci Henry'ego Cecil doszedł do wniosku, że czas wracać do Anglii. Tym razem reakcja Audrey była zupełnie inna.

- To najlepsze rozwiązanie - powiedziała. - Dziewczynki zdecydowały się na dobre zostać w Anglii, a przecież powinniśmy żyć jak rodzina, blisko siebie. Grace prawie nie zna swoich sióstr.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz - odrzekł poważnie Cecil, który w ostatnich latach rzadko się uśmiechał.

- Będę tęskniła za mamą, ciotką Edną i całym Hurlingham, ale przecież dziś podróż to żaden problem. Myślę, że mogłabym pokochać Anglię...

- Na pewno tak się stanie, to piękny kraj. Powinniśmy zacząć wszystko od nowa...

Audrey spojrzała na męża z bladym uśmiechem. Miał rację, nie mogli tak dłużej żyć, raniąc się wciąż nawzajem, ona ze swoimi wspomnieniami, Cecil z butelką whisky pod ręką...

- Po przyjeździe do Anglii nie tknę alkoholu - powiedział. - Obiecuję.

Spuściła wzrok.

- A ja zostawię tu moje wspomnienia...

Zmierzyli się zdumionymi spojrzeniami. Po raz pierwszy od wielu lat udało im się ze sobą porozumieć.

Śmierć często ofiarowuje pozostającym w smutku na ziemi niespodziewany dar - odnowioną miłość życia. Właśnie tak stało się z Audrey i Cecilem. Oboje siedzieli obok siebie na pogrzebie Henry'ego i myśleli o tym, w ilu to już podobnych nabożeństwach brali udział i w jaki sposób wpłynęło to na ich życie. Audrey wspominała ukochanego ojca i miała nadzieję, że Grace się nie myli, iż po śmierci naprawdę zaczyna się nowe życie i Henry przebywa teraz z Islą i „Słonecznym Harrym” ciotki Edny we wspaniałym raj. Drgnęła lekko, kiedy Cecil wziął ją za rękę. Wróciła myślami do tamtej chwili wiele lat temu, kiedy pierwszy raz ujął jej dłoń na spektaklu Giselle w Teatro Colon, Tym razem nie zignorowała jego gestu. Czowała, że nadszedł czas,

aby wreszcie zrezygnować z Louisa. Chciała zostawić za sobą Argentynę i wszystkie wspomnienia - kwitnące wiśniowe drzewa i dworzec, gdzie zostawiała listy, klub w Hurlingham i brukowane uliczki Palermo, ranczo Gaitana i jego milczące zrozumienie, dzięki któremu pamięć o Louisie była wciąż żywa. Szczęście zależało od niej, mogła dokonać wyboru: nadał żyć przeszłością i cierpieć lub odbudować więź, która kiedyś łączyła ją z mężem. Po zimie zawsze przychodzi wiosna, pomyślała. Powietrze było wciąż chłodne, lecz wiosna mogła nadejść łąda chwila...

Czas, aby przyznała, że to przez nią Cecil popadł w alkoholizm. Przy jej pomocy mógł porzucić nałóg. Spojrzała na niego oczami pełnymi współczucia i jeszcze raz lekko ścisnęła jego dłoń. Cecil był szlachetnym człowiekiem i wielokrotnie dawał tego dowody. Został z nią, kiedy złamała małżeńską przysięgę a potem zrobił coś, na co zdobyłoby się niewielu ludzi - wychował dziecko innego człowieka jako własne. Uważał Grace za swoją trzecią córkę i zawsze traktował ją tak samo jak bliźniaczki Jak mogła nie docenić tych faktów?

- Bardzo cię zraniłam... - wyszeptała. Jego wargi zadrżały ze wzruszenia, szybko położył na nich palec.

- Ciii... - odszepnęła ostrzegawczo. - Ktoś nas usłyszy...

- Chcę zacząć wszystko od nowa...

Tym razem skinął głową, lecz zaraz odwrócił wzrok. Alkohol stępił jego zmysły do tego stopnia, że nie był pewny, czy rzeczywiście słyszy te słowa, czy tylko je sobie wyobraża.

- Pragnę zasłużyć na twoje przebaczenie - dodała Audrey cicho. Cecil był zbyt wzruszony, aby odpowiedzieć. Była jedna rzecz, którą Audrey musiała zrobić przed wyjazdem do Anglii. Zabrała ze sobą Grace i razem pojechały pociągiem do

miasta.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Grace, z zadowoleniem wyglądając przez okno.

- Do pewnego wyjątkowego miejsca, które chciałabym ci pokazać.

- Spodoba mi się?

- Na pewno. To magiczne miejsce. Później możemy pójść na lody, jeżeli będziesz miała ochotę.

- Cudownie! - wykrzyknęła Grace. - Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczymy Cyganów, wiesz, mam?

- Tata kupił dom w pobliżu farmy cici Cicely, więc będziesz mogła widywać ich tak często, jak zechcesz.

- Myślę, że polubię Anglię.

Mówiła szczerze, lecz pierwszy raz w życiu czuła niepokój. Nie był on związany z przeprowadzką do innego kraju, nie, ten pomysł od początku przypadł jej do gustu, bała się tylko, czy duchy pojedą do Anglii razem z nią. Nie zapytała Audrey, czy w Anglii też są duchy, bo zdawała sobie sprawę, że matka nie zna odpowiedzi na takie pytania, nie chciała też pytać swoich niewidzialnych przyjaciół, bo gdyby odpowiedzieli przecząco, myśl o rozstaniu bardzo by ją zasmuciła. Uznała, że musi poczekać i sama sprawdzić, jak ułożą się sprawy, lecz myśl, że Isla mogła by nie pojawić się któregoś wieczoru, aby pocałować ją na dobranoc, naprawdę ją dręczyła.

Audrey i Grace wysiadły z pociągu na stacyjce w Palermo. Od czasu, gdy Audrey tańczyła tu z Louistem, sporo się zmieniło. Mała gospoda zniknęła, na jej miejscu wybudowano elegancką restaurację. Placyk był taki jak dawniej, otoczony tymi samymi ruderami o zakurzonych oknach i drzewami jacaranda, na których lepkie pąki zapowiadały wiosnę. Brudne okna starych budynków patrzyły na Audrey obcymi oczami, nie rozpoznawały jej po tylu latach. A jej się wydawało, że słyszy ciche dźwięki tanga. Może ktoś rzeczywiście puszczał płytę gdzieś w pobliżu, a może to tylko wiatr rozbudził dawne wspomnienia...

Grace w milczeniu patrzyła na matkę, stojącą pośrodku placu i zatopioną w myślach o innych czasach. Rozejrzała się dookoła i przyszło jej do głowy, że to miejsce wcale nie jest wyjątkowe ani miłe. Było stare, przygnębiające i ponure. Grace jak zwykle wyczuwała vibracje i teraz jej serce przepełnił smutek. Plac spowijała mgła nostalgii i Grace natychmiast domyśliła się, że ma on coś wspólnego z tańcem tanga, któremu oddawała się matka. Ujrzała, że Audrey znowu płacze, nie chciała jednak psuć tej chwili. Płacz był jak lekarstwo, babcia Rose często tak mówiła, więc Grace pozwoliła matce wypłakać się do woli, sama zaś zajęła się zabawą w pociąg i uważną obserwacją obłoczków pary, które unosiły się w powietrze z jej ust.

Audrey stała nieruchomo i wspominała. Ostatni raz wróciła myślami do chwil, które spędziła w ramionach Louisa na tym placyku. Chciała poczuć kłujący dotyk jego zarostu na czole i skroni, przytulić go mocno i żyć chwilą, nie przeszłością czy przyszłością, lecz teraźniejszością.

- Och, Louisie... - westchnęła. - Nigdy nie przestanę cię kochać, ale muszę cię tu zostawić, abyś mógł normalnie żyć...

Dookoła niej panowała martwa cisza, lecz po chwili do uszu Audrey dobiegły ciche dźwięki tanga.

- Słyszysz tę muzykę, kochanie? - zwróciła się w stronę córki. Grace podbiegła do niej i przekrzywiła głowę, nastuchując. Zmarszczyła brwi.

- Jaką muzykę?

- Naprawdę nic nie słyszysz?

- Nie, mamusiu. - Grace roześmiała się i znowu zaczęła udawać lokomotywę.

Audrey uśmiechnęła się do siebie. Kiedy kilka godzin później układała się do snu, znowu usłyszała to samo tango. Muzyka ucichła na dobre dopiero w Anglii. Audrey znalazła w tym potwierdzenie, że dawne życie dobiegło końca. Przyszedł czas, aby zacząć wszystko od nowa...

Zaraz po wyjściu z samolotu Grace zaczęła rozglądać się dookoła w poszukiwaniu duchów. Wydawało się, że na lotnisku nie ma ani jednego i serce dziewczynki ścisnęło się z żalu. Nagle ogarnęło ją przerażenie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Odwracała się w prawo i w lewo, zupełnie jak goniący własny ogon pies, rozpaczliwie szukając wzrokiem jakiejś spowitej w mgiełkę istoty, ale widziała tylko ludzi z walizkami, którzy sprawiali wrażenie bytów jak najbardziej fizycznych. Cecil pomachał do Cicely, która przyjechała na lotnisko, aby ich powitać i zabrać do Dorset. Oczy Grace wypełniły się łzami. Zamrugła szybko, usiłując ukryć rozpacz. Teraz żałowała, że nie zapytała swoich przyjaciół, czy pojedą z nią do Anglii. Przynajmniej by się przygotowała na najgorsze i mogłaby się wcześniej z nimi pożegnać...

- Witaj, Grace, jestem twoją cicią - powiedziała Cicely, schylając się lekko.

Grace wyciągnęła do niej rękę. Audrey ściągnęła brwi, zaskoczona wyrazem smutku, malującym się na twarzy córeczki.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytała z zaniepokojeniem.

Kąciki ust Grace opadły w dół. Utkwiła wzrok gdzieś ponad ramieniem Cicely i wyciągnęła dłoń do uśmiechającego się do niej mężczyzny. Cicely szybko obejrzała się za siebie i znowu przeniosła spojrzenie na twarz Grace.

- Miło mi cię poznać, wujku Hugh - odezwała się Grace bez uśmiechu.

- Hugh? - Cicely wstrzymała oddech i spojrzała na Cecila.

- Z kim się witasz, kochanie?

- zapytał Cecil.

Nagle buzię Grace rozjaśnił szeroki, radosny uśmiech.

- Jesteś duchem! - wykrzyknęła, patrząc na Hugh, który uśmiechnął się w odpowiedzi i zniknął. Grace rozejrzała się dookoła.

- Totem! - zawołała, składając dłonie w zachwycie.

- Och, mamusiu, a już myślałam, że nigdy ich nie zobaczę... Jestem taka szczęśliwa!

Audrey objęła córeczkę ramieniem i uśmiechnęła się.

- Później ci wszystko wyjaśnię. - Mruknęła do bratowej.

- Mam nadzieję... - Cicely była wyraźnie poruszona. - Jeżeli Grace widziała Hugh, to ciekawe, kogo jeszcze zobaczy w moim starym domu...

Wieczorem Audrey pocałowała najmłodszą córkę na dobranoc i lekko pogłaskała jej miękkie policzki,

- Kiedy przeprowadzimy się do nowego domu, będziesz miała swoją własną sypialnię - powiedziała z czułością do małej dziewczynki, która dała jej tyle szczęścia.

- Tak się cieszę, że duchy przyjechały tu ze mną... - Grace uśmiechnęła się radośnie.

- Wcale mnie to nie dziwi, skarbie. Twoim przyjaciołom przemieszczanie się z miejsca na miejsce nie sprawia żadnego problemu, pokonanie oceanu to dla nich drobnostka.

- Wiem, ale mimo wszystko bardzo się niepokoiłam...

- Szkoda, że nic mi nie powiedziałaś.

- Kiedy znowu będę miała jakieś zmartwienie, na pewno ci powiem.

- To dobrze, bo przecież właśnie po to mnie masz...

- Naprawdę cię kocham, mamusiu - rzekła nagle dziewczynka, patrząc Audrey prosto w oczy.

Z piersi Audrey wyrwało się pełne wzruszenia westchnienie;

ponieważ Grace nigdy nie była sentymentalnym dzieckiem. Nachyliła się i wzięła ją w ramiona.

- To najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam, kochanie - powiedziała. - Ja także cię kocham, bardzo, bardzo...

Długą chwilę obejmowały się mocno, z czułością. Audrey bez słów dziękowała Bogu za wspaniały dar, jakim była Grace, a dziewczynka cieszyła się bezpiecznym ciepłem ramion matki. Potem spokojnie oparła głowę na poduszce.

- Mam nadzieję, że Isla też przyjdzie pocałować mnie na dobranoc. - Uśmiechnęła się lekko. - Dawniej miałaś takie długie włosy jak ona, prawda?

- Tak, ale teraz jestem za stara na taką fryzurę...

- Jesteś piękna, mamo.

- Ty także, skarbie, masz jednak znacznie wspanialszy dar niż uroda fizyczna, piękną duszę... -
Zawahęła się przez chwilę, ponieważ przypomniała sobie, że kiedyś usłyszała to samo od Cecila.

Zamknęła za sobą drzwi pokoju córki, lecz stała pod nimi kilka minut, dopóki nie usłyszała, jak Grace wita się ze swoją nie widzialną przyjaciółką.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - odezwała się dziewczynka. - Czułaś, że będę za tobą tęsknić, prawda?

Audrey uśmiechnęła się do siebie i westchnęła. Bardzo kochała swoje trzy córki, lecz Grace miała w sobie coś, co sprawiało, że właśnie ją darzyła najgłębszą miłością. Alicia i Leonora były teraz młodymi kobietami, a Grace nadal była dzieckiem i Audrey nie wątpiła, że na zawsze zachowa dziecięcą niewinność, którą odziedziczyła po swoim ojcu. Grace była istotą nie z tego świata i Audrey czuła, że ma obowiązek chronić ją przed rzeczywistością jak długo zdoła.

Powoli zeszła do kuchni, gdzie Leonora i Alicia rozmawiały z Cicely i ojcem. Leonora leżała na fasolowym materacyku obok Barleya, który wpatrywał się w nią zaciągniętymi mleczną mgiełką oczami starego człowieka. Ostatnio posiłki mu nawet brwi i kudły wokół nosa. Alicia siedziała na fotelu przy piecyku, popijała coca-colę i pogryzała chipsy. Na widok wchodzącej matki nagle przypomniała sobie o Mercedes.

- Mamo, czy Merchi była bardzo smutna, kiedy się z nią że gnaliście? - zapytała.

- Znasz Mercedes - odparła Audrey, unosząc brwi. - Nigdy nie lubiła okazywać uczuć, ale wydaje mi się, że była smutna. Oczywiście, mocno się już postarzała i naprawdę najwyższy czas, aby trochę odpoczęła. Wiecie chyba, że jest teraz z Oscarem?

Alicia roześmiała się serdecznie.

- Wcale mnie to nie dziwi, Oscar zawsze się do niej palił - powiedziała. - A co się stało z tą okropną papugą?

- Och, z Loro... - Audrey się zaśmiała. - Przykro mi, ale Loro nie żyje.

- Zdechł ze starości? - zapytała Leonora. Jej zawieszona tuż nad głową Barleya ręka znieruchomiła i pies zaczął natarczywie trącać ją wilgotnym nosem.

- Wpadł do garnka z wrzątkiem.

Dziewczęta wymieniły zaskoczone spojrzenia, wyraźnie poruszone. Cicely przestała mieszać sos boloński i odwróciła się twarzą do Audrey.

- Co za straszna śmierć... - powiedziała. - Przypomina mi się bażant, który pewnego wieczoru wpadł do kuchni przez otwarte okno. Znalazłam go obok piekącego się kurczaka. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby wcześniej został oskubany...

Cecil pokręcił głową. Cicely nigdy nie była zbyt wrażliwa na takie szczegóły... Kiedy później poznał Marcela, który raczył zejść ze strychu na kolację, zrozumiał, dlaczego się zmieniła. Tuż przed snem spojrzął w lustro i odkrył, że on także się zmienił;

bynajmniej nie na lepsze.

Położył się na łóżku obok żony i długo oboje trwali bez słowa, wpatrując się w ciemność i swoją przyszłość, która teraz nagle wydała im się przerażająco niepewna.

- Dorastałem w takim właśnie starym domu - odezwał się wreszcie Cecil. - Często bawiliśmy się w chowanego... Dom przypominał labirynt, złożony z samych korytarzy i małych pokoików, więc możesz sobie wyobrazić, iż było to wymarzone miejsce do tej zabawy. Zdarzało się, że któreś z nas zniknęło na całą godzinę...

Chciał dodać, że Louis czasami ukrywał się tak sprytnie, że on i Cicely nie mogli go znaleźć jeszcze po zakończeniu zabawy, do póki nie przestali się nim przejmować. Potem zostawiali go w spokoju i po prostu czekali, aż wyłoni się z jakiegoś kąta, głodny i śpiący, mocno spóźniony na kolację... Czuł jednak, że Audrey nie powinna teraz myśleć o Louisie. Tamta sprawa została daleko za nimi... Wziął żonę za rękę i przypomniał sobie, co powiedziała mu w kościele. Audrey nie cofnęła dłoni.

- Opowiedz mi coś więcej o swoim dzieciństwie - szepnęła. Kiedy zaczął malować słowami żywe, barwne obrazy, przysunęła się bliżej i przytuliła do jego boku, jak w pierwszym okresie małżeństwa. Czując ciepło jej rozbudzonego uczucia, Cecil powoli odzyskał pewność siebie. Przywołał z pamięci obraz mężczyzny, którym kiedyś był i uroczyście obiecał sobie, że zrobi wszystko, aby go odnaleźć. Tamten młody człowiek nadal żył. W uszach Cecila wciąż brzmiały pochwały, jakimi obsypywano go po udanych akcjach wojskowych. Okres długiej hibernacji dobiegł końca...

Przewrócił się na bok i pocałował Audrey. W pierwszej chwili całkowicie zaskoczona, leżała nieruchomo, sparaliżowana przerażeniem, lecz stopniowo odprężyła się i złożyła broń po wyczerpującej walce. Otoczyła szyję Cecila ramionami i znowu stała się jego żoną. Jego łagodne pieszczoty przypominały jej, dla czego go poślubiła i co sprawiło, że był jej bliski. Obejmował ją z pełnym zachwytem podziwem i kochał się z nią z czułością typową dla kogoś, kto mimo wielu cierpień i upokorzeń nie pozwolił, aby gorycz zniszczyła jego miłość.

Cecil zawsze miał nadzieję, że jeżeli odpowiednio długo będzie udawał, iż romans jego żony w ogóle nie miał miejsca, problem przestanie istnieć. Okazało się, że miał słusność.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

- Już cię nie kocham - powiedziała Alicia do Floriena.

Patrzyła na jego poszarzałą twarz, w której tylko brzegi policzków i uszy pulsowały czerwienią, zupełnie jakby cała krew odpłynęła właśnie w te miejsca. Florian zaniemówił; chociaż jeszcze przed chwilą najwyraźniej zamierzał jej się oświadczyć.

Po ukończeniu szkoły Leonora podjęła pracę na farmie ciotki Cicely - w zamian za pomoc w ogrodzie miała zapewnione wyżywienie i mieszkanie. Chociaż Audrey i Cecil kupili dom w położonej niedaleko niewielkiej wiosce nad morzem, Leonora uznała, że wygodniej jej będzie nadal mieszkać u ciotki. Alicia spędziła jeden rok w szkole z internatem w Szwajcarii, ucząc się jeździć na nartach, mówić po francusku i uwodzić mężczyzn, której to sztuki nie miała szans udoskonalić u boku Floriena, w stodole w Dorset. Do Le Rosay w Morges przyjeżdżali po naukę bogaci, przystojni mężczyźni z całego świata, lecz ich umysły najczęściej pochłonięte były zupełnie innymi sprawami niż algebra.

Florien czekał. Rzucił ponure spojrzenia spod grzywy włosów, mówił niewiele i prawie się nie uśmiechał. Nawet Leonora nie potrafiła do niego dotrzeć. Każdego dnia jej serce krwawiło od nowa, kiedy widziała, jak ciemne cygańskie oczy Floriena szukają Alicii, o której ani na chwilę nie przestawał myśleć, oczarowany jej mrocznym urokiem. Udawała, że nie zwraca uwagi na rozdrażniony, ostry ton, którym czasami się do niej odzywał, ale później związała się w kłębek na łóżku i lizała rany jak chory pies. Wiedziała, że powinna wyjechać i poszukać jakiegoś miejsca, gdzie nic nie będzie jej przypominać o jego obojętności, lecz nie mogła tego zrobić. Nie kochał jej, ale przynajmniej mogła cieszyć się jego towarzystwem, a to było lepsze niż nic.

Wiele razy chciała porozmawiać z matką o swoim zbolełym sercu, obawiała się jednak, że nie zrozumiałaby jej. Matka nigdy nie kochała ani nie pragnęła nikogo tak jak ona, Leonora, a poza tym już od lat nie rozmawiały ze sobą o tym, co czują. Nie potrafiły porozumiewać się tak łatwo i otwarcie jak dawniej. Miejsce Leonory w życiu Audrey zajęła Grace.

Alicia wróciła opalona i jeszcze piękniejsza niż przed wyjazdem, i zaczęła okazywać Florianowi zainteresowanie w taki sposób, jakby był psiakiem, którego na czas nieobecności zostawiła na przechowanie u sąsiadów. Znowu kochali się w stodole i w kabinie przy basenie, dopóki Alicia nie znudziła się tymi miejscami i nie uznała, że lepiej i bardziej ekscytująco będzie im w lesie lub na polu. Florian odzyskał dobry nastrój, jego oczy rozbłyły, a uśmiech rozjaśnił twarz i przywrócił zdrową barwę policzkom. Znowu zaczął zauważać obecność Leonory, bo nagle cały świat wydał mu się interesujący i przyjazny, nie myślał jednak o niej nawet wtedy, gdy rozmawiał z nią i śmiał się z jej żartów. Był pijany miłością, a źródłem jego szczęścia była Alicia.

Mimo tego Leonora także poczuła się lepiej. Nie miało dla niej znaczenia, że to nie z jej powodu Florian uśmiecha się pogodnie i chętnie rozmawia - jeżeli on był szczęśliwy, to ona również.

Pobyt na wsi szybko znudził Alicię. Nie miała tu co robić, więc wyjechała do Londynu, gdzie zatrzymała się w ogromnym mieszkaniu rodziców swojej przyjaciółki Mattie w Kensington. Mattie nie śmiała zaproponować jej, aby płaciła za wynajęcie pokoju, bo wiedziała, że Alicia się obrazi. Przywykła przecież, że zawsze dostaje to, na co ma ochotę. Nawet sprzedawcy w sklepach z żalem przyjmowali pieniądze od tak wyjątkowo pięknej młodej kobiety i często sprzedawali jej towar z dużym rabatem. A ona doskonale wiedziała, kiedy warto oczarować ofiarę, choć najczęściej nie chciało jej się fatygować. Jej nastroje ulegały częstym zmianom, w jednej chwili była podekscytowana i pogodna. w następnej rozdrażniona i wściekła. Zwykle wpadała w złość bez żadnego powodu. Żyła adrenaliną i jeżeli dookoła niej nie działo się nic ciekawego, nudziła się i atakowała tych ludzi, którzy znajdowali się najbliżej.

Z Florianem mogła bez trudu skończyć o wiele wcześniej, lecz długo zwlekała. Widywała się z nim tylko w czasie weekendów lub trochę dłużej latem, kiedy uciekała z Londynu z powodu nieznośnego

upału i miejskiej duchoty. W Londynie nie brakowało interesujących młodych mężczyzn, którzy rozglądali się za pięknymi kandydatkami na żony i traktowali Alicię jak księżniczkę. Bawiła się nimi i wykorzystywała ich, a gdy się nimi znudziła, przestawała odpowiadać na ich telefony. Tylko Florian wciąż był stałym, trwałym punktem w jej ciągle zmieniającym się życiu. Wbrew sobie zaczęła darzyć go ciepłym uczuciem. Im pewniejszy siebie stawał się Florian, tym ciekawsza okazywała się jego osobowość. Alicia odkryła, że Florian składa się z czegoś więcej niż tylko z przystojnej, odziedziczonej po cygańskich przodkach powierzchowności. Był dowcipny i pogodny, inteligentny i spostrzegawczy. Alicia kochała wyłącznie siebie, więc nie mogła ofiarować Florianowi miłości, było w nim jednak coś, co ciągnęło ją do Dorset. W ramionach swoich wyrafinowanych miejskich kochanków zawsze łatwo podejmowała decyzję, że zostawi Floriana, lecz nigdy nie zrealizowała tego postanowienia. Aż do tej chwili.

- Przykro mi, ale już cię nie kocham - powtórzyła. Była wiosna, lasy wibrowały śpiewem ptaków. Alicia i Florian leżeli na miękkim materacu z trawy i leśnych dzwonek. Nie kochali się, ponieważ Alicia nie była w odpowiednim nastroju. Pożądała Floriana, ale nic nie mogła poradzić na to, że nie miał grosza przy duszy.

- To nieprawda! - Florian potrząsnął głową, nie potrafiąc pogodzić się z jej niespodziewanym wyznaniem. - Po prostu nie jestem dość bogaty i dobrze urodzony, to wszystko! Alicia skrzywiła się z niesmakiem, słysząc jego prowincjonalny akcent. Nie mogłaby związać się z kimś, kto zmierzał donikąd. Pomyślała o prywatnych jachtach i samolotach, o gorączkowym życiu ludzi bogatych i uprzywilejowanych. Wakacje na francuskiej Riwierze, wypadki na narty do St Moritz, zakupy w Paryżu... Z żalem spojrzała na Floriana. Wiedziała, że będzie go jej brakowało, ale cóż, taka była prawda - nie był dość bogaty i dobrze urodzony.

- Nie o to chodzi - skłamała. - Jesteś cudowny, ale nie pasujemy do siebie. Chcę spędzać więcej czasu w Londynie; będę przyjeżdżać tu znacznie rzadziej niż do tej pory...

- Przyjadę do Londynu. Rozeźmiała się.

- I gdzie się zatrzymasz? - Dotknęła dłoni Floriana, lecz on cofnął rękę. - Przeżyliśmy wspaniały romans, było nam ze sobą dobrze. Wszystko, co dobre, zawsze się kończy...

Florien patrzył na nią pełnymi rozpaczy oczami. Alicia zrozumiała, że mówi o rozstaniu zbyt lekkim tonem, więc szybko przybrała poważny wyraz twarzy i westchnęła ciężko, jak kobieta, która nie wie, co ma powiedzieć.

- Nie masz pojęcia, co czuję - powiedział. - Kocham cię, nie mogę bez ciebie żyć...

Mięśnie jego szyi zadrgały spazmatycznie. Przełknął ślinę, usiłując pozbyć się uczucia dławienia w klatce piersiowej. W oczach miał łzy, kąćki jego ust drżały.

- Myślałem, że jesteś zdolna do miłości, ale teraz widzę, że się myliłem. Ty nie masz uczuć jak inni ludzie... Jesteś zbyt wielką egoistką, nie możesz znieść myśli, że mogłabyś cierpieć i okazać wrażliwość. Ale zaraziłaś mnie sobą i teraz, mimo twoich wad, nie mogę bez ciebie żyć...

Wzruszyła ramionami.

- Więc co mam zrobić?

- Zamierzałem poprosić cię, żebyś za mnie wyszła - powiedział cicho, z przygnębieniem patrząc na piękny wiosenny las, który jeszcze parę minut wcześniej wydawał mu się idealną scenerią dla oświadczeń i zaręczyn.

- Cóż, chyba już ci odpowiedziałam - odparła, nie kryjąc rosnącego zniecierpliwienia. - Nie potrafię w jakiś inny sposób po wiedzieć, że jest mi przykro, bo nic nie przychodzi mi do głowy... Przykro mi, przykro mi. przykro mi...

Wstała, starannie otrzepała dżinsy i poprawiła zawiązaną na głowie jedwabną chusteczkę od Hermesa, którą podarował jej jeden z wielbicieli.

- I to wszystko? - odezwał się Florian, mrugając ze zdziwieniem. - To wszystko, co możesz mi dać w zamian za miłość?

- A czego się spodziewałeś? - Oparła dłonie na biodrach i z irytacją potrząsnęła głową.

- Nie wiem, w każdym razie nie tego...

- Skoro sam nie wiesz, to co mam na to poradzić? Właśnie z tobą zerwałam i co? Mam ci przyznać medal za udany romans;

na miłość boską?

Florien zatoczył się do tyłu, jakby go uderzyła.

- Wracam do Londynu - ciągnęła, ruszając w stronę ścieżki. - Ożeń się z Leonorą, ona jest bardziej w twoim typie, a poza tym chce zostać Cyganką, w przeciwieństwie do mnie.

- Myślałem, że mamy jakąś przyszłość...

Odwróciła się i obrzuciła go płomiennym spojrzeniem.

- Posłuchaj, nigdy cię nie kochałam, rozumiesz? Pragnęłam cię i było mi z tobą przyjemnie, bo jesteś dobrym kochankiem, ale z pewnością nie moim jedynym. Nie wyobrażaj sobie, że kiedy byłam w Szwajcarii czy w Londynie, żyłam myślą o tobie. Nie, brałam sobie kochanków, gdy miałam na to ochotę, i było ich wielu. Wszyscy dawali mi spełnienie, tak jak ty. Jedyna różnica polega na tym, że ciebie lubiłam. Byłeś dla mnie kimś więcej niż tylko pięknym ciałem. Rozśmieszałeś mnie, dobrze się razem bawiliśmy, ale to nie znaczy, że chcę spędzić z tobą resztę życia. Mamy lata siedemdziesiąte, na miłość boską!

Florien patrzył bezradnie, jak Alicia znika między drzewami. Stał nieruchomo, z szeroko otwartymi ustami i rozszerzonymi oczami. Nigdy w życiu nie czuł się taki upokorzony, tak wykorzystany i odrzucony. Był zbyt wściekły, aby płakać, dał więc upust atakowi gniewu. Kopał drzewa i walił pięściami w ich pnie. W końcu, spocony i wyczerpany, osunął się na ziemię, ukrył twarz w dłoniach i zaszczołał. Miał wrażenie, że jest pusty w środku, zupełnie jakby Alicia wydrążyła go tyżką, pozostawiając tylko skórę. Znienawidził ją całym sercem, lecz czymże jest nienawiść, jeśli nie drugim obliczem miłości. Kiedy się uspokoił, uświadomił sobie, że po odejściu Alicii nie jest już tym, kim był dawniej; nie był nawet pewny, czy w ogóle ją kochał.

Znowu schronił się w swoim ponurym świecie. Przestał się uśmiechać i zauważać obecność Leonory. Dziewczyna wiedziała, co się stało, chociaż ani Alicia, ani Florian nic jej nie powiedzieli. Florian był tak załamany, że Leonora zaczęła marzyć, aby Alicia pogodziła się z nim, bo wtedy przynajmniej znowu mogłaby z nim porozmawiać, ale tygodnie mijały, a Alicia nie przyjeżdżała. Pewnego dnia Leonora uświadomiła sobie, że od ostatniej wizyty jej siostry w Dorset minął już cały rok.

Florien zaczął się odzywać właśnie wtedy, kiedy armia błękitnych dzwoneczków znowu pojawiła się w lasach. Pamiętał dzień, w którym Alicia odrzuciła go raz na zawsze tak dokładnie, jak by to było wczoraj, a rany, jakie mu zadała, nadal krwawiły i sprawiały ból. Rozpacz, którą wciąż przeżywał, zaczęła wywierać negatywny wpływ na jego zdrowie - w ciągu minionego roku cera stała się bardzo blada, a błyszczące ciemne włosy wypadały garściami. Wreszcie któregoś dnia Florian spojrzął w lustro i przeżył wstrząs. Z przerażeniem wpatrywał się w tę obcą twarz z niechlujnym zarostem i pozbawionymi wyrazu oczami. Gdyby Alicia zobaczyła go teraz, na pewno by go nie poznała. Co gorsza, gardziłaby nim za to, że doprowadził się do takiego stanu. Jeżeli chciał ją kiedykolwiek odzyskać, musiał się ogolić, włożyć jakieś porządniejsze ubranie i zacząć wyglądać tak, jakby cieszył się życiem i bez niej. Nikt nie szanuje człowieka, który nie ma szacunku do samego siebie...

Leonora myślała, że śni, gdy zobaczyła go następnym razem. Twarz Floriena była gładko ogolona, a co więcej, uśmiechnięta.

- Przyjrzyjmy się tym roślinom, które posadziliśmy zeszłej jesieni - zaproponował, prowadząc ją do ogrodu za domem.

Leonora czuła się trochę nieswojo. Była pewna, że Alicia wróciła, bo z jakiego innego powodu Florian doprowadziłby się do porządku. Nie uśmiechał się przez cały rok... Ale szybko spostrzegła, że niespodziewana zmiana wyglądu i nastroju Floriena nastąpiła z jego własnej inicjatywy. Nie ulegało wątpliwości, że Florian zdecydował, iż trzeba zacząć żyć od nowa.

I wtedy, kiedy Leonora cieszyła się odzyskaną przyjaźnią Floriena, Cicely oznajmiła jej, że Cyganie wyjeżdżają.

- Ale Florian nic mi o tym nie mówił! - wykrzyknęła ze zdumieniem.

- Na pewno dlatego, że wciąż marzy o twojej siostrze - odparła Cicely, lekko wydymając wargi.

Od dawna dziwił ją masochizm mężczyzn, którzy wiązali się z Alicią. Przy tej dziewczynie nie mieli najmniejszych szans - Alicia była silniejsza i bardziej odporna niż oni wszyscy razem wzięci. I w znacznie lepszej od nich sytuacji, bo nie miała serca, które ktoś mógłby złamać.

- Panazel ci powiedział? - dopytywała się Leonora. - Kiedy?

- Dziś rano.

- Dokąd jadą?

- Nie wiem. Spędzili tu tyle lat, może potrzebują zmiany..

Był późny wieczór. Słońce zachodziło nad polami szumiącymi dojrzewającym zbożem, z kuchni dochodziły ciepłe zapachy smażonego steku i zapiekanki z nerek. Leonora jak zwykle siedziała na podłodze razem z psami, przebrana do kolacji. Obie kobiety czekały na Marcela, który powinien łąda chwila zejść na dół.

- Myślisz, że Florian także wyjedzie? - zapytała Leonora, usiłując ukryć smutek.

Jej głos wyraźnie się załamał. Zakasłała, wstała i nalała sobie wody do szklanki.

- Jest dorosły, więc może robić, co zechce - odrzekła Cicely, odcedzając groszek. - Florian lubi pracę na farmie, prawda?

- Tak, w każdym razie tak mi się wydaje... Od kilku miesięcy jest w znacznie lepszym nastroju.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o Marcelu - westchnęła Cicely. - Nie pamiętam już nawet, kiedy ostatni raz widziałam jego uśmiech...

Podeszła do piecyka i zerknęła na kuchenny zegar.

- Marcel zawsze jest ponury, chyba w ten sposób usiłuje zwrócić na siebie uwagę. - Leonora się roześmiała. - Przypomina karykaturę, ale jest bardzo przystojny.

- Wiesz, najpierw zakochałam się w jego twarzy - wyznała nagle Cicely. - Trudno było nie zachwycić się jego urodą... Dopiero później, kiedy lepiej go poznałam, zrozumiałam, że w tym fascynującym ciele mieszka dobry, czuły mężczyzna. Łączy nas niekonwencjonalny związek, Marcel mógłby być moim synem... Najprawdopodobniej wcześniej czy później ucieknie z jakąś kobietą w swoim wieku, ale dał mi mnóstwo radości...

- Nie mów tak, ciciu Cicely! - zawołała Leonora. - Marcel ma szczęście, że trafił właśnie na ciebie! To on powinien żyć w strachu, że uciekniesz z kimś w twoim wieku!

Cicely parsknęła śmiechem.

- Mam prawie sześćdziesiąt lat, na Boga!

- I nadal jesteś młoda i atrakcyjna. Nie powiesz mi chyba, że ludzie przestają kochać, kiedy dobiegają sześćdziesiątki! Tata jest już po pięćdziesiątkę i dalej kocha mamę do szaleństwa. Wydaje mi się, że z wiekiem miłość zaczyna smakować coraz lepiej...

- Jesteś wielką optymistką, kochanie. - Cicely pokiwała głową. Siadajmy do stołu; dobrze? Jeżeli ten natchniony Byron ze strychu nie zejdzie na czas na kolację, będzie musiał zadowolić się zimnym jedzeniem, i tyle! - Spojrzała na Leonorę i uśmiechnęła się lekko. - Sęk w tym, że lubię osobę, jaką jestem, gdy Marcel kręci się w pobliżu...

W milczeniu zabrały się do jedzenia. Leonora martwiła się, że Florian wyjedzie razem ze swoją rodziną, a Cicely w duchu złościła się na Marcela, który nie raczył zjawić się na kolację.

W ciągu wszystkich minionych lat Marcel nie pozwolił jej obejrzyć ani jednego swojego obrazu.

- Moja twórczość jest wyjątkowo ulotna - mawiał, zamykając za sobą drzwi studia.

Początkowo Cicely myślała, że jego opory wynikają z nieśmiałości, ale ostatnio coraz częściej przychodziło jej do głowy, że może Marcel w ogóle nie maluje. Wydawał się przygnębiony i dziwnie roztargniony. Florian otrząsnął się ze swoich przeżyć, natomiast Marcel był tak zamknięty w sobie i swoim ponurym nastroju, że Cicely nie wiedziała, co robić.

Po kolacji Leonora poszła do łóżka. Nie spała zbyt dobrze, nie mogła przestać myśleć o tym, co usłyszała od Cicely. Co się z nią stanie, jeśli Florian wyjedzie?

Rano zeszła na śniadanie. Psy niespokojnie kręciły się przy stole, więc Leonora rzuciła im kilka twardych herbatników, które uwielbiały. Kiedy na progu kuchni stanęła Cicely z opuchniętą twarzą i zaczerwienionymi powiekami, dziewczyna natychmiast zrozumiała, że stało się coś poważnego.

- Rzucił mnie! - jęknęła Cicely, osuwając się na fotel przy piecyku. - Nic dziwnego, że wczoraj nie zszedł na kolację! Strych jest pusty, Marcel zostawił tylko jedno płótno, oparte o ścianę. Nie obejrzałam go, nie jestem w stanie...

- Jesteś pewna, że wyjechał? - Leonora przykucnęła obok fotela i otoczyła ciotkę ramieniem. Cicely uśmiechnęła się cynicznie.

- Spakował swoje rzeczy i odszedł, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, kochanie. Dam głowę, że nie wybrał się na wakacje...

- I ostatnio nic w jego zachowaniu nie dało ci podstaw do podejrzeń, że planuje coś takiego? Cicely potrząsnęła głową i otarła łzy.

- Ostatnio prawie nie rozmawialiśmy. Sądziłam, że jeżeli zignoruję jego zły nastrój, wkrótce wszystko wróci do normy... - Zaśmiała się smutno. - Wykazałam się potworną głupotą, wierząc, że mnie kocha... To nie miało nic wspólnego z miłością. Stworzyłam mu przyjemne warunki egzystencji, Marcel kochał tylko moją kuchnię i pralkę...

- Nie bądź dla siebie taka bezlitosna, ciciu. Marcel okazał się zwykłym draniem, ale nie ma w tym ani odrobiny twojej winy.

- Żałuję, że nie zorientowałam się wcześniej, co z niego za człowiek, lecz dzięki niemu znowu poczułam się młoda i atrakcyjna. Po śmierci Hugh miałam wrażenie, że starzeję się w oczach, dosłownie z dnia na dzień... Marcel był jak książę z bajki o Śpiącej Królowej, jeden pocałunek i nagle ożyłam... - Cicely westchnęła i spojrzała na bratanicę zmęczonymi oczami. - Wszyscy mnie opuszczają, nawet moi kochani Cyganie...

Leonora zrobiła ciotce filiżankę kawy. Cicely cicho popłakiwała w chusteczkę do nosa. Tego ranka wyglądała na swoje lata, zupełnie jakby Marcel zabrał ze sobą jej młodość. Leonora zastanawiała się, dokąd Marcel pojechał i dlaczego stało się to tak

nagle.

- Zostawił list? - zagadnęła cicho.

- Nie.

- Może chciał przekazać ci jakąś wiadomość poprzez ten obraz. - Leonora przysunęła sobie krzesło i usiadła obok ciotki.

- Tak myślisz?

- Po co by go zostawiał, gdyby było inaczej? Wszystkie inne zabrał, prawda?

- Jakie inne? - Cicely prychnęła. - Wątpię, czy cokolwiek na malował przez wszystkie te lata, kiedy mnie wykorzystywał. Nigdy się nie dowiemy, co robił na strychu.

- Kiedy widziałś go ostatni raz?

- Wczoraj, w czasie lunchu.

- Nic nie wspominał o wyjeździe.

- Właśnie, ani słowem.

- No cóż... Z drugiej strony on zwykle zachowywał się dość opryskliwie. nigdy nie prowadził rozmowy, tylko wygłaszał monologi...

Cicely zakrztusiła się kawą ze śmiechu.

- Jesteś bardzo bystra, moja droga - powiedziała. - Możliwe, że Alicia jest od ciebie dużo piękniejsza, lecz to tobie przypadła cała inteligencja, jaką Bóg przeznaczył dla was obu!

- Dziękuję - odparła Leonora.

Szczerze żałowała, że Bóg nie okazał się trochę bardziej sprawiedliwy w rozdzielaniu urody. Może gdyby była ładniejsza, Florian zakochałby się w niej, nie w Alicii.

- Wiesz co? - odezwała się nagle Cicely.

- Tak?

- Z każdym dniem stajesz się ładniejsza, ponieważ w twoich rysach coraz wyraźniej odbija się twój charakter. Alicia skończy jako skwaśniała, zgorzkniała starucha, zobaczysz.

Uroda trwa dłużej niż młodość tylko wtedy, gdy ktoś ma dobre serce. Powiem ci coś teraz, bo jestem pijana smutkiem - nigdy nie lubiłam twojej siostry. To paskudna dziewczucha i zawsze taka była...

- Alicia nie jest zła, tylko samolubna. - Leonora pospieszyła z obroną. - Ale ja i tak ją kocham...

- Wiem, chociaż Bóg jeden wie dlaczego...

- To moja siostra. Przyjechałyśmy tu razem, do obcego kraju. nie miałam nikogo bliskiego poza nią.

- Biedactwo...

- Nie, wcale nie ma powodu, żebyś się nade mną użalała. Alicia jest piękna i utalentowana.

- Co to ma do rzeczy? - zirytowała się Cicely. - To potworna egoistka, która zawsze traktowała cię w okropny sposób, a ty przyjmowałaś to bez słowa protestu. Sprzedałaby własną babkę, gdyby uznała, że dobrze na tym wyjdzie, i ciebie także!

Ale Leonora tylko uśmiechnęła się i jej twarz przybrała wyraz osoby absolutnie przekonanej o słuszności własnego osądu. Na ciebie także rzuciła urok, pomyślała Cicely. I nagle po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

Pobiegła na strych, zostawiając Leonorę w kuchni, siedzącą przed piecykiem i głaszczącą bardzo już starego, prawie całkowicie oślepego Barleya. Z mocno bijącym sercem wpadła do małego studia Marcela, przerażona, co tam znajdzie. Wewnątrz powietrze wciąż pachniało Marcelem, słodkim aromatem Francji. zmieszany z zapachem farby i papieru, kurzu i duchoty, ponieważ Marcel rzadko otwierał okno. Chwilę stała w progu, rozglądając się dookoła. Widziała go, jak pracuje w łagodnym blasku świtu, wpadającym przez okno w dachu. Jej oczy spoczęły na opartym o przeciwległą ścianę obrazie. Był duży, namalowany na utwardzonym płótnie. Cicely przygryzła skórkę przy paznokciu kciuka, prawie wstrzymując oddech. Bała się, że wie, co ujrzy, kiedy odwróci obraz. Jeżeli Leonora miała rację, to Marcel postanowił przekazać jej jakąś wiadomość właśnie poprzez obraz... Powoli zrobiła kilka kroków w stronę obrazu.

Drżącymi dłońmi ujęła blejtram i upuściła obraz na podłogę. Wstrzymała oddech. Płótno przedstawiało piękną Alicię w swobodnej pozie, nagą jak ją Pan Bóg stworzył. Na widok bratanicy Cicely zadrzała z wściekłości i przerażenia. Ani przez chwilę nie sądziła, że Alicia jest niewinna, a obraz narodził się jako owoc wyobraźni Marcela. To nie było dzieło fantazji. Cicely przypomniała sobie, że wyjazd Alicii zbiegł się w czasie z początkiem fatalnego nastroju Marcela. Czyżby Alicia uwiodła nie tylko Floriena, ale i Marcela? A może także Panazela? W wyobraźni Cicely Alicia przybrała oblicze Meduzy, z masą wijących się węży zamiast włosów i oczami rzucającymi czar na każdego, kto ośmieli się w nie spojrzeć.

Cicely być może przełknęłaby jakoś świadomość, że Marcel porzucił ją dla młodszej kobiety, lecz fakt, że zostawił ją z powodu Alicii wydał jej się nie do zniesienia. Z furią kopnęła obraz, przekształcając śliczną, promieniejącą pewnością siebie twarz bratanicy w poszarpaną dziurę w płótnie.

Rozdział trzydziesty

Florien nie chciał wyjeżdżać razem ze swoją rodziną. Wiedział, że jeżeli opuści farmę Cicely, nigdy więcej nie zobaczy Alicii i jego dusza płonęła nieposkromionym, piekielnym ogniem, rozpalonym tamtego dnia wśród bel świeżego siana, kiedy kochali się po raz pierwszy. Gdy zgolił brodę i wziął się w garść po okresie przygnębienia, przysiągł sobie, że odzyska Alicię. Niezależnie od tego, jak długo to potrwa i co będzie musiał zrobić, aby dopiąć swego, Alicia wróci i na klęczkach będzie go błagać o wybaczenie. A on oczywiście jej wybaczy...

Tymczasem, chociaż usiłował skupić wszystkie swoje myśli wokół Alicji, jego serce niepostrzeżenie coraz mocniej skłaniało się ku Leonorze. Ku Leonorze, która zawsze była przy nim, Leonorze, której uczucie było całkowicie bezwarunkowe... Florian traktował jej przyjaźń jako najpewniejszy fakt swego życia i czuł się z nią tak swobodnie, że prawie jej nie zauważał, tak jak nie zauważamy starego, miękkiego koca, który użycza nam miłego ciepła. Z Leonorą jeździł konno wśród wzgórz Dorset, razem podziwiali wschody i zachody słońca oraz piękno wiecznie zmieniających się krajobrazów. Rozumiała go, ale także sprawiała, że czuł się wspaniale, a to było przecież najważniejsze. Florian siedział w kabinie traktora i czekał, aż kombajn zostanie rozładowany i przygotowany do dalszej pracy. Dzień był wyjątkowo upalny i duszny, na błękitnym niebie nie było widać nawet jednego obłoczka. Zdjął koszulę i jego brązowe plecy i piersi lśniły w słońcu. Nadal było mu za gorąco i marzył o kąpeli w basenie pani Weatherby. Nagle usłyszał znajomy dźwięk dzwonka roweru Leonory, która właśnie przywiozła mu chłodne piwo. Pomyślał o wyjeździe i jego serce skurczyło się boleśnie. Czuł, że będzie mu bardzo brakowało towarzystwa dziewczyny.

Leonora wspięła się na ogromne koło i podała mu puszkę piwa, drugą ręką wyciągając z kieszeni ogrodniczek paczkę krakersów. Nie uśmiechała się. Popatrzyła na niego poważnie dużymi, smutnymi oczami i cicho zapytała, czy to prawda, że zamierza wkrótce wyjechać.

- Obawiam się, że tak - odparł sucho, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - Tata chce przenieść się na północ.

- Ale przecież tutaj jest wam dobrze, prawda? - W jej oczach zabłyśły łzy. - Wydawało mi się, że jesteś tu szczęśliwy...

- Bo jestem. - Florian otworzył puszkę. - Nie chcę wyjeżdżać.

- Kiedy Panazel zamierza wyruszyć w drogę?

- Po zakończeniu zbiorów.

- Nie możesz zostać? - zapytała niepewnie.

Spojrzał w pociągłą, wrażliwą twarz dziewczyny i poczuł dziwne ni to drgnienie, ni to poruszenie w sercu, jakby tkwiący tam kawał lodu zaczął nagle tajać. Po raz pierwszy patrzył na nią tak uważnie i widział ją nie jako przeciętną, zwyczajną dziewczynę, lecz piękną i dziwnie mu drogą. Nie mógł pojąć, dlaczego nigdy dotąd nie zauważył, jaka jest ładna.

Leonora spuściła oczy, ponieważ jego spojrzenie odzierało ją z pewności siebie. Patrzył tak na nią po raz pierwszy...

- Dopiero kiedy coś tracimy, uświadamiamy sobie, jak wielkie ma to dla nas znaczenie - powiedział cicho, ocierając pot z czoła brudną szmatką.

Była przekonana, że Florian ma na myśli farmę jej ciotki.

- Jesteś częścią tego miejsca - zauważyła. Zerknął na nią spod gęstych rzęs.

- Nie chodzi mi o Holly Grange - rzekł bez uśmiechu, zbyt zmieszany i zaskoczony przypiętym nieznanym uczuciem. Jej twarz przybrała nagle kolor świeżego buraczka.

- Później... Później przywiozę ci jeszcze trochę zimnego piwa... - wyjąkała. - Jesteś zajęty...

Ruchem głowy wskazała wyciągnięte, gotowe do pracy ramię kombajnu. Florian przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zagrzechotał niskim charkotem, podobnym do gardłowego śmiechu starca. Leonora zeskoczyła z wielkiego koła i wsiadła na rower. Jadąc w stronę domu, zastanawiała się, o co chodziło Florianowi, jeśli nie o farmę ciotki Cicely. Chyba niemożliwe, żeby myślał o niej...

Jeszcze w drodze zdołała przekonać samą siebie, że to oczywiście zupełnie nieprawdopodobne. Florian był do szaleństwa zakochany w jej siostrze, więc jak mogła sobie wyobrażać, nawet przez chwilę, że zwrócił uwagę na nią... Potrząsnęła głową, by pozbyć się takich optymistycznych złudzeń i szybko zabrała się do pielienia grządek i łuskania groszku na kolację. Musiała także zebrać maliny i rabarbar, no i przyjrzeć się, czy nie należało by zająć się zbiorem fasoli i innych roślin strączkowych. Dzięki pomocnym dłoniom Leonory warzywniak Cicely przypominał prawdziwy róg obfitości. Nic nie sprawiało dziewczynie większej przyjemności niż praca w słońcu, ze spokojnym pomrukiem kombajnów w tle i radosnym śpiewem ptaków nad głową; lecz teraz nie mogła się na niczym skupić. Jeżeli Florian wyjedzie, zabierze ze sobą wszystko, co czyniło Holholly Grange miejscem bliskim jej sercu. Kiedy go zabraknie, nic już nie będzie tak piękne jak w tej chwili, bo to obecność Floriena sprawiała, że nawet zachmurzone niebo było dla Leonory źródłem zachwyty i codziennej radości. Nie mogła znieść tej strasznej niepewności. Pierwszy raz zazdrościła Alicii i myślała o niej ze złością. Alicia miała miłość Floriena i odrzuciła ją.

Ponieważ płody ziemi dojrzewały, Leonora miała coraz więcej pracy, lecz zawsze znajdowała trochę czasu, żeby zawieźć Florianowi chłodne piwo i krakersy, i często siadała obok niego w kabinie, gdy wracał na farmę z zebrany z bozem. Zdawała sobie sprawę, że coś się w nim zmieniło, ale nie chciała pielęgnować złudnych nadziei co do przyszłości ich przyjaźni. Florian nigdy nie wspominał o Alicii i patrzył teraz na Leonorę czujnym, skupionym wzrokiem, zupełnie niepodobnym do nieprzytomnego, roztargnionego spojrzenia, jakim obrzucał ją wcześniej. Zadawał jej wiele pytań dotyczących życia w Argentynie, uczuć i marzeń, i naprawdę słuchał odpowiedzi.

Wreszcie pewnego wieczoru pod koniec zniw wyciągnęła się obok niego na trawie, patrząc w usiane gwiazdami niebo i wspominając cudowne dni wczesnego dzieciństwa w Hurlingham, a także późniejsze przykre przeżycia w szkole Colehurst House i stopniowo odkrywaną miłość do przyrody.

- Nie chciałabym mieszkać w mieście, dusiłabym się wśród ciasnych ulic...

- Ja także - powiedział Florian. - Nienawidzę spalin i hałasu.

- I ten chaos, kiedy wszyscy gonią za czymś i nie mają czasu dla innych...

- Zawsze mieszkałem na wsi. Nie wyobrażam sobie życia

w mieście.

- Dokąd pojedziesz? - zapytała, czując znajomy ból, ściskający jej serce.

- Gdy byłem mały, jeździliśmy od farmy do farmy w Yorkshire. Teraz tata chce tam wrócić.

- Dlaczego? Florian westchnął.

- Długo trzymał się pani Weatherby, bo ją lubi i praca u niej bardzo mu odpowiadała, ale przecież wiesz, że ona zamierza sprzedać farmę...

- Nic nie wiedziałam! - wykrzyknęła Leonora.

- Może ci nie powiedziała, bo ciebie to nie dotyczy. Zatrzyma dom, ale pola chce kupić sąsiad, który już teraz uprawia większą część jej ziemi. On ma naprawdę dużą posiadłość. Na rolnictwie można zarobić tylko wtedy, kiedy ma się sporo ziemi, a farma twojej ciotki jest niewielka...

Leonora umilkła i wbiła wzrok w czarne, połykające gwiazdami niebo.

- Marcel ją porzucił - powiedziała cicho.

- Wiem. Ostatnio marnie wygląda.

- Bo jest zrozpaczona i przygnębiona...

- Dlaczego uciekł? - zapytał Florian.

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego Twój ojciec chce przenieść się na północ, zapragnął zmiany powietrza. otoczenia, sama nie wiem...

- Marcel mógłby być jej synem.

- Ale ona go kochała...

- Miłość jest dziwna, prawda?

Nagle Floriena ogarnęło zupełnie nowe uczucie, które w niczym nie przypominało demonicznej zaborczości, jaką wywoływała w nim bliskość Alicii. Było to coś łagodnego, ciepłego i nie co smutnego. Leżeli obok siebie w milczeniu. Florian usiłował się zorientować, skąd się wzięło takie uczucie, a Leonora rozmyślała o niepewnej przyszłości. Po chwili ostrożnie ujął jej dłoń.

Leonora bała się odetchnąć i mrugnąć, aby nie zepsuć tej chwili. Zamknęła oczy i szybko powiedziała sobie, że Florian ofiarowuje jej tylko przyjaźń, nic więcej. Nie śmiała nawet marzyć o głębszym zaangażowaniu z jego strony. Lekko ścisnęła jego rękę i przełknęła ślinę, próbując opanować rozbudzone pragnienia, lecz Florian ujrzał nagle światło, niczym święty Paweł na drodze do Damaszku. Niezwykle ciepło wypełniło go całego, miał ochotę śmiać się z radości i na kolanach dziękować za tę wielką łaskę. Przewrócił się na bok i zajął w twarz Leonory, a potem ją pocałował. Porażona, leżała nieruchomo, sztywna jak kawałek drewna.

Kiedy uniósł głowę i spojrzał na nią ponownie, zobaczył, że jej twarz otworzyła się jak słonecznik w promieniach słońca. W złocistym świetle dogasającego ogniska wyglądała przepięknie, jakby jego pocałunek zupełnie ją przeistoczył. Uśmiechnęła się do niego czule i nieśmiało, a jej miłość natchnęła go nową energią, tak że poczuł się silny jak Herkules. Alicja pozbawiła go męskości, lecz Leonora przywróciła mu żywotność i przekonanie o własnej wartości. Pocałował ją znowu, ale tym razem Leonora nie pozostała bezczynna - otoczyła jego szyję ramionami i odpowiedziała na pocałunek. - Byłem takim głupcem! - wykrzyknął po chwili, całując jej skroń i wdychając słodki, naturalny zapach miękkich włosów.

- Wcale nie jesteś głupcem - zamruczała cicho.

- Teraz już nie. Nigdy więcej nie zrobię nic głupiego!

- Ależ zrobisz, i to nieraz... Życie to szkoła, która nigdy się nie kończy, więc nie wyobrażaj sobie, że już zostałeś absolwentem... - Zaśmiała się lekko, czując, jak jego zarośnięty podbródek drapie jej szyję.

- Jak mogłem cię wcześniej nie zauważyć? Zupełnie tego nie rozumiem. - Pokręcił głową i spojrzał jej prosto w oczy. - Zawsze mnie kochałaś, prawda?

Skinęła głową.

- I zawsze będę cię kochać.

- Kocham cię - powiedział. - Wydawało mi się, że kocham Alicię, ale teraz rozumiem różnicę... - Chwył jej dłoń i położył na swoim sercu. - Różnica kryje się tutaj...

Opanowany rozpaczliwą potrzebą nadrobienia straconego czasu i zyskania pewności, że już zawsze będzie z Leonorą, poprosił ją o rękę. Ku zaskoczeniu ich obojga jego oświadczyzny wcale nie wydały im się przedwczesne.

- Tak, wyjdę za ciebie - odparła, powstrzymując łzy radości. - Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę... Kocham cię od tak dawna, że już przyzwyczałam się do braku wzajemności...

- Nigdy więcej nie będziesz musiała o tym myśleć. Zamierzam poświęcić całe życie, by uczynić cię szczęśliwą.

- Och, kochany, nie zasługuję na to...

- Bardzo się mylisz. Okazywałaś mi serce i zrozumienie od samego początku, od chwili, kiedy poznaliśmy się jako dzieci. Nie zapomnę twojej dobroci... Kochamy dokładnie te same rzeczy, zauważyłaś? Wieś, ogród, przyrodę, psy, konie i ten piękny stary dom twojej ciotki... Kochamy otwarte przestrzenie i wolność, tak jak kochają to Cyganie... Możemy pojechać wszędzie, potrzebny nam tylko wóz i konie. Nienawidzimy miast, smogu, hałasu i gwaru. Jesteśmy awersem i rewersem tej samej monety, rozumiesz? Nie urodziłaś się Cyganką, ale dzięki mnie nią zostaniesz.

Leonora była tak przepełniona szczęściem, że nie wiedziała, jak to wyrazić.

- Kiedy pojedziesz do moich rodziców? - zapytała.

- Słucham?

- Musisz poprosić tatę o moją rękę...

Florienowi nagle zrobiło się zimno. Wyobraził sobie, jak jego marzenia obracają się w ruinę. Ojciec Leonory nigdy nie pozwoli jej wyjść za Cygana...

Dziewczyna natychmiast odgadła jego obawy.

- Tata na pewno się zgodzi - powiedziała. - Alicia zachowuje się tak skandalicznie, że ojciec będzie szczęśliwy, iż przynajmniej jedna z nas założy rodzinę i zacznie normalne życie, I z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, że jesteś Cyganem...

Chciała dodać, że sama prawie nie zna swojego ojca, ponieważ od dawna widywała go tylko przez kilka tygodni w roku. Cecil od dawna nie miał żadnego wpływu na jej postępowanie.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. Martwię się nie reakcją taty, ale Alicji. Serce Floriena zabiło szybciej.

- Uważasz, że będzie niezadowolona? - zapytał.

- Tego się obawiam. Alicia jest bardzo zaborcza. Teraz nic was już nie łączy, ale kiedyś cię kochała. Nie będzie zachwycona.

- Co zrobimy?

- Nic - odrzekła zdecydowanym tonem.

Florien wyraźnie czekał na jakieś wyjaśnienie, lecz Leonora była zbyt lojalna, aby powiedzieć choćby słowo przeciwko siostrze.

- Oboje musimy postarać się o cierpliwość - dodała tylko.

- Alicia przyjedzie się z tobą zobaczyć, prawda? - zagadnął z nadzieją w głosie.

- Naturalnie, przyjedzie, kiedy tylko się o nas dowie. Niedawno wróciła z Karaibów, gdzie była ze swoim nowym narzeczonym. Nie wiem, jak się nazywa, bo Alicia zmienia partnerów jak rękawiczki, więc i tak nie ma sensu zapamiętywać ich nazwisk. Jeżeli dobrze się bawiła, ucieszy się z naszego ślubu, ale jeśli ten nieszczęsny facet ją znudził; będzie wściekła. Miejmy nadzieję, że jest zadowolona. Alicia zawsze zachowuje się lepiej, kiedy jest szczęśliwa...

Myśl o Alicji w ramionach innego mężczyzny sprawiła, że Floriena ogarnęło rozgoryczenie, ale usiłował tego nie okazywać. W jego uszach wciąż brzmiało wyznanie, które rzuciła mu w twarz tamtego wiosennego dnia w lesie: Brałam sobie kochanków, kiedy miałam na to ochotę. I było ich wielu... Te słowa nadal uwierały go i raniły dumę. Miał nadzieję, że jego zaręczyny z Leonorą zabolą Alicję. Jeszcze pożałuje, że go rzuciła... Jeszcze zapagnie, aby do niej wrócił, ale teraz jest już za późno. Florian uważał, że nie pragnie Alicji, tylko zemsty.

Następnego ranka Leonora pożyczyła samochód ciotki Cicely i pojechała do małego domku rodziców na wybrzeżu. Cicely nie ukrywała zaciekawienia, ponieważ twarz Leonory jeszcze nigdy nie była tak ładna i rozpromieniona szczęściem. Domyśliła się, że może to mieć związek z Florieniem. Tylko mężczyzna mógł sprawić, aby kobieta w jednej chwili stała się tak atrakcyjna... Kiedy teraz Cicely patrzyła w lustro, nieodmiennie dochodziła do wniosku, że przypomina nieco zakurzonego starego gada. Cóż, podobno gady charakteryzują się niezwykłą siłą przetrwania...

Leonora jechała wąską, krętą drogą, która biegła przez wioskę jak łagodny strumyk. Pod ścianami ładnych, białych domów rosły róże i malwy, nad którymi unosiły się całe roje pszczoł. Wysoko pod niebem pokrzykiwały mewy, zajęte wypatrywaniem ryb w morzu i doglądaniem uwitych na klifach

gniazd. Świeże powietrze miało słonawy posmak. Dom Cecila i Audrey stał na końcu wioski, trochę oddalony od innych domów, obok piaszczystej ścieżki, prowadzącej prosto na plażę. W wiosce panował senny spokój i tylko tłusty rudy kot drzemał w słońcu na parapecie.

Kiedy zatrzymała samochód, z domu wybiegła Grace, podskakując jak jeden z psiaków ciotki Cicely.

- Grace! - Leonora się roześmiała, chwytając siostrzyczkę w ramiona. - Dlaczego nie jesteś w szkole?

- Bolał mnie brzuch i mama pozwoliła mi zostać w domu. - Dziewczynka uśmiechnęła się jak mały chochlik.

Leonora pokręciła głową.

- Jesteś strasznie niegrzeczna - powiedziała.

Nie przeszkadzało jej, że matka rozpieszcza Grace, nie teraz, kiedy ona wychodziła za mąż. Weszła do domu i przez niewielki salon przeszła na taras. Audrey wystarczyło jedno spojrzenie na twarz córki, aby się zorientować, że wydarzyło się coś niezwykłego i podobnie jak Cicely odgadła, że przyczyną promiennego wyglądu Leonory jest miłość. Odłożyła sekator i podniosła się, aby ją przywitać.

- Wyglądasz po prostu cudownie, kochanie - zauważyła. - Co się stało?

- Najlepiej usiądź - powiedziała Leonora z radością. - Gdzie tata?

- Pojechał do miasta po jakieś narzędzia. Chce zbudować domek w ogrodzie dla Grace.

- Więc powiem ci od razu, bo chyba nie wytrzymam do jego powrotu... - Leonora usiadła na ławce obok matki. - Florian po prosił mnie, żebym została jego żoną! Jestem taka szczęśliwa, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić!

Audrey objęła córkę i przytuliła ją tak mocno, że obie musiały wstrzymać oddech.

- Och, kochanie, co za wspaniała nowina! - zawołała ze wzruszeniem.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

- Bardzo go kochasz, prawda? - Audrey odsunęła się na długość ramienia i spojrzała na Leonorę oczami lśniącymi jesiennym blaskiem.

- Tak bardzo, że aż serce mnie boli...

- Wiem, ale to cudowny ból, najbardziej niezwykłe uczucie na świecie... Tylko ono daje nam posmak raju, a przecież nikt nie zasługuje na to bardziej niż ty...

- Jestem niewiarygodnie szczęśliwa, mamo, ciągle chce mi się płakać z radości. Czy to normalne?

Obie roześmiały się ze łzami w oczach. Audrey przypomniała sobie intensywność uczuć, jakich doznawała z Louistem i nagle zatęskniła za nim całym sercem i ciałem.

- Zupełnie normalne, skarbie - odparła. - Szczęśliwa miłość to wielkie błogostawieństwo. Wychodzisz za człowieka, którego kochasz... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wiele osób nigdy nie przeżywa prawdziwej miłości... Przechodzą przez życie, szukając tego uczucia tak długo, aż wreszcie staje się to głównym celem ich istnienia, ale i tak go nie znajdują. Życie to hazardowa gra, w której czasami zupełnie nieoczekiwanie dostajesz wspaniałą kartę...

- Nie spodziewałam się, że Florian odwzajemni moją miłość.

- Byłaś cierpliwa i zostałam za to wynagrodzona...

- Czy ty też się tak czułaś, kiedy poznałaś tatę? - zapytała Leonora.

Nigdy nie rozmawiała z matką o jej uczuciach do ojca, lecz teraz, kiedy sama miała zostać mężatką, nagle poczuła zaciekawienie. Audrey milczała chwilę.

- Twój ojciec jest najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam - powiedziała. - Dobrym, uczciwym i prawym. Wiedziałałam, że jego miłość da mi szczęście, że będzie mi z nim dobrze. W młodości często pragniemy przygód i ekscytacji, lecz ja nauczyłam się cenić w ludziach mniej spektakularne cechy, takie, które nie rzucają się w oczy. Nasza miłość nigdy nie przypominała fajerwerków, ale jest to głębokie, szczere uczucie...

Leonora pragnęła opowiedzieć matce o oszałamiającym, od bierającym zdolność myślenia uczuciu, które sprawiało, że czuła się tak, jakby musował w niej szampan, lecz nagle przyszło jej do głowy, iż Audrey nie byłaby w stanie jej zrozumieć.

Kiedy Cecil wrócił z miasta, Grace czekała na niego na podjeździe. Siedziała na słońcu i bawiła się z ogrodowymi duszkami, które tańczyły wśród rosnących przed domem bladych róż. Cecil zauważył samochód, którym przyjechała Leonora, i pytająco uniósł brwi.

- Leo przyjechała niedawno - wyjaśniła Grace. - Jest teraz w ogrodzie z mamą. Ma dla was jakąś nowinę.

- Mam nadzieję, że dobrą. - Cecil zdjął z tylnego siedzenia samochodu pudło z narzędziami i pomalowanymi na żywe kolory deszczułkami.

- Oczywiście. - Grace podniosła się i podeszła do ojca. - Zawsze powtarzałam, że Leo będzie szczęśliwa... Czy to mój domek?

- Jak najbardziej.

- W takim płaskim pudle?

- Kiedy go złożę, nie będzie płaski.

- Jesteś bardzo mądry, tato.

- Twoja ciocia Cicely miała kiedyś bardzo ładny drewniany domek - powiedział Cecil. - Ty będziesz mogła zamykać w swoim duchy...

Zaśmiał się cicho i wszedł do holu.

- Duchy potrafią przechodzić przez ściany, głuptasie!

- Szkoda, że ja nie jestem duchem... - mruknął Cecil.

- Niedługo nim będziesz, bo jesteś już bardzo stary. Cecil uśmiechnął się, rozbawiony szczerością dziecka. Po przyjeździe do Anglii pozbył się duchów przeszłości, przestał pić i nauczył się kochać Grace, chociaż wcześniej wydawało mu się to niemożliwe. Nie starał się jej zrozumieć, lecz przyjął do wiadomości, że są zupełnie inni i przestał się bać niezwykłych umiejętności dziewczynki. Grace chodziła do szkoły w miasteczku i Cecil codziennie pomagał jej w odrabianiu lekcji. Siadali przy kuchennym stole i wspólnie rozwiązywali zadania arytmetyczne. uczyli się biologii i rozmawiali o królach i królowych Anglii podczas gdy Audrey przygotowywała kolację. Grace interesowała się wszystkim i im więcej wiadomości przekazywał jej Cecil. tym więcej chciała się dowiedzieć. Nauka przychodziła jej z łatwością, nigdy nie czuła się znużona. Cecil wreszcie odnalazł rolę, która bardzo mu odpowiadała - nie wierzył w ogrodowe wróżki i duchy, lecz umiał zaspokoić męczący Grace głód wiedzy. Z ogromną przyjemnością i dumą patrzył, jak córka rośnie i rozwija się pod jego opieką. Tylko Audrey zdawała sobie sprawę, że rosło także poczucie własnej wartości Cecila, ponieważ magia Grace oddziaływała i na niego.

Kiedy Leonora powiedziała ojcu, z czym przyjechała, ostrożnie postawił pudło na ziemi i poklepał ją po ramieniu.

- Wspaniała wiadomość - rzekł, ale ponieważ nie potrafił ukryć zaniepokojenia, jego słowa zabrzmiały dziwnie płasko.

Audrey od razu odgadła, o czym myślał, wyobraziła też sobie, co powiedziałyby Krokodylice na wieść o planowanym małżeństwie Leonory. Miała szczęście, ponieważ Louis nauczył ją, jak wielka jest wartość miłości i była gotowa walczyć o szczęście córki, chociaż wierzyła, że nie będzie to konieczne.

- Leonora i Florian się kochają. - Uśmiechnęła się do męża. - Znają się od dziecka, a życie w Holholly Grange pozwoliło im zrozumieć, że mają ze sobą bardzo wiele wspólnego...

- Kocham go, tato - odezwała się Leonora. - Zresztą zawsze go kochałam.

- Są sobie przeznaczeni, tatusiu - dorzuciła Grace beztroskim tonem, podskakując raz na jednej, raz na drugiej nodze i nie spuszczając z oka przywiezionego przez ojca pudła. - Wiem o tym od dawna, ale po tym, jak przepowiedziałam przyszłość Nelly, obiecałam mamie, że więcej nie będę tego robić. Zaufaj mi, wiem, co mówię.

- Myślę tylko o twojej przyszłości, Leonoro - westchnął Cecil. - Ty i Florian pochodzicie z zupełnie różnych środowisk... Dobrze się nad tym zastanowiłaś? Przemyślałaś swoją decyzję?

- Nie musiałam. - Leonora szeroko uśmiechnęła się do matki.

- Florian jest Cyganem. - Cecil potarł podbródek wierzchem dłoni.

- Ja też zostanę Cyganką. Jestem bardzo szczęśliwa, tato. Czego więcej można pragnąć?

Cecil przeniósł spojrzenie na żonę i potrząsnął głową.

- Nie spełniłbym swego obowiązku jako ojciec, gdybym nie zadał ci tego pytania, kochanie - powiedział. - Skoro jesteś szczęśliwa, to ja również. Macie moje błogosławieństwo.

Kiedy się uśmiechnął, przez chwilę przypominał olśniewająco przystojnego młodego człowieka, którym był kiedyś.

- Dziękuję! - zawołała Leonora, rzucając mu się w ramiona. Opinia ojca miała dla niej o wiele większe znaczenie, niż wcześniej sądziła.

- Mogę być twoją druhną? - zapytała Grace, nie przestając kręcić się koło pudła.

- Oczywiście - odparła Leonora. - I twoje wróżki także...

- Świetnie! Tanecznym krokiem przejdę wzdłuż głównej nawy w mojej sukience do baletu... Leonora roześmiała się pogodnie.

- Zostanę Cyganką - powiedziała. - Będę mieszkać w pięknym wozie na środku pola.

- W moich czasach młody mężczyzna o rękę ukochanej prosił jej ojca - odezwał się Cecil.

- Och. kochany, żyjemy przecież w latach siedemdziesiątych! - zauważyła Audrey. - W czasach naszej młodości wszystko było inaczej, poza tym Florian jest Cyganem i zapewne kieruje się własnym kodeksem postępowania... - dorzuciła. wyobrażając sobie, że młodzi będą chcieli wziąć ślub w lesie, zupełnie jak hipisi.

- Florian jest zbyt nieśmiały, żeby poprosić was o moją rękę. ale jemu także zależy na waszym błogosławieństwie!

- Macie je, skarbie! - zawołała Audrey. - Macie nasze błogosławieństwo. Nikt nie zasługuje na szczęście bardziej, niż ty i twój Florian.

W tym momencie Grace parsknęła śmiechem. Wszyscy od wrócili się i spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Z czego się śmiejesz, kochanie? - zapytała Audrey. Dziewczynka przewróciła oczami i zrobiła zabawną minę.

Alicia przyjedzie dziś do domu i będzie potwornie wściekła - powiedziała. - Tato, zbudujesz dla mnie ten domek. czy zostawisz go na ziemi, w tym płaskim pudle?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Grace się nie omyliła. Alicia rzeczywiście była potwornie wściekła, miała jednak dość sprytu, aby ukryć gniew w obecności sióstr i rodziców. Pogratulowała więc Leonorze, wprawdzie trochę chłodno, ale jednak, potem zaś pojechała do domu ciotki Cicely, aby zobaczyć się z Florianem.

- Nie kochasz jej! - rzuciła drwiącym tonem, kiedy w końcu znalazła go w kabinie traktora, czekającego na przesunięcie długiego ramienia kombajnu.

Florien podniósł wzrok i na widok malującej się na twarzy Alicii furii w jego oczach pojawił się triumfalny błysk.

- Kocham Leonorę - odparł spokojnie.

- I miłość do niej jest o wiele silniejsza i głębsza od tej, jaką kiedyś darzyłem ciebie...

Opanował gwałtowne pragnienie, by schwycić ją za ramiona i pocałować prosto w nadąsane usta. Jej skóra była wilgotna od potu i opalona na złocisty brąz po niedawnej wyprawie do Francji, błękitne oczy przeszywały go ostrym spojrzeniem i mimo wszystko wciąż miały nad nim władzę. Odwrócił oczy i utkwiał je w falującym złotą pszenicą polu.

- Nadal mnie pragniesz, prawda? - Alicia uśmiechnęła się złośliwie. - Jeżeli chcesz, możesz mnie mieć...

- Nie chcę cię. Pragnąłem cię mieć, kiedy byłem chłopcem. ale od tamtego czasu zdążyłem dorosnąć.

Roześmiała się pogardliwie, a on skulił się wewnątrz, upokorzony i zraniony jej wzgardą. Wciąż umiała sprawić, by poczuł się tak mały jak jedno z ziaren pszenicy, leżących na podłodze kabiny. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś zmusiła go do zabicia kurczaka i skrzywił się lekko.

- Nie pochlebiaj sobie! - warknął.

Alicia podeszła bliżej, jej twarz przybrała łagodny wyraz.

- Nie muszę - szepnęła. - Jesteś jeszcze przystojniejszy niż mi się wydawało... I silniejszy. Praca na farmie dobrze ci robi. Nie rozmawiajmy o miłości...

- Chyba powinnaś już pójść - powiedział słabo. Jednym szybkim ruchem znalazła się tuż przy nim i usiadła

mu na kolanach. Znowu roześmiała się głośno, wyczuwając jego

podniecenie przez gruby materiał dżinsów.

- Wcale nie chcesz, żebym sobie poszła! - zachichotała, sadowiąc się wygodniej i ocierając o niego. - Pożądania nie da się ukryć, mój drogi...

Upokorzenie Floriena było tak głębokie, że musiał wziąć ją brutalnie i szybko, natychmiast. Nie widział innego sposobu, aby odzyskać kontrolę nad sytuacją. Otoczył dłonią jej szyję i pocałował ją. Odpowiedziała triumfalnym śmiechem, podniecona jego wściekłością i siłą. Dobrze znała potęgę swego uroku, lecz nic nie sprawiało jej większej przyjemności, jak pozyskiwanie oczywistych dowodów, że czar wciąż działa. Nie obchodziło ją, że kradnie narzeczonego własnej siostry, uczucia innych ludzi nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko jej poczucie wyższości nad Leonorą oraz wieloma kobietami, których mężczyzn udało jej się uwieść. Owładnięta przekonaniem o

własnej wszechmocy, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Uniosta się na kolanach, aby pozwolić mu rozpiąć spodnie i zaśmiała się głośno, gdy odsunął cieką tkaninę jej majtek i wbił się w nią gwałtownie. Zaczęła wznosić się i opadać w szybkim rytmie, Florian zaś z każdą sekundą czuł się coraz bardziej pognębiony i upokorzony. Nie potrafił zapanować ani nad nią, ani nad ciepłym pulsowaniem własnego ciała, które uśpiło jego umysł do tego stopnia, że był świadomy tylko zbliżającego się orgazmu i pożądania. Alicia mocno otoczyła ramionami jego głowę. Twarz Floriena znalazła się między jej ociekającymi potem, na wpół obnażonymi piersiami. Wdychał jej zapach i lizał skórę, czując posmak soli, perfum i jakiegoś zwierzęcego aromatu, czegoś, co stanowiło wyłącznie jej cechę. Wyrzuty sumienia dopadły go dopiero wtedy, gdy było już po wszystkim. Ramię kombajnu wyciągało się już w stronę traktora, musiał więc włączyć silnik i chwiejnie ruszyć przez pole. Obejrzał się i zobaczył Alicję, lekkim krokiem biegnącą po rżysku do samochodu, który zostawiła na drodze. Króciutka niebieska spódniczka przykrywała długie, opalone nogi zaledwie do połowy ud, loki podskakiwały na wietrze. Serce Floriena wciąż waliło jak szalone, w kroczu czuł dziwny, rozkoszny ból. Jego ciało doznało rozkoszy, lecz umysł zalewały potężne fale żalu i poczucia winy.

Jadąc w kierunku głównej drogi, Alicia dostrzegła ciotkę Cicely, zmierzającą w przeciwnym kierunku, po wyprawie do wioskowego sklepu, do którego codziennie dostarczała świeże jajka. Alicia zjechała na porośniętą trawą pobocze, aby przepuścić samochód ciotki. Przygryzła dolną wargę; miała nadzieję, że nie będzie musiała tracić czasu na rozmowę z ciotką, lecz na jej widok Cicely zahamowała, wyłączyła silnik i otworzyła drzwiczki. Z piersi Alicji wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś mi winna wyjaśnienie, młoda damo - odezwała się ciotka, nie ukrywając złego humoru.

Alicia była zaskoczona zmianą w jej wyglądzie. Cicely wyraźnie się postarzała, z jej twarzy patrzyły głęboko zapadnięte oczy zmęczonej życiem kobiety.

- Jeżeli chodzi ci o Marcela... - zaczęła Alicia.

- Oczywiście, że chodzi mi o Marcela!

- Nie zapraszałam go do Francji i to nie moja wina, że pewnego dnia ni stąd, ni zowąd pojawił się na plaży. - Alicia wzruszyła ramionami.

- Zjawił się we Francji? - zapytała ze zdumieniem Cicely.

- Mnie o to pytasz? Przecież to twój kochanek! - W głosie Alicji zabrzmiała pobłażliwa nuta. - Posłuchaj, Marcel wielokrotnie próbował mnie uwieść w czasie, kiedy mieszkałam u ciebie. Byłam wtedy dzieckiem, na miłość boską! Za każdym razem odrzucałam jego zaloty i naprawdę nic na to nie poradzę, że przyjechał do Francji, gdzie spędzałam wakacje z przyjaciółmi, i zaczął przysięgać mi miłość aż po grób i tak dalej...

- Mój Marcel?!

- Tak, twój Marcel! - Alicia westchnęła ze zniecierpliwieniem. - Kazałam mu wracać do domu, nie chciałam go...

- Co wtedy zrobić?

- Nie mam zielonego pojęcia. Byłam pewna, że wróci do ciebie... Cicely z wahaniem potoczyła wzrokiem dookoła.

- Przykro mi, że odszedł - rzekła Alicia. - Jego zniknięcie nie miało ze mną nic wspólnego, możesz mi wierzyć.

Cicely pomyślała o obrazie Marcela. W miejscu, z którego kiedyś uśmiechała się twarz Alicii, widniała teraz dziura o poszarpanych brzegach.

- Przepraszam cię, sądziłam, że było inaczej - rzuciła sucho. Nie miała za grosz zaufania do Alicii, ale Marcel był artystą, fantazja stanowiła niejako podstawę jego fachu. Cicely musiała dopuścić możliwość, że Alicia była jednak niewinna. Spojrzała w twarz dziewczyny i jej okrutne, bezduszne piękno przejęło ją chłodem.

- Nie mówił, dokąd się wybiera? - zapytała.

- Nie, ale powinnaś się cieszyć z jego wyjazdu, ciociu, na prawdę. Marcel zawsze był zupełnie bezużyteczny, a jego obrazy... Szkoda słów... Widziałaś je?

- Niestety, tak. Zostawił jeden, ale spalę go. kiedy tylko będę miała chwilę czasu, no i znajdę zapałki... Bardzo się cieszę z zaręczyn Leonory i Floriena - dodała, zmieniając temat.

Zauważyła, że przez twarz Alicii przemknął wyraz paskudnego zadowolenia z siebie.

- Są idealnie dobrani - powiedziała Alicia. - Leo od dziecka marzyła, aby zostać Cyganką i mieszkać w jednym z tych okropnych wozów... Są tak maleńkie, że trudno się w nich obrócić, ale skoro ma ją to uszczęśliwić...

- Właśnie... - Cicely bardzo nie podobał się ton bratanicy. - A co u ciebie? - Nic specjalnego. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - Dopóki nie znajdę Pana Wspaniałego, cieszę się zaletami innych mężczyzn.

Zaśmiała się głośno na myśl o grubych książeczkach czekowych wszystkich swoich kochanków, dzięki którym zwiedziła tyle egzotycznych miejsc. Ciotka Cicely lekko uniosła brwi, lecz Alicia tylko wzruszyła ramionami.

- Żyjemy w latach siedemdziesiątych - powiedziała, jakby to tłumaczyło jej rozwiąłość.

- Nie trać zbyt wiele czasu na zabawę, bo przegapisz to, co w życiu naprawdę ważne...

Alicia wymownie przewróciła oczami.

- Och, ciociu! Mówisz zupełnie jak mama, a tymczasem życie jest po prostu wspaniałe!

Odjeżdżając, przywołała z pamięci obraz Marcela w chwili, gdy pojawił się na plaży na Riwierze. Ależ śmiesznie wyglądał... Przespałaby się z nim, gdyby nie odrzucił jej rok wcześniej. Cóż, biedny głupek zmarnował swoją szansę... Zbyła go niedbałym machnięciem dłoni, jak natarczywą muchę, nie zważając na jego błagania, aby jeszcze się zastanowiła, oraz na przysięgi wiecznej miłości. Wciąż powtarzał, że przez nią nie może jeść ani

spać...

- Moje życie to jedna wielka ruina - powiedział z rozpaczą, zanim zawrócił w stronę drogi do miasta. - Porzuciłem twoją ciotkę, którą kochałem, dla mirażu...

Dobrze wiedział, że przez obraz, który zostawił w Holholly Grange, nigdy nie będzie mógł tam wrócić.

Datę ślubu ustalono na 29 października. Audrey wytarła z kurzu maszynę do szycia i zaprojektowała dla Leonory przepiękną suknię z jedwabiu w odcieniu kości słoniowej, haftowanego w stokrotki i gałązki ostrokrzewu, oraz kostium wrózki dla Grace, która miała być druhną. Panazel ofiarował synowi jeden ze swoich wozów, aby razem ze świeżo poślubioną żoną mógł zacząć nowe życie na środku tego samego pola, gdzie kiedyś się po znali, a ciotka Cicely obiecała, że będą mogli u niej zostać nawet po sprzedaży farmy, ponieważ teren wokół domu wymagał odpowiedniego utrzymania, ona zaś czuła się na to za stara, zwłaszcza teraz, po odejściu Marcela.

Nikt nie wiedział o jego burzliwym spotkaniu z Alicią w kabinie traktora, spotkaniu, do którego nigdy nie powinno było dojść. Florian stawał na głowie, by uniknąć kolejnej takiej okazji, ale wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju.

Leonora była tak szczęśliwa, że jej twarz promieniała niezwykłym pięknem. Nie była to oszałamiająca, rzucająca na kolana uroda jej siostry, lecz łagodność rysów i malujący się w nich spokój, piękno zupełnie innego rodzaju.

Chociaż lato powoli przechodziło już w jesień, Audrey wciąż chętnie chodziła na długie spacerunki po plaży. Grace była w szkole, a Cecil od niedawna pracował w pobliskim mieście, w małej firmie inwestycyjnej. W porównaniu z posiadką w Buenos Aires zarabiał niewiele, lecz utrzymanie w Anglii było tańsze niż w Argentynie. Audrey często zastanawiała się nad ich nowym życiem. Ku własnemu zaskoczeniu szybko polubiła Anglię. Łagodne wzgórza były takie zielone, zachody słońca malowane promiennymi odcieniami różu, a po deszczu niebo przybierało delikatny, nieco wodnisty kolor, jakby zostało świeżo wymyte. Piękne krajobrazy podbiły serce Audrey. Zbliżyła się do Cicely, dużo czasu spędzała z Leonorą i nawet Alicia przyjeżdżała do Dorset na prawie wszystkie weekendy. Mimo tego Audrey tęskniła za matką i wciąż boleśnie odczuwała stratę ojca. Często myślała o ciotce Ednie, której także bardzo jej brakowało. Zdawała sobie jednak sprawę, że zapłaciła niewielką cenę za odbudowę swego małżeństwa. Nigdy nie byłaby w stanie wrócić do równowagi i pogodzić się z Cecilem w Hurlingham, gdzie wszystko, także i obecność ciotki Edny, przypominało jej o popełnionych błędach.

Tu, w Anglii, dostała od życia drugą szansę i wykorzystała ją. Przebaczyła mężowi decyzję o wysłaniu bliźniaczek do szkoły w obcym kraju i została za to nagrodzona. Nie mogła udawać, że nigdy nie myśli o Louisie, lecz ani przez chwilę nie wątpiła w słuszność swego wyboru. Cecil był dobrym człowiekiem i każdego dnia stawał się jej bardziej bliski. Już prawie nie odczuwa przyćmionego bólu rozstania z Luisem. Dotrzymała danej sobie obietnicy i ani razu nie zagrała Sonaty o niezapominajce, chociaż czasami musiała walczyć z pokusą, aby usiąść przy fortepianie. Rozumiała, że to wyrzeczenie stanowi ważną część procesu powrotu do normalności.

Nie tańczyła i raz na zawsze zamknęła w szufladzie biurka oprawiony w jedwab notatnik. Tylko Grace wciąż przypominała jej o Louisie. Cecil traktował dziewczynkę jak własne dziecko i Audrey czuła coraz większy podziw dla męża, kiedy obserwowała ich razem, zupełnie innych, a jednak tak sobie bliskich.

- Grace chodzi z głową w chmurach, rozmawia z aniołami i robi różne inne głupstwa, ale nie muszę jej rozumieć, aby ją kochać - mawiał.

Audrey kochała go za to, że kochał jej córkę.

Wczesnym rankiem w dzień ślubu Leonora obudziła się przepętniona radosnym podnieceniem, Florian chory ze zdenerwowania i poczucia winy, Alicia zaś przekonana, że jej były kochanek mimo wszystko nie zdoła się na ślub z jej siostrą. Tamtego dnia w kabinie traktora było jej z nim naprawdę przyjemnie, lecz teraz rzeczywistość zbliżającej się z każdą minutą uroczystości osaczyła ją, budząc uczucie pustki. Była pewna, że Florian ją kocha. Trzymała jego serce w dłoni od pierwszej chwili, gdy się poznali, i nie miała cienia wątpliwości, że będzie ono należało do niej tak długo, jak ona tego zechce. Sęk w tym, że wcale nie była gotowa zwrócić tego trofeum Florianowi, który właśnie dziś miał poślubić jej siostrę... Alicia pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

Gdy Leonora wzięła kąpiel i ubrała się w uszytą przez matkę suknię, nawet Alicia o twarzy szarej jak październikowe niebo musiała przyznać, że wygląda pięknie. Grace skakała po pokoju w kostiumie wróżki i doprowadzała Alicję do wściekłości, co chwilę trącając ją różdżką i udając, że zamienia starszą siostrę w ropuchę. Cecil stanął na progu sypialni w eleganckim garniturze i z dumą patrzył na swoją rodzinę.

- Wyglądasz cudownie, Leonoro - odezwał się, całując córkę w czoło. - Czuję się zaszczycony, że będę mógł poprowadzić do ołtarza taką śliczną pannę młodą. Mam nadzieję, że Florian wie, jaki z niego szczęściarz...

- Oczywiście, tatusiu! - Leonora się roześmiała, - Ale ja także mam szczęście, że wychodzę za niego za mąż!

Alicja w ostatniej chwili ugryzła się w język. Wiedziała, że kilkoma słowami mogłaby zniszczyć rodzinne szczęście.

- Grace, przestań ciągle skakać, w głowie mi się kręci, kiedy na ciebie patrzę - poskarżyła się. - Każ jej przestać, mam!

Alicja nie była przyzwyczajona do tego, że nie ona, lecz Leonora znajduje się w centrum uwagi, i wcale jej się to nie podobało.

- Usiądź na parę minut. Grace - poprosiła łagodnie matka. - Zmęczysz się i zrobisz dziurę w dywanie...

Grace posłusznie przysiadła na krawędzi łóżka, ale zdążyła jeszcze ostatni raz machnąć różdżką w kierunku Alicji.

- Zła wróżka... - syknęła, mrużąc oczy. Alicia się zaczerwieniła.

- Kiedy ja zdecyduję się wyjść za mąż, będę miała uroczysty ślub i wielkie przyjęcie weselne - powiedziała szybko.

Trochę obawiała się dziwnego daru Grace. Czasami miała wrażenie, że dziewczynka przejrzała na wylot wszystkie jej mroczne sekrety.

- Jeżeli wyjdiesz za księcia swoich marzeń, na pewno tak właśnie będzie - zaśmiała się Audrey. - Nasza Leonora woli skromny ślub, prawda, kochanie?

- Tak, w obecności najbliższych - odparła Leonora. - Przykro mi tylko, że nie będzie babci i ciotki Edny. Ucieszyła mnie ich depesza z życzeniami. Mercedes przysłała trochę dziwną wiadomość...

- Jaką? - zainteresowała się Alicia.

Uważała, że Mercedes była jej przyjaciółką, nie Leonory.

- „Zawsze wiedziałam, że będziesz szczęśliwa”.

- Nie rozumiem, co mogła mieć na myśli... - z niezadowoleniem mruknęła Alicia. - Że niby ja nie będę szczęśliwa?

- Skądże znowu, kochanie! - zaprotestowała Audrey. Cecil potrząsnął głową, lecz nie skomentował kapryśków Alicii. - Kiedy wyjdiesz za męża, Mercedes prawdopodobnie przyśle ci taki sam telegram. - Poprawił krawat przed lustrem i zerknął na zegarek. - No, dobrze, myślę, że czas, abyście zbierały się do kościoła. Leonora i ja pojedziemy za wami...

Leonora uśmiechnęła się do ojca. W tej chwili nie miało dla niej znaczenia, że prawie go nie zna, bo był to dzień jej ślubu i ojciec miał poprowadzić ją do ołtarza. Audrey z aprobatą kiwnęła głową, spoglądając na wyczyszczone do połysku buty i starannie wyprasowany garnitur Cecila. Był równie przystojny i elegancki jak w dniu jej osiemnastych urodzin, kiedy zjawił się na przyjęciu w domu rodziców w Hurlingham, tyle że starszy... Jego włosy posiwiały, a zmarszczki wokół oczu i lekko, jakby ze znużenia opadające powieki zdradzały ciężkie przeżycia ostatnich lat. Mimo tego Cecil nadal wyglądał doskonale, może nawet teraz wydawał się bardziej interesujący; ponieważ gładka męska uroda zadowolonego z siebie oficera ustąpiła miejsca rysom naznaczonym doświadczeniem i mądrością. Wiek złagodził ostre kany, a los przygiął do ziemi pewność siebie... Cecil podniósł wzrok i przechwycił jej spojrzenie. Uśmiechnęła się do niego z czułością, którą on wziął za dumę. W przeciwieństwie do Louisa, Cecil nigdy nie umiał czytać w myślach Audrey, lecz odpowiedział jej niepewnym uśmiechem, nagle wzruszony widokiem swojej córeczki, która dorosła i stała się młodą kobietą, chociaż jego przy tym nie było. Nagle Grace trąciła go swoją różdżką i w jednej chwili rozwiła nostalgiczny nastrój.

- Nie zapomnij o mnie, tatusiu - rzuciła pogodnie. - Mnie także musisz poprowadzić do ołtarza!

Alicia usiłowała spojrzeć Florianowi w oczy, lecz on starannie unikał jej wzroku. Siedziała w pierwszej ławce razem z matką i ciotką Cicely i próbowała oddychać przez usta, ponieważ mdliło ją od zapachu kwiatów i świec. Siłą woli próbowała zmusić Floriana, aby na nią popatrzył, ale dręczące go poczucie winy było zbyt wielkie. Tutaj, w tym kościele, w obliczu Boga i ludzi miał przysiąc Leonorze miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Nad ołtarzem wisiała tablica z wypisanymi złotymi literami Dziesięcioma Przykazaniami i Florian czuł, jak ich słowa palą mu duszę żywym ogniem. Spuścił wzrok i szybko otarł krople potu, gromadzące się na czole i nosie. Zrobił straszną rzecz i nie nawidził siebie bardziej niż Alicię...

Organy zaczęły grać i pod balkonem chóru ukazała się Leonora, wsparta na ramieniu ojca. a za nią Grace ze swoją magiczną różdżką. Florian patrzył, jak narzeczona idzie ku niemu, z twarzą

osłoniętą przejrzystym welonem haftowanym w lilie. Poczuł, że Alicia usiłuje dosięgnąć go swą zazdrością i zmusić do ucieczki, lecz jej wysiłki umocniły go tylko w powziętym postanowieniu.

Leonora stanęła u jego boku. Spoconymi, drżącymi dłońmi podniósł lekki jak mgiełka welon i wtedy, ku jego zaskoczeniu, strach nagle go opuścił. Z wielką czułością wpatrywał się w twarz młodej kobiety, która zawsze była jego przyjaciółką. Leonora podniosła błyszczące miłością oczy i Florian uśmiechnął się doniej, poraz setny zadając sobie pytanie, jak mógł zawieść jej zaufanie.

Alicia nie spuszczała wzroku z młodej pary. Nie poznałaby miłości, nawet gdyby ujrzała jej personifikację tuż przed sobą, lecz w tym momencie zdawała sobie sprawę, że rozpaczliwie zależy jej na Florianie. Niespodziewanie w chwili, gdy młodzi składali sobie uroczystą przysięgę małżeńską, Alicia wreszcie pojęła, że jej uczucie było czymś więcej niż tylko fizycznym pożądaniem i zaborczym pragnieniem posiadania. Tak, pożądała Floriena i nie chciała oddać go nikomu innemu, lecz jednocześnie czuła coś silniejszego i gorętszego niż żądza. Chora z zazdrości i trochę zagubiona, uklękła w drewnianej ławce i pochyliła głowę. Naprawdę nie wierzyła, że Florian weźmie Leonorę za żonę...

Zaraz po ceremonii ślubnej Alicia wyjechała do Londynu, nie żegnając się z siostrą i jej świeżo poślubionym małżonkiem. Nie mogła na nich patrzeć. Znalazłszy się w domu, natychmiast zadzwoniła do jednego ze swoich bogatych kochanków i po kolacji spędziła gorączkową noc w jego łóżku, usiłując dowieść samej sobie, że Florian zupełnie się dla niej nie liczy.

Florien rozpoczął szczęśliwe życie w małżeństwie, lecz cień Alicii wciąż przesłaniał mu horyzont, przypominając o zdradzie i żądzy, która nie do końca wygasła. Leonora była urażona i smutna, że Alicia wyjechała bez pożegnania i później z jakiegoś powodu nie przyjechała się z nimi zobaczyć, ale nigdy nie skarżyła się na siostrę. Wynajdywała dla niej różne wytłumaczenia i zbywała śmiechem jej niewłaściwe zachowanie. Florian nie miał serca wyznać jej prawdy, chociaż wiedział, że przyniosłoby mu to dużą ulgę.

Kiedy stracił już prawie nadzieję, że jego obsesja na punkcie Alicii minie niczym uciążliwa choroba, Leonora zaszła w ciążę. Florian nie posiadał się z radości, patrząc na jej rosnący brzuch i uszczęśliwioną twarz. Stał się bardzo opiekuńczy. Zaniepokojony, że praca w ogrodzie mogłaby zaszkodzić jej i dziecku, zabronił jej nosić cokolwiek cięższego od młodego kurczęcia. Audrey zaczęła robić na drutach buciki według wzorów, które przysłała jej matka, a i sama Rose, chociaż po zakończeniu wojny obiecała sobie, że nigdy więcej nie zajmie się ręcznymi robótkami, teraz zrobiła wyjątek dla Leonory i znowu sięgnęła po druty. Grace położyła rękę na brzuchu siostry i przepowiedziała narodziny małego chłopca. Nikt nie wątpił w jej słowa, więc buciki zostały wykonane z błękitnej włóczki.

Gdy Audrey powiedziała Alicii, że Leonora spodziewa się dziecka, ta zwlekała cały tydzień, zanim ostatecznie zdecydowała się przyjechać do Dorset, by złożyć siostrze najlepsze życzenia. Podjechała pod dom ciotki i poszła na pole, gdzie stał doskonale utrzymany wóz Leonory, symbol wiejskiej prostoty. Ku jej zaskoczeniu przywitała ją nie Leonora, lecz Florian, zajęty robieniem wiklinowego kosza dla dziecka. Był tak pochłonięty pracą, że zauważył ją dopiero wtedy, gdy stanęła tuż nad nim i jej cień padł na trawę. Podniósł wzrok i jego twarz oblał szkarłatny rumieniec.

- Przyjechałam zobaczyć się z Leo - rzekła sucho Alicia. - Gdzie ona jest?

- W domu waszych rodziców - odparł Florian, niepewnie mrużąc oczy.

- Cóż, chyba tobie także należą się gratulacje... - zauważyła, patrząc na niego wyniośle. - Jak ci się to udało?

- Słucham?

- Myślałeś o mnie, kiedy się z nią kochałeś? Florian odłożył narzędzia i wstał, zdumiony jej niespodziewanym wybuchem.

- Lepiej wracaj do Londynu i zabierz ze sobą swoją gorycz - powiedział.

- Może najpierw pojedę do rodziców i opowiem wszystkim, jak w tajemnicy spotykaliśmy się latem zeszłego roku... A może to zniszczyłoby twoje szczęśliwe małżeństwo, co?

- Czego chcesz?

Jego pytanie zaskoczyło ją, ponieważ w gruncie rzeczy sama nie wiedziała, czego chce.

- Wydawało mi się, że chcesz zjeść ciasteczko i nadal je mieć - odparowała, uśmiechając się przebiegle. - Nie zapomniałeś chyba, co czujesz, kiedy się ze mną Kochasz?

Z satysfakcją dostrzegła błysk pożądania w jego oczach, podobny do mrocznego blasku żarzącego się węgla.

- Jestem bardzo szczęśliwy z Leonorą. Ty i ja już od dawna nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Ale nadal o mnie marzysz...

Alicja nagle zmieniła ton i Florian poczuł się rozbrojony. Miała rację, nadal o niej marzył. Często budził się przed świtem, zlany potem i pełen nienawiści do siebie. Gardził sobą za to, że pozwolił, aby ta potworna kobieta tak go opętała.

Pokręcił głową, usiadł i znowu zabrał się do pracy.

- Idź już - odezwał się cicho, nie patrząc na Alicję. - Nie zapraszałem cię, więc idź...

- Jeszcze tu wrócę - zachichotała. Poszła przez pole, czując na sobie spojrzenie jego lśniących, ciemnych oczu.

W marcu Leonora i Florian przeprowadzili się do domu ciotki Cicely, ponieważ w wozie zrobiło się zbyt zimno i ciasno dla przyszłej matki, poza tym nie było tam telefonu na wypadek, gdyby poród zaczął się w środku nocy. Dom Cicely był wprawdzie niewiele cieplejszy, ale niewątpliwie większy i wygodniejszy. Cecilowi udało się namówić młodych, aby po urodzeniu dziecka wynajęli jeden z małych domków na terenie posiadłości Cicely.

- Cygański wóz to nie miejsce dla niemowlęcia - powiedział. Leonora była rozczarowana, lecz jej matka zasugerowała, aby

postawili wóz w ogrodzie, zamieniając go w miejsce do zabawy

dla dziecka.

- Grace uwielbia drewniany domek, który zrobił dla niej Cecil - zapewniła Audrey.

- Chyba rodzę - powiedziała Leonora do Floriena. Była szósta wieczorem i właśnie napełniała wannę ciepłą wodą. Oparła dłoń na swoim nagim brzuchu i uśmiechnęła się do

męża.

- Przez cały dzień miałam lekkie bóle, które teraz powtarzają się w bardziej regularnych odstępach czasu, mniej więcej co cztery do pięciu minut. Sprawdziałam...

- Wezwać położną? - zapytał, przerażony, że dziecko urodzi się lada chwila. Najbardziej bał się tego, że będzie musiał sam przyjąć poród.

- Zadzwoń i powiedz jej, że poród się zaczął; ale potrwa jeszcze kilka godzin - odparła spokojnie. - Podobno wszystkie pierwsze dzieci raczej nie spieszą się z przyjściem na świat...

- Czy powinnaś brać teraz kąpiel?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się z czułością i lekko dotknęła policzka Floriena. - Czuję się świetnie i jestem bardzo podekscytowana. Nasze dziecko daje nam znać, że chce nas zobaczyć.

- Mam nadzieję, że nie zjawi się przed położną!

- Na pewno nie. - Leonora poklepała się po brzuchu. - Da nam jeszcze trochę czasu...

- Powiem cioci Cicely i zadzwonię do twojej mamy. Leonora weszła do wanny i pozwoliła, by ciepła woda złagodziła skurcze. Kiedy przyjechała Audrey, bóle powtarzały się co trzy minuty. Leonora uczyła się wcześniej techniki oddychania w czasie porodu i teraz szybko dyszała na łóżku, trzymając matkę za rękę, gdy tymczasem Florian aż do przybycia położnej nerwowo spacerował po sypialni. Mary była łagodną, pulchną Irlandką o otwartej twarzy i miłym, ciepłym uśmiechem.

- Nie ma powodu do obaw - zapewniła spokojnym tonem. - Jestem już na miejscu i wszystko będzie w porządku...

Kiedy wody wreszcie odeszły, Cicely i Audrey na prośbę Leonory wyszły z pokoju. Poklepały ją po dłoni i życzyły jej szczęścia, obie równie przejęte i przestraszone jak młoda matka. Florian miał pójść w ich ślady; kiedy Leonora przywołała go do siebie.

- Nie zostawiaj mnie, kochany - poprosiła. - Przejdziemy przez to razem.

I Florian został. Na początku czuł się zupełnie bezradny. Skurcze nasilały się i za każdym razem, gdy ciało jego żony naprężało się z bólu, Florian chwycił ją w ramiona, gotowy zrobić wszystko, aby ulżyć jej w cierpieniu, lecz równocześnie świadomy, że może udzielić jedynie duchowego wsparcia. Jednak w miarę jak akcja porodowa postępowała, Florian poczuł się bardziej potrzebny, ponieważ Leonora otaczała go ramionami w pasie i krzyczała, ukrywając twarz w jego koszuli. Przytulał jej głowę i gładził włosy, przepełniony miłością i rozpaczą.

- Jesteś taka dzielna... - powtarzał, całując jej skroń. - Taka dzielna...

Czas mijał szybko, odmierzany kolejnymi skurczami, aż wreszcie Leonora prawie nie mogła złapać tchu, gdyż przerwy między gwałtownymi atakami bólu stały się prawie niezauważalne.

Okres skurczów był okropny, ale niebawem musiała zacząć przeć, co okazało się jeszcze bardziej bolesne, chociaż wydawało się to prawie niemożliwe. Dziecko chciało przyjść na świat, lecz było zajęte gryzieniem piąstek i chyba nie zauważyło, że taka pozycja utrudnia wydostanie się z łona matki. Leonora parła, modliła się i krzyczała, Florian zaś szlochał, wyobrażając sobie śmierć ukochanej żony i dziecka. Kiedy chłopczyk w końcu się urodził, czerwonosiny i drżący, jego rodzice nie mogli powstrzymać łez, wzruszeni, oszołomieni i pełni zachwytu wobec cudu życia. Mary owinęła noworodka w ręcznik i ułożyła go w ramionach matki. Ciałem Floriena nadal wstrząsały dreszcze po tym najgłębszym i najbardziej dojmującym przeżyciu. Usiadł na brzegu łóżka i oparł palec na maleńkiej dłoni synka, która natychmiast uchwyciła go z całej siły.

- Popatrz, kochanie, trzyma mnie... - wyszeptał. Twarz Leonory oblał rumieniec radości, ponieważ Florian bardzo rzadko zwracał się do niej w pieszczotliwy sposób.

- Nazwałeś mnie swoim kochaniem - powiedziała, opierając głowę o jego ramię.

Florien ukrył twarz w jej włosach i pocałował ją.

- Bo jesteś moim kochaniem - odparł zachrypniętym głosem. - Nigdy nie kochałem cię tak mocno jak teraz, ale przede wszystkim czuję dla ciebie wielki podziw. Byłaś bardzo dzielna i silna. Wydałaś na świat naszego syna. Będziemy go kochali, dbali o niego i damy mu wszystko, co najlepsze. Myślę, że już nigdy nie będę taki jak przed narodzinami naszego dziecka...

- Ja także nie - szepnęła Leonora, całując wilgotną buzię synka. - Nic nie będzie dla mnie ważniejsze od niego...

- Jak go nazwiemy?

- A jakie imię chciałbyś mu nadać? - zapytała z uśmiechem.

- Panazel, po moim ojcu.

- Mały Panazel... - Z piersi Leonory wyrwało się radosne westchnienie. - Imię dziadka przyniesie ci błogostwieństwo w życiu, synku. Jesteś wyjątkowym chłopczykiem.

Kiedy następnym razem Alicia wyrwała się z Londynu i przyjechała do Dorset, Leonora i Florian urządzili się już w swoim nowym domku. Mały Panazel spał w wiklinowym koszu w sypialni pachnącej lawendą i talkiem, a Leonora krzątała się po domu, z zapalem przeobrażając go w ciepłe, przytulne miejsce. Florian przywitał Alicję w drzwiach, które właśnie malował na biało i ku jej gorzkiemu rozczarowaniu uśmiechnął się do niej chłodno jak daleki znajomy. Błysk pożądania w jego oczach zgasł raz na zawsze i Alicia zrozumiała, że Leonora zdołała w jakiś tajemniczy sposób zdobyć buntownicze serce swego męża.

- Idź na górę, jeżeli chcesz go zobaczyć - powiedział z uśmiechem. - Jest najśłodszą istotą na świecie.

- Podobno nazywacie go Panazel - rzekła Alicia.

- Nosi to imię po moim ojcu i dziadku. Wprawdzie nie mieszka w wozie, ale w jego żyłach płynie cygańska krew.

Leonora bardzo ucieszyła się z wizyty siostry i uściskała ją serdecznie.

- Gdzie ty się podziewałaś? - zawołała. - Musisz od razu obejrzeć Panazela...

Alicja poszła za siostrą na pięterko. Zauważyła, że Leonora jeszcze nie odzyskała dawnej figury, więcej, nadal wyglądała tak, jakby była w dość zaawansowanej ciąży. Poczła pewną satysfakcję, lecz jej radość nie trwała długo. Kiedy ujrzała swego siostrzeńca, jej serce ścisnęło się boleśnie. Przykucnęła i ostrożnie zajrzała do kosza. Panazel spał spokojnie, ukołyszany do snu poczuciem bezpieczeństwa i miłości. Wydał jej się piękniejszy od wszystkich dzieci, jakie widziała - skórę miał jasną i promienną jak perła, zamknięte powieki zakończone gęstymi, długimi ciemnobrązowymi rzęsami, wargi różowe i pełne, co jakiś czas drgające w lekkim, chyba nieświadomym uśmiechu.

- Jest cudowny - odezwała się cicho. - Masz wielkie szczęście...

Pierwszy raz w życiu uświadomiła sobie, że Leonora ma wszystko, czego ona pragnęła dla siebie. Mercedes miała rację i jej słowa odezwały się teraz dalekim echem w pamięci. Alicja zrozumiała, że jej życie stało się jednym wielkim złudzeniem. Leonora znajdzie szczęście, bo jej twarz nikogo nie oszuka... Piękna twarz Alicji oszukała wiele osób, a najbardziej ją samą.

Rozdział trzydziesty drugi

Następne osiem lat przyniosło mnóstwo radości Leonorze, gorzkie rozczarowanie Alicji i wiele przygód Grace, ciekawej wszystkiego, co jej mały świat mógł zaoferować.

Kiedy Grace oznajmiła rodzicom, że dostała się na studia do Trinity College w Dublinie, nikt nie był bardziej zaskoczony niż matka, która zawsze sądziła, że córka bardziej interesuje się wrózkami niż dalszą edukacją.

- Filozofia ma dużo wspólnego z wrózkami - odparła Grace z rozbawieniem.

- Ale to tak daleko! - przeraziła się Audrey.

- To godzinna podróż samolotem, mamó. Mogę nawet przylatywać do domu na weekendy.

Jednak niepokój Audrey wywołała nie tylko myśl o odległości. W Dublinie mieszkał Louis.

- Dubliński Trinity College! - ucieszyła się ciotka Cicely, od niedawna pani Fitzherbert.

Cicely wyszła za Anthony'ego Fitzherberta, swojego sąsiada, który kupił jej farmę rok po wyjeździe Cyganów. Anthony, jowialny, sympatyczny mężczyzna ze słabością do tweedów i kaszmiru, przywrócił Cicely młodość, wiarę w miłość i ukochaną farmę. Teraz Cicely uśmiechała się ze zrezygnowaną mądrością kobiety, która pokonała płomień miłości i wyszła z nich z osmalonym, lecz

wciąż bijącym sercem, gotowa z wdzięcznością przyjąć uczucie mniej namiętnego, ale za to wierniejszego mężczyzny.

- Wspaniale! - ciągnęła. - Dublin to piękne miasto, na pewno ci się spodoba... - przerwała szczotkowanie jednego z psów, aby oczyścić szczotkę z długich kudłów i rzucić je na trawę, - Psia sierść jest doskonałym budulcem na gniazda dla ptaków". Szkoda, że jest już trochę za późno na budowanie gniazd... Pisklęta są prawie dorosłe.

- Byłaś w Dublinie? - zapytała Grace, wyciągając się na trawie w ciepłych promieniach słońca.

- Tak, dwa razy. Odwiedzałam twojego stryja Louisa.

- Stryja Louisa?

- Tego dziwnego stryja, o którym nikt nie chce rozmawiać. przecież wiesz...

- Tego samego, który nauczył Leonorę grać na fortepianie - - upewniła się Grace.

- Tak jest. Tego, któremu brak szóstej klepki.

- Co on robi w Dublinie? - Grace zawsze wiedziała, że jej ojciec ma brata, ale rodzice rzadko o nim wspominali i nie mieli w domu żadnych jego zdjęć, więc znała jego twarz tylko z biało-czarnej fotografii, stojącej na fortepianie w domu Cicely.

- Przez wiele lat był tam dyrektorem Wydziału Muzycznego. Teraz jest już na emeryturze, ale w uznaniu dla jego zasług przyznali mu mieszkanie na terenie kampusu...

- Więc co robi, skoro już nie pracuje?

- Podejrzewam, że wrzeszczy na ludzi. - Cicely parsknęła śmiechem, przypomniawszy sobie złe maniery Louisa, i znowu zajęła się szczotkowaniem psa. - Straszny z niego tetryk. Jeśli jesteś go ciekawa, możesz wpaść do niego z wizytą. Na pewno bardzo się zdziwi...

- Dlaczego rodzice się z nim nie widują? Przecież to najbliższy krewny...

Cicely usiadła i zapatrzyła się w przestrzeń, usiłując znaleźć odpowiednie słowa.

- Pokłócił się z twoim ojcem, wiele lat temu, jeszcze zanim się urodziłaś. Nie wiem, o co im poszło. Kiedyś Louis mieszkał u twoich rodziców w Argentynie. Kochał siostrę twojej mamy, Isłę, która w młodym wieku umarła na zapalenie opon mózgowych. Wydaje mi się, że Audrey nigdy do końca nie przeboleła jej śmierci, zresztą Louis chyba także nie...

- Jest starszy od ciebie i taty?

- Nie, jest osiem lat młodszy od twojego ojca. Skoro Cecil ma teraz sześćdziesiąt pięć lat, to Louis musiał skończyć pięćdziesiąt siedem albo coś takiego... Miał dość nieszczęśliwe życie, głównie dlatego, że wyraźnie różni się od innych ludzi. Cóż, może spotkanie z tobą dobrze mu zrobi, kto wie...

- Nigdy się nie ożenił?

- Nie. Nigdy nie wierzyłam, że można przez całe życie kochać tylko jedną osobę, wydawało mi się, że to sentymentalne bzdury, ale Louis naprawdę zawsze kochał tę jedną, jedyną kobietę... - Cicely westchnęła ciężko, jakby z żalem. - Nigdy nie spojrzał na inną...

- To smutne. - Grace spojrzała na nią uważnie. - Każdy zasługuje na to, aby kochać i być kochanym. Gdyby nie to, świat już dawno przestałby się kręcić.

Cicely się roześmiała. Nie rozumiała Grace, ale bardzo ją lubiła.

- Może zdołasz go rozweselić - rzekła. - Sądzę, że wy dwoje porozumiecie się bez najmniejszego trudu, bo oboje wiecznie bujacie w obłokach. Aż dziwne, że dotąd się nie poznaliście...

- Mama nie chce, żebym studiowała w Dublinie.

- To dlatego, że twoje siostry zostały wysłane z Argentyny do tujejszej szkoły. Mama bardzo cierpiała z tego powodu, ale Cecil uznał, że jako rodzice powinni zapewnić im najlepsze wykształcenie, i w gruncie rzeczy miał słuszność. Gdyby Leonora nie przyjechała do Holholly Grange, nie poznałaby Floriena, prawda? A tylko pomyśl, jacy oni są szczęśliwi... Mały Panazel jest taki słodziutki, mogłabym go schrupać jak pyszną grzanekę. Uroczy mały mężczyzna, a jaki z niego psotnik... Jestem w nim śmiertelnie zakochana. Jego brat i siostra także są wspaniali, ale moje serce należy do Panazela. Urodził się w moim domu, wiesz? Może dlatego mam do niego taką słabość...

- Alicia nigdy nie będzie szczęśliwa - powiedziała Grace ze smutkiem.

Cicely znowu przerwała szczotkowanie i utkwiała wzrok w twarzy młodej dziewczyny.

- Nie opowiadaj takich rzeczy, skarbie...

- Och, nigdy nie powiedziałabym tego Alici czy mamie, możesz być pewna, ciociu! Raz popełniłam podobny błąd, kiedy byłam mała, oznajmiłam kuzynce Nelly, że zostanie starą panną. Nelly nigdy więcej się do mnie nie odezwała, ale ja wiedziałam, że tak właśnie będzie. Teraz jestem pewna, że Alicia nie zazna szczęścia. Goni za złudzeniami, wyciąga ręce po obłok, którego nigdy nie uda jej się schwytać. Nikt nie umie złapać chmury, nawet Alicia...

- Mam nadzieję, że kiedyś jednak się ustatkuje... - mruknęła Cicely.

- Będzie miała wielu kochanków, ale żaden z nich nie okaże się dla niej dość dobry. Zawsze będzie niezadowolona. Już teraz można to wyczytać z jej twarzy, nie zauważyłaś?

Grace jak zwykle miała rację. Osobowość Alicii zaczęła piętnować jej rysy, ściągając w dół kąciuki ust i nadając jej wyraz wiecznego niezadowolenia. Twarz była nadal piękna, lecz dziwnie zimna. Tymczasem Leonora z każdym dniem stawała się ładniejsza - nie była smukła ani oszałamiająco atrakcyjna, lecz krągła i promienna jak dojrzała brzoskwinia. Wychowywała trójkę dzieci z miłością i entuzjazmem, pomagając im poznawać wielki Boży ogród, tak bliski jej sercu. Dzieciaki zbierały razem z nią jabłka, gruszki, jeżyny i śliwki, przeznaczone na targ w mieście, a latem urządzały pikniki na obrzeżach pól, aby ojciec mógł przyłączyć się do nich, korzystając z paru wolnych chwil. Ich życie było proste, lecz miały wszystko, czego potrzebowały, a przede wszystkim nie brakowało im tego, co najważniejsze - miłości. W porównaniu z nimi Alicia nie miała nic.

Kiedy tylko Audrey straciła Grace z oczu, natychmiast zaczęła się martwić. - Ona nie jest podobna do innych dzieci, Cecilu - powiedziała wieczorem po wyjeździe Grace do Dublina. - To dziecko w ciele młodej kobiety...

Cecil odłożył książkę na łóżko i odwrócił się do żony.

- Grace jest dużo twardsza, niż sądzisz - rzekł. - Wcale nie myśli wyłącznie o wróżkach i aniołach.

- Och, wiem, nie zawsze chodzi z głową w chmurach, ale jest bardzo dziecinna. Nie wierzę, żeby była przygotowana do rozpoczęcia życia w prawdziwym świecie. - Audrey sięgnęła po słoiczek z kremem do twarzy, stojący na nocnej szafce.

- Musi spróbować, bo inaczej nigdy się nie dowie, czy jest przygotowana, czy też nie - odparł Cecil, zdejmując okulary.

- Wiem, że przesadzam, ale chcę chronić ją przed całym złem tego świata. - Uśmiechnęła się przepraszająco, świadoma swojej słabości.

- Alicję i Leonorę także chciałaś chronić. Grace jest naszą najmłodszą córką, więc nic dziwnego, że chciałaś jak najdłużej zatrzymać ją w domu.

- Myślisz, że nie chcę, aby dorosła?

- Nie było cię przy bliźniaczkach, kiedy dorastały - zauważył cicho Cecil. - Z mojej winy...

- Nie winię cię za to, naprawdę. - Poklepała go po dłoni. - To wszystko już minęło, mój drogi... Nie, Grace ma w sobie jakąś nieuchwytną wrażliwość, czuję, że potrzebuje mnie bardziej niż kiedyś Leonora i Alicia...

Cecil pokręcił głową i posłał żonie czuły uśmiech.

- Ty i Grace jesteście sobie bardzo bliskie, ale szczerze mówiąc, nasza najmłodsza córka jest silniejsza od Alicji i Leonory razem wziętych.

- Naprawdę tak uważasz?

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jej przekonania pozostają niezachwiane - wierzy, że po śmierci czeka na nas nowy, cudowny świat. Ja sam nie jestem tego taki pewny, ale dla człowieka w moim wieku jej postawa jest dużą pociechą... To daje Grace ogromną przewagę nad innymi. Nigdy nikogo nie potrzebowała i nadal nie potrzebuje, ponieważ jest całkowicie szczęśliwa we własnej skórze. To prawdziwe błogostawieństwo. Nie jest słaba, lecz silna, wręcz niepokonana. Nie robi nic, co pozostawałoby w niezgodzie z jej przekonaniem, albo z powodu jakiegoś chwilowego zauroczenia. Wierzę, że Grace jest w pewien sposób bliżej Boga niż my wszyscy, ponieważ pod względem usposobienia nadal przypomina dziecko. Zachowuje się tak, jakby zdawała sobie sprawę, że życie to scena - nie traktuje go zbyt poważnie. Kiedyś budziła we mnie uczucie tak wielkiej nie pewności, że zupełnie nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć, ale z czasem wreszcie zacząłem ją rozumieć, przynajmniej trochę. Grace doskonale sobie poradzi, możesz mi wierzyć.

Audrey spojrzała na niego oczami, w których malował się łagodny podziw. Wciąż nie mogła się nadziwić, że Cecil naprawdę kocha Grace jak własne dziecko.

- Uspokoileś mnie. Dzięki tobie będę mogła zasnąć...

- Ja także. Bo widzisz, moja droga, jeśli ty jesteś szczęśliwa, to ja również...

Pocałowała męża w pomarszczony policzek i ułożyła się obok niego. Wiedziała, że jego słowa wypłynęły prosto z serca.

Jednak tej nocy po raz pierwszy od wielu lat przyśnił jej się Louis, a gdy się obudziła, w jej uszach brzmiały dźwięki Sonaty o niezapominajce.

Grace wkroczyła w okres studiów ze spokojem i łatwością osoby, która uważa życie za wspaniałą przygodę. Z dziecięcym zaciekawieniem doszukiwała się pierwiastka dobra we wszystkich nowych znajomych, zaskakując wykładowców i studentów bezpośredniością i tą szczególną cechą, jaka wyróżniała ją z tłumu, a którą jej matka nazywała „przynależnością do innego świata”. Poruszała się po uczelni z typowym dla niej dystansem do rzeczywistości i chociaż była bardzo lubiana, nie zawarła żadnych bliższych przyjaźni. Jak zwykle wydawało się, że nikt nie jest jej potrzebny do szczęścia.

Była szczerze zadowolona ze studiów. Gnana nienasyconym głodem wiedzy, wchłaniała nowe wiadomości z entuzjazmem osoby, która do tej pory była pozbawiona możliwości edukacji. Uznała uniwersytet za tak ekscytujące miejsce, że czasami nie mogła zasnąć, nie z winy swoich niewidzialnych przyjaciół, którzy płatali jej łagodne figle, lecz dlatego, że w jej umyśle aż gotowało się od pytań, jakie chciała zadać wykładowcom i już nie mogła się do czekać, kiedy będzie mogła to zrobić. Wstąpiła do Stowarzyszenia Don Juana, którego członkowie w czwartkowe wieczory spotykali się w pubie, aby przy piwie i zapiekankach dyskutować o poezji, a także do Stowarzyszenia Oliviera, gdzie odkryła w sobie naturalny talent aktorski. Jej rodzice nie byli zaskoczeni tym ostatnim, ponieważ wiedzieli, że Grace grała od urodzenia. Jednak powodem wielkiej popularności Grace nie stały się jej umiejętności sceniczne, ale szczególny dar. Po tym, jak zaskoczyła kilkoro studentów dokładnością swoich przepowiedni, wszędzie oblegali ją ludzie, którzy podsuwali zegarki, bransoletki i inne przedmioty, także w końcu musiała ograniczyć się do dwóch sesji dziennie. Zdecydowanie odmawiała zaglądania w przyszłość, nauczona przykrym doświadczeniem z kuzynką Nelly

Po paru tygodniach w Dublinie Grace postanowiła złożyć wizytę zdziwaczemu stryjowi Louisowi. Znalazła go bez trudu, ponieważ wszyscy go znali lub przynajmniej o nim słyszeli.

- Jesteś jego bratanicą? - pytali ze zdumieniem, gdy o nim wspominała. - To kompletny wariat! Oczywiście nie wtedy, gdy gra na fortepianie, o nie, wtedy jest boski!

Te komentarze budziły w Grace coraz większą ciekawość. Pewnego dnia trafiła na stary, przepiękny dziedziniec, przy którym znajdowało się mieszkanie Louisa. Miejsce to wyglądało tak, jakby od ponad stu lat nic się tu nie zmieniło. Niewielkie drzwi w murze z pociemniałej cegły były obrośnięte późnymi różami, które tu wydawały się kwitnąć piękniej niż gdziekolwiek indziej. Grace wzięła głęboki oddech i zapukała. Cisza. Zaczekała chwilę, pochyliła się nad różanym krzewem i powąchała pąsowy kwiat. Wreszcie usłyszała jakieś szuranie, a potem kroki i odgłos odsuwanej zasuw. Wyobrażała sobie, że ujrzy potwora, lecz na progu stanął stary człowiek o długich siwych włosach, które opadały na ramiona potarganymi pasmami, i bardzo łagodnych błękitnych oczach. Wcale nie sprawiał wrażenia szaleńca.

- Czym mogę pani służyć? - przemówił głębokim głosem, chrzęszczącym jak żwir.

Obrzucił Grace pytającym spojrzeniem, jakby wydawało mu się, że już ją gdzieś spotkał i teraz próbował sobie przypomnieć, gdzie to było.

- Jestem pana bratanicą, nazywam się Grace Forrester - powiedziała spokojnie. - Córka Audrey i Cecila...

Długą chwilę patrzył na Grace takim wzrokiem, jakby nagle zobaczył kogoś z jej duchów, a na jego blade policzki wypełził rumieniec.

- Cicely mówiła mi, że Audrey i Cecilowi urodziła się jeszcze jedna córka - wymamrotał, ze zdumieniem kręcąc głową i pocierając palcami podbródek. - Wejdz do środka...

Kiedy prowadził ją na górę wąskimi drewnianymi schodami, wciąż się odwracał, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś uderzająco podobna do matki - powiedział cicho, gdy weszli do znajdującego się na pięterku salonu.

Wszystkie sprzęty w tym małym i ciemnym pomieszczeniu pokryte były cienką warstewką kurzu. Louis sprawiał wrażenie zdenerwowanego - postukiwał długimi palcami w kolano, a jeden kącik jego ust drgał rytmicznie.

- Naprawdę? Grace od razu zauważyła, że w jego oczach pojawił się smutek. - Potraktuję to jako komplement...

- Och, bo to jest komplement. Największy komplement, jaki możesz usłyszeć od mężczyzny. Darzę twoją matkę szczerym podziwem, większym niż przypuszczasz...

Grace zgarnęła kilka zapisanych kartek z sofy i usiadła.

- Przepraszam za bałagan, ale ostatnio rzadko przyjmuję gości - dodał Louis.

- Dlaczego? Słyszałam, że pięknie grasz na fortepianie. Powinieneś dzielić się swoim darem...

- A ty grasz?

- Tak - odrzekła pogodnie.

Większość osób byłaby zdekoncentrowana natarczym, skupionym spojrzeniem Louisa, lecz Grace nie obawiała się nikogo. Stryj wydał jej się wzruszający - wyczuła głęboki niepokój, drzemiący w jego duszy i instynkt podpowiedział jej, że mogłaby przynieść mu ulgę.

- Jak się czuje twoja matka? - zapytał, siadając na krześle, które miało tylko trzy nogi, w miejscu brakującej ktoś ułożył stosik książek.

- Dobrze, chociaż nie jest zadowolona, że postanowiłam wyjechać na studia aż do Dublina. - Grace roześmiała się tak niewinnie i czarująco, że Louis także uśmiechnął się z rozbawieniem.

Nie pamiętał już nawet, kiedy ostatni raz naprawdę się śmiał. Jego rysy ułożyły się w trwałą grymas, do którego przywykł tak bardzo, że obawiał się przełamać ten nawyk, ale Grace zupełnie go rozbroiła. Kiedy się uśmiechnął, cała jego twarz zmieniła się w jednej chwili, zupełnie jakby włączył

światło i w magiczny sposób przekształcił ciemny mały pokój w pełną słonecznego blasku oranżerię. I było mu z tym dobrze...

Jego uśmiech zaskoczył Grace, chociaż tak utalentowaną jasnowidzącą nietatwo było zaskoczyć.

- Nadal gra na fortepianie?

- Nie, nigdy...

- Kiedyś grała bardzo często.

- Tak, wiem. Teraz gra Leonora, która pamięta, jak uczyłeś ją w Buenos Aires. Wyszła za mąż za Cygana i ma troje dzieci...

Louis potrząsnął siwą głową i otwartą dłonią potarł zarośnięty podbródek. Grace zauważyła, że końce jego rzęs także posiwiały. Robiło to takie wrażenie, jakby musnął je wczesny mróz.

- Jak ten czas leci... - westchnął. - Dopiero dzieci uświadamiają nam, że lata mijają coraz szybciej. Gdyby nie one, wciąż by mi się wydawało, że miesiące wloką się bardzo powoli. Jestem już stary i mój czas należy do przeszłości...

- Wcale nie jesteś stary, stryju Louisie! Tylko wyglądasz staro, bo jesteś nieszczęśliwy! Louis znowu się uśmiechnął.

- Nie odziedziczyłeś bezpośredniości po ojcu, to pewne... - mruknął.

- Mówię, co myślę. Ukrywanie prawdy nie ma sensu, oczywiście pod warunkiem, że prawdę podsuwa nam miłość.

Louis ściągnął brwi. Nie ulegało wątpliwości, że Grace jest wyjątkową osobą.

Rozejrzała się po pokoju i dostrzegła fortepian, ledwo widoczny pod rozsypującymi się stosami manuskryptów.

- Byłeś zadowolony z pracy jako dziekan wydziału muzycznego? - zapytała.

- Lubiałem uczyć muzyki - odrzekł z westchnieniem. - Nic nie daje mi większej radości... Niestety, tego rodzaju pozycja łączy się z różnego rodzaju zasadami i regulacjami, które nie godziły się z moim poczuciem wolności. Tak czy inaczej, zarabiałem tą pracą na życie i dzięki niej do dziś mam dach nad głową,

- Nigdy się nie ożeniłeś?

- Zadajesz dużo pytań...

- Jestem ciekawa, stryju Louisie. W młodości byłeś bardzo przystojnym mężczyzną, widziałam twoje zdjęcie na fortepianie u cioci Cicely.

- Cicely nie umie grać. - Louis uśmiechnął się lekko.

- Nigdy nie słyszałam, żeby grała...

- No, właśnie! Po prostu nie umie, głupia koza!

- Ona obrzuca cię znacznie gorszymi wyzwiskami. - Grace zachichotała.

- Nie wątpię. Czy Marcel już ją rzucił?

- Dobry Boże, jesteś strasznie zapóźniony! - zawołała. - Marcel ją rzucił; co okazało się zupełnie pozytywne, bo dzięki temu wyszła za swojego sąsiada, Anthony'ego Fitzherberta. Myślę, że byś go polubił.

- Dlaczego tak uważasz? Przecież wcale mnie nie znasz! - W jego głosie znowu pojawił się ton zniecierpliwienia, zupełnie jakby próbował rzucić jej wyzwanie.

Grace uśmiechnęła się tolerancyjnie.

- Wiem, ale mam wrażenie, że znam cię od dawna. Louis popatrzył na nią ze zdumieniem. W oczach Grace wyczytał współczucie i zrozumienie, które czyniły ją jeszcze bardziej podobną do matki.

- Więc co umiesz grać? - zapytał, sztywno dźwigając się na nogi i podchodząc do fortepianu.

- Co chcesz, ale nie przepadam za grą z nut. Wolę improwizować, tak dla rozrywki.

- Ach, tak? - powiedział powoli. - Pokaż mi, jak improwizujesz.

Grace usiadła i podniosła wieko. Kiedy Louis podał jej manuskrypt, położyła go na podpórcie i zaczęła grać. Początkowo wkładała w wykonanie niewiele uczucia i tylko mechanicznie odtwarzała kolejne frazy, lecz w pewnej chwili zamknęła oczy i pozwoliła palcom biec szybciej, inaczej, chociaż nadal w stylu oryginalnego utworu. Louis nie posiadał się ze zdumienia. Nie znał nikogo, kto potrafiłby grać w ten sposób, naturalnie poza nim samym.

Kiedy dziewczyna skończyła, jego oczy były mokre od łez.

- Sprawiaś wielką przyjemność staremu człowiekowi - rzekł zachrypniętym ze wzruszenia głosem. Nagle utkwiał w jej twarzy dziwnie skupione spojrzenie.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Osiemnaście - odparła.

- W jakim miesiącu się urodziłaś?

- W październiku.

- W październiku... - powtórzył powoli, kiwając głową. - W październiku...

Prawda dotarła do niego w jednej chwili, twarda i celna jak cios między oczy. Musiał usiąść.

- Dobrze się czujesz, stryju Louisie? - Głos Grace dobiegł do niego z dużej odległości.

- Zagraj coś jeszcze... - wykrztusił. - Cokolwiek... Grasz tak pięknie, że serce pęka mi z zachwytu...
Zagraj, proszę...

I Grace zagrała. Wyczuwając jego smutek, pozwoliła, aby zrozumienie kierowało jej palcami, więc muzyka stała się odbiciem jego przygnębienia i pozwoliła mu powoli wydzwignąć się z tego stanu. Był to dopiero początek procesu zdrowienia, który miał potrwać wiele miesięcy, lecz Grace była bardzo uzdolniona i kiedy się żegnali, Louis czuł się już lepiej.

- Masz piękne róże - powiedziała Grace, wychodząc. Otworzyła swoje wewnętrzne oko i ujrzała całą grupę duszków, tańczących między gałęziami krzewów.

- Podoba im się twoja muzyka - dodała. - Nic dziwnego, że kwiaty rosną tu lepiej niż gdziekolwiek indziej...

- O kim mówisz? - zapytał Louis.

- O duchach - odparła tak naturalnie, jakby każdy mógł je zobaczyć.

Louis pokręcił głową, patrząc, jak Grace oddała się lekkim krokiem. Wszystko stało się dla niego boleśnie oczywiste. Grace nie była córką Cecila.

Louis wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Jego mały salon nadal pachniał Grace, słodkim zapachem młodości i optymizmu, zmieszany z leciutkim aromatem cytryny. Usiadł przy fortepianie i oparł palce na klawiszach. Oddychał ciężko, kąciki jego ust opadły w grymasie, do którego tak się przyzwyczaił. Powoli, jakby dając wyraz swojej cierpliwości, zaczął grać skomponowaną dla Audrey melodię. Zamknął oczy, a biały szron, który już dawno osiadł na końcach jego rzęs, zalśnił wilgotnym smutkiem. Louis skończył grać Sonatę i znowu do niej wracał. Nie dziwił się już, że Audrey zdołała przetrwać te wszystkie lata bez niego - Grace była częścią jego ciała i duszy, którą zostawił w Buenos Aires.

Tej nocy miał sen. Nie pamiętał już nawet, kiedy ostatni raz coś mu się śniło, lecz tej nocy ujrzał Grace. Siedział na polu żółtym od jaskrów, łagodne wieczorne słońce obmywało go ciepłym blaskiem i czuł wielki spokój. Grace była z nim, jej śmiech przypominał szmer pobliskiego strumienia i wypełniał go uczuciem dziwnej lekkości, aż w końcu uświadomił sobie, że unosi się nad ziemią. Chciał zostać na ziemi, lecz jednocześnie pragnął się od niej oderwać, a Grace śmiała się i śmiała, napętniając go radością, dzięki której wznosił się coraz wyżej i wyżej...

Rano obudził się nie z przygnębieniem, które sprawiało, że wstawanie z łóżka było najtrudniejszą częścią dnia, lecz z entuzjazmem, utraconym wiele lat wcześniej razem z marzeniami i uśmiechem. Miał nadzieję, że Grace znowu go odwiedzi i ta nadzieja dodawała mu sił. Wykąpał się, ogolił i oklepał policzki wodą kolońską tak starą, że butelka wydawała się oblepiona kurzem. Przestraszył się, że nie ma świeżej koszuli, ale na dnie szuflady znalazł czystą, chociaż odrobinę za ciasną, starannie wyprasowaną przez gospodynię, która przychodziła raz w tygodniu. Potem wyszedł prosto w poranne słońce i w sklepiku na rogu kupił gazety i mleko. Kiedy wrócił, Grace siedziała na progu, ubrana w sprane dzinsy i jasnożółtą koszulową bluzkę. Obok niej stał koszyk, wypełniony różnymi produktami żywnościowymi.

- Dzień dobry! - Wyraźnie ucieszyła się na jego widok. - Jest piękny dzień, więc zabieram cię na piknik, stryju. Kupiłam pieczywo, pasztet, butelkę wina i pomidory...

Louis był tak zaskoczony, że nie bardzo wiedział, co powiedzieć, lecz Grace nie czekała na odpowiedź. Podniosła się i weszła za nim do domu.

- Nie mam dziś wykładów, natomiast całe mnóstwo pytań, na które nie mogę znaleźć odpowiedzi... Pomyślałam sobie, że może zechcesz mi pomóc...

- Jaki jest twój podstawowy przedmiot? - zapytał Louis.

- Filozofia.

- Ach, w filozofii nigdy nie ma satysfakcjonujących odpowiedzi, są tylko pytania...

- Ale przecież ekscytujące jest już samo odkrywanie, ile pytań można zadać, prawda? Moglibyśmy wybrać się w jakieś przyjemne miejsce, zapowiada się ciepły dzień. Babie lato, zauważyłeś? Powinniśmy korzystać z dobrej pogody, dopóki jesień całkiem się tu nie zdomowi. A przy okazji - używasz bardzo przyjemnej wody kolońskiej...

Louis szybko doszedł do wniosku, że Grace jest zupełnie nie przewidywalna i dzięki temu jej towarzystwo jest jeszcze bardziej odświeżające. Z uśmiechem lekko unoszącym kąćki ust wyprowadził swego starego morrisa z garażu i pojechał z Grace za miasto, gdzie drogi były wąskie i kręte, a żyzne zielone pola oznaczone długimi liniami murów z szarego kamienia, które przetrwały wiele wieków wicherów i burz. Grace zabawiła go opowieściami o Argentynie, między innymi o brzydkiej ciotce Hildzie i jej rozpaczliwie poszukującej kandydata na męża córce Nelly. Louis co parę chwil wybuchał głośnym, szczerym śmiechem.

- Brakuje ci tego wszystkiego? - zapytał, wycierając oczy.

- Gdy wyjeżdżałam, myślałam, że będę bardzo tęskniła, ale teraz moje miejsce na ziemi jest tutaj. Kiedyś chciałam tam wrócić, chociaż oczywiście wszystko się zmieniło... Babcia umarła parę lat temu, a niedługo po niej odeszła ciocia Edna. Ciotka Hilda żyje, ale jest już tak stara, że chyba wyschła na wiór. Wcześniej czy później osobowość zawsze odbija się w rysach twarzy, nie da się tego uniknąć, więc ciotka Hilda musi mieć teraz kamienne oblicze... Tak czy inaczej, chciałam wrócić, choćby po to, by przypomnieć sobie, jak kiedyś żyliśmy.

Znaleźli mały lasek nad strumieniem i usadowili się na kocu, który Louis znalazł w starej skrzyni w holu i zabrał ze sobą. Słońce przeświecało przez liście, tworząc ruchome wzory na trawie. Grace zrzuciła buty i rozprostowała nogi.

- Widzisz leśne duchy? - zagadnęła i zaraz roześmiała się z dziecięcą radością. - To piękne miejsce, dobrze, że tu trafiliśmy...

- Każdy poza mną pomyślałby, że jesteś szalona. - Louis pokręcił głową. - Przez większą część mojego życia ludzie uważali mnie za wariata, wiesz?

- Naprawdę?

- Tak. Dzisiaj, w epoce większej tolerancji, o takich jak ja mówi się, że są inni, lecz dawniej wszyscy musieli być mniej więcej tacy sami, normalni. Standard normalności był bardzo sztywny.

- Ja jestem inna od urodzenia. Żadne znane mi dziecko nie miało przyjaciół w świecie duchów... Oczywiście, każdy z nas ma anioła stróża czy przewodnika, ale prawie nikt ich nie widzi. Ludzie boją się wierzyć w to, czego nie mogą zobaczyć.

- To głupie, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że jesteśmy otoczeni rzeczami, których nie można dostrzec, a których istnienie zostało naukowo udowodnione, prawda? Weźmy choćby fale radiowe...

- Zastanawiałeś się kiedyś, skąd wziął się świat? Dlaczego jesteś sobą, a nie kimś innym? Kto byłby tobą, gdybyś to nie był ty? Jaką formę przybrałoby wtedy twoje „ja”? I czy w ogóle byś istniał? - ciągnęła Grace z oczami rozszerzonymi z podniecenia. - Większość ludzi jest zbyt pochłoniętych życiem doczesnym, żeby się nad tym zastanowić. Traktują słońce i deszcz jako naturalną, zwyczajną rzecz i w ogóle się nimi nie cieszą. Dlaczego, skoro nauka wynalazła wszystkie te inteligentne maszyny, na przykład zmywarki i pralki, ciągle mamy za mało czasu? Czy kiedyś wyciągnąłeś się na trawie, ot tak, tylko po to, żeby popatrzeć w przestrzeń i pomyśleć o wieczności? Louis zaśmiał się cicho.

- Naprawdę zadajesz mnóstwo pytań...

- Ale nie mam czasu poszukać na nie odpowiedzi - poskarżyła się Grace.

- W takim razie zacznijmy od pierwszego pytania - westchnął. - Jak ono brzmiało?

- Czy zastanawiałeś się, skąd wziął się świat...

- Ach, to trudna sprawa... Otwórz wino, dobrze? Muszę na oliwić kółka, które powinny obracać się w moim umyśle, bo dawno ich nie używałem...

Położyli się na plecach, podziwiając taniec liści, które lekko poruszały się nad ich głowami. Zadawali sobie egzystencjalne pytania z zapałem godnym starożytnych filozofów, a może raczej studentów, po raz pierwszy wkraczających na tę ścieżkę. Wino rozluźniło ich języki i gardła, śmiali się szczerze i radośnie, aż do bólu mięśni brzucha. Kiedy wieczorne cienie zaczęły się wydłużać, Louis spojrzął na zegarek i odkrył, że nadeszła już pora kolacji.

- Szkoda, że nie zabrałam dwóch koszy, jednego na lunch, drugiego na kolację - powiedziała Grace, pakując rzeczy. - Wtedy moglibyśmy rozbić tu namiot i rozmawiać przez całą noc.

Louis włożył wszystko do bagażnika i miał już wsiadać, gdy Grace wręczyła mu mały bukietik jaskrów.

- Te kwiaty poprawiają nastrój. Postaw je na fortepianie, żebyś mógł grać same wesole melodie.

Louis spojrzął na jaskry. Przypomniał sobie swój sen i śmiech Grace, który pomógł mu oderwać się od ziemi. Już dawno nie czuł się taki szczęśliwy.

Szybko nadeszły zimne jesienne wiatry i coraz krótsze dni, poranne mgły i przymrozki. Przyjaźń Grace ze stryjem pogłębiała się i stawała coraz silniejsza. Grace niełatwo nawiązywała bliższe znajomości z ludźmi swojego pokolenia, w Louisie natomiast znalazła bratnią duszę, kogoś, kto postrzegał świat tak samo jak ona. Wpatrywali się w gwiazdy i rozmyślali o wieczności, chodzili na koncerty, siadali przy fortepianie i instynktownie zaczynali grać ten sam utwór, razem komponowali nowe melodie, śmiejąc się z dysonansów, które zdarzały im się niezwykle rzadko, i uśmiechali się, kiedy tworzyli doskonale harmonijne frazy. Grace gotowała posiłki, z czym radziła sobie raczej słabo, lecz Louisowi w ogóle to nie przeszkadzało, ponieważ uwielbiał jej towarzystwo. Jego grymas zniknął, starty spontaniczną radością, tą samą, która kiedyś podbiła serce pewnej młodej kobiety, teraz zaś wróciła, aby zauroczyć jej córkę.

Któregoś dnia Grace usłyszała, jak Louis gra zupełnie nie znany jej utwór. Leżała na sofie przed kominkiem, pisząc na brudno esej, podczas gdy Louis brzdąkał na fortepianie. Był początek grudnia i marzący deszcz uderzał o szyby lodowatymi palcami. Louis starał się grać cicho, żeby nie przeszkadzać Grace. Przez cały ranek omawiali temat pracy, więc teraz dziewczyna musiała tylko trochę poczytać, by podbudować tezę teorii. Lubiła słuchać jego gry podczas nauki i często robiła sobie krótkie przerwy, w czasie których siadała obok niego i bez słowa zaczynała grać z nim na cztery ręce. Jednak tego dnia Louis zagrał tak przejmująco piękną melodię, że Grace drgnęła, jakby ktoś nagle otworzył okno i wpuścił do środka zimne powietrze. Odłożyła książkę i skupiła całą uwagę na muzyce. Patrzyła na Louisa pociemniałymi ze współczucia oczami. Ze wszystkich melodii, które grał w jej obecności, ta niewątpliwie była najbardziej dramatyczna. Słuchała, usiłując odgadnąć, o czym myślał i dlaczego ten utwór tak różni się od innych. W końcu wstała, powoli podeszła do stryja i położyła mu rękę na ramieniu. Louis otworzył oczy i zamrugał, jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. Jego dłonie znieruchomiały. Westchnął, powoli wracając do rzeczywistości. Twarz odzyskała normalny kolor, a kąski ust uniosły się w nieśmiałym uśmiechu.

- To najbardziej magiczna melodia, jaką kiedykolwiek słyszałam - odezwała się cicho Grace. - Dla kogo ją skomponowałeś?

Louis się zawahał. Pamiętał, jak powiedziała mu, że ci, którzy kochają, zawsze powinni mówić prawdę, trudność polegała jednak na tym, że kochał Grace zbyt mocno, aby powiedzieć jej prawdę. Uważał także, że nie ma prawa tego zrobić, jeżeli Audrey milczała aż do tej pory.

- W tę noc, kiedy umarła Isla, także padał taki rzęśisty deszcz - rzekł ze smutkiem. Grace pomyślała, że rozumie, o co mu chodzi.

- W noc jej śmierci? - zapytała łagodnie.

- W noc jej śmierci - powtórzył. - Wyjechałem wtedy z Argentyny ze złamanym sercem...

- Tak mi przykro... - szepnęła, porażona siłą jego smutku. Usiadła obok Louisa i objęła go. Osuszając łzę jego swetrem nagle uświadomiła sobie, że wcale tak bardzo nie różni się od innych ludzi. Louis nauczył ją sztuki przeżywania cudzych doznań. Nie miała już wrażenia, że obserwuje świat przez szklaną tafle, straciła dystans i teraz doświadczała cierpienia Louisa.

- Dlaczego jest mi tak smutno? - zapytała. Louis odwzajemnił jej uścisk z wielką czułością.

- To dlatego, że piękne rzeczy zawsze budzą w nas smutek - odparł z silnym uczuciem déjà vu.

- Ale dlaczego właśnie smutek?

- Bo nie możemy zatrzymać na zawsze tego, co piękne.

- Nigdy dotąd nie czułam takiego smutku... Twoja muzyka dotknęła mojej duszy, stryju. Cała drzę...

- To czarodziejska melodia powstała przy udziale innych sił niż ziemskie, moja droga.

- Wierzę ci. Nauczysz mnie ją grać? Louis odsunął się nieco i zmierzył Grace poważnym spojrzeniem.

- Jeżeli obiecasz mi, że nie będziesz jej grała w domu...

- Dlaczego?

- Niech to będzie nasz sekret, obiecaj mi...

- Obiecuję - powiedziała cicho.

Kiedy Grace wróciła do domu na świąteczną przerwę, instynktownie nie powiedziała nikomu o swojej przyjaźni ze stryjem. Dużo opowiadała rodzicom o zajęciach i profesorach, których wykłady podziwiała, o koncertach i spektaklach teatralnych oraz o spędzonych za miastem weekendach, lecz ani słowem nie wspomniała o przyjacielu, z którym codziennie dzieliła się tymi przeżyciami. Powiedziała o Louisie tylko Cicely, czując, że musi komuś się zwierzyć.

Grace z przerażeniem zauważyła, że jej ojciec się starzeje. Wcześniej nie rzuciło jej się to w oczy, ale teraz zobaczyła, że Cecil wygląda na swoje lata. Schudł, policzki się zapadły, a kości napięły skórę. Miał bladą, niezdrową cerę, oczy straciły blask. Zastanawiała się, jak to możliwe, że tak szybko podupadł. Czyżby była tak pochłonięta światem duchów, że nie dostrzegła, jak jej własny ojciec traci siły i witalność?

Cecil od ośmiu lat był na emeryturze. Spacerował po ogrodzie, czytał książki o historii wojskowości i zawsze chętnie chodził z Audrey na plażę. Cieszył się wnukami, które codziennie przychodziły do nich razem z matką i bardzo zbliżył się do siostry oraz jej męża, tak innego niż ponury, humorzasty Marcel. Życie na emeryturze przypadło mu do gustu, ale teraz czuł się znużony. Żałował, że nie wierzy w życie po śmierci z tak niepodważalną pewnością jak Grace; nieuchronny koniec nadał budził w nim lęk, chociaż w czasie wojny nie odczuwał strachu, jako żołnierz gotowy oddać życie za ojczyznę. Wiele razy stawał pod lodową bramą śmierci, zawsze jednak wracał jako bohater, przekonany, że kolejne zwycięstwo czyni go nieśmiertelnym. Teraz wiek osłabił nie tylko jego kości, ale i odwagę.

- Marnie wyglądasz. - Cicely obrzuciła brata krytycznym

spojrzeniem.

Siedzieli przy kominku w salonie, czekając na Audrey i Grace, które wybrały się na spacer po farmie.

- Jestem trochę zmęczony, to wszystko - odparł, zaciągając się cygarem.

Anthony odłożył rolniczy magazyn „Farmer’s Weekly” i nachylił się, żeby poprawić drewno w dymiącym kominku.

- To wszystko z zimna - rzekł pogodnie. - W naszym wieku zimno upośledza krążenie.

- Ależ, kochanie, nie przesadzaj, ty jesteś o dziesięć lat młodszy od Cecila - odezwała się Cicely. - Cecil jest dinozaurem...

- Serdeczne dzięki! - Cecil parsknął śmiechem.

- Przepraszam cię, powinnam zachować swój jad dla naszego zwariowanego brata - zreflektowała się Cicely. - Ucieszyłam się, kiedy Grace powiedziała mi, że tak bardzo go polubiła...

Cecil wyjął cygaro z ust i zmarszczył brwi.

- Grace nie mówiła mi nic o Louisie - zdziwił się. - Wiedziałem, że miała ochotę go odwiedzić, ale...

- Naprawdę się zaprzyjaźnili. - Cicely weszła mu w słowo. - Chodzą razem na koncerty i na pikniki. Grace spędza z nim więcej czasu niż ze swoimi koleżankami ze studiów. Musi mieć na niego wspaniały wpływ, bo kiedy widziałam Louisa ostatni raz, był stetryczalym staruszkiem.

Cecil w zamyśleniu przygryzł koniuszek cygara.

- Co jeszcze mówiła Grace?

- Najprawdopodobniej nie śmie wspomnieć o nim w domu - ciągnęła Cicely. - Powiedziałam jej, że wy dwaj pokłóciliście się wiele lat temu...

- Powiedziałaś jej?

- Oczywiście - wyjaśniła niepewnym tonem, jakby obawiała się, że zdradziła jakiś sekret. - Nie byłoby w porządku, gdyby pojechała do Dublina, nie wiedząc, że mieszka tam jej stryj. Mają to samo nazwisko, poza tym Louis mieszka na terenie college i podobno jest tam powszechnie znaną osobistością. Wcześniej czy później ktoś na pewno by ich sobie przedstawił... Uważasz, że zrobiłam źle?

- Nie, nie, wszystko jest w zupełnym porządku, miałaś rację... Louis jest jej stryjem, a więzy rodzinne są najważniejsze, prawda? - Cecil znowu się zaśmiał i zaciągnął cygarem.

Starął się zachowywać normalnie, lecz w głębi serca był chory z zazdrości. Louis ukradł serce jego żony, a teraz najwyraźniej zamierzał zabrać mu córkę... Z trudem przetłknął ślinę i zakastał, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że nagle zabrakło mu tchu.

- Naprawdę źle wyglądasz, Cecilu...

- Zmieńże wreszcie płytę, moja droga - warknął Cecil. Ogarnięty poczuciem winy, że odezwał się niepotrzebnie ostro, odwrócił głowę w stronę okna i zauważył nadchodzące Audrey i Grace. - Ach, wreszcie wrócili! To dobrze.

- Poszliśmy na bardzo długi spacer, chociaż na dworze jest już zupełnie ciemno - powiedziała radośnie Grace, której policzki były zaczerwienione z zimna. - Mamo, opowiedz tacie, jaki wspaniały zachód słońca widziałyśmy po drodze... Był po prostu magiczny...

- Słońce zawisło tuż nad wzgórzem i zalało ziemię potokiem przyćmionego światła - Audrey się uśmiechnęła. - Niebo było intensywnie czerwone, wydawało się, że płonie...

Cecil zauważył, że Audrey miała załzawione oczy. Na dworze musiał szaleć ostry wiatr.

- I różowe - uzupełniła Grace.

- I różowe. Miałyśmy wrażenie, że Bóg przygotował ten pokaz barw i światła specjalnie dla nas...

- Wspaniale! - wykrzyknął Cecil z wymuszonym entuzjazmem. - Żałuję, że nie oglądałem tego razem z wami...

Objął Grace i pocałował w skroń. Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem, ponieważ Cecil nigdy nie demonstrował uczuć. Audrey także dostrzegła ten gest i w jej oczach na moment pojawił się wyraz smutku, zaraz jednak przywołała uśmiech i wyszła do holu razem z mężem i córką, którzy chcieli już wracać do domu.

- Może wpadlibyście jutro na kolację? - zaproponowała Cicely. - Upiekę kurczaka...

- Jeżeli chodzi o kurczaka, to przyjmuję zaproszenie w imieniu mamy i taty - uśmiechnęła się Grace.

- Z przyjemnością przyjedziemy - powiedziała Audrey, nadal mocno poruszona czułym gestem Cecila wobec Grace.

Cicely długo patrzyła za odjeżdżającym samochodem, potem zaś z westchnieniem odwróciła się do męża.

- Mam wrażenie, że Cecil nie czuje się dobrze...

- To prawda, wygląda, jakby coś mu dolegało - zgodził się

Anthony.

- Nienawidzę sekretów! - wybuchnęła niespodziewanie Cicely. - Po prostu nienawidzę, a Cecil i Audrey mają ich aż za dużo! Nie wiem, co mogę powiedzieć, a czego nie...

- Nie myśl o tym, kochanie. Cecil wcale się nie zdenerwował.

- Ale zraniłam go, Bóg jeden wie dlaczego! W stosunku do bliźniaczek nigdy nie był taki zaborczy...

- Grace jest inna, każdy to widzi. - Anthony pokiwał głową. - Cecil nie chce, żeby nieudany młodszy brat stał się bliski jego małej córeczce... To zupełnie naturalne, skoro sam się z nim pokłócił.

- Och, nieważne! - zawołała Cicely, idąc w stronę kuchni. - Jakoś to przeżyje... Będzie musiał, czy jest mu to w smak, czy nie, bo Louis i Grace są do siebie bardzo podobni.

Wysoko na wzgórzu Audrey uległa ciekawości i zapytała córkę o Louisa. Odpowiedź Grace zaskoczyła ją w tym samym stopniu, co później zachowanie Cecila.

- Najpierw był smutnym starym człowiekiem, więźniem własnej przeszłości i wspomnień, ale stopniowo zaczął odzyskiwać radość życia. Teraz jest moim najlepszym przyjacielem. Wszystko robimy razem - śmiejemy się, rozmawiamy o filozofii, gramy

na fortepianie i odpoczywamy. Wiem, że tata się z nim pokłócił, ale przecież ja nie muszę brać tego pod uwagę, prawda?

- Oczywiście że nie - Audrey wsunęła dłonie do kieszeni, kuląc ramiona z zimna. - Cieszę się, że uszczęśliwiłaś Louisa...

- Och, ja także! Na początku w ogóle się nie uśmiechał... Grace zamilkła nagle i Audrey zaczęła się zastanawiać, czy powinna ciągnąć tę rozmowę. Może lepiej by było, gdyby zostawiła Louisa w przeszłości, razem z Sonatą o niezapominajce i notatnikiem oprawionym w jedwab, lecz usiłowała wyobrazić go sobie jako starego człowieka i nie potrafiła, więc zaryzykowała.

- Jaki on jest?

Grace się roześmiała. Pytanie matki wydało jej się absurdalne - przecież stryj Louis mieszkał u rodziców w Buenos Aires, w każdym razie tak mówiła ciotka Cicely. Czyżby Audrey sądziła, że bardzo się zmienił?

- Ma długie siwe włosy, trochę nieporządne, bo nie czesze ich zbyt często... Stara się wyglądać schludnie, ale nie bardzo mu to wychodzi. - Była wyraźnie zadowolona, że wreszcie może mówić o swoim przyjacielu. - Jest wysoki i silny, jak niedźwiedź, miły, słodki, pluszowy miś... Nie jest taki kościsty jak tata, lecz miękki. Ma niebieskie, niesamowite oczy, których wyraz zmienia się w ułamku sekundy. Nigdy nie wiadomo, co zrobi w następnej chwili - potrafi się wzruszać do łez muzyką i zaraz potem zaśmiewać z jakiegoś swojego żartu. Jednak nawet gdy się śmieje, w jego starych oczach kryje się jakiś smutek. Ma białe rzęsy, które połyskują niczym małe sople lodu. Jest genialnym pianistą, wspaniale gra. Często uczę się u niego w salonie i słucham, jak komponuje. Ja też czasami próbuję komponować. Stryj Louis zapisuje swoje utwory. Powiedział mi, że jako młody człowiek nie był dość zdyscyplinowany, aby to robić, więc przynajmniej teraz stara się walczyć z lenistwem. Jest bardzo utalentowany... - Grace westchnęła lekko. - I zupełnie niepodobny do taty i cioci Cicely...

- Zupełnie - przytaknęła Audrey, lecz Grace nie zwróciła uwagi na nutę tęsknoty, jaka wyraźnie zabrzmiała w jej głosie.

- Cieszę się, że poznałam stryja Louisa. Jest dla mnie bardzo miły. Audrey milczała, obezwładniona wzruszeniem. Utkwiła wzrok w rozciągającej się przed nimi dolinie, jej twarz oblał blask zachodzącego słońca. Kiedy Grace odwróciła się do matki, zobaczyła, że jej oczy pełne są łez.

- Och, mamo, to przez ten widok? - zapytała, wsuwając dłoń pod ramię Audrey, która tylko skinęła głową. - Piękne rzeczy zawsze budzą w nas smutek. - Lekko ścisnęła rękę matki, nie zdając sobie sprawy z wagi swoich słów. - Dzieje się tak dlatego, że nie możemy zatrzymać ich na zawsze...

Audrey zadrżała, ponieważ wspomnienia nagle wydały się zbyt ciężkie, aby mogła je udźwignąć. Grace założyła, że łzy matki są reakcją na wspaniały widok, jaki zgotowała im przyroda.

- Musimy opowiedzieć tacie o tym zachodzie słońca. - Uśmiechnęła się lekko. - Byłby nim zachwycony... Szkoda, że nie chciał przejść się razem z nami.

Jednak Audrey cieszyła się, że dane jej było spędzić te chwile tylko z córką. Wpatrzona w powoli tonącą w mroku dolinę, próbowała wyobrazić sobie twarz Louisa, taką, jaką opisała Grace. Wiedziała, że ona sama już nigdy go nie zobaczy.

Następnego dnia przed południem Grace zeszła do salonu, przekonana, że jest sama w domu. Ojciec pojechał do centrum ogrodniczego, aby kupić kilka poinsecji, a matka wybrała się w odwiedziny do Leonory i wnucząt. Dziewczyna usiadła przy fortepianie, czując się winna jak uczennica, która wie, że za chwilę złamie obowiązujące w szkole zasady, i położyła palce na klawiszach. Pamiętała o danej Louisowi obietnicy, powtarzała sobie jednak, że nikt jej nie usłyszy.

Zaczęła cicho grać niezwykłą melodię, której nauczył ją Louis. Początkowo ostrożnie dotykała klawiszy na wypadek, gdyby któreś z rodziców wróciło niespodziewanie, lecz potem nuty całkowicie opanowały wyobraźnię. Po paru chwilach wszystko uleciało jej z pamięci, zamknęła oczy i pozwoliła, aby muzyka przeniosła ją w inny, odległy świat. Ujrzała rozległe argentyńskie równiny, po których galopowali młody mężczyzna i kobieta, usiłując dogonić stadko strusi. Słońce właśnie zachodziło i pampasy skąpane były w głębokim bursztynowym blasku. Niezwykłe piękno tego widoku sprawiło, że oczy Grace wezbrały łzami. Poruszył ją także widok pary młodych ludzi, których radość była wyraźnie skażona smutkiem. Wyczuwała ich nadzieje i odczytywała marzenia, jakby były jej własnymi. Usiłowała zajrzeć dalej w ten obraz, lecz nagle instynkt kazał jej oderwać palce od klawiszy. Otworzyła oczy w chwili, gdy ręka matki z wściekłością zatrzęsnęła wieko fortepianu.

Grace była tak przestraszona, że wybuchnęła łzami. Podniosła wzrok na matkę, której twarz była biała jak śmierć.

- Nie chcę więcej słyszeć, jak grasz tę melodię! - krzyknęła Audrey. - Nigdy więcej, rozumiesz?

Otarła drżące dłonie o spódnicę, zupełnie jakby kontakt z fortepianem sparzył jej skórę i z przerażeniem spojrzała na córkę. Kiedy w oczach Grace zobaczyła odbicie własnych łęków, rozpląkała się gwałtownie. Podniosła palce do ust i osunęła się na kolana.

- Przepraszam, przepraszam... - szeptała, przestraszona gwałtownością swojej reakcji. - Nie chciałam cię uderzyć... Tak mi przykro, kochanie...

- Och, mamó, co ja zrobiłam?! - Grace zaszlochała, rzucając się na kolana i przywierając do matki. - Ja też cię przepraszam...

Długo siedziały objęte, starając się nie słyszeć Sonaty o niezapominajce, która wciąż brzmiała im w uszach. W końcu Audrey ujęła twarz córki w dłonie i otarła jej łzy. Bezradnie pokręciła głową i z rezygnacją lekko wzruszyła ramionami.

- Twój ojciec umiera, kochanie.

Grace patrzyła na nią nagle rozszerzonymi oczami, podobna do przerażonego zwierzęcia, oślepiętego ostrymi światłami samochodu na szosie. Nie potrafiła uwierzyć w to, co usłyszała. Zauważyła, że ojciec zbladł i wychudł, ale ani przez chwilę nie przypuszczała, że z jego zdrowiem dzieje się coś niedobrego.

- Umiera? - powtórzyła z nadzieją, że Audrey zaraz zaprzeczy i rozwieje jej lęk, lecz matka kiwnęła głową.

- Ma raka z licznymi przerzutami, skarbie. Niedługo go stracimy... Grace mocno objęła matkę i wtuliła twarz w jej szyję.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytała. - Od jak dawna choruje?

- Od dwóch miesięcy, a może od paru lat, nikt nie jest teraz w stanie stwierdzić, kiedy to się zaczęło. Tak czy inaczej, zostało mu już niewiele czasu. Nie chcieliśmy cię przestraszyć,

więc...

- Przecież to mój ojciec! Trzeba mi było powiedzieć! Audrey cofnęła się i usiadła na dywanie.

- Ojciec jest dumnym człowiekiem, kochanie, i nie chce, żeby wszyscy się nim przejmowali, a zwłaszcza ja...

- Czy Alicia i Leonora wiedzą?

- Nie, jeszcze im nie powiedziałam. - Audrey westchnęła.

- Więc musisz to zrobić! Mój Boże, wszystkie musimy być tu, przy nim! Dopiero kiedy ktoś umiera, uświadamiamy sobie, jak bardzo go kochamy! Nie wolno nam czekać, musimy jak najszybciej okazać mu, ile dla nas znaczy...

- Och, kochanie... - Audrey nie kryła wzruszenia reakcją

córki.

Zdała sobie sprawę, że ostatnio dziewczyna straciła sporo ze swojego dystansu w stosunku do otaczających ją ludzi. Grace właściwie odczytała wyraz twarzy matki.

- Nie można zatracać się w rozmyślaniach o niebie do tego stopnia, żeby nie robić nic dobrego na ziemi - powiedziała z nieco kpiącym uśmiechem. - Louis mnie tego nauczył...

Audrey odgarnęła długi lok za ucho córki i uśmiechnęła się do niej z czułością.

- Nie wspominaj o stryju przy tacie, kochanie...

- Na pewno tego nie zrobię, rozumiem - odparła Grace. - Uprzedzisz go, że wiem o jego chorobie?

- Tak, oczywiście.

- I powiedz bliźniaczkom. Wszystko jedno, czy duma taty ucierpi, czy nie, musimy być teraz przy nim, przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić...

Audrey skinęła głową i znowu objęła Grace.

- Zagraj coś innego, kochanie - poprosiła. - Coś mniej smutnego... Tamta melodia zupełnie mnie rozstroiła, przepraszam...

- Zagram coś wesołego. - Grace usiadła przy fortepianie. - Pozytywne wibracje powinny dobrze wpłynąć na tatę...

Zastanawiała się, dlaczego jej szósty zmysł tym razem zupełnie ją zawiódł.

Miesiące mijały, a Cecil czuł się coraz gorzej i powoli stawało się oczywiste, że nic nie może mu pomóc, nawet muzyka Grace i jej modlitwy. Tracił siły jak drzewa, które jesienią tracą liście, aż w końcu ich gałęzie stają się nagie i martwe. Przeznaczenie doprowadziło Cecila do końca jego podróży, do bramy, za którą czekał na niego świat duchów. Umierający nie krył lęku.

- Żałuję, że nie potrafię dostrzec drugiej strony - odezwał się do Grace, unosząc głowę z poduszki.
- Gdybym widział ją tak jak ty, niczego bym się nie bał...

Audrey zawsze była w pobliżu i pielęgnowała męża z niewyczerpaną czułością i miłością. Grace często przysiadła na brzegu łóżka i starała się wytłumaczyć ojcu, że śmierć jest czymś w rodzaju powrotu do domu.

- Życie przypomina sztukę teatralną - mawiała. - W chwili śmierci po prostu schodzimy ze sceny, zdejmujemy kostium i wracamy do siebie. Nie zapadniesz się w nicość, wierz mi. Wiem, jak tam jest...

- Zawsze uważałem, że jesteś trochę zwariowana, kochanie. - Cecil zaśmiał się cicho, zaraz jednak zakasłał i skrzywił się z bólu. - Bardzo chciałbym ci uwierzyć...

- Och, tato, boli cię?

- Nie bardzo - uspokoił ją pośpiesznie. - Czarodziejskie pigułki twojej mamy stępiają ból. Umrę na haju, zobaczycie...

- Za dużo cygar, oto przyczyna tego wszystkiego. - Audrey zabrała tacę z nietkniętym podwieczorkiem i skierowała się do drzwi. - Winę za to ponosi mój ojciec, ale...

- Cygara nie mają z tym nic wspólnego - przerwał jej Cecil i znowu zakasłał. - Jestem starym człowiekiem, i tyle...

Audrey, zaczekaj chwilę, chciałbym powiedzieć o czymś Grace.

Audrey zbladła. Od dawna spodziewała się, że ta chwila w końcu nadejdzie i teraz jej serce ścisnęło jej się boleśnie, nie dlatego, by obawiała się reakcji córki, lecz z powodu świadomości, że śmierć jest już bardzo blisko. Taca zadygotała w jej rękach, kiedy odwróciła się, żeby postawić ją na toaletce. Z wielkim wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech i usiadła w fotelu przy łóżku.

- Co chcesz jej powiedzieć, kochany? - zapytała, daremnie próbując opanować niepokój.

Ostatnie tygodnie pozbawiły ją energii i emocji, czuła tylko potworne znużenie. Łzy błyszczące w oczach Cecila świadczyły, że zamierza wyznać córce prawdę.

Cecil ujął dłoń Grace i objął ją zmęczonym spojrzeniem. Wiele miesięcy zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że nie jest jej ojcem. Wprawdzie, kiedy dowiedział się od Cicely o przyjaźni łączącej Grace i Louisa, poczuł się skrzywdzony i zraniony, lecz z drugiej strony już dawno wybaczył bratu i teraz, tuż przed śmiercią, chciał tylko ostatecznie uporządkować swoje sprawy. Postanowił raz na zawsze skończyć ze wszystkimi tajemnicami.

- Niedługo odejdę... - zaczął dramatycznie, nie bardzo wiedząc, jak ująć to w słowa.

Wcześniej z masochistyczną przyjemnością powtarzał sobie, że może Grace ucieszy się na wiadomość, kto jest jej prawdziwym ojcem, ale tak naprawdę wcale tego nie chciał. Audrey spuściła wzrok, gotowa przyjąć cios.

- Twoja matka i ja nie zawsze byliśmy ze sobą szczęśliwi - powiedział ostrożnie.

- Wiem, tato! - Grace się roześmiała. - Wszystkie małżeństwa przeżywają dobre i złe chwile...

- Z nami było trochę inaczej. Zanim się urodziłaś, twoja mama zakochała się w innym mężczyźnie...

Grace ściągnęła brwi i spod zmrużonych powiek spojrzała na pochyloną głowę matki.

- Mów dalej - odezwała się cicho. Cecil westchnął. Jego blade policzki zarumieniły się lekko, ale zaraz znowu powlokły się śmiertelną bielą.

- Przeżyła krótki romans, w rezultacie którego urodziłaś się ty, kochanie...

Grace patrzyła na niego z przerażeniem. Nagle ogarnęło ją poczucie całkowitego osamotnienia, jakby nie miała na świecie nikogo bliskiego.

- Więc nie jesteś moim ojcem? Cecil potrząsnął głową.

- Nie jestem twoim biologicznym ojcem - odparł powoli, starając się, aby jego własne cierpienie nie wpłynęło na sposób, w jaki przekazuje jej tę wiadomość.

Oczy Grace błyszczały gorączkowo. Z Trudem przełknęła ślinę.

- Kto nim jest? - zapytała.

Cecil przeniósł spojrzenie na Audrey, która podniosła głowę i utkwiała wzrok w oknie.

- Louis - powiedziała bardzo cicho. - Twój stryj Louis.

Grace powoli podniosła się i w milczeniu podeszła do okna. Myślała o stryju i teraz wreszcie rozumiała jego smutek. Louis nigdy nie kochał Isli, lecz jej matkę... Dziewczyna natychmiast pojęła cały dramatyzm ich związku. Nagle przypomniała sobie taniec łez Audrey i alkoholizm Cecila, jeszcze jeden owoc cierpienia. Wspominała chłodne stosunki między rodzicami, którzy usiłowali w różny sposób pogodzić się z niezwykle trudną sytuacją, potem zaś ich wzajemne porozumienie, kiedy

postanowili pogrzebać przeszłość, wyjechać do Anglii i zacząć nowe życie. Nagle wszystko to stało się dla niej zupełnie jasne...

Nic dziwnego, że ona i Louis byli tacy podobni. To mój ojciec:

pomyślała z niedowierzaniem. Louis jest moim ojcem i wie o tym... Wie o tym od dawna. Westchnęła ciężko i oparła czoło o framugę okna. Audrey wstała z fotela i usiadła obok męża, ujęła jego wyciągniętą dłoń i uśmiechnęła się do niego przez łzy. Oboje milczeli. Cecil nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że oddał córkę komuś innemu i Audrey lekko ścisnęła jego rękę, świadoma, ile go to kosztowało. Oboje czekali na jakąś reakcję ze strony Grace, lecz ona wciąż tkwiła nieruchomo przy oknie, po grążona w myślach. Usiłowała pogodzić się z tym, co usłyszała, lecz ku własnemu zaskoczeniu nie czuła właściwie nic poza zdziwieniem. Nic się nie zmieniło - nadal znajdowała się w sypialni rodziców, serce nadal ścisnęło jej się na myśl, że ojciec może w każdej chwili umrzeć...

Odwróciła się i spojrzała na Audrey i Cecila, przycichłych w pełnym przerażenia oczekiwaniu na to, co wydarzy się teraz, kiedy już wypuścili demona z klatki. Gdy potrząsnęła głową, z piersi Cecila wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Louis nie jest moim ojcem - powiedziała nonszalancko. - Ty zawsze nim będziesz... Fakt, że jestem biologiczną córką Louisa, w niczym nie zmienia ostatnich osiemnastu lat. Wychowałeś mnie jak własne dziecko i obdarzyłeś wielką miłością. Kocham cię jak ojca i nie chcę innego. Nikt inny nigdy nie zajmie twojego miejsca w moim sercu.

Ramiona Audrey zaczęły drżeć jak tamtego wieczoru na wzgórzu, Cecil zaś uśmiechnął się do córki w sposób, w jaki nigdy dotąd się nie uśmiechał. Przez jego twarz przemknął wyraz dumy i wdzięczności, szybko wyciągnął do niej rękę. Grace otarła łzy, chwyciła ją mocno i przycisnęła wargi do suchej, gorącej skóry.

- Kocham cię, tato - rzekła. - Kocham cię tak bardzo, że nie potrafię pomieścić tego uczucia w sobie...

Jej głos się załamał; nie mogła mówić dalej. Patrzyli na siebie z absolutnym zrozumieniem, ponieważ miłość jest pomostem, który umie połączyć nawet dwie zupełnie niepodobne do siebie ludzkie istoty. Nagle Cecil utkwiał wzrok w punkcie za plecami córki i uśmiechnął się radośnie. Grace odwróciła się i ujrzała niewyraźne kontury postaci kobiety i mężczyzny, którzy przyszli przeprowadzić jej ojca na drugi brzeg.

- Nie teraz, tato! - pociągnęła nosem. - Tyle jeszcze chciała bym ci powiedzieć... Dlaczego tracę cię właśnie teraz, gdy uświadomiłam sobie, ile dla mnie znaczysz?

Audrey zmarszczyła brwi i szybko spojrzała na szczęśliwą, wypogodzoną twarz umierającego męża. Grace patrzyła ze smutkiem, jak duch jej ojca siada na łóżku i wyciąga ramiona do swojej matki oraz ukochanego wuja Errola. Cecil rzucił córce szeroki uśmiech, jakby chciał jej powiedzieć, że teraz wreszcie uwierzył w istnienie świata duchów. Grace pośpiesznie otarła policzki.

- Do zobaczenia, tatusiu - odezwała się cicho. - Do następnego spotkania...

Trzy mgliste sylwetki powoli rozpląnęły się w blasku słońca. wpadającym do pokoju przez zaszronione okno.

Nogi Grace drżały tak mocno, że musiała na chwilę usiąść. Widziała pustą cielesną powłokę ojca, spoczywającą na łóżku, patrzyła, jak Audrey gładzi martwą dłoń i z niedowierzaniem potrząsa głową.

- Wszystko stało się tak szybko... - szepnęła Audrey. - Rano czułam się jeszcze całkiem dobrze...

- Tatuś odszedł, mamo. - Grace pociągnęła nosem i uśmiechnęła się do matki. - Popatrz na jego twarz... Czy nie wygląda na szczęśliwego?

Audrey z miłością wpatrywała się w zmarłego.

- Nigdy nie był tak pogodny - powiedziała i ze współczuciem spojrzała na córkę. - Tak mi przykro, kochanie...

- Nie myśl o tym. Moje życie naprawdę się nie zmieniło. Nic nie może zmienić przeszłości, nawet taka wiadomość... kochałaś Louisa, ale to nie ma nic wspólnego ze mną... - Uśmiechnęła się. - Nie mówmy bliźniaczkom, dobrze? Nikt nie musi o tym wiedzieć poza tobą, mną i Louisem.

- Louisem? - zdziwiła się Audrey

- On wie - rzekła Grace. - Jestem tego pewna. Najbardziej dziwi mnie, że ja nic nie podejrzewałam. Tyle wiem o wszystkich dookoła, ale nic o sobie samej... Bóg prowadzi nas tajemniczymi ścieżkami. - Pochyliła się i ucałowała dłoń Cecila, która wciąż wydawała się ciepła i miękka. - Tak, On prowadzi nas tajemniczymi ścieżkami...

Rozdział trzydziesty czwarty

Październik 1984 roku

- Czuję się oszukana - oznajmiła Alicia, zakładając ręce na piersi i siadając w fotelu ojca. - Przecież ledwo powiedziałaś mi, że tata jest śmiertelnie chory, a już go nie ma... Nie ma. Nawet nie zdążyłam się z nim pożegnać,

- Ja też nie - powiedziała ze smutkiem Leonora.

- Tata wolał, aby właśnie tak się to odbyło - odezwała się Audrey. - Nie chciał, żebyście martwiły się jego stanem...

- Tak czy inaczej, czuję się oszukana i głęboko zasmucona. - Alicia otarła rękawiczką dużą łzę.

Grace przewróciła oczami. Alicia często mówiła, że ojciec nigdy nie był jej bliski. Kiedy była dzieckiem, prawie codziennie wracał z pracy dopiero późnym wieczorem, a potem, gdy bliźniaczki wyjechały do szkoły w Anglii, widywały się z nim tylko raz na rok, w czasie świąt Bożego Narodzenia.

- Nie jest to najlepsza recepta na bliski związek - przyznawała sarkastycznie Alicia.

Teraz nie mogła jednak zmarnować wspaniałej okazji do odegrania dramatycznej sceny. Siedziała w fotelu ojca, ubrana w czarny kostium, zupełnie jak na koktajl w Londynie. Nadal niezamężna, wciąż ściagała ulotne marzenia i wciąż czegoś pragnęła.

Alicia zawsze była piękna, lecz młodość ukrywała tkwiące jej zło pod maską delikatnego, miękkiego ciała i stwarzała pozory niewinności. Od pewnego czasu młodość powoli odchodziła, odsłaniając mroczne kontury jej charakteru w ostrości rysów i zwężeniu kiedyś pełnych warg.

Alicia nie straciła lodowatej,

imponującej urody, jej piękna twarz, jakby wyciosana z kamienia dłutem genialnego rzeźbiarza, nadal budziła zachwyt; ale rozgoryczenie wysssało z niej soki, pozostawiając ją dziwnie suchą i martwą.

Natomiast Leonora, której uroda zawsze przeświecała od wewnątrz, teraz promieniała łagodnym urokiem, ponieważ piękno charakteru odmieniło dawniej niezbyt interesujące rysy. Grace podziwiała Leonorę za to, że potrafiła być szczęśliwa. Nie pragnęła niczego więcej ponad to, co już miała i nie zazdrościła innym. Florian i dzieci oraz aksamitne pola Dorset - oto było całe bogactwo Leonory. Nie potrzebowała innego. Zdaniem Grace, jedyną wadą Leonory było ślepe przywiązanie do bliźniaczej siostry. Chociaż Alicia z czasem przeistaczała się w groteskową parodię samej siebie, Leonora nadal patrzyła na nią pełnymi uwielbienia oczami dziecka.

A Grace? Na pogrzeb ojca ubrała się na czarno, choć przecież wiedziała, że prawdziwy Cecil żyje w świecie duchów, gdzie wreszcie może rozpostrzeć potężne skrzydła myśli. Widziała, jak odchodził i pożegnała się z nim. Od tamtej chwili dużo myślała o Louisie. Wcale nie wydawało jej się dziwne, że jest jej biologicznym ojcem. Byli przecież tak podobni do siebie... W pewien sposób była nawet zadowolona. Pokochała Louisa jako przyjaciela, teraz stał się jej jeszcze bliższy. Ale nic nie mogło odmienić oblicza minionych osiemnastu lat i wielkiej dobroci Cecila, który wychował dziecko brata jak własne, nie zważając, że przyszło na świat za sprawą cudzołóstwa i zdrady. Grace już teraz bardzo tęskniła za Cecilem.

- Ach, to ty, Florian... - powiedziała Audrey, gdy zięć wszedł do salonu.

- Dzień dobry, Audrey - odezwał się pełnym współczucia głosem. Krótko skinął głową Alicii i odwrócił się do Leonory. - Dzieci są w samochodzie, kochanie... Jesteś gotowa?

- Spotkamy się na cmentarzu. - Leonora spojrzała na matkę i siostry, które miały pojechać na pogrzeb samochodem razem z Cicely i jej mężem.

Kiedy Leonora i Florian wyszli, Alicia podeszła do matki.

- Ktoś powinien poradzić Leo, żeby zrzuciła parę kilogramów - oświadczyła. - Wyglądałaby znacznie korzystniej...

- Florian kocha ją taką, jaka jest - odparła spokojnie Audrey.

- I ja także - dorzuciła Grace.

Alicia ciężko westchnęła. W towarzystwie młodszej siostry zawsze czuła się nieswojo. Grace miała w oczach coś, co budziło jej lęk.

Wreszcie do salonu wpadła Cicely, niepewnie kołysząc się na wysokich obcasach.

- Przepraszamy za spóźnienie, ale potknęłam się o mojego cholernego psa i skręciłam nogę w kostce - wydyszała. - Trudno, musimy się pośpieszyć. Jesteście gotowe? Wyglądacie jak trzy wrony...

Audrey podniosła się sztywno. Czuła się stara, chociaż ledwo przekroczyła pięćdziesiątkę. Miała wrażenie, że poczucie wieku kryje się w jej sercu, najwyraźniej mocno zmęczonym życiem. Cecil odgrywał tak ważną rolę w jej codzienności i teraz, gdy odszedł, dom wydawał się kompletnie pusty, mimo obecności ich córek. Pusty i zimny.

- Piękny dzień na pogrzeb - odezwała się.

- Uroczy - przytaknęła Cicely, wychodząc za bratową do holu.

- Tata jest tutaj duchem - powiedziała Grace. - Czuję jego obecność...

Z piersi Alicii wyrwało się pełne zniecierpliwienia westchnienie.

- Przecież on nie żyje, na miłość boską... - mruknęła.

Niebo jest aż za piękne jak na taki dzień, pomyślała Audrey, nie spuszczać wzroku z trumny, którą właśnie powoli opuszczano do grobu. Chyba tak wielkim przepychem przyroda żegna świętych, nie zwykłych ludzi... Naprawdę miała wrażenie, że niebiosy otworzyły ramiona na przyjęcie Cecila i była pewna, że gdyby Bóg obdarzył ją wrażliwością Grace, usłyszałaby anielskie chóry i dźwięk trąb. Nagle uświadomiła sobie, że to głównie ona żegna skromną ziemską powłokę Cecila Forrestera, i że nikt poza nią i Bogiem nie zna pełni jego zalet i zasług.

Puściła dłoń Grace i postąpiła naprzód, unosząc srebrzystą głowę z godnością, która wspierała ją przez wiele burzliwych lat. Powoli, pełnym wdzięku ruchem rzuciła do otwartego grobu jedną białą lilię. Szeptem odmówiła krótką modlitwę i podniosła wzrok na zachodzące słońce, znikające za drzewami, rzucającymi wydłużone czarne cienie na cały cmentarz. Właśnie w tej chwili rumieniec powrócił na jej policzki gwałtowną falą;

dotknęła palcami szyi, jakby pragnęła rozluźnić skórę, która wydawała się tamować jej oddech. W pierwszej chwili przeraziła się, że widzi jednego z duchów Grace, ponieważ jego sylwetka niewyraźnie rysowała się na tle zachodzącego słońca, jakby płynęła między drzewami. Zmrużyła oczy, aby lepiej widzieć i nagle jej serce przestało bić. Przestraszyła się, że zaraz zemdleje i szybko wciągnęła powietrze. Przyjechał... Schyliła rozgorączkowaną głowę i cofnęła się prosto w wyciągnięte ramiona Grace. Wikary, interpretując słabość wdowy jako wyraz rozpacz, zakończył ceremonię pośpieszonym błogosławieństwem i zostawił osieroconą rodzinę samą.

- Źle się czujesz, mamó? - wyszeptwała Grace. Audrey wyprostowała się i popatrzyła w kierunku drzew. Grace podążyła za jej spojrzeniem.

- Co tam widzisz? - zapytała, lekko marszcząc brwi. Była zdziwiona, bo sama nie dostrzegła nikogo, a przecież duchy zawsze pokazywały się właśnie jej.

- Pociesz Alicję, kochanie. - Z roztargnieniem pogładziła córkę po ramieniu. - Nic mi nie jest, muszę tylko swobodnie odetchnąć... - dodała zdecydowanym tonem i szybkim krokiem odeszła. Grace spojrzała na stojące po drugiej stronie grobu siostry. Alicia przestała już płakać - zabrakło widowni, więc nie musiała dłużej grać. Leonora uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi na spojrzenie Grace i zadrżała, ponieważ nagle zrobiło jej się zimno. Kiedy Grace stanęła obok niej, Leonora z wyraźnym zaskoczeniem obserwowała matkę.

- Kim jest ten mężczyzna, z którym mama rozmawia? - zapytała.

Trzy siostry popatrzyły przez błękitnawy zmierzch na Audrey, która stała w przeciwległym kącie cmentarza, pogrążona w rozmowie z nieznanym.

- Bóg jeden wie... - westchnęła Alicia, wzruszając ramionami. - Mam nadzieję, że nie potrwa to długo, bo robi się ciemno i strasznie zimno...

Wyjęła papierosa z torebki i zapaliła z nadzieją, że trochę się rozgrzeje.

- Wiesz, kto to jest. Grace? - powtórzyła pytanie Leonora.

- To stryj Louis - odparła powoli. Alicia syknęła, nie kryjąc irytacji.

- Och. pamiętam go! Szalony stryj, o którym nikt nigdy nie wspomina - rzuciła ostro. - Podejźmy do niego i sprawdźmy, czy rzeczywiście jest wariatem...

- Nie, zostaw ich w spokoju - rzekła Grace. - Mają sobie wiele do powiedzenia...

Leonora ze zdumieniem zerknęła na siostrę, a Alicji w grun cie rzeczy zależało tylko na tym, żeby wreszcie wrócić do ciepłego domu. Zaśmiała się gardłowo.

- W porządku, chodźmy... - mruknęła. - Mam w nosie zwariowanego stryja Louisa, wracajmy do domu, żeby trochę się rozgrzać. Ciotka Cicely i Anthony na pewno zaczekają na mamę.

Kiedy Louis Forrester wyszedł ku niej z cienia, Audrey poczuła, jak długie lata rozwiewają się niczym mgła, i szybko oparła się o jakiś nagrobek, aby nie stracić równowagi. Louis miał na sobie zwyczajny garnitur, czarny płaszcz i kapelusz, włożony trochę na bakier. Poruszał się tak samo jak dawniej, lekkim, tanecznym krokiem, jakby wciąż słyszał dobiegający z lat młodości rytm tanga i był mu posłuszny. Poznała łagodny wyraz jego błękitnych oczu i ukrytą w nich tęsknotę. Louis stał przed nią wraz ze wszystkimi wspomnieniami, które budził, utrwalonymi w jego uśmiechu i zapachu. Dopiero po chwili zorientowała się, że naiwne nadzieje młodości zniknęły, skryły się pod głębokimi bruzdami, które porały jego czoło.

Długo stał nieruchomo, wpatrując się w jej twarz, pożerając wzrokiem rysy, których obraz nosił pod powiekami przez całe dziesięciolecia samotności. Teraz czas oczekiwania dobiegł końca.

- Nie jesteś na mnie zła - odezwał się, wyjmując ręce z kieszeni i pozwalając im opaść po bokach.

Audrey obrzuciła go spokojnym spojrzeniem i Louis nagle dostrzegł, że wiek pozbawił jej oczy wyrazistości, choć nie łagodności. Zaprażył wziąć ją w ramiona i zatańczyć tak, jak tańczyli dawno temu, kiedy jeszcze nie zdążyli odkryć muzyki, która miała pokierować ich krokami.

- Cecil był dobrym człowiekiem - powiedziała. Zauważyła, że wargi Louisa zadrżały i natychmiast pożałowała swoich słów. Nie wiedziała, co mówić dalej i nie była już pewna, co właściwie czuje.

- Starzeję się - dodała z westchnieniem, próbując w ten sposób wyjaśnić swój brak taktu.

- Ja także - odparł i kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu. - Ale nie zapomniałem, jak się tańczy...

Z impulsywnością, która wiele lat temu podbiła jej nieśmiałe serce, mocno ujął jej zimne dłonie i stanął tuż obok niej. Oboje drgnęli nerwowo, zaskoczeni fizycznym kontaktem i patrzyli na siebie bez słowa, nie wiedząc, co zrobić. Audrey spuściła oczy. Myślała o mężu, którego przed paroma minutami pogrzebała, i nie była w stanie zignorować zawstydzienia, jakie ogarnęło ją w chwili, gdy ciepłe ręce Louisa zapaliły małą iskierkę w jej sercu.

- Zapomniałaś, jak to było? - zapytał łagodnie.

Audrey podniosła błyszczące od łez oczy. Jej blade wargi drżały, bo przeszłość wprawiała ją w zmieszanie. Kiedyś wszystko było jasne i oczywiste, lecz teraz...

- Nie zapomniałam - odparła szeptem, który natychmiast porwał wiatr. - Przez pewien czas nie tańczyłam, ale nie zapomniałam...

Louis westchnął lekko, czując jak lata rozstępują się i odchodzą, zostawiając ich samych. Znowu byli razem pod czerwonymi drzewami ceibo i fioletowymi jacarandami na placyku w Buenos Aires, tańcząc w rytm melodii swojej miłości.

- Witaj, Louisie! - zawołała Cicely, podchodząc do nich z pewnym trudem i krzywiąc się z bólu. - Grace mówiła mi, że już na nikogo nie wrzeszczysz...

Louis potrząsnął głową i uśmiechnął się do siostry,

- Na pewno nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby wrzeszczeć na Grace - powiedział. - Grace jest wyjątkową osobą...

Audrey nie spuszczała oczu z jego twarzy. Chciała spojrzeniem przekazać mu wiadomość, że Grace wie o wszystkim. Miała mu tyle do powiedzenia.

- Może zatrzymasz się u mnie, w Holholly Grange? - zapytała niczego nieświadoma Cicely. - Anthony jeszcze cię nie poznał...

- Zarezerwowałem pokój w pensjonacie w miasteczku - odparł Louis z szerokim uśmiechem. - Mają tam mnóstwo ciepłej wody i nie oszczędzają na ogrzewaniu...

Cicely wzruszyła ramionami, bynajmniej nie urażona.

- Jak chcesz... - Przeniosła spojrzenie na Audrey. - Nie stójmy dłużej na tym zimnie. Jedziemy do ciebie na herbatę, prawda, Audrey? Świetnie, wsiadajcie do samochodu.

Audrey siedziała w milczeniu, gdy tymczasem Cicely wypytowała brata o życie w Dublinie. Kątem oka widziała profil Louisa, lecz wciąż nie mogła uwierzyć, że ma go tuż przy sobie. Nie miało znaczenia, że nie byli sami, bo w każdej chwili mogła go dotknąć. Los znowu ich połączył, lecz tym razem wszystko było inaczej - stali na początku otwartej, wolnej drogi, a przed nimi roztaczał się horyzont nieskończonych możliwości. Audrey wiedziała, że Louis myśli o tym samym, przecież właśnie dlatego przyjechał.

W domu Leonora częstowała już wszystkich kanapkami i podawała herbatę. Mały Panazel biegał po salonie z młodszym bratem i siostrą, przeciskając się między nogami gości. Dla chłopca śmierć była czymś w rodzaju przejścia z jednej pory roku w drugą, wydarzeniem całkiem naturalnym. Brakowało mu dziadka tak jak ciepłego lata, lecz był jeszcze za mały, aby pojąć sens żałoby. Alicia paliła papierosa przy kominku, z twarzą na wpół ukrytą za woalką. Patrzyła na Floriena oczami starej lwicy, która tęsknie spogląda na ofiarę, lecz wie, że nie potrafi już biec dość szybko, aby ją doścignąć.

Grace czekała na stryja Louisa, nie mogąc skoncentrować się na niczym innym. Wciąż zerkła w kierunku drzwi, z rozczarowaniem odwracając wzrok za każdym razem, gdy do domu wchodził ktoś inny. Kiedy Louis stanął wreszcie w progu, podbiegła do niego z entuzjazmem. Już miała zarzucić mu ręce na szyję, kiedy nagle coś ją powstrzymało. Instynkt podpowiedział jej, że nie powinna zachowywać się w ten sposób w domu ojca, w dzień jego pogrzebu. Louis wyczuł zmieszanie i spokojnie położył rękę na jej ramieniu.

- Cieszę się, że cię widzę.

Grace obdarzyła go ciepłym, pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Miałam nadzieję, że przyjedziesz - szepnęła.

- Cecil był przecież moim bratem. To, że kiedyś się poróżniliśmy, nie ma teraz żadnego znaczenia.

- Wiem. Jestem pewna, że ojciec cieszy się z twojego przyjazdu. Nic nie zbliża ludzi tak bardzo jak śmierć...

Louis skinął głową. Zdjął płaszcz i kapelusz i położył je na krześle.

- Żałuję, że wcześniej nie dowiedziałem się o jego chorobie... - westchnął, nerwowo strzelając palcami.

- Ojciec nie chciał nikogo zawiadamiać i niepokoić - odparła Grace. - Pragnął umrzeć z godnością.

- Był dumnym człowiekiem.

- Tak... - Byłaś przy nim, gdy umierał? - zapytał Louis. Grace kiwnęła głową, patrząc na niego mądrymi, pełnymi zrozumienia oczami.

- Wyjaśnił wszystkie swoje ziemskie sprawy - powiedziała. Louis spojrzął na nią i nagle jego twarz rozjaśniła się jak zwrócony ku słońcu kwiat. Na krótką chwilę otaczający ich świat zwolnił, pozwalając, by popatrzyli na siebie nowymi oczami. Żadne nie wiedziało, co powiedzieć, trwali w milczeniu, zawieszeni w czasie i przestrzeni. Gdy wreszcie Louis przemówił niskim głosem, Grace musiała wyciągnąć słuch, aby zrozumieć jego słowa.

- Był dobrym człowiekiem - powiedział. I tylko Grace, Louis i Audrey wiedzieli, jak dobrym człowiekiem był Cecil Forrester.

Kiedy dom w końcu opustoszał i nawet ciotka Cicely wyszła, wsparta na ramieniu męża, Audrey poprosiła Louisa, aby został na kolacji.

- Będziemy tylko ty, ja i Grace - powiedziała, - Alicia pojechała już do Londynu, bo na wsi zawsze się dusi, a Leonora i Florian wrócili do domu, aby położyć dzieci spać.

- Bardzo chętnie - odparł, patrząc w jej niespokojne oczy.

- Wezmę tylko prysznic i przebiorę się w coś cieplejszego, bo mam wrażenie, że przemarzłam do szpiku kości...

- Oczywiście. Grace dotrzyma mi towarzystwa. Audrey zostawiła Louisa w salonie i poszła na górę. Nogi ciążyły jej jak ołów, wszystkie stawy wydawały się zeszywniałe, lecz nic nie bolało ją tak mocno jak serce. Ze zmieszaniem potarła czoło dłonią. Louis przyjechał po nią - stało się coś, o czym zawsze marzyła, a nikt nie znał potęgi marzeń lepiej od niej. Weszła do garderoby Cecila, nie wiedząc, dlaczego to robi. Powietrze nadal pachniało nim tak intensywnie, jakby wciąż żył. Przywołała z pamięci twarz człowieka, z którym walczyła przez wiele lat, aż do chwili, gdy dzięki sile woli i czegoś jeszcze potężniejszego, czegoś, co wymykało się jej rozumieniu, nauczyła się go kochać. Nie była to obsesyjna miłość, jaką żywiła do Louisa, lecz spokojne, ciche uczucie, zrodzone z szacunku i podziwu.

Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła przeglądać jego rzeczy. Cecil niczego nie wyrzucał. W jego pokoju znajdowały się szkatułki z monetami, szuflady pełne starych listów, reklamowych ulotek, pamiątek, gazet i książek - wszystko to utrzymane w absolutnym porządku, tak charakterystycznym dla niego. Ten pokój był jego gniazdem i Audrey nigdy nie próbowała tu sprzątać. Teraz brała do ręki zgromadzone przez męża rzeczy i z czułością odkładała je na miejsce, wspominając go i ciesząc się jego wciąż żywą obecnością. Natknęła się na argentyńskie banknoty, bilet do teatru Colon, gdzie zaprosił ją na pierwszą randkę, mapę Buenos Aires, srebrne pióro, które dostał od jej ojca w dzień ich ślubu i mnóstwo starych magazynów, zniszczonych i pożółkłych. Z lekkim uśmiechem strzepywała z nich kurz i wracała do przeszłości. W pewnej chwili znalazła szkatułkę z polerowanego orzechowego drewna. Najwyraźniej miała ona dla Cecila duże znaczenie, bo trzymał ją w nocnej szafce przy łóżku, aby zawsze móc po nią sięgnąć. Audrey próbowała ją otworzyć, lecz była zamknięta. Ożywiona ciekawością - zaczęła szukać kluczyka. Cecil miał ukształtowaną w wojsku potrzebę porządku, więc po krótkim poszukiwaniu znalazła kluczyk w małej szufladce pod owalnym lustrem. Drżącą dłonią otworzyła szkatułkę. W środku spoczywała pożółkła kartka. Wyjęła ją i rozłożyła. Kiedy przebiegła wzrokiem zapisane na niej słowa, serce na moment przestało jej bić, ogarnięte podmuchem lodowatego zimna. Miała przed sobą list od Louisa do Cecila. napisany 24 czerwca 1948 roku, w dniu pogrzebu Isli.

Cecilu, dlaczego kobiety tak nas dręczą? Dałem moje serce Audrey, a ona je przyjęła. Pokochaliśmy się jak dwoje ludzi, którzy zostali sobie przeznaczeni. Płynęliśmy pod prąd z nadzieją, że wiatr zmieni kierunek i będziemy mogli otwarcie wyznać światu swoją miłość, lecz któż mógł przewidzieć tak okrutną odmianę losu... Isla umarła i zabrała ze sobą serce Audrey. Jest mi wstyd, ale mam za złe Isli, że odeszła w tak nieodpowiednim momencie... Nie mogę zostać w Argentynie, skoro Audrey nie chce ze mną być. Nie mogę znieść tego bólu. Zatopię marzenia na dnie oceanu i wrócę,

kiedy wszystko zmieni się na lepsze. Przeczekam złe czasy w jakimś meksykańskim mieście, gdzie nikt nie zna mojej pięknej Audrey. Wybacz nam, że tak cię oszukaliśmy - nie chcieliśmy cię zranić, szukaliśmy tylko sposobu, aby ukryć swoje uczucia. Obaj padliśmy ofiarą miłości. Louis.

Audrey powoli, jak we śnie, przeczytała także zanotowane niżej ręką Cecila słowa:

„A kiedy stajecie do modlitwy, przebaczenie, jeśli macie co przeciw komu, aby także Ojciec wasz, który jest w niebie, przebaczył wam wykroczenia wasze”. Ewangelia według św. Marka

11,25.

Długo wpatrywała się w kartkę z uczuciem narastającego wstydu i żalu. Cecil od początku wiedział o jej miłości do Louisa. Wiedział o wszystkim także wtedy, gdy ona wróciła z Anglii, gdzie zostawiła bliźniaczki, i zastała Luisa w domu... Cecil wiedział, lecz nigdy się nie poddał... Największy ból sprawiała jej jednak świadomość wielkoduszności Cecila. Wybaczył jej, chociaż wcale na to nie zasługiwała...

W tej chwili przebudzenia z salonu dobiegły dźwięki Sonaty o niezapominajce. Zakręciło się jej w głowie. Podniosła dłonie do uszu, aby zagłuszyć melodię, która kiedyś stała się muzycznym symbolem jej miłości do Louisa, a teraz obrażała pamięć Cecila, mężczyzny, który nigdy nie przestał jej kochać, nawet w czasie długich miesięcy i lat, podczas których marzyła o życiu z jego bratem, zdradziła go, urodziła dziecko swego kochanka i zamierzała porzucić go, aby zacząć nowe życie z innym. Sonata podkreślała teraz dobroć Cecila, jego cierpliwość i wytrwałość. Po policzkach Audrey popłynęły palące łzy żalu. Tak, Cecil zasłużył na dzisiejszy wspaniały zachód słońca i rozpłomienione różem i złotem niebo. Dusza Cecila Forrestera zasługiwała na wszystkie te cuda i na coś jeszcze - na wierność Audrey. Nie oddała mu sprawiedliwości za życia, ale mogła zrobić to teraz, po jego śmierci. Kapryśna miłość Louisa wydała jej się nagle blada i słaba w porównaniu z głębokim uczuciem Cecila.

Kiedy szybko schodziła po schodach, muzyka brzmiała jej w uszach jak ostry krzyk. Louis spojrzął na jej wzruszoną twarz, przestał grać i zmarszczył brwi. Audrey bez słowa podała mu pożątkłą kartkę. Grace obserwowała ich z sofy, prawie nie oddychając. Louis przeczytał własny list i werset z Ewangelii w ciszy, która wydawała się bardziej wymowna niż muzyka. Potem podniósł oczy, pociemniałe od smutku. Zrozumiał. Śmierć Cecila nie zbliżyła ich do siebie, lecz rozdzieliła raz na zawsze. Jak mogliby rozpocząć wspólne życie w cieniu takiego poświęcenia?

Wstał, włożył płaszcz i kapelusz, trochę na bakier, jak zwykle. Podeszedł do Audrey, nie spuszczać oczu z jej udręczonej twarzy, która znowu była odległa, ale nie zrozpaczona. Wziął ją w ramiona i pocałował w policzek, po raz ostatni wdychając zapach skóry i ciesząc się bliskością ciała, które kiedyś poruszało się wraz z nim w rytm melodii miłości. Ogarnął spojrzeniem całą twarz, chociaż nie musiał tego robić, bo i tak nigdy nie zapomniaby jej rysów. Potem odszedł. Audrey i Grace usłyszały stuknięcie zamykanych drzwi i zadrżały, kiedy do salonu wpadł podmuch zimnego wiatru. Powietrze wciąż wibrowało napięciem i prawie namacalnym poczuciem straty.

Grace popatrzyła na matkę z dziwną powagą, a Audrey bez słowa skinęła głową. Dziewczyna nie potrzebowała wyraźniejszej zachęty. Otworzyła drzwi i wybiegła na drogę.

- Louis! - krzyknęła głośno. - Louis, zaczekaj! Wiatr uniósł jej wołanie i zatrzymał go w pół kroku. Odwrócił się i ujrzał, jak Grace biegnie ku niemu przez ciemność. Jego twarz rozjaśnił niepewny, pełen

wdzięczności uśmiech. Grace zarzuciła mu ręce na szyję, czując pod policzkiem wilgotną od drobnego deszczu tkaninę płaszcza.

- To nie koniec, ale początek - powiedziała, wtulając twarz w jego ramię. - Po zimie zawsze przychodzi wiosna, prawda?

Louis zaniemówił ze wzruszenia. Położył dłoń na głowie Grace i pocałował ją w czoło; świadomy, że jego łzy spływają na jej włosy. Cofnęła się i spojrzała na niego oczami dziecka. - To, co rozpoczęłeś z mamą, będzie trwać we mnie. Kocham cię. Teraz ty jesteś moim ojcem.

Louis z ogromnym trudem przełknął ślinę. Tyle chciał jej powiedzieć, lecz wszystkie słowa umknęły mu z pamięci, więc tylko dotknął jej twarzy drżącą ręką. Nagle przypomniał sobie, że ostatni raz płakał na lotnisku w Buenos Aires, kiedy uświadomił sobie, że Audrey opuściła go na zawsze. Teraz miał w oczach łzy radości, nie smutku. Grace była jego dzieckiem i wcale nie chciała go opuścić. Patrzyli na siebie długo, w milczeniu, wciąż nie mogąc znaleźć słów, które wyraziłyby ich uczucia. Nagle Louis zaczął nucić melodię. Grace z zachwytem słuchała nie znanego utworu, a po chwili zawtórowała mu, najpierw niepewnie, potem mocniejszym głosem. W aksamitnej ciemności pustej ulicy trwali w uścisku, cicho śpiewając nową sonatę, sonatę przyszłości, której symbolem stały się ich pierwsze wspólne kroki na mokrym chodniku.

Kiedy Grace wróciła do domu, matka siedziała przy fortepianie, muskając palcami klawisze, które niedawno wibrowały pod dotykiem Louisa. Dziewczyna usiadła obok i położyła głowę na jej ramieniu.

- Sonata o niezapominajce... - powiedziała. Audrey kiwnęła głową.

- Skąd wiesz? - zapytała, pewna, że ta nazwa stanowi jej wyłączną własność.

- Kiedyś często przyglądałam się, przez szparę w drzwiach, jak tańczyłaś, wiesz? Nazywałam to „tańcem łez”. Nie miałam pojęcia, dlaczego tańczysz, ale instynktownie wiedziałam, że nie należy cię o to pytać. Bałam się, że mogłabyś przestać tańczyć, a przecież uwielbiałam na ciebie patrzeć... Któregoś dnia zobaczyłam w twoich rękach mały notatnik w oprawie z jedwabiu. Napisałaś coś na pierwszej stronie, odwróciłaś ją i próbowałaś pisać dalej, ale nie mogłaś... Kiedyś nie zdołałam opanować ciekawości, znalazłam twój notatnik i otworzyłam go.

- Sonata o niezapominajce. - Audrey się uśmiechnęła.

- Kilka kropek i rozmazana łza...

- Nie zapisałam tej historii.

- Ale może teraz to zrobisz...

- Może... - Audrey z ciężkim westchnieniem zamknęła wieko fortepianu. Odwróciła się do córki i spojrzała na nią oczami pełnymi współczucia. - Tyle, że nie będzie to historia Louisa, lecz Cecilia... To dla niego napiszę opowieść pod tytułem Sonata o niezapominajce.